

BUNTOWNIK

Samotnie upadną, razem powstaną

JULIE KAGAWA

Bestsellerowa smocza saga już w Polsce!

PRAWA DO EKRYNIZACJI KUPIONE PRZEZ UNIVERSAL PICTURES

Julie Kagawa

Buntownik

Tłumaczenie:
Hanna Hessenmüller

Dla Laurie i Tashy

CZĘŚĆ I

ODLICZANIE

GARRET

Stałem przed milczącym, czujnym stołem, spoza którego spoglądało na mnie sześć par oczu serwujących spojrzenia bardzo różne, od podejrzliwych po taksujące, z tym że wszystkie były jednakowo przenikliwe, bo tak przede wszystkim spoglądali na mnie ci mężczyźni w czarno-szarych mundurach z dumnym emblematem Zakonu na piersiach. Z czerwonym krzyżem na białym tle. Mężczyźni o twarzach surowych, pooranych zmarszczkami, twarzach ludzi, których życie upływa na wojnach i walkach. Niektórych znałem tylko ze słyszenia, niektórych osobiście, ponieważ szkolili mnie, a pod rozkazami niektórych zdarzyło mi się walczyć.

Porucznik Gabriel Martin siedział na końcu stołu, spojrzenie jego czarnych oczu było puste, a twarz kamienna. Niczego nie można było z niej wyczytać. Martina znałem prawie od zawsze. To on mnie ukształtował, to dzięki niemu koledzy z drużyny już po pierwszych stoczonych przeze mnie walkach okrzyknęli mnie wzorowym żołnierzem. Choć czasami, gdy któregoś z nich coś ugryzło, dowiadywałem się, że jestem prawdziwym cudem natury, albo też po prostu zwykłym skurczybykiem, co to zawsze ma farta. Większość moich sukcesów zawdzięczałem porucznikowi Martinowi, bo to on wyczuł potencjał w cichym, smutnym chłopcu, który stracił wszystkich bliskich. Mobilizował mnie nieustannie. Wciąż słyszałem, że mam się postarać, mam zrobić jeszcze więcej, o wiele więcej niż inni. Więc starałem się, bardzo się starałem, i w rezultacie pod względem liczby zabitych smoków biłem swoich rówieśników na głowę. Tego lata na pewno wykończyłbym ich jeszcze więcej, gdyby nie wydarzyło się właśnie to. To, czego nikt nigdy by się nie spodziewał po wzorowym żołnierzu, jednym z najlepszych wychowanków porucznika Martina.

Sędziego, który zajmował miejsce w środku tego siedzącego szeregu, widziałem po raz pierwszy. Ten kompletnie nieznan mi człowiek, osoba postronna, razem z pozostałymi mężczyznami siedzącymi za tym stołem miał tego dnia zdecydować o moim dalszym losie.

Sala, w której toczyła się rozprawa, była niewielka i urządzona po spartańsku. Posadzka wyłożona kafelkami, w niskim suficie lampy sufitowe dające bardzo mocne światło. I żadnych okien. W tej sali zwykle zbierano się po zakończeniu misji, by złożyć raport, albo i w innym celu, w każdym razie nie była to sala sądowa. Długi stół zawsze stał na środku, a nie tak jak teraz, pod ścianą. Ale salę sądową Zakon posiadał tylko jedną, w kwaterze głównej w Londynie. W komandoriach nie tworzone specjalnych sądowych pomieszczeń, bo nie było takiej potrzeby. Przypadki nagannego zachowania wśród żołnierzy Zakonu zdarzały się bardzo rzadko, przypadki dezercji prawie nigdy. A o zdradzie nikt nigdy dotąd nie słyszał, bo lojalność wobec wspólnej sprawy była dla żołnierzy Świętego Jerzego czymś oczywistym, absolutnie podstawowym i nienaruszalnym.

Mężczyzna, który zajmował miejsce w samym środku tego szeregu mężczyzn za lśniącym drewnianym blatem, nazywał się John Fischer, kapitan, cieszący się wielkim szacunkiem w Zakonie. Bohater z wielu pól bitewnych. Lewa strona twarzy pokryta była bliznami, ale on śmiało ukazywał ją światu, jak Medal Honoru. Całą twarz, surową, nieruchomą, zmaltretowaną, teraz też, gdy splatając palce również poznaczonych bliznami dłoni, donośnym głosem wygłaszał krótką mowę oskarżycielską:

– Garrecie Xavierze Sebastianie! Za naruszenie reguł Zakonu, za napaść na towarzysza broni, za zbratanie się z wrogiem i umożliwienie ucieczki trzem znanym nam wrogom Zakonu zostajecie oskarżeni o zdradę Zakonu Świętego Jerzego! – Spojrzcie niebieskich oczu, twarde i nieustępliwe, przeszywało mnie na wylot. – Czy rozumiecie, żołnierzu, o co zostaliście oskarżeni?

– Tak, rozumiem.

– Dobrze. W takim razie zaczynamy. – Spojrzał gdzieś za mnie, czyli na mężczyzn siedzących na krzesłach ustawionych pod przeciwległą ścianą: – Tristanie St. Anthony! Wystąpcie!

Krzesło skrzypnęło, potem usłyszałem ciche kroki, kiedy mój partner podchodził do sędziowskiego stołu. Stał niby obok mnie, ale w sporej odległości. Widziałem go tylko kątem oka, nadal przecież patrzyłem prosto przed siebie. Stał w identycznej pozycji jak ja,

wyprostowany, ręce złożone z tyłu. Tristan jest wysokim szczupłym żołnierzem o krótko przystrzyżonych ciemnych włosach, starszym ode mnie o kilka lat. Zwykle jego twarz zdobił charakterystyczny uśmiezek. Teraz twarz ta była nieskończenie ponura.

– Proszę zdać sądowi jak najdokładniejszą relację z wydarzeń, które poprzedziły tę nieudaną akcję. Także z tego, co wydarzyło się potem.

Tristan wyraźnie zastanawiał się, a ja wiele bym dał, by dowiedzieć się, co myśli w tym właśnie momencie, tuż przed złożeniem zeznań. Chwila namysłu nie trwała długo, sekundę zaledwie, może dwie, i Tristan zaczął mówić, a czynił to głośno i rzeczowo:

– Tego lata Sebastian i ja zostaliśmy wysłani jako tajni agenci do Crescent Beach w Kalifornii. Otrzymaliśmy rozkaz inwigilowania miejscowej ludności w celu odszukania uśpionego szpiega i zlikwidowania go.

Mężczyzna, ten w samym środku, czyli kapitan John Fischer, podniósł rękę.

– Żeby wszystko było jasne... Talon wysłał do Crescent Beach swojego agenta, a wy zostaliście wysłani, by tego agenta odszukać.

– Tak jest! – Tristan kiwnął głową. – Wysłano nas, byśmy tego smoka odszukali i zabili.

Oczywiście. Od chwili powstania Zakonu sprawa była jasna. Każdy żołnierz Świętego Jerzego wiedział doskonale, o co walczy, czego broni, o co w tym wszystkim chodzi. Nasza wojna, nasza święta misja nie zmieniła się od setek lat. Naturalnie miecze i kopie zastąpiły nowoczesna broń i technologie, ale nadal przyświecał nam ten sam wspólny cel, któremu każdy żołnierz poświęcał całe swoje życie.

Całkowita likwidacja smoków, naszych odwiecznych wrogów.

O czym wiedzieliśmy tylko my. Inni ludzie nie wiedzieli nic ani o Zakonie, ani o wojnie, którą toczyliśmy. Nie mieli pojęcia, że smoki istnieją, nie mieli też możliwości się dowiedzieć, bo ten fakt trzymany był w najgłębszej tajemnicy zarówno przez Zakon, jak i przez same smoki. Dlatego w dzisiejszym świecie powszechnie uważa się, że smoków nie ma. To tylko wytwór fantazji. Owszem, w ostateczności pewne gatunki jaszczurek można uważać za ich nędzną namiastkę, ale

prawdziwe smoki, te ogromne, uskrzydłone i zionące ogniem potwory istnieją tylko w bajkach i legendach. Europejskie smoki są zachłanne, spragnione bogactwa, w krajach Orientu życzliwe ludziom, zsyłające upragniony deszcz.

I to było właśnie to, w co ludzie mieli wierzyć. Czego chciały obie strony, i Zakon, i smoki.

Z biegiem lat zmiany następowały nie tylko w Zakonie Świętego Jerzego, ale również wśród naszych wrogów. Przede wszystkim, zgodnie z doktryną Świętego Jerzego, smoki, gdy były już bliskie wyginięcia, zawarły pakt z diabłem, dzięki czemu posiadały umiejętność dokonywania Przemiany, czyli przybierania postaci ludzkiej. Niezależnie od tego, czy rzeczywiście paktowały z diabłem, czy nie, faktycznie potrafiły w jednej chwili stać się wierną kopia człowieka. Nie tylko wyglądały, ale zachowywały się jak stuprocentowi ludzie, w związku z czym rozpoznanie smoka po Przemianie wśród zwyczajnych śmiertelników było prawie niemożliwe. Ile smoków egzystowało w dzisiejszym świecie? Nie wiadomo, ponieważ, podobnie jak agenci Zakonu, potrafiły idealnie wręcz wtopić się w otoczenie. Ich głównym celem było całkowite zniewolenie ludzi, uczynienie z nich gatunku podrzędnego. A naszym zadaniem, zadaniem Zakonu Świętego Jerzego, było wyszukiwanie tych potworów i zabijanie. Mamy to robić systematycznie i konsekwentnie, póki liczebność smoków nie spadnie drastycznie, co doprowadzi do całkowitego wyginięcia tego gatunku.

Jak każdy żołnierz świętego Jerzego wierzyłem w to po prostu ślepo.

Dopóki nie spotkałem Ember.

– Czytałem wasz raport, St. Anthony – mówił dalej Fischer. – Z tego raportu wynika, że razem z Sebastianem nawiązaliście kontakt z podejrzaną i rozpoczęliście śledztwo.

– Tak jest! – odparł Tristan. – Nawiązaliśmy kontakt z Ember Hill, natomiast Garret zgodnie z rozkazem nawiązał z nią bliższą znajomość, by ustalić, czy Ember Hill naprawdę jest uśpionym szpiegiem, czy nie.

Ember... Kiedy usłyszałem jej imię, serce od razu zabiło szybciej. Ember Hill, która cały mój świat wywróciła do góry nogami. Przed przybyciem do Crescent Beach wiedziałem dokładnie i bez żadnych

wątpliwości, kim jestem. Żołnierzem Świętego Jerzego, który ma do spełnienia ważną misję. Ma nawiązać kontakt z naszym celem, ustalić, czy ów cel faktycznie jest smokiem, a jeśli jest, to należy go zlikwidować. Czyli wszystko jasne.

Niestety jednak nie, ponieważ okazało się, że cel, który ewentualnie mam zlikwidować, jest śliczną zielonooką dziewczyną. Dziewczyną bardzo odważną i pełną temperamentu, uwielbiającą surfing w ekstremalnym wydaniu, a przy tym dziewczyną uroczą i wesołą, która potrafiła mnie rozśmieszyć i czymś miłe zaskoczyć podczas każdego naszego spotkania. A ja spodziewałem się, że natrafię na bezlitosną, obłudną kreaturę, która tylko potrafi genialnie udawać, że odczuwa ludzkie emocje.

Ember była tego całkowitym przeciwieństwem.

– I co zostało ustalone? – pytał dalej Fischer. – Czy dziewczyna faktycznie okazała się uśpionym szpiegiem?

– Tak – odparł Tristan, nadal z ponurą miną zapatrzony gdzieś przed siebie. – Ember Hill okazała się smokiem, którego mieliśmy wyeliminować.

– Rozumiem... – Fischer pokiwał głową. – A teraz opowiedzcie, co wydarzyło się tamtego wieczoru, kiedy razem z Sebastianem pojechaliście za uśpionym szpiegiem na plażę.

Przełknąłem, zebrałem się w sobie, by być psychicznie gotowy na to, co zaraz nastąpi. Całe to szacowne gremium wysłucha szczegółowej relacji o mojej zdradzie. Co zrobiłem i czego się dopuściłem, co w konsekwencji doprowadziło mnie przed sędziowski stół.

– Namierzyliśmy kryjówkę naszego celu – zaczął Tristan równym, spokojnym głosem. – Gniazdo smoków. Sądziliśmy, że są tylko dwa, okazało się jednak, że jest ich tam więcej. To była standardowa akcja. Wejść, zlikwidować cele, wyjść. Ale smoki miały wokół domu systemy alarmowe, kiedy więc wkroczyliśmy do środka, były już w trakcie ucieczki. Jednego raniliśmy, ale mimo to też uciekł.

I to była moja wina, bez żadnych wątpliwości moja i tylko moja. Nasze cele uciekły, bo kiedy zobaczyłem Ember, zawahałem się. Tak, mimo że zgodnie z rozkazem miałem strzelać do wszystkiego, co się rusza. I do ludzi, i do smoków. A ja stałem jak kołek i gapiłem się na

Ember, całkowicie niezdolny nacisnąć na spust. I to właśnie zadecydowało o niepowodzeniu całej akcji, ponieważ Ember, wykorzystując tę moją chwilę wahania, błyskawicznie dokonała Przemiany i zionęła ogniem. W tym ogniu stanął cały pokój. Siłą rzeczy zrobiło się niezłe zamieszanie, dzięki czemu Ember i pozostałym smokom udało się wycofać na tyły domu i uciec na klif. A cały dom spłonął doszczętnie.

Nikt nie wiedział, co się wydarzyło w tamtym pokoju, gdy przed sobą, ponad lufą, zobaczyłem Ember. Nikt nie wiedział, że wtedy właśnie wzorowy żołnierz po raz pierwszy w życiu zwątpił.

Ale to nic w porównaniu z tym, co wydarzyło się potem.

– Czyli atak zakończył się niepowodzeniem – stwierdził oschle Fischer. – Co działo się dalej?

I wtedy Tristan po raz pierwszy spojrzał na mnie. Tylko przelotnie, prawie niezauważalnie, ale wystarczyło, by moje serce zabiło jeszcze szybciej. Przecież Tristan wiedział. Może nie wszystko, niemniej coś niecoś wiedział o tym, co wydarzyło się tuż po nieudanym ataku, kiedy to w kwaterze głównej zapadała decyzja, co robić dalej, a ja raptem zniknąłem. Po jakimś czasie Tristan mnie odszukał i ruszyliśmy w pogoń za naszymi celami, ale do tego czasu już stało się to, co się stało.

Co dokładnie? O tym nie wiedział nikt. O tym, że jeszcze tego samego dnia wieczorem zadzwoniłem do Ember i poprosiłem, by spotkała się ze mną na samotnym klifie. Po co? Chciałem ją zabić. Tak, przecież była smokiem, a ja żołnierzem Świętego Jerzego, o czym oczywiście nie wiedziała, ponieważ podczas ataku na gniazdo smoków miałem, jak każdy z nas, twarz zasłoniętą maską.

W trakcie tej krótkiej rozmowy przez telefon była wyraźnie podminowana, wręcz zdenerwowana. Co mnie nie zdziwiło, byłem przecież pewien, że wszystkie smoki, wiedząc, że jesteśmy w tej w okolicy, gorączkowo szykują się do ucieczki z miasta. Ember oczywiście też, razem ze swoim bratem, niemniej jednak zgodziła się na spotkanie. Prawdopodobnie dlatego, że chciała się ze mną pożegnać.

Naprawdę zamierzałem ją zabić, chociażby dlatego, że akcja nie powiodła się z mojej winy, więc chciałem to jakoś naprawić. Niestety, kiedy znów zobaczyłem po drugiej stronie lufy zielonooką dziewczynę,

tę właśnie, która nauczyła mnie surfować i tańczyć, tę właśnie, która czasami uśmiechała się tylko do mnie, to cóż... po raz kolejny zawiodłem. Nie, nie mogłem tego zrobić, i to było na pewno coś więcej niż chwila wahania czy zwykły efekt zaskoczenia pod wpływem myśli, że może jednak coś jest nie tak. Z czymś tak nikłym bym sobie poradził w ułamku sekundy, żołnierze Świętego Jerzego już tacy są, natychmiast wracają do pionu i są gotowi do działania. Było jednak inaczej. Po prostu mnie sparaliżowało, gdy znów stanąłem twarzą w twarz z naszym celem. Uroczym, zielonookim, ale przecież naszym śmiertelnym wrogiem!

Znów nie byłem w stanie nacisnąć na spust, znów stałem jak kołek, a Ember w tym czasie dokonała błyskawicznej Przemiany. Zielonooka dziewczyna znikła, jej miejsce zajął wydający groźne pomruki smok, który rzucił się na mnie, powalił i przygniótł całym ciężarem niemałego przecież ciała. Smocze szpony były o kilka centymetrów od mojego gardła. Byłem pewien, że zginę rozszarpany tymi szponami albo spalony żywcem ogniem buchającym z paszczy smoka. Zginę dlatego, że raptem zacząłem na smoka reagować całkiem inaczej, niż przystało na żołnierza Świętego Jerzego. Natomiast reakcja Ember, reakcja smoka na żołnierza, była absolutnie uzasadniona, dlatego nie czułem do niej żalu. Może to i trochę dziwne, a jednak tak właśnie było. Po prostu kompletnie już bezbronny leżałem pod smokiem, przygotowując się psychicznie na śmierć.

I wtedy zdarzyło się coś nieprawdopodobnego. Ember puściła mnie wolno. Tak! Choć przecież nie musiała, bo co innego, gdyby raptem żołnierze Świętego Jerzego w ostatniej chwili przybyli z odsieczą. Ale nikt się nie pojawił, a my byliśmy sami w odludnym miejscu. Nikt nie usłyszałby mojego krzyku. A ona puściła mnie wolno. Ember, smok, czyli bezlitosna wyrachowana bestia, która gardzi ludźmi i nie posiada ani odrobiny empatii, ani odrobiny człowieczeństwa. Bestia, która ponad wszystko nienawidzi Zakonu Świętego Jerzego. Poza tym ta konkretnie bestia była naszym celem. Zbliżyłem się do niej tylko po to, by ją zniszczyć, a teraz wystarczy, że zionie ogniem albo zada cios, i po prostu odbierze mi życie. Byłem kompletnie bezbronny, zdany na jej łaskę i niełaskę.

Nie zabiła mnie, a gdy pozwoliła mi odejść, uprzytomniłem sobie,

że Zakon się myli. Zakon, który konsekwentnie wbijał nam do głowy, że smoki to potwory, i dlatego żołnierze Świętego Jerzego zabijają je z zimną krwią, nie stawiając żadnych pytań. Ja oczywiście też ich nie stawiałem, tylko zabijałem, ale Ember, darując mi życie, zachwiała moją wiarą. Mało tego, zacząłem się nawet zastanawiać, czy wśród zabitych przeze mnie smoków, do których strzelałem bez wahania, bo taki był rozkaz Zakonu, nie było smoków podobnych do Ember.

Jeśli tak, to w takim razie moje ręce splamione są niewinną krwią. Po prostu nią ociekają.

– Po ataku – mówił dalej Tristan, naturalnie patrząc przed siebie, na tych, co za stołem – Garret i ja otrzymaliśmy rozkaz śledzenia Ember Hill, która mogła doprowadzić do pozostałych celów. Pojechaliśmy za nią na plażę, gdzie faktycznie spotkała się z dwoma innymi smokami. Jeden z nich był młody, drugi dorosły.

– Smok dorosły... – powtórzył powoli Fischer, a po sali przebiegł cichy szmer. Nie bez powodu komentowano między sobą te słowa, przecież w pełni dojrzałe smoki widywane były bardzo rzadko. Najstarsze smoki przebywały w ukryciu, chronione przez organizację. Zakon wiedział, że przywódcą Talonu jest Elder Wym, smok sędziwy, nikt jednak nigdy go na oczy nie widział.

– Tak, smok dorosły – potwierdził Tristan. – Mieliśmy rozkaz śledzenia i powiadomienia przełożonych, kiedy cel ukaże się w postaci smoka. Jednak kiedy pojawiliśmy się koło tej plaży, nasz cel już był w pierwotnej postaci, i nie sam, tylko w towarzystwie dwóch innych smoków. Poinformowałem o tym mego dowódcę, St. Francisa, i otrzymałem rozkaz natychmiastowego zlikwidowania każdego smoka, którego będę miał w polu widzenia...

Tristan zamilkł, natomiast Fischer odczekał moment, a potem spytał, mrużąc oczy:

– Co potem się wydarzyło, żołnierzu?

– Nie oddałem ani jednego strzału, ponieważ Garret mi to uniemożliwił.

– Czy podał jakiś powody swojego postępowania?

– Tak, podał. – Tristan odetchnął głęboko, jakby obawiał się, że to, co ma zamiar wyjawic, z trudem przejdzie mu przez gardło. –

Powiedział mi... że Zakon się myli.

Zapadła cisza. I ta cisza była oznaką największego szoku, największego z możliwych oburzenia. Taka cisza, od której włos zjeżył mi się na głowie. Zarzucenie Zakonowi, że się myli, było podważeniem kodeksu, który przed wiekami został stworzony przez rycerzy. I nie był to zwykły spis zasad, ale objawienie prawdy. Kodeks Zakonu Świętego Jerzego demaskował smoki jako istoty bezduszne, jako potwory, jako sługi diabła, a ludzie, którzy są poplecznikami smoków, zdemaskowani zostali jako istoty amoralne, zepsute do szpiku kości.

– Czy to wszystko? – spytał Fischer, spoglądając lodowato, podobnie zresztą jak pozostali mężczyźni siedzący za stołem.

Tristan przez krótką chwilę milczał, potem skinął głową.

– Tak. Z tym że powiedział jeszcze, że nie pozwoli mi zabić tych smoków, bo nie wszystkie są złe, i tych właśnie, które tu są, nie wolno zabić. Oczywiście nie miałem najmniejszego zamiaru ustąpić, ale on rzucił się na mnie. Stoczyliśmy krótką walkę i zostałem znokautowany.

Mimo woli skrzywiłem się. Przecież znokautowanie partnera wcale nie było moim marzeniem, ale musiałem to zrobić, bo Tristan był strzelcem niezrównanym. Aniby się obejrzał, a już położyłby trupem co najmniej jednego z tych trzech smoków. A ja nie potrafiłbym stać i patrzeć, jak na moich oczach zabijają Ember.

– Kiedy się ocknąłem – mówił dalej Tristan – nasze cele już uciekły. Garret poddał się dowódcy naszej drużyny. Został aresztowany, a tych trzech smoków nie udało już się odnaleźć.

– I to wszystko?

– Tak.

Fischer skinął głową, po czym powiedział:

– W takim razie dziękuję, St. Anthony. – Gdy Tristan odstąpił, zabójczo lodowate spojrzenie Fischera spoczęło na mnie. – Garrecie Xavierze Sebastianie, słyszeliście, jakie oskarżenia zostały wysunięte przeciwko wam. Czy macie coś do powiedzenia w swojej obronie?

Nim zacząłem mówić, najpierw odetchnąłem głęboko.

– Tak – oznajmiłem, podnosząc głowę, by dobrze widzieć tych, co siedzieli za stołem.

Oczywiście zastanawiałem się, co powiem podczas tego procesu,

a także, i to było najważniejsze, czy zbiorę się na odwagę i rzucę Zakonowi prosto w twarz, że mylił się od zawsze. Zdawałem sobie sprawę, że jeśli to zrobię, będę jeszcze bardziej przeklęty, ale czułem, że powinienem tak właśnie postąpić. Bo byłem winien to i Ember, i wszystkim smokom, które zginęły z mojej ręki.

– Słuchamy więc – ponaglił mnie Fischer.

– Kiedy przyjechałem do Crescent Beach – zacząłem i natychmiast wszystkie ponure, nieruchome spojrzenia spoczęły na mnie – spodziewałem się, że spotkam się z kolejnym smokiem. A tymczasem spotkałem dziewczynę pod wieloma względami podobną do mnie, chociaż miała swoją własną i bardzo wyrazistą osobowość. I nie była to żadna namiastka człowieka, którą wyuczono różnych gestów i udawania emocji. Absolutnie nie. Wszystko, co robiła, było autentyczne. W rezultacie nasza misja przeciągała się, ponieważ nie mogłem dostrzec żadnej różnicy między Ember Hill a zwyczajnym cywilem...

Mówiłem i mówiłem, a w całej sali panowała cisza jak makiem zasiał. Cisza wręcz zabójcza. Twarz Gabriela Martina była kamienna, a spojrzenie lodowate. Na Tristana nie odważyłem się spojrzeć, przez cały czas czułem jednak na sobie jego spojrzenie i byłem pewien, że patrzy na mnie z największym niedowierzaniem.

W gardle oczywiście poczułem suchość, więc przełknąłem.

– Nie proszę o łaskę. To, co wtedy zrobiłem, jest niewybaczalne. Proszę tylko, by Wysoki Sąd wziął pod rozwagę moją sugestię, że nie wszystkie smoki są takie same. Ember Hill być może jest anomalią, jest inna niż pozostałe osobniki jej gatunku. Z tego, co zauważyłem, na pewno nie chce mieć nic do czynienia z wojną. A być może wiele innych smoków myśli podobnie...

– Dziękuję, Sebastianie – przerwał mi bardzo zdecydowanym tonem Fischer i odsunawszy się od stołu razem z krzesłem, wstał. – Sąd udaje się na naradę. Możecie odejść, Sebastianie. Spotykamy się tu ponownie za godzinę.

Po powrocie do celi usiadłem na twardym materacu, oparłem się o ścianę i podciągnąłem jedną nogę. I w takiej to pozie czekałem, co sąd zadecyduje o moim losie. Przy tym ciekawiło mnie bardzo, czy moje zeznanie, beznamiętne zeznanie byłego wzorowego żołnierza, da owemu

sądowi do myślenia.

– Garret?

Poderwałem głowę i zobaczyłem za kratami wysoką, sprężystą postać Tristana. Minę miał niby obojętną, kiedy jednak przyjrzałem jej się bliżej, zauważyłem, że wcale nie jest taka kamienna, bo wypisane jest na niej wiele gwałtownych uczuć, a spojrzenie ciemnoniebieskich oczu dalekie jest od łagodnego, bo świdrujące. A ręką wykonał gest świadczący i o gniewie, i o największej desperacji.

– Garret, powiedz, co ci strzeliło do głowy?! Co?!

Spojrzałem w bok.

– Nieważne.

– A niech to szlag... – Podeszedł bliżej. Było jasne, że gdyby nie kraty, oberwałbym od niego w głowę. – Jesteśmy partnerami od trzech lat. Przez te trzy lata razem walczyliśmy, razem zabijaliśmy. Kilka razy omal nas nie pożarto, a niezliczoną ilość razy ratowałem twój tyłek. Ty mój równie często. I raptem coś takiego! Może mi wyjaśnisz, partnerze, o co w tym wszystkim chodzi? Tylko nie mów żadnych głupot, jakbym był skończonym durniem, jasne?

Za odpowiedź miałem jedynie milczenie.

Palce Tristana zacisnęły się na żelaznych prętach, teraz mówił prawie błagalnie:

– Powiedz, co tak naprawdę wydarzyło się w Crescent Beach. Mów, do cholery, bo muszę to wiedzieć! Bo ja tego wszystkiego naprawdę nie rozumiem. Jesteś przecież wzorowym żołnierzem, kodeks Zakonu znasz na pamięć. Potrafisz przez sen wyrecytować wszystkie zawarte w nim zasady, od początku i od końca. I masz to wszystko teraz za nic?

– Szczerze mówiąc, sam tak do końca nie wiem...

– No tak! To ta dziewczyna, ten cholerny smok, tak ciebie przerobiła! Że też niczego nie zauważyłem! Spędzałeś z nią tak dużo czasu, a ona po prostu rzuciła na ciebie urok... diabelski urok...

– Daj spokój! To na pewno nie tak.

Kiedyś, w zamierzchłych czasach, wierzono, że smoki potrafią rzucić urok na człowieka słabego duchem, potrafią zniewolić go, sterując za pomocą czarnej magii jego umysłem. Ta teoria dawno już została

oficjalnie obalona, nadal jednak w Zakonie nie brakowało takich, którzy wierzyli w różne przesady i zabobony. Jednak Tristan do nich nie należał. Podobnie jak ja był zdecydowanym pragmatykiem i między innymi dlatego tak dobrze nam się współpracowało. Ale teraz, w tej konkretnie sytuacji, nie potrafił pogodzić się z faktem, że przyjaciel zdradził i jego, i cały Zakon, dlatego też gotów był zaakceptować fakt, że zły smok po prostu mnie z czarował, więc trudno mnie za to winić.

A Ember przecież niczego takiego nie zrobiła, nie użyła żadnej magii. Wszystko, co się stało, stało się wyłącznie za sprawą jej osobowości. Bo Ember jest po prostu niesamowita. Taka żarliwa i dzielna, tak bardzo kocha życie. Dlatego podczas wykonywania misji najzwyczajniej w świecie zapomniałem, że właśnie ta niesamowita Ember jest naszym potencjalnym celem, że może być smokiem, potworem, którego mam zabić. Kiedy byłem razem z Ember, nie widziałem w niej wroga. Widziałem po prostu ją.

– W takim razie jak?! – spytał Tristan wciąż ostro i gniewnie. – Może raczysz mi wreszcie wyjaśnić, jak to mogło się stać, że mój partner, żołnierz, który od samego początku zabija tyle smoków, że żaden jego rówieśnik nie może z nim się równać – a takiego przypadku w historii Zakonu jeszcze nie było – raptem podejmuje decyzję, że jakiegoś tam smoka nie wolno zabijać! Sprzeniewierzając się tym samym i swoim bliskim, zabitym przez smoki, i Zakonowi, który go wychował, wykształcił i dał mu życiowy cel. Bardzo chciałbym wiedzieć, dlaczego mój partner raptem stanął po stronie wroga, dlaczego walnął mnie w głowę, by ratować pieprzonego smoka, który...

Nagle zamilkł i zbladł gwałtownie, jakby właśnie dotarło do niego coś niepojętego.

A ja znów tylko mogłem milczeć.

– O nie... – wyszeptał po chwili, odsuwając się od kraty na krok. – Garret! Ty się w niej po prostu zakochałeś!

A ja szybko spojrzałem w bok, na tę ścianę, która była najdalej ode mnie.

I milczałem.

– Garret! Jak mogłeś!

Głos Tristana stał się chrapliwy i pełen odrazy, chociaż tak na moje

ucho była w nim i odrobina współczucia.

– Lepiej nic już nie mów, Tristanie – powiedziałem wreszcie, nie patrząc na niego. – Przecież wiem...

Ale on i tak mówił dalej, choć teraz bardzo cicho:

– Tak, wiesz... Jak i to, że po tych twoich zeznaniach na pewno wyślą cię pod ścianę. Gdybyś powiedział, że myliłeś się, że to był jakiś obłąd, bo ten smok cię otumanił... cokolwiek w tym stylu, to wtedy Martin mógłby prosić o ułaskawienie. Dlaczego nie skłamałeś, Garret? Może wtedy nie skończyłbyś pod ścianą, jesteś przecież jednym z naszych najlepszych żołnierzy. Ale teraz... – Tristan westchnął. – Zdajesz sobie sprawę, że za zdradę Zakonu zostaniesz rozstrzelany?

Pokiwałem głową. Przecież wchodząc do sali sądowej, wiedziałem już, jaki będzie wyrok, jeśli nie pokajam się, nie potępię samego siebie, nie będę błagać o litość. Jeśli nie powiem tego, co chcą usłyszeć. Że okłamano mnie, oszukano, że nawet żołnierza Świętego Jerzego można zmanipulować. Gdybym zrobił z siebie głupka, może i przestałbym być wzorowym żołnierzem, ale miałbym szansę pozostać przy życiu.

Ale nie skłamałem. Nie. Bo ja po prostu nie kłamię.

Tristan postął jeszcze chwilę i odszedł bez słowa. Kiedy słuchałem jego oddalających się kroków, nagle dotarło do mnie, że najprawdopodobniej rozmawiam z nim po raz ostatni.

Poderwałem głowę.

– Tristanie!

Nie, wcale nie byłem pewien, czy się zatrzyma. Ale zrobił to. Zatrzymał się w pół kroku i spojrzał na mnie.

– Wybacz, Tristanie, że tak to jakoś wszystko wyszło nie najlepiej – powiedziałem, patrząc mu prosto w oczy. – W każdym razie chciałem ci podziękować, że przez tyle lat asekurowałeś mnie bardzo skutecznie.

Kąciki ust Tristana drgnęły.

– Zawsze wiedziałem, że jakiś smok w końcu będzie sprawcą twojej śmierci. Nigdy bym się jednak nie spodziewał, że stanie się to właśnie w taki sposób. Taki... pośredni... – powiedział, a raczej wymamrotał. – No cóż... Wyznaczą mi nowego partnera. Na pewno będzie czuł się nieswojo, zajmując miejsce po wzorowym żołnierzem, więc będę musiał nad nim trochę popracować.

– Poradzisz sobie. A że trochę się pomęczysz, to dobrze. Dzięki temu szybciej o mnie zapomnisz!

– Co to, to nie! – rzucił z uśmiechem.

Jednak uśmiezek prawie natychmiast znikł z jego twarzy. Jeszcze przez chwilę patrzyliśmy już tylko na siebie, aż wreszcie Tristan St. Anthony odszedł, rzucając mi na pożegnanie:

– Trzymaj się, partnerze!

Żadnego „do widzenia” czy „zobaczymy się później”. Obaj wiedzieliśmy aż za dobrze, że o ponownym spotkaniu nie ma mowy.

– Ty też się trzymaj – odparłem.

Tristan przekroczył próg.

– Sąd podjął decyzję.

I znów znalazłem się w prowizorycznej sali sądowej, przed sędziowskim stołem, przed sędzią, który wstał i rozpoczął już swoją przemowę. Spojrzałem przelotnie na Martina. Owszem, patrzył w moją stronę, ale idealnie pustym wzrokiem i nie na mnie, tylko wyżej, gdzieś ponad moją głowę.

– Garrecie Xavierze Sebastianie! – zaczął Fischer dźwięcznym, donośnym głosem. – Na mocy jednomyślnej decyzji zostaliście uznani winnym zdrady Zakonu Świętego Jerzego i skazani na rozstrzelanie. Wyrok zostanie wykonany jutro o świcie. Oby Bóg ulitował się nad twoją duszą.

DANTE

Piętnaste piętro. I dalej odliczanie.

W windzie było zimno. Gdzieś nad głową słyhać było niegłośną, ale żwawą melodyjkę, a wszędzie dookoła lustra, a z luster tych patrzyły na nas nasze odbicia. Czyli mężczyzna w szarym garniturze, pod krawatem, i chłopak, a więc ja, również w garniturze. Czarnym, znakomicie skrojonym. Rude włosy ostrzyżone na krótko, perfekcyjnie, czerwony jedwabny krawat zawiązany idealnie. Czarne buty lśniły jak lustro, no i przede wszystkim ten wypas na grubym pasku na rękę, czyli wielki złoty rolex. Podsumowując, w niczym już nie przypominałem beztróskiego chłopaka z Crescent Beach, który najlepiej czuł się

w szortach i podkoszulku, z rozwichrzonymi włosami. Ten czas minął bezpowrotnie. Okres asymilacji dobiegł końca i Talon orzekł, że się sprawdziłem. Zaliczyłem wszystkie testy, przeszedłem każdą próbę, udowadniając, że można mi zaufać i że ponad wszystko zależy mi na zachowaniu naszego gatunku.

Z całego serca życzylibym sobie, by moja siostra znalazła się w sytuacji identycznej. Niestety Ember obecnie przebywała w całkiem innej rzeczywistości, i z tego to powodu zarówno jej przyszłość, jak i moja stały pod znakiem zapytania. Również z powodu Ember wezwano mnie tu dzisiaj, nie miałem jednak pojęcia, co będzie przedmiotem rozmowy i czego Talon oczekuje ode mnie.

Winda zatrzymała się na trzydziestym piętrze. Posykując cichutko, drzwi rozsunęły się i wszedłem do wspianego holu wyłożonego złocistymi i czerwonymi płytkami. Wszedłem, rozejrzałem się i uśmiechnąłem do siebie. Bo było tu właśnie tak, jak to sobie wyobrażałem. Tu, czyli w miejscu bardzo dla mnie kuszącym, z którym wiązałem niejakie plany.

Pewnego dnia to ja będę tutaj pociągał za wszystkie sznurki.

Mój instruktor – czyli po prostu pan Smith, bo tak właśnie kazał mi się do siebie zwracać od razu na samym początku szkolenia – wprowadził mnie do jednego z pokoi i spojrzał na mnie z uśmiechem. W przeciwieństwie do wielu smoków, których uśmiech był zdecydowanie sztuczny i wymuszony, uśmiech pana Smitha wydawał się bardzo naturalny. Dopóki się nie zauważyło chłodu w jego oczach.

– Gotowy?

– Naturalnie – odparłem, starając się, by nie zabrzmiało to za bardzo stanowczo.

Niestety pan Smith, podobnie jak rekin krew, doskonale wyczuwał moje zdenerwowanie i strach. Na pewno, bo jego uśmiech zdecydowanie poszerzał, a spojrzenie jeszcze bardziej stwardniało.

– Spokojnie, Dante. Na pewno dasz radę – powiedział, kładąc dłoń na moim ramieniu.

Owszem, był to gest dodający otuchy, w tym przypadku jednak tylko teoretycznie, wiedziałem przecież doskonale, że w wykonaniu pana Smitha nic nie znaczy. Bo to on osobiście wbijał mi do głowy, że bym

nigdy nie wierzył cudzym słowom i gestom. Mam tylko udawać, że wierzę, by ci inni właśnie w to uwierzyli.

– Proszę się nie martwić o mnie – powiedziałem, zdecydowany jak najlepiej udawać oazę spokoju, chociaż byłem jednym wielkim kłębkiem nerwów. – Doskonale wiem, z jakiego powodu tu się znalazłem, i wiem też doskonale, co mam robić.

Pan Smith jeszcze raz ścisnął mnie za ramię, i rzecz dziwna, bo choć zdawałem sobie sprawę, że to tylko pozory, trochę jednak się odprężyłem i zdecydowanie lżejszym krokiem podążyłem za swoim mentorem. Szliśmy wąskim korytarzem, mijając drzwi do gabinetów. Mijaliśmy je, mijaliśmy, aż wreszcie korytarz skręcił i okazało się, że dotarliśmy do jego kresu. Były tam już tylko jedne drzwi, wielkie, na których widniał napis wykonany wielkimi złotymi literami: „A. R. Roth”.

I niestety znów poczułem ucisk w dołku. Pan Roth był jednym ze starszych wiceprezesów Talonu, czyli należał do smoków, które co prawda nie były jeszcze tak wysoko w hierarchii Talonu, by osobiście kontaktować się z Elderem Wyrmem, ale na pewno były już tego bardzo bliskie.

I to właśnie on, pan Roth, chciał ze mną porozmawiać! Niestety, na pewno o Ember, o tym, jakie kroki zamierzają w jej sprawie podjąć.

Ember! Od razu się we mnie zagotowało, ale poczułem też i strach. Moja krnąbrna, szalona siostra, uparta i zuchwała, odwróciła się plecami do organizacji, która ją wychowała, do całego swego gatunku, i nie zważając na konsekwencje, uciekła ze znanym zdrajcą. I tych właśnie konsekwencji bardzo się bałem, bo zwykle w takich przypadkach posyłano za zbiegiem Żmiję, bezlitosną morderczynię, by ze zdrajcą się rozprawiła. Bałem się, choć doskonale wiedziałem, że aż tak radykalne środki są konieczne, ponieważ zbiegłe smoki to osobniki nieźrównoważone, bardzo niebezpieczne, zagrażające naszemu gatunkowi. Taki zbieg, przebywając poza strukturą Talonu, mógł mimo woli – a może i specjalnie – zdradzić ludziom fakt naszego istnienia. A to z kolei byłoby dla nas katastrofą, bo ludzie absolutnie nie powinni wiedzieć, że smoki to nie bajka, że żyją wśród nich. Ludzie od stuleci nosili w sobie lęk przed potworami. Gdyby dowiedzieli się o istnieniu

smoków, ten strach mógłby zawładnąć nimi całkowicie i w rezultacie smoki znów znalazłyby się o krok od wyginięcia. Zrozumiałe więc, że zdecydowane działania wobec zbiegłych smoków były niezbędne. Eliminowano zdrajców także dlatego, by ci, co nie chcieli należeć do organizacji i wybrali własną drogę życia, nie pociągnęli za sobą innych. I z tym nie zamierzałem dyskutować. Ale Ember, moja siostra, nie była zdrażczynią. Została wprowadzona w błąd przez zbiegłego smoka. Zawsze była postrzelona i dość łatwowierna, a on na pewno naopowiadał jej niestworzonych historii i w rezultacie moja siostra zwróciła się przeciwko Talonowi, przeciwko swemu gatunkowi, przeciwko mnie. To ten zbieg jest winien, to on powinien ponieść karę. Ember zawsze miała pewne problemy ze zwierzchnikami, ale to nie znaczy, że nie potrafiła myśleć, dostrzec przyczyny takiego a nie innego stanu rzeczy, i pojąć, jaka jest prawda.

Tak było. Dopóki nie spotkała tego zbiega.

Zacisnąłem zęby. Gdyby Ember wróciła do organizacji, na pewno zrozumiałaby swój błąd i dostrzegła prawdę. Zbiegowie są bardzo niebezpieczni, a Talonowi leży na sercu tylko i wyłącznie nasze dobro, dobro smoków. Jedynym sposobem na przetrwanie smoków w świecie ludzi jest współpraca. Zwycięzimy, jeśli ramię w ramię służyć będziemy wspólnej sprawie. Bo w jedności siła.

Dla mnie zawsze było to największym priorytetem. Ember też kiedyś w to wierzyła. Kiedyś...

Przekroczyliśmy próg i znaleźliśmy się w wielkim chłodnym gabinecie, urządzonym bardzo skromnie. Całą jedną ścianę zajmowały okna, przez które widać było drapacze chmur Los Angeles, lśniące w słońcu na tle odległych gór.

– Panie Roth, to jest Dante Hill – oznajmił pan Smith i skinął na mnie, bym wysunął się do przodu.

Mężczyzna usadowiony za wielkim czarnym biurkiem uśmiechnął się, wstał i podszedł do nas z wyciągniętą ręką. Ubrany był w granatowy garnitur, poza tym miał zegarek jeszcze bardziej imponujący niż mój, a z kieszonki marynarki wystawało złote wieczne pióro. Ciemne włosy krótko przystrzyżone, ciemne oczy patrzyły taksująco, a silna dłoń omal nie zmiażdżyła mojej.

– Dante Hill... Witaj! Miło cię poznać. Jak minęła podróż?

– Dziękuję, bardzo dobrze – odparłem, też uśmiechając się, bo już byłem do tego zdolny, skoro łaskawie wypuścił moją rękę z żelaznego uścisku.

A odpowiedziałem tak, jak wypadało, choć podróż wcale nie była przyjemna. Przede wszystkim nudna, bo przez całą drogę mój instruktor mnie doksztalcał, wbijając mi do głowy główne kierunki działań biznesowych Talonu, poza tym musztrował mnie, pouczając, jak ja, nic nieznaczący pisklak, mam się zachować podczas rozmowy z wiceprezesem odpowiedzialnym za ten region, który jest ponadto smokiem starszym ode mnie o kilkaset lat i ważną figurą w hierarchii Talonu. Oczywiście miałem zrobić na nim jak najlepsze wrażenie i w żadnym wypadku na nic się nie uskarżać, a już zwłaszcza na organizację.

– Ani się obejrzałem, a byliśmy na miejscu – dodałem.

– Wspaniale – oświadczył pan Roth i wskazał ręką obite skórą krzesło przed biurkiem. – Proszę, niech pan siada. Może napije się pan czegoś?

– Nie, dziękuję panu – odparłem zgodnie z instrukcją i ostrożnie usiadłem na wychłodzonej skórze. Oczywiście usiadłem elegancko, czyli wyprostowany.

Pan Smith też usiadł, zakładając nogę na nogę. A pan Roth oczywiście wrócił na swoje miejsce za wielkim czarnym biurkiem.

– A więc, panie Hill, może przystąpimy od razu do rzeczy – powiedział, kładąc ręce na blacie i dalej uśmiechając się do mnie.

Ja oczywiście zachowywałem się zgodnie z tym, jak mnie uczono, to znaczy patrzyłem tak, by nie patrzeć mu prosto w oczy. Bo patrzenie prosto w oczy było nie tylko oznaką złego wychowania. Mogło okazać się bardzo niebezpieczne, zwłaszcza kiedy miało się do czynienia ze smokiem płci męskiej o wiele starszym od siebie. Wytrzymywanie jego spojrzenia uważane było za prowokację, a nawet groźbę. Co się dziwić, że w takich sytuacjach nieraz dochodzi do walki, choć obecnie dzieje się to rzadziej. Natomiast w dawnych czasach zdarzało się to naprawdę często, zwłaszcza między rywalizującymi ze sobą smokami alfa. Podczas walki przeciwnicy kąsali się nawzajem, rozszarpywali i zadawali ciosy,

aż wreszcie jeden z nich uciekał. Albo i nie, tylko martwy zostawał na polu walki. Jednak w obecnych czasach trudno, żeby dwa rywalizujące ze sobą smoki raptem gdzieś, w środku miasta, rzuciły się na siebie, choć oczywiście jest wiele innych sposobów na wykończenie konkurenta, nie brudząc sobie przy tym szponów.

I szczerze mówiąc, taka metoda postępowania zdecydowanie bardziej mi odpowiada.

– Pańska siostra zbiegła – powiedział pan Roth, przyglądając mi się bardzo uważnie. Naturalnie był ciekaw mojej reakcji, dlatego, choć z oczywistych powodów spięło mnie od razu i na maksa, zachowałem twarz nieprzeniknioną. – Ember Hill w oczach Talonu jest zdrajczynią, a Talon do tego zawsze podchodzi bardzo poważnie. Pan z pewnością wie, jaką politykę stosujemy wobec zbiegów. Słyszałem też, że w tym przypadku organizacja życzy sobie, by pan, panie Hill, skłonił swoją siostrę do powrotu.

– Tak – przytaknąłem, starając się nie robić tego zbyt skwapliwie.
– Zrobię wszystko, co trzeba zrobić, by tak się stało.

Pan Roth uniósł znacząco brew.

– Na pewno? Bo jednak słyhać głosy podające w wątpliwość pańską lojalność wobec Talonu i naszej wspólnej sprawy. Jest pan bratem zdrajczynie, stąd poważne zastrzeżenia wobec pańskiej osoby. Chciałbym więc wiedzieć, czy jest pan naprawdę głęboko przekonany, że chce wykonać to zadanie? Czy możemy zaufać panu, panie Hill?

Uśmiechnąłem się.

– Tak, proszę pana. Znam moją siostrę nie od dziś – powiedziałem równym, spokojnym głosem. – Owszem, zdarzało się, że Ember i ja mieliśmy różne zdania na temat naszej organizacji. Zdaję sobie też sprawę, że moja siostra potrafi być lekkomyślna i uparta, wiem, że nie zawsze jest posłuszna, ale na pewno nie jest zdrajczynią. Jest tylko naiwna i postrzelona, i właśnie to moim zdaniem wykorzystał ten zbiegły smok, Cobalt. Po prostu naopowiadał jej kłamstw o organizacji, a także o mnie, i doprowadził do tego, że odwróciła się do nas plecami...

Mówiłem, a pan Roth słuchał, mierząc mnie tym swoim superchłodnym spojrzeniem. Twarz nadal miał nieprzeniknioną, podobnie jak ja. No, w każdym razie taką miałem nadzieję.

– Tamtego dnia, panie Roth, Ember próbowała mnie namówić, bym razem z nią i tym zbiegiem wyjechał z Crescent Beach. Ale nie zgodziłem się. Nie ze względu na konsekwencje, lecz dlatego że wiem, gdzie jest moje miejsce. – Teraz uniosłem głowę trochę wyżej, nieznacznie, by nie wyglądało to na prowokację, a jednocześnie podkreślało moje zdecydowanie. – Moja lojalność wobec Talonu, panie Roth, jest całkowita i niezachwiana. Jestem też nieskończenie wdzięczny, że Elder Wurm zdecydował się oszczędzić moją siostrę i podjęto wobec niej... mniej radykalne środki. Zrobię wszystko, by sprowadzić Ember z powrotem do Talonu. Tam, gdzie jest jej miejsce.

Pan Roth skinął głową.

– Wspaniale, panie Hill. Właśnie to chciałem usłyszeć. – Nacisnął na guzik, by połączyć się z sekretarką. – Proszę, niech panna Anderson już tu wejdzie. – Wstał, ja naturalnie też, a on obszedł biurko i stanął obok mnie. – To, co pan powiedział, panie Hill, jest dla nas bardzo cenne, dlatego Talon gotów jest stworzyć panu najlepsze warunki do wykonania tego zadania. Odszukania siostry i nakłonienia jej do powrotu. Za chwilę pokażą panu pańskie biuro, przedtem jednak chciałbym, by pan kogoś poznał.

Skinąłem głową, może nawet i uśmiechnąłem się przelotnie, choć w głowie miałem gonitwę myśli. Warunki... Najlepsze... O co chodzi? Naturalnie byłem bardzo zadowolony, że Talon chce mnie wesprzeć, bo to dowód, że widzą we mnie potencjał. Niemniej jednak to wszystko razem wcale nie było normalne. Talon, wielka organizacja, która działała praktycznie na całej kuli ziemskiej, miał co robić, chociażby troszczyć się o majątek wart miliony dolarów. A tu raptem sprawą wielkiej wagi staje się zniknięcie jednego pisklaka. Dlaczego? Skąd się bierze ta ich determinacja?

Ember, co ty takiego zrobiłaś?!

Drzwi gabinetu otwarły się i pan Roth uniósł rękę na powitanie.

– Bardzo proszę, panno Anderson, niech pani wejdzie. Czy miała kiedyś pani okazję poznać pana Hilla?

– Niestety, nie miałam jeszcze tej przyjemności – odparła głosem tak przyjemnym i melodyjnym, że natychmiast się wyprostowałem i odwróciłem w stronę nowo przybyłej. Która nie była człowiekiem. Na

pewno smokiem, pisklakiem, co było dla mnie przeżyciem, bo oprócz siostry nigdy dotąd nie widziałem żadnego pisklaka. A ten pisklak, starszy ode mnie może o rok, dwa, był szczupłą jasnowłosą dziewczyną w jasnoniebieskiej spódnicy i butach na obcasach, w czym chyba nie czuła się najlepiej. Jakby na co dzień chodziła w dzinsach i T-shircie. Włosy miała bardzo jasne, prawie srebrzyste, upięte na czubku głowy. Oczy wielkie jak dwa jasnoniebieskie kryształy, spoglądające na mnie bardzo chłodno.

– To Mist – powiedział pan Roth. – Panno Anderson, to pan Hill. Mam nadzieję, że będzie wam się dobrze współpracowało.

Byłem zaskoczony, że podczas tej prezentacji pan Roth użył tylko imienia, co można było wytłumaczyć wyłącznie w jeden sposób. Pan Roth dawał Mist do zrozumienia, że w tym duecie to ja jestem szefem, choć przecież byłem od niej młodszy. Niewiele, niemniej było to dla mnie zastanawiające. Poza tym ciekawe, czy Mist ta podległość będzie odpowiadać...

W każdym razie powitała mnie nader chłodno, choć naturalnie bardzo uprzejmie.

– Miło mi poznać pana, panie Hill.

Ja natomiast spokojnie wytrzymałem jej lodowate spojrzenie i ściskając dłoń, uśmiechnąłem się, mówiąc przy tym:

– Mnie również bardzo miło.

– Panna Anderson jest naszą agentką od niedawna – powiedział pan Roth, chyba nieświadomy napięcia między mną a Mist. A może po prostu nie przywiązywał do tego żadnej wagi. – Poleciała nam ją jej instruktorka. Naszym zdaniem umiejętności panny Anderson będą bardzo pomocne w pańskich poszukiwaniach... Panno Anderson, czy mogłaby pani pokazać panu Hillowi jego biuro i zapoznać z pozostałymi członkami zespołu? Zrobiłbym to sam, ale za kilka minut mam spotkanie z pani instruktorką. Panie Hill, mówił pan, że dobro siostry leży panu na sercu, prawda? Więc będzie pan miał okazję to udowodnić, sprowadzając ją z powrotem do Talonu. A my będziemy z ciekawością śledzić pańskie poczynania.

Uprzejmie skinąłem głową, oczywiście doskonale świadomy, co się za tymi słowami kryje. Będziemy się ci przypatrywać, a ty nie próbuj

nas tylko rozczarować!

Bez obaw. Nikogo nie rozczaruję. Taką właśnie obietnicę złożyłem sobie w duchu i odwróciłem się, by podążyć za Mist. Kiedy byliśmy już prawie w progu, okazało się, że ktoś właśnie zamierza wejść do gabinetu. Ktoś, na kogo omal nie wpadłem, dlatego przeprosiłem i szybko usunąłem się na bok. A ten ktoś, przekraczając próg, spojrzał na mnie przelotnie i wtedy mnie zmroziło. Bo to zimne spojrzenie jadowitozielonych oczu było mi doskonale znane, ponieważ oczy te należały do Lilith, jednej z najlepszych Żmij Talonu. Rozpoznała mnie od razu. Skinęła głową, weszła do środka i starannie zamknęła za sobą drzwi.

Lilith... Skąd się tu wzięła? Prawdopodobnie to ona jest tą instruktorką Mist, z którą miał spotkać się pan Roth. Niewątpliwie. I to również jest zastanawiające...

Poszliśmy do windy ramię w ramię, z tym że Mist nie spojrzała na mnie ani razu, nie odezwała się ani słowem. Dopiero kiedy weszliśmy do windy i ruszyliśmy w dół, nagle usłyszałem:

– A więc to pan jest Dante Hill!

Co zabrzmiało wręcz prowokująco, czyli najprawdopodobniej nie tak szybko dojdziemy do porozumienia. Oczywiście mogłem z tego nie robić problemu. Jestem szefem, Mist ma obowiązek wykonywać moje polecenia. Niemniej jednak wolałbym, żeby stosunki między nami nie były napięte. Wiadomo przecież, że zniechęceni pracownicy są mało wydajni, a ja chciałem odnaleźć Ember jak najszybciej.

Uśmiechnąłem się i stanąłem w tak zwanej pozie niedbałej, czyli oparty o ścianę. Ręce oczywiście włożyłem do kieszeni..

– Zgadza się. To ja, a pani chyba jest tym zaskoczona. Dlaczego? Spodziewała się pani, że jestem wyższy?

Mist zadbała o to, by jej twarz była nadal kompletnie pozbawiona wyrazu, ale docięła mi.

– O proszę. Znakomicie wyszkolony Kameleon, który stara się za pomocą żartu rozładować napiętą sytuację!

A ja dalej z uśmiechem:

– I co? Zadziałało?

Zamrugnęła, kąciki jej ust wyraźnie drgnęły. Czyli pierwsze małe

zwycięstwo.

– Nie – odparła niby chłodno, ale kryształowe oczy wyraźnie zaiskrzyły. – Zostałam porządnie wyszkolona w najrozmaitszych technikach, więc urok Kameleona niestety na mnie nie działa. Niemniej dziękuję, że pan się stara.

– Pożyjemy, zobaczymy...

Winda minęła parter i nadal jechała w dół, mijając kolejne kondygnacje.

– Ma pani coś przeciwko Kameleonom? – spytałem, zastanawiając się jednocześnie w duchu, ile to może być tutaj kondygnacji podziemnych. Chyba niemało, tym bardziej że numery tych kondygnacji przestały się już wyświetlać.

– Oczywiście, że nie. Kameleony są istotnym elementem Talonu, w którym każdy z nas ma swoje miejsce – odparła Mist, świdrując mnie tym swoim kryształowym spojrzeniem. – Nie podoba mi się coś innego, mianowicie to, że zatajono przede mną pewną istotną informację, którą powinnam uzyskać przed podjęciem tej pracy.

– Sądzi pani, że coś przed nią ukrywam?

– Absolutnie nie, panie Hill. Chodzi o to, że Talon aż do takiego stopnia interesuje się pańską siostrą. Sam pan przyzna, że sytuacja jest nietypowa. Bo co innego Cobalt. Jest wyjątkowo niebezpieczny, bardzo szkodzi organizacji i jego działań nie wolno dłużej ignorować. A wygląda na to, że Talonowi zależy przede wszystkim na powrocie pańskiej siostry, choć Ember Hill jest pisklakiem, który Talonowi w niczym nie zaszkodził. Dlaczego więc jest dla Talonu taka ważna?

Miała rację. Przecież nieraz zastanawiałem się nad tym, że cała ta sytuacja z Ember jest co najmniej dziwna. Na ściągnięcie jej tu z powrotem Talon zamierza przeznaczyć znaczne środki, kiedy mógł po prostu wysłać za nią Żmiję i byłoby po sprawie. Zastanawiający był jeszcze jeden fakt. Dlaczego mnie tu wezwali? Owszem, jestem bratem Ember, nikt jej nie zna tak dobrze jak ja, ale przecież tą sprawą mógł pokierować ktoś inny. Po co mnie w to włączają?

Naturalnie przynajmniej w tej chwili nie miałem zamiaru dzielić się swoimi wątpliwościami z Mist. Bo jeśli to ja mam ściągnąć Ember z powrotem do Talonu, jeśli tu, w Talonie, widzę swoją przyszłość, to

dla innych mam być kimś, kto zawsze panuje nad sytuacją. Nie wolno mi okazywać żadnych słabości ani lęku, bo Talon ze smoków, które zawodzą, nie ma żadnego pożytku. A ja nie miałem zamiaru zawieść.

– Przykro mi, ale nie wolno mi dzielić się z nikim pewnymi szczegółami – oznajmiłem. – Mist spojrzała na mnie chłodno, ale chyba nie była zaskoczona, bo w Talonie informacji udzielano tylko wtedy, gdy było to konieczne. – Gdybym mógł, oczywiście przekazałbym je pani. Ale nie mogę. W każdym razie wiadomo, że naszym największym priorytetem jest odnalezienie Ember. Elder Wurm życzy sobie, by powróciła do organizacji, a powody jego decyzji nie powinny nas obchodzić.

W tym momencie winda zatrzymała się i drzwi się rozsunęły. Mist spojrzała na mnie przelotnie, skinęła głową i odezwała się już znowu chłodno, beznamiętnie, jak profesjonalistka:

– Naturalnie. Bardzo proszę za mną, panie Hill. Przedstawię panu pozostałych członków naszego zespołu.

– Proszę mówić do mnie po imieniu – zaproponowałem oczywiście ze względów taktycznych, by zdobyć jej lojalność.

Na co nie raczyła odpowiedzieć, tylko poprowadziła mnie długim, jasno oświetlonym korytarzem do samego końca, do ostatnich drzwi, które pchnęła bardzo energicznie. Przekroczyliśmy próg, a za progiem, co zrozumiałe, ciekawie rozejrzałem się dookoła. I już byłem pod wrażeniem. Pokój był ogromny. Wszędzie biurka i komputery, a przed każdym komputerem człowiek z nieruchomym szklistym wzrokiem utkwionym w migotliwym ekranie. Cała przeciwległa ściana był to gigantyczny ekran podzielony na kwadraty, w których widać było między innymi fragmenty map, a także obrazy przekazywane przez anteny satelitarne i kamery nadzorujące. Tyle dla oczu, a w uszach cała gama dźwięków – szmer przyciszonych głosów, dzwonki telefonów, szum komputerów i postukiwanie w klawiaturę.

– To nasze centrum operacyjne – powiedziała Mist, przeprowadzając mnie przez ten ogromny pokój.

Zwróciłem uwagę, że wszyscy ludzie, których mijaliśmy, i ci, którzy przechodzili obok, i ci przy biurkach, nie patrzyli na nas. Mist nie mogła tego nie zauważyć, niemniej jednak z jej strony nie było żadnej

reakcji.

Po prostu mówiła dalej:

– Talon ma kilkanaście takich placówek rozsianych po całym świecie. Monitorują majątek Talonu, śledzą działania Zakonu Świętego Jerzego, a także innych ludzi, których organizacja uzna za podejrzanych. Nasz zespół ma pod sobą zachodnie rejony Stanów, a tam właśnie, jak przypuszczamy, przebywa pańska siostra.

Zatrzymała się przy biurku, na którym stały dwa monitory plecami do siebie, i przed każdym z nich oczywiście ktoś siedział. Mężczyzna z nadwagą i drobna kobieta w okularach. Kiedy tylko cień Mist padł na blat, unieśli głowy i uśmiechnęli się do niej uprzejmie.

A ona nawet na nich nie spojrzała, zwracając się tylko do mnie:

– Pan Davids i pani Kimura zajmują się zlokalizowaniem pańskiej siostry. Starają się ją namierzyć już od chwili, gdy opuściła Crescent Beach. Niestety nie udało im się natrafić na żaden ślad ani jej, ani Cobalta. Chyba że coś zmieniło się podczas mojej nieobecności... – Dopiero teraz spojrzała na osoby siedzące za biurkiem.

A oni oboje, i mężczyzna z nadwagą, i drobna kobieta w okularach, wyraźnie zbledli.

– Nie, proszę pani – powiedział szybko Davids. – Nadal nie mamy niczego, co by nas naprowadziło na ślad Ember Hill lub zbiegłego smoka Cobalta. Wiemy tylko, że są gdzieś w Kalifornii.

– A gdzie szukacie dokładnie? – spytałem, a wtedy cała trójka spojrzała na mnie.

Mist dodatkowo uniosła brwi. Zła czy rozbawiona? Nieważne. A tamtych dwoje na pewno zastanawiało się intensywnie, kim jest ten chłopak w biznesowym garniturze, który raptem włącza się do sprawy. Ja z kolei uśmiechałem się nadal i spokojnie przemykałem spojrzeniem po ich twarzach. Spojrzeniem uprzejmym, ale też i wyczekującym.

Po krótkiej chwili oboje spojrzeli z powrotem na ekrany.

– Już jakiś czas temu udało nam się namierzyć gniazda Cobalta, czyli kryjówek zbiegłych smoków – poinformował mnie Davids. – Monitorujemy je na bieżąco, mamy bowiem nadzieję, że powróci do jednej z nich. Niestety, tak się nie stało.

– A co z internetem? Przecież na pewno kontaktuje się z tymi

gniazdami przez internet i można go wtedy namierzyć.

– Niestety, nie udaje nam się złamać zabezpieczeń – odrzekła Kimura.

– A co ze Świętym Jerzym? Też go monitorujecie? Przecież dzięki Zakonowi również można wpaść na jakiś trop, to oczywiste! – powiedziałem, a cała trójka znów wlepiła we mnie oczy.

– Oczywiście, że tak – odparła kobieta w okularach, czyli pani Kimura. – Mamy bardzo rozbudowany system monitorowania Zakonu. Śledzimy każdy ich ruch. Wiemy, że żołnierze, którzy zostali wysłani do Crescent Beach, powrócili już do swojej komandorii. Kiedy panna Hill i Cobalt uciekli z miasta i znikli bez śladu, Zakon zrezygnował z dalszych poszukiwań. Nie operują już na tamym terenie.

– A wiecie, gdzie jest ta komandoria?

I znów trzy spojrzenia skierowane na mnie i jeszcze bardziej zaskoczone niż poprzednio.

– Nie, ale prawdopodobnie uda nam się ją namierzyć – oświadczył otyły Davids, marszcząc czoło. – Z tym że, jak powiedziałem, Zakon ostatnio nie przejawia żadnej aktywności. Dlatego skoncentrowaliśmy się na kryjówkach Cobalta...

– I dajcie sobie z tym spokój – przerwałem, spoglądając na wielki ekran na przeciwległej ścianie. – Ember na pewno nie ma w żadnej z tych kryjówek. I nie będzie, bo dobrze znam swoją siostrę i wiem, że byłaby nieszczęśliwa, gdyby kazali jej się gdzieś schować i nie ruszać z zamknięcia. Dlatego moim zdaniem kryjówki należy sobie darować. Najlepiej skupić się na Zakonie. Na początek należy zlokalizować tę komandorię, i to koniecznie. Kiedy tylko wam to się uda, proszę mnie o tym powiadomić.

Davids i Kimura sprawiali teraz wrażenie po prostu osłupiałych. A może przez zwykłą uprzejmość nie zamierzali ze mną dyskutować. Co innego Mist, która nie omieszkała spytać bardzo chłodno:

– Chce pan, panie Hill, żebyśmy przestali próbować namierzyć ich w sieci? Mimo że taki jest wyraźny rozkaz Talonu? Czyżby wiedział pan o czymś, o czym my nie wiemy?

– Może i tak – mruknąłem, nadal wpatrując się w jedną z map widoczną na wielkim ekranie. Tak, właśnie w tę mapę, choć nie miałem

przecież żadnego dowodu. Były to tylko przypuszczenia, które prześladowały mnie od jakiegoś czasu, nim jeszcze wyjechałem z Crescent Beach. I tych przypuszczeń raczej nie należało lekceważyć, bo intuicja zawodziła mnie bardzo rzadko, prawie nigdy, dlatego słuchałem jej zwłaszcza wtedy, gdy chodziło o moją siostrę.

Tak. Teraz też posłucham. Wreszcie, bo na pewno powinienem był zrobić to już wcześniej.

– Chodzi o pewnego człowieka. – Gdy to powiedziałem, cała trójka spojrziała na mnie jak na wariata. – Poznałem go w Crescent Beach. Znajomy mojej siostry. Widziałem go raz czy dwa i było w nim coś, co bardzo mi się nie spodobało. A już szczególnie gdy zobaczyłem go podczas bijatyki. Walczył jak ktoś, kto jest znakomicie wyszkolony. Poza tym pojawił się w Crescent Beach nagle i nie wiadomo skąd, i od razu zaczął kręcić się koło mojej siostry.

– Ale to chyba jeszcze nie powód, żeby go podejrzewać – zauważyła cierpko Mist. – Chyba nie spodziewa się pan, że rzucimy wszystko i zaczniemy realizować całkiem inny plan tylko dlatego, że coś tam się panu wydaje.

Ja jednak zignorowałem tę chłodną uwagę i mówiłem dalej:

– Tamtego dnia, kiedy Ember wieczorem miała już opuścić Crescent Beach, powiedziała mi, że chce się jeszcze spotkać się z pewnym człowiekiem, pożegnać się. Wtedy... widziałem ją po raz ostatni... – Tu króciutka przerwa, bo wspomnienie o tamtym dniu było zbyt bolesne. – Nie wiem na sto procent, czy ten chłopak należy do Zakonu, ale podejrzewam, że tak, tym bardziej że właśnie tamtego wieczoru Ember i Lilith zostały zaatakowane przez Świętego Jerzego. A Ember do tego chłopaka bardzo się zbliżyła, mogła więc mu coś powiedzieć. O nas, o Talonie. Dlatego uważam, że powinniśmy go namierzyć, bo kto wie, czy to nie on naprowadzi nas na Ember.

– A jeśli nie?

To, oczywiście, Mist.

Zmrużyłem oczy.

– Wtedy ja ponoszę całą winę! A teraz uważam, że warto zaryzykować, bo lepsze to niż szukanie w miejscach, w których moim zdaniem Ember nigdy się nie pojawi, czy też kolejne próby włamania się

do systemu, który praktycznie jest nie do ruszenia.

– Dobrze, panie Hill – powiedziała po krótkiej chwili milczenia Mist. – W końcu i tak nie mamy wyboru, skoro pan Roth panu powierzył kierownictwo. – I odwróciła się do ludzi siedzących przy biurku: – Słyszeliście, co powiedział pan Hill. Macie zlokalizować tę komandorię. Zaczynajcie więc monitorować ruchy Zakonu w tym rejonie. Wystarczy, że ktoś tam kichnie, a ja od razu mam o tym wiedzieć! – A potem znów do mnie, niemal prowokująco: – Czy udało się panu ustalić, jak ten człowiek się nazywa?

Skinąłem głową, czując, jak zaczyna się we mnie gotować, jak budzi się gniew. Na smoka zbiega, na Świętego Jerzego, na tych drani, co zabrali mi siostrę, przy okazji wszystkie moje plany, które wiązałem z Talonem, stawiając pod znakiem zapytania.

Ale i tak ją znajdę. Znajdę i z powrotem sprowadzę do Talonu.

– Oczywiście, że tak. Nazywa się Garret Xavier Sebastian.

EMBER

Trzy bite godziny na motorze, oczywiście na tylnym siodełku. Słońce parzy w plecy, wiatr smaga twarz, ale i tak rewelacja, bo ten pęd był wprost upajający i nieodmiennie przywodzący na myśl inną przyjemność, największą z największych. Wiadomo – latanie! Teraz niestety to marzenie ściętej głowy, ale jazda przez pustynię Mojave też była super, choć na pustyni, co oczywiste, cały czas widzisz to samo. Piasek, kamienie, skałki, karłowate krzaki, czasami pokaże się samotny kaktus, a górą przemknie jastrząb albo sępnik różowogłowy. Powietrze rozedrgane, bo upał, ale to wcale mi nie przeszkadzało, ponieważ nasz gatunek był znakomicie przystosowany do krańcowych temperatur.

– Jak ci tam, Firebrand? – zawołał Riley, zatrzymując się na moment i zerkając na mnie przez ramię.

A miał na co zerkać. Ustrojona byłem przecież w jego skórzaną kurtkę, poza tym rude włosy na pewno sterczały we wszystkie strony, ponieważ były za krótkie, by je związać. Chociaż wystarczająco długie, by po takiej jeździe wyglądać jak strach na wróble. Rudy strach na wróble. Właśnie z powodu tej rudości Riley nazywał mnie Firebrand.

– Nie jest źle! – odkrzyknęłam. – Tyłka już nie czuję, włosów to już chyba nigdy w życiu nie rozplączę, a poza tym połknęłam co najmniej cztery latające robaczki! Tylko mi nie mów, że powinnam jechać z zamkniętą buzią, bo odpłacę ci pięknym za nadobne i dalej będziesz mógł jechać tylko tak, jak w damskim siodle, obie nogi z jednej strony! Rozumiesz, o co chodzi?

– Rozumiem. – Uśmiechnął się. – Chodzi o ten twój słynny kop tam, gdzie słońce nie dochodzi, w związku z czym rzeczywiście o tej zamkniętej buzi nie wspomnę. A teraz trzymaj się mocno! Mamy przed sobą jeszcze prawie godzinę jazdy.

Motor zaryczał i znów pognaliśmy przed siebie. Znów tylko krzaczki, czasem kaktus, więc oparłam brodę o plecy Riley'a i pozwoliłam sobie pobłądzić trochę myślami.

Trzy dni temu uciekliśmy z Crescent Beach. A przedtem tyle się wydarzyło... Dowiedziałam się, co Talon ukrywa przede mną, i cały mój dotychczasowy świat legł w gruzach. Walczyłam z Zakonem Świętego Jerzego, dowiedziałam się też, że Garret wcale nie jest tym kimś, za kogo się podaje. W rezultacie podjęłam decyzję o ucieczce z Talonu. Postanowiłam opuścić Crescent Beach razem z Riley'em, zostawić brata i całkowicie odciąć się od przeszłości, co oczywiście sprawiło, że w oczach Talonu zostałam zdrajczynią.

Trzy dni... Tyle już czasu nie widziałam ani Garreta, ani Dantego...

Moja dłoń mimo woli zacisnęła się w pięść. Bo kiedy pomyślałam o nich, poczułam gniew, zaraz jednak doszedł do tego wielki smutek, a także wyrzuty sumienia. Gniew wziął się stąd, że obaj mnie okłamali. Garret tak naprawdę był nie tylko żołnierzem Świętego Jerzego, ale też został wysłany do Crescent Beach w jednym tylko celu: by mnie zabić. A Dante, mój brat, który obiecywał mi wiele razy, że niezależnie od wszystkiego zawsze stanie po mojej stronie, kiedy dowiedział się, że mam zamiar zbiec, przekablował o tym Talonowi. Z tym że Garret w pewnym sensie się zrehabilitował, bo nie tylko uratował mnie i Riley'a przed morderczynią z Talonu, lecz także ostrzegł przed nadciągającymi żołnierzami Świętego Jerzego. Z tego to właśnie powodu siedziałam na tylnym siodełku motocykla Riley'a i pędziłam przez pustynię Mojave.

Natomiast jeśli chodzi o Dantego, to jak na razie nie było mowy o żadnym zrehabilitowaniu się. Nie miałam pojęcia, gdzie jest teraz. Miałam tylko nadzieję, że wszystko z nim w porządku. Z tym moim głupim bratem bliźniakiem, którego znałam jak nikt i wiedziałam doskonale, że kiedy zdradził mnie przed Talonem, nie było to wymierzone przeciwko mnie. Dante po prostu był przekonany, że tak należało zrobić, bo niestety nie zna prawdy o organizacji, nie zna jej mrocznych tajemnic, nie wie, jak nas wszystkich okłamują. I dlatego byłam zdecydowana prędzej czy później wyrwać Dantego ze szponów Talonu.

Na pewno. Ale nie dziś. Teraz muszę zrobić coś, z czym nie można zwlekać.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, kiedy Riley zwolnił i zjechał z drogi na wielki i prawie pusty parking na poboczu. Kiedy tam wjeżdżaliśmy, zauważyłam stojącą przy chodniku tablicę z dość oryginalnym, dumnym wielkim napisem:

HISZPAŃSKI DWÓR

Dwór? No proszę! Rozejrzałam się dookoła i zobaczyłam ten cały „dwór” na końcu parkingu. Ot, nędzny motel w kompletnej ruinie. Niski, długi budynek, co kilka metrów żółte drzwi z odpadającą farbą i okno z brzydką żółtą zasłonką. Przed motelem zaparkowany był tylko jeden samochód, biały van, równie stary i zniszczony jak motel. W sumie więc Hiszpański Dwór był nie tylko wynędzniały, ale i wyglądał na opuszczony, czemu jednak przeczyła tabliczka w jednym z okien, która informowała, że wolne miejsca są.

Riley ustawił się obok vana, zgasił silnik i zeskoczyliśmy na ziemię. Byłam zachwycona, że znów stoję, a nie siedzę, i mogę swobodnie się poruszać. Dlatego przede wszystkim wyciągnęłam ręce wysoko ponad głowę, jak najwyżej, aż w plecach zatrzeszczało, a zaraz potem oczywiście wsunęłam palce we włosy, stwierdzając, że splątane są po prostu makabrycznie. Za nic nie mogłam ich rozczesać. Za nic, choć ciągnęłam z pasją, za każdym razem wyrywając jeden rudy kosmyk. I byłam z tego powodu wściekła, a Riley naturalnie zachwycony, uśmiechał się od ucha do ucha.

– O nie – jęknęłam. – Teraz wiem, że następnym razem koniecznie

muszę mieć na głowie kask.

– Oczywiście – przytaknął Riley, dalej szczerząc zęby.

A ja nadal toczyłam beznadziejną walkę z rudymi kudłami. Ludzie mają swoje kanony urody. Włosami też się przejmują, a dla mnie włosy były największą udręką. To ciągle mycie, czesanie, układanie. Kiedy masz na głowie łuski, ten problem po prostu nie istnieje!

– A gdzie właściwie jesteśmy? – wymamrotałam, rozdzielając kolejne niesamowicie splątane pasmo włosów. Jednocześnie też zerkałam na towarzyszącego mi smoka. Musiałam zerkać, bo wysoki, szczupły, a jednocześnie barczysty Riley z rozwianymi ciemnymi włosami, ubrany w skórę i łańcuchy, wyglądał jak stuprocentowy buntownik na motorze. Rewelacja! A teraz zdjął ciemne okulary, wsunął do kieszeni i stanął w pozie niedbałej oparty o motocykl.

– Stąd do Vegas mniej więcej godzina jazdy. Wes mówił mi, że mamy się spotkać tutaj. – Ruchem głowy wskazał rozwalający się motel. – Idziemy.

Przeszliśmy przez parking, kierując się ku ruderze, a tam po zardzewiałych schodach weszliśmy na galerię na pierwszym piętrze i przeszliśmy prawie do samego końca, do kolejnych żółtych obdrapanych drzwi. Riley czujnie rozejrzał się dookoła i zastukał. Trzy razy szybko, dwa razy powoli. Drzwi otworzyły się już po krótkiej chwili i w progu ukazał się młody mężczyzna, chudy jak patyk, z szopą brązowych włosów. Ciemne oczy spojrzały na mnie bardzo nieprzychylnie – no cóż, są różne sposoby powitania – po czym chudzielec odsunął się na bok, rzucając zjadliwie:

– Rzeczywiście punktualnie!

Drzwiami po prostu walnął i szybko zamknął je na wszystkie zamki, jakby na dworze za którymś z kaktusów czatowali obcy agenci. Jak w filmie o szpiegach.

I dalej się pieklił:

– O ile pamiętam, mieliście być już kilka godzin temu!

– Musieliśmy wpaść do Los Angeles po kilka rzeczy – wyjaśnił

Riley.

Te kilka rzeczy to była torba typu Duffel Bag wypełniona amunicją i bronią. Wiedziałam o tym doskonale, z tym że nie wtrącałam się do

rozmowy, tylko stałam sobie i rozglądałam się dookoła, choć do oglądania było niewiele. Mały zagracony pokoik, łóżko nieposłane i wszędzie puszki po napojach chłodzących. W kącie biurko, na nim otwarty laptop, a na ekranie równe szeregi wyrazów bez żadnego związku, a także równe szeregi matematycznych wzorów.

– Riley... – zaczął Wes tonem ostrzegawczym.

Ale Riley nie dał mu dokończyć, zarzucając pytaniami:

– Gdzie pisklaki? Jak z nimi? W porządku? Znalazłeś dla nich kryjówkę?

– Ulokowałem je pod San Francisco – odparł Wes. – Pilnuje ich Walter. Mają przykazane siedzieć murem w domu, póki się nie odezwiesz. Tak więc z nimi wszystko w porządku. W przeciwieństwie do nas, bo z nami zdecydowanie nie jest najlepiej!

– Przecież wiem! – Riley pokiwał głową, podszedł do biurka i nachylił się nad ekranem. – To właśnie to, tak? Tam, gdzie idziemy wieczorem? Masz już wszystko, co potrzeba?

– Riley! – zawołał Wes, podchodząc do niego. – Czy zdajesz sobie sprawę, że to czyste szaleństwo?

Zapatrzony w ekran Riley nie odpowiadał.

Wes zaklął, nachylił się nad biurkiem i zamknął laptopa.

Riley naturalnie błyskawicznie się wyprostował, piorunując Wesa wzrokiem. Oczy Riley'a, które nagle stały się niebezpiecznie żółte, rozbłysły, a powietrze gęstniało od gromadzącej się w nim jedynej w swoim rodzaju energii pojawiającej się tuż przed Przemianą. Prawdziwa, smocza postać Riley'a była już bliska przebicia się przez magiczną powłokę, dlatego pełne gniewu złociste oczy były to już oczy smoka.

Trzeba przyznać, że Wesowi nie brakowało odwagi. Nawet nie cofnął się o krok, tylko dalej klarował:

– Zastanów się, Riley, co chcesz zrobić. Bo to nie jest takie normalne wykradanie Talonowi jeszcze jednego pisklaka, kiedy podchodzisz do pisklaka i mówisz: „cześć!”. Tu wchodzisz na teren zamknięty, pełen żołnierzy Świętego Jerzego. Jedno potknięcie, jeden błąd i już po tobie. Naprawdę nie zdajesz sobie sprawy, że bez ciebie to koniec z naszą partyzantką? Wszystkie uwolnione z Talonu dzieciaki nie

będą miały żadnych szans, kiedy Talon po nie przyjdzie. Wiesz o tym doskonale, a mimo to decydujesz się na taki skok! Więc czy to znaczy, że już ci w ogóle na tych pisklakach nie zależy? Że gwizdziesz na wszystko, nad czym tyle się napracowaliśmy?! Czy to ten konkretnie pieprzony pisklak tak bardzo owinął sobie ciebie wokół palca, że po prostu zapomniałeś, co jest naprawdę ważne?

Mówiąc ostatnie zdanie, Wes oczywiście wskazał na mnie, nie mogłam więc nie zaprotestować.

– Chwila! Moment!

Ale równie dobrze mogłam krzyczeć do ściany, bo obaj panowie zajęci byli tylko sobą. Riley z rozdętymi nozdrzami zacisnął pięści, jakby zamierzał rzucić się na człowieka, albo też po powrocie do pierwotnej, smoczej postaci jednym zionięciem zmienić ludzką kreaturę w żużel. Wes natomiast, z głową uniesioną i ustami zaciśniętymi w pełną uporu kreskę, stał i patrzył na niego ze złością. I tak trwali przez krotką chwilę, póki Wes nie wystąpił z kolejnym pytaniem:

– To co robimy? Riley, to nie jest nasza walka! To nie jest to, co mieliśmy robić.

I znów cisza.

I znów Wes, tym razem tonem niemal błagalnym:

– Riley, zastanów się, przecież to czyste szaleństwo. To samobójstwo! O czym doskonale wiesz!

Riley nerwowo przeczesał ręką włosy i się trochę przygarbił, ale trwało to tylko moment, bo zaraz się wyprostował i powiedział bardzo głośno:

– Przecież wiem! Wiem doskonale!

– W takim razie dlaczego...

– A dlatego, że jeśli tego nie zrobię, Ember pójdzie tam sama i na pewno ją wykończą! – warknął Riley i wreszcie złociste oczy zwróciły się w moją stronę, przeszywając mnie takim spojrzeniem, że mimo woli zadrżałam. – Bo ona niestety nie zna jeszcze Zakonu Świętego Jerzego tak dobrze jak ja! Nie wie jeszcze, do czego są zdolni, co robią ze smokami, które wytropią. A ja wiem i nie mam najmniejszego zamiaru dopuścić, by właśnie jej coś takiego się przydarzyło, nawet jeśli będę musiał zakraść się do bazy żołnierzy Świętego Jerzego i uratować

jednego z tych drani!

Przełknęłam. Bo jego słowa bardzo mnie poruszyły, tak bardzo, że koło serca zrobiło się cieplej, a moja smoczyca po prostu traciła już głowę. Dla niej Riley smok był już prawie jej drugą połówką.

Wes potarł twarz.

– Oboje macie nie po kolei – wymamrotał, potrząsając bezradnie głową. – Chociaż ja zasadniczo też, bo bez mojego udziału w tym szaleństwie chyba się nie obejdzie. – Usiadł ciężko na krześle i otworzył laptopa. – W porządku. Skoro odbiło wam już totalnie, to pozwolę sobie wam zademonstrować, co ewentualnie was czeka.

Riley błyskawicznie spojrział w ekran. Ja oczywiście powinnam zrobić to samo, jednak w tym momencie było to niewykonalne, bo przede wszystkim musiałam ochłonąć. Tak, bo nadal czułam na sobie to spojrzenie złocistych oczu, spojrzenie szczególne, które moja smoczyca odebrała jako pieśczętę. W związku z powyższym, zamiast wbić wzrok w ekran, wysunęłam się cicho z pokoju i przemknęłam do łazienki, bardzo małej i na szczęście tylko w niewielkim stopniu odrażającej.

Zamknęłam się tam, przysiadłam na kibelku i nerwowo przeczesując palcami włosy, wsłuchiwałam się w dolatujący spoza drewnianych drzwi cichy szmer rozmowy. Wiadomo było, że Wes i Riley rozmawiają o naszej misji, a Wes próbuje przekonać Riley, by się wycofał. I ma rację. Oczywiście! Przecież zdawałam sobie sprawę, że to, co zaplanowałam, jest największą głupotą, bo wiąże się z tym ogromne ryzyko, a ja oczywiście nie zastanawiałam się, w co tak naprawdę chcę się wpakować. A przecież wszystko, co zamierzałam zrobić, było absolutnie niezgodne z tym, co przez lata wbijano mi do głowy, i gdybym choć raz spokojnie zastanowiła się nad tym swoim planem, może nawet przepowiedziała go sobie na głos, na pewno doszłabym do wniosku, że jest tak, jak powiedział Wes. To czyste szaleństwo.

Wkradnięcie się do komandorii Zakonu Świętego Jerzego, naszego odwiecznego wroga, którego jedynym celem jest doprowadzenie do zagłady smoków. I po co to wkradnięcie? A po to, by ocalić jednego z nich. A tak! Zakraść się do pilnie strzeżonej bazy wroga pełnej uzbrojonych po zęby żołnierzy, odszukać więźnia i wyprowadzić go

stamtąd, starając się bardzo, by podczas tej całej akcji nie posiekano nas na kawałki.

Tak, czyste szaleństwo. Tak, samobójstwo. Dlatego nie miałam żadnych pretensji do Wesa, że protestuje, ani do Riley, że się ociąga. Przecież żaden z nich nie był tym żywotnie zainteresowany, nie miał żadnego istotnego powodu, by brać udział w przedsięwzięciu, w którym może stracić życie. Mieli prawo bać się, to oczywiste. Prawdę mówiąc, mnie też to wszystko przerażało.

Ale przecież nie mogłam go tak zostawić.

Podeszłam do umywalki, żeby ochłapać twarz zimną wodą. Kiedy odkręcałam kran, odruchowo spojrzałam w lustro i ręka znieruchomiała. Bo z lustra spojrzało na mnie po prostu czupiradło. Chuda dziewczyna z nastroszonymi rudymi włosami i podsiniaczonymi oczami, a na policzkach ciemne smugi brudu. Nie, w niczym nie przypominałam smoka. Byłam tylko wykończonym, brudnym człowiekiem, bardzo śmiertelnym. W moim spojrzeniu nie było żadnego żaru, niczego, co by świadczyło, że jestem jednak kimś więcej niż zwyczajnym śmiertelnikiem.

Czy właśnie dlatego Garret tamtej nocy na samotnej skale zawahał się jednak, kiedy wycelował we mnie, a do mnie dotarło, kim on jest naprawdę? Żadnym Garretem, tylko wrogiem, żołnierzem Świętego Jerzego.

Mógł mnie zabić. Byłam przecież w ludzkiej postaci, sama jak palec, zwabiona w to odludne miejsce. Poza tym w tej pierwszej chwili byłam zbyt zaskoczona, by zrobić cokolwiek. A on stał tak blisko i trzymał mnie na muszce. Wystarczyło pociągnąć za spust...

Nie zrobił tego, a potem, zdradzając swoich, obronił mnie i Riley przed Lilith, moją sadystyczną instruktorką, najbardziej morderczą Żmiją Talonu. Tamtej nocy Lilith przybyła rozprawić się z Rileyem. Przy okazji natrafiła również na mnie, a kiedy oświadczyła, że od Riley'ego nie odejdę i do Talonu nie wrócę, próbowała zabić także i mnie, co niemal jej się udało. Ocaleliśmy tylko dzięki Garretowi, który pojawił się niespodzianie i pomógł nam odpędzić Żmiję. Gdyby nie Garret, Lilith zarówno Riley'ego, jak i mnie rozszarpałaby na strzępy.

Ale udzielając nam pomocy, jednocześnie wydał wyrok na siebie.

Pomaganie smokowi w oczach Zakonu było zdradą, za co groziła śmierć. Garret sam mi o tym powiedział. Wiedział, że Zakon mu nie odpuści, a jednak zdecydował się nam pomóc.

Dlaczego?

Tamtej nocy szłam za nim wiedziona nadzieją, że uda mi się wyrwać go z rąk żołnierzy Zakonu, jego towarzyszy broni, którzy go aresztowali. Niestety, uwolnienie Garreta było niemożliwe i w końcu Rileyowi udało się mnie przekonać, że najlepszą opcją jest wycofać się i spokojnie zaplanować kolejny ruch. No i zaplanowałam, w związku z czym znaleźliśmy się tutaj...

Nachyliłam się nad umywalką, przemyłam twarz zimną wodą i zabrałam się do likwidowania tego czegoś na mojej głowie, co było bardzo podobne do ptasiego gniazda. Krzywiłam się przy tym straszliwie, bo zabolec musiało, niemniej jednak konsekwentne przejeżdżanie palcami po niesamowitej plątanie włosów dało pożądaną efekt. W końcu udało mi się je rozczesać. Tylko palcami, choć w plecaku oprócz ubrania i kilku drobiazgów miałam jeszcze szczotkę, ale darowałam sobie, bo to naprawdę nie była pora na zadbanie o swój wygląd. Poza tym na kim to ja niby miałam zrobić wrażenie? Wes nienawidził mnie, a Riley jest przecież smokiem i rudowłosa dziewczyna to dla niego jeszcze nie to. Jeśli jest mną zainteresowany, to na pewno tą moją drugą, smoczą połową, która na niego reagowała bardzo mocno. Teraz też poczułam charakterystyczne ciepło gdzieś w okolicach żołądka i natychmiast przywołałam smoczycę do porządku, bo w chwili obecnej naprawdę miałam na głowie sprawy o wiele ważniejsze niż relacje między moją smoczycą a Rileyem. Poza tym miałam wielką nadzieję, że Riley i Wes wystąpią z jakimś faktycznie rewelacyjnym planem działania. Przecież mój plan ograniczał się tylko do tego, co mamy zrobić, ponieważ, szczerze mówiąc, nie miałam zielonego pojęcia, jak się do tego zabrać. Wiedziałam tylko, że nie mogę zostawić Garreta w łapach Zakonu. Absolutnie.

Kiedy wyszłam z łazienki, pochłonięci rozmową Riley i Wes stali pochyleni nad laptopem. Głosy były przyciszone, ale rozmowa raczej przebiegała w dość burzliwy sposób. Obaj niby byli zajęci nią w tym samym stopniu, z tym że Riley, kiedy mnie usłyszał, poderwał głowę

i spojrzał na mnie, i to po raz kolejny tak szczególnie, w związku z czym od razu poczułam w sobie żar.

A Wes wrzasnął:

– Riley!

I Riley szybko znów spojrzał na ekran. Ustawiłam się więc za ich plecami, wyciągnęłam szyję i też spojrzałam na to, co na ekranie, czyli na mapę lotniczą płaskiego terenu, na którym nie było niczego, dosłownie niczego. Ani jednego drzewa czy krzaczka, tylko na samym środku widać było kilka niewielkich budynków stojących blisko siebie. Tylko to, bo żadnej drogi dojazdowej, żadnych innych domów. Po prostu nic.

– Tam właśnie jest Garret? – spytałam cicho.

– Tak – burknął Wes, spoglądając na mnie ze złością. – To zachodnia komandoria Zakonu Świętego Jerzego, znalezienie której kosztowało mnie sporo czasu, naprawdę sporo, bo Zakon już tak ma, że nikomu nie podaje swojego adresu. Nie znajdziesz go więc na żadnej mapie czy w przewodniku turystycznym. W każdym razie ci dranie, którzy próbowali zabić nas w Kalifornii, wrócili właśnie tutaj. Razem z nimi niewątpliwie jest ten twój chłopak.

Wes prychnął pogardliwie i odwrócił się z powrotem do laptopa, a ja miałam wielką ochotę walnąć go w ten jego głupi kudłaty łeb.

– Nie miałem pojęcia, że to tak blisko – odezwał się półgłosem Riley, dalej z ponurą twarzą wpatrując się w ekran. – Dokładnie na granicy Arizony i Utah. Dlatego będę musiał z kilkoma kryjówkami przenieść się bardziej na wschód.

– Nigdzie nie jest tak do końca bezpiecznie – powiedział Wes cicho, prostując się w krześle. – A już na pewno odkąd Zakon wie, że Talon bardzo wiele swoich biznesów przeniósł do Stanów. I dlatego Święty Jerzy jest tu właściwie wszędzie.

– A gdzie byli przedtem? – spytałam bardzo zaciekawiona.

– W Anglii – odparł Riley, nie patrząc na mnie. – Od stuleci Zakon swoją centralę ma w Londynie. Zakon jest bardzo konserwatywny, nie lubi zmian, dlatego trochę trwało, zanim się rozprzestrzenili. I dlatego też Talon prowadzi interesy w Stanach i innych krajach, tam, gdzie Zakon jeszcze nie działa na tak dużą skalę. Albo działał, ale kiedyś, i od

dłuższego czasu jest spokój. A to jest całkiem nowa baza, jeszcze dziesięć lat temu jej tutaj nie było... – Riley znów pochylił się nad laptopem, wodząc palcem po malutkich białych kwadracikach na ekranie. – Tu jest płot, tu prawdopodobnie skład broni i amunicji, to baraki, kantyna, kwatery oficerów... a tu na pewno jest komendantura...

– Czyli super – rzucił zjadliwie Wes. – Bo wiadomo, że to budynek najbardziej strzeżony! Dlatego nadal nie rozumiem, po kiego grzyba pakujemy się właśnie w to? Co innego, gdyby chodziło o jakiegoś pisklaka. Nie, na pewno zachwycony bym nie był, ale przynajmniej bym rozumiał, po co to wszystko, tym bardziej że na tym punkcie masz prawdziwego bzika. A to, co teraz mamy zrobić, nadal jest dla mnie niepojęte. Przecież jeśli nawet uda nam się wyprowadzić stamtąd tego kolesia, to jaką masz gwarancję, że nie polecą jednak do Świętego Jerzego, żeby powiedzieć im, gdzie jesteśmy? Że nie strzeli nam w plecy?

– O, co to, to nie! – krzyknęłam, wbijając w Wesa pełen złości wzrok. – Znam Garreta. On na pewno taki nie jest.

I znów pogardliwe prychnięcie.

– Czyżby? – warknął Wes. – Niby facet w porządku, tak? I błyskawicznie przejrzałaś go na wylot? W takim razie wytłumacz mi, dlaczego dopiero po tak długim czasie dotarło do ciebie, że on jest z Zakonu?

Wtedy, niestety, zarumieniłam się. Czułam przecież, że moje policzki robią się gorące, a to dlatego, że faktycznie dotarło to do mnie wyjątkowo późno. Może i dlatego, że nie dopuszczałam do siebie myśli, że Garret może być moim wrogiem. Dopóki nie wycelował w moją głowę, chociaż i wtedy trudno mi było w to uwierzyć.

– Czyli jest tak, jak myślałam – wycedził Wes, już nie prychnając, za to uśmiechnięty bardzo, ale to bardzo złośliwie. – Wcale go dobrze nie znasz. Tylko tak ci się wydawało, a prawda jest taka, że od samego początku okłamywał ciebie. Mówił ci tylko to, co miało cię skłonić, byś otworzyła się przed nim i zdradziła, kim jesteś naprawdę. Dlatego mówił tylko to, co chciałaś usłyszeć.

– Ale on uratował nas przed Lilith!

– Tak?! Strzelał do niej, bo dorosły smok dla żołnierza Świętego

Jerzego jest o wiele większym zagrożeniem, niż takie szczawie jak ty czy Riley! A ponieważ jego drużyna nie przybywała mu z pomocą, więc powiedział ci właśnie to, co powiedział. Stek bzdur, byście razem z Rileyem go nie wykończyli!

– Nieprawda!

Przecież doskonale pamiętałam wyraz jego twarzy, pamiętałam, jak na mnie patrzył. Właśnie wtedy. Z wielkim żalem i determinacją. Powiedział, że to koniec z misjami, akcjami, zabijaniem. Że nas, smoków, nigdy nie będzie już ścigał.

– Wilka zawsze ciągnie do lasu! – oświadczył Wes z tą swoją wkurzającą pewnością siebie. – Żołnierz Świętego Jerzego zawsze będzie nienawidzić smoków, zawsze będzie je ścigał i zabijał, bo nic innego nie potrafi robić!

Spojrzałam na Rileya, mając nadzieję, że mnie poprze. Niestety, twarz Rileya była kamienna, usta zaciśnięte, czyli jego stanowisko było jasne. Niemniej jednak w takiej chwili nie potrafiłam milczeć:

– Riley?! Zgadzasz się z nim, tak? – wyrzuciłam z siebie oskarżycielskim tonem, a jego twarz od razu przestała być kamienna, ponieważ brwi przesunęły się zdecydowanie wyżej. – Uważasz, że to, co chcę zrobić, to wielki błąd, chociaż jesteś tu ze mną! Chociaż słyszałeś, co powiedział wtedy Garret!

– Firebrand... – odrzekł cicho głosem niby znużonym, ale na pewno słysząc w nim było również gniew. – Trudno, żebym nie przyznał mu racji. Przecież widziałem na własne oczy, do czego zdolny jest Święty Jerzy. Czy wiesz, z ilu kryjówek musiałem zrezygnować właśnie przez nich? Czy wiesz, ile smoków ginie co roku z ich rąk? I to nie tylko Bazyliuszki, Żmije czy inne smoki uczestniczące w tej wojnie. Nie tylko! Widziałem, jak zabijali pisklaki nawet młodsze od ciebie. Na moich oczach snajper z zimną krwią zastrzelił bezbronnego pisklaka, który jechał na rowerze spotkać się ze mną! Czekałem na niego, widziałem, jak jedzie przez park, i wtedy raptem padł strzał. Tak! – Złociste oczy Rileya rozbłysły. Jego smok był już bardzo bliski wydostania się na powierzchnię, smok teraz rozjuszony. – Dlatego wcale nie jestem zachwycony pomysłem uratowania jednego z tych drani, bo moim zdaniem im mniej ich będzie, tym lepiej. Poza tym wcale nie

uważam, że ten twój jest czysty jak łza, bo wtedy strzelał tylko do Lilith, a nie do nas. I tak ma ręce splamione smoczą krwią. Tak jak oni wszyscy.

Tak powiedział i trudno było nie przyznać mu racji. Niemniej jednak...

– Ale ja nie zamierzam dopuścić, żeby go zabili – oświadczyłam. – Uratował nam życie i niezależnie od tego, co mówisz, ja i tak nigdy o tym nie zapomnę. A ty wcale nie musisz iść tam ze mną, Riley. Mogę iść sama...

– Zamknij się! – warknął. – Oczywiście, że idę z tobą. Czym, jak mówiłem, wcale nie jestem zachwycony, ale nie pozwolę, żebyś zmierzyła się ze Świętym Jerzym sama. Idziemy tam razem i zrobię wszystko, byśmy wyszli z tego cało.

Przełknęłam.

– Dzięki, Riley. Na pewno postaram ci się jakoś odwdzięczyć.

Westchnął i przeczesał palcami ciemne, bardzo gęste włosy.

– Trzymam cię za słowo, Firebrand. Bo masz okazję odwdzięczyć mi się. A wiesz czym? Posłuszeństwem! Kiedy ten cały wypad do komandorii będziemy mieli już za sobą, masz bez wahania robić to, co powiem, nie zadając żadnych pytań. Ale o tym pogadamy potem, teraz skupmy się na tym, co nam zajmie najbliższe dwadzieścia cztery godziny. Podejdź tu bliżej. Chcę, żebyś przyjrzała się miejscu, do którego mamy się zakraść, i jeszcze raz potwierdziła, że twoja decyzja jest nieodwołalna.

– Oczywiście. I dobrze o tym wiesz.

– Niestety.

Ustawiłam się przed nim i zgodnie z poleceniem wlepiłam oczy w ekran, choć z koncentracją miałam pewne trudności, a to dlatego, że Riley stanął tuż za mną i tę jego bliskość odczuwałam bardzo mocno, zwłaszcza gdy nachylając się nad laptopem, oparł ciepłą dłoń na moim ramieniu. Wes wtedy coś tam wymamrotał pod nosem, to znaczy po prostu zaklął, a Riley zaśmiał się, Niestety bardzo niewesoło.

– Tak, tak – wymamrotał teraz on gdzieś tak bardzo blisko mego ucha. – Jak za dawnych dobrych lat...

COBALT

Dwanaście lat temu, godz. 1.18

Wysunąłem się z okna na pierwszym piętrze, zeskokczyłem na ziemię, starając się oczywiście zrobić to jak najciszej, i oparłszy się plecami o ścianę opustoszałego o tej porze biurowca, wyjąłem z kieszeni komórkę.

– Tu Cobalt. Zrobione – zameldowałem. – Wszystko gotowe do wybuchu, potrzebuję tylko jeszcze potwierdzenia, że w tym budynku nikogo nie ma.

– Tu Roger – odezwał się głos z drugiej strony. – W budynku na pewno nie ma nikogo. Ochroniarz stoi na zewnątrz.

– Jesteś pewien? – spytałem tym razem już ostro. – Nie chciałbym, żeby powtórzyła się sytuacja z Dublina. Jesteś na sto procent pewien, że w środku nie ma nikogo?

– Nie ma. Potwierdzam. Budynek jest czysty. Czekam na twój sygnał.

– Dobrze – powiedziałem, odrywając plecy od ściany. – Zgłoszę się, kiedy będzie już zrobione.

Rozłączyłem się i spoglądając na pusty parking przed sobą, pomyślałem, że bez problemu będę mógł pokonać ten płot, przejść przez ulicę i zniknąć w ciemnościach niezauważony przez nikogo. A tego przecież oczekiwał ode mnie Talon. Wybrali mnie do tej misji, ponieważ w tej właśnie robocie byłem bardzo dobry. W infiltracji celu, który miał być infiltrowany, w kradzieży tego, co miało być ukradzione, w podłożeniu tego, co miało być podłożone, a wszystko to wykonane w taki sposób, by nikt niczego nie zauważył. Naturalnie też by nie pozostały żadne ślady. Prawdopodobnie byłem najmłodszym z Bazyliszków infiltrujących wroga, ale jak już wspomniałem, naprawdę niezłym, dlatego wysłano mnie teraz tutaj, do miejsca, z którego wysłany przede mną Bazyliszek nie powrócił. A tak, bo teraz w ogóle wysyłano mnie do miejsc bardzo niebezpiecznych, o najbardziej dziwnych porach. Głównie po to, by dokończyć to, czego inny Bazyliszek nie dał rady zrobić. Jak na przykład załatwić na amen tę spółkę, która ma siedzibę w tym właśnie budynku. Nie miałem pojęcia, czym akurat ta spółka

naraziła się Talonowi. I nie chciałem tego wiedzieć, bo jeśli nie wiesz, jest ci o wiele łatwiej. Po prostu Talon chciał, bym dokończył to zadanie, więc je dokończyłem. Teraz tylko płot, ulica, zniknąć w ciemnościach i już po robocie.

Ale zrobiłem jednak coś innego. Skierowałem się nie do płotu, lecz do głównego wejścia, od frontu. Szedłem tam tuż przy ścianie budynku, póki nie natrafiłem na tego, na kogo chciałem natrafić. Otyłego mężczyznę w niebiesko-czarnym mundurze z latarką przypiętą do paska, który siedział na krzeselku przed głównym wejściem. Siedział sobie wygodnie w rękami skrzyżowanymi na piersi i zwieszoną głową. Oczywiście miał zamknięte, chrapał jak parowóz. Ochroniarz, w godzinach pracy!

Podniosłem z ziemi kamień, taki nie za duży, i rzuciłem w ochroniarza. Dostał w głowę, chrapał jeszcze raz i ożył. Szarpnął się w tył, omal nie spadając z krzesła, ale zamachał rękami i jakoś się na tym krzeselku utrzymał. Wyprostował się, rozejrzał dookoła i oczywiście zauważył mnie, jak sobie stoję pod ścianą. Pomachałem do niego i uśmiechnąłem się.

A on wrzasnął:

– Stać! Nie ruszać się!

Oczywiście teraz to już zaśmiałem się bardzo głośno i złośliwie i wykonałem krótki sprint przez parking. Grubas pobiegł za mną. Naturalnie nie biegłem za szybko, żeby grubasowi nie przyszło do głowy zrezygnować z pościgu. Odbiegłem kawałek, wyciągnąłem komórkę i nie przestając przemieszczać się do przodu, szybko zacząłem wystukiwać odpowiednie cyfry.

A działa się to, gdy już słyszałem za sobą zadyszany głos:

– Ej, ty! Stać! Ostrzegam...

Dobiegłem do ogrodzenia okalającego posesję, oparłem się ręką o słupek, odbiłem i już byłem po drugiej stronie. I dalej do przodu szybkim krokiem z kciukiem na tym ostatnim, decydującym przycisku. Słyszałem, jak grubas dobiega do ogrodzenia i zatrzymuje się, nie decydując się jednak na skok.

No cóż, koleś, to będzie ciężka noc dla ciebie. Ale ciesz się, że pozostaniesz wśród żywych, mimo że przyszło ci stanąć na drodze Talonowi!

Nacisnąłem na ostatni przycisk i zaczęło się. Wielka ognista kula rozkołysała powietrze z taką siłą, że wszystkie okna błyskawicznie zostały pozbawione szyb. Kawałki dachu posypały się na ziemię, ścianami zatrzęsło i cały budynek stanął w ogniu.

Wiedziałem, że tak właśnie jest, choć wcale tam nie patrzyłem, tylko spokojnie przechodziłem przez ulicę, chowając komórkę do kieszeni. Przeszedłem i znikłem w ciemnościach, pozostawiając za sobą budynek w płomieniach i pewnego grubego ochroniarza, który na pewno już nie pokrzykiwał dziarsko, tylko stał i gapił się całkiem osłupiały.

Gdzieś tak po niecałej godzinie dotarłem do hotelu. Szybko ściągnąłem z siebie czarne robocze ubranie, wskoczyłem w dżinsy i T-shirt i włączyłem wiadomości, w których, rzecz oczywista, pokazywali płonący budynek otoczony ludźmi i światłami samochodów. A pod spodem, na pasku widniał napis:

Na żywo: Tajemnicza eksplozja zniszczyła biurowiec.

Nie odrywając oczu od ekranu, opadłem na łóżko. Pokazywano właśnie widok z lotu ptaka na rozwalony dach i skruszałe ściany.

– ...wydarzyło się około pierwszej w nocy – relacjonował reporter.
– W budynku nie było już pracowników, ale niestety, jak dowiedzieliśmy się, w chwili wybuchu przebywała tam ekipa sprzątająca. Ratownicy są już na miejscu wypadku...

O nie! Przerażony i wściekły zacisnąłem pięść i wbiłem ją w udo, a potem zerwałem się na równe nogi i chwyciłem komórkę. Błyskawicznie wybrałem numer i cały rozdygotany z gniewu czekałem, aż ktoś się zgłosi.

Zgłosił się.

– Dobra robota, agencie. Widziałem reportaże. Talon będzie...

– Przede wszystkim, do cholery, budynek miał być czysty! – ryknąłem. – Przysięgali, że nikogo tam nie ma!

Chwila ciszy, a potem ten sam beznamiętny głos odparł:

– Talon otrzymał na ten temat informację, rozważył ją i podjął decyzję, że zadanie ma być wykonane zgodnie z planem. Śmierć cywili jest godna ubolewania, ale w tym przypadku była potrzebna.

– Czyżby? I dlaczego w takim razie zapewniano mnie, że budynek jest pusty?!

Odpowiedzi udzielono mi już tonem gniewnym:

– Agent nie jest upoważniony do zadawania organizacji jakichkolwiek pytań! Agent również nie wnika w szczegóły! Twoim obowiązkiem jest robić to, czego życzy sobie Talon, robić wszystko, by misja zakończyła się powodzeniem. Koniec rozmowy.

Rozłączył się.

Kipiąc ze złości, ponownie opadłem na łóżko i wlepiłem oczy w ekran, na którym pokazywali ratowników z pomocą psów przeszukujących zgliszcza. Jednocześnie reporter przeprowadzał wywiad z ochroniarzem, tym samym, który zawdzięczał mi życie. Ochroniarz naturalnie robił z siebie bohatera, opowiadając, jak to desperacko ścigał zamachowca przez cały budynek i po parkingu. Opisał mnie jako młodego białego mężczyznę z ciemnymi włosami ubranego na czarno. Policja oczywiście zajęła się poszukiwaniem kogoś odpowiadającego temu rysopisowi, ale wiadomo było, że nikogo takiego nie znajdą. Nie figurowałem przecież w żadnych kartotekach policyjnych, byłem więc czymś w rodzaju ducha, i zanim policja dotrze do tego hotelu, będę już na drugim krańcu kraju, biorąc udział w wojnie, o której owa policja nie ma bladego pojęcia.

Wrócę do Talonu.

Zacisnąłem zęby, poskramiając w sobie nieprzepartą chęć rzucenia komórką o ścianę. Komórką albo jeszcze lepiej telewizorem, dzięki czemu nie będę mógł oglądać skutków tego, czego byłem sprawcą. A niech to szlag! Bo owszem, zdarzały się dziwne zbiegi okoliczności, a także pewne niejasności w przekazywanych informacjach czy rozkazach, które można było różnie zinterpretować. Nigdy jednak dotąd nie spotkałem się z aż tak ewidentnym kłamstwem. Nigdy, naprawdę nigdy. Talon zapewnił mnie, że budynek jest czysty. Gdybym nie był tego pewien, nigdy bym nie nacisnął tego przycisku.

A było całkiem inaczej. W budynku byli ludzie i Talon wiedział o tym doskonale.

Wściekły wyłączyłem telewizor i po raz kolejny opadłem na łóżko. Potarłem twarz, w głowie miałem gonitwę myśli. Co teraz? Jak to będzie dalej ze mną, kiedy już wiem, że Talon kłamie, że wykorzystują mnie, że śmierć niewinnych ludzi jest dla nich regułą?

W uszach nagle zabrzmiał cienki głos mojego instruktora:

– To wojna, agencie. Nie ma czegoś takiego jak niewinna ofiara. Podczas wojny zawsze ktoś zginie. Śmierć kilku ludzi nie powinna cię poruszać. Absolutnie. Jest to po prostu nieuniknione.

Niestety, bardzo mnie to poruszyło. Może dlatego, że byłem wyjątkiem. Bo prawdopodobnie dla pozostałych smoków z Talonu fakt, że kilku sprzątaczy pożegnało się z życiem, był jak splunięcie. Zginęli, bo w tym czasie znaleźli się akurat w niewłaściwym miejscu. I tyle. Niestety, dla mnie ten fakt nie był obojętny. Także świadomość, że coś takiego zapewne zdarzyło się nie po raz pierwszy i nie wiadomo, ilu już niewinnych ludzi zginęło przeze mnie...

Komórka piknęła, dając znać, że przyszła nowa wiadomość. Jaka? A taka:

Przestań dumać!

Czyli wiadomo już, kto to napisał. Mój instruktor, sam Szeł Bazyliżków. Krótko i treściwie, jak zawsze, ale tym razem dziwnie mnie to ubodło.

I dalej:

Samochód podjedzie za pięć minut. Masz nowe zadanie.

Nowa misja? Już? A niech to... Przecież jestem tuż po skończonej misji, kompletnie przy tym załatwiony i fizycznie, i psychicznie, bo to, co się stało, było jak obuchem w głowę. Oszłomiło mnie, a jednocześnie doprowadziło do wściekłości i na siebie, i na Talon. Nie, wcale nie miałem ochoty tam wracać. Najchętniej zamknąłbym się w pokoju i wlał w siebie morze alkoholu. Pić i pić na umór, do kompletnego zachlania, póki przed oczu nie zniknie to, co pokazywali w wiadomościach. Taką samą radość sprawiłoby mi, gdybym wkroczył do biura i zmieszał kogoś z błotem. Tak, bo za nic nie chciałem już brać teraz udziału w następnej misji.

Cóż jednak innego mogłem zrobić?

Wstałem i zacząłem się pakować. Przecież słowo Talonu jest prawem. To, co myśli sobie czy czego chce jeden z Bazyliżków, bardzo młody jeszcze agent, nie ma dla nich żadnego znaczenia. Po prostu daje mu się następne zadanie, i tak będzie zawsze. Ale w tym właśnie tkwił problem, bo ja zaczynałem już całkiem serio podejrzewać, że mam

serdecznie dość tego ciągłego sterowania mną, wykorzystywania i okłamywania. Że nieuchronnie zbliżam się do granicy wytrzymałości, a w mojej głowie, w którymś z jej zakamarków to jedno znamienne słowo ulokowało się już na dobre. Słowo przerażające i niestety mimo moich gorących próśb, by zapomniało o mnie, wciąż uparcie do mej głowy powracało.

Jedno słowo.

Zbieg.

GARRET

Do świtu jeszcze sześć godzin.

Leżałem na pryczy z rękami podłożonymi pod głowę, a oczy wlepiłem w sufit. Patrzyłem i patrzyłem, a pęknięcia na suficie zamazywały się i znikwały, wchłonięte przez białą powierzchnię. W całym baraku było cicho i ciemno, tylko w szparze pod drzwiami na samym końcu korytarza, tam, gdzie znajdowało się pomieszczenie dla strażników, widać było smugę światła.

W celi przebywałem sam. Mój ostatni posiłek podano mi godzinę temu, a zrobiono to w szczególny sposób. To znaczy posiłek przyniósł żołnierz o nieprzeniknionej minie, rzucił mi w twarz:

– Miłośnik smoków! – i wszystko co przyniósł, cisnął na podłogę przed wejściem do celi.

I tam też to wszystko leżało nietknięte.

Do świtu jeszcze sześć godzin.

Za sześć godzin otworzą celę i do środka wejdzie dwóch żołnierzy. Powiedzą, że już czas, założą mi kajdanki i przeprowadzą przez pole treningowe do długiego muru z cegieł po wschodniej stronie. Oczywiście będą tam też świadkowie. Poza tym prawdopodobnie zbierze się tłum. Cała komandoria przyjdzie popatrzeć, jak wzorowy żołnierz zostaje rozstrzelany za zdradę. Czy Tristan i porucznik Martin też się pojawią? Prawdę mówiąc, to sam nie wiedziałem, czy chciałbym, by też byli świadkami moich ostatnich chwil jako zdrajcy Zakonu.

Przed tą ścianą ustawi się sześciu żołnierzy. W równym szeregu, każdy z nich z naładowanym karabinem. Mnie ustawią przed nimi.

Zaproponują opaskę na oczy, ja odmówię. Potem chwila ciszy i padną rozkazy:

– Gotuj!

– Cel!

– Pal!

Zadrzałem, niezdolny jednak myśleć o czymś innym. Nie, nie bałem się śmierci, przecież wielokrotnie szykowałem się na nią. Działo się tak na polu bitwy tuż przed atakiem na gniazdo smoków albo kiedy stawałem twarzą w twarz ze smokiem, w pełni świadomy, że w każdej chwili mogę zginąć. Bo żołnierze umierają, tego nie da się uniknąć. Nie ma powodu, byś ocalał, jeśli masz przed sobą wroga, który celuje ci w skroń. Ja żyłem nadal tylko dlatego, że w żołnierskim fachu byłem naprawdę dobry, a czasami po prostu miałem szczęście.

Niemniej oszukiwanie śmierci to nie to samo, co czekanie na nią, kiedy wie się, że na pewno nadejdzie. I kiedy nadejdzie, dokładnie, co do minuty. Inne też było umieranie podczas walki i to umieranie, gdy stoisz z rękami skrępowanymi z tyłu i czekasz, kiedy zabiją cię twoi dawni towarzysze broni. Ci sami żołnierze, z którymi razem przelewałś krew.

Do świtu pięć i pół godziny.

Nie żałowałem mojego wyboru, nie żałowałem ani jednego słowa, jakie wypowiedziałem na sali sądowej. Powiedziałem to, co myślę, i gdyby ponownie doszło do takiej sytuacji, gdybym znów znalazł się na plaży ze smokiem, którego kazano mi zabić, i gdyby znów była to Ember, a ja bym wiedział, że jeśli jej nie zabiję, to zabiją mnie, i tak bym zrobił to samo. Nie tknąłbym jej.

Ale zdradziłem Zakon, zdradziłem wszystko, co we mnie wpajano, i stanąłem po stronie wroga, choć wiele razy widziałem na własne oczy, jak moi towarzysze broni ginęli rozszarpywani szponami albo trawieni smoczym ogniem. Widziałem, jak kolega z drużyny pod gradem kul rzuca się do walki, i robi to sam, bez żadnego wsparcia, by pozostałym kolegom ułatwić zadanie, a nieraz bywało, by ocalić im życie. Wiedziałem, że zasłużyłem na śmierć, odwracając się plecami do Zakonu, który mnie wychował, do moich braci, którzy oddawali życie za wspólną sprawę. Sprzeniewierzyłem się też pamięci moich bliskich. I wszystko to zrobiłem po to, by ocalić naszych największych wrogów.

Byłem tego w pełni świadomy, więc powinno dręczyć mnie poczucie winy, powinienem cierpieć z powodu wyrzutów sumienia. A tak wcale nie było. Kilka zaledwie godzin przed egzekucją – moją egzekucją – leżałem na pryczy i rozmyślałem. Tylko o niej, o Ember. Gdzie teraz przebywa, skoro razem z innymi smokami odleciała już z Crescent Beach? Czy myśli o mnie, czy też zdążyła już zapomnieć? Oczywiście nie było najmniejszego powodu, by zwracała sobie głowę żołnierzem Świętego Jerzego. Była wolna, była z istotami swojego gatunku, a ja należałem do Zakonu, zaprzysięgłego wroga smoków. Wiele smoków zginęło z mojej ręki i dlatego Ember, jeśli nawet o mnie jeszcze nie zapomniała, powinna mnie tylko nienawidzić, bo na nic innego nie zasłużyłem. Jednocześnie jednak miałem nadzieję, że czasami pomyśli o mnie ciepłutko, powspomina, tak jak ja ją wspominałem, kiedy mijały ostatnie godziny mojego życia. Myślałem o niej bez przerwy, przywołując w pamięci te wszystkie chwile, które spędziliśmy razem. Zastanawiając się, jak by to było, gdybyśmy oboje byli... normalni. Zdawałem sobie sprawę, że to bez sensu, że to niepotrzebna strata czasu i energii, a żal nic nie zmieni. Ale i tak żałowałem, a uczucie to dopadło mnie po raz pierwszy w życiu. Żałowałem, że nie dane nam było spędzić ze sobą więcej czasu. Gdybym wiedział, jak to dalej będzie, starałbym się nie odstępować jej na krok. I wielokrotnie też postąpiłbym inaczej. Ale co się stało, to się nie odstanie. Ember odeszła, a ja za kilka godzin zakończę życie. Niczego nie da się już zmienić, ale przynajmniej w chwili, gdy przyjdzie mi opuścić ten świat, przed oczami będę miał Ember.

Mam nadzieję, Ember, że gdziekolwiek teraz przebywasz, to jesteś szczęśliwa. Mam nadzieję... że zawsze będziesz szczęśliwa.

Do świtu pięć godzin.

EMBER

– Obudź się, Firebrand. Już druga. Za kwadrans ruszamy.

Na dźwięk cichego, niskiego głosu Riley'a moja smoczyca od razu ożywiła się, natomiast Ember człowiek – człowiek wykończony – z trudem uniósł głowę znad poduszki. W pokoju było ciemno, paliła się

tylko jedna lampka, a niebo za oknem było czarne. Czyli pospałam trochę, choć kiedy po omówieniu planu działania Riley zaproponował, żebym się położyła i odpoczęła, byłam pewna, że nie zasnę. Okazało się jednak, że byłam bardziej zmęczona, niż myślałam, i ledwie przyłożyłam głowę do poduszki, już zmorzył mnie sen.

Riley przyszedł, zaraz ruszamy, na pewno ma jakiś plan działania... Natychmiast usiadłam, a serce zabiło szybciej, głośniejsze i wcale nie miarowo.

– Lepiej się przebierz – powiedział Riley, ruchem głowy wskazując mój plecak.

On już to zrobił. Przedtem był w szarych dżinsach i białym T-shircie, teraz w dżinsach czarnych i tak samo czarnej obcisłej koszuli. Miał też czarne rękawiczki, a przy pasku na biodrze wisiało kilka saszetek. Wes, który siedział przy biurku, również ubrany był na czarno. Na głowie czapka narciarska, czyli gotowy do wymarszu, choć minę miał bardzo niewyraźną. Wes na pewno wolałby robić coś innego, niż zaplanowaliśmy, natomiast Riley, nachylony nade mną, sprawiał wrażenie kogoś całkowicie sprężonego, kto właśnie znalazł się w swoim żywiole. Tak, właśnie tak! I to było fantastyczne, dlatego dalej siedziałam zapatrzona w sprężonego Rileya, który po chwili zaczął mnie jednak popędzać.

– Wstawaj, Firebrand. Już czas, a trzeba trzymać się planu. Włóż ten swój kombinezon ninja i ruszamy.

– Dobrze.

Potrząsnęłam głową, by ostatecznie rozpędzić mgiełkę senności spowijającą jeszcze mój mózg, i zerwałam się na równe nogi gotowa już do czynu. Chwyciłam plecak, pomknęłam do łazienki i wyjęłam z plecaka czarny kombinezon. Złożony był w kostkę, ale gdy tylko znalazł się w moich rękach, sam się rozłożył. Lśniąca czerń rozlała się jak atrament w moich dłoniach. Gładziutka, wszystkie zagniecenia same poznikały. Bo taki właśnie był ten kombinezon, wręczony mi przez moją instruktorkę po ukończeniu przeze mnie szkolenia podstawowego, po którym miało rozpocząć się szkolenie już takie na serio. Kiedy poddawałam się Przemianie, ten idealnie dopasowany do mojej figury ciuszek z ciepłego, przylegającego do ciała materiału wcale się nie

rozrywał jak zwyczajne ubranie. Gdy wracałam do pierwotnej postaci, wtapiał się w moją skórę, a kiedy wracałam do ludzkiej postaci, znowu się pojawiał. Po prostu był już na mnie.

Była więc to rzecz po prostu niebywała, po prostu genialna. Takie kombinezony noszą Żmije, najgroźniejsze morderczynie Talonu, a Talon chciał, bym stała się jedną z nich. Prawdziwą krwiożerczą Żmiją, która na rozkaz Talonu – a taki rozkaz był najwyższym prawem – ściga i zabija istoty tego samego gatunku, ponieważ to Żmije rozprawiały się ze smokami, które sprzeniewierzyły się organizacji, smokami takimi jak Riley. Tymczasem absolutnie nie wyobrażałam sobie, że właśnie to miałabym robić, a ponieważ odpowiedź „nie” dla Talonu była nie do pomyślenia, postanowiłam również zostać zbiegiem. Jak Riley. I to była główna przyczyna mojego odejścia z organizacji. Nie chciałam być Żmiją, jak moja instruktorka Lilith, istota absolutnie bezlitosna, dla której zabijanie było jak splunięcie. Nie chciałam zmieniać się w takie monstrum.

Ale kombinezon... Czemu nie? Był wyjątkowo przydatny.

Kiedy wsunęłam się w niego, zadrżałam, czując, jak materiał przysysa się do mojej skóry, jak praktycznie stapia się z moim ciałem. O tak, magiczny kombinezon ninja był fantastyczny, niemniej nie przestał być dla mnie także czymś zatrwajającym, skoro nadal miałam wrażenie, że to jednak nie jest przedmiot martwy. Przeciwnie. To coś chyba żyje...

Włożyłam buty, natomiast ubranie, które przedtem miałam na sobie, schowałam do plecaka, po czym wyszłam z łazienki, omal nie zderzając się z Rileyem, który już czekał za drzwiami. Chwycił mnie za ramiona, żeby pomóc odzyskać równowagę. Chwycił, skrzywił się i prawie natychmiast puścił.

– Riley? Co jest? – spytałam, jak się łatwo domyślić, okropnie zmieszana. – Może pachnę nie tak?

– Nie, nie... – wymamrotał, wyraźnie unikając mojego spojrzenia. – Przepraszam, Firebrand. To dlatego, że masz na sobie właśnie... to. A to budzi we mnie pewne wspomnienia. Domyślasz się, o co chodzi?

Oczywiście, że zaskoczyłam od razu.

– Jasne. Chodzi o to, że wyglądam jak Żmija.

– Zgadza się. Gdybyś była poza Talonem tak długo jak ja, na pewno za nic w świecie nie chciałabyś zobaczyć tego właśnie kombinezonu. Bo masz go przed oczami, kiedy walczysz albo uciekasz, by ratować swoje życie.

– Ale ja nie jestem Żmiją, tylko zbiegiem, Riley. Tak jak ty.

– Przecież wiem... – powiedział cicho i musnął dłonią mój kark. Musnął i jego palce już zostały na moim karku, a ja od razu poczułam falę ciepła wypływającą z tego miejsca, gdzie dotknął. Złociste oczy Rileya zajaśniały w półmroku pokoju, a jego głos był cichy, łagodny. – Jestem szczęśliwy, że nigdy cię nie spotkam na swej drodze we wcieleniu Żmii. Gdybym miał walczyć właśnie z tobą... Nie, po prostu bym tego nie przeżył. Nie wyobrażasz sobie, jaka to dla mnie ulga, że odeszłaś z organizacji. Jak dobrze, że już wiesz, jaki Talon jest naprawdę.

Przełknęłam, czując, jak ciepło rozlewa się po całym moim ciele, jak moja smoczyca, by wydobyć się na powierzchnię, napiera na jakże kruchą ludzką powłokę. Miałam wrażenie, że kombinezon Żmii jest coraz bardziej obcisły i przylega do mej skóry już tak ściśle, że w ogóle go nie czuję. Czyli byłam o krok od Przemiany, właśnie tutaj, w hotelowym pokoiku... I co z tego? Przecież oprócz nas nie ma tu nikogo, nie wywoła więc to żadnych komplikacji. Poza tym, jeśli dokonam Przemiany, Riley najpewniej zrobi to samo, a ja bardzo tego chciałam. Tak bardzo pragnęłam ujrzeć go w tamtej właśnie chwili w prawdziwej postaci, kiedy będzie tym swoim innym „ja”, tym, które tak działa na moją smoczycę, które spogląda na mnie tak szczególnie cudownie błyszczącymi złocistymi oczami.

Chciałam widzieć Cobalta.

Weź się w garść, Ember! Szybko zrobiłam głęboki wdech, by wprowadzić do płuc chłód, który zaczął gasić ten żar, który rozlewał się po całym moim ciele, dzięki czemu udało mi się odwzajemnić uśmiech, a nawet zdobyć się na żart:

– Ale nie spodziewałaś się, w co przy okazji się wpakujesz.

Oczywiście chodzi mi o ten nasz dzisiejszy wypad!

– Nieważne!

Opuścił rękę i szybko cofnął się o krok, jakby nie był już na siłach

dłużej mnie dotykać, albo też bał się, że jeśli dalej będzie mnie dotykał, to nagle na środku tego pokoiku pojawi się wielki niebieski smok. I to pojawi w sposób gwałtowny.

– Jeśli przeżyjemy, Firebrand, będziesz zawdzięczać to mnie – mruknął i z ponurą miną spojrzał na Wesa, który właśnie wkładał laptopa do plecaka. – Gotowi? Zdajecie sobie sprawę, że po zrobieniu pierwszego kroku odwrotu już nie ma? Wes, słyszałeś?

– Odwal się! – padła jak zwykle obcesowa odpowiedź. – Gadasz tak, jakbym faktycznie miał możliwość wyboru. I nie łudź się, że jeśli Święty Jerzy cię wykończy, to ja do końca życia bawić się będę w niańkę kilkunastu pisklaków!

Riley tę wypowiedź pozostawił bez komentarza, natomiast skupił się na udzieleniu bardziej szczegółowych instrukcji:

– Jedziemy dwoma pojazdami. Zatrzymujemy się kilka kilometrów przed ich bazą i dalej suniemy na piechotę. Wes, w jakiej odległości od bazy jesteś w stanie odebrać ich sygnał?

– Jakkolwiek by na to patrzeć, zawsze za blisko! – warknął Wes. – Z tym że z namierzeniem nie będzie problemu, skoro w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów oprócz nich nie ma nikogo. Cała sztuka polega tylko na tym, by nie uruchomić żadnych alarmów.

– Pamiętaj, żebyś nie podjechał za blisko. Światła samochodu na pustyni zauważą momentalnie.

– Coś ty! Naprawdę zauważą? – znów zawarczał Wes, z pasją szarpiąc suwak przy plecaku. – A ja, głupek, myślałem, że zauważą dopiero wtedy, kiedy na dachu samochodu będziemy mieli wielki neon. To my! Już jesteśmy i możecie nas powystrzelać!

Tej wypowiedzi Riley również nie skomentował.

– Przypuszczalny czas przybycia godzina trzecia czasu uniwersalnego. Kiedy zrobimy już to, co trzeba, spotykamy się w umówionym miejscu i spadamy. Jak najszybciej. Ember... – Odwrócił się i spojrzał mi prosto w oczy. – Jedziesz ze mną. Ruszamy!

Jazda do granicy stanów Arizona i Utah upłynęła w ciszy i pustce, ponieważ podczas całej drogi przez pustynię Mojave minęło nas zaledwie kilka samochodów. W górze natomiast był tłok, bo na niebie roiło się od gwiazd otaczających księżyc, który tej nocy przypominał

gigantyczne oko do połowy przesłonięte powieką i spoglądające sennie w dół. I to cudne niebo, tu, nad pustynią, z dala od miast, światła i cywilizacji, wzywało mnie do siebie. Stąd natrętna myśl, by zeskoczyć z motocykla, dokonać błyskawicznej Przemiany w powietrzu i pofrunąć właśnie tam, ku niebu.

Oczywiście ta myśl złościła mnie i starałam się ją od siebie odegnąć, życząc sobie też z całego serca, by moja smoczyca, podniecona perspektywą latania, raczyła się wreszcie uspokoić. Przecież za kilka godzin będziemy wkradać się do bazy pełnej uzbrojonych po zęby żołnierzy, których głównym celem jest całkowite wytepienie naszego gatunku. Cóż, miałam na głowie sprawę o wiele ważniejszą niż latanie nad pustynią w upalną noc.

Och, Garret... Mam nadzieję, że z tobą wszystko w porządku. Wytrzymaj jeszcze trochę. Idziemy już po ciebie!

Byłam okropnie zdenerwowana. Miałam wrażenie, jakby w moim żołądku wiły się tysiące malusieńkich węży, by więc je uspokoić, oddychałam bardzo głęboko. Jak to w końcu wszystko się potoczy? Czy żołnierz, po którego idziemy, będzie właśnie tam? Czy jeszcze żyje? Co powie, kiedy go odnajdziemy my, smoki? W końcu nieczęsto się zdarza, by w środku nocy w bazie Świętego Jerzego pojawił się smok. Czy Garret, kiedy mnie zobaczy, będzie szczęśliwy? Czy przyjmie pomoc od smoka, od istoty, do której, zgodnie z tym, co nakładli mu do głowy, ma strzelać bez ostrzeżenia? Czy też zmieni front i uznając, że smok mimo wszystko – i przede wszystkim – to wróg, którego należy unicestwić, i zaalarmuje całą bazę, zdradzając naszą obecność? Od tamtej pamiętnej nocy na plaży, kiedy to omal nie zginęłam z ręki mojej byłej instruktorki, minęło wiele czasu. Garret uratował nas, ale tak czy inaczej, jest przecież żołnierzem Zakonu Świętego Jerzego, a zgodnie z tym, co głosi Talon, Święty Jerzy nie uznaje żadnych argumentów strony przeciwnej, nie uznaje kompromisów i jest bezlitosny wobec swoich wrogów. A Garret znów jest wśród swoich. Może zdołali go przekonać, że postąpił źle, bo przecież wszystkie smoki są krwiożerczymi potworami i zaprzysiężonymi wrogami, a on się pokajał, więc darowali mu życie i następnym razem, kiedy spotka na swej drodze smoka, bez wahania strzeli mu w tył głowy...

Nie, nie Garret, bo on jest inny niż ta cała reszta. Widział przecież, że wcale nie jesteśmy potworami. Poza tym... poza tym sam mi powiedział, że koniec z zabijaniem, że nie będzie nas już prześladować. Tak powiedział i powinnam mu uwierzyć, że dotrzyma obietnicy. Powinnam cały czas pamiętać, i na tym opierać tę swoją wiarę, że żołnierz, który pomógł pokonać Lilith, a potem pozwolił nam odejść, jest tym samym chłopakiem, którego poznałam tego lata i uczyłam surfować, z którym grałam na automatach i którego uśmiech sprawiał, że mój żołądek po prostu robił gwiazdę. Chłopak, który obudził wszystkie moje zmysły, kiedy całowaliśmy się zanurzeni w oceanie. Przy nim, przy Garrecie, nie czułam się ani smokiem, ani człowiekiem, lecz czymś pośrednim. A Garret, żołnierz Świętego Jerzego, kiedy był ze mną, był po prostu chłopakiem, czasami wesołym, czasami skrępowanym lub zamyślonym, podobnie jak ja. Owszem, wtedy, na tamtej skale, przez moment widziałam w nim żołnierza. Dostrzegłam go w tym lodowatym spojrzeniu, gdy Garret celował mi w twarz. Ale za spust nie pociągnął. Wtedy nie... A jak byłoby teraz?

Westchnęłam i przytuliłam policzek do pleców Riley'a, starając się powstrzymać mój umysł od błędzenia myślami, kiedy bezwzględny priorytetem było uwolnienie Garreta. Na tym powinnam się maksymalnie skoncentrować, całą resztę odkładając na później, kiedy sprawa ze Świętym Jerzym będzie już załatwiona.

Riley skręcił ostro w lewo i zjechał z drogi, podążając za jadącym przed nami vanem. Teraz pędził po prostu przez pustynię, manewrując między skałkami, kamieniami i kaktusami. Po jakimś czasie, podobnie jak van, zgasił światła i dalej jechaliśmy w ciemnościach rozjaśnionych tylko nikłą poświatą księżyca. A potem jadący przed nami van zwolnił, wjechał na niewielkie wzniesienie i wzbijając tumany kurzu, zatrzymał się.

Riley zrobił to samo.

Serce waliło mi jak młot, kiedy usiadłam pod jedyną w swoim rodzaju kopułą pustynnej ciszy, ciszy prawie absolutnej, słyszałam przecież tylko swój oddech i ciche skrzypnięcia motocykla. Ta nieobecność innych dźwięków wcale mi się nie podobała, ponieważ budziła wspomnienia o szkole, w której przebywałam długie, długie lata.

Znajdowała się na środku Wielkiej Kotliny, gdzie ja i mój brat spędziliśmy większość naszego życia, ucząc się intensywnie, jak być człowiekiem. Wokół nas była pustynia, w górze niebo i poza tym nic, absolutnie nic. Kiedy wyszłam z domu i stanęłam sobie gdzieś pod palącym słońcem, po jakimś czasie w uszach zaczęło pulsować. A pulsowało właśnie od tej ciszy wprost ogłuszającej, której nienawidziłam. A nawet więcej, niż nienawidziłam. Bałam się panicznie, że ta wszechobecna cisza próbuje skraść mi mój głos. Tak, tak właśnie było. Bałam się, że jeśli na przykład będę iść i iść, nie wydając z siebie żadnego dźwięku, to w rezultacie sama stanę się cicha i martwa jak ta pustynia wokół mnie. I pewnie dlatego zawsze byłam taka pobudzona i niespokojna. Brało się to z tego strachu, a Dante niczego się nie domyślał.

Dante...

W sercu natychmiast zakłuło, ale postarałam się już nie myśleć o moim bracie. Nie, bo przecież już zsiadałam z motocykla i naprawdę powinnam maksymalnie skupić się tylko na tym jednym podstawowym problemie.

– Nadal jesteś zdecydowana to zrobić, Firebrand? – zaszeptał nagle Riley.

Drgnęłam zaskoczona, ale zaraz potem oczywiście dziarsko pokiwałam głową, chociaż serce z tych emocji biło jak oszalałe. Riley jeszcze raz spojrzął na mnie, tak jakoś bardzo wnikliwie, po czym odwrócił się i wskazał ręką tam, gdzie w ciemnościach pustyni pobłyskiwały migotliwe światła.

– To ich baza.

Oczywiście, że natychmiast wlepiłam oczy w tamte światła, bo to właśnie tam, gdzieś za murami tej bazy, jest Garret, a jeśli dopisze nam szczęście, wydostaniemy go stamtąd i wymkniemy się z bazy niezauważeni przez Świętego Jerzego.

– Około trzech kilometrów stąd – mówił dalej Riley. – Ale nie możemy już jechać, bo mogą nas zauważyć. Musimy się skradać. To nasza jedyna szansa.

Wes, w czapce narciarce nasuniętej prawie na oczy, wysiadł z samochodu, obszedł go bezszelestnie i otworzył tylne drzwi, a Riley

wyciągnął spod tylnego siedzenia czarną sportową torbę. Kiedy ją odemknął, moje serce po raz kolejny przyśpieszyło, ponieważ Riley wyjął mały czarny pistolet. Sprawdził magazynek i wsunął pistolet do kabury przy pasku, a zrobił to bardzo pewnym ruchem, jakby to była dla niego codzienność.

Na widok broni, co tu ukrywać, poczułam lęk.

– Riley, powiedz mi, tylko tak szczerze, bez żadnego kręcenia. Żeby wszystko było jasne, jestem absolutnie zdecydowana, wołałabym jednak wiedzieć, czy faktycznie będzie bardzo niebezpiecznie.

Wes prychnął.

– No oczywiście! Ona się pyta o to właśnie teraz! Teraz, kiedy już stoimy przed drzwiami cholernego Świętego Jerzego!

A Riley najpierw westchnął, nim powiedział:

– Szczerze, Firebrand? Więc żeby wszystko było jasne, gdyby chodziło o ewidentne samobójstwo, nigdy bym się na to nie zgodził. Wesem się nie przejmuj, on zawsze widzi wszystko w czarnych barwach. Ja nie, i bardzo bym chciał, żebyś mi zaufała. Dobrze wiem, co trzeba zrobić. Wchodzimy do bazy, kiedy prawie wszyscy już śpią. Poza tym, jak sama widzisz, ta komandoria jest w wyjątkowo odludnym miejscu, więc na nadmiar nieproszonych gości tam nie narzekają, i właśnie dlatego, jeśli chodzi o ochronę, zbyt się nie wysilili. W końcu jeśli nikt nie wie, gdzie jesteś, to po co ci gromada ochroniarzy? Na pewno nie szaleją z czujnością, tym bardziej że nie sądzę, by jakieś smoki przed nami zdążyły im już złożyć wizytę. Co jednak wcale nie znaczy, że nie będzie niebezpiecznie. Tego rodzaju misje jak ta zwykle kończą się albo spektakularnym sukcesem, albo równie spektakularną wpadką. Mam nadzieję, że zaliczymy pierwszy wariant, czyli uda nam się wejść tam niepostrzeżenie, znaleźć to, czego szukamy, i równie niepostrzeżenie się wymknąć. To oczywiście najlepszy ze scenariuszy. Ten najgorszy na pewno potrafisz sobie wyobrazić i dlatego, tak na wszelki wypadek... – Riley wyciągnął ku mnie rękę, w której trzymał pistolet. – Strzelałaś już z czegoś takiego?

Zdecydowanie przecząco pokręciłam głową. Bo broń, owszem, miałam już w ręku, podczas szkoleń z Lilith, a potem ten jeden raz, kiedy udało mi się wyrwać pewnemu żołnierzowi z ręki glocka

wycelowanego w moją twarz. Nigdy jednak dotąd nie strzelałam do żywej istoty.

Riley uśmiechnął się niewesoło.

– Kiedy dochodzi do sytuacji, że zmuszeni jesteście strzelać do ludzi, oznacza to, że misja została totalnie spieprzona i nie pozostaje nic innego, jak zniknąć, i to jak najprędzej. Tak więc z broni robimy użytek tylko w ostateczności. Ale robimy. Kiedy misja się nie powiedzie, musisz się przecieżyć jakoś ratować przed wrogami, którzy marzą tylko o jednym, o twojej śmierci. Owszem, szpony i kły są skuteczne, ale by zrobić z nich użytek, musisz dopaść przeciwnika, co raczej jest niewykonalne, kiedy strzelają do ciebie z M16.

– Ale ja jeszcze nigdy nie strzelałam do żywego celu. Nie wiem, czy potrafiłabym kogoś... zastrzelić. Tak naprawdę to zrobić. Strzelić i zabić.

– No cóż, Firebrand, wszystko przed tobą! Wygląda na to, że najpewniej będziesz musiała przez to przejść, bo chociaż nie należymy już do Talonu, dla Świętego Jerzego nie ma to żadnego znaczenia. Dla nich smok to smok. Nieważne czy zbieg, czy pisklak, czy Żmija. Wszystkie należy wykończyć. – Opuścił broń i dokończył niemal oskarżycielskim tonem: – Wojna nadal trwa, Firebrand, a my, tak to się niestety poukładało, mamy wrogów po obu stronach. I Zakon, i Talon, który również marzy tylko o tym, żeby skrócić nam kark. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę?

Zabrzmiało to bardzo gorzko, wprost wyjątkowo gorzko. Nigdy dotąd nie słyszałam w jego głosie aż tak wiele gorczy. W głosie Riley'a, który od momentu opuszczenia Crescent Beach zmienił się bardzo. Stał się surowy, dyrygował wszystkim, po prostu wziął sprawy w swoje ręce. Nie był to już tamten samotny tajemniczy zbieg, bardzo pewny siebie i czasami aż wkurzająco wyluzowany. Nie, to już przeszłość. Teraz był to twardy, nieugięty przywódca całego podziemia zbiegłych smoków, dlatego zaczynałam podejrzewać, że tamten Riley, ten z Crescent Beach, to nie był prawdziwy Riley, tylko taka jego wersja, która idealnie dostosowała się do sytuacji. A prawdziwego Riley'a poznaję dopiero teraz.

Milczałam mocno przejęta tym wszystkim i próbująca ogarnąć to

wszystko rozumem.

Jednak cisza nie trwała zbyt długo, bo Riley znów się odezwał, ale tym razem głosem znacznie łagodniejszym:

– Przepraszam, Firebrand. Wiem, że nigdy jeszcze nikogo nie zabiłaś, i wcale tego od ciebie nie wymagam, ale ta broń ma być dla ciebie zabezpieczeniem. Przepraszam jeszcze raz, że byłem taki ostry, ale nerwy trochę puszczają. Może za dużo już w życiu widziałem... Straciłem wielu kumpli, wiele pisklaków. I przez Talon, i przez Zakon. Czasami mam wrażenie, jakbym starał się wtoczyć wielki głaz na szczyt skały, która nie ma końca. Jeśli przestanę toczyć choć przez sekundę, głaz polecą w dół i mnie zmiażdży.

Sposepniał.

A ja nadal milczałam.

– Pewnego dnia tak się stanie. Zmiażdży mnie – dodał cicho po jakimś czasie, spoglądając gdzieś w dal. – Powinnaś zdawać sobie sprawę, Firebrand, że jeśli występujesz przeciwko Talonowi, to twoje życie zawsze wisi na włosku. I może zdarzyć się, że będziesz musiała kogoś zastrzelić, spalić swoim ogniem albo rozszarpać, by przetrwać. Tak, zabić. Owszem, może być to podłe i boleśnie niesprawiedliwe, ale konieczne. Taka jest prawda, Firebrand, a w tej prawdzie zawiera się twoja obecna rzeczywistość. Nasza rzeczywistość. – Ponownie wyciągnął ku mnie rękę z bronią. – Weź. Chyba że zamierzasz się wycofać.

Przełknęłam, po czym powiedziałam:

– Nie. – Zacisnęłam palce na chłodnym metalu. – Nie zamierzam się wycofać.

Riley rzucił mi jeszcze kaburę na pasek. Włożyłam do niej pistolet i wsunęłam pasek na ramię, czując na żebrach ciężar pistoletu, jego złowrogi chłód. Pistoletu, z którego wcale nie miałam ochoty robić użytku.

– W porządku – powiedział Riley i zamknąwszy drzwi vana, spojrzał na mnie znów bardzo surowo. – Ruszamy, Ember. Pamiętaj, robimy wszystko tak, jak powiem. Z twojej strony żadnego ociągania, żadnych pytań, jasne? Robisz wszystko, co każę.

Skinęłam głową, a Riley zerknął na Wesa, który z kolei patrzył na

Rileya bardzo ponuro, z rezygnacją we wzroku, jakby spoglądał na kogoś, kogo już nigdy więcej nie zobaczy.

– Wes! My ruszamy, ty czekasz. Siedzisz tu murem, dopóki nie dam znać, jasne? Życz nam szczęścia.

– Szczęścia... – wymamrotał Wes, potrząsając głową. – Wam nie jest potrzebne szczęście, ale cud. Cholerny cud.

Zabrzmiało to bardzo optymistycznie, jak miło. Ale cóż...

Riley nie powiedział już nic, ja oczywiście też nie, i ruszyliśmy przed siebie przez pustynię spowitą w noc.

RILEY

Do bram piekieł już tylko kilometr.

Tak, ale lepiej o tym nie myśleć, szczególnie teraz, gdy prowadziłem Ember po piaszczystej równinie, zbliżając się do złowrogich, migoczących świateł. W takiej chwili strach czy jakieś tam rozważania były absolutnie nie na miejscu, były wręcz niebezpieczne. Bo klamka zapadła. Byliśmy już w akcji i należało skupić się wyłącznie na tym, co istotne. Czyli jak tam się dostać i jak wydostać, by nikt nas nie zauważył i nie poczęstował kulką. I na tym koniec. Kiedy byłem Bazyliszkiem, wbito mi do głowy, że nigdy nie należy zadawać dociekliwych pytań ani zastanawiać się za bardzo nad tym, co właśnie robię. Po prostu zrobić i już.

A w sumie może to i zdrowe podejście, ja jednak w którymś momencie zacząłem dociekać, w konsekwencji czego odszedłem z Talonu.

Ember w tym swoim czarnym kombinezonie Żmii szła za mną, przesuając się po piasku jak cień. Szła bezszelestnie, jednocześnie zręcznie i bardzo pewnie, jak prawdziwy Bazyliszek. Trzeba przyznać, że Lilith nieźle ją wyszkoliła. Z tym że jednego nie udało jej się w nią wpoić. Tej bezwzględności Żmij, ich obojętności wobec faktu zabijania, czyli tego, z czego Żmije były powszechnie znane i przez co budziły ogólne przerażenie. Ember taka nie była, z czego byłem zadowolony, choć wiedziałem, że niebawem to się zmieni. Bo musi. W naszej rzeczywistości, w świecie zbiegów, mamy zbyt wiele do stracenia, bo

mamy zbyt wielu potężnych wrogów i zbyt wiele istnień, które chcemy chronić. Prędzej czy później Ember będzie musiała kogoś zabić, i wtedy pokaże swoją prawdziwą naturę. Miałem wielką nadzieję, że nawet jeśli okaże się zdolna do wielu rzeczy, nie stanie się tak całkiem inna niż obecna Ember.

Nagle w słuchawce cicho zabrzęczało:

– Do ogrodzenia jeszcze około dwustu metrów – przekazał Wes. – Póki co żadnych kamer nie widzę, ale bądźcie ostrożni.

– Zrozumiałem.

Doszliśmy do ogrodzenia, które wcale nie było imponujące. Po prostu metalowa siatka, górna krawędź zabezpieczona drutem kolczastym, a co kilka metrów tablica informująca, że jest to teren prywatny i wstęp surowo wzbroniony, a naruszenie tego zakazu grozi odpowiedzialnością karną. Nic więc nie wskazywało, że jest to obiekt wojskowy. Święty Jerzy w ukrywaniu się był prawie tak samo dobry jak Talon. Wiadomo, że władze Stanów Zjednoczonych patrzyły krzywym okiem na różnego rodzaju prywatne armie, dlatego bazy, w których przebywali żołnierze Świętego Jerzego, z reguły były w miejscach odosobnionych, poza zasięgiem radarów tych służb, które na pewno bardzo by się zainteresowały tak wielką liczbą uzbrojonych fanatyków ulokowanych na amerykańskiej ziemi.

Z tymi nieproszonymi gośćmi miałem rację. Nie liczono na nich, dlatego koło ogrodzenia nie widać było żadnych strażników. Podeszliśmy od strony północnej i najpierw ostrożnie obeszliliśmy dookoła cały teren. Odległość między ogrodzeniem a skupionymi na środku budynkami wynosiła jakieś tysiąc metrów, czyli mieliśmy do pokonania taki odcinek otwartej przestrzeni, co prawda spowitej w ciemność, zatrważająco jednak płaskiej i właśnie, jak już wspomniałem, otwartej.

Ale odwrotu nie ma.

Wyjąłem nożyce do drutu, przykucnąłem i zacząłem metodycznie ciąć siatkę, starając się robić to jak najciszej. I rzecz dziwna, bo ta bardzo nieskomplikowana czynność, którą wykonywałem już wiele razy, bardzo dobrze wpływała na moje nerwy. Ember przykucnęła tuż obok, dlatego od czasu do czasu ocierała się o mnie ramieniem. Mój puls,

wiadomo, wtedy przyśpieszał, co jednak nie wpływało na postęp robót. Przecinałem konsekwentnie, aż wreszcie wyciąłem wystarczająco duży otwór, byśmy mogli przejść na drugą stronę.

– Ember, masz się mnie trzymać – szepnąłem, chowając nożyce z powrotem do torby. – I pamiętaj, nie robisz niczego, póki nie powiem, co masz robić. Jasne?

Pokiwała głową, a ja odchyliłam skatowaną siatkę i dałem Ember ręką znak, że ma ruszać. Przeszła na drugą stronę, ja za nią, niestety, nie zrobiłem tego bezgłośnie, bo potracona przeze mnie siatka wydała z siebie charakterystyczny dźwięk. Wprawdzie cichy, ale i tak poczułem ciarki na plecach.

Tak czy inaczej, byliśmy już po drugiej stronie, na terenie Świętego Jerzego. Tam też najpierw przykucnęliśmy, by przyjrzeć się dokładniej otoczeniu. Przyjrzałem się budynkom, sprawdziłem, jaki mają układ, jak rozmieszczono światła i w jakiej odległości od zabudowań zaczyna się robić jaśniej.

Ember cierpliwie czekała obok mnie, a spojrzenie jej zielonych błyszczących oczu było twarde. Nie wyczuwałem w niej ani odrobiny lęku, tylko wielką determinację.

– Jesteśmy już po tej stronie – szepnąłem do Wesa.

– Dobra... – odszepnął, niewątpliwie zawzięcie stukając w klawiaturę. – Nie ruszajcie się. Próbuję namierzyć system alarmowy... Chwila, moment... Tak... Już mam... – Nastąpiła chwila ciszy, podczas której Ember i ja, przyklejeni do ogrodzenia, rozglądaliśmy się czujnie dookoła. – W porządku – mruknął w końcu Wes. – Wygląda na to, że kamery są tylko w komendanturze i składzie broni. Ruszajcie, dalej będę już was prowadził.

– Dobrze, idziemy – odparłem. – Zamelduję, kiedy będziemy w środku.

Pochyleni, na ugiętych nogach zaczęliśmy przemykać się przez otwartą przestrzeń w kierunku budynków, wybierając najbardziej zaciemnione miejsca. Był środek nocy. Większość żołnierzy spała i spać będzie jeszcze przez co najmniej kilka godzin. Wielkie podwórze było więc puste, tylko przy bramie wjazdowej zauważyłem kilku strażników.

– Jak tu cicho... – szepnęła Ember, kiedy przyczailiśmy się za

hummerem zaparkowanym jakieś sto metrów od pierwszego kompleksu budynków. – To dobrze, prawda?

– Jasne, ale zbytnia pewność siebie nie jest zalecana. – Ruchem głowy wskazałem największy budynek górujący nad innymi, czyli na komandorię. – Wystarczy, że włączy się jeden alarm i w całej bazie zaroi się od żołnierzy. Dlatego miej oczy i uszy otwarte, Firebrand. Przecież jeszcze stąd nie wychodzimy...

Kiwnęła głową i dalej w milczeniu przemykaliśmy się przez podwórze, maksymalnie czujni i spięci, zawsze przecież raptem, jak spod ziemi, mogli pojawić się strażnicy. Może dla Ember było to jak spacer po parku, ja jednak doskonale wiedziałem, że wszystko potrafi nagle ulec gwałtownej zmianie. A jeśli w tej cichej bazie faktycznie zaroi się od żołnierzy, to szanse na ucieczkę zmaleją niemal do zera. A może nawet po prostu do zera.

Gdy doszliśmy do pierwszego szeregu budynków, ustawiliśmy się tuż pod ścianą i zaczęliśmy ostrożnie posuwać się do przodu, nagle drzwi tuż przed nami otwarły się. Tłumiąc przekleństwo, błyskawicznie cofnąłem się za róg domu i przywarłem do ściany. Ember zrobiła to samo, dzięki czemu znów znalazła się tuż koło mnie i mój smok oczywiście zaraz ożył. Powstrzymałem jednak jego zapędy. Uspokoił się, a ja i Ember dalej staliśmy nieruchomo przyklejeni do ściany, kiedy przez otwarte drzwi wyszło dwóch żołnierzy. Zeszli po schodkach i zatrzymali się, rozmawiając przyciszonymi głosami.

Jeden z nich powiedział:

– Mam gdzieś tę przeklętą służbę w kuchni. Przecież dziś jest egzekucja. Też idziesz popatrzeć?

Egzekucja. Nic dziwnego, że czułem, jak Ember cała zeszywniała.

– Jeszcze nie wiem – odparł drugi. – A tak w ogóle, to wydaje mi się, że... no, powiem ci, że coś tu nie gra. Przecież widziałem go w akcji, w Ameryce Południowej, kiedy praktycznie sam wykończył dorosłego jaszczura. Trzeba przyznać, że koleśowi odwagi nie brakuje...

– Ale niestety lubi smoki. Słyszałeś przecież, co mówił podczas rozprawy! I dlatego, jeśli chodzi o mnie, to nie mogę się doczekać, kiedy będzie leżał już na ziemi z flakami na wierzchu. Bo na nic innego nie

zasłużył. Zapamiętaj sobie, na nic.

Poszli dalej, z ożywieniem dyskutując. Głosy cichły, a kiedy żołnierze znikli w ciemnościach, odetchnąłem. Oparłem się o ścianę i oczywiście przede wszystkim spojrzałem na Ember. Ember przerażoną, bo z twarzą kredowobiałą. Ale też i wściekłą, o czym świadczyły błyski w szmaragdowych oczach. Niewątpliwie była już o krok od Przemiany, tu i teraz, gotowa rzucić się za tą dwójką żołnierzy i rozszarpać ich na kawałki. Dlatego szybko położyłem rękę na jej ramieniu, które dygotało jak w febrze.

– Wyluzuj, Firebrand – szepnąłem, przyciągając ją do siebie i jednocześnie z góry nakazując memu smokowi spokój. – Przecież dlatego właśnie tu jesteśmy. A on jeszcze żyje.

O czym świadczyły słowa tych żołnierzy, tak dla nas ważne. Egzekucja ma się odbyć dziś, na pewno o świcie, czyli Garret jeszcze żyje. Nie, wcale nie było mi go żal. Byłbym bardziej niż szczęśliwy, gdyby kolejny drań Świętego Jerzego pożegnał się z życiem. Ale słowo się rzekło. Mamy go stąd wyciągnąć, więc wyciągniemy, koniec, kropka.

Niemniej jednak reakcja Ember, to całkowite zeszywnienie, wkurzyła mnie. Dlaczego jej tak na nim zależy? Przecież to tylko człowiek, a poza tym, co jeszcze bardziej istotne, jest żołnierzem Świętego Jerzego. A ona, kiedy z nim tańczyła, patrzyła na niego tak, że do dziś miałem to spojrzenie przed oczami. I wściekałem się, bo Ember przecież jest smokiem i nie powinna zadawać się z człowiekiem. Dlatego kiedy uratujemy już tego drania i znajdziemy się w bezpiecznej odległości od Świętego Jerzego, pokażę palantowi, do czego zdolny jest smok!

Ember odetchnęła głęboko, pokiwała głową, po czym ruszyliśmy w dalszą drogę do komandorii, wielkiego piętrowego budynku stojącego dokładnie na samym środku. Oczywiście nie podeszliśmy do rżęsiście oświetlonego głównego wejścia, lecz przeszliśmy na tyły domu, kierując się do małych żelaznych drzwi. Ember wyraźnie miała ochotę przyśpieszyć, ale przytrzymałem ją za ramię, wskazując palcem kamerę nad schodami, i przesunęliśmy się z powrotem do miejsca, gdzie panowała idealna ciemność. I tam przekazałem do mikrofonu:

– Wes, jesteśmy koło drzwi na tyłach głównego budynku. Nie ma

strażników, ale nad schodami jest kamera i wygląda na to, że aby wejść, trzeba mieć kartę magnetyczną.

– Poczekajcie – powiedział Wes. Na moment zapadła cisza, potem znów Wes: – W porządku. Jeszcze minuta i spróbuję otworzyć.

Nie skończył jeszcze mówić, gdy nagle zza węgła wyszedł jakiś człowiek w normalnym cywilnym ubraniu. Na nasz widok znieruchomiał i przez ułamek sekundy wszyscy troje zszokowani gapiliśmy się na siebie. A potem facet otworzył usta. Wiadomo, po co. By zaalarmować całą komandorię.

Nie zdążył, bo Ember okazała się szybsza. Błyskawicznie wyprysnęła do przodu i walnęła go w szczękę tuż pod uchem. Facetowi głowę odrzuciło w bok, zaraz potem złożył się wpół i runął na ziemię twarzą w piach.

Ember natomiast zamarła. Stała nad nim, wlepiając oczy, jakby nie mogła uwierzyć, że to ona i tylko ona sprawiła to, co z tym facetem się stało. Że znieruchomiał. A mi ręce jeszcze drżały od skoku adrenaliny, zresztą niewykorzystanego, bo Ember mnie ubiegła, i to w bardzo skuteczny sposób.

– Ember... – szepnąłem. – Jestem pod wrażeniem. Gdzie się tego nauczyłaś?

– Sama nie wiem... – odszepnęła, odstępując od nieruchomego ciała. – Po prostu... zobaczyłam go i zrobiłam to jakoś tak... odruchowo.

Czyli szkoła Lilith. Oczywiście, tego przecież uczą Żmije swoich uczniów. Jak być szybkim, bardzo niebezpiecznym i śmiertelnie skutecznym. Jak błyskawicznie rozpoznać zagrożenie i równie błyskawicznie zadać cios.

– Riley? – zaskrzypiał w słuchawce wyraźnie zaniepokojony Wes. – Co się dzieje?

– Nic – odparłem, podchodząc do znieruchomiłego żołnierza, tak skutecznie uciszonego przez Ember, który niestety nadal stanowił dla nas zagrożenie, skoro w każdej chwili mógł się ocknąć i całą bazę postawić na nogi. – To znaczy mamy tu taki jeden mały problem, ale poradzimy sobie – mówiłem dalej, jednocześnie przyklękając przy nieprzytomnym wrogu i sięgając do schowka w pasku. – A jak tam z tym otwarciem

drzwi, Wes?

– Co ty masz zamiar zrobić, Riley? – spytała nagle Ember, spoglądając na mnie podejrzliwie. – Chyba nie masz zamiaru go zabić!

Pokręciłem głową i pokazałem jej plastikowe kajdanki, które miałem chytrze ukryte za paskiem. I znowu pokręciłem głową, bo to wszystko razem nie było pozbawione ironii. Gdyby Ember była prawdziwą Żmiją, facet z pewnością by już nie żył. Ale żył, a ja, o dziwo, wcale nie miałem zamiaru skręcać mu karku albo podrzynać gardła. Nie, choć nienawidziłem tych drani z całego serca i gdyby było to konieczne, z największą ochotą zamieniłbym go w popiół i ten popiół rozdmuchał na wietrze.

Teraz konieczne to nie było. Ale i tak, mimo morderczych emocji, nie byłem mordercą. Nie byłem taki jak oni.

I znów w słuchawce zrobiło się głośno:

– Mogę otworzyć drzwi – powiedział Wes, kiedy ja z kolei krępowałem żołnierzowi ręce. Oczywiście z tyłu. – Mogę też wyłączyć kamerę do monitoringu, ale to zbyt ryzykowne, bo natychmiast wzbudzi podejrzenia. Najlepiej więc będzie, jeśli zastosuję pętlę sprzężenia zwrotnego, na trzydzieści sekund, potem zasilanie wróci do normy. W ciągu tych trzydziestu sekund macie wejść do środka. Dacie radę?

Zakleiliśmy facetowi usta taśmą, podniosłem go z ziemi i przerzuciłem sobie przez ramię. Zwisiał jak worek kartofli. Raczej ciężki worek, solidnie zbudowany i bardzo dobrze umięśniony.

– Dobra. Zrób to, Wes. – Podeszedłem do dużego pojemnika na śmieci stojącego nieopodal. – Wystarczy piętnaście sekund. Ember, otwórz ten pojemnik, dobrze?

Ember błyskawicznie była przy mnie i podniosła klapę, uwalniając całą gamę upojnych zapachów gnijących resztek jedzenia. I bardzo dobrze, bo tym większą miałem satysfakcję, kiedy wkładałem nieprzytomnego żołnierza właśnie tu, między worki z odpadkami, i zamykałem klapę. Co zrobiłem bardzo starannie.

Podeszliśmy do schodów i stanęliśmy w mrocznym miejscu, wpatrując się w drzwi i w kamerę nad drzwiami.

– Jeszcze chwila... jeszcze chwila... – mamrotał Wes, a ja niecierpliwie bębniłem palcami w kolano. Przecież w każdej chwili mógł

zza węgła wyjść następny żołnierz. A to, że szczęście raz nam dopisało, wcale nie znaczy, że mamy gwarantowaną powtórkę.

– W porządku – powiedział wreszcie Wes. – Za dziesięć sekund kamera się wyłączy i prawie jednocześnie otworzą się drzwi. Dlatego sprężcie się. Gotowi?

– Tak – mruknąłem, czując, jak Ember obok mnie już się spręża.

– A więc... Już!

Rzuciłem się do przodu, pogałem po schodach i nie patrząc w to bezduszne czarne oko kamery, chwyciłem klamkę. Zrobiłem to dokładnie w chwili, gdy rozległ się cichy charakterystyczny dźwięk i nad czytnikiem kart magnetycznych zapaliło się zielone światełko. Otworzyłem drzwi i skinąłem na Ember. Pierwszy przeskoczyłem przez próg. Ember tuż za mną i drzwi zamknęły się cicho, ale wydawało się, że odgłos ten odbił się szerokim echem w długim, jasno oświetlonym korytarzu.

Wreszcie byliśmy w środku, w komendanturze bazy Świętego Jerzego, gdzie miała się zacząć prawdziwa zabawa.

EMBER

Na zdrowy rozum biorąc, powinnam być porządnie wystraszona, ale nic z tych rzeczy. Owszem, byłam zdenerwowana, ale tylko to. Żadnej paniki, choć znalazłam się przecież w samym środku bazy Świętego Jerzego, nienawistnego centrum zapchanego pogromcami smoków. Gdyby dowiedzieli się, kim jestem, byłoby już po mnie. A ja koniecznie choć przez jakiś czas chciałam pozostać wśród żywych, ponieważ razem z Rileyem mieliśmy odszukać Garreta i wyprowadzić go stąd. Naturalnie niepostrzeżenie, a tak niewiele brakowało, żeby tamten żołnierz, co wyszedł z za węgła, pokrzyżował nasze plany. Moje zdenerwowanie było więc całkowicie uzasadnione, także drżenie rąk. Ot, zwykła reakcja po skoku adrenaliny. No i kto by pomyślał, że jestem taka szybka! Wystarczyło jedno spojrzenie i łup! Co za cios! Tamten facet, co to wyskoczył jak diabeł z pudełka, rozłożył się jak długi. Ciekawe, czy w razie potrzeby zdolna będę do powtórki.

Ciekawe też, czy właśnie to miała na myśli moja instruktorka,

kiedy wpierała we mnie, że będę świetną Żmiją...

Ale dość tych rozmyślań, trzeba skoncentrować się na dalszym działaniu.

– Riley, dokąd teraz? – szepnęłam, odpowiedzi jednak nie uzyskałam, ponieważ Riley, przyklejony do ściany, rozmawiał z Wesem.

– Wes, jesteśmy już w środku. – Nastąpiło kilka sekund ciszy, bo Riley słuchał Wesa bardzo uważnie, po czym skinął głową. – Dobrze. Idziemy tam.

– Riley, Wes wie już, gdzie dokładnie jest Garret? – spytałam całkowicie pewna, że uzyskam odpowiedź twierdzącą.

Niestety, twierdząca nie była, choć zawierała pewne istotne wskazówki.

– Nie, Firebrand. Nie wie tego na sto procent, ale podpiął się do ich systemu zabezpieczenia i wie już, że tu, w podziemiach, jest więzienie. A skoro egzekucja ma się odbyć o świcie, czyli za kilka godzin, twój znajomy powinien być tam i... – Riley urwał na moment i omiółł czujnym spojrzeniem cały korytarz. – Musimy uważać, bo na pewno gdzieś tu płaczą się strażnicy. Bądź ostrożna, Ember.

Pokiwałam głową i ruszyliśmy przed siebie korytarzem co prawda pustym, ale zbyt jasno oświetlonym, by poczuć się bezpiecznie. Po obu stronach drzwi, większość z nich zamknięta, a przez te kilka otwartych widać było typowe pomieszczenia biurowe, z biurkami i komputerami. I stąd moja refleksja. Ciekawe, co robią żołnierze Świętego Jerzego, kiedy nie zabijają smoków. Bo jakoś trudno mi było wyobrazić ich sobie zajętych czymś tak naprawdę normalnym, na przykład sprawdzających pocztę czy siedzących na czacie.

Kiedy mijałam kolejne drzwi, te akurat otwarte, nagle gdzieś tam w środku, w tym pokoju coś mi mignęło przed oczami. Coś czerwonego o metalicznym połysku, i rzecz dziwna, nagle poczułam lęk. Tak, i to lęk niemały, dlatego przystanąłam przed tymi właśnie drzwiami i spojrzałam w głąb mrocznego pokoju, który na pierwszy rzut oka niczym nie różnił się od pozostałych. Krzesła, żelazne szafy, na środku olbrzymie biurko. Czyli typowy pokój biurowy. Czyżby? A gdzie mamy tę podejrzaną czerwień? Zlokalizowałam ją bez trudu i serce podskoczyło mi do gardła.

Na ścianie za ogromnym biurkiem wisiała skóra smoka. Zajmowała prawie całą ścianę, a przecież była to skóra ściągnięta z pisklaka. Na pewno. Był to niewielki jeszcze czerwony smok o długiej wdzięcznej szyi. Łuski na brzuchu były jasne, reszta łusek czerwona, ale ciemniejsza niż moje łuski i o rdzawym odcieniu. W łapach nadal tkwiły czarne szpony. Na plecach i ogonie widać było ciemne prążki. Ten smok w chwili śmierci był w moim wieku, a może nawet młodszy.

A teraz... teraz go już nie było. Pozostała po nim tylko ta martwa skóra.

Musiałam wydać z siebie jakiś zduszony dźwięk, ponieważ Riley natychmiast znalazł się przy mnie i złapał za rękę, błyskawicznie odciągnął od tych drzwi.

– Nie patrz tam, Firebrand. Nie patrz na to. Idziemy dalej!

Drżałam jak liść, kiedy ciągnął mnie tym korytarzem, a po chwili zatrzymał się i przyciągnął do siebie, a ja wreszcie mogłam wtulić twarz w jego czarną koszulę. Zamknęłam oczy, nadal jednak miałam pod powiekami ten rozdzierający widok. Nadal widziałam martwą pustą skórę wiszącą na ścianie i byłam pewna, że będę widywała ją w snach.

Nie wiem, jak by to ze mną było, gdyby nie ciepłe ramiona Riley'a, które na ten moment odgrodziły mnie od reszty świata, świata, w którym morduje się młodzieńskie smoki, a zdarte z nich skóry wieszają się na ścianie.

– Już lepiej? – spytał Riley, nachylając się tak, że jego głowa znalazła się tuż przy mojej. Nie, wcale mi nie było lepiej, ale pokiwałam głową. A on odetchnął gniewnie i wyrzucił z siebie zdławionym głosem: – Przeklęty Święty Jerzy! Najgorsi dranie... Mordercy. Niech ich wszystkich szlag!

– Riley, ruszajmy już – szepnęłam, choć wcale jeszcze nie doszłam do siebie. Nadal czułam się okropnie. I co się dziwić! Zobaczyć czyjaś skórę przybitą gwoździami do ściany! Ciekawe, co ci dranie robią z resztą smoka, kiedy obedną go ze skóry...

O nie! Tego wcale nie chciałam wiedzieć!

– Riley, ze mną naprawdę już wszystko w porządku – szepnęłam, starając się wysunąć z jego objęć, ale nadal trzymał mnie mocno, i właśnie wtedy gdzieś tam, w tym korytarzu podobnym do labiryntu,

skrzypnęły jakieś drzwi.

Zesztywnieliśmy, a ktoś zaczął iść korytarzem wyraźnie w naszą stronę. Riley szarpnął się i zaklął. Oboje gorączkowo rozglądaliśmy się dookoła, szukając miejsca, gdzie można by się ukryć. Niestety, jedynym takim miejscem był ten właśnie pokój. Ten, do którego za nic nie chciałam wejść...

– Przepraszam, Firebrand – szepnął Riley i pociągnął mnie za sobą właśnie tam.

Czułam się podle, jakbym splamiła to miejsce. Jakby duch zamordowanego smoka był tu razem z nami i gdybym spojrzała na tamtą ścianę, zobaczyłabym już nie martwą skórę, a półprzezroczystą i zbryzganą krwią postać, która patrzy na nas oskarżycielsko. Kiedy schowaliśmy się w kącie za szafą z dokumentami, przycisnęłam twarz do ramienia Riley, starając się ani razu nie spojrzeć na ten makabryczny symbol śmierci na ścianie przed nami.

Oboje wstrzymaliśmy oddech, bo kroki było słychać coraz bliżej otwartych drzwi. Na szczęście ten ktoś do środka nie wszedł, tylko poszedł dalej równie szybkim i lekkim krokiem. Kiedy na korytarzu znów zapadła cisza, odetchnęliśmy. Riley pierwszy wyszedł z pokoju, ja za nim. Głowę miałam spuszczoną, w ogóle działało się ze mną coś dziwnego, bo czułam za sobą obecność martwego smoka.

– Przeklęty Święty Jerzy... – syczał Riley, który niewątpliwie był tak samo poruszony jak ja. – Popaprańcy, totalni popaprańcy. Potrafią tylko zabijać! Wściekły jestem, że musiałaś na to patrzeć, Firebrand. – Zatrzymał się i położył rękę na moim ramieniu.

Silną, ciepłą dłoń dodającą otuchy, której tak bardzo potrzebowałam. Milczałam, chłonąc te sekundy, odbudowując się wewnątrz.

– Firebrand, jesteś pewna, że chcesz iść dalej? – spytał rzeczowym już tonem Riley. – Możemy się jeszcze wycofać. Szukamy nadal tego człowieka czy spadamy?

Spojrzałam na niego, on równie posepnie spojrzał na mnie. I wciąż milczałam, ona natomiast mówił dalej:

– Miałaś okazję ujrzeć prawdziwe oblicze Świętego Jerzego, Firebrand. Oni właśnie robią to i tylko to. Wszyscy. Jak myślisz, ileż to

już razy ten twój żołnierz spoglądał na tę skórę wiszącą na ścianie, i w ogóle go to nie ruszało? Dla niego to tylko trofeum, skóra po jakimś zwierzęciu, które nie myśli, nie marzy, nie czuje strachu. Bo oni uważają nas tylko i wyłącznie za bestie. Może nie powinienem ci tego mówić, ale jednak powiem. Twojemu znajomemu też od małego wbijali to do głowy. Dzień po dniu i rok po roku właśnie to, Firebrand. Dlatego patrzył na ciebie tak samo jak na tę skórę na ścianie.

Zadrżałam, bo znów martwy smok stanął mi przed oczami i pomyślałam, że być może robię jednak błąd. Bo to przecież raczej niemożliwe, żeby ktoś tak nagle i tak całkowicie zmieniał swój punkt widzenia. Garret wychował się w Zakonie, czyli tam, gdzie ów makabryczny dowód śmierci i morderstwa uważany jest za trofeum, które wieszają na ścianie, bo przynosi chlubę i chwałę zdobywcy. Jak skórę tygrysa, bo według Świętego Jerzego byliśmy tylko potworami. Kto wie, może Garret jednak nadal tak uważa...

A jeśli nie? Jeśli rzeczywiście nastąpił w nim przełom i zaczął myśleć inaczej?

Przełknęłam. Niezależnie od tego, w co Garret aktualnie wierzy, nie mogę go tak zostawić. Jeśli nie wydobędę go stąd tej nocy, nieodwołalnie umrze o świcie. Dlatego nawet jeśli widzi we mnie tylko potwora, i tak muszę mu pomóc.

– Nie – powiedziałam, odwracając się od tych drzwi, od tego straszliwego trofeum na przeciwległej ścianie. – Działamy dalej. Szukamy. Nie zostawię go na pewną śmierć.

Riley ni to z dezaprobatą, ni to bezradnie potrząsnął głową.

– Głupi uparty pisklak – wymamrotał, choć jeden z kącików ust jakby leciutko drgnął. – W porządku, idziemy dalej. Wes, jesteś tam? Powiedz, jak daleko stąd do schodów?

Wes powiedział.

Musieliśmy przejść jeszcze wieloma korytarzami, mijając mnóstwo mrocznych pokoi, do których już nie zaglądałam, aż wreszcie doszliśmy do drzwi wiodących na klatkę schodową. Riley kazał zatrzymać się w bezpiecznej odległości, ponieważ przy drzwiach była kamera i musieliśmy poczekać, aż Wes ją unieszkodliwi. A kiedy to zrobił, wyrwałam do przodu i pierwsza zbiegłam po schodach. Riley oczywiście

pędził tuż za mną. Kilka stopni w dół, zakręt, znowu kilka stopni, i już staliśmy przed metalowymi drzwiami. Riley otworzył je ostrożnie i weszliśmy do jeszcze jednego korytarza, na końcu którego znów były drzwi.

Nie było tu ani strażników, ani kamer, ale Riley, podobnie jak przed chwilą, kiedy wyrywałam się do przodu, złapał mnie za rękę i zmusił, bym zatrzymała się kilka metrów przed tymi właśnie drzwiami.

– Już tu jesteśmy – mruknął do Wesa, potem słuchał, a na koniec z bardzo ponurą miną spojrzał na mnie

– Co się dzieje? – szepnęłam. – Garreta tu nie ma?

– Jest. Wes wie już to na sto procent, ale problem w tym, że za tymi drzwiami jest pomieszczenie dla strażników. Żeby dostać się do więzienia, trzeba przez nie przejść, a pomieszczenia dla strażników niestety mają to do siebie, że nigdy nie są puste.

– O nie! – jęknęłam. – Ilu ich tam jest?

– Dwóch, oczywiście uzbrojonych po zęby. Ale nie spodziewają się nas, a my, jeśli chcemy, by nie zaalarmowali całej komandorii, musimy działać niezwykle szybko. Jesteś gotowa na powtórkę szalonego ataku ninja Żmii? Drugi raz taka okazja się nie zdarzy. I zaznaczam. Kiedy otworzymy te drzwi, odwrotu już nie będzie. Definitywnie.

Czułam, jak wszystko się we mnie obrywa, ale głęboki wdech pomógł. Nieważne, co zaraz się stanie za tymi drzwiami. Mam odszukać Garreta i bez względu na okoliczności odszukam go. Tak, byłam zdecydowana, choć najchętniej uciekłabym z tego obrzydliwego miejsca, gdzie jest pełno uzbrojonych mężczyzn, a na ścianach wiszą martwe smoki. Ale byliśmy już prawie u celu. Życie Garreta zależało od tego, czy dotrzemy do niego, czy nie. Dlatego musimy do niego dotrzeć. Po prostu.

Spojrzałam na Rileya i skinęłam głową.

– Jestem gotowa.

GARRET

Do świtu sto dwadzieścia minut.

Kiedy czeka się na śmierć, najciężej znieść to rozdarcie. Bo

z jednej strony chciałoby się mieć przed sobą jak najwięcej czasu, a z drugiej – wcale nie. Chce się tylko jednego: żeby było już po wszystkim. Oczywiście o spaniu nie ma mowy, przecież obsesyjnie myślisz o tym, co przed tobą, a jednocześnie w głowie kłębią się całkiem inne myśli. Wspomnienia, pytania, co by było, gdyby... I taki w tej głowie zamęt, że w końcu marzysz tylko o tym, by ktoś wyświadczył ci przysługę i tak walnął, byś stracił przytomność i w stanie błogiej nieświadomości spokojnie doczekał, aż po ciebie przyjdą. Może to i tchórzostwo, ale nie chciałem stawać przed plutonem egzekucyjnym wykończony, pokonany. Nie miałem najmniejszego zamiaru prosić o cokolwiek, przelewać łez, błagać o litość. Ostatni mój dzień na ziemi chciałem zakończyć z klasą. Stać wyprostowany, z uniesioną głową. Przecież każdy żołnierz Świętego Jerzego miał nadzieję, że tak właśnie się zachowa w obliczu śmierci.

Kiedy leżałem na pryczy niezdolny zmrużyć oka, a także niezdolny do tego, by przerwać to nerwowe odliczanie, nagle poczułem, że się spinam. Tak samo się czułem tuż przed otwarciem kopniakiem drzwi do domu, w którym przebywał mój cel, albo kiedy podejrzewałem, że zbliżamy się do zasadzki, w którą mogę zaraz wpaść wraz z kolegami. Innymi słowy, odezwała się we mnie żołnierska intuicja, która podpowiadała, że zaraz coś się wydarzy.

Wstałem z pryczy i podszedłem do ściany z metalowych prętów, za którą było pusto i mroczno. Czyli nic podejrzanego, ale i tak czułem, że coś jest nie tak. Czyżby mieli przyjść po mnie wcześniej? Nie, to niemożliwe, ponieważ punktualność była jedną z żelaznych zasad Zakonu, a ustalono, że umrę za godzinę i pięćdziesiąt minut. Więc co się ze mną dzieje? Och, nic szczególnego. Nie wytrzymałem napięcia i zaczynam pękać...

Nagle w tej idealnej ciszy coś stuknęło. Drgnąłem, bo dźwięk był mi dobrze znany. Ktoś energicznie otworzył drzwi, najpewniej kopniakiem, więc instynktownie sięgnąłem do pasa po broń, której oczywiście tam nie było. A tuż obok ostro się działo, bo z pomieszczenia dla strażników dochodziły krzyki. Parę metrów ode mnie toczyła się walka, a ja, jak ptak w klatce, czyli kompletnie bezradny, mogłem tylko zacisnąć palce na metalowych prętach i nasłuchiwać. Krótka

szamotanina, szuranie krzesłami, głuchy odgłos ciał upadających na podłogę...

I cisza.

Czekałem, wstrzymując oddech. Nie wiedziałem, co mnie mi jest pisane, ale do walki byłem gotowy.

I nagle drzwi do pomieszczenia dla strażników otwały się i stało się to, na co kompletnie byłem nieprzygotowany.

Na spojrzenie szmaragdowych oczu.

Oniemiały mogłem tylko patrzeć w te właśnie oczy, pewien, że mam nie tylko załamanie nerwowe, lecz także halucynacje. Przecież niemożliwe, żeby to była właśnie ona. Nie ma żadnego sensownego powodu, by raptem pojawiła się w komandorii Świętego Jerzego, i to tuż przed moją egzekucją. Czyli mam przywidzenia, bo totalnie padło mi na mózg. Wzorowy żołnierz, niezdolny stawić czoła swojej śmierci, w wieku lat siedemnastu wpadł w obłąd.

Maksymalnie spięty wpatrywałem się tylko w nią. Nie było siły, bym spojrział w inną stronę. Pragnąłem wykorzystać każdą sekundę, byłem przecież absolutnie pewny, że ta dziewczyna widoczna na tle światła padającego z otwartych drzwi zaraz zmieni się w coś zwiewnego, utkanego z poświaty księżycowej. I zniknie.

Ale nadal tu była, a nawet uśmiechnęła się, i to tak właśnie, jak uśmiechała się Ember... słodko, uroczo, że serce mi się ścisnęło... i podbiegła do drzwi mojej celi.

– Ember? – spytałem szeptem, nadal nie wierząc własnym oczom.

A ona wciąż uśmiechnięta wsunęła rękę między metalowe pręty i przyłożyła do mego policzka ciepłą dłoń, dłoń jak najbardziej realną.

Zacisnąłem palce wokół jej nadgarstka, tam, gdzie wyczuwa się pulsujące żyłki, i wyszeptałem:

– Co ty tu robisz, Ember?

– Wiadomo co. Przyszłam po ciebie – odszepnęła, a ja poczułem na policzku jej ciepły oddech, kolejny dowód, że to nie wytwór mojej wyobraźni, żaden duch, tylko po prostu Ember. To jej oczy spoglądają na mnie między żelaznymi prętami, a spoglądają twardo, zdecydowanie.

– Nie zostawię cię tak, Garret. Przecież uratowałeś nas, a teraz ja nie pozwolę, by cię zabili.

– Naprawdę przyszłaś po mnie?

– Ember... – odezwał się ktoś mocno zniecierpliwiony.

Chyba już kiedyś słyszałem ten męski głos. W otwartych drzwiach do pomieszczenia dla strażników zobaczyłem ciemnowłosego, ubranego na czarno młodego mężczyznę, którego natychmiast poznałem. To także smok, ten, z którym Ember uciekła z Crescent Beach.

– Nie ma czasu na gadanie – dodał gniewnie, jednocześnie rzucając jej klucz. – Strażnicy kiedyś się ockną. Otwieraj drzwi i spadamy.

Byłem oszołomiony faktem, że Ember jest właśnie tutaj, że ona i ten drugi smok zjawili się w środku nocy, by mnie ocalić. Ale niecierpliwe słowa drugiego smoka postawiły mnie do pionu i kiedy Ember otworzyła drzwi do celi, byłem już całkowicie przytomny, w pełni świadomy, co się tu dzieje.

Lecz mimo to nie ruszałem się z miejsca, tylko stałem, wpatrując się w otwarte drzwi celi.

– Garret, chodź – powiedziała Ember. – Musimy zniknąć stąd jak najprędzej, bo ktoś nas zauważy.

– A nie mówiłem, Firebrand? – Drugi smok prychnął pogardliwie. – Możesz otworzyć klatkę z małpami, ale nie zmusisz ich, by z niej wyszły. On też nie wychodzi, bo jesteśmy jego wrogami, dlatego woli tu zostać. Nie chce uciekać ze smokami, woli, żeby swoi wpakowali mu kulkę w czaszkę! – Spojrzał na mnie, uśmiechając się szyderczo. – Czy nie tak, Święty Jerzy? Masz opory, co? A więc posłuchaj. Mam gdzieś twoją lojalnościową rozterkę. Daję ci trzy sekundy na podjęcie decyzji. Idziesz z nami albo zostajesz i dajesz się wykończyć.

Uciec z Zakonu razem ze smokami, czyli z wrogami. Jeszcze przed chwilą, pogodzony z losem, szykowałem się na śmierć, a teraz raptem mam wybierać: śmierć czy wolność?

Jeśli przekroczę ten próg, odwrotu już nie będzie. Dlatego do głosu doszedł wzorowy żołnierz, odrzucający pomysł przyjęcia pomocy od naszych największych wrogów. Nawet teraz, w sytuacji ekstremalnej. Ale to była tylko chwila, bo przecież wiedziałem już swoje. Wiedziałem coś, czego nie dostrzegałem przed poznaniem Ember, a mianowicie to, że z Zakonem Świętego Jerzego coś jest nie w porządku. Podważanie jego doktryny było zdradą, bo Zakon jest nieomylny, dlatego nikt nie

miał odwagi wysłuchać drugiej strony i przyjąć do wiadomości, że smoki, gatunek, na który Święty Jerzy poluje i zabija od stuleci, to nie są tylko i wyłącznie potwory. Nikt w Zakonie nie był skłonny zaakceptować tezy, że Święty Jerzy zabija tych, którzy wcale na to nie zasłużyli.

A poza tym Zakon nie był już moim domem. Ci sami ludzie, którzy mnie wychowali, dziś skazali na śmierć. Zawsze będę dla nich zdrajcą, niezależnie od tego, czy wyrok zostanie wykonany, czy nie, a tak się stanie, gdy ucieknę z dwoma smokami, które ryzykując życie, przybyły mi z pomocą.

I to był argument, któremu nie potrafiłem się już oprzeć.

– Idę z wami. – Przeszedłem przez drzwi celi.

Ten drugi smok... już pamiętam, Riley... otóż Riley nie odezwał się, tylko wciąż patrzył na mnie chłodno, szacująco. Natomiast Ember spojrzała z wyraźną ulgą, a wtedy Riley prychnął, ale nadal się nie odzywał.

Stałem więc po drugiej stronie drzwi do celi. Jakże znamienity fakt! Oznaczał bowiem, że nie jestem już żołnierzem Świętego Jerzego. Jestem wolny, choć szczerze mówiąc, nie miałem pojęcia, jak Ember, jej kolega i ja wydostaniemy się z komandorii.

– Idziemy – niecierpliwie burknął Riley. – Już prawie świt.

Błyskawicznie minęliśmy pozostałe cele i przeszliśmy przez pomieszczenie dla strażników, gdzie na podłodze leżeli pełniący tę funkcję żołnierze. Jeden z rozkwaszonym nosem, drugi z zakrwawionym czołem. Zapewne został pchnięty i trafił czołem w róg stołu.

Zatrzymałem się i przykląknę, po czym z kabury jednego ze strażników wyjąłem pistolet kalibru 9 mm. Sprawdziłem magazynek, starając się jednocześnie nie popatrywać na dwa nieruchome ciała. Obecnie ciała moich wrogów, ale kiedyś ci młodzi mężczyźni byli moimi braćmi z Zakonu. Razem szkoliliśmy się, razem walczyliśmy, a o tym trudno tak nagle zapomnieć nawet komuś, kto w oczach Zakonu jest zdrajcą.

Kiedy podniosłem się z kolan, Riley spojrział na mnie ze złością. Na pewno mu się nie spodobało, że mam broń. Ale nic nie powiedział. Szybko weszliśmy po schodach na parter i ruszyliśmy do drzwi na tyłach

domu. Większość żołnierzy spała. Pobudkę mieli dopiero o piątej, więc w budynku panowała niczym niezmacona cisza. Wiadomo jednak, że musimy przejść przez drzwi zabezpieczone kamerą, a przed budynkiem kręcą się strażnicy. Nie miałem pojęcia, jak Ember i Riley zamierzają stąd wyjść niepostrzeżenie, ale mieli jakąś koncepcję, bo Riley kazał nam zatrzymać się w pewnej odległości od drzwi i powiedział coś cicho do kogoś, z kim miał łączność radiową. Odczekał chwilę, skinął głową i pchnął drzwi. Czyli sprawa jasna. Mieli kogoś, kto włamał się do systemu alarmowego i był to ktoś znający się na swym fachu, bo systemy zabezpieczenia w Zakonie były na najwyższym poziomie.

Przekradliśmy się przez pograżone w nocnej ciemności podwórze, trzymając się jak najdalej od świateł. Kiedy mijał nas patrol, przykleiliśmy się do ściany. Na szczęście nie zauważyli nas i bez przeszkód dotarliśmy do pustej przestrzeni zwieńczonej ogrodzeniem, gdzie czekała nas najcięższa próba. Bo to była naprawdę pusta przestrzeń, żadnego drzewa czy choćby krzewu, za którym można by się skryć. A jeśli nas zauważą, od razu otworzą ogień i w ciągu kilku sekund wystrzelają jak kaczki.

Ale może się nam uda. A po naszym zniknięciu będzie tu się działo, oj, będzie. Kiedy Zakon odkryje, że do komandorii wkradły się dwa smoki, by uprowadzić więźnia, co najmniej przez kilka tygodni we wszystkich komandoriach wprowadzony będzie stan największej gotowości. Wzmocnione zostaną systemy alarmowe i zabezpieczenia sieci, zwiększone patrole, podczas szkoleń jeszcze bardziej podniesiona zostanie poprzeczka. A wszystko dlatego, że smoki zadrwiły z Zakonu i sprzątnęły mu skazańca sprzed nosa. Jeszcze przed kilkoma miesiącami byłbym tym faktem rozwścieczony i przerażony, lecz teraz, co oczywiste, traktowałem to inaczej. Bo z Zakonem Świętego Jerzego, który kiedyś był całym moim życiem, skończyłem definitywnie. Nie miałem pojęcia, dokąd pójdę i co mnie czeka, ale jedno było pewne. O świcie nie stanę pod murem, nie rozstrzelają mnie za to, że pomogłem smokom.

Ale nie mów hop, póki nie przeskoczysz. I to dosłownie. Mamy przecież do pokonania około czterystu metrów dzielących nas od ogrodzenia, a potem trzeba przez to ogrodzenie przeskoczyć.

Kiedy przykucnęliśmy pod ścianą budynku, szykując się do biegu przez otwartą przestrzeń ogromnego podwórza, nagle w ciszę nocną wdarło się przeraźliwe wycie syren. Ember podskoczyła, Riley zaklął i przykleili się do ściany. Ja oczywiście też, a światła reflektorów przeczesywały już cały teren, i ziemię, i niebo. Z otwartych drzwi wysypywali się żołnierze. Biegli zewsząd i czujnie rozglądając się dookoła, grupowali się w drużyny.

– Co to może być? – szepnęła Ember.

– Wiadomo co. – Riley znów zaklął. – Ktoś znalazł nieprzytomnych strażników i pustą celę, wiedzą więc, że mają nieproszonych gości. – I powiedział do mikrofonu: – Wes, namierzyli nas. Możesz pogasić tu światła? – Chwila ciszy. – Trudno. W takim razie możesz spadać. O nas się nie martw, na pewno zjawimy się w umówionym miejscu. – I znów cisza, potem prawie warknięcie: – Powiedziałem! Niech cię głowa o to nie boli. Znikaj!

Żołnierze byli wszędzie. Uniosłem więc broń, choć skręcało mnie, gdy pomyślałem, że będę strzelać do dawnych towarzyszy. Byłem też wściekły, że jest z nami Ember. Zawsze chciałem, żeby była jak najdalej od Zakonu, życzyłem jej, by nie musiała żyć w ciągłym strachu przed żołnierzami Świętego Jerzego. Ale los zrządził inaczej. Ember jest tutaj, w komandorii Zakonu, i wszystko wskazuje na to, że niebawem zakończy życie. Umrze razem ze mną.

Spojrzałem w zielone oczy, w których nie było ani odrobiny lęku.

– Za dużo ich tutaj. Nie damy rady dobiec do ogrodzenia, by nikt nas nie zauważył. Ember, spróbuję odciągnąć ich uwagę, a ty i Riley uciekajcie jak najprędzej.

W zielonych oczach pojawiły się gniewne błyski.

– Nie! Mamy tak po prostu cię tu zostawić? To po co tu przyszliśmy?! Nie ma mowy, Garret. Uciekamy wszyscy, jasne?!

Odsunęła się od ściany, i w tym momencie snop białego światła skierowany został prosto na nas. Podniosłem rękę, by osłonić oczy, ale ręka znieruchomiała, bo oczy były świadkiem czegoś, co zakrawało na cud. Dziewczyna, która stała tuż przy mnie, znikła, a na jej miejscu stał smok. Rozwścieczony czerwony smok przysiadł na tylnych łapach i rozkładając skrzydła, wydał z siebie ogłuszający ryk. Zewsząd słyhać

było krzyki żołnierzy, a ja czułem, jak powietrze znów drży od magicznej energii, która sprawia, że Riley również wraca do swej pierwotnej postaci, zmieniając się w lśniącego niebieskiego smoka z długą płetwą na grzbiecie.

Smok czerwony i smok niebieski. Kiedy te dwie istoty niemające nic wspólnego z ludzkim rodem skierowały na mnie płonący wzrok, jednak poczułem, że puls przyśpiesza, a przez głowę przemknęła myśl, że przecież to smoki, odwieczny wróg. Co robić? Uciekać czy strzelać, póki jeszcze nie rozszarpały mnie na kawałki?

Oczywiście była to tylko przelotna myśl. A do smoków, doskonale widocznych w świetle reflektorów, strzelał już ktoś inny, gdzieś z tyłu, a kule odbiły się rykoszetem od ściany. Ember warknęła, a ja odwróciłem się, unosząc broń. Parł na nas dwuosobowy patrol. Biegli, strzelając w smoki. Mnie nie widzieli, a nawet jeśli dostrzegli, to i tak byli skoncentrowani na smokach. Moi dawni towarzysze broni. Ale cóż... Uniosłem broń i prosząc w duchu o wybaczenie, wycelowałem w nogi. Obaj krzyknęli i padli na ziemię. Niestety biegli już następni, przecież całą komandorię zerwano z łóżek, gdy tylko gruchnęła wieść, że wkradły się tu dwa smoki.

– Garret!

Kiedy czerwony stwór o metalicznym połysku przypadł do mnie i tuż przed sobą zobaczyłem wąską twarz jaszczura, jednak drgnąłem, i chociaż doskonale wiedziałem, że to Ember, omal nie odskoczyłem w bok.

A smok zawołał:

– Wsiadaj! Szybko! Odlatujemy!

Mam wsiąść na smoka?! Przytknęło mnie. Bo co innego rozmawiać ze smokiem czy nawet przyjąć od niego pomoc, a co innego latać na nim. Mało tego, na smoku zmieniającym się w szczupłą zielonooką dziewczynę, z którą zdarzyło mi się niejeden raz pocałować!

Zza węgła wybiegł następny patrol, ostro strzelając. Do czasu, bo niebieski smok zaryczał, przysiadł na tylnych łapach i zionął ogniem, a żołnierze, krzycząc przeraźliwie, padli na ziemię.

– Garret, ruszaj się! – warknęła Ember, pokazując kły.

Czyli nie było już się nad czym zastanawiać. Wskoczyłem na

smoczy grzbiet, sadowiąc się między skórzastymi skrzydłami, i objąłem smukłą szyję. Czułem ciepło emanujące ze smoczyc łusek, czułem, jak mięśnie Ember naprężają się pode mną i omal nie zadrzałem. Naturalnie z emocji. Bo to niby Ember, a przecież nie ona, bo w tym poruszającym się dostojnie smoku nie ma żadnych, nawet najmniejszych oznak człowieczeństwa.

Smok wygiął szyję, by spojrzeć na mnie. Wąska długa paszcza znalazła się bardzo blisko mnie. Widziałem kły, czułem wydobywający się z tej paszczy zapach dymu i popiołu.

– Trzymaj się mocno, Garret!

Znów rozległy się strzały. Niebieski smok warknął, zapewne zaklął w tym ich gardłowym smoczym języku. Czułem, jak Ember spręża się, więc mocniej chwyciłem ją za szyję, a ona zrobiła trzy podskoki w przód, mięśnie skrzydeł napięły się jak stalowe kable i już byliśmy w powietrzu. Już leciała, czerwony smok pod szarzejącym niebem, oddalając się od komandorii, skąd ponownie posypały się pociski. Załopotana skrzydłami jeszcze szybciej, niebieski smok, oczywiście też już w powietrzu, wydał z siebie gniewny ryk, a ja całym ciałem przywarłem do ciepłego smoczego grzbietu.

Lecieliśmy. Światła reflektorów znikwały, strzały cichły, Święty Jerzy był coraz dalej od nas.

Uciekliśmy. Uciekliśmy Świętemu Jerzemu.

Oderwałem tors od smoczego grzbietu i usiadłem prosto, normalnie. Wiatr rozwiewał włosy, szarpał moim ubraniem, a ja patrzyłem i patrzyłem w dół, na pustynię, na ten bezkresny ocean piasku spowity jeszcze w mroku, choć na horyzoncie widać już było jasny róż wschodzącego słońca. A gdzieś tam daleko migotały światła samochodów pędzących po drodze.

Czy smoki, kiedy wzbijają się w powietrze, też wpadają w euforię? Jak ja teraz? Podczas surfingu, gdy razem z Ember jechaliśmy po wielkiej fali, czułem oczywiście skok adrenaliny. Niesamowity, ale to było nic w porównaniu z tym, co czułem teraz. Byłem zafascynowany i zachwycony, ale ten stan niestety uległ gwałtownej zmianie, gdy spojrzałem w tył, na znikającą w oddali komandorię, i zauważyłem coś, co zmroziło mnie. Światła samochodów. Trzy SUV-y i dziup

z reflektorem na dachu. Jechali za nami, a tu, na tej pustyni, nie ma gdzie się ukryć. Kiedy podjadą bliżej i zaczną strzelać, nie będziemy mieli żadnych szans.

– Jest van! – krzyknął niebieski smok.

Tak, ja też już zauważyłem wielkiego białego vana, który wzbijając tumany kurzu, gnał ku nam przez pustynię. Niebieski smok natychmiast złożył skrzydła i zaczął opadać na ziemię. Ember zrobiła to samo, przedtem jednak wyczułem, że zadrzała, słyszałem też, że ciężko dyszy, czyli taki lot z pasażerem na grzbiecie był dla niej nie lada wysiłkiem.

Niebieski smok był już prawie przy ziemi, w niewielkiej odległości od vana, który wyhamował z piskiem opon i kiedy tylko niebieski smok usiadł na ziemi, drzwi otwarły się i z samochodu wyskoczył młody mężczyzna. Był wyjątkowo chudy i miał niesłychaną ilość potarganych włosów na głowie. Krzyknął coś do niebieskiego smoka i niebieski zaczął biec. Do nas, czyli do Ember, i wtedy dotarło do mnie, że absolutnie jest coś nie tak, bo Ember, choć była już prawie przy ziemi, nadal frunęła w stronę vana. Bardzo szybko, podejrzenie szybko, i znów zadrzała. Nie, to nie jest drzenie, tylko dreszcze. Wstrząsnęło nią kilka razy, zatrzepotała skrzydłami i runęła na ziemię głową w dół.

Mnie oczywiście wyrzuciło ze smoczego grzbietu. Rąbnąłem o ziemię, przeturlałem się kilkakrotnie i błyskawicznie zerwałem się na równe nogi. Świat zawirował, ręce we krwi, poczułem, że mam przetrącone żebra. Ale to naprawdę nieistotne.

– Ember?!

Leżała na boku kilka metrów dalej i dyszała ciężko. Jedno skrzydło stłamszone i wsunięte było pod nią, drugie nieruchome i rozłożone na ziemi. Łapy poruszały się, szpony drapały piach, ogon drżał. Ale w ciągu minuty, może dwóch, bo tyle czasu upłynęło, zanim pokieraszowany dotarłem do niej, skrzydło zadrzało konwulsyjnie... i czerwony smok znieruchomiał.

– Ember! – Riley, już nie smok, lecz nagi ciemnowłosy mężczyzna, przykląkł przy pokrytej łuskami szyi. – Ember, słyszysz mnie? Co się stało? Czy ty...

Zamilkł. W chwili, gdy dokuśtykałem do niego, cofał właśnie rękę, która cała była we krwi.

– Co się dzie...

– O nie! – wykrzyknął i poderwał się z kolan. – Wes! Chodź tu! Postrzelili Ember! Trzeba jak najszybciej zanieść ją do vana, bo zaraz będziemy mieć ich na karku!

– Kurde! – Kudłaty błyskawicznie obiegnął samochód i otworzył tylne drzwi. – A nie mówiłem, że to durny pomysł?! Że przez tę upartą smarkulę wykończą nas wszystkich!

– Zamknij się! I ruszaj się, bo połamię ci te chude kulasy i zostawię Świętemu Jerzemu na pożarcie!

– Riley, przecież jestem tutaj – odezwał się szybko. – Mów, co mam robić.

Wtedy spojrzał na mnie. Przeszywająco, ale w tym momencie mógł sobie patrzeć, jak chciał. Najważniejsza była Ember, a ponieważ Riley nie udzielił żadnych instrukcji, zrobiłem to, co uważałem za słuszne. Przykląknęłam i wsunęłam rękę pod przednią łapę. Ember poruszyła się nieznacznie, szpony przejechały po piasku i znów znieruchomiała. Riley po krótkiej chwili wahania przykląknął z drugiej strony, przy jednej z tylnych łap, i wrzasnął:

– Wes! Ruszaj się! Musisz pomóc!

Wes, cały czas klnąc pod nosem, przykląknął obok mnie.

– Na trzy podnosimy – powiedziałem.

Riley jeszcze raz rzucił mi pełne złości spojrzenie, a potem już całkowicie skoncentrowaliśmy się na rannym smoku.

– Raz... dwa... trzy!

Podnieśliśmy nieprzytomną czerwoną smoczykę zwisającą bezwładnie na naszych rękach. Była o wiele lżejsza, niż się spodziewałem, choć oczywiście swoje ważyła, ale udało nam się przenieść ją te parę kroków i ułożyć w vanie. Na szczęście zmieściła się. Pogniecione skrzydła ułożyliśmy po bokach, ogon na grzbiecie. Z głową i szyją był problem. Skończyło się na tym, że usiadłem z przodu i szyję smoka ułożyłem sobie na kolanach. Co z kolei musiało się bardzo nie podobać Rileyowi, bo stał jak kołek w otwartych drzwiach i świdrował mnie wzrokiem.

– Riley, do cholery! – wrzasnął Wes. – Nie widzisz, że te dranie już są blisko?! Siadaj z tyłu, ale już!

Riley ruszył się, owszem, ale przedtem wysyczał do mnie:

– Jeśli ona umrze, to już nie żyjesz.

Było jasne, że nie rzuca słów na wiatr.

Warkot silników – na pewno nie białego vana – dobiegający spoza niewysokiego wzniesienia słycać było coraz bliżej. Święty Jerzy nie zamierzał odpuścić. Wes jeszcze raz wrzasnął na Rileya, który w końcu zatrzasnął drzwi, te koło mnie, i przemieścił się do tych z tyłu samochodu. Ember jęknęła. Poruszyła się, skrzydła zatrzepotały, nadal jednak była nieprzytomna. A ja przesunąłem się trochę w swoim fotelu, dzięki czemu na moich kolanach leżała już nie szyja, lecz wąska głowa smoka ozdobiona rogami. Oddech Ember był bardzo płytki i gorący. Łapy drżały, szpony drapały mnie w nogę. A kiedy ostrożnie położyłem dłoń na pokrytej łuskami szyi, zauważyłem coś, co mnie przeraziło. Krew, żywą czerwoną krew ściekającą na podłogę.

Van rwał do przodu przez piach. Prawie frunęliśmy przez pustynię gonieni rykiem silników Świętego Jerzego. A czerwony smok, którego głowa spoczywała na moich kolanach, umierał.

CZĘŚĆ II

NIE WSZYSTKO, CO SIĘ ŚWIECI...

COBALT

Dwanaście lat temu...

– Agencie Cobalt! Czeka na was!

Wstałem, kilkakrotnie poruszyłem ramionami w przód i w tył, żeby pozbyć się nieprzyjemnej sztywności, i ruszyłem za asystentem, który poprowadził mnie długim korytarzem, na sam koniec, gdzie była sala konferencyjna.

Szedłem za nim, ale wcale nie posuwałem się rączym krokiem, bo tego rodzaju spotkań po prostu nienawidziłem. Nie cierpiałem tego wysiadania w zimnym biurówcu, tego zmuszania się do sztywnych form pełnych uprzejmości i wyrażających absolutny szacunek wobec starszego smoka siedzącego po drugiej stronie stołu i świdrującego mnie wzrokiem. Na szczęście do takich spotkań twarzą w twarz dochodziło bardzo rzadko i tylko w szczególnych przypadkach. Zwykle organizacja kontaktowała się ze mną w inny sposób, na przykład materiały dotyczące nowego zadania, schowane w kopercie albo teczce, czekały na mnie w umówionym miejscu. Mogłem je sobie odebrać i spokojnie przejrzeć w samotności, a nie pod ostrzałem baczących i wścibskich oczu, kiedy to czułem się, jakbym siedział na ławie oskarżonych.

Teraz też tak miało być, teraz, kiedy tak w ogóle było fatalnie, bo nadal byłem wściekły, że moja ostatnia misja nie powiodła się, że przeze mnie zginęli niewinni ludzie. A zginęli, bo Talon mnie okłamał, i dlatego absolutnie nie wierzyłem już ani jednemu ich słowu.

Wszedłem do pokoju konferencyjnego, gdzie za długim drewnianym stołem, ustawionym na samym środku, siedziały trzy osoby. Przede wszystkim Adam Roth w znakomicie skrojonym szarym garniturze, jeden z młodszych wiceprezesów Talonu. Już tego się dochrapał! Już, choć starszy był ode mnie zaledwie o marnych kilkaset lat!

Formy formami, a życie swoje. Musiałem patrzeć na niego o ułamek sekundy dłużej, niż było przyjęte, bo w jego oczach groźnie błysnęło, więc spojrzałem szybko w inną stronę, na pozostałe osoby.

I zmroziło mnie. Bo kogóż to ja zobaczyłem? Mego dawnego

instruktora, starego drania we własnej osobie, a teraz samego Szefa Bazyliszków. Siedział niby zamyślony i bębnił palcami po stole. Nieobecny duchem? A skąd. Za dobrze go znałem, żeby nie wiedzieć, że nic, co dzieje się w tym pokoju, nie umknie jego uwadze. Także to, że tuż za nim, na parapecie okna, gołębie uwiły sobie gniazdo. Był jednym z najstarszych instruktorów w organizacji. Bardzo wysoki i chudy, o ostrych rysach twarzy i jeszcze bardziej ostrym spojrzeniu czarnych, zawsze rozbieganych oczu. Ciemne włosy były już, takie znamię czasu, przyprószone siwizną.

Instruktora zawsze otaczała aura tajemniczości. To wrażenie potęgowała wyjątkowo duża i nierówna blizna pod lewym okiem. Jeszcze nie tak dawno na jego widok czułem przede wszystkim lęk, lecz teraz już nie. Teraz tylko odrazę. I nie miałem pojęcia, dlaczego tu jest. Czyżby dwie osoby do osądzenia każdego mego ruchu to było jeszcze zbyt mało? Tak, dwie, bo oprócz niego i Rotha był tu jeszcze ktoś, kogo te dwa dorosłe smoki przytłaczały swoją obecnością, ponieważ był to człowiek, do tego chudy jak patyk, za to z wyjątkową obfitością brązowych włosów, w wygniecionej koszuli wyłazącej zza paska. Według ludzkich standardów był to człowiek niewątpliwie bardzo młody, miał lat osiemnaście, może dziewiętnaście, ale na pewno nie więcej. Bardzo mnie zaskoczyła jego obecność w tym budynku, a szczególnie w tym gremium. Bo skoro tu był razem z Rothem i jednym z najstarszych instruktorów Talonu, to przecież musiał wiedzieć, kim jesteśmy. Kimże więc był ten tak niepozornie wyglądający człowieczek, a przede wszystkim co zrobił, czym się zajmował, by dostąpić takiego zaszczytu?

– A... Agent Cobalt! – powiedział Roth, podnosząc się z krzesła. – Dziękuję, że przyszliście. Proszę, usiądźcie.

Dał znak ręką, bym zajął miejsce przy stole. Więc spocząłem obok instruktora. A ściślej mówiąc, obok pustego krzesła obok instruktora. Natomiast człowiek siedział po drugiej stronie stołu. Sam.

– Witaj, Cobalcie. Słyszałem, że nieźle dajesz sobie radę – powiedział Szef Bazyliszków, nie patrząc na mnie. Jeden z kącików ust drgnął i na surowej twarzy pojawił się dobrze mi znany i zniechęcony przeze mnie uśmieszek. Instruktora nie widziałem od ponad roku, ale

i tak poczułem się przy nim znowu jak nieśmiały, jękający się pisklak. Takie wspomnienie z przeszłości. Bo, jak już mówiłem, obecnie nie bałem się go, tylko czułem odrazę.

Roth usiadł, wygładził krawat, po czym jego dłonie spoczęły na stole. Palce naturalnie splecione. A ja w tym czasie wymamrotałem, oczywiście do instruktora:

– O, jestem pewien, że słyszał pan o mnie niejedno.

Taka swobodna uwaga w rozmowie z wysoko postawionym smokiem była wielką lekkomyślnością. Kilka lat temu za coś takiego w najlepszym wypadku dostałbym po łbie, a potem zaaplikowano by mi morderczy trening przez bitych sześć godzin. Tamte lata, kiedy naprawdę bałem się instruktora, już minęły. Teraz byłem w pełni ukształtowanym i świetnie wyszkolonym Bazyliszkiem, jednym z najlepszych, niemniej jednak nie powinienem był z nim zadzierać. Nie, ale z drugiej strony to naprawdę śmiesznie małe ryzyko w porównaniu z najbardziej niebezpiecznymi misjami, na które wysyłali mnie bez mrugnięcia okiem. A ja, marny pionek, bez szemrania wykonywałem ich rozkazy. Co szkodzi więc, jeśli szanowny pan instruktor dowie się, że tak ogólnie to ja tym wszystkim wcale nie jestem zachwycony.

Wąskie wargi instruktora drgnęły. Tylko rozbawił go mój brak szacunku, a może jest zły? Trudno powiedzieć, tym bardziej że patrzył już gdzie indziej, na wiceprezesa, który wyraźnie zamierzał zabrać głos.

I zabrał:

– Przyjrzałem się waszym dotychczasowym misjom, agencie – powiedział, ku mojej wielkiej uldze przechodząc od razu do konkretów. Nie znosiłem tych uprzejmości na wstępie, tych pytań, jak minęła podróż i czy jestem zadowolony z mojej kwatery. – Wasz instruktor wyraża się o was jak najlepiej i wiemy doskonale, że nie bez powodu. Od dawna nie mieliśmy Bazyliszka, który w tak młodym wieku miałby już takie osiągnięcia. Kiedy spytaliśmy waszego instruktora, kto byłby najlepszy do tej misji, od razu wskazał na was. Moje gratulacje!

– Dziękuję panu – odparłem, skłaniając uprzejmie głowę. – Dla dobra organizacji zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Omam nie udławiłem się tym frazesem. Niestety, to właśnie w takim momencie należało powiedzieć, a ja jeszcze nie oszalałem do takiego

stopnia, by obrażać organizację. Gdybym to zrobił, najpewniej nie wyszedłbym stąd żywy.

Pan Roth uśmiechnął się, z tym że uśmiech ten absolutnie nie rozjaśnił jego surowej twarzy, po czym odwrócił się do gigantycznego ekranu zawieszzonego na ścianie. Nacisnął na pilota i na ekranie pojawił się obraz satelitarny. Pustkowie zasypane śniegiem, dookoła góry, u podnóża jednej z nich kilka szarych budynków.

– Jestem pewien, że wiecie, co to jest – powiedział wiceprezes.

– Wiem – odparłem, wpatrując się w ekran. – Baza Świętego Jerzego. O ile się nie mylę, jest to jedna z ich północnych komandorii.

– Tak, i jest to nowa komandoria. Odkryliśmy ją w zeszłym tygodniu i od razu zaczęliśmy monitorować. Ich systemów zabezpieczenia nie ma jeszcze w sieci, dlatego uznaliśmy, że to najlepsza pora na atak. Widzicie ten budynek, agencie? – Wokół jednego z domów pojawiło się czerwone kółko. – W tym budynku mieści się centrum danych. I to jest wasz cel. – Roth mówił tonem idealnie beznamytnym, jakby właśnie podawał termin następnej konferencji. – Chcemy, byście weszli do tej bazy, znaleźli główny komputer i pobrali pewien poufny plik z ich sieci, a potem, by zatrzeć ślady, zniszczyli budynek.

Moja twarz naturalnie pozostała kamienna, ale w środku czułem istne trzęsienie ziemi. Jak dotąd dostawałam różne zadania, naprawdę bardzo różne, jednak żadne z nich nie było aż tak niebezpieczne. Mam wkraść się do bazy Świętego Jerzego? Do komandorii, gdzie roi się od żołnierzy?

– A co konkretnie mam znaleźć? Oczywiście znam się na komputerach, ale hakerem nie jestem. A nawet jeśli ta baza jest tam od niedawna, to pliki na pewno są już dobrze zabezpieczone, zakodowane.

Pan Roth uśmiechnął się i przeniósł chłodne spojrzenie na istotę siedzącą dokładnie naprzeciwko mnie. Na kudłatego człowieka, który uniósł głowę znad laptopa i spojrzał na nas ponuro, jakby przesiadywanie przy jednym stole z trzema smokami nie tylko nie robiło na nim żadnego wrażenia w sensie niezwykłości czy obawy, lecz bardzo mu się nie podobało. I to naprawdę bardzo.

– Masz rację – powiedział kudłacz z wyraźnie brytyjskim akcentem i sięgnął za laptopa, wziął coś stamtąd i podsunął mi prawie pod nos.

Co? Po prostu czarnego pendrive'a.

– Co na nim jest? – spytałem.

– Program, dzięki któremu mogłem włamać się do ich systemu, oczywiście tak, żeby nikt się nie zorientował, znaleźć dane, których szukamy, i ściągnąć odpowiedni plik – odparł, nie patrząc na mnie. – Weź tego pendrive'a, bo jak powiedziałem, dzięki temu systemowi nikt się nie zorientuje, że ktoś coś ściągnął. A z użyciem pendrive'a nie będziesz miał żadnego problemu. Masz go po prostu włożyć do komputera. Chyba potrafisz to zrobić?

Zabrzmiało to trochę prowokująco, ale co tam. Kiwnąłem głową i wsunąłem urządzenie do kieszeni. Oczywiście korciło mnie, by zapytać, o jakie dokładnie informacje chodzi. Informacje niewątpliwie bardzo ważne, skoro zdecydowano się wysłać mnie na teren wroga. Wiedziałem jednak, że nie ma sensu pytać, bo gdyby uznali, że powinienem to wiedzieć, Roth sam by mi o tym powiedział. A skoro tego nie zrobił, znaczy to, że nie zamierzają mnie o tym poinformować. Moim zadaniem jest tylko wykonać misję i wcale nie muszę wiedzieć, dlaczego mam to robić.

A poza tym teraz najbardziej ciekawił mnie ten właśnie młody człowiek siedzący naprzeciwko mnie. Na pewno wiedział doskonale, kim jesteśmy, czego najlepszym dowodem było to, że Roth nie robił żadnych wybiegów, po prostu rozmawiał swobodnie. Czyli ten młody człowiek musiał mieć jakąś szczególną pozycję. Talon zatrudniał wielu ludzi, wybierając najinteligentniejszych, najbardziej utalentowanych, kusząc ich bogactwem, władzą, gwarancją bezpieczeństwa. Ale większość ludzi pracujących dla Talonu nie miała pojęcia, kim naprawdę jest ich pracodawca. Przychodzili do pracy, wykonywali swoje zadania, wracali do swoich domów, do swoich bliskich, kompletnie nieświadomi, że firma, w której pracują, to nie jest taka normalna firma. A tak naprawdę jest całkowitym zaprzeczeniem normalności. Tylko kilku zwykłych śmiertelników znało prawdę, a ich milczenie kupiono albo za pieniądze, albo wymuszono groźbą czy nawet szantażem. Z tym że wśród tych, co znali prawdę, byli również ludzie, którzy naprawdę wierzyli w wyższość naszego gatunku i byli dumni, że pracują dla nas. Tych jednak, co znali prawdę, było bardzo niewiele, bo każdy smok

wiedział, że ludzie z natury są łatwowierni, słabi i nietrudno ich przeciągnąć na swoją stronę. Dlatego ujawnienie człowiekowi prawdy o nas było nadzwyczaj ryzykowne i organizacja decydowała się na ten krok tylko wtedy, gdy istniały solidne podstawy, by sądzić, że ten właśnie człowiek nie zdradzi nas przed resztą świata.

Ciekawe więc, jak to było w przypadku tego chłopaka. Ciekawe też, dlaczego jest ponury i zniechęcony, może nawet aż tak bardzo jak ja...

Głos znowu zabrał Roth. Kiedy tylko się odezwał, chłopak natychmiast wbił wzrok w komputer.

– Kiedy skończycie, agencie, pobierać plik i prześlecie go do sieci Talonu, znajdziecie ich centrum danych i zniszczycie je. Trochę to potrwa, zanim doprowadzą wszystko do porządku, co nam oczywiście jest bardzo na rękę. A poza tym ta misja ma jeszcze jeden cel...

Zamilkł, spoglądając na swojego instruktora. Stary Bazyliszek wyprostował się w swoim krześle i odchrząknął, po czym oznajmił:

– Tym drugim celem jest przetestowanie w terenie czegoś, co być może będzie dla nas nową i bardzo pożyteczną zabawką. W każdym razie taką mamy nadzieję.

Ostatnie słowa oczywiście wypowiedział z tym swoim wrednym uśmieszkiem, a ja omal się nie skrzywiłem. Pisklak albo świeżo upieczony agent może i byłby zadowolony, a nawet dumny, że będzie coś tam testował. Ale ja nie byłem taki głupi, ponieważ domyślałem się, o jaką zabawkę chodzi, i szczerze mówiąc, po prostu się przeraziłem. W technologiach i naukach ścisłych Talon zawsze był w czołówce, świadomy, że nie tylko gwarantuje to zyski, lecz jest także czymś bardzo istotnym w naszej walce o przetrwanie. Nasz gatunek nie wyginął tylko dlatego, że stawiał na wiedzę i ewolucję. Talon pomnażał wiedzę podobnie jak swój majątek, wykorzystując ją dla dobra organizacji. Posiadał niezliczone ośrodki badawcze i laboratoria, gdzie najtęższe umysły Talonu pracowały niezmiernie, dokonując niebywałych odkryć, a także eksperymentując z czymś, co najlepiej byłoby zostawić w spokoju.

Na przykład z magią. Oczywiście, bo magia przecież istnieje w naszym świecie. Gdyby jej nie było, piętnastotonowy smok nie

mógłby skurczyć się do takiego stopnia, żeby przybrać rozmiary człowieka. Tak więc fakt, że magia nie jest w codziennym użytku, wcale nie oznacza, że jej nie ma. Kiedyś magia była wszędzie, o czym świadczą stare przekazy i legendy. Były czarownice, czarodzieje, demony i potwory, czarodziejskie miecze, a nawet jednorożce kryjące się w leśnej głuszy. Ale wraz z rozwojem cywilizacji magia coraz bardziej szła w zapomnienie. Prawdopodobnie coraz mniej było na świecie tej odwiecznej mocy, której dziś nawet Elder Wurm już nie używał. Po prostu przestała być potrzebna. Smoki na pewno utraciły zdolność posługiwania się magią, uciekały się do niej tylko w jednym przypadku, a mianowicie podczas dokonywania Przemiany, czyli przeistaczania się ze smoka w istotę rodzaju ludzkiego.

W ostatnich latach jednak laboratoria Talonu zaczęły produkować bardzo dziwne rzeczy. Na przykład kombinezony, które nie drą się podczas Przemiany, czy też leki, po zażyciu których w anatomii smoka następowały istotne zmiany. Szerzyły się pogłoski, że do najnowszych eksperymentów wykorzystuje się i naukę, i magię, łącząc je ze sobą, a te eksperymenty to dopiero wstęp do czegoś naprawdę wielkiego, czegoś, co całkowicie zmieni świat smoków. Oczywiście nie miałem pojęcia, na ile można wierzyć tym pogłoskom. A mój instruktor był wielkim miłośnikiem nowinek i kiedy tylko z któregoś z laboratoriów wyszła nowa „zabawka”, natychmiast kładł na niej łapę.

Poczułem na sobie czyjś wzrok.

Spojrzenie instruktora tak świdrujące, że miałem wrażenie, jakby istotnie wywiercał mi dziurę w czaszce.

Stłumiłem w sobie westchnienie.

– Tak jest – wymamrotałem, nie patrząc na niego. – Dla Talonu zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Oczywiście, znów frazes. Ale cóż... Nic innego nie mogłem powiedzieć.

Nastała krótka chwila ciszy, potem jednak ciekawość przeważała.

– A można wiedzieć, co dokładnie będę testować? – spytałem, zerkając na instruktora.

Konkretnej odpowiedzi jednak nie uzyskałem.

– O, na pewno ci się to spodoba – powiedział stary drań i zaśmiał

się.

Zaśmiał tak, że nie miałem żadnych wątpliwości. Będzie odwrotnie. Ta cała ich zabawka na pewno nie przypadnie mi do gustu.

GARRET

Słońce grzało niemiłosiernie, w vanie gorąco jak w piecu, a my już chyba z godzinę jechaliśmy tą piaszczystą drogą. Nikt się nie łudził, że Święty Jerzy nam odpuści, dlatego jechaliśmy tylko bocznymi drogami, wyczuleni na każdy pojawiający się na drodze samochód. Jak dotąd bez żadnych zakłóceń konsekwentnie oddalaliśmy się od komandorii Świętego Jerzego, ale to wcale jeszcze nie oznaczało, że z każdym kilometrem jesteśmy bezpieczniejsi. Przecież wiadomo, że Zakon nie przestanie ścigać zdrajcy, który uciekł z dwoma smokami. Smokami, które zakradły się do komandorii! Dlatego należało jak najszybciej poszukać porządnej kryjówki. Żywiłem wielką nadzieję, że moi wybawcy mają już coś na oku.

– Kurde! – zaklął kudłaty za kierownicą. – Ledwie ciągnie! Riley, muszę koniecznie zatankować, bo skończy się na tym, że będziemy te smocze zwłoki ciągnąć przez pustynię na piechotę.

– A niech to szlag! – odparł niski głos z tyłu samochodu. – W porządku. Tankuj, ale masz to zrobić migiem.

Wes natychmiast skręcił w prawo i nacisnął na gaz, niewątpliwie kierując się z powrotem ku drodze głównej, a ja spojrzałem w tył, żeby sprawdzić, co tam się dzieje. A tam bez zmian. Riley klęczał przy czerwonym smoku leżącym na podłodze i przyciskał do jego boku zakrwawioną szmatę.

– Jak z nią, Riley?

– Niedobrze – odparł, choć było jasne, że rozmowa ze mną nie sprawia mu żadnej przyjemności. – Wciąż nieprzytomna, ale dla niej to i lepiej. Straciła mnóstwo krwi. Udało mi się zahamować krwotok, ale kula jest w środku. Kiedy tylko znajdziemy się w bezpiecznym miejscu, trzeba zająć się raną. Dopóki nie wyjmę tej cholernej kuli, Ember nie będzie mogła poddać się Przemianie. Nie wolno tego robić, kiedy ma się w sobie obce ciało, bo można sobie coś uszkodzić.

Czyli faktycznie niedobrze. Niedobrze z Ember. Niedobrze, że nie ma mowy o Przemianie i każdy, kto zajrzy do samochodu, od razu zauważy czerwonego smoka leżącego na podłodze.

O tym samym myślał też kudłaty, bo warknął:

– Módl się, żeby nikt jej nie zauważył, bo inaczej nie zdążymy pomyśleć, a już będziemy mieli Świętego Jerzego na karku.

Prawdopodobnie Talon też! Na pewno!

Talon? Czyżbym się przesłyszał?

– Dlaczego Talon? Myślałem, że wszystkie smoki...

– No to źle myślałeś – wyrzucił z siebie Riley, spoglądając na mnie z pogardą. – Bo ty, Święty Jerzy, wiesz o nas bardzo mało. Teraz, kiedy nie jesteś zajęty wykańczaniem smoków, będziesz miał okazję dowiedzieć się czegoś o nas więcej.

– Riley! – zawołał Wes znad kierownicy. – Stacja benzynowa jest jakieś pięć kilometrów stąd. Zatankuję tam, bo nie wiadomo, czy zdarzy się następna okazja. Poza tym muszę iść do kibla.

– Dobra. Tylko pamiętaj, tempo. Jasne? – odparł Riley i zaczął ostrożnie wyciągać spod Ember płócienną plandekę, na której została ułożona.

Po jakimś czasie faktycznie na poboczu drogi zamigotały światła, niewątpliwie stacji benzynowej. Niestety niepokojąco dużej, bo i z restauracją, i ze sklepem, w związku z czym było tam pełno ludzi.

Po raz kolejny spojrzałem, jak tam sytuacja z tyłu. Była już trochę inna, bo Riley w tym czasie zdążył wyciągnąć spod Ember całą plandekę, oba skrzydła ułożyć po bokach smoka i go przykryć. Niestety plandeka była trochę za mała, bo ogon jednak wystawał, widać też było czubki szponów, więc ktoś, kto by się przyjrzał uważniej, mógłby się zorientować, że to, co pod plandeką, to jakiś dziwny, pokryty łuskami i całkiem niepodobny do człowieka stwór. Tak, ale na pewno lepiej to wszystko wyglądało z plandeką niż bez.

Wes zatrzymał się przy jednym z dystrybutorów i wyskoczył z samochodu, zostawiając kluczyki w stacyjce, a ja, co oczywiste, rozejrzałem się czujnie dookoła. Na szczęście niczego podejrzanego nie zauważyłem. Ze sklepu i restauracji wychodzili ludzie, najczęściej całe rodziny, i nieśpiesznie wracali do swoich samochodów. Z boku stało

kilka dużych ciężarówek. Nie widać było żadnych żołnierzy, czarnych SUV-ów, niczego, co by wskazywało na jakże niepożądaną obecność Świętego Jerzego.

Jak na razie.

Wes zatankował błyskawicznie i popędził do środka. Wiadomo, do kibla, a ja nadal lustrowałem wzrokiem otoczenie, co jakiś czas popatrując na dwa smoki za mną.

– Riley, czyli ty już nie należysz do Talonu? – spytałem.

A pytałem o coś, co dla mnie było absolutnie niepojęte. Przecież od małego miałem na amen wbite do głowy, że wszystkie smoki należą do Talonu, wielkiej organizacji rozprzestrzenionej po całym świecie, i wszystkie mają jeden wspólny cel. A jest nim zagłada ludzkości. Zawsze był to dla mnie pewnik, a tu raptem okazało się, że w tej, zdawałoby się, idealnie spójnej organizacji są jednak jakieś tarcia. Czyli po prostu wiadomość niezwykła.

Ale nigdy bym się też nie spodziewał, że kiedyś zaprzyjaźnię się ze smokiem, ściślej smoczycą, który nie zawaha się ryzykować życia, by mnie ocalić.

Riley, zajęty naciąganiem plandeki na szpony Ember, burknął:

– Nie.

I cisza. Rzecz jasna z wielką niecierpliwością czekałem na dłuższą wypowiedź, a tu nic. Wyczuwałem jednak, że złość Rileya nie jest skierowana na mnie, lecz właśnie na Talon, co, jak łatwo zrozumieć, jeszcze bardziej pogłębiało moją ciekawość. I poczucie winy wobec nich, wobec smoków. Bo to, czego właśnie się dowiedziałem, było kolejnym dowodem na to, że Zakon nie ma racji, traktując wszystkie smoki jednakowo, bo na przykład ten smok, Riley, wcale już do organizacji nie należy i wszystko wskazuje na to, że absolutnie nie darzy jej sentymentem. Do jakiego stopnia więc Zakon był omylny wobec naszych odwiecznych wrogów? I ilu smokom odebrałem życie, wierząc, że postępuję słusznie?

– Riley, skoro nie trzymasz już z Talonem, to z kim?

– Ze sobą – padła krótka i natychmiastowa odpowiedź, która wcale mnie nie zaskoczyła.

Nagle coś cichutko zabrzęczało. Drgnęliśmy nerwowo, ale

niepotrzebnie, bo wiadomo, że odezwała się komórka w kieszeni Riley'a.

– Dureń... – wymamrotał, spoglądając na wyświetlacz. – Jak zawsze nie w porę, bo właśnie teraz musiał mu wysiąść ten jego nerwowy żołądek.

Schował komórkę do kieszeni, spojrzał w okno i podobnie jak ja przed chwilą zlustrował wzrokiem otoczenie. Czujny jak żołnierz czy agent, który potrafi wyłapać każde, nawet najmniejsze zagrożenie.

Zaparkowaliśmy przy ostatnim dystrybutorze, stojącym z brzegu, w pobliżu nie było więc nikogo, ale Riley i tak rozglądał się jeszcze przez chwilę. A potem spojrzał na mnie i oznajmił:

– Wchodzę do środka. Mój szurnięty partner utknął w kiblu. Czas leci, a trzeba koniecznie kupić parę rzeczy. Nie będzie mnie przez chwilę... – Spojrzał w dół, na to coś dużego i przykrytego płócienną plandeką, spod której jednak nadal wystawały czubki szponów i ogon. – Czy mogę ci zaufać, Święty Jerzy?

Spokojnie wytrzymałem jego wzrok i odparłem po prostu:

– Tak. Możesz.

Zacisnął usta. Może i zmełł w nich przekleństwo, w każdym razie nie powiedział już nic, tylko szybko wyjął kluczyki ze stacyjki, wyskoczył z samochodu i trzasnął drzwiami, zostawiając mnie samego z nieprzytomnym smokiem.

W samochodzie zaległa cisza, słychać było tylko ciężki oddech Ember. Spod płóciennej plandeki oprócz końca ogona i szponów wystawała także paszcza. Ember we śnie zagryzła jedną z warg, odsłaniając cały rząd kłów. Tak długich i tak ostrych, że mimo wszystko poczułem się nijako. Ale patrzyłem, bo to jednak niesamowite. Pomyśleć tylko: smok pokryty czerwonymi łuskami o metalicznym połysku to prawdziwa postać zielonookiej i rudowłosej dziewczyny, którą poznałem w Crescent Beach. W tej postaci widziałem ją już nie po raz pierwszy, zawsze jednak działo się to w chwilach pełnych napięcia. Za pierwszym razem w trakcie walki, kiedy żołnierze Zakonu weszli do kryjówek smoków, za drugim na plaży podczas starcia z tamtym dorosłym smokiem. Dlatego dopiero teraz mogłem jej się dokładnie przyjrzeć, temu wielkiemu jaszczurowi z łuskami, szponami i kłami, który jest również Ember, dziewczyną, z którą związane były wszystkie moje

wspomnienia z Crescent Beach. Wspomnienia o wspólnym surfowaniu, o naszym tańcu na imprezie, o zapierającym dech pocałunku w wodach oceanu. W każdym z tych wspomnień była Ember, zielonooka dziewczyna o zaraźliwym uśmiechu, która nade wszystko kochała życie, napawała się nim aż do utraty tchu.

Tak, ale Ember nie była dziewczyną. Była... właśnie tym. Smokiem.

Jakiś samochód zjechał z drogi i zatrzymał się przy sąsiednim dystrybutorze. Z samochodu wysiadła czteroosobowa rodzina, rodzice i dwóch małych chłopców. Oczywiście od razu się spałem, na szczęście matka z synkami weszła do sklepu. Ojciec został jeszcze chwilę, by zatankować, potem również wszedł do sklepu.

I znowu cisza, spokój. I zniecierpliwienie, bo czas leci, a ich wciąż nie ma. Gdzie oni są, do cholery? Gdzie przepadli cholerni Riley i Wes?!

Nagle wielkie ciało pod płócienną plandeką poruszyło się, wydając groźny pomruk. Ember rzuciła głowę i ściągnęła z siebie plandekę, odsłaniając jasnoczerwonego smoka w całej okazałości. Próbowала wstać, ale nie powiodło się to, bo zachwiała się, przechyliła w bok i uderzyła o drzwi. Walnęła porządnie, bo samochód się zakołysał, a ona, rozzłoszczona swoją nieporadnością, znów wydała z siebie groźny pomruk i kilkakrotnie uderzyła ogonem. Po czym ponowiła próbę.

– Ember!

Szybko wstałem i przeszedłem na tył samochodu, robiąc po drodze unik, dzięki czemu nie oberwałem w twarz wściekle furkoczącym smoczym skrzydłem.

– Ember, uspokój się. Nie szalej!

Wtedy błyskawicznie wykręciła głowę w moją stronę, wystawiając ku mnie rogi. Odruchowo podniosłem rękę i jeden z rogów dziabnął mnie w dłoń.

– Ember! Przestań! – ryknąłem, łapiąc za ten róg, a wtedy ona znieruchomiała.

Ja też, w końcu trzymanie za głowę półprzytomnego czerwonego smoka było nie lada przeżyciem. Smocza paszcza była na wysokości moich oczu, nozdrza rozdęte, białe ostre kły błyszczały złowrogo. Nic dziwnego, że poczułem się nieswojo. Bo to jednak smok. Stoi tuż przede

mną, w każdej chwili może rzucić się ze szponami, może zionąć mi ogniem prosto w twarz.

Puściłem smoczy róg, ale Ember nie ruszyła się z miejsca. Stała nieruchomo, w jej smoczycich oczach o zwężonych źrenicach widać było bezbrzeżne zdumienie.

– Garret, to ty?!

Co za ulga! Bo to, co usłyszałem, na pewno było głosem Ember, wprawdzie trochę drżącym, ale to w pełni zrozumiałe, była przecież ranna i obolała.

Znów się zachwiała i spytała wciąż tym samym słabiutkim i niewyraźnym głosem:

– Gdzie jestem? Co się dzieje?

– Ember, proszę. Przede wszystkim połóż się, wtedy pogadamy.

Jeszcze raz się zachwiała i ponownie walnęła o ścianę samochodu, który mocno się zakołysał. A ja, zdesperowany, po prostu znów wziąłem ją za róg, bo uznałem, że to jedyny sposób, by zmusić ją do skupienia się na mnie.

– Ember, proszę, spójrz na mnie i posłuchaj. Jesteś ranna i bardzo osłabiona, powinnaś się położyć.

Wtedy spojrzała na mnie. Jej oczy były nienaturalnie jasne, czyli musiało ją bardzo boleć. I w tych oczach, oprócz bólu, był też strach. Dyszała ciężko, paszcza nadal była otwarta, złowrogie kły nadal doskonale widoczne. W rezultacie znów poczułem nieprzepartą chęć zabrania swojej ręki, od czego na szczęście udało mi się powstrzymać. Wciąż bohaterko trzymałem smoczy róg i przemawiałem łagodnym głosem:

– Ember, jesteś bardzo słaba, poza tym znajdujemy się w miejscu publicznym. Kręci tu się mnóstwo ludzi i na pewno lepiej będzie, jeśli nikt cię nie zobaczy, prawda? Dlatego bardzo proszę, połóż się.

Jeszcze przez dobrą chwilę tylko wpatrywała się we mnie, a ja w tym czasie bardzo się starałem, by mój oddech z tych emocji nie przyśpieszył. Przecież była to jedna z najbardziej surrealistycznych chwil w moim życiu. Ja, były żołnierz Świętego Jerzego, błagałem półprzytomnego smoka, by się położył, bo jest osłabiony, a tak w ogóle to lepiej, żeby nikt nas nie zobaczył! No i nigdy dotąd nie byłem tak

blisko smoka. Owszem, podczas naszej ucieczki siedziałem na grzbiecie Ember, ale to było jednak coś innego. Teraz staliśmy twarzą w twarz, po raz pierwszy więc czułem tak wyraźnie gorący oddech pachnący dymem, po raz pierwszy dotykałem smoka. Trzymałem go przecież za ten róg! Wcześniej, owszem, zdarzyło mi się dotknąć smoka, ale martwego, a jeśli żywego, to tylko podczas wojennej akcji, kiedy każdy z nas walczył o życie.

Ember zadrżała i wreszcie, ku mojej wielkiej uldze, ułożyła się z powrotem. Kiedy kładła głowę na podłodze, z paszczy wydobył się zduszony jęk, potem skrzydła zatrzepotały, ogon uderzył o ścianę samochodu, też tylko raz, i Ember zamknęła oczy. Zasnęła. A ja odetchnąłem i bardzo zadowolony z siebie spojrzałem w okno.

I zmroziło mnie.

Koło samochodu stał mały chłopiec, chyba pięcioletni, ściskając w rękach plastikowy kubek z napojem. Oczy chłopczyka okrągłe były jak spodki, więc musiał widzieć wszystko. Czyli tragedia. Kiedy gorączkowo zastanawiałem się, co powinienem w tak krytycznej sytuacji zrobić, do chłopczyka podeszła jakaś para, niewątpliwie rodzice.

– Jason, idziemy, synku. A na co ty tak patrzysz? – spytała matka, biorąc go za rękę.

– Na smoka, mamo.

– Na smoka?! – Matka spojrzała w okno samochodu.

Ja zaś uśmiechnąłem się – owszem, może i blado, ale dobre i to – i wzruszyłem ramionami.

– Chodź, Jason. Tata czeka – powiedziała kobieta i podprowadziła chłopczyka do stojącego nieopodal samochodu.

Wsiedli, samochód ruszył. Widziałem przyklejoną do szyby twarz chłopczyka, który okrągłymi ze zdumienia oczami wciąż wpatrywał się w naszego vana.

Samochód wjechał na drogę, przyśpieszył i po chwili znikł mi z oczu. Odetchnąłem i zaraz potem ze sklepu wyszli obładowani zakupami Riley i Wes. Do samochodu prawie biegle, zdążyłem jednak przed ich przybyciem przykryć Ember plandeką i wrócić na swoje miejsce, czyli z przodu, obok kierowcy.

Wes otworzył drzwi, bezceremonialnie rzucił swoje torby na moje

kolana i odsunął się na bok, by przepuścić Riley'a. I słusznie, bo dzięki temu nie trzeba było otwierać tylnych drzwi, a to było jednak ryzyko, bo ktoś mógł zauważyć leżącego na podłodze smoka. Riley wsiadł więc pierwszy i przeszedł na tył auta. To znaczy nie doszedł, bo kiedy zauważył, że plandeka nie jest już tak porządnie naciągnięta na smoka, jak była przed jego wyjściem, zatrzymał się.

– Jakiś problem, Święty Jerzy? – spytał, spoglądając na mnie podejrzliwie.

– Nic takiego, z czym nie umiałbym sobie poradzić – odparłem enigmatycznie.

W tym momencie Ember przez sen poruszyła skrzydłem, odrzucając na bok plandekę, a czerwona krew bryznęła na okno.

Riley zaklął i już był przy Ember.

– Znowu krwawi. Wes, daj apteczkę, ale szybko. Ona nie może stracić więcej krwi. Święty Jerzy, siadaj za kierownicą.

Wes przemieścił się na tył samochodu, a ja zgodnie z poleceniem siadłem na jego miejscu i przekręciłem kluczyk w stacyjce.

Kiedy van ożył, spytałem:

– Dokąd jedziemy?

– Do Vegas! – odparł Riley. – To niedaleko, a znam tam takie miejsce, gdzie spokojnie możemy zostać przez kilka dni.

Ember zadrżała i kopnęła tylną łapą ścianę. Wes jęknął, Riley znowu zaklął i wydarł się:

– Jedź, słyszysz?! Dokładne zamiary podam ci później, ale teraz już ruszaj, do jasnej cholery!

Ruszyłem. Wjechałem na zalaną słońcem drogę, minąłem zakurzoną tablicę, która informowała, że od Las Vegas dzielą nas dokładnie sto trzy kilometry, i dałem pełny gaz.

DANTE

– Panie Hill, czy znajdzie pan dla mnie chwilę?

Uniosłem głowę znad biurka. W drzwiach, trzymając teczkę, stała Mist. Niby jak zwykle była opanowana i pewna siebie, jednak wyczułem w niej bliżej niekreślony niepokój. Może dlatego, że tego dnia srebrzyste

włosy związane były w koński ogon, a w tym uczesaniu Mist wyglądała bardzo młodo, choć zazwyczaj prezentowała się niezwykle dojrzałe i poważnie, wręcz surowo, dlatego trudno mi było uwierzyć, że jesteśmy rówieśnikami. Nie, nie, oczywiście uwierzyłem, bo trudno dyskutować z faktami, natomiast zacząłem się zastanawiać, czy Mist wyrastała w normalnych warunkach, to znaczy takich, jakie my, smoki, uważamy za normalne.

Odłożyłem długopis, którym właśnie coś notowałem na żółtej kartce, i uśmiechnąłem się.

– Oczywiście! Wejź, Mist. I jeszcze raz proszę, mów do mnie po imieniu. Ile to już razy prosiłem cię o to?

– Dziś po raz piąty – powiedziała, jak zwykle tonem bardzo uprzejmym, i jak zwykle była w tym tonie odrobina prowokacji. – Przewiduję, że będzie pan musiał poprosić mnie jeszcze co najmniej ze dwa razy. Ale teraz to nieistotne. Panie Hill, bardzo proszę, żeby pan poszedł ze mną, bo moim zdaniem powinien pan to koniecznie zobaczyć.

Po wejściu do pokoju operacyjnego odruchowo spojrzałem na mapę satelitarną, właśnie ukazującą się na jednym z wielkich ekranów, na której widać było brązowy pas oznaczony zielonymi plamami. Mist stanęła obok mnie, spoglądając również na tę mapę, a dwóch pracowników w tym czasie zawzięcie postukiwało w klawiatury.

– To wschodni kraniec pustyni Mojave – wyjaśniła Mist, opierając się o biurko. – Blisko granicy Arizony i Utah. Kiedy powiedział pan, że szuka zachodniej komandorii Zakonu, skierowaliśmy nad ten rejon naszego satelitę rozpoznawczego, dokładniej nad okolice Crescent Beach...

– Chwileczkę! – zawołałem zaskoczony. – Czy to znaczy, że mamy satelity?

– Tak. Posiadamy jeden z największych na świecie systemów komunikacji satelitarnej – wyjaśniła Mist beznamiętnym tonem. – Kilka dodatkowych satelitów nie było problemem. Rozpoczęliśmy więc poszukiwania i znaleźliśmy... właśnie to.

Mapa na ekranie uległa powiększeniu, teraz widać było na niej jakieś zabudowania na pustkowiu. Był to oczywiście widok z lotu ptaka i z bardzo dużej wysokości, ale i tak można się było zorientować, że nie

są to budowle imponujące. Kilka długich prostokątnych budynków na ogrodzonym terenie, zauważyłem też dwie bramy wjazdowe i wiodącą przez pustynię drogę.

– To zachodnia komandoria Świętego Jerzego – powiedziała Mist z naciskiem, jakby wyczuwając, że odnoszę się do tych informacji dość sceptycznie.

– Jesteście tego całkowicie pewni? Bo raczej nie wygląda mi to na pilnie strzeżoną bazę wojskową.

Mist spojrzała na mnie z lekkim zniecierpliwieniem, po czym powiedziała takim samym tonem:

– Przecież oni chcą, żeby pan właśnie tak to widział, tak to oceniał, panie Hill. Zakon stawia albo na miejsca odludne, albo na świetnie zabezpieczone. Niektóre z ich baz, między innymi kwatera główna w Londynie, wyposażone są w taką broń, że o wejściu tam nie ma co marzyć. Inne znów komandorie, jak ta właśnie, znajdują się na bezludziu. O kilku wielkich bazach Zakonu Talon wie od dawna, natomiast te małe niełatwo jest namierzyć. Natrafiliśmy na nią tylko dlatego, że zgodnie z pana poleceniem bardzo uważnie śledziliśmy ruchy Świętego Jerzego w tym właśnie rejonie. Zajęło nam to całą noc.

– Świetnie... – mruknąłem i z powrotem wlepiłem oczy w ekran. – A więc to jest ta ich zachodnia komandoria. Talon zapewne też będzie chciał się o niej dowiedzieć. Czy poinformowałaś już pana Rotha o waszym odkryciu?

– Nie, ponieważ sędzę, że panu powinien przyspać ten zaszczyt, bo to pan należał, by szukać w tym rejonie, śledząc ruchy Świętego Jerzego, i dzięki temu znaleźliśmy tę komandorię. I jeszcze coś. Proszę spojrzeć na to.

Ekran najpierw ściemniał, jakby była to noc. Wszędzie czerń, tylko w kilku miejscach migotało światło. A potem jeden z pracowników stuknął w klawisz, czerń znikła, a obraz na ekranie stał się zielony, ziarnisty. Przez tę szmaragdową mgłę widać było niezbyt wyraźnie budynki i ogrodzenie wokół bazy. Na pasku na dole podany był czas. 3:36. I data. Dwa dni temu.

Nagle wśród tej zieleni zauważyłem dwa czarne i ruchome jak robaczki punkciki, które podążały przez pustynię. Wyraźnie kierowały

się w stronę ogrodzenia otaczającego teren bazy. Jednak nie szły drogą ani nie skorzystały z żadnej z bram. Przeciwnie, podeszły do ogrodzenia w bardzo dużej od nich odległości, zatrzymały się tam na moment. Jak się po chwili okazało, zrobiły to w konkretnym celu, a mianowicie po to, by wyciąć w siatce ogrodzenia dziurę, którą przedostały się do środka. Następnie robaczki zaczęły skradać się przez podwórze, kierując się ku komendanturze.

Robaczki? Cóż, nastał czas na identyfikację.

– Kto to może być? – szepnąłem. – Przecież nie...

– Najpewniej tak, panie Hill. Naszym zdaniem to Ember. –

Przerwała, popatrując na mnie. – Ember razem z Cobaltem. Tak, to musi być on, ponieważ w ciągu ostatnich miesięcy żaden z naszych agentów nie dostał rozkazu wyruszenia do bazy Świętego Jerzego. A Cobalt jest nie tylko znakomicie wyszkolonym agentem, ale i wyjątkowo odważnym, zdolnym do podjęcia najbardziej nawet brawurowej akcji. Między innymi dlatego stanowi wielkie zagrożenie dla naszej organizacji.

– Ale dlaczego jest z nim Ember? – spytałem, niezdolny oderwać wzroku od ekranu, od tych dwóch mikroskopijnych postaci. Jednocześnie czułem, jak narasta we mnie gniew, a także, co oczywiste, również strach. Bo co ta Ember wyrabia?! Zakrada się do bazy Świętego Jerzego! Sama pcha im się w łapy! Czyżby oszalała? Tak, jak nic, po prostu oszalała!

Byłem tak bardzo wściekły, jak tylko można być wściekłym. Miałem wielką ochotę wrzasnąć na moją siostrę, kazać jej natychmiast stamtąd wyjść, co oczywiście było bez sensu, skoro te wszystkie zdarzenia miały miejsce dwa dni temu.

Mist popatrzyła na jednego z pracowników siedzących przy klawiaturze i skinęła głową, a po chwili ekran drgnął i cały ten jedyny w swoim rodzaju film zaczął być przewijany do przodu. Cyfry w dacie na pasku zmieniały się błyskawicznie, a więc czas mijał i wyglądało na to, że w komandorii nadal panuje cisza i spokój.

– Zatrzymaj! Teraz! – powiedziała Mist i obraz na ekranie znieruchomiał. – Panie Hill, proszę spojrzeć w lewy róg u góry. Widzi pan tam samochód? Tak? A co pan widzi za samochodem?

Gdy tam popatrzyłem, z wrażenia musiałem nabrać głęboko powietrza.

– Widzę teraz... trzech – wymamrotałem, wytężając wzrok. Nie, nie myliłem się. Oprócz tych dwóch malutkich czarnych postaci była tam jeszcze jedna, która przykucnęła za samochodem. – Czyli przyszli tam po kogoś... Ale kogo?! Przecież Święty Jerzy nie aresztuje, tylko zabija, prawda? Przynajmniej jeśli chodzi o nas, o smoki. Kto to może być... Zaraz, zaraz... Tak! To może być ten żołnierz, żołnierz Świętego Jerzego, który był w Crescent Beach! Oni... oni poszli tam, by go uwolnić!

Nogi pode mną się ugięły. Nie, taki scenariusz nigdy by mi nie przyszedł do głowy, choć pomysł obserwacji pochodził ode mnie. Ale na co liczyłem? Otóż miałem nadzieję, że monitorowanie komandorii, w której stacjonował ten cały Sebastian, naprowadzi nas na ślad Ember. Przypuszczałem, że moja siostra nawiąże z nim kontakt, może nawet dojdzie do spotkania, a wtedy uda się ją namierzyć. Nie tylko zresztą ją, ale i tego zbiega, znaczy się zbiegłego smoka, z którym jakoś była powiązana. Ale nigdy, naprawdę nigdy bym się nie spodziewał, że Ember poważy się na coś takiego...

Spojrzenie Mist było bardzo posępne.

– Czyli pańska siostra, panie Hill, nie tylko zbiegła z Talonu, ale również zbratała się z naszym wrogiem – powiedziała cicho, wyraźnie starając się, by dotarło to tylko do moich uszu. – Co zamierza pan z tym zrobić?

Ja, zanim odpowiedziałem, najpierw musiałem odetchnąć głęboko, i to kilka razy, by wrócić do jakiejś takiej równowagi.

– Muszę poinformować o tym pana Rotha – oznajmiłem wreszcie. Rzecz jasna nie byłem tym zachwycony, ale nie mogłem postąpić inaczej. – Jeśli moja siostra zdecydowała się na współpracę ze Świętym Jerzym, trzeba natychmiast powiadomić o tym Talon, ponieważ Ember nawet choćby nieświadomie może narazić organizację na poważne niebezpieczeństwo. Z tym że nie mam pojęcia, co nią tak naprawdę kieruje, do czego dąży, jakie intencje jej przyświecają.

I znów poczułem gniew. Potarłem twarz, mimo wszystko starając się zachować spokój. Tak, oszalała. Nie dość, że uciekła z Talonu, to

jeszcze pomaga komuś z Zakonu? Co ona wyrabia? I jak w świetle tego wszystkiego przekonać Talon, że moja siostra została zmanipulowana?!

Wyprostowałem się i ponownie spojrzałem na ekran, na którym nadal widać było trzy mikroskopijne postacie przykucnięte za samochodem.

– Czy oni stamtąd uciekli? – spytałem po chwili, bojąc się, co zaraz usłyszę.

Bo najgorszego scenariusza nie można było wykluczyć. Jeśli stało się właśnie to... Nie, nie będę tego oglądał, nie będę spokojnie patrzył, jak moja siostra pada martwa...

A po twarzy Mist nieoczekiwanie przemknął uśmiech.

– Na to wygląda, panie Hill – powiedziała, stukając w klawiaturę, i ekran znowu ożył.

A ja z sercem podchodzącym do gardła patrzyłem, jak wśród huku wystrzałów i błysków reflektorów dwa smoki wzbijają się w powietrze i odlatują na zachód. Jeden ze smoków był czerwony, jeśli więc miałem jakiegokolwiek wątpliwości, czy tamta malutka postać to faktycznie Ember, to już mogłem o nich zapomnieć.

I znów się we mnie zagotowało, bo na jednym ze smoków siedział żołnierz. Żołnierz Świętego Jerzego.

Odwrociłem się od ekranu i szybko wydałem polecenie pracownikowi:

– Natychmiast zawiadomcie pana Rotha, że ją znaleźliśmy.

EMBER

– Wstawaj, Ember!

To Dante. Jęknęłam. W łóżku było mi tak wygodnie, tak ciepłutko, a poza nim, poza tym moim gniazdkiem zrobionym z koców, panował straszny ziąb. Była sobota, tak, na pewno sobota, i właśnie dziś miałam posurfować razem z Lexi, ale dopiero po południu, bo moja przyjaciółka rano była zajęta, w związku z czym mogłam wreszcie porządnie się wyspać. Co niestety dla mojego szanownego brata było nieistotne, skoro wparował do mojego pokoju o tak nieodpowiedniej porze, to znaczy kiedy za oknami jeszcze jest całkiem ciemno.

Oczywiście zamierzałam kazać mu natychmiast się wynosić, kiedy jednak wychyliłam się spoza tych wszystkich koców tworzących gniazdo, nie zobaczyłam nikogo. Czyli co, Dante już wyszedł?! Mocno zaskoczona, natychmiast usiadłam i rozejrzałam się dookoła po mrocznym pokoju srebrzonym poświatą księżyca. Księżyc srebrzył również jakieś wielkie ciemne bryły, których przedtem w tym pokoju na pewno nie było. A więc co się tu właściwie dzieje? Co?!

Kompletnie zdezorientowana spuściłam nogi na podłogę... i natychmiast zadrżałam, bo podłoga była lodowata.

A poza tym, co najistotniejsze, znowu usłyszałam:

– Ember.

A jednak tu był. Zielone oczy błyszczały w ciemnościach wśród tych czarnych brył, które już zidentyfikowałam. Labirynt. Tak. Złowieszczy labirynt ze skrzyń, skrzynek i palet.

– Zdrajczyni...

On szepnął, a ja zawarczałam, odsłaniając kły. Nie miałam pojęcia, w którym momencie dokonałam Przemiany, ale dokonałam, i teraz niewątpliwie byłam smokiem. I to smokiem bardzo rozgniewanym, czułam przecież, jak jęzory ognia liżą już moje kły. A skrzydła były już na wpół rozłożone.

– I ty to mówisz? – wyrzuciłam z siebie. – O, wypraszam sobie! Bo kto tu jest zdrajcą? Myślałam, że razem uciekniemy z Talonu, ale ty, jak się okazało, nie miałeś na to najmniejszej ochoty, tylko od razu poleciałeś do Lilith, żeby jej wszystko przekablować!

Dante milczał, z nieruchomą twarzą wpatrując się tylko we mnie. A ja czułam, że mój bojowy nastrój znika. Na pewno, bo skrzydła opadły, pewnie nawet się przygarbiłam.

– Okłamałeś mnie, Dante – powiedziałam, czując już przede wszystkim ogromny żal. – Myślałam, że mogę ci zaufać, a ty wydałeś mnie Talonowi.

– Nie, to nie tak – odparł niby spokojnie, ale oczy zwęziły się w dwie zielone szpary. – To ty zdradziłaś mnie, swojego brata, uciekając z tym zbiegiem. Ty zdradziłaś, Ember... – Głos cichł, Dante zniknął w ciemnościach. – Uciekłaś, zaprzepaściłaś wszystko, na co pracowaliśmy przez szesnaście lat. Wszystko poszło na marne. Uciekłaś

z Talonu, uciekłaś ode mnie...

– Dante, zaczekaj!

Nie, nie czekał. Przeciwnie, był coraz dalej w tej czerni, aż po chwili kroki całkiem ucichły.

Wołałam, zaczęłam biec, ale jego już nie było. Tylko ciemność.

Cicho pojękując, otworzyłam oczy.

Gdzie jestem? W kompletnie nieznanym mi pokoju. Leżę na podłodze, ale nie na twardych deskach, tylko na czymś miękkim. Tak, mam pod sobą takie gniazdo z koców i na pewno jestem w postaci smoka. A pokój, w którym jestem, to niewątpliwie sypialnia, ponieważ są tu łóżko i komoda przysunięte do ściany. Innych mebli brak, poza tym żadnych porozrzucanych ubrań, obrazków czy plakatów, co świadczyłoby, że tutaj ktoś na stałe mieszka. Och, z pewnością nikt tu nie mieszka, i to raczej od dawna. W sumie jest to więc trochę dziwny pokój, i tak samo dziwnie działa się w mojej głowie. Myślało mi się bardzo ciężko, jakby moje myśli były posklejane, niezdolne do swobodnego fruwanie. Z oczami też było coś nie tak, ściślej z ostrością, bo wszystko wyglądało trochę niewyraźnie, takie zamazane, nie do końca konkretne. Musiałam kilka razy zamrunąć, żeby się poprawiło z tymi oczami, jednocześnie zmuszając szare komórki, by wreszcie zaczęły pracować jak należy.

Co się właściwie stało? Ostatnie, co zapamiętałam, to fakt, że leciałam. Tak, leciałam – i nagle w boku zabołało. Okropnie, jakby ktoś z całej siły uderzył mnie młotkiem. Co dalej? Nie pamiętam, czyli musiałam stracić przytomność. Jak długo byłam nieprzytomna?

I gdzie ja teraz jestem?!

Ostrożnie rozejrzałam się dookoła, starając się wyłowić wzrokiem coś, co mogłoby mi dać jakąś wskazówkę. I wyłowiłam. Właśnie to.

Krzesło jakieś dwa, trzy metry ode mnie, a na krześle człowiek. Konkretnie chłopak oparty wygodnie, z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Oczy miał zamknięte, więc zapewne spał.

Garret.

Mimo że byłam półprzytomna, rozpoznałam go od razu i od razu wróciła pamięć. Błyskawicznie przypomniałam sobie wszystko, co wydarzyło się tamtej nocy, w konsekwencji czego znalazłam się właśnie

tutaj. Razem z Rileyem zakradliśmy się do bazy Świętego Jerzego, uwolniliśmy Garreta i uciekliśmy. Kiedy frunęliśmy nad pustynią, niosłam na swoim grzbiecie tego oto żołnierza. A potem... potem Garret mówił, że mam leżeć. Ale to pamiętałam już jak przez mgłę, czyli być może tylko mi się śniło.

Natomiast to, co dzieje się teraz, nie może być snem. Ten żołnierz jest tu naprawdę, w tym samym pokoju co ja. Promienie słońca, wpadające przez szpary w żaluzjach, złocą jego jasne włosy i malują złociste paski na starych wystrzępionych dżinsach i białym T-shircie. I kiedy tak spał, nie było w nim nic z twardego żołnierza. Wyglądał jak zwyczajny chłopak, jak Garret, którego poznałam w Crescent Beach, a który wtedy jeszcze nie zmienił się w naszego wroga, żołnierza Świętego Jerzego, który przez całe życie nie zajmuje się niczym innym, jak tylko zabijaniem smoków.

Usiadłam, starając się zrobić to jak najciszej, niestety Garret musiał mieć bardzo lekki sen – albo też i nie spał, tylko drzemał – bo natychmiast otworzył stalowoszare oczy.

– Ember. – Powiedział to cicho, jakoś tak bardzo łagodnie, z wyraźną ulgą, i od razu wstał z krzesła, też bardzo łagodnie, bez żadnych gwałtownych ruchów.

– Tak, to ja – odparłam równie cicho.

– Wreszcie się obudziłaś. Jak z tobą?

– Chyba nieźle. – Mówiąc to, powoli podniosłam się z podłogi.

W końcu trochę się rozluźniłam, wręcz byłam zadowolona, bo owszem, czułam w boku tępy ból, ale był absolutnie do wytrzymania, w związku z czym udało mi się podnieść do pionu i sprawdzić stan mego ciała. Wyciągnęłam szyję, zacisnęłam szpony, poruszałam jeszcze tym i owym i stwierdziłam z satysfakcją, że oprócz tego boku cała reszta jest w porządku.

Jeszcze chwilę delikatnie się powyginałam, pogimnastykowałam, a na koniec spytałam:

– Garret, powiedz, co takiego właściwie się stało? Dlaczego mnie w tym boku boli?

– Kiedy uciekaliśmy przed Świętym Jerzym, postrzelili ciebie. Przywieźliśmy cię tutaj, a Wesowi udało się wyjąć kulę. Tak, udało, bo

trzeba przyznać, że trochę czasu to zajęło i wcale nie poszło tak łatwo.

– To znaczy?

– To znaczy, Ember, że omal nie umarłaś. Dopóki tu nie przyjechaliśmy, nie zdawaliśmy sobie sprawy, w jak ciężkim jesteś stanie. Straciłaś mnóstwo krwi, a kula utkwiała dosłownie parę centymetrów od serca.

– Aha... – mruknęłam, kiedy w pełni dotarło do mnie, że było ze mną rzeczywiście kiepsko. – Naprawdę?

Pokiwał głową, po czym oznajmił zdławionym głosem:

– Tak... A ta pierwsza noc... Nie wiedziałem, czy dasz radę.

Leżałaś nieruchomo, nie wzięłaś niczego do ust, nie dokonałaś Przemiany, po prostu nic. Riley powiedział, że weszłaś w stan hibernacji, bo kiedy smok dozna wielu poważnych obrażeń, wszystkie funkcje życiowe zostają spowolnione, temperatura ciała obniżona. Taka prawie śpiączka, która mija dopiero wtedy, kiedy smok dojdzie do siebie. Nie było powodu, żebym mu nie wierzył, ale... Ember, przecież przez trzy doby w ogóle się nie ruszałaś! I nie wiedziałem, czy oddychasz, czy nie!

– Garret... – wyszeptałam, a on patrzył na mnie bez słowa.

Podeszłam do niego bliżej, oczywiście powoli, ze skrzydłami rozłożonymi tylko do połowy, przecież pamiętałam, że jestem w postaci smoka, a nie chciałam, żeby poczuł się nieswojo.

Wciąż milczał, tylko wlepił we mnie wzrok.

– Wszystko w porządku – powiedziałam z miłym uśmiechem. – Owszem, może i przez trzy dni się nie ruszałam, ale popatrz, nadal tu z wami jestem!

A on tak na mnie patrzył, że serce mi się ścisnęło.

A potem potrząsnął głową i powiedział:

– Nie powinnaś była przychodzić po mnie! – Zabrzmiało to ostro, tak naprawdę gniewnie. – Brać na siebie takie ryzyko! Nie, to się w głowie nie mieści... A Zakon nie odpuści, o nie! Dam sobie głowę uciąć, że o twoim wyczynie wiedzą już w Londynie, a wszystkie komandorie w tym rejonie zostały postawione na nogi. Uwierz mi, nigdy nie przestaną na ciebie polować, nigdy nie będziesz bezpieczna, Ember!

On się złościł, więc ja też przestałam być łagodna i walnęłam ogonem o podłogę tak, że omal nie zrzuciłam lampy z komody.

– A więc jak to sobie wyobrażasz? Miałam spokojnie czekać, aż cię zastrzelą?!

I w tym momencie Garret, jak każda normalna istota, poczuł się trochę głupio.

– Przepraszam, Ember. Nie chciałybyś, byś myślała, że jestem niewdzięcznikiem. Uratowałaś mi życie i trudno, żebym z tego się nie cieszył. Jest tylko jedno małe ale. Po prostu nie rozumiem, dlaczego to zrobiłaś.

– Dlaczego? – Przekrzywiłam głowę, spoglądając w dół na Garreta.
– Przecież odpowiedź nasuwa się sama.

I wtedy jego oczy na moment rozbłysły, jakby do głowy przyszedł mu taki wariant odpowiedzi, który bardzo mu odpowiadał.

Jednak odparł głosem idealnie beznamiętnym:

– Jestem żołnierzem Świętego Jerzego, Ember. Przez całe życie wierzyłem w to, w co wierzy Zakon. Zawsze postępowałem zgodnie z jego zasadami, czyli zabijałem. Tak jak kazali, a ja, jak każdy dobry żołnierz, nie stawiałem żadnych pytań. Nigdy... – Oczy Garreta pociemniały, spojrzał w bok, na ścianę, i dokończył bardzo cicho: – Dobrze wiesz, co robiłem, dobrze wiesz, kim jestem. Pogromcą smoków, a ty, żeby mnie ocalić, ryzykowałam życie. Dlaczego?

A ja na to pytanie odpowiedziałam z trudem, prawie szeptem, bo niełatwo mówić, kiedy ogromne wzruszenie ściska cię za gardło:

– Ja... ja patrzę na ciebie inaczej, Garret. Widzę ciebie takim, jakim byłeś w Crescent Beach. Nigdy nie czułam do ciebie nienawiści... nawet po tym, co wydarzyło się na samotnej skale...

Kiedy celował do mnie, celował prosto w twarz. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam na własne oczy, kim jest naprawdę, i musieliśmy się ze sobą zmierzyć. Dwóch odwiecznych wrogów, Żołnierz Świętego Jerzego i smok.

– Ember, ja...

– A potem razem walczyliśmy przeciwko Lilith! – gwałtownie wpadłam mu w słowo. – Nie, Garret, po tym wszystkim nie mogłam pozwolić, żebyś zginął z ręki Zakonu. O nie!

Konsekwentnie wpatrywał się w ścianę, jakby nie mógł znieść widoku wielkiego gada stojącego tuż przed nim. Tak to właśnie

wyglądało i wcale nie było dla mnie miłe, na pewno nie.

I milczał, spytałam więc cicho:

– I co teraz? Jesteśmy wrogami, Garret? Nienawidzisz mnie, bo jestem smokiem?

– Nienawidzić cię? Nigdy! – odparł bez wahania. – I prawdę mówiąc, to ja powinienem zadać ci to pytanie. Czy ty mnie nienawidzisz. Przecież doskonale wiesz, co robiłem przez całe życie... – Westchnął i spuścił głowę, wbijając wzrok w podłogę. – A wrogiem twoim na pewno nie jestem. Twoim?! Przecież ryzykowałeś życie, zakradając się do bazy Świętego Jerzego. Ty i Riley. Jestem waszym dłużnikiem.

Tak powiedział, a ja już tą całą analizą byłam trochę wkurzona. Tak, nawet prychnęłam, kiedy siadałam na podłodze, owijając ogon wokół tylnych łap.

– No cóż... – wycodziłam. – Kiedy ktoś z jakiegoś tam powodu przypadkiem uratuje ci życie, może i wypada podziękować. Ale wystarczy zwyczajne „dziękuję”, a takie płomienne przemowy o poczuciu winy i tak dalej można sobie darować. Chociaż... Nie, inaczej. Może i płomienne przemowy nie są takie złe, ale powinno się je odłożyć na później, kiedy będę już w lepszej kondycji.

I wtedy Garret wreszcie znów spojrzał na mnie i się uśmiechnął.

– W porządku. Odczekam. A do tego czasu przygotuję sobie przemowę naprawdę płomienną. A teraz, zgodnie z instrukcją, powiem krótko i zwięźle. Dzięki, żeście przyszli po mnie, bo szczerze mówiąc, nie byłem jeszcze tak w stu procentach gotowy na śmierć.

Pokiwałam głową. Garret nadal spoglądał na mnie trochę niepewnie, niemniej jednak wreszcie powiedział coś normalnego, a poza tym najwyższy już był czas, by uznać temat za wyczerpany.

– Garret, gdzie reszta?

– Nie martw się, gwarantuję, że w pobliżu. Przynajmniej Riley, bo na pewno jeszcze śpi, natomiast Wes dosłownie przed chwilą poszedł na zakupy. A ja siedzę przy tobie. Robimy to na zmianę.

– Rozumiem. A gdzie my właściwie teraz jesteśmy?

– W Las Vegas – padła odpowiedź, ale udzielona już nie przez Garreta, tylko tego kogoś, kto właśnie stanął w progu i oparty o framugę

wpatrywał się we mnie złocistymi oczami.

Oczywiście był to Riley, ubrany w dżinsy z dziurami i czarny T-shirt, ale bez niemal nieodłącznej skórzanej kurtki, dlatego wydał mi się jakiś taki trochę inny. Może też dlatego, że był wymiętoszony i rozczochrany, a oczy miał zapuchnięte. Czyli po prostu był zaspany, w związku z czym wyglądał uroczo, więc moje smocze zmysły były już na pełnych obrotach. Tak. Krew we mnie zawrzała, stąd mój superradosny okrzyk:

– Riley! Wyobraź sobie, że już się ocknęłam!

– A niech cię... Och, Ember... jesteś... – wymamrotał i wkroczył do środka.

Garret natychmiast odsunął się i stanął gdzieś tam z boku, a Riley podszedł do mnie i położył ciepłą dłoń na mojej szyi. Rozkosznie ciepłą, czułam to przecież nawet przez łuski.

– A tak, znowu jestem – odparłam wesoło.

– Jak się czujesz? – spytał, spoglądając na moje żebra, a dokładnie na to miejsce między nimi, gdzie weszła kula. – Kiedy się ocknęłaś? Dlaczego nie zawołałście mnie od razu?

– No... Faktycznie stało się to jakiś czas temu. Miałam cię zawołać, oczywiście, ale jakoś tak zagadaliśmy się i...

– Och, Ember... – Riley przycisnął czoło do mego czoła. Kiedy ludzka skóra przytuliła się do smoczycy łusek, moje skrzydła z wrażenia zatrzepotały. A Riley, jakby tych wrażeń nie było dosyć, jeszcze wyszeptał: – Tak się bałem o ciebie, Firebrand, tak się bałem... Gdybyś umarła, nie wiem, co bym zrobił. Z tym że tego drania od Świętego Jerzego na pewno bym pożarł... – A potem już głośniejszym głosem: – À propos jedzenia... Jadłaś już coś, Firebrand? Bo to teraz najważniejsze, przecież od trzech dni nie miałaś nic w ustach. Musisz być okropnie głodna.

Głodna? Oczywiście! Od razu poczułam ogromny głód, na pewno o mocy głodu niedźwiedzia, który budzi się z zimowego snu. Tak, czułam się wycieńczona, osłabła z głodu, po prostu umierająca. I nie było piękniejszego słowa niż to właśnie:

– Jedzonko!

Riley zaśmiał się.

– Czyli jest tak, jak się spodziewałem. I problemu nie ma, bo

w lodówce mamy pizzę... Ale zaraz, chwileczkę, Firebrand!

Wyciągnąłem ręce, żeby mnie powstrzymać, bo wyrывałam się już do przodu. Więc się zatrzymałam, ale w oczach musiałam mieć śmierć, bo zaśmiał się jeszcze głośniej.

– Niestety, Firebrand, smoki nie mają wstępu do kuchni. Sąsiedzi, delikatnie mówiąc, mogliby być zdziwieni, a nawet niezadowoleni.

Faktycznie. Gdy to powiedział, dotarło do mnie, że nadal jestem w postaci smoka, czyli stanowczo odstaję od ludzi. Na mój widok wybuchnie panika, tak więc, niestety, zanim napełnię żołądek, muszę poddać się Przemianie. Innymi słowy, muszę porzucić swoją naturalną postać, co uczynię z żalem, bo w tej postaci, postaci smoczej, zdecydowanie czułam się najlepiej.

– Twoje ubranie jest w komodzie, a komoda jest za tobą – poinformował Riley. – Spotkamy się, kiedy znów będziesz dziewczyną. Wtedy podjesz sobie solidnie, no i równie solidnie pogadamy, bo pewne sprawy koniecznie trzeba przedyskutować.

RILEY

Ember odetchnęła głęboko i głośno, wypuszczając smugi dymu, które spowiły mnie na moment, po czym ruszyła do komody stojącej w kącie. Ember, czerwony smok z przepięknie wygiętą szyją i purpurowymi łuskami, ozdobionymi złocistymi paskami namalowanymi przez słońce. Patrzyłem na nią i patrzyłem, i okropnie mi się chciało również poddać Przemianie. Tak bardzo, że paliło w płucach, a wciągane do nich powietrze miało smak popiołu. Pokusa była ogromna, ale cóż...

Skinąłem na żołnierza i wyszliśmy na korytarz, gdzie ja, po starannym zamknięciu za sobą drzwi, wystąpiłem z kwestią zasadniczą:

– Z Ember wszystko już w porządku. Przyjrzałem jej się dokładnie. A do ciebie, Święty Jerzy, mam pytanie. Dlaczego tu jeszcze jesteś?

– Bo nie mam dokąd pójść – odparł żołnierz cicho i beznamiętnie, wpatrzony w zamknięte drzwi.

– Ale to nie mój problem, prawda? – rzuciłem opryskliwie, kierując się w stronę kuchni.

Wiedziałem przecież, że już za chwilę pojawi się tutaj Ember, by zapolować na jedzenie. Niestety oprócz reszek pizzy niczego więcej do jedzenia nie było, dlatego Wes został wysłany na zakupy. Miałem nadzieję, że wróci niebawem z wyprawy po niezbyt pociągającej okolicy, byliśmy przecież oddaleni o wiele kilometrów od szpanerskiego Stripu, słynnego bulwaru z największymi kasynami i najbardziej luksusowymi hotelami. Tu było całkiem inaczej. Przez okno na tyłach naszego domu widać było tylko równie małe i brzydkie domy, a dalej już tylko pusto i płasko, czyli pustynia Mojave ciągnąca się do podnóża gór. W tych małych brzydkich domach mieszkali ludzie biedni, okolica znana też była z wysokiego wskaźnika przestępczości, co bardzo mi odpowiadało, bo tu nikt nie zadawał żadnych pytań, nie węszył, nikt nie był ciekaw, dlaczego przed opuszczonym domem raptem zaparkował biały van.

Żołnierz wszedł za mną do kuchni i jak zawsze, gdy wchodził do nieznanego sobie pomieszczenia, najpierw zlustrował je wzrokiem.

– Musicie wyjechać stąd jak najprędzej – powiedział. – Święty Jerzy będzie was ścigać.

– Dla mnie to nic nowego – odparłem, czując, jak ogarnia mnie gniew.

Gniew, który był już we mnie przez całe trzy dni, ale udawało mi się go skutecznie stłumić. Przecież w ciągu tych trzech dni bezwzględny priorytetem była nieprzytomna Ember. Dlatego i ja, i żołnierz staraliśmy się jakoś wytrzymać ze sobą pod jednym dachem, stosując najlepszą, jak sądzę, metodę. Po prostu traktowaliśmy siebie nawzajem jak powietrze, było to więc czymś w rodzaju zawieszenia broni. Te dni jednak już minęły, Ember odzyskała przytomność i negatywne emocje znowu doszły do głosu. I to ze zdwojoną siłą. Przecież miałem już regularną wizję, jak to poddaje się Przemianie i tego żołnierza, tę żalostną kreaturę przegryzam na pół. Drania, który był w tym pieprzonym Zakonie i nic innego nie robił, tylko ścigał nas, smoki, i zabijał z zimną krwią. Owszem, podobno Ember wszystko mu wybaczyła. Ona może i tak, ja jednak w żadnym razie! Nie wyrzuciłem go z samochodu na środku pustyni tylko ze względu na Ember, która namówiła mnie do ratowania tego drania. Tylko ze względu na nią

w ciągu tych trzech dni nie wygoniłem go stąd, ziejąc ogniem i przepędzając na cztery wiatry. I dobitnie wbijając mu do głowy, że jeśli okaże się na tyle głupi, by mimo wszystko tu powrócić, to w tym ogniu nieodwołalnie spłonie, w mękach zamieni się w popiół!

Teraz nic nie stało już na przeszkodzie, by wykurzyć stąd tego drania.

– Nie musisz mi mówić, co mam robić, Święty Jerzy – wycedziłem. – Siedzę w tym nie od wczoraj. Kiedy ty jeszcze nie potrafiłeś zacisnąć palca na spuście, ja wiedziałem już dobrze, jak wyprowadzić w pole twoich kolesiów. I dlatego żaden z pieprzonych pogromców smoków nie będzie mi mówił, że mam mieć się na bacności przed Zakonem!

On jednak nie dawał za wygraną, tylko głądził dalej:

– Ale ten, kto odważył się zakraść do komandorii Zakonu, powinien mieć się wyjątkowo na bacności. W końcu znam Zakon i wiem, że nie odpuszczą. Kiedy wiadomość o tym, co zrobiliście, dotrze do Londynu, co zresztą najpewniej już się stało, uczynią wszystko, ale to absolutnie wszystko, by nas wykończyć.

– Ach tak? W takim razie co ty tu jeszcze robisz, skoro twoim zdaniem przyciągamy Zakon jak magnes? Przecież ciebie też chcą dopaść? A... Rozumiem! Wolisz być z nami, bo masz nadzieję, że smoki cię obronią, tak?

W oczach żołnierza błysnęło.

– Oczywiście, że nie! Jest mi wszystko jedno, co się ze mną się stanie. Chodzi mi o Ember. Zawdzięczam jej życie i nie mam zamiaru zostawić jej, kiedy wiem, że Zakon ją ściga!

– Zakon zawsze ją ściga, Święty Jerzy! Codziennie! I to polowanie nigdy się nie skończy, bo ta wojna trwać będzie w nieskończoność. A w tym konkretnym przypadku, czyli naszym, to nie musisz mi opowiadać, że Zakon wyjątkowo się spręży. To oczywiste, że tak robi, zresztą głównie ze względów ambicjonalnych. Musi ratować twarz, no nie? Ale o Ember niech cię głowa nie boli, bo to ja będę się o nią troszczyć. Skutecznie...

W tym momencie odezwał się ktoś trzeci, kto pojawił się w drzwiach:

– A ja uważam, że ona potrafi sama zadbać o siebie!

Oczywiście była to Ember, i oczywiście zła jak osa, więc wyprostowana, a ramiona skrzyżowane na piersi. Rude włosy sterczały na wszystkie strony. Twarz blada. Wyglądała bardzo mizernie, ale zielone oczy ciskały błyskawice. I te błyskawice omiatały nas obu. Maszerując do lodówki, ciskała je nadal, kiedy jednak do niej doszła, było oczywiste, że już skupia się na czymś innym. Na pewno, bo kiedy żołnierz, patrząc na nią, coś tam bąknął, od razu wybuchła:

– Garret! Nie lubię być niegrzeczna, ale co tam, powiem. Po prostu się przymknij. Bo zrozum, jestem smokiem, który od trzech dni nie miał niczego w ustach, dlatego aktualnie interesują mnie tylko i wyłącznie informacje, że na przykład gdzieś tu, w tej kuchni, zachomikowana jest cała góra pączków, które skonsumuję w minutę!

Sądząc po minie, dla żołnierza był to szok. Ja oczywiście zaśmiałem się.

– Kiedy masz do czynienia ze smokami, Święty Jerzy, pamiętaj o pewnej ważnej zasadzie. Od głodnego pisklaka, który rzuca się na jedzenie, wara, bo inaczej możesz stracić palce! Albo i coś jeszcze!

Ember, usadowiona już na stołku przy kontuarze, tym razem ograniczyła się tylko do kolejnego gniewnego spojrzenia, niewątpliwie uznając, że szkoda czasu na głupie gadanie. Szybko wyjęła z pudełka kawałek pizzy, ściślej kawał, i podniosła do ust, a następnie błyskawicznie unicestwiła co najmniej połowę tego, co do tych ust niosła. Ja w tym czasie wyjąłem z lodówki wodę sodową, a Święty Jerzy w milczeniu stał grzecznie pod ścianą.

Najwyżej po dwóch minutach po pizzy nie było już śladu.

– I co dalej? – spytała Ember, popatrując to na mnie, to na Świętego Jerzego.

– O, bardzo dobre pytanie. – Zgniotłem pustą już puszkę, wrzuciłem do zlewu i wyjąłem z lodówki następną. – Bo właśnie o tym chcę pogadać. Powiedz mi, Ember, czy uciekając z Talonu, miałaś już jakieś wyobrażenie, jakiś zarys planu, co będzie dalej? Dalej, czyli kiedy zostaniesz zbiegiem?

Ember przekrzywiła głowę.

– Ja? Nie... raczej nie... Och, po prostu pomyślałam, że w końcu

to ty wszystko wiesz, jesteś przecież zbiegiem od bardzo dawna i masz już wszystko przerobione.

– Nie, nie wszystko. Bo wyobraź sobie, że nigdy dotąd nie zdarzyło mi się zakradać do pilnie strzeżonej bazy Świętego Jerzego, żeby uratować wroga! No dobrze, nieważne... Firebrand, chodzi mi o to, że szczerze mówiąc, myślałem, że masz już jakieś plany, i nie spodziewałem się, że tak długo będę miał ciebie przy sobie.

– Ach tak?! – Naturalnie uniosła wyżej głowę. – W takim razie wybacz! Gdybym wiedziała, że chcesz się mnie pozbyć, dawno już bym cię uwolniła od mojej osoby i na pewno nie zawracałabym ci głowy jakimś tam zakradaniem się!

– Wyluzuj, Firebrand. Przecież chyba nie podejrzewasz, że po tym, jak cię wydostałem z Crescent Beach, zamierzałem cię zostawić gdzieś na ulicy.

Wyraźnie sposepniała.

– No... raczej nie. I powiedziałam ci już, że po prostu liczę na ciebie. Wcale tego nie ukrywam, przecież nie mam bladego pojęcia, jak ma dalej to wszystko wyglądać. To wszystko... czyli moje życie.

Oczywiście, że powinienem był jej teraz coś niecoś na ten temat powiedzieć. Jak mniej więcej wygląda dalsza egzystencja zbiegłego pisklaka. To się po prostu Ember należało. Jednak problem polegał na tym, że zawsze, co rozumie się samo przez się, byłem bardzo powściągliwy w udzielaniu informacji o mojej działalności, więc w obecności tego człowieka nie miałem najmniejszego zamiaru puszczać pary z ust. Nie, nie bałem się, że żołnierz poleci zaraz z tym do Zakonu, bo takiej opcji już nie było. Niemniej moje zaufanie do niego było zerowe. Bo co z tego, że jego kolesie chcieli go zastrzelić, skoro i tak ma ręce splamione krwią smoków? I tych plam nigdy nie zmyje.

Żołnierz, jakby czytając w moich myślach, uniosł głowę i przechwycił mój wzrok.

– Możesz jej powiedzieć – powiedział cicho. – Ja na pewno waszych tajemnic nie zdradzę Zakonowi.

Uśmiechnąłem się. To znaczy na pewno był to tylko taki uśmieszek, do tego bardzo nieprzyjemny.

– Akurat o to głowa mnie nie boli, Święty Jerzy, bo gdybym

uważał, że jesteś do tego zdolny, twoje kości już dawno walałyby się po pustyni.

– Nie przeginaj, Riley! – zawarczała Ember. – Przecież wiadomo, że on nie jest już za Zakonem!

– A ty lepiej posłuchaj, Firebrand! I niech do ciebie dotrze, że wolę dmuchać na zimne, bo chodzi nie tylko o moją skórę, ale o życie wszystkich smoków, które udało mi się uwolnić z Talonu. Te pisklaki liczą na mnie, wierzą, że zagwarantuję im bezpieczeństwo, że uchronię je przed Talonem, przed Żmijami. Ale nie tylko, bo przecież mamy na głowie także Świętego Jerzego. Sama wiesz, że dla tych drani nie ma żadnej różnicy między Talonem a smokiem zbiegiem! – oświadczyłem głosem podniesionym, piorunując oczywiście wzrokiem żołnierza.

Żołnierz naturalnie nabrał wody w usta, ale na moje wyczucie przyznawał mi w duchu rację. Dobrze chociaż i to.

Po krótkiej chwili milczenia mówiłem dalej, i to mówiłem głośno, zdecydowanie, autorytarnym tonem:

– Dlatego jeśli obecność byłego żołnierza Świętego Jerzego w tym pokoju jest według mnie w chwili obecnej niewskazana, nie traktuj tego jak jakąś obsesję! Bo o ile pamiętam, to poprzednim razem jeden z nich, kiedy znalazł się w tym samym pokoju co my, po prostu do nas strzelał! A ja, jak powiedziałem, nie mam najmniejszego zamiaru narażać życia pisklaków, które wydostałem z Talonu i teraz zdane są tylko na mnie!

– No tak... Przecież rozumiem – bąknęła Ember, już zdecydowanie nie w takim bojowym nastroju. – A możesz powiedzieć, ile ich jest? Tych pisklaków?

Westchnąłem, może nawet się przygarbiłem przytłoczony faktem, że mimo wszystko jednak zacząłem puszczać parę z ust. Ale trudno, skoro słowo się rzekło...

– W tym roku dwadzieścia. Dwadzieścia pisklaków plus ludzie, którzy ze mną współpracują. Są niezbędni, inaczej nic by z tego nie było. Pisklaki, które uda mi się wydrzeć organizacji, są bardzo młode i naiwne, dlatego każdy pisklak potrzebuje opiekuna, kogoś, kto będzie nad nim czuwał, dopóki pisklak nie będzie w stanie prowadzić samodzielnego życia.

– Nie wiedziałam...

– Teraz wiesz. I nie martw się, Firebrand. Skoro nie masz żadnych innych planów i zostajesz ze mną, to oczywiście zaopiekuję się tobą. Nawet już wiem, gdzie cię ulokuję. W pewnym sennym, niektórzy miejscowi nawet mówią, że „zapyziałym” miasteczku u podnóża gór. Będziesz mieszkała w lesie u swojego „dziadka”, bo dziadek jest właścicielem kilku hektarów lasu, który przylega do parku narodowego. Niestety plaży tam nie ma, ale jest cicho i zielono, a co najważniejsze, jest to miejsce odosobnione, gdzie na pewno nie znajdzie cię ani Talon, ani Zakon. Będziesz tam całkowicie bezpieczna. Masz moje słowo.

– A co ty będziesz robił?

– Ja? No cóż... To co do tej pory. Będę walczył z Talonem, podkradając mu pisklaki. Miejmy jednak nadzieję, że kiedyś ta misja dobiegnie końca i nadejdzie ten dzień, kiedy liczba wolnych smoków będzie już wystarczająco duża, by powstały przeciwko Talonowi. Marzę o tym... Ale kto wie, czy to nie marzenie ściętej głowy...

Może i tak. Ale w końcu w coś trzeba wierzyć.

– Pomogę ci, Riley.

Deklaracja Ember padła natychmiast, bez chwili wahania, bez cienia strachu. Byłem pełen uznania dla jej determinacji, ale zarazem też zaniepokojony. Bo z jednej strony przeczuwałem, że Ember, ten uparty i zuchwały pisklak, wystąpi właśnie z czymś takim, z drugiej strony jednak nie wiedziałem, czy mam prawo włączać ją do tak bardzo niebezpiecznej gry, jakże często przerażającej i krwawej, wymagającej dokonywania skrajnie trudnych wyborów, niszczącej nie tylko ciało, lecz i duszę. Ile to już razy widziałem śmierć? I ile to już razy za tę śmierć byłem odpowiedzialny? Ile to już było tych nocy, kiedy nie byłem pewien, czy przeżyję do rana, czy ta następna godzina nie będzie tą ostatnią? Widziałem to, co najgorsze, widziałem, na co stać Talon i Zakon Świętego Jerzego, cały ten cholerny świat, i stąd ten mój pancerz cynizmu, bo bez niego po prostu nie dałbym rady.

Nie, nie mogłem pozwolić, by to samo przeżywała Ember.

Naturalnie był jeszcze inny powód, taki, który burzył we mnie krew i warczał, domagając się, bym absolutnie pozwolił Ember trwać u mego boku, mało tego, żądał, bym jak najszybciej zabrał ją tam, gdzie nie będzie ani smoków, ani ludzi, ani Świętego Jerzego. Nikogo, tylko

ona i ja. Oczywiście tego wszystkiego domagał się mój smok. On szalał, a ja przecież byłem wykończony. Te trzy dni, kiedy Ember leżała nieruchomo zawieszona między życiem a śmiercią, to był prawdziwy koszmar. Nie mogłem spać, zebrać myśli, niczego zaplanować, niczego zrobić, aż tak bardzo bałem się o nią. Czyli, podsumowując, sytuacja jest bardzo niedobra, bo ja, obarczony tak wielką odpowiedzialnością, nie mogę skupiać się na jednej istocie. To wykluczone, bo ode mnie zależy zbyt wiele istnień i smoczych, i ludzkich. Dlatego nie wolno mi mieć przy sobie Ember, która stanowczo powinna jechać do starannie wybranego przeze mnie miasteczka.

Niestety, jak mogłem się tego spodziewać, Ember tym wariantem absolutnie nie była zachwycona.

– Nie mam najmniejszego zamiaru jechać do jakiejś kryjówki w środku lasu, Riley – oznajmiła stanowczym tonem. – Nie pozbędziesz się mnie! Bo jak ty to sobie wyobrażasz? Mam siedzieć z założonymi rękami, rozkoszując się ciszą i zielenią, kiedy ty ratujesz pisklaki i bronisz je przed Żmijami i pogromcami smoków? Nie, absolutnie się na to nie zgadzam! Wiem już, do czego zdolny jest Talon, wiem, że gotowi są zabić tych, którzy nie odpowiadają ich wyobrażeniom o „porządnych” smokach i „przydatnych” ludziach. Przejrzałam już na oczy i mam zamiar ci pomagać, a także pomagać wszystkim smokom, które chcą być wolne. Chcę, żebyśmy wydostali z Talonu jak najwięcej smoków...

– Firebrand, proszę, przemyśl to. Wiadomo, że jesteś zła na Talon i chcesz się na nich odegrać, ale zastanów się. Nasze życie jest bardzo niebezpieczne. Uciekamy bez przerwy i przed organizacją, i przed Świętym Jerzym, a ty, niestety, wiesz już dobrze, czym to pachnie. Postrzelili cię, przez trzy dni byłaś nieprzytomna. Jeśli zdecydujesz się na współpracę ze mną, taka sytuacja w każdej chwili może się powtórzyć.

– Wiem.

– I nigdy nie będziesz miała normalnego życia. Rozumiesz? Nigdy! Bo nie mogę ot tak, raptem uznać, że nie mam już ochoty tego robić i marzy mi się inny sposób egzystencji na tym ziemskim padole. Milszy, radośniejszy, spokojniejszy, wolny od nieustających zagrożeń... To w ogóle nie wchodzi w rachubę! Nie mogę zawieść smoków i ludzi,

którym obiecałem, że zagwarantuję im bezpieczeństwo. Wszystko wskazuje więc na to, że będę zajmował się tym do końca życia, które raczej długo nie potrwa...

Na tym koniec, bo nagle drzwi otwały się, tak gwałtownie, że walnęły o ścianę, i do pokoju wpadł Wes. Wbiegł i błyskawicznie zatrzasnął za sobą drzwi. Był blady i zadyszany, a w oczach szalał obłęd.

– Święty Jerzy! Są już tutaj! Jechali za mną!

EMBER

Święty Jerzy! Są już tutaj!

Strach ścisnął mnie za gardło. Święty Jerzy przybył, znowu jest blisko, śmiertelnie blisko! A więc nieważne, dokąd pojedziemy i co będziemy robić, on i tak zawsze będzie o krok za nami. Zawsze dzielić nas będą tylko sekundy od chwili, gdy ktoś kopniakiem otworzy drzwi i posypie się grad ołowianych kul. Tym bardziej że zrobiłam to, co zrobiłam. Bezczelnie wkradłam się na ich terytorium i pokazałam im środkowy palec, dlatego koniecznie chcą mi się odpłacić. Teraz to już nie jest dla nich tylko rutynowa praca, rutynowe zabijanie anonimowego wroga. Nie, teraz było to coś bardzo osobistego.

– Mówisz, że jechali za tobą?! – krzyknął Riley, podchodząc do Wesa, który stał z okiem przyklejonym do judasza. – Przecież Święty Jerzy nie wie, kim jesteś. Nigdy cię nie widzieli, nie mieli jak cię namierzyć, zidentyfikować. Skąd mogą wiedzieć, że też jesteś ich celem?

– Nie mam pojęcia – odparł Wes, odwracając się od drzwi. – Ale na pewno ktoś obserwował mnie na parkingu, a w drodze powrotnej siedział mi na ogonie. Do diabła, potrafię to wyczuć. Dlatego tak długo mnie nie było, bo starałem się ich zgubić. Ale niestety nie udało się. Myślę, że oni są na całym terenie. Nie chodzi o jednego zwiadowcę, ale o patrol rozpoznawczy przeczesujące te okolice. To jak ich zgubić?

Riley podszedł do okna, oczywiście z boku, przyklejony do ściany, żeby nikt z zewnątrz go nie zauważył.

– Nikogo nie widzę – mruknął. – Może jednak udało ci się ich zgubić.

– Nie, to nie tak – odezwał się nagle Garret i głowy wszystkich natychmiast zwróciły się w jego stronę. Stał pod ścianą ze skrzyżowanymi na piersi ramionami i zadziwiająco spokojny jak na tę sytuację, dokończył: – Jeśli to faktycznie Święty Jerzy i jeśli grupa rozpoznawcza naprawdę namierzyła Wesa, to grupa szturmowa jest już w drodze. To niemal pewnik, czyli czasu mamy naprawdę niewiele.

– A więc spadamy – oznajmił Riley, ruszając do drzwi. – Natychmiast, póki jeszcze jasno. Wes, zbierz wszystkie rzeczy.

Wes, oczywiście wyrzucając z siebie jedno przekleństwo po drugim, wybiegł z kuchni.

A ja zawołałam do pleców Riley'a:

– Zaraz, a gdzie się wybierasz?

Zatrzymał się i spoglądając na mnie bardzo posepnie... nagle pogłaskał mnie po ramieniu.

Tylko raz, a ja już poczułam, jak temperatura mego ciała się podnosi.

– Do miasta, tam gdzie pełno ludzi – odparł. – Mam nadzieję, że Zakon nie będzie nas mordował na oczach tłumu. Pakuj się, Firebrand, i to jak najszybciej, bo naprawdę nie mam ochoty znowu widzieć tych drani.

Pakowanie zajęło mi dosłownie kilka minut. Miałam przecież ze sobą tylko plecak, a w nim trochę ubrań i parę drobiazgów. Wes chwycił laptopa, Garret pistolet, który zabrał strażnikowi w Zakonie. Reszta naszych rzeczy została wrzucona do dużej torby, którą Riley powiesił sobie na ramieniu, i już byliśmy gotowi do drogi. Tak, bo zbieg musi być zawsze gotów do wymarszu, a rzeczy to sprawa drugorzędna. Raz miałeś to, raz coś innego. Z tym że Riley był do jednej rzeczy przywiązany. Do skórzanej kurtki, nie pierwszej już świeżości, której strzegł jak oka w głowie.

Po chwili byliśmy już przed drzwiami. Riley spojrział przez judasza, a Garret stał tuż przy mnie i nie zaprzeczam, bardzo mocno odczuwałam tę jego bliskość, choć oczywiście ze względu na powagę sytuacji starałam się to zbagatelizować.

– W porządku – oznajmił Riley z okiem przyklejonym do judasza. – Wygląda na to, że teren czysty.

– Nic pewnego – mruknął Garret. – Święty Jerzy, jeśli gdzieś tu jest, na pewno się postarał, żebyś go nie wypatrzył.

Riley, nie odrywając oka od judasza, prychnął.

– Nie będziemy przecież tak tu stać i czekać, aż wyważą drzwi!

Chwycił klamkę, uchylił drzwi i natychmiast do środka wlało się oślepiające światło zachodzącego słońca. Riley zlustrował wzrokiem ulicę, ja też, wspinając się na palce, żeby dojrzeć coś nad jego ramieniem. No i dojrzałam, a jakże. I na ulicy, i na sąsiednich podwórzach wypatrzyłam tylko pustki. Żadnych podejrzanych samochodów, żadnych fachowców, malarzy czy elektryków niby to zajętych robotą. Nasz van spokojnie stał na końcu podjazdu, czyli wszystko było normalnie.

– W porządku – powiedział Riley, otwierając szerzej drzwi i przekraczając próg. – Teren czysty, a więc...

I w tym momencie gdzieś znikąd doleciał przytłumiony charakterystyczny dźwięk, a mnie serce podskoczyło do gardła. Zaraz potem świst kuli, vanem zatrzęsło i przechylił się na bok, bo obie opony z tyłu były już sflaczałe.

– Cholera jasna! Już tu są!

Riley błyskawicznie wycofał się do środka i zatrzasnął drzwi. A na dworze powtórka. Znów ten przytłumiony dźwięk, świst i okno od frontu wydało z siebie całą kakofonię dźwięków, kiedy odłamki szkła posypały się i na ziemię, i do środka, na nas. Wrzasnęłam, zasłaniając twarz, a Garret momentalnie chwycił mnie za rękę i odciągnął na bok, pod ścianę.

– Nie wolno podchodzić do okna, Ember.

Chrząknęłam niezadowolona, że tak mnie ciągnie, ale oczywiście tym moim chrząkaniem w ogóle się nie przejmował, tylko uważnie obserwował domy widoczne za oknem ze stłuczonymi szybami.

– Snajperzy – szepnął do Rileya przyklejonego do ściany z drugiej strony okna. – Znaleźli nas.

Riley skrzywił się, a Wes, schowany za kanapą, pieklił się:

– No to super! Mamy na karku snajperów! Jestem bardzo zadowolony, że ryzykuję życie tylko po to, by ocalić twoją skórę, Święty Jerzy! – Wysunął głowę spoza tej kanapy i spojrzał na Garreta w taki

sposób, jakby najgorętszym pragnieniem Wesa było, by kolejna kula roztrzaskała mu głowę. Potem znowu zawarczał czy zasyczał, tak pospołu: – Może go im oddamy? Wtedy zostawią nas w spokoju!

Wtedy ja się rozdarłam:

– Po moim trupie! Spróbuj tylko kiwnąć palcem, a wyfruniesz przez to okno!

– Nic by to nie dało – powiedział Garret, i wcale nie zabrzmiało to napastliwie, jakby sugestia Wesa była absolutnie na miejscu, i spojrzał na mnie. A spojrzał tak, że w sercu mi zakłuło. – Gdybym miał pewność, że ciebie oszczędzą, Ember, sam bym się poddał. Ale na pewno przyszedli po nas wszystkich, bo ze smokami nie prowadzą żadnych negocjacji. Przykro mi, Ember.

On na mnie spojrzał szczególnie, a ja na niego po prostu ze złością.

– A ja i tak nie pozwoliłabym ci się poddać! Dlatego skończ już z tym fatalizmem. Nikt z nas się nie podda. Albo wszyscy wyjdziemy z tego cało, albo nikt z nas z tego nie wyjdzie, jasne?

Garret zamrugał, w jego spojrzeniu pojawiła się bezradność, jak na niego po prostu coś niezwykłego. Ale widziałam to doskonale, bo przez dobrą chwilę patrzyliśmy sobie w oczy. My patrzyliśmy, a na dworze zapadła cisza. Dziwna cisza, w tej groźnej sytuacji oczywiście przede wszystkim bardzo podejrzana.

– Do cholery, gdzie oni mogą być? – pomrukiwał nerwowo Riley, ostrożnie zerkając przez okno. Och, bardzo ostrożnie, z głową odchyłoną w tył. – Dlaczego nas jeszcze nie atakują?

– Bo to nie jest jeszcze cały oddział uderzeniowy – powiedział Garret z posępną miną, też wpatrzony w to, co można było zobaczyć za oknem. – Grupa rozpoznawcza, która zidentyfikowała Wesa i jechała za nim, przekazała do kwatery głównej informację, że namierzono cele. W grupie rozpoznawczej zawsze jest snajper, który teraz bardzo czujnie pilnuje, żeby nikt z nas nie uciekł. Trzyma nas na muszce, dopóki nie nadjedzie grupa uderzeniowa.

Wes znowu zaklął i wyjrzał zza kanapy.

– Skoro tak jest, to proponuję, byśmy nie czekali tu, aż powystrzelają nas jak kaczki. A ponieważ vana już załatwili, może zaczniemy się przemieszczać do drzwi na tyłach domu?

– Nie, to nie jest dobry pomysł – zaprotestował Garret, kręcąc głową. – Snajper na pewno zajął taką pozycję, z której widzi cały dom, całe jego otoczenie. Nie ma sposobu, żeby nas nie zauważył, więc bez sensu ryzykować.

Riley prychnął.

– Jak ty to wszystko dobrze wiesz! Bo sam przedtem mnóstwo razy strzelałeś w plecy do uciekających dzieciaków!

– Odbiło ci?! Takie głupie gadanie nic teraz nie da! – krzyknęłam ze złością, piorunując Riley'a wzrokiem, a potem ostentacyjnie zwróciłam się do żołnierza: – Garret, przecież dobrze wiesz, jak postępuje Zakon. Powiedz, co powinniśmy teraz zrobić, żeby wyjść z tego cało.

Kiwnął głową, po czym odpowiedział krótko i zwięźle, jak żołnierz:

– Najpierw trzeba zneutralizować zagrożenie. Zlokalizować snajpera i unieszkodliwić go, póki nie nadjedzie grupa uderzeniowa.

– I to wszystko? – wycedził Riley. – Super. Bardzo chciałbym jednak wiedzieć, jak mamy zlokalizować tego snajpera, nie ryzykując dziury w głowie? Bo ja osobiście wolałbym z tym gościem nie pogrywać w coś podobnego do „O rety! Krety!”!

Garret nie odpowiedział, tylko zrobił coś takiego, co sprawiło, że omal nie umarłam. Wciśnięty w ścianę tuż przy framudze okna zamknął oczy, zrobił głęboki wdech, a potem błyskawicznie, tak że nie zdążyłam go powstrzymać, wyprostował się i... i po prostu wyjrzał przez okno. Tak! Pokazał prawie całą głowę i prawie natychmiast rozległ się strzał, Garret jednak zdążył schować głowę i kula trafiła w parapet, a ja, jak powiedziałam, myślałam, że umrę. Odruchowo przysunęłam się do Garreta, który, o dziwo, oddychał całkiem normalnie, bez żadnej zadyszki emocjonalnej, bez furczenia, bez łapania powietrza.

– O Jezu! Garret...

Dla odmiany mój głos drżał, byłam cała rozdygotana, on natomiast, jak już wspomniałam, uosabiał oazę spokoju, jakby takie sztuczki ze snajperami były dla niego chlebem powszednim.

Nie, nie wytrzymałam, i waląc go po ramieniu, wrzasnęłam:

– Czyś ty oszalał? Chcesz, żeby podziurawił ci głowę? Nie wolno

tego robić, słyszysz? Nie wolno! Znajdziemy jakiś inny sposób, żeby zlokalizować tego cholernego strzelca!

Ale on, jak się okazało, już to wiedział.

– Dom naprzeciwko. Na samym rogu piętrowy dom z oknem mansardowym. Chyba niezamieszkały. W każdym razie strzelano stamtąd.

Oczywiście, na moment mnie przytknęło.

– Garret, i ty zdążyłeś to wszystko zauważyć?!

– Tak, ale coś niecoś wiedziałem już wcześniej. Kiedy tu podjeżdżaliśmy, przyjrzałem się okolicy, szukając miejsc, z których mogliby ewentualnie do nas strzelać. No, gdzie sam bym się usadowił, gdybym miał takie zadanie. Ale co tam ja. Ten dom na rogu byłby dla Tristana idealny...

Dom na rogu? W takiej sytuacji, po uzyskaniu takiej wiedzy, oczywiście sama bardzo chętnie wyjrzałabym przez okno, by spojrzeć na wspomniany dom, ale wolałam nie ryzykować. Mogło mnie to przecież drogo kosztować, w końcu niedawno już zarobiłam kilka gramów ołowiu między żebra. A tu kulka między oczy gwarantowana, skoro snajper wiedział już, gdzie jesteśmy, i celował właśnie w to okno.

Garret też już nie wyglądał przez okno, choć oczywiście miał dalsze plany.

– Trzeba go unieszkodliwić. Zajmę się tym. Wy czekacie tutaj, ja wychodzę. Postaram się podejść do niego jak najbliżej, żeby go stamtąd wywabić.

– Co?! Ani mi się waź! – wrzasnęłam.

Ale, jak się mogłam spodziewać, mój wrzask zlekceważył, i trzymając się ściany, zaczął przesuwając się do drzwi. Co jednak udaremniłam, łapiąc go za koszulę i dalej wrzeszcząc:

– A co będzie, jeśli on nie jest tam sam? No co?! Może ma partnera i tyle z tego będzie, że cię postrzelą albo w ogóle zastrzelą! Jeśli już koniecznie chcesz tam iść, to ktoś musi cię ubezpieczać. To elementarna taktyka! Tak, ubezpieczać! Na przykład...

– Firebrand! – rzucił ostrzegawczo Riley.

W związku z czym moje pełne złości spojrzenie przeniosło się na niego.

– O co chodzi? – spytałam, nadal zaciskając palce na koszuli Garreta. – Bo ja na pewno się do tego nadaję. Właśnie do tego między innymi mnie szkolono, a moją instruktorką była Lilith! Nie zapominaj, że Talon chciał zrobić ze mnie morderczynię! – Riley oczywiście wyraźnie zamierzał dalej ze mną dyskutować, ale nie dopuściłam go do głosu. – A poza tym, o ile pamiętam, to przed kilkoma dniami, kiedy wkradaliśmy się do pilnie strzeżonej bazy Świętego Jerzego, to nieźle dawałam sobie radę, prawda?

Na co on również głosem podniesionym:

– Owszem! Całkiem nieźle, dopóki cię nie postrzelili! Teraz też miałabyś wielką szansę, że zostaniesz podziurawiona, z tym że kula snajpera, niestety, to nie jest normalna kula, którą można wyjąć, zaleczyć ranę i wszystko gra. Nie! Kula snajpera nie robi ran, tylko po prostu rozwała ci głowę. Bum, bum, i już jej nie masz, rozumiesz?

– Nie mam zamiaru dać się postrzelić! – krzyknęłam niemal histerycznie, a wtedy silna dłoń Garreta przykryła moją.

Wiadomo, taka delikatna prośba, bym jednak wyluzowała. Oczywiście natychmiast się odwróciłam, jednak twarz Garreta była całkowicie pozbawiona wyrazu, trudno więc było przewidzieć, co powie. Czy każe mi zostać, czy jednak zgodzi się, bym szła razem z nim. Jeśli nie zgodzi się, no to będzie problem, bo ja absolutnie byłam zdecydowana iść razem z nim.

A Garret cicho westchnął i puścił moją rękę, a jego spojrzenie pobiegło znów ku oknu. Niewątpliwie zastanawiał się, któredy najlepiej podejść do snajpera.

– Dobra – mruknął po chwili. – Pamiętaj, liczy się szybkość. Poza tym cały czas głowa pochylona. I cały czas w ruchu, bo w ruchomy cel, jak wiadomo, o wiele trudniej trafić. Musimy go okrążyć, to jest nasze taktyczne zadanie. Oczywiście będziemy się kryć tak długo, jak się da. Jeśli zaczną do ciebie strzelać, nie panikuj, tylko biegnij dalej. Poza tym pamiętaj, że snajper najprawdopodobniej ma partnera, który go osłania. Czyli będziemy mieli do czynienia co najmniej z dwoma żołnierzami. Masz broń?

Pokręciłam przecząco głową, starając się zignorować fakt, że w tym momencie, kiedy klamka już zapadła, jednak poczułam się bardzo

nieswojo. Więcej. Po prostu ogarnął mnie lęk.

– Nie będzie mi potrzebna – oświadczyłam.

Wtedy Riley, który stał tuż za moimi plecami, zaklął:

– Do cholery, Ember! Chyba nie chcesz, żeby cię zabili? Trzymaj!

I rzucił mi pistolet. Złapałam, a Riley dosłownie przeszył mnie wzrokiem. Co było w jego oczach? Wściekłość, zatroskanie czy przerażenie? W każdym razie spojrzał najpierw na mnie, dopiero potem na Garreta, i spytał:

– Okej. A co my mamy robić?

– Możecie nam pomóc. Musimy przebiec przez ulicę, więc dobrze by było, gdybyś zaraz po naszym wyjściu z domu postarał się odwrócić jego uwagę choć na kilka sekund. To już będzie coś. Naprawdę coś.

– Zrobi się. – Riley pokiwał głową, przeczesał włosy palcami i spojrzał na kanapę, za którą nadal siedział skulony Wes. – Hej, rusz się! Masz skombinować nowy samochód! Przecież naszego vana załatwili!

W odpowiedzi spoza tapczanu uleciało tylko przytłumione przekleństwo, a Riley zwrócił się ponownie do nas i powiedział:

– Ruszajcie. A ja na pewno odwrócę jego uwagę.

– A co zrobisz? – spytałam.

– Zobaczysz.

– No tak... – Odetchnęłam głęboko, bo tylko to mi pozostało, i spojrzałam na żołnierza stojącego obok mnie. – Jestem gotowa.

– Ember...

Głos Riley'a był zdławiony, a kiedy obejrzałam się, w złocistych oczach zobaczyłam udrękę.

– Tak...?

– Nie pozwól nawet się drasnąć, Firebrand – powiedział cicho, bo tylko ja miałam to usłyszeć. – Drugi raz czegoś takiego nie przeżyję. Masz wrócić żywa, jasne?

Oczywiście w gardle mnie ścisnęło, więc tylko kiwnęłam głową.

Zaraz potem Garret dotknął mego ramienia, dając znać, że mam iść za nim. Spojrzałam więc jeszcze raz na Riley'a, odwróciłam się i poszłam za żołnierzem przez pokój dzienny do drzwi na tyłach domu, przez które wyszliśmy na zarośnięte chwastami podwórze. Obeszliśmy dom, naturalnie trzymając się ściany, i doszliśmy do miejsca, gdzie kończył

się podjazd. Tam Garret wychylił się zza węgła i spojrzał na ulicę oraz na domy. Ja też spojrzałam zza jego pleców, wyciągając szyję, i pomyślałam, że ta ulica przed nami jeszcze nigdy nie wydawała mi się taka szeroka.

– Kiedy ruszamy, Garret? – szepnęłam.

– Musimy poczekać, aż Riley odwróci jego uwagę. Przecież wiadomo, że kiedy zaczniemy pędzić przez ulicę, snajper będzie widział nas jak na dłoni.

Przełknęłam, po czym skomentowałam:

– Jestem bardzo ciekawa, co robi Riley.

I właśnie w tym momencie coś huknęło, a z okna nad nami posypały się odłamki szkła i kawałki płonącego drewna. Natychmiast przywarłam do ściany domu, w którym huczał ogień. Czyli Riley odwrócił uwagę w najbardziej smoczy, czyli najbardziej spektakularny sposób.

Garret trącił palcem moją nogę.

– Teraz!

GARRET

Wybiegłem z domu i śmignąłem na jezdnię, a Ember pędziła tuż za mną. Gnałem jak szalony, przecież było oczywiste, że jesteśmy doskonale widoczni i nawet jeśli uwaga snajpera została odwrócona, to i tak może nas zauważyć. Na szczęście udało się. Zaimprovizowana przez Rileyę burza ogniowa okazała się skuteczna, ponieważ zdołaliśmy przebiec przez ulicę bez przeszkód, czyli żadnych strzałów.

Przebiegliśmy i przykucnęliśmy za budynkiem sąsiadującym z domem, w którym, jak podejrzewałem, urzędował snajper. A w domu po drugiej stronie ulicy, z którego przed chwilą wybiegliśmy, po prostu rozpętało się piekło. Jęzory ognia wypryskiwały z okien i w zastraszającym tempie pożerały dach. Bo ogień smoka jest jeszcze bardziej gorący niż normalny i trawi wszystko z jeszcze większą siłą.

Pożar naturalnie zauważono i cała ulica ożyła. Mieszkańcy z głośnym krzykiem wybiegali z domów i pędzili przed płonący budynek, ale nie po to, żeby bohatercko ratować uwięzionych

w piekielnej czeluści sąsiadów, ale by się pogapić, jak to ludzie. Już po chwili zebrał się naprawdę spory tłum. Wszyscy byli podekscytowani, zauważyłem, że niektórzy nawet robią zdjęcia.

Wiadomo było, że niebawem zjawi się policja, a także strażacy, i obstawią cały zagrożony ogniem kwartał. Czyli czasu naprawdę mieliśmy niewiele.

– Idziemy tam – powiedziałem do Ember i zaczęliśmy skradać się do domu na rogu, klucząc między płotami i kryjąc się, gdzie tylko to było możliwe.

Ember przez cały czas dzielnie dotrzymywała mi kroku. Ani razu nie przystanęła, nawet nie zwolniła. No i dalej żadnych strzałów, co było oczywiste, bo zbyt wielu ludzi kręciło się po ulicy, a Święty Jerzy absolutnie trzymał się zasady, że podczas akcji nie powinny paść ofiary osoby postronne.

Kiedy razem z Ember przykucnęliśmy za zaparkowanym na podjeździe samochodem, szykując się do kolejnego sprintu do miejsca, w którym będziemy mogli się schować, nagle poczułem się nieswojo. Bo i jak to będzie? Mam zamiar unieszkodliwić snajpera, jednego z żołnierzy Zakonu, a przecież ci żołnierze jeszcze przed kilkoma tygodniami byli moimi braćmi. Walczyliśmy ramię w ramię. A teraz walczymy przeciwko sobie. Tak, wiem, ale co będzie, jeśli okaże się, że znam tego snajpera? Przecież może być to Tristan, mój były partner! To on będzie patrzył na mnie znad swojego karabinu. Czy zdobędzie się na to, by pociągnąć za spust? I czy mnie będzie na to stać?

Podeszliśmy do ostatniego, narożnego budynku, przeszliśmy przez drewniany butwiejący płot, przemknęliśmy przez zarośnięty chwastami trawnik i dopadliśmy do drzwi na tyłach domu. Teraz już nad niczym się nie zastanawiałem. Absolutnie nie, bo i po co? Przecież dokonałem ostatecznego wyboru i muszę być w tym wyborze konsekwentny. Dawne przyjaźnie, wspomnienia, koledzy – to już tylko przeszłość, z którą zerwałem definitywnie. A teraz muszę działać, bo inaczej Zakon mnie zabije. Nie tylko mnie, bo pozabija nas wszystkich, i Ember, i Rileyę, i Wesa.

Drzwi były drewniane, zwyczajne, na pewno zamknięte na klucz. Na dłubanie w zamku nie było już czasu, dlatego zastosowałem inną

i bardzo skuteczną metodę, czyli wycelowałem nogą w słaby punkt pod klamką. Kopnąłem, drzwi otworzyły się z trzaskiem i weszliśmy do środka. Gdzie było ciemno i pusto, tylko śmieci i pajęczyny. Okna zabite deskami, powietrze stęchłe. Na lewo od drzwi znajdowały się schody prowadzące na piętro. Niewątpliwie gdzieś tam byli żołnierze Świętego Jerzego.

Spojrzałem na Ember, przelotnie, ale znacząco, i z uniesioną bronią ruszyłem po schodach na górę. Był tam niewielki korytarz, po obu stronach którego znajdowały się drzwi. Dwoje drzwi do dwóch pokoi. Drzwi uchylone, widać było puste ściany i brudną podłogę. Na środku korytarzyka znajdowały się rozkładane schody na strych, teraz właśnie rozłożone. Kiedy zacząłem do nich podchodzić, kątem oka wyłapałem jakiś ruch z boku. Oczywiście zareagowałem błyskawicznie. Kiedy z pokoju obok wyszedł żołnierz z wycelowaną we mnie bronią, wałęnałem go w nadgarstek i pistolet wypadł mu z ręki. Wtedy złapał mnie za rękę, w której trzymałem broń, szarpnął i pchnął na ścianę. Zrobił to skutecznie, był przecież o wiele wyższy ode mnie i bardzo mocno zbudowany. Taki mięśniak z ogoloną głową i małymi czarnymi oczkami. Koło ust miał blizny. Kiedy wydawał z siebie gniewny okrzyk, jedna z warg opadła w nienaturalny sposób. A wrzasnął, gdy wałęnałem moim nadgarstkiem o framugę. Zabolało jak diabli i pistolet, niestety, upadł na podłogę.

– Pieprzony kochaś smoków – warknął i zaaplikował mi prawy sierpowy w skroń.

Na szczęście puścił moją rękę, zrobiłem więc unik, i choć głowa po ciosie nadal odrzucona była w bok, udało mi się wałęnać go pięścią w nieosłonięte zebra. Chrząknął i znów mnie uderzył w głowę, która rąbnęła o ścianę, a on poprawił pięścią w twarz i znów się zamachnął, celując w bok. Ten cios udało mi się odparować, a potem zrobiłem błyskawiczny obrót, zamach i pchnąłem go na ścianę. Wtedy on z kolei łokciem dał mi w twarz. Znów udało mi się zrobić unik, dzięki czemu łokieć tylko przejechał po policzku, a ja z kolei kopnąłem go w kolano. Miałem dobrą pozycję, więc zrobiłem to z całej siły, a w kolanie strzeliło, noga się ugięła. Żołnierz ryknął z bólu i upadł na podłogę. Wtedy błyskawicznie zastosowałem klasyczny chwyt za szyję, jednym

przedramieniem naciskając na gardło, drugim na kark. Czyli po prostu zacząłem go dusić. Ma się rozumieć, że zaczął walić rękami jak szalony, starając się uwolnić z uścisku, jednak nie odpuszczałem, odliczając w duchu sekundy, podczas których krew z tlenem nie dopływała już do mózgu. Dokładnie w dziewiątej sekundzie ciałem żołnierza wstrząsnął dreszcz i potężne cielsko zawisło bezwładnie na moich rękach.

Trzymałem go jeszcze przez kilka sekund, tak dla pewności, no i dlatego, żeby się odprężyć. Sekundy minęły, bezwładne ciało osunęło się na podłogę. Czyli o jednego żołnierza Świętego Jerzego mniej. Ot, prosta matematyka. Ale partner tego „o jednego mniej”, najprawdopodobniej właśnie nasz snajper, gdzieś tu musi być...

Ledwie zdążyłem o tym pomyśleć, kiedy rozległ się strzał. Strzelano gdzieś przede mną. Oczywiście spałem się, szykując do ataku, i... I zmroziło mnie. Bo na szczycie schodów stała Ember. Tak, ona. Oczy miała szeroko otwarte, była blada jak ściana. Lufa dymiącego pistoletu wycelowana w górę, a z góry, z wjazdu w suficie na strych, spadał właśnie jakiś mężczyzna.

A raczej jego trup.

Tym sposobem drugie już bezwładne ciało gruchnęło o podłogę. Dlaczego? Dlatego że przed chwilą oddano precyzyjny strzał w głowę, o czym świadczyła czarna dziura między oczami. Krople krwi spływały po nosie, podążając ku ustom, zresztą otwartym bardzo szeroko jak u kogoś, kto jest niesamowicie zdumiony. W nieruchomej dłoni w rękawiczce pistolet. Palec nadal zaciśnięty na spuście.

Ember spazmatycznie odetchnęła i opuściła broń.

– Ja... ja zobaczyłam go tam, w tym wjeździe na strych – zaszeptała tak jakoś dziwnie, jakby jeszcze nie wierzyła, że to właśnie się stało. – Celował w twoje plecy. Nie miałam więc wyboru...

Dygocząc na całym ciele, szklistym wzrokiem wpatrywała się w nieruchome ciało spoczywające na podłodze, jakby spodziewała się, że jednak się poruszy. Po dłuższej chwili powoli uniosła głowę i spojrzała na mnie tak jakby... błagalnie.

– Czy ja... Czy on...

– On nie żyje, Ember.

Walcząc z bólem, pochyliłem się po mój pistolet, starając się nie

patrzeć na zabitego żołnierza. Przecież mógł być to ktoś, kogo znałem, może nawet bardzo dobrze. Wyprostowałem się i odruchowo sprawdziłem broń. W głowie łupało, kark i plecy były obolałe po grzmotnięciu o ścianę. Ale to pestka. Przecież żyję. Wciąż żyję...

A gdy już sprawdziłem broń, to jednak moje spojrzenie spoczęło na nieruchomym ciele snajpera, który strzelał do nas z okna na strychu. Tak, jednak spojrzałem, choć mogłem przecież zobaczyć tę właśnie twarz, której za nic w świecie nie chciałem teraz oglądać. Bardzo dobrze mi znaną twarz młodego mężczyzny o niebieskich oczach...

Nie, to nie on. Ktoś od niego starszy i kompletnie mi nieznany. Na pewno nie Tristan... Poczułem wielką ulgę. Oczywiście, że byłem już zadeklarowanym wrogiem Zakonu i bez wahania stanąłem do walki przeciwko moim dawnym braciom, walcząc ramię w ramię ze smokami, kiedyś także moim odwiecznym wrogiem. Ale tak bardzo nie chciałem zmierzyć się właśnie z nim, z Tristanem. Po prostu bałem się tego i miałem nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie.

Ember, z twarzą szarą jak popiół, nadal stała na szczycie schodów, wpatrując się w zastrzelonego żołnierza.

– Zabiłam go – szepnęła zdławionym głosem. – On naprawdę nie żyje. Ale ja... ja nie chciałam...

– Ember.

Kiedy zrobiłem krok w jej stronę, natychmiast się cofnęła. Cała była rozdygotana i przerażona, nic więc dziwnego, że zrobiło mi się jej żal. Oczywiście! Przecież pamiętałem, jak sam zabiłem po raz pierwszy w życiu. Było to zaledwie przed kilkoma laty, chociaż wydawało mi się, że działo się to przed wiekami. Zabiłem smoka, i chociaż potem bardzo mnie chwalono, a nawet podziwiano, to i tak wciąż miałem tego smoka przed oczami. Kiedy leżał tam, na trawie i patrzył na mnie z takim lękiem, z taką rozdzierającą bezradnością. Potem oczy zaszły mgłą. Nigdy o tym z nikim nie rozmawiałem, ale widok umierającego smoka prześladował mnie w snach przez wiele tygodni.

Dlatego doskonale wiedziałem, co czuła Ember. Bardzo chciałem znaleźć jakieś odpowiednie słowa, którymi mógłbym ją pocieszyć, ale niestety czas naglił.

– Idziemy, Ember – powiedziałem, wstępując na schody. –

Spadamy, bo zaraz zjawi tu się policja. Nie mogą nas tu zastać.

Słyszałem, jak rusza się z miejsca, jak też schodzi po schodach tuż za mną.

– A co z... ciałem? – spytała po chwili drżącym głosem. Było jasne, że wymówienie tego ostatniego wyrazu kosztowało ją niemało wysiłku. – Przecież policja je znajdzie i oczywiście będzie prowadzić dochodzenie w sprawie morderstwa. Jeśli ktoś zauważył nas, jak wchodziliśmy do tego domu, będą nas szukać.

– Nie. Nie będą.

– Nie? A skąd ta pewność?

– Wiem, bo Święty Jerzy ma swoje sposoby na zacieranie śladów. Robi to po mistrzowsku. Jednym ze sposobów jest anonimowość żołnierzy. Owszem, każdy ma jakieś tam imię czy nazwisko, ale na tym się kończy. Nikt w Zakonie nie ma swoich korzeni, rodziny, przeszłości. Nikt nie jest zarejestrowany w żadnym systemie. Kiedy umierasz, po prostu znikasz. Dzieje się to niezauważalnie dla świata, dla państwa, dla wszystkich służb i ludzi. Po prostu jakby ciebie w ogóle nie było, rozumiesz?

– Rozumiem... I to jest bardzo smutne, bardzo...

Milczałem. Może i smutne, ale cóż... Tak po prostu jest.

Przeszliśmy przez płot i przyczailiśmy się na rogu ulicy, spoglądając czujnie na tłum, który nadal otaczał płonący dom. Kłęby czarnego dymu unosiły się ku niebu, dachu tak naprawdę już nie było. Czy Rileyowi i Wesowi udało się stamtąd wymknąć? Miejmy nadzieję, że tak, no i że mają gotowy plan dalszej ucieczki.

Gdzieś w oddali słychać już było wycie syren. Czyli policja i straż zaraz się tu zjawia. Spojrzałem na płonący dom, zastanawiając się w duchu, co powinniśmy teraz zrobić. Szukać Rileya i Wesa, czy po prostu zniknąć stąd jak najprędzej, mając przy tym nadzieję, że potem jakoś się znajdziemy.

Nagle lśniący czarny SUV objechał róg ulicy, z piskiem opon wyhamował tuż przed nami i kierowca błyskawicznie opuścił szybę.

Tym kierowcą był Riley.

– Wsiadajcie!

Oczywiście błyskawicznie znaleźliśmy się w środku samochodu,

który pachniał skórą i nowością. Drzwi trzasnęły, Riley nacisnął na pedał gazu i samochód z piskiem opon wyrwał do przodu.

COBALT

Dwanaście lat temu

Już prawie u celu.

Wstrzymując oddech, przykleiłem się do ściany, bo tam, za otwartymi drzwiami, raptem zadudniło. Dwóch żołnierzy przechodziło korytarzem. Szli unisono zdecydowanym żołnierskim krokiem. Na szczęście nie weszli. Minęli otwarte drzwi, poszli dalej i po chwili marszowe kroki ucichły. Odetchnąłem. Dostanie się do tego miejsca nie było łatwym zadaniem, o nie. Tak trudnego zadania jeszcze nigdy nie miałem. Żeby dostać się tu niepostrzeżenie, musiałem wykorzystać absolutnie wszystkie swoje umiejętności. Tak samo niepostrzeżenie miałem wymknąć się stąd po wykonaniu roboty, czyli będzie równie niełatwo. Ale tym będziemy martwić się później.

Bezszelestnie wsunąłem się do kąta za wielkim biurkiem, na którym stał komputer, i wyjąłem komórkę. Odebrano już po pierwszym sygnale.

– Jestem w środku – szepnąłem, obchodząc ostrożnie biurko. Poruszyłem myszką, by ekran ożył, i wyjąłem z kieszeni pendrive’a w kształcie kciuka. – Instaluję program.

Podłączyłem pendrive’a do komputera i po kilku sekundach na górze ekranu pojawił się pasek postępu, a nad nim malutka biała liczba. Zero procent. Teraz już jeden, dwa... Nie, wcale nie odbywało się to szybko, ale powodu do paniki nie było, bo wszędzie wokół była cisza wprost idealna, tak idealna, że nawet zebrało mi się na czarny humor. Cichutko, i tak właśnie powinno być, w końcu Święty Jerzy naprawdę nie ma powodów do niepokoju. Nic się nie dzieje, nie ma żadnego zagrożenia. Przecież to tylko ja, smok, siedzę sobie tu u was, w samym środku waszej...

Niestety koniec żartów, bo znów usłyszałem kroki. Skrzywiłem się i szybko schowałem pod biurko. Korytarzem przechodziło dwoje ludzi pochłoniętych rozmową o spotkaniach, musztrze i innych nudnych

rzeczach. Odczekałem, kiedy znów zapadnie cisza, wychyliłem się spod biurka i spojrzałem na ekran. Na pasku postępu osiemdziesiąt sześć procent. A niech to szlag! Ile jeszcze może trwać hakowanie tego cholernego pliku?! Byłem już bardzo zniecierpliwiony. Ale co robić? Czekałem dalej, bębniąc palcami po podłodze, no i doczekałem się. Wreszcie sto procent. Mogłem wyjąć pendrive'a. Byłem bardzo zadowolony, no bo, proszę, już udało mi się coś zrobić.

Tak. Ale to nie wszystko.

Kiedy pomyślałem o tym, co przede mną, plecak spoczywający na moich plecach wydał mi się wyjątkowo ciężki. Ale cóż... Wyszedłem na korytarz i czujnie rozglądając się dookoła, ruszyłem przed siebie, do najbliższych schodów, którymi, jak twierdził Szef Bazyliszków, schodziło się na najniższą kondygnację. Czyli tam, gdzie był mój ostateczny cel.

Zszedłem na dół i znów ruszyłem przed siebie przez mroczne korytarze wyłożone płytkami. Na końcu jednego z nich paliło się światło, a przez uchylone drzwi słychać było szmer rozmowy. Na szczęście nie musiałem tamtędy przechodzić, ponieważ mój cel był na końcu innego, szerokiego korytarza, a znajdował się za zwyczajnymi białymi drzwiami. Drzwiami w miejscu dobrze widocznym, drzwiami, przed którymi nie stali żadeni strażnicy. Były zamknięte na klucz, ale mnie przecież wyuczono, jak poradzić sobie z każdym zamkiem.

Kiedy wsunąłem się do środka, poczułem chłód. Więcej, taki zięb, że zobaczyłem mgiełkę swego oddechu. Poza tym zero okien i sprzętów, gołe ściany, tylko na samym środku, na wyłożonej płytkami posadzce, stały trzy metalowe szafy, w których migotało mnóstwo zielonych i niebieskich światełek. Czyli serwery, które umieszczono w wyjątkowo małym pomieszczeniu, całkiem niepodobnym do wielkiej sali z mnóstwem komputerów, jakie widziałem w innych budynkach. Ciekawe, dlaczego Talonowi zależy właśnie na tym jednym komputerze, dlaczego właśnie ten ma wylecieć w powietrze. Ale nie do mnie należało zadawanie pytań. Ma wylecieć, to wyleci, prosta sprawa. Moim zadaniem jest wykonanie misji, koniec, kropka. Im szybciej zrobię, co mam do zrobienia, tym szybciej będę mógł stąd zniknąć.

Zdjąłem plecak, przykląknęłam i ostrożnie wyjąłem czarną

wyściełaną torbę. Kiedy ją otworzyłem i spojrzałem na zawartość, serce jednak zabiło mi szybciej. Była to bowiem ta nowa „zabawka”, którą miałem wypróbować. Niby tylko bomba zapalająca, ale podobno o niebywalej sile. Tak przynajmniej poinformował mnie mój instruktor. Bo ta „zabawka” powstała dzięki połączeniu wiedzy naukowej, smoczego ognia i magii, a ogień smoka nie jest takim sobie ot, normalnym ogniem. Ma o wiele wyższą temperaturę, potrafi w ciągu kilku minut stopić stal albo spopielić kości. Poza tym ogień smoka czegokolwiek się dotknie, zawsze strawi to całkowicie. Nawet w dzisiejszych czasach, w epoce wspaniałych i niezwykłych technologii, broni i najrozmaitszych instrumentów, po które smoki również sięgnęły, nasz oddech nadal był naszą najbardziej zabójczą bronią. Czymś, czego Święty Jerzy bał się najbardziej. Tak więc ta „zabawka”, jeśli miała spełnić oczekiwania Talonu, powinna zniszczyć nie tylko to pomieszczenie i zmienić serwery w pył. Ogień smoka powinien rozprzestrzenić się, przeżreć podłogę i ściany, osłabić wsporniki i podpory, w efekcie czego cały ten budynek spłonie doszczętnie, a każdy człowiek, który tutaj się znajduje, zmieni się w dymiący osmolony szkielet.

Czyli znów zabijanie. Znów śmierć. Ale przynajmniej tym razem byłem w pilnie strzeżonej komandorii Świętego Jerzego, w której głównie przebywali żołnierze, ci bezwzględni i krwiożerczy pogromcy smoków. Ich jedynym celem było wyniszczenie naszego gatunku, po to po prostu się narodzili i po to tylko istnieli. Ci żołnierze doskonale wiedzieli, na czym polega ta wojna, doskonale wiedzieli, z kim walczą, doskonale też wiedzieli, że niosąc śmierć, sami się na nią narażają.

Dlatego dość już tych rozmyślań. Lepiej przystąpić do działania, żeby jak najprędzej mieć to za sobą.

Położyłem bombę na posadzce, oczywiście bardzo ostrożnie, i równie ostrożnie wsunąłem ją pod jeden z serwerów. Migotała tam teraz w mroku, cicha i przyczajona, gotowa już nieść zagładę.

I znów się zawahałem. Stało się to w tej ostatniej chwili, bo do zrobienia było już bardzo niewiele. Tylko nacisnąć na guzik i wyjść. Tylko tyle, potem już pozostanie mi jedynie wymknąć się stąd – i najbardziej niebezpieczna misja w moim życiu zostanie wypełniona.

A ja będę mógł wrócić do Talonu.

Zdecydowanym ruchem nacisnąłem czerwony guzik z boku torby. Usłyszałem ciche kliknięcie i na malutkim czarnym ekranie pojawiły się błyszczące cyfry. Migotały przez moment, a potem zaczęło się odliczanie:

15:00

14:59

14:58

Poderwałem się z posadzki i ruszyłem do drzwi. Piętnaście minut. Za niecały już kwadrans zrobi tu się prawdziwe piekło, i wszyscy, którzy są w tym budynku, utoną w morzu ognia i zmienią się w popiół.

Tak, ale to żołnierze, tylko żołnierze, powtórzyłem sobie w duchu, kładąc już rękę na klamce. Żołnierze dobrze wiedzą, co ryzykują, i świadomie godzą się z tym. A każdy zabity żołnierz Świętego Jerzego to szansa, że ocali się jeszcze więcej smoków. Czyli robię to dla dobra swojego gatunku.

Dlaczego więc, im dłużej o tym myślę, tym bardziej chce mi się od tego wszystkiego rzygać?

Otworzyłem drzwi, przestąpiłem próg i...

I stanąłem twarzą w twarz z dziewczynką. Małą dziewczynką w żółtej sukience i z bardzo jasnymi włosami, które opadały na ramiona.

Zamarłem. A dziewczynka, to ludzkie dziecko, uniosła ku mnie pucołowatą twarz. Zielone oczy spojrzały bez cienia lęku, lecz z powagą, i naturalnie z ciekawością.

– Tutaj nie wolno wchodzić – oświadczyła po chwili.

Sprężyłem się, instynktownie gotów już rzucić się na tę niewielką ludzką istotę, zakryć jej ręką usta i wciągnąć do pokoju, z którego właśnie wyszedłem. Trudno przecież, żebym nie zdawał sobie sprawy, że dziewczynka, jeśli pozwoli jej odejść, może zaalarmować wszystkich o mojej obecności w tym właśnie miejscu. Tak, ale przecież to nie żołnierz, to dziecko, miała na pewno nie więcej niż sześć, siedem lat. Oczywiście, licząc latami ludzkiego życia. Gdybym to dziecko pochwycił... Tak, to prawie pewne. Skończyłoby się na tym, że musiałbym je zabić.

Milczałem, gorączkowo starając się podjąć jakąś rozsądną decyzję,

a tymczasem dziewczynka, przekrzywiając głowę, odezwała się znów do mnie. Teraz mówiła cichusieńko, konspiracyjnym szeptem:

– A co ty tu właściwie robisz? Schowałeś się przed kimś?

– Ja? A... tak.

Przytaknąłem, bo i co innego mogłem zrobić? Powiedziałem „tak”, choć nie miałem bladego pojęcia, co dalej. Co mówić, co robić, by uniknąć tej najgorszej sytuacji. Przecież wystarczy, że ta mała raz tylko krzyknie, i moje szanse na przeżycie już równają się zeru. Owszem, ale na samą myśl o tym, że miałbym chwycić dziecko, małe, kruche dziecko, i złamać mu kark, po prostu mnie rozrywało. Nie, ta myśl była nie do zniesienia, choć wiadomo, że to dziecko, kiedy dorośnie, będzie nienawidzić wszystkich smoków i będzie pragnąć ich zagłady. Naturalnie, przecież jest stąd, z Zakonu Świętego Jerzego, a Zakon już postara się, by tę niewinną istotę o naturalnych, ciepłych i życzliwych światu odruchach, w procesie szkolenia i indoktrynacji przerobić na zatwardziałego wroga smoków.

– Ale dlaczego? – wyszeptała znów dziewczynka. – Ktoś cię szuka?

– Tak – odszepnąłem. – Bo wiesz, razem z kolegami bawimy się w chowanego...

Tak, to właśnie powiedziałem, choć aż mnie skręcało. Przecież zabrzmiało to idiotycznie, tak idiotycznie, że nawet dla tej małej dziewczynki było to co najmniej dziwne, bo wyraźnie sposepniała.

A ja brnąłem dalej:

– Oczywiście to ćwiczenia. Taki nowy rodzaj. Chowam się, a oni mają mnie odszukać w określonym czasie. Jeśli mnie znajdą, będę zmywał naczynia przez cały miesiąc.

Dziewczynka spochmurniała jeszcze bardziej.

– To niesprawiedliwe... – wyszeptała tak bardzo oburzona, że aż wzięła się pod boki. – Ich jest więcej, a ty tylko jeden. Tak, to bardzo niesprawiedliwe.

Na to ja wzruszyłem ramionami. Przekazując, że niestety, ale nic na to nie poradzę!

A dziewczynka spytała:

– A jeśli ty wygrasz, to oni będą zmywać, tak?

– Raczej nie – odparłem, zachodząc w głowę, jak mogło do tego dojść, do tej szalonej, po prostu absurdalnej rozmowy. I jak mam z tego wybrnąć.

– Dlaczego nie? – dopytywała się dziewczynka.

– Bo...

I wtedy gdzieś w oddali, w którymś z korytarzy, ktoś zawołał:

– Madison!

Był to męski głos. Oczywiście zmroziło mnie, bo oto stało się. Teraz na pewno mnie złapią. Sam wpadłem w ich łapy przez swoją głupotę. Bo byłem za miękki i nie zrobiłem tego, co trzeba. Nie uciszyłem dzieciaka, kiedy mogłem to zrobić, no i mam za swoje.

Dziewczynka spojrzała tam, skąd dobiegał głos, potem na mnie, i znów wyszeptała:

– Uciekaj, zanim ktoś cię tu zobaczy. Uciekaj...

W rezultacie przytknęło mnie. Stałem tylko i gapiałem się na nią, a ona zaczęła machać ręką, poganiać mnie:

– Uciekaj! Szybciej! Nikomu nie powiem, że tu byłeś! Na pewno nie powiem, na pewno!

– Madison!

Mężczyzna wołał coraz głośniejszym głosem, był wyraźnie zaniepokojony. Dziewczynka uśmiechnęła się do mnie i zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć czy zrobić, odwróciła się na pięcie i pobięła przed siebie.

Po chwili znikła za zakrętem korytarza, a ja znów usłyszałem głos mężczyzny:

– No tak. Jesteś tutaj, tak jak się spodziewałem. A ile to razy ci mówiłem, że nie wolno ci chodzić, dokąd chcesz? Zapomniałaś? I z kim rozmawiałaś?

– Ja? Z nikim – odparła dziewczynka niewinnym głosem. Jak na moje uszy, za bardzo niewinnym. – Chciałam tylko zobaczyć, czy nie ma tu Petera. Bo on mi obiecał, że jak będę grzeczna, to pokaże mi serwerownię.

Mężczyzna tylko chrząknął, jednak po chwili ciszy powiedział strofującym tonem:

– Serwerownia, serwerownia... Oczywiście! Bo dla ciebie komputery najważniejsze. – Myślę, że choć strofował, to w tym

momencie się uśmiechnął z ojcowską dumą. – Ale chodź już. Tylko skończę raport i pójdziemy na śniadanie.

Ruszyli, ale na szczęście w odwrotnym kierunku, niż miałem zamiar się udać. Kroki cichły, po chwili trzasnęły drzwi i zapadła cisza. Taka, jak była tu przedtem. Odetchnąłem, oparłem się plecami o ścianę.

Niewiele brakowało, a byłoby po tobie, Cobalt. Masz jednak farta. A teraz spadaj stąd, zanim ta bomba...

Kurde! Bomba!

Błyskawicznie oderwałem plecy od ściany i ruszyłem w mrok bezszelestnie i jak najszybciej, z nadzieją, że uda mi się uniknąć zarówno spotkania z żołnierzami, jak i z eksplozją, od której dzieliły minuty.

I nagle... znowu się zawahałem. Więcej, przeraziłem się, i to tak bardzo, że po prostu mnie sparaliżowało, tutaj, w samym środku komandorii Świętego Jerzego, pełnej żołnierzy, którzy z miejsca mogą położyć mnie trupem. Sekundy mijały, a ja stałem jak słup soli, niezdolny uczynić ani kroku.

Jeśli uznam misję za wykonaną i wyjdę stąd, wszyscy ludzie znajdujący się w tym budynku, a już na pewno na tej kondygnacji – zginą. Także to dziecko. Madison, dziewczynka, z którą rozmawiałem przez kilka minut. Dziewczynka, istota ludzka, stąd, z Zakonu, ale przecież nie żołnierz. A poza tym to ona nieświadomie uratowała mi życie.

Przeczesałem nerwowo włosy palcami. I co teraz zrobisz, Cobalcie? Nie wykonasz misji? Wrócisz do Talonu i przyznasz się, że zawiodłeś? Doskonale wiesz, jaka będzie ich reakcja.

Oczywiście, że wiedziałem. Dlatego błyskawicznie rozważyłem trzy opcje. Powrót do Talonu po niewykonaniu misji i pogodzenie się z tym, że zostanę ukarany. Jak? Nie wiadomo, ale bez tego się nie obejdzie, poza tym już nigdy nie obdarzą mnie zaufaniem. Będę traktowany jak ktoś splamiony, niekompetentny, zdemoralizowany. Dla Talonu smoki, które zawiodły, były bezużyteczne. Przyszłość w organizacji miałem zapewnioną tylko wtedy, kiedy byłem użyteczny. Jeśli więc wyłączę bombę, wrócę do Talonu i zmierzę się z konsekwencjami, będzie to oznaczało samobójstwo zawodowe.

Mogę też zrobić inaczej. Niczego nie wyłączać, tylko po prostu wyjść stąd z pełną świadomością, że zginą ludzie. Że to dziecko, tak jak wszystko dookoła, spłonie. Dziewczynka spłonie żywcem, ponieważ pozwoliła mi odejść, a ja od tej chwili już zawsze będę widział w snach twarz małej Madison.

Oczywiście była jeszcze jedna opcja.

Czułem, jak nagle braknie mi powietrza, jak w żołądku wszystko zawiązuje się na supeł, kiedy pomyślałem właśnie o tym. O czym wiadomo było, że pomyślę. O ucieczce. Tak. A więc którą opcję wybierasz, Cobalcie? Zostajesz w organizacji czy decydujesz się na samodzielne życie? Życie znienawidzonego i prześladowanego zdrajcy własnego gatunku.

Życie zbiega.

Moje ręce drżały, cały zadrzałem z tego strachu, kiedy pojąłem prawdę. Że nie potrafię. Nie potrafię już dłużej tego robić. Nie potrafię wrócić jakby nigdy nic do organizacji, wiedząc doskonale, że zginęło małe dziecko. Więcej – że to ja je zabiłem. Naturalnie dla Talonu śmierć tego dziecka to żaden problem. Bo i niby dlaczego miałyby być inaczej, skoro ta dziewczynka jest tylko człowiekiem, a życie człowieka dla smoka nie ma żadnego znaczenia. Jeśli śmierć kilku niewinnych ludzi ma pomóc smokom w przetrwaniu, znaczy to, że ta ofiara miała sens.

Ale oni, ci z Talonu, nigdy nie widzieli twarzy tych, których unieczestwiali, twarzy ofiar, które podczas wojny podobno są nieuniknione. Nie widzieli, bo nie ruszali się przecież spoza swych biurków. Mieli mnie. To ja wykonywałem za nich całą brudną robotę.

I z tym należy wreszcie skończyć, i to raz na zawsze. A kiedy? Teraz. Skończyć właśnie teraz.

Wróciłem do serwerowni i podszedłem do miejsca, gdzie leżała bomba. Niewielki przedmiot, który miał w sobie tyle zła. Tykała cichutko, czerwone cyfry migotały. Spojrzałem na nie i zamarłem.

2:33

2:32

2:31

Dwie minuty? Tylko dwie? Do cholery, co się dzieje? Owszem, rozmawiałem z Madison, ale to niemożliwe, żeby minęło już tyle czasu!

Możliwe. Oczywiście! Prawda dotarła do mnie błyskawicznie. W tej bombie czas odmierzany jest dwa razy szybciej niż przez zwyczajny zegar. Sekundy połykane są z zatrważającą prędkością, taką, że zmieniające się cyfry zlewają się ze sobą. Nie zdążę więc jej wyłączyć, bo to trochę trwa. Uciekać? I tak nie zdążę wyjść z tego budynku, zanim rozpęta się tu piekło, i skończę jak wszyscy. Jako kupa popiołu.

Przerażony szybko przykląknęłam, wyjąłm nożyce do drutu i przyjrzałem się przewodom oplątującym bombę. Czerwone, niebieskie i żółte. Ręce dalej drżały, ale wiedziałem, że to jedyna opcja. Zrobić właśnie to, nie mając żadnej pewności, czy się uda. Trudno. Jeśli się nie uda, po prostu zginę ze wszystkimi, tyle że o kilka sekund wcześniej, niż zaplanowano.

Wolna ręka mimo woli zacisnęła się w pięść, ale nad niczym już się nie zastanawiałem, tylko zbliżyłem nożyce do czerwonych przewodów. Przeciąłem. Bomba wydała z siebie jeden złowieszczy odgłos i... i zamilkła. Cisza. Nic nie wybuchło, nie pojawiła się oślepiająca chmura smoczego ognia.

Moje serce znów zaczęło bić. Rzuciłem nożyce na podłogę, potarłem twarz rękami i zamarłem, kiedy dotarło do mnie, co właśnie zrobiłem. Więcej – co oni zrobili. Jakieś nieprawidłowości? Jakaś usterka i stąd to przyśpieszenie w odliczaniu? Bzdura. Tak właśnie miało być. Dwa razy szybsze odliczanie, bo Talon wcale nie chciał, żebym z tej misji powrócił.

Zupełnie jakbym dostał obuchem w głowę. Oszołomiony swoim odkryciem, powoli podniosłem się z wyłożonej kafelkami posadzki i ruszyłem do wyjścia, czując strach po prostu okropny, dławiący. Talon przecież był całym moim życiem. Dosłownie, bo przez całe moje dotychczasowe życie niczego innego nie robiłem, tylko służyłem organizacji. A oni chcieli się mnie pozbyć. Mogłem sobie doskonale wyobrazić, co będzie, gdy dowiedzą się, że przeżyłem. Przeżyłem, ale do Talonu już nie wróciłem.

Tak. Bo ostateczna decyzja właśnie zapadła. Dokładnie wiedziałem, jak Talon traktuje zbiegłe smoki, ale w moim przypadku nie było już odwrotu od tego, co tak naprawdę dojrzeowało we mnie od

jakiegoś czasu. Z czego oczywiście zdawałem sobie sprawę, ale jak się właśnie okazało, nie tylko ja. Wiedział o tym również mój instruktor, wiedziała organizacja, i stąd ta bomba, której zegar odmierza czas w zawrotnym tempie.

Czyli żegnaj, Talonie.

Moje szpiegowskie misje, sabotaże, wysadzanie budynków pełnych niewinnych ludzi należą już do przeszłości. Kiedy przed oczami pojawiła się twarz małej dziewczynki, twarz rozbijającą uśmiechniętej małej Madison, utwierdziło mnie to jeszcze mocniej w przekonaniu, że moja decyzja jest słuszna. Oczywiście! Nigdy więcej! Szefie, słyszycie mnie? Skończyłem. Agent Cobalt odmeldowuje się po raz ostatni!

Przeszedłem przez pokój, otworzyłem drzwi i znów wstąpiłem w mrok korytarzy. Przede mną jeszcze jedno ważne zadanie, a mianowicie musiałem wydostać się stąd. Może się uda, a idealnie by było, gdyby Talon pozostał w błogiej nieświadomości. Gdyby był przekonany, że agent Cobalt zginął podczas eksplozji w tym budynku. I od tej chwili już nie istnieje.

EMBER

Moje ręce nie chciały przestać drżeć. Nie, nie mogłam nad nimi zapanować. Serce biło jak oszalałe, każdy nerw pod wysokim napięciem. A te rozdygotane palce nadal obejmowały kolbę pistoletu spoczywającego na moich kolanach. Pistoletu, którym zadałam śmierć.

W żołądku ciężko, jakby wypełniony był ołowiem. Zamknęłam oczy, ale i tak nadal widziałam stężałą twarz, nieruchome, niewidzące oczy. Dziura w głowie, z której sączy się krew. Ślad po kuli. A ja nie pamiętałam, kiedy pociągnęłam za spust. Kiedy zobaczyłam żołnierza w tym włączu na strych i kiedy zobaczyłam, że celuje w Garreta, zareagowałam błyskawicznie. Po prostu nie zdążyłam pomyśleć. Jak zawsze w krytycznych sytuacjach, zadziałałam odruchowo, bardzo szybko i skutecznie, i właśnie to sprawiło, że ten człowiek stracił życie. A ja stałam się morderczynią, jak chciał tego Talon.

Lilith byłaby ze mnie dumna.

– Dokąd jedziemy, Riley? – spytał Garret.

Garret siedział obok mnie całkiem spokojny i opanowany, jakby wystawianie się snajperowi, a potem wtargnięcie do domu i załatwienie dwóch uzbrojonych po zęby żołnierzy było dla niego czymś najnormalniejszym pod słońcem, po prostu załatwianiem codziennych spraw, niczym więcej. Przez moment czułam nawet do niego żal, że jest taki opanowany właśnie teraz, po tych wszystkich przejściach. Garret twardy jak gład, a przecież ja przed chwilą zabiłam człowieka, jego dawnego towarzysza broni. Mógłby być tym choć trochę poruszony.

– Do miasta. Niedaleko Stripu mieszka mój przyjaciel, u którego będziemy mogli się ukryć – odparł Riley, nie odwracając się do nas.

Siedział z przodu, obie ręce trzymał na kierownicy. Prowadził samochód tak samo, jak prowadził motocykl, czyli szybko, zdecydowanie i prosto do celu. Obok niego siedział Wes. Był pochylony nad laptopem i jak zwykle maksymalnie skupiony. Nawet nie podniósł głowy, kiedy opony zapiszczały, bo Riley, w ogóle nie zwalniając, wziął ostry zakręt.

– A co z samochodem? – znów po chwili spytał Garret, spoglądając w tył, niewątpliwie by sprawdzić, czy nikt za nami nie jedzie. – Właściciel raczej nie jest zadowolony, że zwinęliśmy mu brykę, odpalając na styk!

I wtedy Wes, o dziwo, włączył się do rozmowy. Z tym że najpierw prychnął pogardliwie, dopiero potem wypowiedział kwestię jak najbardziej w swoim stylu:

– Odpalić na styk? Tego cię wyuczyli u Świętego Jerzego? Ale prymitywy! Dzisiaj samochody są skomputeryzowane i bardzo łatwo możesz złamać ich zabezpieczenia. Można i przez komórkę, o ile oczywiście potrafisz to zrobić. Ja na przykład potrafię, no i co? Abrakadabra i mamy czym jechać!

No to pięknie, pomyślałam smętnie. Mało tego, że jesteśmy mordercami, to jeszcze złodziejami samochodów.

Pistolet leżał teraz obok mnie. Nie, nie chciałam go już dotykać, nawet patrzeć na niego. Spojrzałam dopiero wtedy, kiedy usłyszałam ciche kliknięcie. Spowodował je Garret. Trzymał w ręku właśnie ten pistolet, a kliknęło, bo go zabezpieczył, blokując spust. I podał mi go.

– Nie miałaś wyboru – powiedział, spoglądając mi prosto w oczy. –

Inaczej ci żołnierze by nas zabili, nie było więc żadnej innej opcji. Zrobiłaś to, co należało zrobić.

Może i tak, ale nadal coś ścisnęło mnie za gardło, a odbierając pistolet, spojrzałam na niego takim wzrokiem, jakbym nagle zobaczyła wielkiego i wyjątkowo obrzydliwego pajaka.

– Wiem... – szepnęłam, kładąc ostrożnie metalowe paskudztwo na udzie. – Ale to jeszcze nie załatwia sprawy...

I spojrzałam czujnie przed siebie, bo wołałam jednak, żeby Riley i Wes nie słyszeli tej naszej krótkiej dyskusji. Nie, nie słyszeli, bo sami byli zajęci rozmową. Mówili przyciszonymi głosami. Teraz Wes wskazał palcem na ekranie laptopa mapę, na której zauważyłam świecąca niebieską kropkę, przemieszczającą się szybko w kierunku skrzyżowania. Riley zaklął, dodał gazu i przejechał na żółtym świetle.

– Nie chcę być taka jak oni – powiedziałam do Garreta również przyciszonym głosem. – Ani jak ci z Talonu, ani jak Święty Jerzy. Jeśli zacznę zabijać z zimną krwią, z czasem zacznę zabijać odruchowo. W takim razie po co uciekałam z Talonu? Będę przecież robić dokładnie to samo, co robi Żmija, którą miałam przecież zostać! Tak! Nie widzę żadnej różnicy!

W tym momencie minął nas z wyciem syren samochód policyjny jadący w przeciwnym kierunku. Światła miał zapalone, błyskały na niebiesko i czerwono. Pędził ku widocznym w oddali kłębowi czarnego dymu wznoszącym się ku niebu.

Garret odprowadził samochód wzrokiem, rozsiadł się wygodniej i dalej spoglądając w okno, milczał, nie udzielając mi odpowiedzi na moje pytanie.

Kiedy słońce chowało się za odległe góry, na pożegnanie malując horyzont na piękny pomarańczowy kolor, wjeżdżaliśmy do centrum, na Strip, zgodnie z tym, co powiedział Riley. Wtedy na jakiś czas zapomniałam o wszystkich bez wyjątku problemach, tylko z nosem przyklejonym do szyby gapiłam się na te wszystkie cuda, które ukazywały się moim oczom. Nigdy dotąd nie widziałam tylu samochodów i tylu ludzi skupionych w jednym miejscu. I tyle neonów. Wszystko tu jaśniało, błyszczało i migotało na tle czarnego nieba. Hotele, kasyna, wielkie tablice informacyjne, rzeźby. I czego tu nie było!

Gigantyczny kowboj na koniu machał do nas, kopulasty dach miniaturowego zamku sułtana pysznił się wspaniałą tęczą różnokolorowych świateł. Zauważyłam nawet złocistą wieżę Eiffla, która wznosiła się nad ulicami jak latarnia morska. Naturalnie nie była ta prawdziwa wieża Eiffla. Wiedziałam przecież, że oryginał stoi w Paryżu, a to, co widzę, to tylko replika, ale naprawdę wielka, robiąca wrażenie i tak jak wszystko wokół skrzęca się od niezliczonej ilości świateł.

– Zamknij buzię, Firebrand! – rzucił wyraźnie rozbawiony Riley. – Bo wszystkie szyby w samochodzie zaparują!

Oderwałam więc wzrok od wielkich budynków, które właśnie mijaliśmy, i grzecznie usiadłam, wpierając się plecami w miękkie oparcie fotela.

– Długo będziemy jeszcze jechać? – spytałam, mając nadzieję, że odpowiedź będzie przecząca.

– Raczej tak – odparł, teraz już wcale nierozbawiony. Może nawet jeszcze gorzej, bo na rozjarzone światłami budynki spoglądał ponuro, bez cienia uśmiechu. – Na pewno nie zatrzymamy się na Stripie. Vegas to wielka kasa dla organizacji, a pieniądze płyną z różnych źródeł, na przykład z hazardu, narkotyków, lokali ze striptizem i jeszcze takie różne tam źródelka. Na szczęście obecnie przebywa tu na stałe tylko jeden smok. Drań, do tego nerwus, który nawet Talon potrafi doprowadzić do białej gorączki. Jest właścicielem prawie wszystkich hoteli i kasyn na Stripie, więc gdybyśmy weszli do niewłaściwego budynku, to byłoby już po nas. Przecież natychmiast nas rozpoznają.

– W takim razie po co tu przyjechaliśmy? – spytał Garret, wyjmując mi to z ust. – Jeśli Talon kontroluje to miasto, to po co tak ryzykować? Tyle jest innych miejsc na mapie.

– Przyjechaliśmy, bo mam tu swojego człowieka, a potrzebne mi są pewne informacje. Przede wszystkim muszę się dowiedzieć, dlaczego moje kryjówki przestają być kryjówkami, i jaki jest w tym udział Talonu. Poza tym, jak dotąd, byłem dla Zakonu postacią nieznaną, ale teraz już nie. Jak do tego doszło? Podsumowując, chcę się dowiedzieć, czy faktycznie stworzona przeze mnie sieć kryjówek jest zagrożona, a jeśli tak, to w jaki sposób można to zagrożenie zlikwidować. A tu, w Las Vegas, jak powiedziałem, mam kogoś, kto pracuje dla mnie.

Kogoś, kto śledzi na bieżąco wszystkie ruchy między Świętym Jerzym a organizacją i wie o wszystkim, co tu się dzieje.

Zjechaliśmy ze Stripu, pozostawiając za sobą wypasione hotele oraz oszałamiające światła, a po kilku minutach jazdy Riley zatrzymał się na poboczu.

– Wsiadamy – oznajmił, gasząc silnik. – Hotel, do którego idziemy, jest kilka domów dalej, ale samochód zostawiamy tutaj. Jestem pewien, że właściciel zawiadomił już policję o jego zniknięciu. – Odwrócił się i spojrzał na pistolet, który nadal trzymałam w ręku. – Schowajcie broń. Przecież nie chcecie, żeby ktoś ściągnął nam na głowę policję. – Gdy to powiedział, Garret natychmiast sięgnął po torbę leżącą na tylnym siedzeniu. A Riley dalej perorował: – Pamiętajcie, macie zachowywać się normalnie. Żadnych wyskoków, jasne? Działamy szybko i sprawnie, ale na spokojnie. – Zadumał się na moment. – Aha, jeszcze coś. Wes, masz te dowody tożsamości dla nich, tak?

Wes coś tam wymamrotał pod nosem i nie odrywając oczu od komputera, wyciągnął do Riley'a rękę, w której trzymał dwie plastikowe karty. Riley odebrał je, po czym rozdał, czyli jedną dał mnie, drugą Garretowi.

– Wasza nowa tożsamość.

Prawo jazdy. Oczywiście spojrzałam na nie z wielką ciekawością. Przede wszystkim pogapiłam się na zdjęcie, na którym byłam oczywiście ja. Uśmiechnięta, wyluzowana, wręcz radosna. Ciekawe, jak Wes zdobył to zdjęcie... A nazywałam się teraz Emily Gates i miałam dwadzieścia jeden lat. Ciekawe, cóż ja takiego mogę zdziałać w Las Vegas, posługując się tym fałszywym dokumentem? Byłam bardzo podekscytowana, natomiast Garret bez słowa wsunął swoje prawo jazdy do kieszeni i dalej chował broń do torby.

– Te dokumenty będą bardzo pomocne – dodał Riley. – Ale pamiętajcie, macie i tak być nadzwyczaj ostrożni, a już przede wszystkim nie rzucajcie się w oczy. Żadnych zamówień z baru czy wycieczek do kasyna, rozumiano? Poza tym nie wolno wam dać się oszołomić tym wszystkim, co tutaj jest, jasne? Cały czas macie zachowywać umiar i zdrowy rozsądek. Firebrand, czy ty w ogóle mnie słuchasz?

Pokrzykiwał na mnie, więc oczywiście wykrzywiłam się do niego.

– Jasne! Głupia nie jestem. Mamy być po prostu niewidoczni.

– Zgadza się. I sprężeni. Nie wolno zapominać, po co tu jesteśmy.

Znów się wykrzywiłam, a Garret jak to Garret, bez słowa zasunął suwak w torbie, przewiesił ją przez ramię, otworzył drzwi i wysiadł. Ja oczywiście zaraz za nim też wysiadłam na zatłoczoną ulicę Las Vegas, zalaną słońcem, ale też i chłodzoną łagodnymi powiewami wiatru.

Riley i Wes również znaleźli się na chodniku i oczywiście to właśnie Riley objął dowództwo. Maszerował pierwszy, Wes, Garret i ja za nim. Ja, której naturalnie wszystkie instrukcje Riley'a momentalnie wyleciały z głowy i głową tą kręciłam bez przerwy raz w lewo, raz w prawo, wlepiając we wszystko oczy. Już byłam nie tyle pod wrażeniem, co po prostu oszołomiona!

Ale co się dziwić, skoro Crescent Beach to małe i sensne miasteczko. Ulic zaledwie kilka, dużych budowli też. A Vegas to całkiem inny świat. Nigdy dotąd nie widziałam tak wysokich domów. Stały po obu stronach ulicy, czułam się więc, jakbym szła przez kanion. Nigdy też nie widziałam tylu świateł, od których biła tak potężna łuna, że nie było widać nieba, jak i nigdy jeszcze nie widziałam takiego niekończącego się sznura samochodów. Migoczące światła widać było aż po horyzont!

A na chodniku tłok, niełatwo więc było posuwać się do przodu, kiedy jednocześnie czuło się nieprzepartą chęć spojrzenia na wszystko. W rezultacie co chwilę na kogoś wpadałam. Oczywiście grzecznie przepraszałam, a ten ktoś całkiem inaczej, po prostu piorunował mnie wzrokiem.

Kiedy z wielkim zadowoleniem kontemplowałam ogromny dom po drugiej stronie ulicy, nagle usłyszałam ostrzeżenie:

– Wróg na szóstej...

Obróciłam się szybko i po raz kolejny jakiś przechodzień, przeklinając pod nosem, wyminął mnie w ostatniej chwili. Ja oczywiście przeprosiłam i szybko zrównałam krok z Garretem, bo przecież mamrotał właśnie on.

– Garret? Na szóstej? To żargon wojskowy, prawda? Coś w stylu: uważaj, co robisz, baranie!

– A tak... – mruknął bez cienia uśmiechu, nie odrywając oczu od mijających nas właśnie dwóch młodych mężczyzn wyglądających po prostu jak dwóch bandziorów. – A teraz lepiej być przytomnym. W końcu jesteśmy na terytorium wroga, szuka nas i Talon, i Święty Jerzy. Po ulicy mogą kręcić się ich agenci, o czym nie należy zapominać.

Skarcił mnie. I miał rację, więc nie dyskutowałam, tylko od tej pory szłam karnie tuż za nim. A Garret przemykał przez tłum nadzwyczaj zręcznie, bez przerwy lustrując go tym swoim stalowoszarym wzrokiem. Przypomniałam sobie, jak w tłumie w Crescent Beach też był nadzwyczaj czujny, jakby w każdej chwili spoza ozdobnej rośliny w donicy mógł wyskoczyć wojownik ninja i rzucić się na nas. Wtedy, w tamtym sennym miasteczku, wydawało mi się to co najmniej dziwne. Teraz nie, bo dotarło do mnie, że ta niby nadmierna czujność musiała wiele razy uratować mu życie.

W końcu Riley przeprowadził nas przez niewielki parking, kierując się ku drzwiom niedużego, niemniej jednak robiącego wrażenie budynku, na którym wisiała tablica informująca, że są to:

OGRODY NERONA

HOTEL I KASYNO

Wejścia strzegły dwa marmurowe lwy. Jednemu z nich ktoś dowcipny domalował wąsy. A za przeszklonymi drzwiami był jasno oświetlony hol z posadzką wyłożoną zielonymi kafelkami, kolumnami z fałszywego marmuru i rzezbami półnagich Greków ustawionymi we wnękach. Pod przeciwległą ścianą stało wielkie biurko, och, wielgachne, a przede wszystkim wyjątkowo szerokie, po prostu od ściany do ściany, natomiast z boku było łukowate wejście, też z fałszywego marmuru. Wejście do kasyna. A w środku, w kasynie, brzęczało, mrugało, piszczało i świeciło.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Riley i wskazując na skrzące się i podzwaniające kasyno, uśmiechnął się szeroko: – Witajcie w Las Vegas!

DANTE

Z lotu ptaka miasto wyglądało jak wyspa z gwiazd, migocząca na

tle ciemnej otchłani.

– Czy panowie mają ochotę jeszcze coś przekąsić, zanim zejdą z pokładu? – spytała stewardesa, szczerząc do nas śnieżnobiałe zęby. Ścisłej, szczerzyła je do mnie. Pan Smith, mój instruktor, zajęty rozmową przez telefon, w ogóle na nią nie spojrział, natomiast pan Roth, usadowiony naprzeciwko nas, machnął tylko ręką, dając do zrozumienia, że na nic nie reflektuje. W związku z powyższym na mnie spadło odwzajemnienie śnieżnobiałego uśmiechu, co też uczyniłem, chociaż również odmówiłem poczęstunku, mówiąc:

– Nie, dziękuję.

Na co istota ludzka rodzaju żeńskiego obdarzyła mnie spojrzeniem określanym jako powłóczyście.

– Gdyby jednak panowie zmienili zdanie, proszę mnie zawołać.

I odeszła na tył samolotu, gdzie stała druga stewardesa, piorunując tę pierwszą wzrokiem.

Pan Roth zaśmiał się.

– Panie Smith, niech no pan uważa na swojego protegowanego, bo mam wrażenie, że te ich kobiety bardzo chcą, by zwrócił na nie uwagę. A nie możemy dopuścić, by z jego powodu zaczęły skakać sobie do oczu!

Milczałem zdezorientowany, bo nie wiedziałem, czy uznać to za coś pozytywnego dla mnie, czy wręcz przeciwnie. Pan Smith natomiast zaśmiał się, podobnie jak pan Roth, ale nie powiedział nic.

A ja, tak dla kurażu, ukradkiem odetchnąłem głęboko i usiadłem wygodniej w miękkim fotelu, starając się choć trochę uspokoić. Bo byłem zdenerwowany, i to nawet bardzo. Zwykle o tej porze instruktor szlifował moje maniery, przerabiał też ze mną po raz kolejny zasady, jakimi kieruje się Talon, by upewnić się, że wiem, co robię. Teraz oczywiście, w obecności pana Rotha, musiał z tego zrezygnować, choć w prywatnym samolocie dla elit Talonu było tylko trzech pasażerów. Pan Smith, pan Roth, jedna z najgrubszych ryb Talonu, no i ja, raptem ja, szesnastoletni pisklak, który jeszcze wczoraj czekał nieśmiało przed drzwiami biura w Los Angeles, kiedy zostanie przyjęty.

Kiedy pan Roth wreszcie poprosił mnie do siebie, zaraz po przekroczeniu progu i starannym zamknięciu drzwi oznajmiłem:

– Chyba znaleźliśmy ich, proszę pana. Moim zdaniem są w Las Vegas.

Na co usadowiony za biurkiem wiceprezes Talonu uniósł znacząco jedną z brwi, tak na moje oko chyba wyregulowanych, a potem powiedział cicho, czy też raczej mruknął:

– W Las Vegas, powiada pan... – Spojrzał na mnie bardzo przenikliwie. – Nie spodziewałem się tego. Przecież działamy tam na wielką skalę. Dziwne, że Cobalt zdecydował się uciec właśnie tam. Jak pan doszedł do takiego wniosku, panie Hill?

– Monitorujemy Świętego Jerzego od chwili, gdy Ember i zbiegły smok wkradli się do zachodniej komandorii Zakonu – powiedziałem, wręczając mu teczkę przygotowaną przez Mist. W teczce był raport wraz ze zdjęciem satelitarnym komandorii Zakonu. – Naszym zdaniem Święty Jerzy też ich poszukuje, tak samo jak my, a ostatnio zauważyliśmy wzmożoną aktywność Zakonu właśnie w okolicach Las Vegas. Zdecydowanie przemieszczają się w stronę miasta, a z tego, co zdołaliśmy ustalić, wnioskujemy, że Ember i zbiegły smok ukryli się właśnie tam, być może w pobliżu Stripu.

– Rozumiem... – znów mruknął pan Roth. – Czyli na terytorium Reigna. A Zakon chce tam wejść, co na pewno bardzo skomplikuje całą sprawę.

Niewątpliwie, dlatego moje serce zabiło szybciej. Ember była w Las Vegas. Na pewno, przecież czułem to. Była o kilka godzin jazdy samochodem stąd, w środku wielkiego i bardzo niebezpiecznego miasta, gdzie z każdej strony czyhał na nią Święty Jerzy.

– Proszę pana... – zacząłem. – Jak powiedziałem, jesteśmy prawie pewni, niemal na sto procent, że jest w Las Vegas. Bardzo chciałbym tam pojechać i sprowadzić ją z powrotem. Bo ona na pewno mnie posłucha.

A poza tym, jeśli faktycznie uda mi się przekonać ją do powrotu, to Talon uświadomi sobie, jak bardzo jestem cenny dla organizacji.

Pan Roth uśmiechnął się.

– Naturalnie, panie Hill. Pojedzie pan odzyskać siostrę, to nie ulega wątpliwości. Niemniej jednak istnieją pewne procedury, które należy wziąć pod uwagę, bo to znacznie zwiększy szanse odnalezienia panny

Hill i Cobalta. Zanim więc pojedzie pan do Las Vegas, musi pan z kimś porozmawiać. Zaaranżuję to spotkanie.

Pan Roth nie marnował czasu. Kazał mnie odwieźć do mojego apartamentu, polecając, bym się spakował, bowiem czeka mnie kilkudniowy wyjazd. Oczywiście skwapliwie wykonałem polecenie, a następnego ranka zawieziono mnie na niewielkie lotnisko, gdzie czekali na mnie pan Roth i pan Smith, a także mały prywatny samolot. Wszystko więc działo się tak szybko, że nie miałem czasu ani pomyśleć, ani się zdenerwować.

Dopiero teraz.

Założyłem nogę na nogę i oparłem się wygodnie. Tak, tak właśnie miało być. Tylko odrobina nonszalancji, jak u prawdziwego profesjonalisty. Czyli z zewnątrz wszystko w porządku – chodzi oczywiście o pozę – natomiast w środku, we mnie, niedobrze. Z natury nie jestem lękliwy, teraz jednak wcale nie czułem się pewnie, ponieważ odnosiłem wrażenie, że wszystko zależy od tego, czy sprowadzę Ember z powrotem, czy nie. Tak właśnie to widziałem i tak naprawdę byłem przekonany, że się nie mylę. Można by nawet powiedzieć, że cały Talon skierowane są na mnie. Obserwowano mnie jeszcze staranniej niż w Crescent Beach. Czyli mam szansę wykazać się, co może być moim pierwszym naprawdę ważnym krokiem w budowaniu znaczącej przyszłości w organizacji. Dlatego muszę zrobić na nich wrażenie, muszę być nawet lepszy, niż się spodziewają w najbardziej optymistycznych kalkulacjach.

– Proszę pana...

Pan Roth od razu poderwał głowę i spojrzał na mnie wyczekująco.

– Tak...?

– Czy Reign to ktoś, z kim mamy się skontaktować w Las Vegas?

Pan Roth pokiwał głową i powtórzył, ale już bez pytającej intonacji:

– Tak.

– A czy jest coś, co powinienem o nim wiedzieć przed naszym spotkaniem? – pytałem dalej, starając się mówić ostrożnie, z wyczuwalnym szacunkiem.

– O naszym przyjacielu Reigne... – Wprawdzie pan Roth

uśmiechnął się, ale mówił oschłym tonem. – No cóż... Może warto, by pan wiedział, że Reign jest jednym z najstarszych smoków w naszej organizacji. Był przy Elderze Wyrmie, kiedy ten rósł w siłę. Poza tym Reign jest bardzo... no, powiedzmy, że... staroświecki. Lubi, by wszystko działo się w określony sposób, ale Elder Wyrm toleruje te jego drobne dziwactwa. Reign jest kimś bardzo ważnym dla organizacji, ponieważ większość aktywów Talonu przechodzi przez jego kasyna. Z tym że obcować z nim wcale nie jest łatwo. I to zdanie warto dobrze zapamiętać. Dlatego radzę panu, panie Hill, niech pan będzie wyjątkowo uprzejmy. Reign jest lojalny wobec organizacji, nigdy by sobie nie pozwolił na coś, co mogłoby rozgniewać Wyrma, niemniej jednak nie bardzo lubi, kiedy inne smoki wkraczają na terytorium, które uważa za swoje, dlatego gdy się ma do czynienia z tym samozwańczym królem, zdecydowanie zalecana jest niebywała ostrożność.

Samolot wylądował na prywatnym lotnisku na obrzeżach miasta. Czekala tu już limuzyna, która miała zawieźć nas do centrum. Kiedy znalazłem się w środku, specjalnie przyjąłem tę odrobinę nonszalancką pozę profesjonalisty – noga na nogę plus oprzeć się wygodnie. Specjalnie też nie patrzyłem przez zaciemnione szyby, nie wgapiałem się w niezwykle miasto. Nie, ponieważ bardzo zależało mi na tym, by sprawiać wrażenie kogoś niesłuchanie opanowanego, wręcz chłodnego, a nie zachowywać się jak turysta pożerający wszystko oczami, bo po raz pierwszy ogląda bajeczne Las Vegas.

Kiedy limuzyna zatrzymała się przed hotelem, przez moment nie byłem pewien, czy faktycznie będę zimny jak gład. Przecież tak wielkiego hotelu nigdy dotąd nie widziałem. Sięgał prawie nieba i oślepił milionami świateł. A w środku było mi jeszcze trudniej, bo jak tu się nie gapić na olbrzymi hol z czarno-złocistą posadzką, na kolumny z onyksu ozdobione srebrem czy na fontannę z marmuru usadowioną na samym środku tego porażającego holu, w którym powitał nas cały orszak elegancko ubranych ludzi, informujących, że „pan R” czeka na nas.

Poszliśmy za nimi przez gigantyczne kasyno, gdzie wszędzie migotało i dzwoniło, no i wszędzie byli ludzie. W złocistej posadzce odbijały się miliony świateł, całe kasyno wydawało się czymś bajkowym, wręcz nierealnym, niezwykłym miejscem, gdzie kompletnie

traci się poczucie czasu. Ludzie siedzieli przy stołach, na których widać było różnej wielkości słupki kolorowych żetonów, albo stali przy automatach do gry, wsuwając w nie banknoty. Pachniało bogactwem i luksusem. Przez chwilę, oprócz fascynacji, poczułem jeszcze coś. Ukłucie zazdrości.

Też bym tak chciał. Oczywiście!

Nasza eskorta poprowadziła nas do windy i poczekała, aż wejdziemy do środka, po czym wszyscy uklonili się i drzwi windy się zasunęły. Nikt nie przycisnął żadnego guzika, nie zrobił tego ani pan Smith, ani pan Roth, a jednak winda po krótkiej chwili ruszyła, obierając kierunek „w dół”.

Zjeżdżała długo, nawet bardzo długo, ale nikt nie odezwał się ani słowem. Nie wiem, o czym myśleli pan Smith i pan Roth, natomiast ja przez cały czas skupiony byłem na tym, by na mojej twarzy malowała się jak największa powaga.

Kiedy winda wreszcie zatrzymała się i drzwi się rozsunęły, zobaczyłem korytarzyk z cementową posadzką oświetlony jedną żarówką fluorescencyjną. I były tu tylko jedne drzwi. Znajdowały się na samym końcu korytarzyka.

Gdy wysiadaliśmy z windy, pan Smith spojrzał na mnie wyjątkowo chłodno, wręcz złowieszczo. Oczywiście było to ostrzeżenie, bym we wszystkim był po prostu perfekcyjny. Przecież za chwilę miało się okazać, czy całe to moje szkolenie zdało się na coś, czy też poszło na marne. Czy wykażę się, czy pograżę. Czy zrobię odpowiednie wrażenie, czy też rozczaruję. Sytuacja była oczywista. Po przekroczeniu tego progu moja przyszłość w Talonie zostanie rzucona na szalę.

Spokojnie wytrzymałem jego wzrok i skinąłem głową. Był to gest znamionujący pewność i zdecydowanie. Przecież tego dnia zamierzałem zacząć pracować na swoje dobre imię. Pan Smith jeszcze przez moment patrzył na mnie, po czym odwrócił się i ruszył za panem Rothem, który już podchodził do tych jedynych drzwi w tym korytarzyku.

Przekroczyliśmy próg i znaleźliśmy się w mrocznej pieczarze. Nie, nie fantazjuję, ani nie jest to żadna przenośnia. Weszliśmy do najprawdziwszej pieczary, i to tak ogromnej, że tego, co u góry, po prostu nie było widać. Posadzkę wylano z cementu, ale ściany, tak na

moje oko, to była lita skała. I było tu bardzo ciepło, co dość zaskakujące, skoro znajdowaliśmy się pod ziemią. W powietrzu unosił się zapach dymu, nigdzie jednak nie widziałem ognia. Poza tym nie było tu żadnego oświetlenia, ani górnego, ani bocznego, żadnych lamp, żarówek czy świec. Za jedyne źródło światła służyły płaskie ekrany na przeciwległej ścianie. Stało tam chyba ze trzydzieści telewizorów przymocowanych do stalowych ram, tworzących jedyny w swoim rodzaju półokrąg złożony z obrazów i dźwięków. Na każdym z wielkich ekranów wyświetlało się co innego. Sport, wiadomości ze świata, a także wiadomości w różnych językach. Kilka telewizorów niewątpliwie należało do systemu ochrony kasyna, bo na ekranach widać było różne miejsca w hotelu. Na jednym z monitorów pokazywano notowania giełdowe, z kolei obok można było podziwiać rozpędzone konie na torze wyścigowym. A na kolejnym ekranie atrakcyjna Azjatka przekazywała coś po japońsku, słychać też było wycie syren policyjnych.

Czyli niesamowity i bardzo chaotyczny zestaw obrazów, które pokazywały, co aktualnie, dosłownie w tej chwili dzieje się w tak wielu miejscach. Zafascynowany tym, nie od razu zauważyłem to, co leżało pod tym półokręgiem złożonym z ekranów. Dopiero kiedy poczułem na ramieniu rękę pana Smitha, oderwałem wzrok od telewizorów. Moje spojrzenie przesunęło się w dół i szczęka prawie mi opadła. Musiałem zagryźć policzek, by powstrzymać się od okrzyku. Bo to był szok. Ale zobaczyć tak przeogromny stos złota! A ów stos pysznił się na posadzce pod ekranami. U podstawy liczył co najmniej piętnaście metrów, o wysokości co najmniej pięciu. Góra lśniącego złota na środku pieczary. Nic dziwnego więc, że Reign jest tak wyczulony na obecność innych smoków na jego terytorium. Ma przecież skarb, czyli faktycznie jest jednak staroświecki...

I nagle szczęka autentycznie mi opadła, bo góra złota poruszyła się, rozłożyła dwa gigantyczne skrzydła i usiadła. Głowa osadzona na długiej, wygiętej szyi przesunęła się w górę, ogon rozwinął się, szpony i łuski cicho zaskrobały w posadzkę i złocisty, blisko dwudziestopięciometrowy smok zwrócił się ku nam, wlepiając w nas wielkie żółte oczy.

Zmroziło mnie. Nie byłem w stanie uczynić najmniejszego ruchu,

mogłem tylko wpatrywać się w tego stwora, czując i podziw, i paniczny strach. Jak dotąd oprócz mojej siostry widziałem tylko jednego smoka w prawdziwej postaci, dorosłego smoka mniejszego od tego złocistego o połowę, a może i więcej. Był to Wurm, jeden z trzech smoków, które przekroczyły granicę wieku tysiąca lat i żyły tak długo, że były wielkości okazałego gmachu. O Elderze Wurmie, najstarszym z nas i najpotężniejszym, wiedzieli w Talonie wszyscy, natomiast i imiona, i miejsce pobytu dwóch pozostałych trzymane były w największej tajemnicy. A ten smok tutaj, Reign, był właśnie jednym z tych sędziwych smoków. Reign, spoglądający na nas z góry, niemal jak bóg, na nas, trzy nędzne robaki u jego stóp.

Teraz pojąłem, dlaczego Talon pozwala mu na te, jak to określił pan Roth, niewielkie dziwactwa. Bo kto by się ośmielił mu sprzeciwić?

– A więc jesteście – odezwał się Reign niskim, głębokim głosem o takiej sile, że ściany pieczary się zatrzęsły. Wyprostował się na całą swoją imponującą wysokość i przeciągnął – miało się wtedy wrażenie, że swoim gigantycznym ciałem wypełnia całą pieczarę – a na koniec przysiadł, owijając się ogonem. Kiedy pochylił głowę, jego łuski, złociste jak monety sprzed stuleci, zaiskrzyły się. I spojrzał na mnie, uśmiechając się tak, że zmroziło mnie. Miałem przecież okazję zobaczyć cały garnitur przerażających kłów.

– Witaj w kasynie – powiedział. – Mam nadzieję, że zadowolony jesteś z kwatery?

Jeden z najpotężniejszych smoków Talonu zwrócił się tylko do mnie, pomijając moich przełożonych. Dziwne, ale to nie była pora, żeby się nad tym zastanawiać, po prostu należało coś odpowiedzieć. Zgodnie z instrukcją pana Rotha musi to zabrzmieć przede wszystkim uprzejmie. No cóż... Trudno być nieuprzejmym wobec dwudziestopięciometrowego smoka, który może połknąć ciebie w całości!

– Naturalnie, proszę pana – odparłem bardzo zadowolony, że mój głos nie drży. – Tym bardziej że to jednak coś więcej niż tylko kwatery. Pański hotel robi wielkie wrażenie. Chcielibyśmy też panu bardzo podziękować, że zgodził się pan przyjąć nas tak szybko.

Reign prychnął, ale mimo to odniosłem wrażenie, że jest zadowolony z mojej wypowiedzi.

– Widzę, że nieźle cię wyszkolili – zagrzemiał i uniósł wyżej głowę, spoglądając na pozostałe smoki, które stały z boku i cierpliwie czekały, kiedy Reign raczy zwrócić na nie uwagę. – Chociaż można się było tego spodziewać. Ale dajmy już sobie spokój z uprzejmościami i przejdźmy do sprawy zasadniczej. – Jego oczy rozbłysły, kilkakrotnie też uderzył ogonem o posadzkę. – A więc uciekł kolejny pisklak. I uważacie, że jest gdzieś w moim mieście! – Prychnął, wypuszczając z paszczy obłoczek dymu. – Bo ja uważam, że to niemożliwe, przecież w tym mieście nic się nie dzieje bez mojej wiedzy. Wiem, kto tu przyjeżdża, wiem, kto wyjeżdża. Mam oko na prawie wszystkie kasyna i hotele na Stripie i poza Stripem. I nawet jeśli ta dziewczyna wkroczyła na moje terytorium, to i tak się przede mną nie ukryje.

– Ona nie jest sama, panie Reign – odezwał się bardzo chłodno pan Roth, wysuwając się nieco do przodu. Niemniej jednak, jak zauważyłem, patrzył w bok, starannie unikając spojrzenia starszego od siebie smoka. – Sądzymy, że jest razem z dawnym Bazyliszkiem, agentem, który przed kilkoma laty zbiegł z Talonu. I ten były Bazyliszek wie o panu, panie Reign, i dlatego też wie, których hoteli ma unikać, w których miejscach lepiej się nie pokazywać... – Teraz Reign przymrużył oczy, wyraźnie niezadowolony, że pan Roth śmie mu się sprzeciwić, ale pan Roth, o dziwo, nie ustępował. – Wie dobrze, gdzie się ukryć i jak nie rzucać się w oczy. Nawet panu, panie Reign.

Reign zawarczał wprawdzie cicho, ale i tak wyczułem, jak w podłodze zawibrowało.

– Zbiegły Bazyliszek... – mruknął, postukując szponami w podłogę. – Słyszałem o tym zuchwalcu, o tym Cobalcie. Podejrzewam też, że to z jego powodu Święty Jerzy raptem pojawił się w moim mieście.

– Tak. Sądzymy, że Święty Jerzy również go szuka, podobnie jak my.

Nozdrza sędziwego smoka rozděły się.

– W takim razie niby dlaczego mam ryzykować, kiedy dzięki waszemu głupiemu agentowi kręci się tu Święty Jerzy? – spytał. – Udzielenie wam pomocy w załatwianiu sprawy z tym zbiegiem może zaowocować tym, że ja i moja działalność przestaną być dla Świętego

Jerzego tajemnicą. A ja unikam Zakonu od bardzo wielu lat i mam zamiar dalej tak trzymać.

Czyli niedobrze. Przecież czułem, że Ember gdzieś tu jest w pobliżu, w tym mieście albo w okolicy. I muszę ją odnaleźć, zanim dopadnie ją Święty Jerzy, albo też wyjedzie z miasta razem z tym zbiegiem, a my powrócimy do punktu wyjścia. I dlatego też byłem coraz bardziej zdeterminowany. Tak, bo nie miałem zamiaru pozwolić, by jakiś samozwańczy władca Las Vegas narażał moją siostrę na niebezpieczeństwo. I krzyżował mi plany.

– Proszę pana... – zacząłem, a zaskoczony Reign spojrział w dół, na mnie.

Chyba był też trochę rozbawiony. Natomiast pan Smith patrzył tak, jakby nie dowierzał własnym oczom i uszom, że stać mnie na tak zuchwałe naruszenie protokołu. Pisklak zamierzający dyskutować z sędziwym smokiem!

Oczywiście doskonale zdawałem sobie sprawę, że gra jest wyjątkowo niebezpieczna, ale za późno już było, by się wycofać. Mówiłem więc dalej, starając się oczywiście mówić głosem opanowanym i bardzo konkretnie:

– Pan ma wielkie możliwości, nie bez powodu więc zwracamy się do pana. A im szybciej odszukamy Ember, tym szybciej pozbędzie się pan Świętego Jerzego z Las Vegas. I to jest chyba wystarczający powód, by nam pomóc.

Reign skłonił wielką głowę, a po jego paszczy przemknął cień uśmiechu.

– Czyżby, pisklaku? Trzeba przyznać, że jesteś bardzo pewny swego – powiedział niebezpiecznie cichym głosem.

A ja poczułem na karku zimne krople potu, wycofać się już nie mogłem. Rejterada byłaby największym błędem, bo to po prostu klęska na własne życzenie, a ja miałem tak wiele do ugrania.

– Ember jest moją siostrą, proszę pana, więc nikt jej nie zna tak jak ja. Gdyby udało się ustalić, gdzie przebywa, i jeśli zdarzy się sposobność do spotkania z nią, to jestem pewien, że uda mi się sprowadzić ją z powrotem do Talonu.

– Chłopiec mówi niegłupio – odezwał się pan Roth. – Kiedy

odzyskamy pannę Hill, to rozprawimy się również ze zbiegiem, a Zakon nie będzie miał już żadnego powodu do przebywania w Las Vegas. Wyjadą, my wrócimy do organizacji, a Elder Wurm na pewno doceni to, co pan zrobił w naszej sprawie.

– O, to na pewno – mruknął Reign, nie odrywając ode mnie oczu. – Chciałbym jednak spytać cię o coś, pisklaku. Przemawia przez ciebie wielka pewność siebie, może się jednak zdarzyć, że twoja siostra stanowczo odmówi powrotu do organizacji. I co wtedy?

Przełknąłem nerwowo, świadomy, że Reign po prostu mnie sprawdza.

– Są na to sposoby, proszę pana – odparłem. – Chociażby to, że każdy czegoś bardzo chce, chce to zdobyć za wszelką cenę. Trzeba tylko wiedzieć, co jest tym czymś. Ember ma swoje słabe strony, Cobalt niewątpliwie też. Jeśli uda się to wykorzystać, będziemy mieli ich oboje w garści.

Reign najpierw zrobił głośny, prawie turkoczący wydech, i w pieczarze zapachniało siarką.

– Bardzo dobrze. Mówi jak prawdziwy smok z Talonu – zagrzmiął i wyprostował się na całą swoją wysokość. Nic dziwnego więc, że mój puls przyśpieszył, natomiast Reign prawił dalej: – Mam kilku agentów, którzy mogą ich wyśledzić. Jeden z nich może okazać się nadzwyczaj pomocny, ponieważ ma oko na te rejony miasta, których ja nie mogę sprawdzać. Każę moim ludziom skontaktować się z nim, bo on na pewno będzie wiedział, czy pisklak i zbieg faktycznie są tutaj, w Las Vegas. Czy panu to wystarczy, panie Hill?

Mówiąc to, nawet nie spojrzał na pana Rotha czy pana Smitha, tylko znów patrzył jedynie na mnie, leciutko postukując końcem ogona o podłogę.

A ja skłoniłem głowę i postarałem się, by moja odpowiedź wręcz ociekała wdzięcznością.

– Tak, proszę pana. Ogromnie panu dziękujemy. Talon nigdy tego panu nie zapomni.

– Mam nadzieję, że tak będzie! – odparł, potrząsając głową równie gigantyczną, jak cała reszta smoczego ciała. – A ja może i powinienem wspomnieć Elderowi Wurmowi o pewnym przemądrzałym pisklaku,

który przekroczył pewne granice... Tak, tak, panie Hill! I jeszcze jedno pytanie. Czy pan ma jakiś plan, co pan konkretnie robi, kiedy odnajdzie już siostrę i tego zbiega?

Mam czy nie mam? Nieważne, bo teraz najistotniejsze było to, że muszę sprowadzić Ember z powrotem i dopilnować, by nigdy już żaden zbieg nie uprowadził jej ze sobą. Tylko to się teraz liczyło. Mam to zrobić. Muszę, przecież oczy całego Talonu zwrócone są na mnie. I nie mogę zawieść.

– Tak, panie Reign. Naturalnie, że mam.

RILEY

Odpisuj draniu! Ale już! Dobrze wiesz, że tu jestem!

Wściekły wpatrywałem się w komórkę i wpatrywałem, klnąc w duchu. A tu nic, kompletna cisza, po chwili więc westchnąłem, schowałem komórkę do kieszeni i skupiłem się na tym, żeby jednak nie chodzić po pokoju tam i z powrotem, dalej przeklinając w duchu. Przecież, do cholery, istnieje coś takiego, jak upływ czasu! A mijał nieubłaganie, kiedy miotałem się po tym wielkim, przestronnym pokoju. Owszem, luksusowym, choć nie był to luksus najwyższych lotów. Doskonale mogłem się obejść bez złocistych zasłon i czerwonego dywanu, tak samo ten obraz przedstawiający prawie gołe Greczynki wylegujące się na trawie na brzegu jeziora spokojnie mógłby tu nie wisieć.

Prychnąłem pogardliwie. Przecież to nie pałac cesarza, prawda? Także nie kasyno, do którego chodzą ci z najwyższych półek finansowych oraz profesjonalni gracze. O nie. To miejsce na pewno omijają szerokim łukiem, co akurat bardzo mi odpowiadało, bo oznaczało, że nikt z Talonu, a już na pewno żaden ważniak, tu nie zajrzy.

A tylko to mi odpowiadało, bo dalej wyliczając, chociażby to łóżko! Przecież śpię sam, więc po co mi to królewskie łoże? Ember zainstalowała się w pokoju obok, Wes i ten żołnierz mają pokoje po drugiej stronie korytarza. Oczywiście, przecież pieniądze nigdy nie stanowiły problemu. Pracowałem dla organizacji przez lata, to i uzbierało się całkiem sporo. Naturalnie kiedy zbiegłem z Talonu,

natychmiast zamrozili moje konta, ale później dołączył do mnie Wes, a dla niego zamrożone konto to żaden problem. Doskonale potrafił poradzić sobie nawet z zabezpieczeniami Talonu. No i teraz ta cała kasa spoczywała sobie bezpiecznie na koncie w banku zagranicznym, naprawdę daleko stąd, nazwisko właściciela oczywiście jest fałszywe, i Talon nie był w stanie tego wytropić. Po prostu nie dali rady, co potwierdza informatyczną mądrość, że posiadanie przy sobie genialnego hakera jest niezwykle pomocne, i to nie tylko w tym jednym przypadku, bo moje potrzeby są różnorakie. Czasami trzeba zdobyć kod jakiegoś banku, wyrobić fałszywy dowód tożsamości, dokonać rezerwacji na fałszywe nazwisko, pozyskać jakieś tajne czy wrażliwe informacje, i tak dalej, i tak dalej.

Miejmy nadzieję, że ten mój nowy kontakt okaże się równie pomocny.

I wreszcie komórka zabuczała. Błyskawicznie wyciągnąłem ją z kieszeni, przeczytałem wiadomość – była krótka, ale za to treściwa – i uśmiechnąłem się niewesoło. Czyli nadszedł czas na przejście do sedna sprawy, a przynajmniej zdobycia odpowiedzi na kilka pytań. Sprawdziłem, czy mam ze sobą portfel i fałszywy dokument tożsamości, po czym wyszedłem z pokoju. Znalazłem się na zielono-złotym korytarzu, gdzie natknąłem się na Wesa, który z butelką Mountain Dew pod pachą zmierzał do swojego pokoju.

– Griffin w końcu się odezwał? – spytał półgłosem, podchodząc do mnie.

– Tak. Właśnie idę z nim się spotkać. Gdzie reszta?

Wes wskazał butelką na korytarz.

– A tam, to znaczy w swoich pokojach. W każdym razie byli tam, kiedy wychodziłem na chwilę. Mam nadzieję, że ten przeklęty pisklak w tym czasie nigdzie nie polazł. Była bardzo niezadowolona, kiedy powiedziałaś jej, że ma się z tego korytarza nie ruszać.

Jęknąłem w duchu. Nuda i zakazy to były dwie rzeczy, których Ember nie trawiła. A pod tym właśnie korytarzem było wejście do kasyna pełnego migoczących świateł wabiących do najróżniejszych gier. Wszystko tam świeciło i kusilo ciekawskiego smoka.

– Nie spuszczaaj ich z oka – przykazałem. – Pilnuj i Ember,

i żołnierza. Tak, jego też, bo co z tego, że uciekł z Zakonu. Nadal jest i na zawsze pozostanie Świętym Jerzym, nigdy więc nie wiadomo, co mu do głowy strzeli. Pamiętaj, jeśli ruszy się ze swego pokoju, masz natychmiast mnie o tym powiadomić.

Wes uśmiechnął się niewesoło.

– A co? Kiedy zaśnie, mam może wsadzić pluskwę do lampy w jego pokoju?

– Nie, Wes. Nie sądzę, żeby był w kontakcie z Zakonem. Oni przecież polują na niego tak samo jak na nas. Chodzi mi o to, że jeśli gdzieś wyjdzie, albo zobaczysz, że podchodzi do Ember bliżej niż pięć kroków, natychmiast daj znać. Tak samo mnie informuj, jeśli będzie tu podejrzenie cicho. Po prostu masz mieć oczy i uszy szeroko otwarte. Mam wiedzieć, czy on chrapie, mam wiedzieć, kiedy poszedł się wysikać. Po prostu wszystko, bo kompletnie nie mam pojęcia, dlaczego on tu jeszcze jest. A jest i tak chyba dalej będzie, dlatego chcę o nim wiedzieć jak najwięcej, żeby się orientować, z kim mam do czynienia, jasne?

– Super... – wymamrotał Wes. – Przez trzynaście lat byłem w tym cyrku najlepszym hakerem, a teraz raptem mam zabawiać się w niańkę. – Sarknął, pociągnął łyk z butelki i nachylił się ku mnie. – Gdzie jest broń? – spytał, jeszcze bardziej zniżając głos. – Chyba wolno o to zapytać?

– Wolno. Jest w moim pokoju. Oczywiście! Chyba nie sądzisz, że pozwolę Świętemu Jerzemu zbliżyć się do naszej broni?!

Czarna torba stała koło mego łóżka. Ot tak, jakby nigdy nic, a w istocie w tej niewinnie wyglądającej torbie były owinięte w ubrania dwa pistolety kalibru 9 mm, a także mój ulubiony glock. Na klamce w moich drzwiach wisiała już wywieszka z napisem „Proszę nie przeszkadzać”. W ogóle nie zamierzałem jej zdejmować, bo zdecydowanie bym wolał, żeby jakaś ciekawska pokojówka nie potknęła się o torbę pełną broni. Oczywiście jeszcze gorzej by było, gdyby przyłapano mnie w kasynie z bronią, na którą nie mam pozwolenia. Bo nawet w takim miejscu jak to ochrona wyszkolona jest w wyłapywaniu gości z bronią. O tym, że w kasynie są tysiące kamer, nawet już nie wspominając. Kamer głównie umieszczonych na suficie, które

obserwują każdy twój ruch. Podsumowując – ja na pewno podczas pobytu w tym miejscu nie będę chodził z bronią. Cóż, trudno. Ale żołnierz bez wątpienia też nie. Już my się o to postaramy.

– Wychodzę, Wes. Zadzwoń, jeśli któryś z pokoi wyleci w powietrze.

– A wiesz, że to, co powiedziałeś, może i byłoby zabawne, ale tylko w przypadku, gdybym nie dopuszczał takiej możliwości! – zgryźliwie odciął się Wes.

A ja tylko uśmiechnąłem się pod nosem, wsiałem do windy i po chwili byłem już w środku tego szaleństwa. Całe piętro zajmowane przez kasyno jak zawsze stanowiło jedno wielkie kłębrowisko ludzi i tych migoczących, bijących po oczach świateł. No i bez przerwy gdzieś dzwoniło. Och, te niekończące się rzędy automatów do gry. Wystawały przed nimi głównie starsze siwe panie, zresztą najczęściej ufarbowane na niebiesko, oraz starsi panowie. I całe to towarzystwo z determinacją godną lepszej sprawy ciurkiem wrzucało do automatów monety albo wkładało karty. Wokół stołów do ruletki też był regularny tłok, a z tego tłumu na przemian wydobywał się albo radosny wrzask, co zdarzało się dość rzadko, albo głośny jęk, który rozlegał się często. Natomiast przy stolikach do gry w blackjacka krupierzy z wprawą magika odwracali karty, potem sięgali do słupków żetonów koło graczy. Sięgali i sięgają, póki po tych słupkach nie został już ślad. I tak dalej, i tak dalej. Jakie to żałosne, ci ludzie i całe to ich bogactwo. Przebijałem się przez tłum mocno zniesmaczony tym, co widzę, choć muszę przyznać, że ci rozgorączkowni ludzie również budzili we mnie litość. Bo dla mnie było to niepojęte. Walczyć, pracować jak wół, żeby potem wszystko, co zdobędziesz, postawić na numerek, na kartę, na kombinację cyfr czy obrazków, i po prostu stracić, jakby nie miało to dla ciebie żadnej wartości.

Przy ostatnim stoliku do blackjacka, ustawionym w rogu sali, zauważyłem wreszcie osobę, której szukałem. Był to śniady mężczyzna w jasnoczerwonym garniturze i kapeluszu. Siedział nieruchomo, z łokciami na stole, dłonie przyciskając do ust, i wpatrywał się w dwie karty leżące przed nim. Trójka pik i dziewiątka trefl. Stałem więc pod najbliższą kolumną. Oparłem się o nią plecami, skrzyżowałem ramiona

i w takiej oto pozie zacząłem wpatrywać się w ten właśnie stół. Mężczyzna w jasnoczerwonym garniturze stuknął w blat i krupier odwrócił kartę. Piątka trefl, czyli wartość dobieranych oczek wynosiła siedemnaście. Mężczyzna na moment znieruchomiał, potem znów zdecydowanym gestem zastukał w stół, a krupier ponownie odwrócił kartę. Tym razem piątkę kier. Czyli dwadzieścia dwa punkty. Więcej niż dwadzieścia jeden. I tak oto nastał koniec gry.

Mężczyzna w jasnoczerwonym garniturze skrzywił się, wstał z krzesła i zwrócił się twarzą do mnie.

– Do niczego ciebie nie zmuszam! – powiedziałem. – Sam wstałeś, bo...

– Bo przegrałem. Masz ochotę poinformować o tym całe kasyno? – półgłosem spytał żartobliwie, uśmiechając się szeroko, dzięki czemu złoty ząb miał okazję błysnąć efektownie w sztucznym świetle. – Blackjack nie jest moją pasją, ale ponieważ byłem z tobą umówiony, pomyślałem, że partyjkę pokera sobie odpuszczę. Na Texas Hold'em czasu za mało, a z tym blackjackiem to jest trochę dziwnie. Jeśli zbyt często wygrywasz, zaczynają cię obserwować. Wygrywasz dalej, wtedy zostajesz oskarżony o liczenie kart, co przecież tu, w Nevadzie, wcale nie jest zabronione. W rezultacie do końca życia masz zakaz wstępu do wszystkich kasyn i przy Stripie, i poza Stripem. No cóż... W tym mieście obowiązuje żelazna zasada, że wygrywa zawsze kasyno... – Dalej się uśmiechał, ale spojrzenie wyraźnie stwardniało. – I dlatego będę do zgonu wdzięczny, jeśli pewien zarozumiały gad nie zdradzi mnie i znów nie będę musiał zmieniać nazwiska. Tak, tak, śmieję się ze mnie, śmieję!

Przede wszystkim to on prawie ryczał ze śmiechu. Ja owszem, zawtórowałem, ale na pewno nie tak głośno.

– Oj, Griffin, Griffin! Nic się nie zmieniłeś!

– Ale kiedyś tak, pamiętasz? I nazwisko, i twarz, i charakter.

Wszystko musiałem zmienić, kiedy ci pomogłem. Czyżby teraz zanosilo się na coś podobnego?

– Powiedzmy... – mruknąłem i odruchowo spojrzałem w górę, na czarne kamery, które rejestrowały każdy nasz ruch. – Czy tu można pogadać?

– Absolutnie nie. Idziemy na drinka. Masz ochotę? Bo ja tak.

I ruszył przed siebie, z przedziwną maestrią manewrując w tłumie, jakby robił to codziennie od chwili narodzin. Szedłem za nim, oczywiście rozglądając się czujnie dookoła, czy przypadkiem ktoś nas nie obserwuje. Jednak wyglądało na to, że nikt nie zwrócił na nas uwagi, oczywiście oprócz wyraźnie znudzonych ochroniarzy, którzy spoglądali podejrzliwie na moje zakurzone buty i równie zakurzoną czarną skórzaną kurtkę. Ale podobnie spoglądali jeszcze na wiele innych osób, więc nie było powodu do niepokoju.

Z kasyna przeszliśmy do restauracji, zatłoczonego lokalu z przyćmionym światłem, gdzie ściany dosłownie pokryte były płaskimi telewizorami. A na wszystkich bez wyjątku ekranach pokazywano sport, najprzeróżniejsze dyscypliny, do wyboru, do koloru. Ludzie siedzieli albo przy barze, czyli rządkiem, jak gołębie, albo przy okrągłych stolikach. Roześmiani, rozbawieni albo pochłonięci rozmową, czyli niewątpliwie zapomnieli o całym świecie na czas pobytu tutaj.

Zajęliśmy z Griffinem stolik w rogu sali. Przy sąsiednim stoliku, tuż za nami, siedziała grupa studentów, ale tym się nie przejmowałem, bo w takim hałasie, w tym głośnym i tłumnym gwarze o podsłuchiwanie nie mogło być mowy. Kelnerka przyjęła zamówienie, odeszła i wreszcie zostaliśmy sami.

– A więc to tak... – zaczął Griffin, splatając palce. – Może powiesz, co sprowadza cię do Las Vegas?

Westchnąłem, milczałem przez chwilę, aż wreszcie odparłem dość retorycznym pytaniem:

– A jak myślisz?

– Ja? No cóż... Biorąc pod uwagę to całe zamieszanie wokół miasta, ten cały krzyk o miasto, to cóż, nie spodziewam się niczego dobrego. Przypuszczam, że Święty Jerzy złożył nam wizytę z twojego powodu. W każdym razie zdecydowanie wkroczyli na wojenną ścieżkę, bo coś musiało ich porządnie wkurzyć. Doszły do mnie słuchy, że Talon, który też się wściekł, a to z tego powodu, że Zakon wkroczył na jego terytorium, stara się za wszelką cenę dojść, o co w tym wszystkim chodzi. A ja już swoje wiem. To ty wsadziłeś kij w mrowisko.

– Powiedzmy... – mruknąłem i zamilkłem, ponieważ przy stoliku

pojawiła się kelnerka z naszymi drinkami.

Kiedy tylko odeszła, błyskawicznie unicestwiłem whisky. Po prostu do dna. Po alkohol sięgałem rzadko, chociażby dlatego, że smok, nawet w ludzkiej postaci, musi wlać w siebie naprawdę dużo trunku, by poczuć jego moc, co w sumie wydawało mi się bez sensu. Tego dnia jednak zrobiłem wyjątek i jak już wspomniałem, kiedy tylko kelnerka odeszła, błyskawicznie unicestwiłem moją porcję szkockiej. Griffin natomiast pił burbona powoli, cały czas spoglądając na mnie wyczekująco.

Uśmiechnąłem się więc i mówiłem dalej:

– No wiesz... Tak się zdarzyło, że w zeszłym tygodniu ktoś zakradł się do ich zachodniej komandorii i wyprowadził stamtąd więźnia.

– Nie mów! – Griffin z wrażenia odstawił kieliszek, który był już w połowie drogi do ust. – Do komandorii Zakonu?! Przecież to szaleństwo!

– Owszem...

– A kim jest ten więzień? Jeden z twoich pisklaków?

– Nie. Jeden z nich.

– Co?! Nie, nie wierzę! Nie dość, że wkradłeś się na terytorium wroga, to jeszcze tak namieszałeś? Po cholere? Na co ci to? Może jeszcze przywiozłeś tego gnojka właśnie tutaj? – Spojrzał na mnie bacznie, intensywnie. – I to jest ta twoja sprawa do mnie?!

– Cóż, cała ta sprawa jest jeszcze bardziej skomplikowana, niż mógłbyś przypuszczać. Ale odłóżmy to na bok, bo nieważne, czy pochwalasz mój postępek, czy nie. Przede wszystkim chciałbym wiedzieć, dlaczego moje kryjówki znikają, po prostu znikają jedna po drugiej. I skąd raptem Święty Jerzy wie, kim jestem i że zjawiłem się właśnie tutaj. Chcę wiedzieć, czy przypadkiem w naszej sieci nie ma jakiejś wtyczki. Poza tym muszę wiedzieć, jakie są zamiary Talonu, a także gdzie oni są teraz dokładnie. A więc jak? Dasz w łapę komu trzeba i dowiesz się tego. Zgoda?

Griffin podrapał się po czole.

– Hm... Chodzi i o Talon, i o Zakon... – Dumał intensywnie przez chwilę. – W sumie czemu nie? Wszystko jest do zrobienia, ale w swoim

czasie... I trzeba być ostrożnym, bardzo ostrożnym, a przede wszystkim nie gadać z byle kim...

– Proszę, Griffin, zrób to dla mnie. Wiem, wśród jakich ludzi się obracasz, więc nie sądzę, żebyś faktycznie musiał smarować na wielką skalę. W każdym razie środki na to są.

Griffin sapnął i znów popił burbona.

– A wiesz, że dziś rano... tak, właśnie dziś słyszałem coś bardzo interesującego. A jak dla mnie to również zabawnego.

– Co? Mów!

– Podobno jakiś gościu zobaczył w opuszczonym hotelu coś, co wystraszyło go jak diabli. Podobno zobaczył „pieprzonego wielkiego jaszczura”. Tak to właśnie określił.

Natychmiast usiadłem prosto jak struna.

– Zbiegły pisklak?

– Ludzie, z którymi pracuję, są zdania, że tak, że to zbiegły pisklak.

– Griffin drgnął, kawałki lodu w jego kieliszku zrobiły dokładnie to samo. – Jak sam rozumiesz, ja z tym fantem nic nie mogę zrobić, ale dla ciebie może to być interesująca informacja. Bo może warto by to sprawdzić.

– Cholera... – Westchnąłem ciężko. Byłem w oku cyklonu, nie wiedziałem, gdzie ręce włożyć, a tu jeszcze to. Ale przecież wiadomo, że nie mogę czegoś takiego zignorować. – Przyślij mi namiary. Postaram się to sprawdzić. Mało tego, że mam tyle na głowie, to jeszcze i Talon, i Zakon siedzą mi na karku! Griffin, powiedz, czy oni tego hotelu na pewno jeszcze nie namierzyli?

– Oczywiście, że nie. Gdyby było inaczej, nie byłoby mnie tutaj, prawda? – odparł Griffin, podnosząc się z krzesła. Obciągnął jasnoczerwoną marynarkę i dodał: – Daj mi kilka dni. Zobaczę, co da się zrobić. A tobie nie wolno w tym czasie się ze mną kontaktować. Absolutnie, masz tylko czekać, kiedy zadzwonię do ciebie.

– W porządku. Tylko nie każ mi czekać zbyt długo, bo może się zdarzyć, że pewien przemądrzały jaszczur zasiądzie do stolika do pokera i będziesz miał przechlapanie. Bo nic nie wygrasz.

– Zawsze byłeś draniem – oświadczył Griffin, uśmiechając się superpromiennie. – Dzięki za drinka. Pozdrów ode mnie Wesa.

Poszedł sobie, a ja zapłaciłem za drinki i ruszyłem z powrotem na piętro, mając nadzieję, że podczas mojej nieobecności nie było tam żadnej eksplozji. I że pewna rudowłosa dziewczyna, nadzwyczaj uparta i nieznosząca bezczynności oraz nudy, zgodnie z moim poleceniem nie ruszała się stamtąd, a przynajmniej nie ściągnęła na siebie żadnych kłopotów.

Niestety, o nadziei mówi się też, że to matka głupich...

Kiedy drzwi windy rozsunęły się i znalazłem się na korytarzu, od razu zauważyłem szczupłą postać – taką z rudymi włosami – przemykającą korytarzem w stronę pokoju sąsiadującego z moim.

EMBER

Pokój niby ładny, niestety wcale dobrze się tu nie czułam, co mnie porządnie wkurzało. Ale ten właśnie pokój dla mnie był za pusty, a mówiąc jeszcze dobitniej, był kompletnie pozbawiony duszy. Mimo tych wszystkich malowideł na ścianach – Grecy, i to kompletnie goli! – a także malunku tego tam, z kwadratową szczęką, co stał w kącie i bez przerwy gapił się na mnie. Nie, nie podobało mi się, choć przecież powinnam pogodnie patrzeć na świat, skoro wreszcie mieliśmy chwilę wytchnienia. Nic się nie działo, nic nie zagrażało naszemu życiu. Niemniej jednak wcale nie było mi dobrze. Kiedy włączyłam telewizor tylko po to, żeby ktoś do mnie gadał, wcale nie słuchałam, bo przed oczami wciąż przesuwały się obrazy z niedalekiej przeszłości, sprzed dwóch tygodni, których nie mogłam wymazać z pamięci. Wspomnienia, które sprawiały, że krew zaczynała burzyć się we mnie. Kiedy na przykład w pamięci ożył obraz czerwonego smoka wiszącego na ścianie w biurze Świętego Jerzego. Kiedyś pełnego życia pisklaka, jak ja. A teraz ten pisklak był tylko martwym trofeum. Zapamiętałam też bardzo wyraziście spojrzenie Garreta między żelaznymi prętami jego celi. Patrzył tak, jakby nagle zobaczył ducha. A potem, kiedy wzięłam go za rękę, kiedy jego palce delikatnie objęły moją dłoń...

Wspomnienie o tym, jak leciałam nad pustynią, niosąc Garreta na swoim grzbiecie. Także o strasznym bólu, gdy dosięgła mnie kula.

Żołnierz, mój wróg, osuwający się na podłogę w opuszczonym

domu. Niewidzące już oczy wlepione we mnie.

Lilith, jej chłodny głos, kiedy mówi, że urodziłam się, by być Żmiją. Morderczynią, tak jak ona.

Zadrżałam.

Wstałam z łóżka i podeszłam do okna. Spojrzałam w dół, na rozświetlone milionami neonów Las Vegas, na jaśniejącą ścianę wielkich hoteli i kasyn na horyzoncie.

Na terytorium Talonu. No cóż... Byłam pewna, że los zbiega przedstawia się mimo wszystko inaczej. Riley nie wspomniał jednak właśnie o tym, o bezustannej ucieczce, o wszechobecnym strachu, o tym, że zbieg jest istotą permanentnie prześladowaną. A także o tym, że aby przeżyć, trzeba zabić.

Dlatego rodziło się nieuchronne pytanie:

Gdybym wcześniej o tym wszystkim wiedziała, czy zdecydowałabym się na ucieczkę z Crescent Beach razem z Rileyem?

A odpowiedź brzmiała:

Oczywiście, że tak...

A kto odpowiedział? Jakiś cichy szept w mej głowie, może i szept mojej smoczy, która nie miała żadnych wątpliwości. Nawet sarknęła cicho, dodając, że sama powinnam o tym wiedzieć. Bo nieprawda, że Riley cokolwiek przemilczał. Mówił, że życie zbiega nie jest usłane różami. I nie ma się nad czym zastanawiać. Zawsze wybrałabym wolność, chociażby dlatego, że podstawową moją cechą jest upór.

W rezultacie poczułam złość. Wróciłam do łóżka i ułożyłam się na plecach, zakrywając twarz poduszką. Nie powinnam niczego żałować. Oczywiście! Nie mogłam podjąć innej decyzji, skoro dowiedziałam się o tych złych, mrocznych stronach Talonu, o tym, czego oni naprawdę chcą, wciąż wymachując hasłem o obronie naszego gatunku. Dowiedziałam się – i nie miałam najmniejszej ochoty brać w tym udziału. I nadal tak było.

Okej, ale mój problem polegał na tym, że nie miałam pod ręką nikogo, z kim mogłabym pogadać, kto pomógłby mi dojść do ładu z tymi szalonymi i całkiem dla mnie nowymi emocjami, które szarpały mną bez przerwy. Tak bardzo chciałam mieć przy sobie kogoś bliskiego. Niestety tym kimś nie mógł być żaden z towarzyszących mi chłopaków,

bo przecież to właśnie oni, ściślej dwóch spośród nich, byli jednym z powodów tego chaosu w mojej głowie.

Nie, z żadnym z nich nie mogłabym pogadać tak od serca.

Jaka szkoda, że nie ma tu Dantego, jaka szkoda...

Dante? Przecież on ciebie zdradził!

Kto to powiedział? Ja czy smoczyca? Nieważne. Ważne jest to, że Dante wydał nas. Powiedział przecież, gdzie jesteśmy, w wyniku czego Lilith omal nas nie zabiła. Nas, czyli Rileyę i mnie.

– O nie! – zawarczałam w poduszkę. – Dante nie wiedział, co zrobi Lilith. Na pewno. Przecież Talon tak samo go okłamuje jak mnie. Jak każdego. To na pewno nie była jego wina!

Czyli super. Doszło do tego, że rozmawiam ze sobą! Może i tak, ale co z tego? Na pewno jeszcze nie oszalałam!

Odrzuciłam poduszkę na bok, wstałam z łóżka i rozejrzałam się po pokoju, w którym czułam się tak boleśnie obco, gdzie panowała cisza tak przytłaczająca, tak obrzydliwa. Nawet gadanie z telewizora nie dawało rady jej wypełnić.

W gardle ścisnęło. Bo tęskniłam. O tak. Tęskniłam za moim dawnym życiem. Za moim miastem, moimi przyjaciółmi. Tęskniłam za moim bratem.

– A niech to... – szepnęłam, czując, jak łzy napływają mi do oczu.

Okropnie chciałam, żeby Dante znów był ze mną, i to teraz, właśnie teraz. Był razem ze mną i z innymi zbiegami z dala od Talonu. Przecież Talon go wykorzystywał, jak wszystkich zresztą członków organizacji. Tak bardzo chciałam Dantemu powiedzieć o tym, pragnęłam, by usłyszał o tych wszystkich brudach, o mrocznych sekretach Talonu, o prawdziwej cenie, jaką się płaci za przynależność do organizacji. Dante powinien o tym wiedzieć. Kiedy dowie się prawdy, na pewno nie będzie już chciał być z nimi.

Może kiedyś uda mi się mu o tym powiedzieć.

O tak! Zapaliła się iskierka nadziei. O tak! Bo może tak właśnie się stanie. Ale jak miałabym tego dokonać? Zadzwoić do niego?

W żadnym razie! Nigdy bym się na to nie odważyła, bo to zbyt wielkie ryzyko. Jeśli Talon nas szuka, na pewno również obserwują mojego brata. Być może jego komórka jest na podsłuchu, być może włamują się

też do jego poczty w komórce i do poczty elektronicznej. Być może? Och, dziwne, gdyby tego nie robili. Dlatego tego typu środki komunikacji absolutnie odpadają, bo w ten sposób naraziłabym wszystkich na wielkie niebezpieczeństwo. I siebie, i Garreta, i Rileyę, a także wszystkie pozostałe zbiegłe smoki.

Owszem, ale przecież mamy tu kogoś, kto potrafi zrobić tak, żebyś dla wszelkiej maści radarów Talonu pozostał niewidoczny.

Wstałam szybko z łóżka, podeszłam do drzwi i uchyliwszy je, ostrożnie wyjrzałam na zewnątrz. Pusto, w długim korytarzu ani żywej duszy, czyli jestem przewrażliwiona. Riley mówił przecież, że w tym hotelu jest bezpiecznie, tutaj ze strony Talonu na pewno nic nam nie grozi.

Tak, ale jeśli w tym hotelu są jednak ludzie, którzy wyglądają tak, jakby mieli przy sobie broń, to stanowczo wolałabym zauważyć ich pierwsza, zanim oni mnie zauważą.

Ostrożnie przeszłam przez próg, zrobiłam trzy kroki po zielono-złocistym dywanie i zastukałam do drzwi naprzeciwko. Otworzyły się już po chwili i wyjrzała spoza nich mizerna twarz Wesa. Jak zwykle był rozczochrany, z podkrążonymi oczami i kilkundniowym zarostem.

I jak zwykle spojrzał na mnie bardzo niemiło. Być może spodziewał się kogoś innego, na przykład Rileyę, a być może już sam mój widok wystarczał, by zepsuć mu humor.

– A, to ty... – mruknął, czujnie omiatając spojrzeniem długi korytarz. – Czego chcesz?

– Cześć, Wes. Chciałam cię o coś zapytać. Czy mogę wejść? Wolałabym nie rozmawiać na korytarzu.

Bardzo starałam się, by zabrzmiało to miło, a towarzyszący temu uśmiech był naprawdę sympatyczny. Wiedziałam przecież, że Wes mnie nie lubi, miałam jednak nadzieję, że z czasem to się zmieni. Niestety, o żadnej zmianie nie było mowy, bo nadal patrzył na mnie bardzo chłodno.

– Kurde... – mruknął. – Jeszcze to...

Jednocześnie jednak odsunął się na bok, dzięki czemu mogłam przekroczyć próg i wejść do pokoju bardzo podobnego do mojego. Też złociste zasłony i królewskie łożo, a na ścianach Grecy w śmiałych

pozach. Na królewskim łożu zamknięta torba. Prawdopodobnie Wes w ogóle o niej zapomniał. Natomiast komputer oczywiście był włączony.

Zamknął drzwi, spojrzał na mnie podejrzliwie i niezbyt życzliwym tonem spytał:

– O co chodzi? Mów, ale szybko, bo nie mam czasu na jakieś głupie pogawędki z pisklakiem.

– Głupie pogawędki?

– Mów, o co chodzi! – zawarczał.

A ja najpierw odetchnęłam głęboko nie tylko po to, by się uspokoić, ale i po to, by zyskać trochę na czasie i zastanowić się, co i jak mu powiedzieć. Najpierw obszerny wstęp? Och, co za bzdura. Najlepiej od razu przystąpić do rzeczy. I tak też zrobiłam, mówiąc po prostu:

– Chcę wysłać wiadomość do mojego brata.

Brwi Wesa natychmiast podskoczyły może nawet aż do połowy czoła.

– Do brata? – spytał z wyraźnym niedowierzaniem w głosie. – Chodzi ci o tego faceta, który wydał nas Talonowi? Wybacz, ale czy przypadkiem nie padło ci na mózg? Chcesz, żeby Talon dowiedział się, gdzie jesteśmy? Gdzie dokładnie, co do metra kwadratowego, jesteśmy?!

– Przecież on nikogo nie wydał! Tak, powiedział Lilith, gdzie jesteśmy, ale nie miał bladego pojęcia, co z tego wyniknie. Niestety, kiedy należysz do organizacji, bardzo wielu rzeczy nie wiesz, bo Talon okłamuje wszystkich. Dante nie wiedział, że Lilith zamierza nas zabić! Znam dobrze mojego brata, znam go od zawsze i wiem, że nigdy świadomie by mi nie zaszkodził, nie naraził na niebezpieczeństwo. Nigdy! A Talon go wykorzystuje, tak jak każdego z nas.

– Może i tak, ale niezależnie od wszystkiego, twój brat nadal jest członkiem organizacji, która wysyła za nami Żmije. A obecnie dla organizacji jest teraz kimś, kto naprowadzi ich na nasz ślad. Dlatego wybacz, ale nie mogę ci pomóc, bo stanowczo wolę, żeby stan, w jakim teraz się znajduję, nie uległ zmianie. To znaczy wolę być dalej żywym.

Był nieprzejeđnany, natomiast ja coraz bardziej zrozpaczona. I oczywiście zła, coraz bardziej zła. Miałam wielką ochotę tego upartego człowieka postraszyć, tak po smoczemu, kłami i ogniem, zdawałam sobie jednak sprawę, że Wes ma rację. Odmawiając mi, chroni i siebie,

i nas wszystkich. Tak, ale Dante był moim bratem bliźniakiem, jedyną bliską mi istotą, jedyną moją rodziną. Talon naturalnie nie aprobował tego rodzaju więzów. Według obowiązujących w nim reguł jedyną rodziną członków organizacji była właśnie organizacja. Nie wolno przywiązywać się do nikogo i do niczego. Ale my i tak byliśmy sobie z Dantem bliscy. Od zawsze żyliśmy razem, sami we dwoje wobec całego świata. I nie miałam zamiaru go opuszczać, nigdy, naprawdę nigdy, nawet jeśli dobro Talonu jest dla niego ważniejsze niż moje.

I dlatego, mimo że uznałam racje Wesa, dalej go prosiłam:

– Wes, zrozum, on jest moim bratem, a ja nie wiem, co się z nim dzieje. Nie wiem, czy wszystko w porządku, czy może właśnie nie. Talon potrafi być bezwzględny...

Wes zacisnął usta, czułam jednak, że chyba się waha.

– Wes, przecież nie powiem mu, gdzie jesteśmy, a skąd! Nie przekażę żadnej, nawet najdrobniejszej informacji, która mogłaby naprowadzić na nasz ślad. Absolutnie! Po prostu chcę tylko wiedzieć, co się z nim dzieje.

Wes westchnął ciężko, po czym oznajmił:

– Nawet gdybym chciał to zrobić... a zaznaczam, że ochoty najmniejszej nie mam... to bez zgody Riley'a nie podejmę tak wielkiego ryzyka. Bo ty jeszcze nie widziałas, jak to jest, kiedy Riley straci nerwy, tak naprawdę je straci, a ja niestety ognioodporny nie jestem. Poza tym nie mam zamiaru robić niczego poza jego plecami. Dlatego najpierw musisz pogadać z Riley'em.

– Dobrze – powiedziałam, już wycofując się do drzwi. – Poszukam Riley'a i pogadam z nim.

– O czym? – spytał nagle ktoś spod tych właśnie drzwi, to znaczy nie ktoś, tylko oczywiście Riley.

Błyskawicznie zrobiłam w tył zwrot, a Riley stał w progu, mierząc mnie wzrokiem, i spytał:

– Wszystko w porządku? – Spojrzał przelotnie na Wesa, ale jak już wspomniałam, głównie wpatrywał się we mnie. – Można wiedzieć, skąd ty się tu raptem wzięłaś, Firebrand? W tym pokoju?

Wes prychnął i zanim zdążyłam otworzyć usta, sam przekablował:

– Ten cholerny pisklak chce, żebym wysłał wiadomość do jej brata.

– I ruszył do komputera, jakby sprawa była załatwiona, a on ma coś ważniejszego do roboty. Oczywiście spiorunowałam go wzrokiem, ale co z tego, skoro oczy miał już wlepione w ekran. Niemniej jednak coś jeszcze dodał: – Powiedziałem jej, że zanim sprowadzi nam tu na kark i Talon, i Świętego Jerzego, ma porozmawiać z tobą.

– Ember! – ryknął Riley.

A ja cała skurczyłam się w środku. Trudno, żeby było inaczej, bo w jego głosie było tyle gniewu. Wyczułam też strach.

Błyskawicznie zatrzasnął drzwi i napierając na mnie, zmusił, bym cofnęła się z powrotem w głąb pokoju.

– Czyś ty oszalała? Tylko mi nie mów, że już sama próbowałaś się z nim skontaktować! Co ci do głowy przyszło? Chcesz, żeby Talon dowiedział się, gdzie dokładnie jesteśmy? Marzy ci się, że się budzisz, a wszędzie dookoła Żmije?!

– Ale on jest moim bratem! – zaprotestowałam słabym głosem.

– I co z tego! Jest członkiem organizacji, skontaktował się wtedy z Lilith. Czy to ciebie niczego nie nauczyło? Miał możliwość wyboru, prawda? Wybierał między Talonem a siostrą. I co? Wybrał Talon, więc sprawa jasna. Gdyby sytuacja miała się powtórzyć, znów wybierze Talon.

– Nie wierzę. – W gardle ścisnęło, pod powiekami piekło. Byłam bliska łez. Niełatwo było dyskutować z Wesem, a co dopiero z rozjuszonym Rileyem, który patrzył na mnie oskarżycielsko. Ale brnęłam dalej: – Nie wierzę, żeby mój brat bliźniak świadomie chciał mnie skrzywdzić. Dante po prostu nie zdaje sobie sprawy, że Talon go wykorzystuje. Nie dociera do niego, jacy oni są naprawdę, do czego są zdolni. Gdybym mogła z nim pogadać i wytłumaczyć mu wszystko, na pewno by zrozumiał...

– Wątpię. Moim zdaniem dał już się im przerobić. Też przecież kiedyś należałam do tej organizacji i wiem doskonale, jak potrafią oddziaływać na swoich członków. Uśmiechają się do ciebie, poklepują po ramieniu i chwają, bez przerwy wciskając ten sam kit. Że wszystko, co robisz, robisz dla dobra członków organizacji, dla całej smoczej społeczności. A ty im wierzysz, bo niby dlaczego masz nie wierzyć? Przecież to miłe wierzyć w coś takiego, czujesz się potrzebny,

niezastąpiony, wręcz wyjątkowy. Poza tym oni są niezwykle przekonujący. A wiesz dlaczego? A dlatego, że sami święcie wierzą w to, co mówią. – Przerwał na moment. – Jest jeszcze coś, Ember. Nawet gdyby ci się udało przekonać brata, co wydaje mi się nieprawdopodobne, ale załóżmy, że tego dokonałaś, to jak go stamtąd wyciągniesz? Nie, po prostu sobie tego w ogóle nie wyobrażam. Jest pod stałą obserwacją, bezwzględnie inwigilowany... Tak czy inaczej, nieważne, czy go przekonasz, czy nie, uważam, że Dante zbyt głęboko w tym wszystkim tkwi, dlatego nawiązanie z nim kontaktu to dla nas zbyt wielkie ryzyko. Bardzo mi przykro, Ember, ale spełnienie twojej prośby jest niemożliwe.

Przymknęłam oczy, na moment, starając się choć trochę stłumić ten okropny i nieustająco narastający we mnie gniew.

– On jest moim bratem – oświadczyłam, unosząc głowę wysoko. – Nie mam zamiaru raptem z tego zrezygnować. Musi być jakiś sposób, żeby do niego dotrzeć. Jeśli wy mi nie pomożecie, będę próbować sama.

– Ember... – zaczął Riley.

Ale już go nie słuchałam. Przemknęłam obok niego i szarpnęłam klamkę. Dalsza rozmowa nie miała najmniejszego sensu. Ja i Dante byliśmy wyjątkiem, jedynymi smokami, które chowały się razem, jak rodzeństwo. A Riley, jak wszyscy z Talonu, nigdy nie miał nikogo bliskiego, nie był więc w stanie zrozumieć, dlaczego tak rozpaczliwie chcę odzyskać brata.

– Do cholery, Firebrand! Stój!

Byłam już za drzwiami, kiedy silne palce złapały mnie za nadgarstek, przerywając mój gwałtowny odwrót. Nastroszyłam się, próbując uwolnić rękę, co oczywiście mi się nie udało. Riley wciągnął mnie z powrotem do pokoju i zatrzasnął drzwi.

– Chwila, moment – warknął, a ja, wkurzona już maksymalnie, uderzyłam go w ramię. Och, walnęłam go z całej siły, dlatego jęknął: – Au! Ember, uspokój się wreszcie!

Chwycił mnie za ramiona i wcisnął w drzwi, wlepiając we mnie pełne gniewu złociste oczy. Ja jednak wcale nie miałam zamiaru się uspokoić. Och, byłam jak najdalsza od tego. Moje smocze instynkty, tak bardzo w tamtej chwili rozbuchane, wprost rwały się do walki. Byłam

o krok od Przemiany i rzucenia się na tego wrednego smoka, który stał przede mną.

Riley odetchnął głęboko, jakby też zmagał się z tym samym przeciwnikiem, czyli gwałtownym pragnieniem dokonania Przemiany.

– Bardzo mi przykro z powodu Dantego, Firebrand – powiedział. – Naprawdę, uwierz mi, ale musisz też uwierzyć, że przynajmniej teraz w żadnym razie nie możemy mu pomóc. Jeśli spróbujesz się z nim skontaktować, a Talon nas namierzy, to już po nas. A z pewnością namierzą, przecież śledzą każdy jego krok, każdy ruch, obserwują go i podsłuchują non stop, bo wiedzą, że Dante może ich doprowadzić i do ciebie, i do nas wszystkich. A ja naprawdę nie chcę, by którejs nocy obudziła mnie gromada Żmij! Dlatego powtarzam jeszcze raz, że przekazywanie Dantemu jakichkolwiek wiadomości jest dla nas zbyt niebezpieczne, i chciałbym, żebyś mi obiecała, że nie będziesz próbowała skontaktować się z nim, i to w żaden, choćby najbardziej zakamuflowany sposób!

Nie, wcale nie zamierzałam ustąpić. Przeciwnie, czułam się coraz bardziej zdeterminowana i coraz bardziej zła.

– Dobrze, nie będę się z nim kontaktować, ale to wcale nie znaczy, że nie będę próbowała go stamtąd wydostać – oświadczyłam, spoglądając w złociste oczy, które teraz były dla mnie bardziej oczami Cobalta niż Riley. – Na pewno to zrobię, tak czy inaczej, ale na pewno. Nie mogę go tam zostawić.

– Przecież rozumiem cię, Firebrand – odparł już o wiele łagodniejszym tonem i puścił mnie. – Proszę tylko, żebyś mi zaufała. Przecież gdybym tylko mógł, od razu bym odebrał ich wszystkich Talonowi. A teraz chodzi mi tylko o to, żebyś postępowała rozsądnie. Ja wiem, że najchętniej zbawiłabyś cały świat, ale nie zapominaj, że jest nas tylko troje. Ty, ja i Wes. Stanowczo za mało, by pokonać Talon i Świętego Jerzego. Potrzebna nam cała armia. Firebrand... – Palce Riley delikatnie musnęły mój policzek. – Proszę, zaufaj mi. I bądź cierpliwa, bo trochę czasu jednak minie, zanim wyważymy frontowe drzwi do kwatery głównej organizacji! Obiecasz mi, że stać cię na trochę cierpliwości? I opanowania? Pamiętaj, że musimy działać spokojnie, nadzwyczaj ostrożnie, a nie na przykład od razu puszczać ten hotel

z dymem!

– Może i obiecuję... – mruknęłam, zdecydowana już zrezygnować z dalszej walki. Och, przynajmniej na razie. Po tej mojej krótkiej deklaracji Riley wyraźnie się rozluźnił, a nawet się uśmiechnął, ale mina mu zrzędała, kiedy dokończyłam swoją myśl: – Niemniej jednak jeśli chodzi o spalenie tej wypasionej, tandetnej budy, to nie ręczę za siebie. Na pewno będzie się działo, kiedy Święty Jerzy spróbuje zajrzeć do mojego pokoju.

Riley skrzywił się.

– No cóż... Całe szczęście, że przy każdym wejściu są gaśnice. Pożar na pewno ugaszą, niemniej w wiadomościach niewątpliwie przekażą, że w pewnym kasynie w Las Vegas wybuchł pożar na jedenastym piętrze, a podczas tego dramatycznego zdarzenia widziano dziwnego stwora wylatującego przez okno. Miejmy nadzieję, że nie wzbudzi to w Talonie żadnych podejrzeń. Oby! – Popatrzył na mnie tak jakoś inaczej, a na pewno sympatyczniej, i dodał: – Wiesz co, Ember? Dzięki tobie moje życie naprawdę robi się ciekawe.

– Mówisz szczerze? Bardzo mnie to cieszy, bo przecież kochasz ciekawe życie. Gdyby nie ja, skończyłbyś z nudów.

– Zgadza się. – Kąciki ust Riley'a drgnęły. – A wiesz, mój instruktor lubił dawać mi dobre rady. Och, nawet bardzo to lubił. Oczywiście większość z nich puszczałem mimo uszu, ale coś niecoś jednak w pamięci pozostało. Na przykład taka mądrość: Płomień, który rozgorzeje po raz drugi, może i będzie tak samo gorący, ale gorzeć będzie o połowę krócej. Rozumiesz, o co chodzi?

– Chyba tak... Ale proszę, proszę! Czyżbyśmy mieli do czynienia z ukrywającym się filozofem, może nawet poetą, który tworzy subtelne, wyrafinowane dzieła w krótkich przerwach między kradzieżami samochodów a włamywaniem się do więzienia?

Riley uśmiechnął się i znów delikatnie pogłaskał mnie po policzku.

– Zwykle nie wyskakuję z takimi metaforami, ale tym razem postanowiłem zrobić wyjątek. Bo dla mnie jesteś właśnie jak płomień, Firebrand. Jasny, gorący płomień, który sprawia, że wszystko dookoła staje w ogniu, choć ty może nie zdajesz sobie z tego sprawy.

– Przecież jestem smokiem... – powiedziałam głosem trochę już

słabszym, ponieważ z oddychaniem miałam pewien problem.

Tak, bo Riley stał bardzo blisko mnie, w związku z czym przeżywałam poważną rozterkę. Z jednej strony bardzo chciałam odsunąć się od niego, co było niemożliwe, ponieważ tuż za moimi plecami znajdowały się drzwi, więc jedyna droga odwrotu prowadziła prosto przez Riley'a. A z drugiej strony, choć naprawdę chciałam się odsunąć, jednocześnie korciło mnie, by postąpić dokładnie na odwrót. Przysunąć się bardzo blisko do Riley'a, tak blisko, że mogłabym wtulić się w niego bardzo mocno, i tak trwać i trwać...

– Jestem smokiem – powtórzyłam lekko zadyszczonym głosem. – A smoki mają to do siebie, że podpalają. Ale... Co za sens zapalać świeczkę, kiedy zamierza się ją schować, więc jej światło będzie bezużyteczne? – Riley unióśł znacząco brwi, a ja uśmiechnęłam się triumfująco. – A widzisz? Też potrafię filozofować!

Riley uśmiechnął się, ale był to tak zwany smętny uśmiech.

– Radziłbym ci jednak uważać, żeby nie przypalić ludzi, którzy przypadkiem znajdą się blisko ciebie – powiedział, zniżając głos. – Poza tym nie bądź nigdy najjaśniejszym płomieniem, Firebrand, bo takie pogaszą najszybciej... Wiem, o czym mówię. Widziałem już coś takiego i bardzo bym nie chciał, by to właśnie tobie się przydarzyło.

– Będę uważać – powiedziałam też cichym głosem.

Riley zamilkł na chwilę. Miałam wrażenie, że chciał jeszcze coś dodać, ale uznał, że lepiej nie, i stąd ta chwila przerwy, podczas której milczeliśmy oboje, patrząc sobie prosto w oczy. Moja smoczyca oczywiście była już bardzo bliska wydostania się z ludzkiego pancerza. Smok Riley'a niewątpliwie też. A palce Riley'a nadal ścisnęły mnie za ramię.

Staliśmy tak, póki ktoś głośno nie chrząknął. Oczywiście był to Wes, który przez cały czas stał w kącie. Riley zamrugał, jakby wracał do przytomności, uświadamiając sobie, gdzie jest i co robi. Zamrugał kilkakrotnie, po czym puścił mnie. Co powinien przecież zrobić, niemniej jednak byłam rozczarowana, a co jeszcze dziwniejsze, jakoś trudno mi było zdecydować, kto konkretnie jest rozczarowany. Czy Ember człowiek, czy smoczyca. A może obie?

– Mieliliśmy ciężki dzień. Wracaj do siebie, Ember, i połóż się.

Powinnaś odpocząć – powiedział Riley i odwrócił się, żeby podejść do Wesa.

A ja w tym momencie omal nie popełniłam szaleństwa, bo okropnie mi się chciało złapać go za rękę i z powrotem przyciągnąć do siebie, żeby znowu był tak bliźutko mnie. Na szczęście powstrzymałam się.

Dzięki temu Riley bez przeszkód dotarł do Wesa, rzucając jeszcze przez ramię:

– Pooglądaj sobie telewizję albo puść jakiś film. Możesz zamówić sobie coś do pokoju. Nie mamy nic do roboty, masz więc wolny wieczór.

Ale się mądrzy! Tym razem nie powstrzymałam swoich odruchów i wykrzywiłam się do jego pleców straszliwie, a potem zapytałam:

– Riley, jak długo tu będziemy?

– Dopóki nie dowiem się, jak wygląda sytuacja z Zakonem i czy faktycznie możemy stąd wyjechać – odparł, podchodząc już do Wesa. Stanął za jego plecami i też spojrział na ekran, ale nie przestał się mądrzyć: – Do tego czasu siedzimy tu murem. Ty w swoim pokoju. Nie wolno ci schodzić do kasyna, ponieważ tam są wszędzie kamery, a człowiek, z którym współpracuję, twierdzi, że Święty Jerzy już wkroczył na wojenną ścieżkę. Poza tym Talon też jest porządnie wkurzony. Dlatego najrozsądniej jest tak postępować, by po prostu być niezauważalnym, jasne?

– Jasne. Dlatego postaram się nie rozniecić ognia w moim pokoju – oświadczyłam i wyszłam.

Zrobiłam to niby krokiem szybkim i zdecydowanym, ale tuż za progiem, kiedy drzwi zamknęły się za mną, przystanęłam. Wcale nie byłam zachwycona perspektywą powrotu do ciszy i pustki mego pokoju, gdzie mogłam liczyć jedynie na towarzystwo telewizora. Gdybym się uparła, mogłabym zostać w pokoju Wesa, ale przecież oni, zajęci wirtualnym szpiegostwem czy układaniem planów, wcale nie pragnęli mojej obecności. Poza tym stanowczo powinnam znaleźć się jak najdalej od Riley, bo moja smoczyca po prostu już wariowała. Wiła się, skręcała i była bardzo niezadowolona, że nadal jest w zamknięciu. Gdybym więc tam wróciła, chyba nie dałabym rady dotrzymać obietnicy o nierozniecaniu płomienia.

W rezultacie podeszłam do drzwi do pokoju obok, który zajmował Garret. Przyłożyłam ucho do drzwi i zaczęłam bezczelnie podsłuchiwać, starając się wyłapać jakieś dźwięki świadczące o tym, że Garret jeszcze nie śpi. Niestety, za drzwiami panowała cisza idealna, dlatego po krótkiej chwili wahania zdecydowałam się zapukać.

Zrobiłam to niegłośno i tak samo, czyli cicho, zapytałam:

– Garret? Jesteś tam?

Dalej nic, dalej cisza. Nikt się nie odezwał, nie usłyszałam żadnych kroków świadczących o tym, że Garret podchodzi do drzwi. Przez dłuższą chwilę stałam oparta o framugę, zastanawiając się, czy może zastukać jeszcze raz, ale już głośno, czyli po prostu go obudzić. Jeśli śpi. Bo równie dobrze mógł nie spać, tylko nie reaguje, bo nie tęskni za moim towarzystwem.

Tak czy siak, lepiej nie zakłócać mu spokoju. Odwróciłam się i ruszyłam w drogę powrotną po miękkim dywanie do swojego beznadziejnego pokoju, nagle czując się kompletnie wykończona, samotna i bardzo przygnębiona.

W moim pokoju oczywiście panowała cisza jak makiem zasiał, chociaż za oknem rozświetlone Las Vegas jak zawsze tętniło bujnym życiem, i ten kontrast jeszcze bardziej pogłębiał mój nie najlepszy stan ducha.

Po szybkim prysznicu znowu włączyłam telewizor, i znowu tylko po to, by słyszeć czyjś głos, a potem przez dobre dziesięć minut zastanawiałam się, jak zamawia się jedzenie do pokoju. Oczywiście doszłam do tego i już po chwili mogłam zatopić zęby w burgerze, trochę za bardzo spieczonym, ale to było nieistotne, bo od razu po pierwszym kęsie uświadomiłam sobie, jak bardzo jestem głodna. Po prostu okropnie, stąd nasunął mi się pewien wniosek. Udział w strzelaninie plus kradzież samochodu znakomicie wpływają na apetyt. Głodnym jesteś również wtedy, gdy postrzelą cię prawie śmiertelnie.

Idiotka! Zebrało mi się na czarny humor i apetyt znikł jak ręką odjął. Burger wrócił na talerz, frytek nawet nie tknęłam, tylko ułożyłam się na wielkim łóżku, chowając się cała pod kołdrą, i tak leżałam, słuchając gadania z telewizora, i ta paplanina jakoś wypełniała tę przytłaczającą ciszę. Moim najgorętszym pragnieniem było wyłączenie

mózgu chociaż na kilka godzin. Ale takie wyłączenie całkowite, żeby w głowie zrobiła się pustka, w tej nieszczęsnej głowie, w której rezydowała cała trójka, czyli Garret, Dante i Riley. I każdy z nich wzbudzał we mnie całkiem inne emocje, w rezultacie w tej mojej biednej łepetynie buzowało prawdziwe kłębowisko i myśli, i uczuć. Po jakimś czasie udało mi się zasnąć, ale i tak co rusz budziłam się, bo ci trzej wciąż byli w moich snach. I nie tylko oni. Co jakiś czas pojawiała się inna twarz, twarz straszna, ta, o której nie mogłam zapomnieć.

Twarz człowieka, którego zabiłam.

RILEY

– Ty po prostu oszalałeś na punkcie tej dziewczyny!

Ten „ty” to byłem ja, a oczywiście wrzeszczał Wes. Siedział na łóżku z laptopem na kolanach i prawie całkowicie opróżnioną butelką w rękę. Po wykrzyczeniu tej krótkiej uwagi wypił do dna, po czym, spojrzawszy na mnie, na moją niewątpliwie mało pogodną minę, uniósł jedną z brwi, zresztą rozczochranych jak włosy, i dalej się mądrzył, wymachując jednocześnie butelką, z której tryskały na białą pościel ostatnie drogocenne krople napoju energetycznego.

– Tylko się nie wypieraj, koleś. Obserwowałem was przy tych drzwiach. Jeszcze sekunda i już by było buzi, buzi i tak dalej!

– Smoki nie dają sobie buzi, głupku!

– Dają czy nie dają, mam to gdzieś – skwitował Wes, zamykając laptopa. – Po prostu wkurzasz mnie, Riley. Odkąd mamy ze sobą tego cholernego pisklaka, kompletnie zapomniałeś o naszych priorytetach. A poza tym, oprócz tego pisklaka, ciągniemy ze sobą żołnierza Świętego Jerzego! A ja pytam, po co? No po co?! Dlaczego jeszcze nie powiedziałeś temu palantowi, żeby zjeżdżał stąd?!

– Bo może być dla nas bardzo użyteczny. Rozumiesz, raptem mamy kogoś z obozu wroga. Gdyby udało się go jakoś przycisnąć, może by zdradził nam jakieś sekrety Zakonu.

– Daruj sobie, Riley! Za długo cię znam, żeby dać się nabrać. Ten gnojek jest z nami tylko dlatego, że ona tego chce. Może się myłę? A skąd! Bo odkąd wyjechaliśmy z Crescent Beach, wszystko kręci się

wokół niej, i w rezultacie jesteśmy tu uziemieni. Poza tym mamy na karku i Talon, i Świętego Jerzego, a ty z kolei obiecujesz gruszki na wierzbie. Te twoje obietnice są bardzo niebezpieczne, bo doprowadzą do tego, że nas wszystkich wykończą. Bo jeśli komuś... no, wiadomo komu... raptem zechce się skontaktować z kimś z organizacji, to albo powinieneś go wyśmiać, albo kazać spadać, albo mu przyłożyć. A nie takie tam bla, bla, bla...

– Wyluzuj, Wes! Przecież nie mam najmniejszego zamiaru wysyłać wiadomości do brata Ember, tego zdrajcy. A Ember niczego nie obiecywałem, jestem tylko pewien, że nie damy już temu klonowi z Talonu okazji, by rzucił się na nas. Na tym jednym razie się kończy!

– Coś ci umyka, koleś – wycodził Wes, pocierając nos. – Powiedziałeś, że na tym jednym razie się kończy. A ja powiem, że nawet tego jednego razu nie powinno być! Od samego początku wiedziałeś, że ten jej brat to wielki problem, wiedziałeś, że nas wyda, a jednak pozwoliłeś jej z nim się spotkać. I co się potem stało? Najlepsza z morderczyń Talonu, wredna Żmija, ta pieprzona Lilith wyśledziła was i omal nie wykończyła! A wszystko dlatego, że pewien pisklak owinął sobie ciebie wokół pazurka i po prostu kompletnie ci odbiło!

Mocne słowa, bardzo mocne. A niech to... Nic dziwnego, że w piersiach poczułem żar.

– Nie przeginaj, Wes – wycodziłem. – Lepiej skup się na tym, jak dalej ciągnąć ten wózek, jak nie dopuścić, by przez tylne drzwi wkradli się tu wrogowie. A to, co między mną a Ember, to nie twoja sprawa!

– A właśnie że również moja, bo doprowadzi do tego, że wykończą nas wszystkich!

– Ach tak? No to posłuchaj mnie uważnie. Od wielu lat skutecznie chronię nasze podziemie. Kiedy Ember nie miała jeszcze pojęcia, kto to jest człowiek, ja już walczyłem i odbierałem smoki Talonowi. Na tym się skupiłem, przy okazji często przelewając krew, a bliski śmierci byłem niezliczoną ilość razy. I nie zamierzam raptem tego rzucić, jak i nie zamierzam przegrać. Co to, to nie. Dlatego dziwią mnie te twoje zarzuty, bo byłem pewien, że znamy się jednak lepiej.

Wes, jak dotąd w pozycji siedzącej, teraz przyjął półleżącą, opierając się o poduszkę.

– Przecież wiem – mruknął. – Wiem, że zrobisz wszystko, by zapewnić tym dzieciakom bezpieczeństwo. Tak samo jak ja zrobię wszystko, by dowalić Talonowi i pokrzyżować jego dalekosiężne plany. Przede wszystkim ten jeden cholerny plan, czyli zapanowanie nad całym światem. Ale problem w tym, że nigdy dotąd nie widziałem ciebie w takim stanie. Współpracujemy ze sobą od wielu lat. Włożyliśmy wiele wysiłku w zbudowanie podziemia, w wydostawanie smoków z organizacji, w osłabianie Talonu wszędzie tam, gdzie tylko to okazało się możliwe. Tak było i chciałbym bardzo, by tak pozostało. Po prostu chciałbym mieć absolutną pewność, że twoje priorytety nadal są podobne do moich, a w gruncie rzeczy takie same.

– Nie, nie takie same. Bo coś tu się nie zgadza. – Gdy to powiedziałem, Wes gwałtownie spochmurniał. – Osłabienie Talonu, pokrzyżowanie im planów, dążenie do zniszczenia tego imperium diabła, to były zawsze twoje podstawowe cele, Wes. Dla mnie zawsze najważniejsze były i nadal oczywiście są pisklaki, ponieważ każdy pisklak, którego uda mi się wyrzeć Talonowi, to w przyszłości jeden smok mniej na jego usługach. Pomagam pisklakom, bo chcę, by smoki były wolne. Ty również im pomagasz, ale tylko dlatego, że dla ciebie jest to jeszcze jeden środek do osiągnięcia celu. Szalonego celu, mianowicie takiego, że dzięki temu, co robimy dzisiaj, pewnego pięknego dnia w bliżej nieokreślonej przyszłości Talon padnie, rozwali się w proch i pył.

– No cóż... Każdy ma jakieś marzenia, prawda? – powiedział Wes cicho, ale spoglądając na mnie twardo. – Ty nie wierzysz, że kiedyś tak się stanie, bo Talon jest zbyt wielki, zbyt potężny. Ale ja swoje wiem. Upadały o wiele większe giganty, znikwały z mapy świata najpotężniejsze mocarstwa. To samo stanie się z Talonem...

Na tym nasza dyskusja się skończyła, ponieważ zabuczał laptop, a zabrzmiało to wręcz złowieszczo. Wes natychmiast poderwał się z poduszek i jego palce zaczęły śmigać po klawiaturze, a nos Wesa był zaledwie kilka centymetrów od ekranu. Zmarszczone czoło świadczyło o największym skupieniu. Oczywiście błyskawicznie znalazłem się obok niego. Byłem cały spięty, choć jednocześnie miałem nadzieję, taką rozpaczliwą, która nawet ateistom nakazuje recytować żarliwe

modlitwy... Tak, miałem nadzieję, że ten alarm okaże się fałszywy.

– Wes, co się dzieje?

Jego palce znieruchomiały. Zbladł i opadł na łóżko, uderzając plecami o wezglowie.

Czyli koniec z nadzieją. Zanim otworzył usta, wiedziałem już, co usłyszę:

– Straciliśmy następne gniazdo. Święty Jerzy wkroczył do akcji.

GARRET

Dlaczego ja tu jeszcze jestem?

Uniosłem głowę, by strumienie gorącej wody, zanim spłyną w dół, lały się na czoło, bo może przy okazji zabiorą ze sobą pytanie, które prześladuje mnie od trzech dni. Niestety choć lały się i lały, jednak pytanie nadal krążyło po mojej głowie, i był to oczywisty dowód na to, że ja, chociaż przywykłem jak każdy żołnierz do dłuższych okresów bezczynności, kiedy to czeka się na rozkazy albo na sygnał do rozpoczęcia nowej misji, tym razem nie sprawdziłem się. Nie potrafiłem zapanować nad swoimi myślami.

Ten dzień mijał w ciszy. Oglądanie telewizji nie pociągało mnie, a ponieważ nie wolno mi było ruszać się poza nasze piętro, zabijałem czas, przeglądając magazyny o podróżach, albo po prostu leżałem i gapiłem się w sufit. Czego miałem już serdecznie dość, dlatego tego popołudnia nie zamierzałem spędzać bezczynnie i zabrałem się do ćwiczeń. Wykonywałem je bardzo intensywnie, mając nadzieję, że kiedy już zaczną padać z nóg, to żadne pytania nie będą mnie już dręczyć. I owszem, był taki moment pełnego komfortu psychicznego, ale tylko moment, bo kiedy tylko poszedłem pod prysznic, natychmiast wszystko wróciło. Ten cichy szept, który powtarzał wciąż to samo pytanie, poza tym poczucie niepewności i mnóstwo wątpliwości, cały ich potężny katalog. I to wszystko czułem ja, który zawsze słyszałem z wielkiej pewności siebie, i taki byłem nie tylko na zewnątrz, ale i w środku. A teraz...?

Nie wielka pewność siebie, nie jasny ogląd sytuacji i szybkie, konkretne wnioskowanie, tylko sznur znaków zapytania:

Dlaczego tu jeszcze jestem? Dlaczego ja, były żołnierz Świętego Jerzego, zdecydowałem się przyłączyć do smoków i nadal jestem z nimi, choć w każdej chwili mogę odejść? Nie jestem przecież ich więźniem, a poza tym ten zbiegły smok nienawidzi mnie, zresztą nie bez powodu, i marzy tylko o tym, bym wreszcie wyszedł z tego pokoju, a potem z tego hotelu i więcej mu się nie pokazywał na oczy. Oczywiście! Przecież wiele razy dawał mi do zrozumienia, żebym to właśnie zrobił.

Dlaczego więc tego akurat nie robię?

Czy dlatego, że Zakon mnie prześladowa i w towarzystwie smoków czuję się bezpiecznie i pewniej? Bzdura. Sam potrafię się ukryć przed Zakonem, przecież mam nie tylko siebie i swoje umiejętności, ale i odpowiednie środki, by tego dokonać. Święty Jerzy wypłaca swoim żołnierzom dość niski żołd, jednocześnie jednak zaspokaja wszystkie ich potrzeby, dzięki czemu na moim koncie uzbierała się całkiem spora sumka, którą ruszałem bardzo rzadko. Oczywiście, kiedyś te pieniądze muszą się skończyć, ale póki co było ich wystarczająco dużo na rozpoczęcie nowego życia.

Nowe życie... Czy będę potrafił zaadaptować się do tak zwanego normalnego życia? Od wielu lat żyłem w murach Zakonu, spoza których wychodziłem tylko po to, by zabijać smoki, dlatego z tym prawdziwym światem miałem niewiele do czynienia. Naprawdę bardzo niewiele, bo moje doświadczenia w tym zakresie ograniczały się do krótkiego pobytu w Crescent Beach. Tylko to i szczerze mówiąc, teraz, kiedy nikt nie wydawał mi rozkazów, nie mówił mi, dokąd mam pójść i co mam zrobić, czułem się trochę zagubiony. Jak dotąd wszystko u mnie opierało się na przyzwyczajeniach, na rutynie. Takie jest przecież życie żołnierza, w sumie bardzo nieskomplikowane, w pewnym sensie zredukowane do minimum. Żołnierz wykonuje rozkazy, to wszystko. A obecnie, pozostawiony sam sobie, czułem się tak, jakbym błąkał się we mgle. Właśnie zagubiony. I czekałem, co się wydarzy.

I jeszcze jedna nowość. Nigdy dotąd nie czułem lęku przed nieznanym, nigdy dotąd ten strach nie powstrzymywał mnie przed kolejnym krokiem. Teoretycznie więc nikt nie musiał wydawać mi rozkazu, że mam odejść, zostawić moich towarzyszy i rozpocząć nowe życie. Powinienem sam podjąć decyzję, nie bojąc się przyszłości. Byłem

przecież znakomicie wyszkolonym żołnierzem, wiedziałem, jak przetrwać, i mimo nieznośnego poczucia zagubienia, które mnie dręczyło, nie było żadnego powodu do obaw, że w tym nowym życiu sobie nie poradzę.

Cóż więc takiego powstrzymywało mnie przed rozpoczęciem nowego życia?

Westchnąłem i położyłem dłonie na chłodnej, wyłożonej kafelkami ścianie. Głowa spuszczone, strumienie gorącej wody siekły już nie czoło, lecz plecy. A głowę spuściłem, ponieważ odpowiedź na powyższe pytanie znałem doskonale. Nie chodziło o Talon czy o Świętego Jerzego, nie chodziło też o to, że zawdzięczałem tym smokom życie, ani o to, że czułem, że będę potrafił walczyć z Zakonem, który mnie wychował. Nie chodziło nawet o poczucie winy, o wspomnienia o przelewaniu krwi, o śmierci zadawanej z mojej ręki, wspomnienia, które nie dawały mi spać.

Był tylko jeden, zasadniczy powód.

Ember.

Zakręciłem kran, wytarłem się błyskawicznie i sięgnąłem po dzinsy. Miałem tylko dwie pary, obie znoszone i brudne. Na gwałt potrzebowałem nowego ubrania. Kiedy zatrzymaliśmy się w opuszczonym domu i czekaliśmy, aż Ember dojdzie do siebie, Wes poratował mnie kilkoma sztukami garderoby, ale tak przecież dalej być nie mogło. Nie chciałem być dla nich ciężarem, tym bardziej że jak podejrzewałem, sytuacja w tej sieci zbiegów, w tej konspiracyjnej organizacji nie była dobra. Poprzedniego wieczoru słyszałem, jak Riley i Wes rozmawiali co prawda bardzo cicho, ale na pewno była to burzliwa rozmowa. Kiedy potem wyszedłem z pokoju po wodę sodową, w korytarzu minąłem się z Rileyem. Szedł z miną ponurą jak chmura gradowa. Wyglądał na kogoś, kto absolutnie nie życzy sobie żadnych pytań na żaden temat, więc oczywiście nie pytałem go o nic.

Podszedłem do okna i spojrzałem w dal, na zachodzące słońce kryjące się za górami. Potem w dół, na miasto, nad którym unosiła się mgła. Gdzie może być teraz Święty Jerzy? Czy jest już gdzieś tutaj i czatuje na mnie?

I co ja mam teraz zrobić?

Kiedy usłyszałem głośne pukanie do drzwi, odruchowo sięgnąłem po broń, której oczywiście nie miałem przy sobie. A szkoda. Skrzywiłem się i szybko sięgnąłem po T-shirt. Ubrałem się, bezszelestnie podszedłem do drzwi, a kiedy spojrzełem przez judasza, odetchnąłem. Choć jednocześnie byłem spięty, kiedy otwierałem drzwi, bo za nimi stała Ember.

– Cześć! A więc jednak tu jesteś! – powiedziała z uśmiechem. Miała na sobie szorty i luźny top. Kiedy tak stała oparta o framugę, wyglądała jak zwyczajna dziewczyna rodzaju ludzkiego. – Bałam się już, że będę musiała wchodzić przez okno czy coś w tym rodzaju. Czy wczoraj wieczorem słyszałeś, jak pukałam do ciebie? Czy już spałeś?

Mówiła, cały czas uśmiechając się, a moje serce biło coraz szybciej, kiedy w pamięci odżyły tamte chwile, w innym miejscu, o innym czasie, chwile spędzane sam na sam, tylko we dwoje. Czyli zaczynało się robić niebezpiecznie i dlatego natychmiast przywołałem siebie do porządku. Nie zapominaj, Garret, że ta dziewczyna jest smokiem. Nie musi być istotą z gruntu złą, bez duszy, jak kiedyś sądziłeś, niemniej jednak jest to dla ciebie ktoś obcy, całkowicie obcy. Bo nie człowiek.

To wszystko przepowiedziałem sobie w duchu i dzięki temu udało mi się poskromić chęć zrobienia czegoś bardzo lekkomyślnego, konkretnie objęcia Ember, przytulenia, żeby odpędzić smutek z jej czoła. Bo mimo że nadrabiała miną i stąd te uśmiechy, to wyczułem, że dręczy ją wielki smutek. Była po prostu wykończona.

Pokręciłem głową.

– Nie, nie słyszałem. Może byłem wtedy w łazience.

Na pewno nie spałem, bo prawda była taka, że od chwili przyjazdu do Las Vegas miałem ogromny problem ze spaniem. Minęły już prawie trzy doby, a ja przez ten czas przespałem w sumie zaledwie kilka godzin. Ale był ku temu poważny powód. Trudno spać jak suseł, kiedy wiesz doskonale, że jesteś ścigany, a całą broń ma przy sobie zbiegły smok.

Zielone oczy Ember, błyszczące pod równiutko przyciętą grzywką, spoglądały na mnie wyczekująco.

Westchnąłem i odsunąłem się na bok.

– Masz ochotę wejść?

Jej twarz pojaśniała. Szybko przekroczyła próg i kiedy ja, tak z przyzwyczajenia, zamykałem drzwi na klucz, rozejrzała się po pokoju, po czym cicho prychnęła i powiedziała:

– No nie! Garret! Jesteśmy tu już dwa dni, a twój pokój wygląda tak, jakby nikt tu nie mieszkał. Taki tu porządek! Sam ściesz łóżko? Przecież chyba wiesz, że od tego w hotelu są pokojówki.

– No cóż... Tam, skąd przybywam, gdyby dowiedzieli się, że jakaś starsza pani sprząta po mnie, miałbym przechlapane.

– Ach tak? A ja nie przejmuję się tym, że w swoim pokoju nie sprzątam – oświadczyła Ember, sadwiąc się na jednym z idealnie zasłanych łóżek. – Ubranie rzucam, gdzie popadnie, przez co podłogi prawie nie widać, ale co tam! Tym bardziej że geniusze zawsze mają w swoim pokoju bałagan. Wiedziałaś o tym?

– Nie. Ale teraz wiem, że mam do czynienia z jedną z najinteligentniejszych istot na naszej planecie.

– Ach ty!

Poduszka pofrunęła oczywiście na mnie. Ja naturalnie zrobiłem unik, a Ember śmiała się tak dźwięcznie, tak radośnie. Ten śmiech zapalał gdzieś w mojej piersi dziwne światło. Uśmiechnąłem się, szybko podniosłem z podłogi sponiewieraną poduszkę, którą zamierzałem rzucić w Ember, i nagle ręka znieruchomiała. Dobry nastrój prysł, gdy w głowie zaświtała pewna myśl. I była to taka myśl, że po plecach przebiegł mi zimny dreszcz. Pomyślałem mianowicie, że to dzieje się zbyt szybko i wręcz niepokojąco łatwo. To wracanie do roli, jaką odgrywałem tego lata, kiedy z surowego żołnierza zmieniałem się w beztroskiego i dość bezmyślnego cywila. Innymi słowy, stawałem się normalnym chłopakiem. Teraz też, i było to bardzo niebezpieczne, bo nasza obecna sytuacja była jak najdalsza od normalnej. Nie mogłem sobie pozwolić na brak czujności nawet wobec Ember, która być może przyszła tu tylko po to, by zapomnieć o tej właśnie sytuacji, o jakże trudnej rzeczywistości. Może chce choć przez chwilę poudawać, że jest normalnie, ale nie widziałem już żadnego sensu w tym udawaniu, przynajmniej jeśli chodzi o mnie. Raptem mam zmieniać się w beztroskiego, zwyczajnego chłopaka z Crescent Beach, kiedy tak naprawdę przez wiele lat byłem żołnierzem Świętego Jerzego, który

ścigał istoty gatunku Ember, a ścigał te istoty w jednym tylko celu: by je wytępić. I robiłem to skutecznie, dlatego moje ręce splamione są krwią niezliczonych smoków. Takie są fakty, od których nie da się uciec.

Z kamienną twarzą położyłem poduszkę z powrotem na łóżku i nie patrząc na Ember, spytałem:

– Dlaczego tu jesteś? Potrzebujesz czegoś?

– Tak! – zawołała z takim entuzjazmem, że musiałem na nią spojrzeć. – Chcę, żebyśmy razem zeszli na dół. Garret, błagam, bo ja już dalej tak nie mogę. Jeśli jeszcze raz z tych nudów będę musiała oglądać coś z telewizyjnej wypożyczalni filmów, to nie ręcę za siebie. O nie. Na pewno coś podpalę!

– Na dół... – powtórzyłem, a Ember skwapliwie pokiwała głową. – Czyli do kasyna. Dlaczego?

– Dlatego, że jesteśmy w Las Vegas! Właśnie tutaj, a ja jeśli wreszcie gdzieś nie pójdę, gdzieś się nie wyrwę na jakiś czas, to autentycznie zacznę chodzić po ścianach! A poza tym, co bardzo istotne, kiedy poszłam do Riley, żeby spytać, czy nie ma jakichś nowych informacji o Talonie albo o Świętym Jerzym, to Riley w pokoju nie było!

– Co? Wyszedł?! Dokąd?

– Nie mam pojęcia. Kiedy spytałam o to Wesa, odpowiedział tylko, że Riley ma coś bardzo ważnego do zrobienia. Tylko tyle. A Riley oczywiście nie raczył mnie powiadomić, że wychodzi, już nie wspominając o tym, że nie powiedział, po co to robi i kiedy wróci. Czyli faktycznie darzy mnie największym zaufaniem! – Prychnęła i zerwała się na równe nogi. – Ale co tam. Nieważne! Idziemy, Garret. Jesteśmy w Las Vegas, noc dopiero się zaczęła, no i przecież mamy fałszywe dokumenty. Sądzę, że nawet ty wiesz, do czego służą.

– Ale nam nie wolno opuszczać tego piętra.

– Ach tak? – Uśmiech znikł z twarzy Ember i dla odmiany spojrzała na mnie ze złością. – Jeśli wolisz zostać tu i konać z nudów, to bardzo proszę, do niczego cię nie zmuszam. Ja w każdym razie schodzę na dół. Riley powiedział, że w tym hotelu jest bezpiecznie, bo ani Talon, ani Święty Jerzy nie wiedzą, gdzie jesteśmy. A nawet gdyby tu byli, to nie zastrzelą mnie na środku zatłoczonego kasyna, gdzie jest także

mnóstwo ochroniarzy i kamer. – Po tym oświadczeniu pomaszerowała do drzwi, rzucając jeszcze przez ramię: – Długo tam nie będę, ale muszę choć na jakiś czas zmienić otoczenie, bo inaczej zwariuję. A Wesowi, gdyby o mnie pytał, powiedz, że poszłam szukać Riley'a.

Skrzywiłem się. Nie, wcale nie uważałem tego za idealny pomysł, ale cóż...

– Ember! Zaczekaj!

Ruszyłem za nią. Pomysł, by udać się do kasyna, był pomysłem szalonym, nie wyobrażałem sobie jednak, żeby Ember poszła tam sama, a ja, gdy zajdzie taka potrzeba, nie będę mógł jej pomóc.

Stała tuż za progiem, uśmiechając się promiennie. Nie pozostawało mi więc już nic innego, jak potrząsnąć bezradnie głową i skomentować tę sytuację:

– O ile sobie przypominam, mieliśmy być niezauważalni.

Ale mogłem sobie gadać. Ember, jak łatwo się domyślić, wzruszyła lekceważąco ramionami. Cóż więc mogłem innego zrobić? Po chwili zgodnym krokiem ruszyliśmy przed siebie korytarzem.

– Hazard kosztuje, prawda? Czym zamierzasz płacić, Ember? – spytałem, kiedy dochodziliśmy do windy.

– Mam trochę gotówki. Na pewno wystarczy do automatów na monety. W końcu nie będziemy grać z profesjonalistami w ruletkę czy pokera. Chyba że... – Oczy Ember rozbłysły. – Chyba że najpierw wygram na automatach! Może dopisze mi szczęście. A wtedy będę mogła zaszaleć na całego!

RILEY

Nie byłem w najlepszym nastroju. Trudno, żeby było inaczej, dlatego smród w taksówce wydawał mi się wprost nie do zniesienia. Śmierdziało papierosami. Na zapach dymu z fajki, cygara czy papierosa jestem raczej odporny, ale teraz śmierdziało mi okropnie, jakby taksówkarz palił bez przerwy po trzy, cztery papierosy jednocześnie albo skrapiał się wodą kolońską o zapachu popielniczki z petami. W związku z czym w jego samochodzie różami nie pachniało. Dlatego byłem tak strasznie spięty, choć przecież można było podejść do tego z humorem.

Bo to dziwne, żeby smoka drażnił dym, prawda? Może i tak, ale wcale mnie to nie bawiło. W końcu trudno, żebym ryczał ze śmiechu, skoro wczoraj wieczorem Wes poinformował mnie, że straciliśmy kolejne gniazdo. Tak, straciliśmy! Dlatego od tamtej chwili byłem w takim nastroju, że najchętniej bym w coś walnął. Do cholery, jak to mogło się stać?! Kto nas wydał? Kto? Przecież jeśli nie uda mi się namierzyć drania, co na nas kabluje, całe nasze podziemie diabli wezmą, i to w naprawdę niedługim czasie, choć tworzyłem je przez długie lata!

Jakiś gość, właściwie goły, bo tylko w kąpielówkach marki Speedo, z butelką piwa w ręku, kiedy zauważył mnie w tej taksówce, poruszył biodrami w niedwuznaczny sposób. Zacisnąłem zęby. Byłem naprawdę wściekły. Ciekawe, co by to się działo, gdybym nagle zionął na tego durnia i te jego markowe kąpielówki stanęłyby w ogniu!

Żeby się trochę wyładować, zacisnąłem pięść i z całej siły przycisnąłem ją do klamki. W lusterku wstecznym widać było światła śródmieścia Las Vegas, które oddalały się coraz bardziej, z czego wcale nie byłem zadowolony. Bo w ogóle mi się nie podobało, że została tam Ember, i to nie sama, bo w pobliżu kręcił się ten Święty Jerzy. Niestety, nie miałem wyboru. To spotkanie było bardzo ważne, musiałem na nim być. Absolutnie, ponieważ godzinę temu Griffin przekazał mi informację, że człowiek, z którym mam się skontaktować, chce spotkać się ze mną w jakimś spokojnym miejscu, z dala od ciekawskich oczu. Nie zgodził się przyjechać do mnie, do hotelu, w związku z czym ja miałem pojechać do niego. Bardzo mi się to nie podobało, niemniej jednak w żadnym razie nie mogłem powiedzieć „nie”. Jechałem tam oczywiście sam, nie zamierzałem przecież brać ze sobą całej tej trójki, skoro Święty Jerzy był już w tym mieście. Stanowczo wołałem sam nadstawić głowę, zresztą nie po raz pierwszy. A przed wyjazdem przykazałem Wesowi, że ma mieć oko i na dziewczynę, i na żołnierza, i kiedy tylko zacznie podejrzewać, że dzieje się coś nie tak, ma nie czekać na rozwój wypadków, tylko od razu mnie zaalarmować.

Miałem nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Opuściliśmy rozświetlony i migoczący Strip. Taksówka przejechała jeszcze kawałek bardzo już oszczędnie oświetloną ulicą i zatrzymała się przed wyjątkowo obskurną knajpą. Koło wejścia stało

kilku mężczyzn. Wyglądali jak zwyczajne bandziory i kłócili się o coś. Minąłem ich, oczywiście ani na moment nie spuszczać z nich oka, i otworzyłem przeszklone drzwi. W środku panował półmrok, śmierdziało rozgrzanym tłuszczem i papierosowym dymem, ale cóż, sala była niewielka, a ludzi zatrzęsienie. Kiedy przechodziłem przez lokal, kilku facetów w koszulkach klubu motocyklowego Hells Angels zmierzyło mnie wzrokiem. Miałem nadzieję, że mojej czarnej skórzanej kurtki i butów motocyklowych nie potraktują jak wyzwanie i nie rzucą się na mnie. W końcu nie przyjechałem tu po to, by wyrzucać kolesiów z Hells Angels przez okno, chociaż nawiasem mówiąc, akurat dla mnie byłaby to niezła zabawa.

Przyjechałem, by spotkać się z pewnym człowiekiem, którego zdążyłem już zauważyć. Patrzyłem na ciemną postać siedzącą przy stoliku w rogu sali, dostrzegłem szczupłą rękę, którą skinął na mnie. Obszedłem więc kelnerkę, podszedłem do tego właśnie stolika i siadłem naprzeciwko, starając się nie skrzywić z niesmakiem, co spontanicznie mógłbym uczynić. Bo człowiek, z którym tu się spotkałem, wyglądał wyjątkowo niepociągająco. Nienaturalnie wychudzony, blady, z zapadniętymi policzkami. Proste tłuste włosy, do tego bardzo rzadkie, sięgały do ramion. Wyglądał odpychająco, po prostu okropnie. Ale dlaczego? No cóż, wielkie szkliste i zapadnięte oczy, do tego rozkojarzony wzrok... To mówiło samo za siebie. Wiedziałem już, z kim mam do czynienia.

– Griffin powiedział, że masz możliwości – wyszeptał chrapliwie i tak jakoś pożądliwie, jednocześnie przez cały czas drapiąc się po ręce, jakby siedziała tam cała gromada pajaków. – Pięćdziesiąt dolarów za to, że powiem ci, co wiem. Masz kasę? – Zaczął drapać się po drugiej ręce, zostawiając na niej ohydne czerwone ślady.

– Znajdzie się, jeśli będzie to faktycznie istotna informacja – odparłem, jednocześnie podejmując w duchu decyzję. Po powrocie wyrzucę przez okno Griffina. I to z najwyższego piętra. Cholera jasna! To ma być ten niby miarodajny informator?! – Najpierw wysłucham, co masz mi do powiedzenia, potem zadecyduję, ile to jest warte.

– Nie ma mowy – powiedział chudzielec, kręcąc głową tak energicznie, że proste tłuste włosy prawie zafurkotały. – Najpierw kasa,

potem informacja.

Wtedy po prostu wstałem, a uczyniłem to energicznie, po czym oznajmiłem stanowczym tonem:

– Masz pecha, bo tak się składa, że ta informacja nie jest mi aż tak bardzo potrzebna. Tak więc zostajesz z niczym. Idę.

– Nie! Zaczekaj! – Zabrzmiało to żałośnie, po prostu rozpaczliwie. Chudzielec zaczął podnosić się z krzesła, wyciągając ku mnie rękę, więc owszem, zatrzymałem się, ale spojrzałem na niego bardzo chłodno.

A on wysyczał:

– Dobrze, dobrze... Powiem ci, co wiem. Ale pamiętaj, nie jestem wariatem. Widziałem to naprawdę!

Zadrżał, skulił się i zaczął czujnie rozglądać się po sali, niewątpliwie sprawdzając, czy ktoś nas nie podsłuchuje, co zresztą moim zdaniem było niemożliwe. Na ciche poszeptywania ćpuna w ciemnym kącie nikt przecież nie zwróci uwagi. Ale nie poganiałem go, tylko usiadłem i spokojnie czekałem, póki on nie sprawdzi, czy nikt nie czai się w pobliżu. W końcu opadł na krzesło i spojrzał na mnie wzrokiem jeszcze bardziej nieprzytomnym.

– Razem z kumplami mieszkamy w squacie. To kilka kilometrów za Stripem. Ten squat jest w jednym z tych dużych i niedokończonych hoteli, bo kiedy zaczęła się recesja, przerwano budowę. Od wielu lat jest pusty, nikomu więc nie przeszkadzamy, jasne?

Ostatnie zdanie powiedział z naciskiem, jakby myślał, że dla mnie to bardzo nie w porządku, kiedy ktoś zamieszka sobie w cudzej własności. A dla mnie była to sprawa drugorzędna, po prostu kompletnie nieistotna. Pokiwałem więc tylko głową, on z kolei głowę mocno pochylił i mówił dalej tym swoim chrapliwym szeptem:

– A więc... parę dni temu, wieczorem, kiedy wróciliśmy do naszego squatu, zastaliśmy tam dwie laski. Nawet niczego sobie. I na pewno nie były stąd. Byliśmy pewni, że dziewczyny zwiały z domu.

W tym momencie już naprawdę nadstawiłem uszu i spytałem:

– W jakim wieku były te dziewczyny?

– Hm... – mruknął i znów podrapał się po rękę. – Piętnaście, może szesnaście, coś takiego, ale dokładnie to trudno powiedzieć. Siedziały w naszym pokoju, a tam było ciemno. Poza tym, kiedy tylko nas

zobaczyły, zwiały na górę. A my za nimi... Hej, nie patrz tak na mnie! Chcieliśmy tylko pogadać, dowiedzieć się, skąd się tu wzięły, w naszym squacie. Bo jeśli miały problemy z policją i chciały się tu ukryć, to jednak powinniśmy coś niecoś o nich wiedzieć.

– Okej, okej, rozumiem. Co było dalej?

– Pobiegliśmy za nimi na górę, na najwyższe piętro, ale tylko po to, żeby z nimi porozmawiać. – Oczywiście zakończył to zdanie z naciskiem. – A także ostrzec, bo to ostatnie piętro jest najgorsze, bo niewykończone. Na podłodze wala się pełno gwoździ, mogła więc która nadepnąć i pokaleczyć się. Albo polecieć w dół, bo okien tam przecież nie powstawiali. Po prostu zrobić sobie krzywdę, rozumiesz? Baliśmy się, że coś złego im się przytrafi.

Oczywiście! Bali się! Tyle w tym prawdy, co na przykład w stwierdzeniu, że ja jestem trytonołakiem!

Spojrzałem w okno, udając, że jestem już trochę znudzony.

– Słuchaj no, koleś! Coś mi się wydaje, że marnujemy czas. Mówisz i mówisz, i nic z tego nie wynika. Może w końcu powiesz coś naprawdę interesującego. Daję ci pięć sekund. Raz, dwa, trzy...

– Spoko! Już mówię. – Nachylił się ku mnie, jego blada twarz nagle zmieniła kolor. Z białego na szary, jak stary klej. – Poszliśmy więc na samą górę, by odszukać te dziewczyny – wyszeptał dla odmiany cienko, piskliwie, a zabrzmiało to tak obrzydliwie, że z największą ochotą rozkwaśiłbym mu nos. – Szukaliśmy ich wszędzie na niewykończonym piętrze, w tym labiryncie korytarzy. Mieliśmy nadzieję, że nie pobiegły gdzieś daleko. Chodziliśmy, wypatrywaliśmy, a kiedy spojrzeliśmy do góry, na krokwie... – Zadrżał, potem zaczął się trząść, jak ktoś, kto desperacko potrzebuje działki. Ręce oparte na stoliku też się trzęsły, w związku z czym trzęsła się szklanka z wodą stojąca na stoliku, łyżeczki i inne utensylia na blacie zaczęły pobrzękiwać, dopóki tych dygoczących rąk nie położył na kolanach.

– No i? – spytałem niecierpliwie, ponaglająco.

– No i wtedy... przysięgam na wszystkie świętości, że to prawda... wtedy zobaczyliśmy, że tam siedzi coś takiego dużego i czarnego, pokrytego łuskami. I patrzy na nas.

W tym momencie naturalnie cały skurczyłem się w środku.

Oczywiście nie dałem poznać po sobie, jak wielkie wrażenie na mnie zrobiła ta informacja, tylko spytałem, starając się, by ton był obojętny, niemal lekceważący:

– I to ma być ta miarodajna informacja, którą obiecał mi Griffin? Jakieś halucynacje narkomana?

– Co ty gadasz! To wcale nie były halucynacje! – wykrzyknął tak bardzo oburzony, że aż się zapluł i ślina trysnęła na stolik. – Przysięgam, że była tam jakaś gigantyczna jaszczurka! Może i nie jaszczurka, ale na pewno coś w tym rodzaju, tylko że ogromna. A kiedy nas zobaczyła, od razu zasyczała. I moim zdaniem z nosa poleciał jej dym.

– Co wtedy zrobiliście?

– A jak myślisz? Oczywiście, że zwialiśmy stamtąd jak najprędzej i nigdy więcej już tam nie poszliśmy.

– Hm... – mruknąłem, unosząc znacząco brew. Niby sceptycznie, choć jednocześnie serce waliło mi jak młot. – Coś mi się wydaje, że po raz pierwszy w życiu zobaczyliście naprawdę dużego nietoperza i pomyśleliście, że to jakiś potwór.

– Myśl, co chcesz – powiedział, drapiąc znów zawzięcie rękę. – Ale dobrze wiem, co widziałem.

A mój umysł pracował gorączkowo. W mieście pojawiły się dwa nowe pisklaki. Pisklaki z którejs z moich kryjówek? Nie wiadomo, Wes przecież od jakiegoś czasu nie otrzymywał żadnych informacji z naszych kryjówek. Niemniej jednak mogą być to nasze pisklaki, które uciekają przed Świętym Jerzym rozprzestrzeniającym się po okolicy jak zaraza. Trzeba więc odszukać je jak najszybciej, zanim wpadną w łapy tych krwiożerczych fanatyków.

Spojrzałem na ćpuna, który znów patrzył na mnie w ten szczególny sposób, z pożądliwą chciwością, i wyjąłem z kieszeni kilka banknotów.

– Ta informacja warta jest dwadzieścia dolców. – Gdy to oznajmiłem, gościowi od razu mina zrzedła. – Ale możesz mieć pięćdziesiąt, jeśli zrobisz dla mnie dwie rzeczy. Po pierwsze, trzymaj się z daleka od hotelu, w którym się zatrzymałem. Po drugie, masz nikomu nie mówić o tym, co widziałeś. Ja usłyszałem to od ciebie jako ostatni, po mnie już nikt. Jasne?

– Oczywiście. Ani słowa. Nikomu. Paru osobom co prawda już

powiedziałem, ale nikt mi nie uwierzył.

Hm... Ta informacja była bardzo niepokojąca.

– A ile tych osób było?

– Niech pomyślę... – mruknął, drapiąc się po karku. – No tak...

Tylko mi się wydawało. Bo tak naprawdę to nikomu jeszcze o tym nie mówiłem. Ty jesteś pierwszy.

Oczywiście, że kłamał, ale nie było sensu się spierać. Rzuciłem banknoty na stół, szybko wyszedłem na zewnątrz i zacząłem rozglądać się za taksówką. Byłem cały zwarty i gotów do działania, przecież pisklaki trzeba odnaleźć jak najprędzej, a już zwłaszcza teraz, gdy Święty Jerzy operuje w tym rejonie i intensywnie mnie poszukuje. W tej sytuacji pisklaki mogą znaleźć się na linii ognia. Nigdy sobie nie wybaczę, jeśli z mojego powodu dwoje niewinnych dzieciaków straci życie.

Ustawiłem się na rogu, czatując na taksówkę, jednak żadna nie raczyła się zatrzymać. Stałem więc jak ten kołek, przeklinając w duchu, a kiedy odezwała się moja komórka, zmroziło mnie. Mój numer znali tylko Ember i Wes. Mieli przykazane, że wolno dzwonić tylko w sytuacji alarmowej.

A więc...

Nie spojrzałem na wyświetlacz, tylko spytałem od razu:

– Ember, to ty?

– A wyobraź sobie, że nie! – warknął Wes.

Po głosie poznałem, że jest na maksa wściekły, czyli faktycznie działo się coś niedobrego.

– Co się dzieje, Wes?

– Co? Wiadomo! Ten twój cholerny pisklak. Nie ma go! Ani tego żołnierza. Wracaj jak najszybciej, Riley, zanim zaczną się kłopoty!

EMBER

Nie powinnaś tego robić, Ember...

Głos wewnętrzny ostrzegał, ja jednak udałam, że nie słyszę, i dalej parłam do przodu. Zeszłam z ruchomych schodów, tych ostatnich, którymi zjeżdżało się już na piętro zajmowane przez kasyno, po czym

wkroczyłam do całkiem innego świata niż mój pusty i fatalnie dołujący pokój. Tu było całkiem inaczej. Głośno, kolorowo, cudownie chaotycznie i ekscytująco, czyli było to właśnie to, czego tak bardzo potrzebowałam, by choć na jakiś czas oderwać się od... wszystkiego. Tak, po prostu od wszystkiego.

Nie myśleć ani o Talonie, ani o Świętym Jerzym, nie wspominać wrednej Lilith i jej szkoleń, nie myśleć o zdradzie Dantego. A także nie myśleć o Rileyu ani o tym, że nagle Garret, człowiek, który stał tuż obok mnie, wydał mi się przeokropnie pociągający. Och, miałam ochotę rzucić się na niego w bardzo konkretnym celu, a jaki to ten konkretny cel, to powszechnie wiadomo. I to już było po prostu beznadziejne. A w kasynie, to jasne, można od tego wszystkiego wreszcie się oderwać chociaż na kilka godzin.

Garret, zdecydowanie nastawiony do naszej wyprawy mniej entuzjastycznie, kiedy tylko zesliśmy z ruchomych schodów na pokrytą wykładziną podłogę, najpierw zlustrował wzrokiem tłum, a potem spytał:

– Dokąd najpierw?

Dokąd? Dobre pytanie... W Las Vegas byłam po raz pierwszy, ale widziałam mnóstwo reklam, a także kilka filmów, których akcja rozgrywała się w tym słynnym Mieście Grzechu. Wiedziałam więc z grubsza, jakie czekają tu atrakcje, w tym mieście, które we wszystkich filmach przedstawione było w takim samym świetle. Jako prawie mityczne miasto, gdzie można w kilka godzin zdobyć fortunę albo w równie krótkim czasie wszystko stracić. Dla mojego gatunku perspektywa zdobycia bogactwa zawsze była niezwykle pociągająca, a tak naprawdę wręcz odurzająca. A ja, choć byłam pisklakiem uciekającym przed organizacją i Świętym Jerzym, nadal przecież pozostawałam smokiem.

Kiedy wyłowiłam wzrokiem cały szereg ustawionych pod ścianą automatów do gry, uśmiechnęłam się szeroko. Już znam odpowiedź na tamto pytanie. Zaczniemy od tych automatów.

– Idziemy tam – oznajmiłam, ruszając w stronę migoczących światełek. – Gra na automatach to naprawdę nic trudnego. Chodź, przekonamy się, jak szybko traci się pierwszego dolara.

Jak szybko? Po około trzydziestu sekundach. Pierwsze dziesięć poświęciłam na rozgryzienie maszyny. Przekonałam się, że w nowoczesnych automatach wcale nie trzeba pociągać za rączkę z boku. Ta rączka nadal tam jest, ale tylko jako ozdoba, ponieważ wszystko jest zautomatyzowane. Wystarczy nacisnąć guzik na ekranie dotykowym i już pojawiły się jabłka, dzwonki i siódemki, obracające się przez kilka sekund. Potem znieruchomiały – i na ekranie ukazała się informacja, że przegrałam.

Kiedy włożyłam trzeciego dolara i znów przegrałam równie szybko jak poprzednio, jednak zakląłam, oczywiście bardzo cicho, i spojrzałam na żołnierza, który trwał przy mnie jak wierny pies.

– To był mój ostatni dolar – wyznałam. – Garret, czy przypadkiem nie masz trochę drobnych, których chciałbyś się pozbyć?

Spojrzał na mnie z ukosa, kąciki ust mu drgnęły.

– Myślałem, że smoki pomnażają swój majątek, a nie tracą, grając na automatach.

– Nie tracę, tylko inwestuję – oświadczyłam, marszcząc nos. – Po ostatnim spinie miałam prawie trzy siódemki. Teraz na pewno dopisze mi szczęście.

– Tak powiadasz?

Wtedy szturchnęłam go w żebra, a on odchrząknął i mruknął:

– No dobrze... – Zaczął szperać w kieszeni. – Chociaż tego piątaka mógłbym wykorzystać w inny sposób...

Nie zdążyłam jednak włożyć pieniędzy do automatu, ponieważ Garret nagle chwycił mnie za rękę, a zrobił to bardzo mocno, i równie zdecydowanie pociągnął za sobą, ruszając przed siebie nadzwyczaj energicznym krokiem. Ja siłą rzeczy podążałam razem z nim, i to prawie biegiem. Odeszliśmy od automatów i wmieszaliśmy się w tłum, a Garret konsekwentnie parł do przodu.

– Co się dzieje? – spytałam zdyszana.

– Ochrona.

Obejrzałam się. Faktycznie wzdłuż szeregu automatów, tam, gdzie przed chwilą byliśmy, szło dwóch ochroniarzy. Jeden z nich przechwycił moje spojrzenie, sposepniał i wyraźnie zaczął iść w naszą stronę.

– O nie! – pisnęłam. – Idą za nami!

Palce Garreta zacisnęły się mocniej na mojej dłoni.

– Tylko bez paniki, Ember. Zachowuj się, jakby nigdy nic. Po prostu idziemy i masz się już nie oglądać, jasne?

Moje palce też zacisnęły się na jego palcach, i to kurczowo. Trzymając się za ręce, szliśmy przez kasyno, manewrując między ludźmi i stołami do ruletki i starając się wyglądać maksymalnie normalnie. Przede wszystkim nie iść za szybko. Z tym że oczywiście szliśmy najszybciej, jak tylko się dało. Zgodnie z instrukcją nie oglądałam się za siebie, Garret niby też nie, niemniej jednak, co było zaskakujące, wiedział dokładnie, gdzie w danym momencie jest ochroniarz i co robi.

– Dalej idzie za nami – rzucił półgłosem, kiedy znów przechodziliśmy koło automatów. – Chyba chce sprawdzić, czy jeszcze będziemy grać. Żeby legalnie grać, trzeba mieć ukończone dwadzieścia jeden lat, prawda?

– Tak! Ale przecież jestem teraz Emily Gates i w styczniu skończyłam dwadzieścia jeden lat. Tak jest w dokumencie od Wesa!

– I co? Chcesz, żeby kazali ci pokazać ten dokument?

– Raczej nie... Och nie!

– No właśnie, Ember. Nie chcesz też na pewno, by Riley się dowiedział, że ciebie sprawdzali!

A teraz to się skrzywiłam.

– Co to, to nie. Masz pomysł, jak zgubić tego ochroniarza?

– Mam. A musisz robić dokładnie to co ja.

– Dobrze.

Przeszliśmy jeszcze kilka kroków, skręciliśmy w lewo i kiedy tylko znaleźliśmy się poza zasięgiem wzroku ochroniarza, Garret przyśpieszył, i to tak bardzo, że ledwie za nim nadążałam. W tym niemal galopie ścisnęłam jego rękę z całej siły i zagryzałam wargi, żeby stłumić kretyński chichot. Przeszliśmy przez kilka szerokich korytarzy z automatami, przebiliśmy się przez spory tłumek, a potem okrążyliśmy stół do ruletki, przy którym było głośno i wesoło.

Do tego właśnie wesołego stolika pociągnął mnie Garret, bezczelnie wciskając nas oboje między dwóch podpitych mężczyzn i ich dziewczyny. Nikt jednak nie zareagował, ponieważ całe towarzystwo skoncentrowane było wyłącznie na grze. A krupier akurat obrócił kołem

rulety i rzucił kulkę, za którą wszyscy w napięciu wodzili oczami. No, nie tak całkiem wszyscy, bo ja skupiona byłam na czymś innym. Oczywiście na Garrecie, który stał za mną, a teraz objął mnie w pól i przyciągnął do siebie.

I szepnął mi do ucha:

– Spuść głowę. Ochroniarz wciąż idzie za nami, ale teraz nas nie widzi. Patrz w dół, nie wolno ci się obejrzeć. Kiedy nas minie, wracamy, ale inną drogą. Na pewno go zgubimy.

– Dobrze – odszepnęłam.

Wstrzymałam oddech i wbiłam wzrok w stół, jednocześnie jednak bardzo, ale to bardzo świadoma, że plecami wtulona jestem w Garreta, którego ręce są na moim brzuchu. Gdzieś koło ucha czuję jego ciepły oddech, a pierś Garreta unosi się i opada...

Po tej pełnej napięcia z różnych powodów chwili, dla mnie osobiście stanowczo za krótkiej, Garret nagle odsunął się i spojrzał przez ramię.

– Teren czysty – mruknął.

Wtedy zaryzykowałam i ostrożnie spojrzałam tam, gdzie patrzył również on. Ochroniarz faktycznie oddalał się już od nas. Szedł przed siebie, w tłumie ludzi przemierzających się po kasynie. Szedł i bez przerwy kręcił głową, raz w jedną, raz w drugą stronę. Czyli dalej nas szukał, niemniej jednak szczęśliwie się oddalał. Zatem nie jest źle.

Niestety ledwie zdążyłam o tym pomyśleć, ochroniarz zawrócił i zaczął iść z powrotem w naszą stronę. Pisnęłam i błyskawicznie znów wlepiłam oczy w stół. Garret niewątpliwie zrobił to samo. Czulałam, że jego serce bije szybko, bardzo szybko. Prawdopodobnie słyszał moje serce bijące prawdopodobnie jeszcze szybciej. Na szczęście ochroniarz minął nas, ponownie nas nie zauważając, i poszedł dalej przed siebie. Kiedy wreszcie znikł nam z oczu, odetchnęłam i oczywiście zaczęłam głupio się śmiać. Chichotałam oparta o pierś Garreta, a on patrzył w dół, na mnie, z taką miną, jakby nie bardzo wiedział, co ma ze mną począć.

– W porządku – powiedziałam, jeszcze raz lustrując wzrokiem korytarz, by upewnić się, że faktycznie ochroniarza tam nie ma. – Ale trochę emocji było, prawda? Następnym razem staniemy przy stolikach do pokera... – I znów się zaśmiałam, bo Garret popatrzył na mnie trochę

niewyraźnie, jakby nieco wystraszony tym „następnym razem”. – Przecież żartuję! – zawołałam natychmiast. – A teraz wracajmy już na górę, zanim zjawi się Riley i odgryzie nam głowy. Szkoda, że nie udało nam się tak naprawdę poszaleć. Wszystko przez tego głupiego ochroniarza!

Teraz to Garret się roześmiał.

– Trudno, musimy się z tym pogodzić. Coś ci powiem. Tak przy okazji przypomniały mi się dawne czasy. Kiedyś razem z Tristanem przez całą noc bawiliśmy się w podobny sposób z ochroniarzem w magazynie pewnego muzeum. I wierz mi, naprawdę coś w tym jest, kiedy chowasz się pod brezentem z całą rodziną jaskiniowców!

Jaskiniowców?!

– Garret, a czy przypadkiem, zanim wyruszyliśmy na tę wycieczkę, nie wypiełeś kilku drinków?

– Nie. A dlaczego pytasz?

– Bo ty przecież zażartowałeś! Ty!

W tym momencie tłumek zgromadzony wokół stołu wydał radosny okrzyk, a jeden z podpitych facetów zachwiał się, jednocześnie popychając mnie na Garreta, który natychmiast wyciągnął ręce, pomagając i mnie, i sobie odzyskać równowagę. Kiedy podniosłam głowę, złość na tego, co mnie popchnął, natychmiast znikła jak ręką odjął. Bo co mnie obchodzi jakiś tam pijak, kiedy patrzę w te oczy! Stalowszare oczy Garreta, który trzyma mnie za ramiona! Palce o zgrubiałej skórze, takie silne i ciepłe, przesunęły się po moich rękach. Tak delikatnie, a ja natychmiast dostałam gęziej skórki. I oczywiście zrobiło mi się bardzo ciepło.

A Garret spoważniał.

– Może i tak... Ty tak często żartujesz, a więc... Poza tym ostatecznie doszedłem do wniosku, że tak naprawdę to ja niczego nie wiem. I dzieje się ze mną tak, że po prostu przestaję się czymkolwiek przejmować...

– To dobrze czy źle?

– Nie wiem. Bo niby skąd mam wiedzieć? Przecież dla mnie to całkiem coś nowego, całkiem nieznanego...

Delikatnie odgarnął mi z policzka pasmo włosów. I patrzył na mnie

jakoś tak... szczególnie, patrzył jak tamten chłopak w Crescent Beach, z którym tańczyłam, surfowałam i całowałam się w oceanie. Chłopak, który nie wiedział, że jestem smokiem. Jeszcze nie. Widział mnie tylko taką... jaką widział.

Przełknęłam. Po tamtej nocy, na tamtej skale, kiedy stanęliśmy twarzą w twarz, on, żołnierz, i ja, już nie zwykła dziewczyna, lecz smok, wiedziałam, po prostu wiedziałam, że to wszystko, co wydarzyło się tego lata, nigdy już nie wróci. Garret należy do Świętego Jerzego, do Zakonu, dla którego wszystkie smoki są bezdusznymi potworami. Istoty z gruntu złe, które zasługują tylko i wyłącznie na śmierć. Może Garret już tak ślepo w to nie wierzył, niemniej jednak nadal byłam smokiem, istotą bardzo różniącą się od człowieka, choć obecnie moje odczucia były jak najbardziej ludzkie. I były to odczucia człowieka szalonego, przecież chciałam objąć Garreta za szyję, zmusić, by pochylił głowę i odszukał ustami moje usta. Tak, tego właśnie pragnęłam. Bo nigdy bym się nie spodziewała, że Garret jeszcze kiedykolwiek spojrzy na mnie tak, jakbym była jedynym człowiekiem na całym świecie. Czy patrzyłby na mnie tak nadal, gdybym nagle dokonała Przemiany i objawiła mu się w mojej pierwotnej postaci, ze skrzydłami, łuskami, szponami i tak dalej?

Tłumek przy stoliku ponownie ożył, ale tym razem nie było radosnych okrzyków, lecz pochrząkiwania i gesty oznaczające wielkie niezadowolenie, rozczarowanie, złość. Ten, co mnie przedtem popchnął, teraz szturchnął mnie łokciem w żebra, i to tak mocno, że omal nie zaklęłam. Zauważyłam, że w oczach Garreta pojawiły się groźne błyski, ale nie sądziłam, żeby skopał temu facetowi tyłek, choć ochotę na coś takiego miał wielką, to oczywiste. Tyle że mieliśmy zbyt wielu świadków. A szkoda, bo miło by było na coś takiego popatrzeć.

I tak w ogóle to tych ludzi jest tu jednak za dużo. Wcale mi się nie podoba, że są dosłownie wszędzie, tak samo jak te światła, które też są wszędzie i aż biją po oczach.

– Wiesz co, Garret? Może zostaniemy w kasynie jeszcze chwilę, ale nie tutaj, nie w tym miejscu. Chodź, usiądziemy w jakimś zacisznym kącie i pogapimy się jeszcze trochę na wszystko.

– Dobrze – powiedział, nadal patrząc na mnie tak szczególnie. –

Idziemy szukać spokojnego miejsca...

GARRET

Co ty wyrabiasz, Garret?!

To pytanie cały czas dźwięczało w mojej głowie, gdy razem z Ember szliśmy przez kasyno. Z tym że jednocześnie, zgodnie z żołnierską naturą, nadal byłem czujny, jak radar wrażliwy na obecność ochroniarzy, zwłaszcza tego jednego, który nas gonił. Zresztą byłem czujny na każde, nawet najmniejsze zagrożenie. Wiedziałem prawie na sto procent, że Świętego Jerzego tu nie ma, a już na pewno nie zaatakują nas w pełnym ludzi kasynie. Ale te lata, wypełnione tylko i wyłącznie walką, zrobiły swoje. Zawsze czujny, zawsze zwarty i gotowy. Nigdy nie potrafiłem się wyluzować tak do końca, nie dokonałbym tego nawet wtedy, gdybym bardzo tego chciał. A szkoda, bo na przykład teraz oderwałbym się dzięki temu od trudnych i bardzo niepokojących myśli, które nieustannie przemykały przez moją głowę. Myśli świadczących o tym, że w mojej sferze emocjonalnej panuje niezły zamęt. Naturalnie chodziło o Ember.

Wiesz dobrze, Garret, kim ona jest, a ty nie możesz już dłużej tego ignorować.

Oczywiście. Wiedziałem, że Ember jest smokiem, i trudno tak raptem o tym zapomnieć. Zapomnieć o Ember, czyli o czerwonym stworze, który leżał na poplamionej krwią podłodze vana i patrzył na mnie mętym wzrokiem. Zapomnieć, co ten stwór powiedział mi w tamtym opuszczonym domu, co miał wypisane na swej gadziej twarzy. Ból. Bo zabolalo go, że moge się go bać, skoro jesteśmy wrogami. Ale nawet jako smok Ember nadal była dla mnie po prostu Ember, dziewczyną, która poznałem w Crescent Beach. I to było bardzo dziwne, bo jeszcze nie tak dawno wszystkie smoki były dla mnie tylko i wyłącznie potworami; bezlitosnymi, przebiegłymi i bardzo inteligentnymi maskarami wartymi jedynie śmierci. Ember była smokiem, nie człowiekiem, to fakt niezbity. Niemniej jednak dla mnie granice między smokiem Ember a dziewczyną Ember zacierały się. Może i niedobrze, może byłem w jakiś sposób bluźniercą, ale tak

właśnie się działo. Ani w dziewczynie, ani w smoku nie widziałem żadnego potwora.

Byłeś żołnierzem Świętego Jerzego, Garret. Pogromcą smoków. Ember powinna cię nienawidzić za całe zło, które wyrządziłeś tak wielu istotom należącym do jej gatunku.

Skrzywiłem się. To prawda. Nie da się wymazać z pamięci tych lat, gdy walczyłem w szeregach Świętego Jerzego, zabijając smoki z zamiarem całkowitego ich wytępienia. Dlatego trudno mi było uwierzyć, że Ember uratowała moje życie, ryzykując swoje. Musiała przecież doskonale wiedzieć, czym grozi wtargnięcie na terytorium Świętego Jerzego. Wiedziała, że to czyn skrajnie niebezpieczny, wręcz ekstremalny. Czy zrobiła to, ponieważ czuła się zobowiązana, skoro pomogłem jej i temu zbiegowi uciec z Crescent Beach? I dlatego, kładąc na szali swoje życie, zdecydowała się zakraść do komandorii Świętego Jerzego? Czy chodziło jej o to, by spłacić dług wdzięczności?

A może był jakiś inny powód?

Potrząsnąłem głową, żeby choć trochę się w niej przejaśniło, uspokoiło, uładziło, dzięki czemu wyciszą się emocje. Bo na pewno właśnie teraz wolałbym być nie taki rozkojarzony, kiedy szliśmy przez to kasyno i Ember prowadziła mnie do jakiegoś podobno zacisznego miejsca. Tu, w kasynie! I nie wiadomo, co w tym zacisznym miejscu się wydarzy.

Nie, nie w kasynie. Ember pchnęła drzwi i wyszliśmy na dach. Bardzo rozległy. Na samym środku był basen, kawałek dalej drugi basen, o wiele mniejszy, z hydromasażem, w którym siedziało kilka osób. Hydromasaż, a więc woda podgrzana. I oni w taki upał weszli do gorącej wody!

Ember podprowadziła mnie na brzeg dachu, gdzie ustawiono kilka ławek, a także kilka pojemników z roślinami ozdobnymi i sztucznymi drzewkami, tworząc coś w rodzaju cichego zakątka tuż przy barierze, za którą migotały światła Las Vegas. Ja oczywiście czujnie rozejrzałem się wokół, sprawdzając, czy teren czysty.

Na co Ember zaśmiała się.

– Garret, ty po prostu masz obsesję. Boisz się, że za tymi donicami przyczał się agent z Talonu!

– Wszystko jest podejrzane – odparłem, ale żartobliwym tonem, bo nagle poczułem się cudownie lekki i beztrocki, jak zawsze, kiedy byłem sam na sam z Ember. – Patrzysz na ławkę i widzisz ją, tę ławkę, a tak naprawdę to nie jest taka zwyczajna ławka, bo smoki, oprócz tego, że zmieniają się w ludzi, ostatnio zaczęły zmieniać się w ławki.

Ember znów się roześmiała.

– Ale wymyśliłeś! Teraz, ile razy siądę na jakiejś ławce, będę czuła się co najmniej dziwnie. Wielkie dzięki!

Odwróciła się, oparła rękami o barierę i spojrzała na miasto. Ja stanąłem obok w identycznej pozycji i tak blisko, że nasze ręce niemal się dotykały. Staliśmy tak przez chwilę, przy czym jakoś tak wyjątkowo mocno zacząłem odczuwać bliskość cieplej Ember, zwłaszcza gdy westchnąwszy cicho, oparła głowę na moim ramieniu. Tak. Zrobiła właśnie to, i mój puls zdecydowanie przyśpieszył.

– Dzięki, że jesteś ze mną – powiedziała cicho. – Wiesz, koniecznie musiałam gdzieś pójść, coś zrobić, bo po prostu bym zwariowała w tym nieszczęsnym pokoju. Sama, tylko ze swoimi myślami, wspomnieniami. A po co mi one?

Skrzywiła się i lekko potrząsnęła głową, jakby wypędzając z niej właśnie te niepożądane wspomnienia. Ja stałem jak kołek, bojąc się, że jeśli się poruszę, czar pryśnie, bo Ember zabierze głowę z mego ramienia. Stałem bez ruchu, Ember natomiast wcale swej głowy nie zabierała. Przeciwnie, miałem wrażenie, jakby przysuwała się do mnie coraz bliżej. Właściwie to już przytulała się do mnie. A ja, wiadomo, z wierzchu byłem jak głaz, a w środku cały już rozdygotany.

Chwila minęła i Ember znów westchnęła bardzo głęboko, po czym szepnęła:

– Garret, jak to właściwie jest? Czy można się do tego przyzwyczaić? Domyślasz się, o co mi chodzi...

Oczywiście, że się domyślałem. Chodzi o zabijanie.

– Tak, Ember. Kiedy zrobisz to pierwszy raz, przez kilka tygodni mogą dręczyć cię koszmary, bo nieustannie zadajesz sobie pytanie, czy postąpiłaś słusznie. Mogłaś przecież zrobić coś innego, prawda? Ale z czasem coraz łatwiej ci będzie nacisnąć na spust, aż całkiem spowszednieje. Po prostu będziesz robiła to rutynowo, z tym że nie jest

to żaden powód do dumy. Na pewno nie. Ja zabijałem, bo byłem żołnierzem Świętego Jerzego. Zakon przygarnął mnie, kiedy byłem dzieckiem, i nauczył zabijać. Tylko to. Niczego więcej mnie nie nauczyli, taka była cała moja edukacja...

Ember nie odzywała się, tylko pociemniałymi oczami patrzyła gdzieś w dal. Może i czuła do mnie pogardę, że ot tak, rutynowo pozbawiałem innych życia. Cóż, trudno, nie mogłem mieć do niej o to żadnych pretensji.

– Ty, Ember, nie chciałabyś takiego życia, prawda?

Zadrżała.

– Oczywiście, że nie – powiedziała, odsuwając się ode mnie.

Stała trochę dalej, obejmując się ramionami, jakby nagle zrobiło jej się zimno, i mówiła bardzo cicho, jakby cedząc słowa: – Przecież dlatego uciekłam z Talonu. Oni chcieli zmienić mnie w bezwzględną morderczynię. Miałam tylko zabijać, zabijać dla Talonu. Nie tylko żołnierzy Świętego Jerzego, ale także każdego, kto nie będzie lojalny wobec organizacji. Zabijać na ich rozkaz zbiegłe smoki, takie jak Riley.

Pokiwałem głową, przywołując w pamięci rozmowę z Rileyem, który mówił mi, że nie wszystkie smoki chcą należeć do Talonu. Nie powiedział, co dokładnie dzieje się ze smokami, które uciekną z organizacji, dał mi jednak do zrozumienia, że stosuje się wobec nich tak zwane ostateczne rozwiązanie. I pomyśleć, że kiedyś nigdy by mi do głowy nie przyszło, że istnieją smoki, którym obce są ambicje Talonu i chcą uwolnić się od organizacji. Smoki takie jak Riley czy Ember. Zbiegowie ścigani przez inne smoki.

Ciekawe, ile tak naprawdę wie Święty Jerzy o swoim odwiecznym wrogu. Czy istotnie władze Zakonu nie mają pojęcia o zbiegłych smokach, które egzystują poza organizacją? A może przełożeni ukrywają to przed żołnierzami? Nie mówią o tym, tak samo jak o wielu jeszcze innych rzeczach?

– Moja instruktorka uczyła mnie, jak mam stać się kimś takim jak ona – mówiła dalej Ember. – Zero litości. Z zimną krwią zabijasz każdego, kogo wskaże ci Talon. Także bezbronnego pisklaka. Nie zadajesz żadnych pytań, nie zastanawiasz się, tylko zabijasz... No a ja... Przecież już zabiłam... Jestem morderczynią.

Podszedłem bliżej i stanąłem tuż obok niej, ale nawet nie spojrzała na mnie. Stała nieruchomo, patrząc w dół, na ulicę. I zmagala się ze swoimi emocjami, przecież wyczuwałem w niej jednak i żal, i gniew, tym większy, że połączony z bezradnością. Bo mimo wszystko stało się to, czego tak bardzo nie chciała, czego po prostu nienawidziła.

Co na to wzorowy żołnierz? Sarknął, był po prostu zde gustowany. Przecież to wojna. Pociągnij za spust, zanim zrobi to twój wróg. To jedyny sposób, by przeżyć.

Przed przyjazdem do Crescent Beach zgodziłbym się z tym całkowicie. Oczywiście! Wzorowy żołnierz to przecież ja, a ze sobą lepiej nie dyskutować. Zabijałem, ponieważ Zakon mi kazał. Prosta sprawa, zero wątpliwości czy zastanawiania się. Ale tego lata pewien pełen odwagi i żarliwości, do tego uroczy wesoły smok wyrzucił do góry nogami cały mój świat. Pokazał mi rzeczy, których nigdy dotąd nie widziałem, nawet nie wyobrażałem sobie, że istnieją na tym naszym świecie. Taki był ten smok i bardzo chciałem, by nie zmieniał się pod żadnym względem. Absolutnie nie, choć zdawałem sobie sprawę, że zważywszy na naszą obecną sytuację, to moje życzenie jest jednak egoistyczne. I bardzo, ale to bardzo niebezpieczne.

– Wiem coś niecoś o Żmijach, Ember. Wiem, co robią, do czego są zdolne.

Wyraźnie zaskoczona poderwała głowę.

– Wiesz? Naprawdę? A może... może nawet miałeś z którąś z nich do czynienia? Czy tak? I żyjesz?!

– Nie, nie walczyłem ze żmiją, ale widziałem ją, jak zresztą cały Zakon. To znaczy kilku z nas spotkało się z nią. I ci nie przeżyli. Ale reszta, wśród nich ja, widziała to, co zarejestrowały kamery nadzorujące. Pokazano nam całe nagranie jako materiał szkoleniowy, żebyśmy zdawali sobie sprawę, z kim możemy mieć w przyszłości do czynienia.

Zamilkłem na moment, przywołując w pamięci tamte niewyraźne, czarno-białe obrazy. Szerokie przejście między regałami w wielkim magazynie, oświetlone jedną migoczącą żarówką zwisającą z sufitu. Czterech czołgających się żołnierzy z uniesioną do strzału bronią. Nagle z sufitu coś spada między tych żołnierzy. Mignęło jak cień i zaraz potem krzyk, odgłos wystrzałów. I cisza. Tylko światło rozkołysanej żarówki

przemyka po zakrwawionych, znieruchomiałych ciałach czterech żołnierzy. A po zabójcy ani śladu.

Kiedy pokazywali ten materiał, miałem jedenaście lat. Byłem przerażony i przez długi czas, kiedy przechodziłem przez nieoświetlone pomieszczenie, odruchowo spoglądałem w górę, na sufit, czy przypadkiem nie czai tam się smok zabójca.

– Nie mieli żadnych szans. Działała z zaskoczenia i niezwykle skutecznie. Morderczyni. A ty taka nie jesteś, Ember. Ty w ogóle jesteś inna niż smoki, które widziałem przedtem.

– Inna? To znaczy jaka?

Moje serce zabiło szybciej. Powoli wyciągnąłem do niej rękę i objąłem dłonią jej twarz. Gdyby się szarpnęła, na pewno bym ją puścił, ale Ember wcale się nie szarpnęła, tylko patrzyła mi prosto w oczy.

– Dla mnie jesteś dziewczyną, która nauczyła mnie surfować. Nauczyła też strzelać do zombie, tańczyć i absolutnie ze sobą nie zadzierać, nawet kiedy jest w ludzkiej postaci, bo może kopnąć mnie tam, gdzie słońce nie dochodzi!

A tak, zakończyłem żartobliwie, uznając, że najwyższy czas, by Ember się rozpogodziła. Nie uśmiechnęła się jednak, tylko cicho prychnęła, natomiast ja uśmiechnąłem się szeroko i przysunąłem do niej jeszcze bliżej.

I mówiłem dalej przyciszonym głosem:

– Jesteś smokiem, który mógł zabić żołnierza Świętego Jerzego, ale tego nie zrobił. Smokiem, który ryzykował życie, wkradając się do bazy wroga tylko po to, by uratować kogoś, kogo powinien z całego serca i z całej swej duszy nienawidzić. I to wszystko razem wzięte jest po prostu niesamowite...

Moja ręka jakoś tak sama się uniosła i ostrożnie odgarnęła z czoła Ember kosmyk rudych włosów.

A ona wreszcie się uśmiechnęła.

– Ach tak... – mruknęła. – No to mamy problem. Bo raptem mamy tu normalnego wyluzowanego faceta, który mówi dziewczynie bardzo miłe rzeczy, a po prawdziwym Garrecie ani śladu. Powiedz, co z nim zrobiłeś?!

Na to ja, udając, że jestem bardzo oburzony:

– O! Krzyczysz na mnie, a sama przecież tyle razy mi mówiłaś, że mam się wyluzować. Więc się wyluzowałem i co?!

A potem zrobiłem następny krok. Pochyliłem głowę i pocałowałem Ember. Oczywiście zrobiłem to bardzo delikatnie, ale i tak była zaskoczona, o czym świadczył cichy dźwięk na samym początku naszego pocałunku. Ale zaraz potem wsunęła palce w moje włosy. Wtedy objąłem ją mocno w pasie, ona mnie za szyję i zaczęliśmy całować się na całego. Na dachu, a nad nami tylko bezkresne niebo. I właśnie w takim miejscu żołnierz Świętego Jerzego całował się z dziewczyną, która tak naprawdę była smokiem! Och, było fantastycznie.

Póki ktoś nie ryknął:

– Ember!

Oczywiście od razu odskoczyliśmy od siebie. Kto ryczał? Riley. Zbiegły smok sunący ku nam wielki krokami. A w jego oczach była śmierć.

RILEY

Zabiję ją.

Stałem na środku kasyna, otoczony przez przemierzających się, rozgadanych i podekscytowanych ludzi, i starałem się stłumić w sobie coraz większą chęć zmienienia tego miejsca w piekło. A to pragnienie brało się wprost z tej wielkiej złości. Bo i gdzie ona może być? Gdzie?! Po powrocie do hotelu stukąłem do jej drzwi, stukąłem i nic. Poszedłem do Wesa, a ten tylko potwierdził, że Ember wyszła razem z żołnierzem. Powiedział też, że Ember może mieć ze sobą komórkę jednorazowego użytku, którą kiedyś jej ofiarował. Podał numer, zadzwoniłem więc, i to dwukrotnie, ale za każdym razem włączała się poczta głosowa, co oznaczało, że albo Ember zostawiła komórkę w swoim pokoju, albo po prostu nie odbiera.

Chęć, by coś zamienić w kupę dymiącego popiołu, była już po prostu przeogromna, dawałem jednak jakoś radę narzucić sobie hamulce i powstrzymać się od tego, i dalej przebijałem się przez tłum, próbując wyłowić wzrokiem jasnорude włosy i zielone oczy. Ember miała to do

siebie, że była zauważalna, więc nietrudno było ją dostrzec nawet w dzikim tłumie. Tak, ale to było kasyno, czyli nie tylko mnóstwo tłoczących się i przemieszczających ludzi, lecz także nietypowy układ korytarzy i sal, no i setki migoczących, błyskających świateł. Krótko mówiąc, bardzo niedobre miejsce na odnalezienie kogokolwiek i dlatego zresztą zdecydowałem się ukryć przed Zakonem i Talonem właśnie tutaj. Czyli, jak to się mówi, sam sobie ukręciłem stryczek na szyję. Bo właśnie z powodu takich, a nie innych warunków absolutnie nie mogłem natrafić na Ember. I kipiałem ze złości.

Do cholery, Ember! Gdzie jesteś?!

Prawie powarkując, jeszcze raz zrobiłem rundę po kasynie, potem zdecydowałem się spenetrować piętro wyżej. A czas naglił. Miałem przecież jechać jak najprędzej do opuszczonego hotelu, o którym mówił tamten narkoman, i sprawdzić, czy istotnie są tam dwa zbiegłe pisklaki. Moim absolutnie najważniejszym zadaniem było znaleźć je jak najszybciej, zanim dokona tego Święty Jerzy. O ile już ich nie namierzył, o ile już nie jadą do nich. Wtedy z każdą minutą są coraz bliżej, a ja te drogocenne minuty marnuję tu, w tym cholernym kasynie. Jedyne, co w tym wszystkim było pozytywne, to brak jakichkolwiek oznak działalności Zakonu, nie sądziłem więc, żeby Ember i żołnierz mieli jakieś problemy. Byłem prawie pewien, że rudowłosy krnąbrny pisklak był po prostu znudzony i namówił żołnierza na wspólny wypad. Albo go sterroryzował, co jeśli chodzi o postrzeloną Ember, też było możliwe.

W każdym razie gdzieś poszła, i to nie sama, lecz z tym żołnierzem. I to dodatkowo doprowadzało mnie do szału. Co z kolei było bez sensu, przecież z Ember nie byłem w żaden sposób związany. Absolutnie nie, i zresztą tego nie chciałem, mimo że moje smocze instynkty wcale nie były temu przeciwne. Ale w żadnym razie nie mogłem sobie pozwolić na coś takiego, skoro miałem tyle ważnych spraw na głowie. Moje pisklaki, całe moje podziemie, konieczność zagwarantowania każdemu, kto jest w mojej sieci, ochrony i przed Talonem, i przed Świętym Jerzym. A Wes miał tę swoją cholerną rację. Od chwili, gdy pojawiła się Ember, nie skupiałem się już na tych zadaniach całkowicie, bo w tym żarliwym czerwonym smoku było coś takiego, czego nie potrafiłem zignorować, choć zdawałem sobie sprawę,

że jakiegokolwiek rozpraszenie się to zwyczajna głupota. Och, nie taka sobie zwyczajna, tylko zbrodnicza głupota, bo w rezultacie mogą nas wszystkich wykończyć. Niestety, nic na to nie mogłem poradzić. Ember działała na mnie, a ja miałem dwie opcje do wyboru. Poddać się temu albo nie wchodzić w to, tylko po prostu taki stan rzeczy zaakceptować. Nauczyć się z tym żyć, bo przecież absolutnie nie mogłem pozostawić Ember samej sobie. O nie. Bo gdybym coś takiego zrobił, to byłbym przeklęty na wieki.

Po przeszukaniu kasyna, restauracji i niezliczonych sklepów, a wszędzie bez żadnego efektu, wreszcie wyszedłem na dach. Tutaj też ani śladu Ember, tylko w jasno oświetlonym basenie pluskało się kilka osób. Niemniej jednak postanowiłem zrobić rundkę również po tym dachu. I jak się okazało, postąpiłem słusznie, bo kiedy podchodziłem do bariery, za którą widać było na tle nieba szczyty wieżowców Las Vegas, wreszcie ich zobaczyłem. Stali tuż przy barierze. Ember wyraźnie coś tam do niego mówiła, ale bardzo cicho. Głowę miała spuszczoną. A potem zobaczyłem, jak żołnierz obejmuje dłonią jej twarz, też coś mówi, uśmiecha się i...

I zaczynają się całować!

Wtedy coś we mnie pękło. Mój smok, oburzony do granic, wydał z siebie groźny okrzyk, wypełniając mnie ogniem i nienawiścią. Świat przed oczami spowiła czerwona mgła, a ja szedłem do nich. Krzyknąłem, nim jeszcze do nich doszedłem, byłem jednak wystarczająco blisko, by żołnierzowi, kiedy tylko poderwał głowę, zaszerwować prawy sierpowy prosto w twarz. On jednak błyskawicznie zrobił unik i mojej pięści zabrakło kilku centymetrów, żeby dolecieć do celu. Ember, naturalnie zszokowana, krzyknęła, a żołnierz natychmiast cofnął się i przyjął pozycję do walki. Mój smok zaryczał, teraz naturalnie z wielką aprobatą, bo bijatyka to bijatyka, ot co. I tym razem byliśmy całkowicie zgodni w naszych emocjach. Spiałem się i powarkując cicho, pochyliłem się nieco, gotów rzucić się na przeciwnika, ale w tym momencie Ember chwyciła mnie za rękę.

– Riley, co ty wyrabiasz? Opanuj się!

Ale we mnie wrzało. Chciałem się bić, chciałem dokonać Przemiany i już w postaci smoka rozerwać tego człowieka na kawałki,

potem zionąć ogniem na żalosne szczątki i zmienić je w kupę popiołu. Mój smok, który nadal ryczał, po prostu nie mógł się już doczekać, kiedy wreszcie będzie mógł coś spalić. Ale żołnierz, czujny i gotów do ataku, jak to żołnierz, ustawił się w bezpiecznej odległości.

I dlatego wylałem całą złość na Ember.

– Co ja wyrabiam?! – huknąłem, wyszarpując rękę z jej dłoni. – Co ty wyrabiasz, Firebrand! Zostawiłem cię na godzinę, tylko na godzinę, i co zastaję po powrocie? Co?! – Perorowałem już mniej gwałtownie, bo skrzywiłem się z niesmakiem i z ryku przeszedłem na ton pogardliwy. – Przecież to człowiek. Tylko człowiek, a ponadto żołnierz Świętego Jerzego. Pogromca smoków! Byłem pewien, że po wyjeździe z Crescent Beach te głupoty wywietrzały ci już z głowy!

Moje spojrzenie niewątpliwie było bardziej niż płonące, niemniej jednak Ember śmiało uniosła głowę, by spojrzeć mi prosto w twarz.

Spojrzeć bardzo groźnie.

– Nie masz racji, Riley...

– Chyba jednak mam! – natychmiast wpadłem jej w słowo. –

I dlatego powtarzam. Zapomniałaś, że jesteś smokiem? A on żołnierzem Świętego Jerzego, który zanim zaszła w nim ta cudowna przemiana, zabił bardzo wiele smoków. Lepiej nie pytać, ilu bezbronnym, uciekającym pisklakom strzelił w plecy!

Tu zawiesiłem głos, częstując żołnierza spojrzeniem pełnym pogardy, i znów zwróciłem oczy ku Ember. W której to oczach widać było przede wszystkim ten jej żelazny upór. A mocować się z żelazem... Och, dotarło do mnie, że muszę choć w pewnym stopniu zmienić taktykę.

Westchnąłem i odwróciwszy się do żołnierza plecami, mówiłem dalej, ale już przyciszonym głosem, starając się przy tym powściągnąć gniew, mimo że mój smok nadal szalał, domagając się wymierzenia powyższemu żołnierzowi smoczej sprawiedliwości.

– Posłuchaj mnie, Firebrand. Posłuchaj uważnie, bo moim zdaniem coś ci padło na mózg. Czy do ciebie nie dociera, że to człowiek? Człowiek! Jak długo będzie chodził po tej ziemi? Nie za długo, bo czas u nich mija z inną prędkością, prawda? Gdzie ty będziesz i jaka będziesz za sześćdziesiąt, za sto, za pięćset lat? A on?!

– Ach, daj mi spokój – warknęła. – Dla mnie najważniejsze jest to, co teraz. Że nadal żyję, a przede wszystkim, że muszę wydrzeć Dantego Talonowi. To są moje priorytety. Życie i Dante. A ty co? Tak strasznie się wymądrzasz, a ciekawe, czy sam tak na poważnie w ogóle kiedykolwiek zastanawiasz się nad przyszłością!

– Oczywiście! Kiedy tylko się obudzę, myślę o moich kryjówkach, czy naprawdę są bezpiecznym schronieniem, czy pisklaki, które udało się wydrzeć Talonowi, przeżyją w nich kolejny rok. Co z nimi się stanie, kiedy pójdę już do piachu. Przecież nie może mi się udawać w nieskończoność. Ale teraz nie chodzi o mnie... – Spojrzałem przelotnie na żołnierza. Czy słyszy nas? Może tak, ale szczerze mówiąc, było mi to doskonale obojętne. – Chodzi o to, Ember, że smoki i ludzie nie powinni być razem. Życie człowieka w porównaniu z życiem smoka trwa tylko chwilę. Jakiż więc sens ma taki związek, jaką przyszłość?

Ember przymrużyła zielone oczy.

– Wiesz co, Riley? Gadasz i gadasz, i od tego po prostu robi mi się niedobrze. Lepiej powiedz od razu, że nie chcesz, żebym była z Garretem, bo on jest z Zakonu!

Jezu! Jaka ona jest uparta!

– Wcale nie muszę się wysilać, żeby się do tego przyznać! – Tym razem to ja, zamiast normalnie mówić, warknąłem. – Bo nie mogę zrozumieć, jak to możliwe, że pozwalasz temu mordercy smoków zbliżać się do siebie i jednocześnie nie masz ochoty oderwać mu głowy!

– Ej! Ty! – zawołał żołnierz, robiąc krok do przodu. Był cały spięty, gotów znów do walki. – Zostaw ją!

Spojrzałam na niego groźnie, ale on, niczym niezrażony, mówił dalej:

– To nie jej wina. To ja zacząłem. Jeśli masz z tym jakiś problem, załatw to ze mną.

O, bardzo chętnie!

Niestety, zdążyłem to tylko pomyśleć, ale powiedzieć już nie, ponieważ Ember mnie ubiegła:

– Przestań! – wrzasnęła, owszem, patrząc na Garreta, ale może tylko dlatego, że do niego należało ostatnie słowo, i w rezultacie nie było wiadomo, czy zła jest na żołnierza, czy na mnie. Och,

najprawdopodobniej na nas obu. W każdym razie wykrzyczała, wciąż patrząc na Garreta, jeszcze to: – Wcale się nie boję tego smoka zbiega, tego wściekłego zazdrośnika, i nie musisz stawać w mojej obronie!

Garret przytomnie milczał, ona zaś z kolei wrzasnęła na mnie:

– Potrafię sama zadbać o siebie!

A ja to wszystko mocno przeżywałem. Bo co ona powiedziała, to znaczy wyrzeszczała? Zazdrośnik? Ja?! O nie... Zrobiłem głęboki wdech, taki uspokajający, i odsunąłem się kawałek dalej, potrząsając bezradnie głową. Bo kiedy smok słyszy taką bzdurę, to mu ręce opadają.

– Szkoda czasu na takie głupoty – powiedziałem stanowczym, ale już ani warczącym, ani wrzeszczącym tonem. I jak się nad tym dobrze zastanowić, to powiedziałem najszczerzą prawdę. Problem z tamtymi pisklakami nie został jeszcze rozwiązany, a ja zmarnowałem tyle czasu! – Już dawno powinienem być gdzie indziej. A z wami nie ma sensu gadać, bo to jak walić głową o mur.

Ember znów zmrużyła zielone oczy.

– Znowu gdzieś jedziesz? A dokąd, jeśli można wiedzieć?

– Po prostu dokąds. A jeśli koniecznie chcesz coś jeszcze wiedzieć, to dodam, że mam coś bardzo ważnego do załatwienia.

Sądząc po jej minie, była gotowa zażądać, żebym zabrał ją ze sobą, dlatego czym prędzej, by uniknąć kolejnej bezsensownej dyskusji czy kłótni, udzieliłem odpowiedzi na niezadane jeszcze pytanie:

– Możesz jechać ze mną, jeśli chcesz. Albo zostać. Jest mi wszystko jedno. W każdym razie tę naszą rozmowę uważam za zakończoną.

Odwróciłem się na pięcie i przeszedłem przez dach, ani razu nie oglądając się za siebie. Kiedy usłyszałem, że oboje ruszyli za mną, miałem wielką ochotę odwrócić się i przyłożyć żołnierzowi tak mocno i celnie, żeby poleciał na ziemię. Dosłownie. Sfrunąłby z dachu na trawnik, a jeszcze lepiej na twardy chodnik. Ale ta chęć była wyrazem mojej smoczej natury, natomiast jako człowiek skupiony byłem na czymś innym. A mówiąc ściślej, zmartwiony. Chodziło o to, że Ember raptem jakby zapomniała, jakie cele przyświecają Zakonowi Świętego Jerzego. Może dlatego, że jest taka młoda i naiwna, i wciąż jeszcze nie ma takiego doświadczenia z Zakonem jak ja. Jeszcze nie...

Z tym że nie to, co wyżej, martwiło mnie najbardziej. O nie. Tylko to, że mój żarliwy rudowłosy pisklak nadal woli człowieka. Woli go zamiast mnie.

Czyli jednak – zazdrośnik?

DANTE

W tym pokoju było bardzo zimno, a ja zdecydowanie wolałem temperaturę wyższą. Może dlatego, że wychowałem się na spalonej słońcem pustyni i bardzo dużo czasu spędzałem na dworze. Bardzo lubiłem, gdy ciepło promieni słonecznych wnikało w moje ciało, i kompletnie nie miałem pojęcia, co te wszystkie wysoko postawione smoki w Talonie mają przeciwko ciepłu. A musiały mieć, bo we wszystkich biurach Talonu klimatyzacja nastawiona była na ful, tak że prawie się widziało mgiełkę własnego oddechu. Nawet w tym wypasionym hotelu Reigna, gdzie wszędzie były grube, złocisto-zielone dywany i skórzane fotele – jeden taki fotel kosztował na pewno ponad tysiąc dolarów – było to samo. Po prostu prawie jak w lodówce. Gdybym miał w tej sprawie cokolwiek do powiedzenia, z miejsca podwyższyłbym temperaturę chociaż o kilka stopni. Ale niestety nie miałem, w związku z czym pozostawała tylko nadzieja, że uda mi się przebrnąć przez to spotkanie z fasonem, to znaczy nie dygocząc i nie dzwoniąc zębami. Bo jeszcze to mi groziło, jakby nie wystarczyło, że już jestem porządnie zdenerwowany.

Siedzący obok mnie pan Smith, mój instruktor, sprawiał wrażenie kogoś, kto czuje się w tych warunkach komfortowo. Usiadł sobie wygodnie, założył nogę na nogę i spojrzał na mnie bardzo przenikliwie.

– Oddychaj swobodnie, Dante. To naprawdę dobry plan i na pewno uda ci się go zrealizować.

– Wiem – odparłem z uśmiechem.

– Świetnie. Bo właśnie chodzi o to, żeby być pewnym, że się powiedzie, a nie tylko mieć nadzieję. Nadzieja nie zwróci ci siostry. Nadzieja nie robi dobrego wrażenia, gdyby pan Roth usłyszał o niej od ciebie. Nie robi dobrego wrażenia w ogóle na nikim. Musisz być głęboko przekonany, że zrealizujesz swój plan, bo w przeciwnym

wypadku będzie to oznaczać stratę czasu dla nas wszystkich.

– Jestem tego świadomy, proszę pana – odparłem, nadal się uśmiechając. – I przysięgam, że Ember jeszcze tej nocy wróci do organizacji.

Pan Smith pokiwał głową i odwrócił się w stronę drzwi, ponieważ do pokoju wchodził właśnie pan Roth, a za nim jeszcze dwa inne smoki. Kompletnie mi nieznany szczupły mężczyzna o gładkich, ciemnych włosach i z kocią bródką, który usiadł naprzeciwko mnie i uprzejmie skinął głową. A drugim smokiem była Lilith, która zajęła miejsce obok tego pierwszego, założyła jedną długą nogę na drugą i uśmiechnęła się do mnie.

– Nie mogę się doczekać, kiedy przedstawi pan swój plan działania, panie Hill.

Jej słowa, mimo uśmiechu, w sumie odczułem jak groźbę. Jakby jej również bardzo zależało na zrealizowaniu tego planu, bo jeśli się nie powiedzie, będą poważne reperkusje. Nic dziwnego więc, że choć postanowiłem sobie inaczej, to jednak poczułem się trochę nijako. Ale trwało to tylko moment, bo zaczęło coś się dziać. Mianowicie Roth zajął miejsce u szczytu stołu i spoglądając na zegarek, oznajmił:

– Zaczynamy. Panie Hill, czy któraś z pańskich agentek kontaktowała się z panem?

Odetchnąłem głęboko, skinąłem głową i położyłem na stole swoją komórkę.

– Tak, proszę pana. Wszystko już przygotowane. Mogą wyruszać na misję.

– Znakomicie – powiedział pan Roth, spoglądając na mnie chłodno. – W takim razie nie pozostaje nam nic innego, jak czekać na pański sukces, panie Hill. Powodzenia!

Przełknąłem, spoglądając na komórkę leżącą spokojnie na stole. Och Ember, Ember... Prawie czułem jej obecność tam, po drugiej stronie. Ember, tylko błagam, nie rób niczego głupiego. To twoja ostania szansa na wybranie tego, co słuszne.

Położyłem ręce na stole, splotłem palce i z bijącym sercem czekałem, aż komórka się odezwie.

CZEŚĆ III

SKOK WIARY

EMBER

W taksówce nadal wszyscy byliśmy spięci, i to okropnie! Miałam wrażenie, jakby od tego napięcia powietrze wokół nas tak bardzo zgęstniało, że można by je brać po kawałku, kłaść na talerzyku i krajać w plasterki. Tak, właśnie tak, a niesamowicie gęste było już od samego początku, czyli podczas wsiadania, ponieważ nikt oczywiście nie chciał siedzieć z przodu. Riley nie życzył sobie, bym siedziała z tyłu razem z Garretem, Garret za nic nie chciał się zgodzić, by towarzyszył mi tam tylko Riley, a dla mnie z kolei konfiguracja – Riley plus Garret, sami, z tyłu – była nie do przyjęcia. Bo na pewno poleje się krew. Na szczęście udało mi się przeforsować mój wariant i wszyscy troje usiedliśmy z tyłu. Ja w środku, chłopaki po bokach, po czym zapadła cisza. No, taka cisza wręcz ogłuszająca.

Riley nadal miał śmierć w oczach. Na pewno, bo chociaż nie spojrzał na mnie ani razu, tylko gapił się w okno, każdy skrawek jego ciała emanował gniewem. Było oczywiste, że jego smok syczy i miota się, co nie mogło nie podziałać na moją smoczycę i w rezultacie też byłam okropnie zdenerwowana. Okropnie! Przede wszystkim miałam wielkie wyrzuty sumienia, co już samo w sobie było bardzo wkurzające. Bo niby z jakiej racji mam te cholerne wyrzuty sumienia, skoro Garret i ja nie zrobiliśmy nic złego? Całowanie nie jest przecież surowo zabronione, prawda? Owszem, nie jest, ale niestety to, co potem klarował Riley, nadal dźwięczało mi w uszach.

– Czy do ciebie nie dociera, że to człowiek? Człowiek! Jak długo będzie chodził po tej ziemi? Nie za długo, bo czas u nich mija z inną prędkością, prawda? Gdzie ty będziesz i jaka będziesz za sześćdziesiąt, za sto, za pięćset lat? A on?!

Wymądrzał się, jakby to właśnie było najważniejsze! Dla mnie na pewno nie, bo szesnastoletnia istota żadnego, jak myślę, gatunku nie zawraca sobie głowy zastawianiem się nad czymś takim, jak przyszłość! Oczywiście, że nie, dlatego Riley swoim gadaniem okropnie mnie wkurzył, a poza tym to tak ogólnie tego dnia od samego rana miałam potwornego doła. Nudziłam się, tęskniłam, wszystko było do bani,

a dzięki Garretowi udało mi się choć na chwilę zapomnieć o tym, co problematyczne, co złe, co do... Och, przy nim zawsze byłam w stanie udawać przed samą sobą, że jestem zwyczajną dziewczyną. Jestem po prostu normalna.

Normalna? Moja bardzo zde gustowana smoczyca prychnęła, po czym zaszepotała, że normalna to ja na pewno nie jestem. To znaczy normalnym człowiekiem, oczywiście. A smokiem jestem na pewno, poza tym żołnierz długo tu z nami nie będzie. A Riley tak. Bez wątpienia...

Nagle coś delikatnie otarło się o moją nogę. Czyjaś dłoń ułożona tuż koło mej nogi. Poderwałam głowę i napotkałam spojrzenie Garreta. Garreta smutnego, zgnę bionego, kompletnie nie w sosie. Taką właśnie zobaczyłam twarz w czerwonym świetle neonu. W jego oczach pytanie. O co? O nas? O nas... Koło mego serca nagle zrobiło się zdecydowanie cieplej i uśmiechnęłam się do Garreta, mimo że moja smoczyca, naturalnie jeszcze bardziej zniesmaczona, zasyczała.

Taksówka zjechała ze Stripu, konsekwentnie oddalając się od gigantycznych i rozjarzonych setkami świateł kolosów stojących po obu stronach bulwaru, a po chwili – bardzo cichej, bo nikt nadal nie odzywał się ani słowem – zatrzymała się nagle, ale wcale nie przed jakimś domem. Po drugiej stronie chodnika widać było płot z siatki, a za płotem, tak na moje oko, był wielki pusty plac, który nikał w ciemnościach.

Riley zapłacił taksówkarzowi i wysiadł, wciąż milcząc jak grób. Garret i ja, również milczący, też wysiedliśmy i wszyscy podeszliśmy do ogrodzenia z metalowej siatki.

– Gdzie my właściwie jesteśmy? – spytałam, spoglądając na to, co za siatką, czyli na pustkę. Bo tak było. Żadnych świateł, żadnej drogi ani choćby chodnika, tylko ziemia... Nie, nie tylko. Bo gdzieś tam, spory kawałek od drogi, majaczyła w ciemnościach jakaś budowla. I to budowla niemała.

– To hotel – powiedział Riley, chowając portfel do kieszeni. – Ale niedokończony. Z powodu recesji przerwali budowę i stoi pusty.

– A dlaczego tu przyjechaliśmy? – spytał Garret, oczywiście czujnie rozglądając się dookoła.

Riley najpierw spojrział na niego bardzo chłodno, jakby zastanawiając się, czy ten oto osobnik godny jest wysłuchać odpowiedzi, potem jednak tejże odpowiedzi udzielił:

– Doszły do mnie słuchy o dwóch pisklakach, które uciekają przed Talonem. – Gdy to powiedział, skóra na mnie ścierpła. A on mówił dalej: – Mogły uciec z Talonu niedawno, mogą to też być pisklaki, które od jakiegoś czasu są pod moją opieką. W każdym razie podobno ukryły się gdzieś tutaj. Trzeba odnaleźć je jak najszybciej, tym bardziej że w każdej chwili może dopaść je Zakon, który uaktywnił się już w tym rejonie.

Garret sposepniał, zastanawiał się przez moment, po czym spytał:

– Dlaczego nie powiedziałaś nam o tym przed wyjazdem z hotelu?

– Bo nie jestem zobowiązany z czegokolwiek ci się tłumaczyć, Święty Jerzy – warknął Riley. – A ty wciąż przebywasz z nami wcale nie dlatego, że jesteś nam niezbędny. Bez ciebie też byśmy sobie poradzili! Teraz naszym zadaniem jest odszukanie tych pisklaków i zniknięcie stąd jak najprędzej. Jeśli taka akcja miałaby zranić twoje ego pogromcy smoków, to bardzo proszę, droga wolna. Łap taksówkę i wracaj do hotelu. Nikt tu cię nie zatrzymuje.

W tym momencie oczywiście zjeżyłam się, posuwając się nawet do tego, że w duchu nazwałam Riley'a dupkiem, Garret natomiast odpowiedział głosem bardzo opanowanym:

– W tym opuszczonym hotelu może być gniazdo narkomanów albo bezdomnych, może być też kryjówka jakiegoś gangu. Dlatego uważam, że nie powinniśmy wchodzić tam bez broni.

– Mamy się bać garstki ludzi? – Riley prychnął pogardliwie. – Co oni mogą nam zrobić?

– Mogą być uzbrojeni.

– Owszem, mogą, dlatego zachowamy jak największą ostrożność. A wchodzimy już teraz, bo nie ma czasu jechać po broń. Nie mam jej przy sobie tylko dlatego, że tobie i Ember zachciało się połączyć po kasynie. Wbrew moim zakazom poszliście tam, musiałem więc też tam pójść, żeby was odnaleźć, a trudno, żeby latać po kasynie z torbą pełną broni! Tak więc musicie się pogodzić z tym, że uzbrojeni nie jesteśmy.

– Co będzie, jeśli zjawi się tam Zakon?

– A o to niech cię głowa nie boli! Wes włamał się już do kilku kamer zainstalowanych na tym terenie. Jeśli zauważy coś podejrzanego, natychmiast mnie zawiadomi – oświadczył Riley, po czym uznając rozmowę za zakończoną, odwrócił się na pięcie i niebywale zręcznie pokonał ogrodzenie z siatki. Skoczył i od razu, bez słowa, ruszył przed siebie w ciemność.

Garret i ja spojrzeliśmy po sobie i również bez słowa poszliśmy za jego przykładem. Sforsowaliśmy płot i ruszyliśmy prosto po miękkiej ziemi, przy każdym stąpieniu wzniesając mgiełkę kurzu. Spowici w ciemność, w której co chwilę majaczyła sterta przegniłych desek albo wielka rura z cementu lub z żelaza. Tylko to, żadnych oznak życia, nie słysząc nawet było ruchu ulicznego, jedynie gdzieś w oddali migwały na czerwono tylne światła samochodów.

Fronton hotelu był zaskakująco elegancki, choć tylko do pewnego poziomu, bo wyżej nie było już ładnie, ponieważ ostatnich pięter nie wykończono. Drzwi wejściowe były obdrapane, a w środku ciemno i cicho. Poza tym bardzo ciepło, no i ten zapach potu, moczu i tak dalej, czyli po prostu okropny smród. Dlatego szybko zasłoniłam ręką nos i usta i odruchowo przysunęłam się do Garreta, który jak zwykle był niewzruszony. Wiadomo, żołnierz! Riley natomiast zapalił latarkę, widziałam więc, że nie był taki niewzruszony, tylko z obrzydzeniem zmarszczył nos.

– Trzymamy się razem – powiedział prawie szeptem, ale i tak w tej ciszy jego słowa odbiły się szerokim echem. – Wygląda na to, że jacyś ludzie jednak tu są.

I w tym momencie faktycznie usłyszeliśmy ciężkie kroki. Riley natychmiast skierował snop światła w tamtą stronę i naszym oczom ukazała się postać raczej nietypowa. Kobieta szkielet, tak chuda, że T-shirt zsuwał się z jej kościstych ramion. Spojrzenie miała szkliste i wystraszone, jak spojrzenie sarny oświetlonej przez światła samochodu. Szła powoli, powłócząc nogami, wyglądała po prostu makabrycznie.

– No to pięknie – szepnęłam. – Jest tak, jakbyśmy grali w filmie o zombie. Przysięgam, że jeśli zobaczę żywego trupa, zaraz dostanie ode mnie ognistą kulą między oczy.

Riley chrząknął, wyraźnie tłumiąc śmiech.

– Lepiej nie szalej, Firebrand. To miejsce jest jak krzesiwo. Jedna iskierka i sfajczysz wszystko. Poza tym ten hotel, choć niedokończony, wart jest kilka milionów. Gdyby spłonął, i Zakon, i Talon od razu by się zorientowały, że tu jesteśmy. Tak więc, Firebrand, żadnych kul ognistych, jasne?

– Dobrze, dobrze. Nawet kiedy napadną na nas zombie. Wtedy po prostu zacznę uciekać. Mam nadzieję, że szybciej niż ty...

Szliśmy dalej, a światło latarki konsekwentnie przesuwano się po pustym holu. Po jakimś czasie zobaczyliśmy wielkie biurko zasłane kilkucentymetrową warstwą kurzu i obwieszane pajęczynami, a potem coś małego i pokrytego futerkiem przemknęło po podłodze i znikło w szczelinie w ścianie.

Nagle palce Garreta zakleszczyły się na moim ramieniu, osadzając mnie w miejscu. Riley już stał, szybko więc spojrzałam tam, gdzie padało światło latarki. I po prostu mnie przytknęło, bo przed nami widać było wejście do ogromnej sali, w której na pewno miało się mieścić kasyno. Tak, z całą pewnością to tu miały stać długie szeregi automatów do gry i stoły do blackjacka. I choć ta sala naprawdę była wielka, to było tu jeszcze cieplej niż w holu. I śmierdziało jeszcze bardziej, aż tak okropnie, że zrobiło mi się niedobrze. Jednak ludziom, którzy przebywali w tej sali, najwyraźniej to nie przeszkadzało. Ludziom brudnym i obszarpanym, stoczonym na sam dół ludzkiej egzystencji. A było ich niemało. Chodzili sobie tu i tam albo siedzieli, jak tych troje urzędujących parę metrów dalej na koszmarnie brudnym materacu. Wszyscy bladzi i wychudzeni, spojrzenia mieli dziwnie nieruchome. Siedzieli i zaśmiewali się, podając sobie z rąk do rąk coś małego i białego. Kawalek dalej, na starej i bardzo zniszczonej kanapie siedział mężczyzna o dziwnie wylupiastych oczach oraz dwie dziewczyny. Mężczyzna w środku, dziewczyny po bokach, i patrzyły podobnie jak ci z materaca pustym, nieruchomym wzrokiem. Jakby nas nie widziały.

Natomiast mężczyzna od razu nas zauważył i wstał, oznajmiając:
– Niestety, to impreza tylko dla zaproszonych gości. Wygląda na to, że trafiliście nie tam, gdzie trzeba.

Powiedział to niby uprzejmie, ale zabrzmiało jak groźba. Był wysoki i przerażająco chudy. Ubranie na nim wisiało, a tym ubraniem

były wystrzępione dzinsy i brudna czerwona bluza z kapturem nasuniętym na głowę. Tak się opatulał, choć przecież było tu bardzo ciepło.

Riley skrzyżował ramiona na piersi i odparował cios:

– Czyli to nie hotel Palazzo? No to kicha. Zgrałem się już na automatach i chciałem popróbować czegoś innego.

– Raczej nie próbujesz – warknął mężczyzna, a gdy pstryknął palcami, natychmiast trzech chudzielców poderwało się z materaca. Ustawili się przy nim, a w jego ręku błysnął nóż. – Dawaj portfel! Ale już! – zażądał agresywnie.

Czułam, jak Garret się sprężył. Błyskawicznie przesunął się do przodu, zasłaniając mnie swoim ciałem.

A narkoman wysuwał dalsze żądania:

– Komórka. Kasa. Położyć na ziemi i wycofać się. Wy też – dodał, spoglądając na mnie i na Garreta. – Bizuteria, torebka, macie oddać wszystko. Wtedy będziecie mogli odejść... bez tego w brzuchu. – Wymownie zamachał nożem.

Riley westchnął i podniósł ręce, jakby prosił o chwilę namysłu, a potem cofnął się pół kroku, ustawiając się obok Garreta, i spytał cicho:

– Ilu ich jest?

– Oprócz tych czterech jeszcze dwóch pod ścianą za nami – odparł Garret również prawie bezgłośnie.

– Uzbrojeni?

– Nie.

– Dobra. Zajmij się nimi. Firebrand, uważaj na siebie.

– Hej! – Przywódca narkomanów zrobił krok do przodu, znów unosząc nóż. – Czy nie wyraziłem się dość jasno? Oddawać wszystko, bo jak nie, to pokroję was na kawałki!

– Przecież mówiłem, że kasy nie mam – powiedział Riley, ponownie podnosząc ręce w pojednawczym geście. – Przyjechaliśmy na weekend i jesteśmy już splukani.

– Dawajcie komórki! – warknął przywódca, kierując ostrze noża w stronę Garreta. – Ty pierwszy!

Garret bezradnie wzruszył ramionami.

– Nie mam! Wybacz, stary, ale wpadła mi do basenu.

Narkoman spojrzał więc na mnie, a ja posłałam mu promienny uśmiech i oznajmiłam beztrąsko:

- Bardzo mi przykro, ale komórkę zostawiłam w taksówce.
- Czyli masz pecha, stary – podsumował Riley.
- A ty się zamknij! – ryknął narkoman, robiąc krok do przodu.

Ostrze noża wycelowane było teraz w twarz Riley'a. – Chcesz, żebym cię wypatroszył jak świnię?

Ręka Garreta wyprysnęła do przodu, palce zakleszczyły się na ręce narkomana i wykręciły w jedną i drugą stronę. Narkoman zawył z bólu, wył jednak tylko przez ułamek sekundy, bo dostał łokciem w skroń i osunął się na podłogę. Padł jak worek kartofli, a Riley rzucił się na resztę narkomanów. Pierwszy dostał w szczękę, tak że odrzuciło mu głowę w bok i upadł na kanapę między dwie piszczące histerycznie dziewczyny. Znieruchomiał i w tym dokładnie momencie kątem oka wychwyciłam jakiś ruch. Odwróciłam się błyskawicznie, dzięki czemu kolejnemu z narkomanów nie udało się złapać mnie za ramię, natomiast mi udało się dać mu kopa w kolano i następny typek osunął się na podłogę. W tym czasie Garret walczył z jego kolesiem. Kolesz rzucił się z pięściami, Garret zablokował cios, a kiedy aplikował prawego sierpowego, raptem pojawił się przy nim jeszcze jeden gość, wymachując prętem zbrojeniowym. Kiedy to zobaczyłam, wystraszyłam się okropnie, ale niepotrzebnie, bo Garret zrobił unik i pręt go nie sięgnął, a Riley wykonał piękny obrót i walnął napastnika w szczękę. Narkoman poleciał na Garreta, który złapał go za nadgarstek, wytrącając pręt z ręki. Jednocześnie podciął mu nogi i narkoman gruchnął o podłogę. Garret rzucił pręt Rileyowi, który przyłożył nim ćpunowi w skroń, tak na dokładkę.

Była więc to przepiękna akcja, znakomity przykład fantastycznej wręcz pracy zespołowej, nic więc dziwnego, że przyglądałam jej się z uśmiechem na twarzy. Dopóki ktoś nie pochwycił mnie od tyłu, unieruchamiając przez przyciśnięcie moich rąk do boków. Oczywiście jeszcze jeden ćpun, oczywiście ohydnie śmierdzący fajkami i brudem. Złapał mnie i wyraźnie zamierzał gdzieś pociągnąć za sobą, więc walnęłam go tyłem głowy w nos. Wrzasnął i puścił mnie, ale kiedy odwróciłam się, dostałam w twarz. Niby zrobiłam unik, ale i tak trafił

w policzek. Zabolało, i to porządnie. Moja smoczyca zagrzmiała oburzona, a ja poderwałam nogę i kopnęłam łachudrę, wiadomo, z całej siły, i wiadomo gdzie. Tam, gdzie słońce nie dochodzi, a faceta zaboli najbardziej. I zabolało, bo oczy prawie mu wyszły na wierzch. Zachwiał się, rozdziawił gębę, a ja poprawiłam. Wtedy zawył, zgiął się wpół i oczywiście osunął na podłogę.

Wykrzywiłam się do niego i odwróciłam, by sprawdzić, jak tam z Rileyem i Garretem. A oni po prostu sobie stali. Tak, stali plecami do siebie, otoczeni przez wijących się i pojękujących ćpunów, nieszczęsnych kombatantów ledwie co zakończonej walki. A cała reszta tego towarzystwa gapiała się, choć naturalnie z bezpiecznej odległości. Riley z prętem w rękę i uśmiechem na twarzy czujnie rozglądał się dookoła, natomiast Garret omiótł spojrzeniem salę tylko raz, po czym spytał, a zrobił to nadzwyczaj uprzejmym tonem:

– Czy ktoś jeszcze ma ochotę?

Cisza, czyli nikt nie reflektował. Przeciwnie, wszyscy pozostali narkomani, już nie patrząc na nas, zaczęli się wycofywać. Wiadomo, byle jak najdalej od nas.

Riley prychnął pogardliwie, rzucił pręt na bok, spojrzał na mnie i powiedział:

– Przepraszam, Firebrand, że ci nie pomogłem, ale po prostu nie mogłem. Jak z tobą?

– O mnie się nie martw. Lepiej o tego, co próbował mi przyłożyć!

Zza pleców Riley'a wysunął się Garret i szeroko uśmiechnięty oznajmił:

– Zauważyłem, że kopnęłaś go tam, gdzie lubisz kopać najbardziej!

– Owszem! I to nie raz. Kopnęłam go dwa razy. Właśnie tam!

Wtedy Riley odwrócił się do Garreta.

– Miałaś okazję przekonać się, Święty Jerzy, że bez broni też damy sobie radę. Trzeba przyznać, że byłeś w tym niezły.

– Dzięki. Następnym razem stajemy z gołymi rękami przeciwko dwunastu żołnierzom z karabinami!

– Czemu nie? Ale może jeszcze nie dziś – mruknął Riley, wpatrując się w wielką salę. – No i mamy problem. Bo jak w tym chaosie odnaleźć dwa wystraszone pisklaki?

Rzucił pytanie, pytanie zasadnicze, i w tym momencie usłyszeliśmy ciche kroki. Z ciemności wynurzyła się drobna postać, bardzo drobna, powłócząca nogami jak zombie.

RILEY

W kręgu światła pojawiła się istota niewielka, skulona jak pies, który się zgubił i nie wie, czy ktoś rzuci mu coś do jedzenia, czy go kopnie. Z tym że ta istota niewątpliwie była człowiekiem. A dokładniej kobietą, która kiedyś według ludzkich standardów zapewne była bardzo ładna, może nawet piękna. Teraz już nie, bo chuda była jak patyk, jasne włosy miała cienkie i bez połysku, a wychudzoną twarz nieruchomą jak u marionetki. Spojrzenie niebieskich oczu, podkrążonych i szklistych, było aż tak puste i tak nieobecne, że mój smok poruszył się niespokojnie.

Nie, nie podeszła do nas. Przystanąła w bezpiecznej odległości i wyszeptała:

– Anioły...

Anioły? Te niebiańskie istoty? Też coś! Byłem tuż po walce, po wielkim skoku adrenaliny, jeszcze niewyciszony, a więc na pewno nieprzygotowany na taką rewelację.

– Co powiedziałaś? Anioły?

– Tak. Anioły... – wymamrotała kobieta, a wtedy zauważyłem, że do defektów jej urody należy zaliczyć prawie całkowity brak zębów. – Anioły, których wy szukacie. Bardzo ładne anioły.

Uniosła rękę, ale zrobiła to tak jakoś dziwnie, tak sztywno jak marionetka, po czym wskazała za siebie. Naturalnie od razu spojrzałem właśnie tam, na przeciwległą ścianę, gdzie w ciemnościach majaczyły drzwi, które najpewniej prowadziły na klatkę schodową.

– One są blisko nieba – szeptała dalej chudziutka kobieta, sprawiając wrażenie mocno odlecianej, półprzytomnej. – Bo to anioły, więc tam muszą być...

– Czyli są na piętrze, tak? – spytałem, ale kobieta już odwróciła się i powłócząc nogami, odeszła, mamrocząc coś pod nosem. Po chwili mamrotanie ucichło, kobieta marionetka znikła w ciemnościach.

– Normalnie wariatka – podsumowałem. – Ale dzięki niej wiemy

już, dokąd iść.

I poszliśmy właśnie tam, do tych drzwi. Szliśmy, mijając bladych, wychudzonych ludzi spoglądających na nas pustym wzrokiem albo zaśmiewających się głupio. Niektórzy coś tam mówili, ale same bzdury. Nikt nie próbował nas zatrzymać, nikt nas nie zaatakował, tylko jakiś starszy już ćpun z głupawym uśmiechem wystąpił do Ember z niedwuznaczną propozycją. Oczywiście zjeżyła się od razu gotowa poczęstować go kopniakiem w wiadome miejsce, ale żołnierz przytrzymał ją. I właściwie szkoda, bo temu staremu cymbałowi się należało, prawda? W każdym razie był to jedyny drobny incydent w drodze do drzwi, za którymi istotnie była klatka schodowa wypełniona suchym, stęchłym powietrzem. I było tu jeszcze cieplej niż w kasynie. Tak gorąco, że ledwie weszliśmy do środka i przystanęliśmy przed zardzewiałymi żelaznymi schodami, a od razu poczułem strużki potu spływające po plecach.

– Jak myślisz, Riley, na którym piętrze mogą być? – spytała Ember.

– Nie wiadomo. W każdym razie wchodzimy, i to najwyżej, jak się da.

Ruszyliśmy więc w górę, pokonując jedno piętro za drugim w temperaturze chyba takiej, jaka jest w piecu. Po drodze nie spotkaliśmy nikogo, prawdopodobnie więc piekielna temperatura i ciemności odstraszały narkomanów od tego miejsca. Chociaż może nie tak do końca, bo tu też śmierdziało okropnie.

Szliśmy w milczeniu, słysząc tylko odgłos naszych kroków. Ja pierwszy, Ember i żołnierz za mną. Wspinaliśmy się coraz wyżej i wyżej, i nagle stop. Koniec schodów, a przed nami żelazne drzwi. Kiedy uchyliłem je, zazgrzytały i okazało się, że za nimi jest o wiele jaśniej, ponieważ wspieliśmy się na ostatnią kondygnację, której budowy nie dokończono, w związku z czym był to jedyny w swoim rodzaju labirynt z do połowy wzniesionych ścian, butwiejących drewnianych ram i elementów z żelaza. Ostrożnie weszliśmy do środka, odsuwając na bok wielkie wystrzępione płachty z folii, które wisiały wszędzie, powiewając na upalnym wietrze. A nad nami znajdował się niewykończony dach, z prześwitami, przez które widać było niebo.

Niebo, o tyle bliżej mnie... I żadnych wariatów, żadnego smrodu! Tak, zdecydowanie oddychało mi się źlej. Pomyślałem przy tym, że gdybym był uciekającym pisklakiem, ukryłbym się niewątpliwie gdzieś tutaj.

– A czego my właściwie szukamy? – spytał żołnierz, kiedy szliśmy po skrzypiącej podłodze, przestępując przez porozrzucane belki i przerdzewiałe żelazne elementy. Podłoga była w stanie po prostu fatalnym. Szczerze mówiąc, strach było po niej iść, bo tak na moje wyczucie, to w każdej chwili mogła się pod nami załamać.

– Nie czego, a kogo – poinformowałem, odsuwając na bok kolejną płachtę z folii, potem pochyliłem się, ponieważ przechodziłem pod bardzo nisko zamontowaną krokwią. – Dwóch pisklaków, prawdopodobnie niewiele starszych od nas. Jeśli tak się zdarzy, że natkniesz się na nie pierwszy, pamiętaj, nic nie rób, absolutnie nic, tylko od razu daj znać. Ja będę z nimi rozmawiał, tylko ja, bo ciebie na pewno się wystraszą. Boją się przecież obcych, boją się, że może to być ktoś z Talonu. A bardzo bym nie chciał, by uciekły, zanim...

I w tym momencie coś wyprysnęło z kąta, wymachując żelazną rurą tuż przed moją twarzą. Oczywiście od razu szarpnąłem się w tył, dzięki czemu rura nie trafiła mnie w głowę, ale dostałem w rękę i latarka poleciała na podłogę. Cios był niezły, tak niezły, że aż się zachwiałem, a napastnik uniósł swoją prowizoryczną broń i znów ruszył na mnie.

– Chwila! Moment! – zawołałem, robiąc unik i błyskawicznie wycofując się za najbliższą krokiew. Rura walnęła o drewno, wzniesając tuman kurzu, ale zaciętrzewiony napastnik, dalej wymachując nią jak kijem bejsbolowym, obszedł krokiew i znów się zamachnął. Ale na szczęście ponownie udało mi się zrobić unik. – Uspokój się wreszcie! – wrzasnąłem. – Nie mam zamiaru zrobić ci nic złego! Wysłuchaj mnie!

Ember i żołnierz zaczęli podchodzić do mnie, ale spojrzałem na nich groźnie i rozkazałem:

– Ani kroku dalej! – Gdy zatrzymali się w pół kroku, rozkazywałem dalej, ale już do wszystkich obecnych: – Nie ruszać się z miejsca, jasne?! Stać! Wszyscy! Mamy wyluzować!

Napastnik z rurą wyraźnie zawahał się, przemykając niepewnym spojrzeniem po całej naszej trójce. Napastnik? Nie, to napastniczka,

wyjątkowo zgrabna i sprężysta dziewczyna o wielkich niebieskich oczach i długich włosach, bardzo jasnych, o srebrzystym odcieniu. Ubrana była w stare poszarpane dżinsy i wymiętoszony T-shirt, czyli musiała w nim przespać niejedną noc.

Czyli pisklak w ludzkiej postaci. Nastolatka, z tym że na pewno bliżej dwudziestki niż znane mi pisklaki, młodsze od niej, więc tuż po szkoleniu, pełne zapału i całkowicie bez doświadczenia. Nie miałem wątpliwości, że to pisklak, który uciekł z Talonu, i poczułem wielką ulgę, że udało nam się ją odnaleźć, zanim zrobił to Zakon. Ulgę i ogromną satysfakcję, bo to było teraz najważniejsze.

Dziewczyna, ciężko dysząc, odstąpiła o krok, nadal trzymając przed sobą tę nieszczęsną rurę.

– Kto wy jesteście? – spytała. – Czego tu szukacie? I lepiej uważajcie, bo wcale nie mam zamiaru się wycofać.

Głos niby drżący, ze strachu oczywiście, jednocześnie jednak był jakiś taki... dziwnie chłodny. I mówiła bardzo wyraźnie.

– Spokojnie. Nic ci nie grozi. Nie jesteśmy z Talonu – powiedziałem i zrobiłem krok do przodu, wyciągając do niej rękę.

Oczywiście obie czynności wykonałem powoli, żeby nie wystraszyć dziewczyny, która choć nadal patrzyła na mnie podejrzliwie, opuściła tę swoją rurę. Co prawda tylko parę centymetrów, ale dobre i to.

– W takim razie skąd żeście się tu wzięli? – spytała.

– Nazywam się Cobalt – powiedziałem, bez wahania podając jej prawdziwe imię. Typowe smocze imię, zrozumie więc, że jesteśmy, jak to się mówi, z tej samej gliny. – Zajmuję się szukaniem kogoś właśnie takiego jak ty, kogoś, kto nie chce być tam, gdzie jest. Pomagam wydostać się stamtąd i zabieram do bezpiecznego miejsca, tam, gdzie Talon już go nie znajdzie.

Dotarło, i to w całej rozciągłości, bo dziewczyna błyskawicznie puściła rurę, która z cichym brzękiem opadła na podłogę i poturlała się kawałek dalej. Ale dziewczyna nie sięgnęła już po nią, tylko wlepiając we mnie okragłe ze zdziwienia oczy, szepnęła:

– A więc to ty jesteś ten Cobalt... – Potrzasnęła głową, milczała przez chwilę, po czym mówiła dalej, ale już głośniej i śmieiej: – Słyszałyśmy, że jesteś w Las Vegas, ale nie wiedziałyśmy, jak się z tobą

skontaktować. Przepraszam, że tak się na was rzuciłam, ale skąd mogłam wiedzieć... Nazywam się Ava. Jesteśmy tu dwie, ja i moja koleżanka. Razem uciekłyśmy z Talonu jakieś dwa tygodnie temu, a ponieważ, jak powiedziałam, doszły do nas słuchy, że jesteś w Las Vegas i mógłbyś nam pomóc, przyjechałyśmy właśnie tutaj, ale zaraz po przyjeździe musiałyśmy się ukryć przed Świętym Jerzym.

– Jasne. – Ze zrozumieniem pokiwałem głową. – Ale jak widzę, nic wam się nie stało. Gdzie twoja koleżanka?

– Jest tutaj. Zaraz ją zawołam. – Odeszła kilka kroków i zaglądając za niewykończoną ścianę, zawołała: – W porządku! Możesz wyjść! Oni nie są z Talonu! – I zaśmiała się krótko, nerwowo, jakby jeszcze nie wierzyła w to, co mówi. – Wyobraź sobie, że to Cobalt! Cobalt! Ale mamy szczęście, co?!

– Cobalt!

Spoza ściany wyszedł drugi pisklak. Był niższy niż Ava i chyba jeszcze młodszy niż Ember. Miał uderzająco jasną cerę i burzę czarnych loków opadających na ramiona. Ogromne czarne oczy spoglądały i z lękiem, i z nadzieją, i z wielką ciekawością.

– To jest Faith – powiedziała Ava, obejmując ją ramieniem. – Miała zostać Kameleonem, uznali jednak, że się do tego nie nadaje, i postanowili wysłać ją do ośrodka.

Do ośrodka! Szybko zacisnąłem zęby, żeby nie wybuchnąć. Każdy wiedział, co to za ośrodek! Wredne miejsce, do którego wysyła się smoczyce, by produkowały nowe smoki. Dosłownie, bo już do końca życia ta smoczyca miała siedzieć w zamknięciu i składać jaja. To jej jedyna rola, jedyny sens życia, nic poza tym. Była po prostu stworzeniem hodowlanym, bo tak zadekretowali ci, co na górze. Talon starał się wysyłać tam jak najmłodsze smoczyce, bo wiadomo, że jeśli chodzi o potomstwo, to u smoków trwa to całkiem długo. Dopiero dwa lata po zapłodnieniu smoczyca składa jajo, i musi upłynąć kolejny rok, by z tego jajka wykuł się pisklak. Kiedy byłem jeszcze w Talonie, słyszałem, że liczba pisklaków gwałtownie spada, ponieważ z niewiadomych przyczyn z dwóch na trzy jaja nie wykuwa się żaden pisklak. Te lipne jaja podobno gdzieś wywożą, nikt jednak nie wie, gdzie dokładnie. Czy to prawda? To tylko pogłoski, więc nic nie wiadomo na

sto procent, w każdym razie jednym z moich podstawowych celów było ustalić, gdzie znajduje się ten cały ośrodek, uwolnić wszystkie znajdujące się tam smoczyce i całe to wredne miejsce puścić z dymem.

O tak! Już czułem, jak zaczyna mnie rozsadzać. Ale wiadomo, że to dopiero śpiewka przyszłości. Przywołałem się do porządku i skupiłem na tym, co aktualnie się działo.

– Jak dowiedziałyście się o mnie? – spytałem.

– Przecież wszyscy w organizacji wiedzą o tobie – odparła Ava. – Nasi przełożeni próbują to zdementować, ale i tak wszyscy podają sobie z ust do ust, że pewien zbiegły smok pomaga wszystkim zbiegom z Talonu. Trzeba go tylko szybko znaleźć, zanim dopadną cię Żmije.

– No proszę! – odezwała się Ember, spoglądając na mnie z szerokim uśmiechem. – Czyli jesteś już znany w całym Talonie! Choć oczywiście dla niektórych okryty złą sławą. W każdym razie jesteś czymś w rodzaju Robin Hooda!

Znany w całym Talonie. Dla Ember była to miła wiadomość, jednak dla mnie absolutnie nie. Zawsze starałem się być niewidzialny, działać w ukryciu, w najgłębszej konspiracji. Tylko dzięki temu, że wiedziałem, kiedy zniknąć bez śladu, udało mi się przetrwać. I mnie, i zbiegłym pisklakom. Jak na razie przetrwać... Byłem przecież świadomy, że z potęgą Talonu nie wygram. Wiedziałem, że nadejdzie taki dzień, kiedy siły organizacji zmiażdżą to nasze w sumie bezbronne podziemie. Oby ten dzień nadszedł jak najpóźniej...

Spojrzenie czarnych oczu Faith przemknęło po twarzach Ember i żołnierza.

– A kim oni są? – szepnęła.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, Ember szybko zrobiła krok do przodu.

– Jestem Ember. I też jestem zbiegiem z Talonu. Rileyowi, to znaczy Cobaltowi, możesz zaufać całkowicie. On wie, co robi, i na pewno obroni cię przed nimi.

– A on? – szepnęła Faith, kierując spłoszony wzrok na żołnierza stojącego za nami. – On przecież nie jest smokiem. Dlaczego jest z wami?

Poczułem, że Ember sztywnieje, więc przejąłem pałeczkę.

– On jest w porządku – powiedziałem szybko. – Możesz mu zaufać. Po prostu nam pomaga.

Tak, powiedziałem to, choć omal się nie udławiłem tymi słowami. Ale zdobycie zaufania pisklaków było ważniejsze od prawdy. Gdybym powiedział, kim Garret jest w rzeczywistości, mogłyby się wystraszyć, spanikować, uciec. Na szczęście żołnierz milczał jak zaklęty i wszystko wskazywało na to, że Faith wreszcie poczuła się spokojniejsza.

A ja zwróciłem się do Avy, zadając jakże ważne pytanie:

– Jesteście gotowe iść z nami? – Była na to już najwyższa pora. Noc miała się ku końcowi, niebo zaczynało szarzeć, stanowczo powinniśmy więc wracać do hotelu i tam zastanowić się, co dalej. – Możecie zostać z nami przez jakiś czas, dopóki nie wyjedziemy z miasta. Wtedy znajdę dla was jakieś inne, bezpieczne miejsce.

Ava entuzjastycznie skinęła głową.

– O tak, proszę! – zawołała. – Wszędzie będzie lepiej niż tutaj, niż to czekanie, kiedy dopadnie nas Talon albo Święty Jerzy.

– W porządku. A więc jedziemy.

I w tym momencie odezwała się moja komórka ulokowana w kieszeni dżinsów. Drgnąłem i zakląłem cicho, bo mogła dzwonić tylko jedna osoba. I z jednego tylko powodu.

Właśnie teraz!

Szybko przyłożyłem komórkę do ucha.

– Wes, powiedz, że wcale nie masz zamiaru mówić mi tego, co mam na myśli...

Ale Wes przyciszonym głosem przekazał mi hiobową wieść.

Gdy skończył, opuściłem rękę z komórką i spojrzawszy na Ember oraz Garreta, przekazałem tę właśnie hiobową wieść:

– Są tutaj.

GARRET

– Zakon? – spytałem.

Zbieg spojrział na mnie ze złością, jakbym to ja swoją osobą ściągnął mu na głowę moich dawnych braci.

– A jak myślisz?! – rzucił ostro, nienawistnie. – Oczywiście, że

Zakon! Dziwne, że ostatnio wciąż pojawiają się właśnie tam, gdzie jesteśmy! – Schował komórkę z powrotem do kieszeni, przeczesał palcami włosy i ryknął: – A niech to szlag! Jak to jest, że ciągle nas odnajdują?!

W sumie ta reakcja była trochę niedojrzała, poza tym wiadomo, że jeśli już koniecznie chciał się do kogoś przyczepić, to na pewno do mnie. Tak już było, nic na to nie poradzisz.

– Czyli teraz potrzebna nam jest broń, prawda? – spytałem. „Broń” naturalnie wyartykułowałem z naciskiem.

Jednak Riley nie zdążył odpowiedzieć, bo w tym momencie rozdarła się ta czarnowłosa dziewczyna nosząca imię Faith:

– Święty Jerzy? O nie! – krzyknęła, wlepiając przerażone oczy w żelazne schody, jakby spodziewała się, że jeszcze chwila, a pojawią się tam uzbrojeni po zęby żołnierze. Potem jej spojrzenie przemknęło tam, gdzie kończyła się podłoga, a ściany nie było. Tylko przepaść ileś tam piętér w dół.

– Trzeba lecieć, słyszysz? – szepnęła, odsuwając od swej koleżanki, czyli niewątpliwie gotowa stanąć już nad tą przepaścią. – Uciekajmy, bo nas...

– Nie! – przerwał kategorięcznym tonem Riley. – Żadnego latania! Nie wiemy przecież, gdzie dokładnie są, a mogą być gdzieś tu bardzo blisko. Obserwują budynek i czekają tylko, kiedy im się pokażemy.

– Ja jednak zaryzykuję – oświadczyła Faith. Była już bliska paniki, czyli zdolna do najmniej racjonalnych, najgłupszych czynów. – Przecież to Zakon! Musimy lecieć, to nasza jedyna szansa!

– Nie, Faith. Proszę, lepiej tego nie rób – odezwałem się teraz ja, nie ruszając się z miejsca, ponieważ uznałem, że faktycznie może i lepiej, żebym się nie zbliżał do tych pisklaków. – Przecież oni tego właśnie chcą. Znana taktyka. Wywabić wroga i zastrzelić. A być może cały oddział snajperów obserwuje już ten dach, więc kiedy tylko pokażesz się tam, na krawędzi, natychmiast cię zastrzelą i...

I nastał kres mojej racjonalnej wypowiedzi, bo w ciszę brzasku wdarł się warkot helikopterów. Wszyscy wlepili oczy w niebo, gdzie już widać było nadlatującą gigantyczną ważkę, a dosłownie po sekundzie światła reflektorów zaczęły przesuwac się po całej kondygnacji.

Wszyscy naturalnie przykleili się do ściany, a nieoznakowany czarny helikopter jeszcze raz zatoczył koło nad hotelem i odleciał nieśpiesznie, taki wielki, huczący i bardzo pewny siebie.

Faith, pojękując, przywarła kurczowo do Ember, która odprowadzała helikopter wzrokiem płonącym.

– A więc snajperów już mamy – powiedziała. – Co w tej sytuacji robimy, Riley?

On zaś, wciśnięty w ścianę, głośno zaklął i spojrzał na mnie.

– Masz jakiś genialny pomysł, żeby się stąd wydostać?

– Mam – odparłem. – Przez wyjście na tyłach. To wielki hotel, więc najpewniej przysłali tu co najmniej kilka jednostek do przeczesania budynku. Wchodzą tu z różnych stron, ale może uda nam się z nimi nie spotkać.

– A jeśli jednak się spotkamy?

– No to trzeba będzie się przez nich przebić.

Riley znowu zaklął. I warknął:

– Dobra. Idziemy. Ty prowadzisz.

Helikopter jednak zawrócił, by ponownie zrobić rundkę nad hotelem, więc snop światła jeszcze raz przesunął się po całej kondygnacji. Kiedy wreszcie odleciał, pognałem do drzwi prowadzących na klatkę, a reszta podążała za mną. W biegu szarpnąłem za klamkę, a potem na schodach zadudniło. Zbiegałem pierwszy, za mną dziewczyny, a na końcu Riley, który zabezpieczał tyły. Za każdym razem, kiedy zbliżaliśmy się do kolejnego piętra, moje nerwy napinały się jak postronki, bo przecież na każdym z tych pięter mogły otworzyć się drzwi, a zza nich mogła wypaść cała drużyna żołnierzy Świętego Jerzego. Na szczęście tak się nie stało, choć na tych schodach kogoś jednak spotkaliśmy. Był to jakiś cywil w białym podkoszulku i czapce bejsbolowej, który szedł na górę. Pojawił się nagle i omal na niego nie wpadłem. Faith na jego widok krzyknęła histerycznie. Ja też, choć może nie aż tak histerycznie.

– Zjeżdżaj stąd! Gliniarze są już tutaj! Są wszędzie!

Facet spojrzał na mnie spode łba, ale wiadomo, przyśpieszył. Minął dziewczyny, Riley, który również spojrzał na niego spode łba, i pobiegł na górę. My też, z tym że w dół.

No i jednak stało się. Dwa piętra niżej drzwi na klatkę otwarły się, światło latarek rozproszyło ciemności i od razu zadudniło. Szli do góry, my byliśmy ich celem.

Błyskawicznie zastopowałem.

– Na górę! Szybko! Idą do nas!

Już słyhać było strzały, kule odbijały się od ścian i poręczy. Faith krzyknęła, ale tylko raz, bo każdy z nas momentalnie zrobił w tył zwrot i pognął na górę. Kiedy dotarliśmy na dwunaste piętro, Riley dopadł do drzwi i polecił:

– Wchodzimy tu! Szybko! Ruszać się!

Gdy je otworzył, Ava i Faith pierwsze weszły do środka, a reszta za nimi. Popędziliśmy przed siebie wąskim korytarzem, mijając po drodze otwarte drzwi do pustych pokoi albo równie pustych i mrocznych korytarzy. Gnaliśmy jak szaleni, żołnierze przecież byli coraz bliżej. Kiedy dobiegaliśmy do miejsca, gdzie korytarz skręcał, drzwi na klatkę schodową otwarły się i pojawili się pierwsi żołnierze. Słyszałem, jak jeden z nich dzwonił po wsparcie, przekazując, że wiadomo już, gdzie jesteśmy. Czyli w ciągu kilku minut na schodach zaroi się od żołnierzy. Pojawią się wszystkie drużyny. Część z nich zostanie odkomenderowana do pilnowania wszystkich drzwi, wyjść i klatek schodowych. Po prostu obstawią każdą dziurę, więc wydostanie się z tego hotelu nie będzie, delikatnie mówiąc, łatwe. A mówiąc mniej delikatnie, być może w ogóle nie będzie możliwe...

Po minucie czy dwóch szaleńczego biegu, kiedy zorientowaliśmy się, że tragicznie nie jest, bo żołnierze jeszcze nie siedzą nam na ogonie, Riley wbiegł do jednego z pokoi. My za nim, a Riley, ciężko dysząc, oparł się o ścianę i oznajmił:

– Niestety, ta strategia okazała się do niczego. Święty Jerzy, masz jakiś inny pomysł? Co oni mogą tam robić? Teraz, w tej chwili?

– Niedługo wszystkie drużyny zbiorą się na tym piętrze – odparłem, wyglądając na korytarz, żeby upewnić się, czy żołnierze nie są już zbyt blisko. Jednocześnie, co zrozumiałe, gorączkowo zastanawiałem się nad nowym planem działania. – A teraz obstawiają wszystkie wyjścia – powiedziałem, wsuwając się z powrotem do pokoju. – Myślę, że powinniśmy znaleźć inną klatkę schodową, i to jak najszybciej, zanim

oni ją znajdą. Być może dzięki temu uda nam się zejść niżej, a także zyskamy na czasie, bo oni najpierw, co każdy by zrobił na ich miejscu, będą dokładnie przeszukiwać to piętro.

– Dobra. Ruszamy – powiedział Riley, odrywając się od ściany. – Próbujemy zniknąć z tego piętra, zanim zwali tu się reszta tych drani. A może ktoś jeszcze ma jakiś pomysł?

I wtedy odezwała się Ava:

– Wiem, gdzie jest druga klatka schodowa. W zachodniej części budynku. Na pewno, bo byłam na tej klatce. Możemy spróbować tam się dostać – oznajmiła wyważonym tonem.

Owszem, była blada, ale zadziwiająco spokojna w obliczu tak wielkiego niebezpieczeństwa, może nawet nieuniknionej śmierci. Zachowywała się więc kompletnie inaczej, niż jej czarnowłosa koleżanka, która po prostu umierała ze strachu.

W jednym z pobliskich korytarzy potężnie huknęło, potem ktoś krzyknął, że teren czysty. Czyli żołnierze zaczęli kopniakami otwierać drzwi, systematycznie sprawdzając kolejne pokoje.

Riley skrzywił się, a potem szepnął:

– Dobra. Idziemy do tej klatki. – Skinął na Avę. – Prowadź.

Pobiegliśmy do końca holu. Tym razem na czele byli Ava i Riley, natomiast ja na końcu, za pozostałymi dziewczynami, ubezpieczając tyły. Nie wiadomo było, czy żołnierze coś usłyszeli i zaczęli nas ścigać, ale nie obejrzałem się ani razu, bo najważniejsze to przeć do przodu. Biegliśmy wąskim korytarzem z betonową podłogą, pochylając się pod niskimi krokwiemi i przelaząc przez sterty gruzu, i oczywiście modląc się w duchu, by za którymś z zakrętów nie natknąć się na wycelowane w nas karabiny.

Kiedy dotarliśmy do miejsca, w którym przecinały się dwa korytarze, nagle włos zjeżył mi się na głowie. Bo na końcu korytarza, którym właśnie mieliśmy pobic, stało czterech uzbrojonych i zamaskowanych mężczyzn. Ledwie zdążyłem złapać biegnące przede mną Ember i Faith i pchnąć je do sąsiedniego przejścia, gdy już rozległ się warkot M-4, już posypał się grad pocisków, a kawałki tynku i drewna sypały się na podłogę. W rezultacie Riley i Ava, którzy biegli pierwsi, znaleźli się po jednej stronie korytarza śmierci, a my po drugiej.

Faktycznie był to korytarz śmierci, bo płynął nim wartki strumień pocisków. Żołnierze byli coraz bliżej, szli równym krokiem, posyłając krótkie serie jedna za drugą. I tak na moje ucho, za kilka sekund będą już koło nas.

Kiedy udało mi się przechwycić spojrzenie Riley'a, machnął ręką i zawołał, starając się przekrzyczeć huk wystrzałów:

– Rozdzielamy się! Wyprowadź je stąd, Święty Jerzy! Spotykamy się w hotelu! Ruszajcie!

Kiwnąłem głową i odwróciłem się do dziewczyn.

– Idziemy!

Co w pierwszej chwili było niemożliwe, ponieważ półprzytomna ze strachu Faith przykucnęła pod ścianą, zasłaniając rękami uszy. Czyli atak paniki, a z czymś takim nie zawsze można sobie poradzić.

– Faith, proszę – powiedziała łagodnie Ember, próbując oderwać ręce dziewczyny od uszu. – Wstawaj! Idziemy! Naprawdę musimy!

– Nie! Nie! – zawołała Faith, gorączkowo rozglądając się dookoła. – Gdzie Ava? Riley? Bez nich nigdzie nie idę!

– Nie możemy im teraz pomóc! – odparła Ember już nie tak łagodnym tonem, siłą odrywając Faith od ściany. I postąpiła słusznie, zdecydowana postawa była jak najbardziej wskazana, bo strzelano już tragicznie blisko. – Ava jest z Rileyem, na pewno poradzą sobie. A my musimy zniknąć stąd jak najprędzej. Rozumiesz? – Niestety Faith nadal zamierzała protestować, czego Ember miała już szczerze dość. I huknęła na nią, to znaczy najpierw warknęła jak rozzłoszczony smok zionący ogniem, a potem wrzasnęła: – Ruszaj się! Ale już!

Faith głośno pociągnęła nosem, ale wstała i ruszyła przed siebie korytarzem. Ja za nią, a kiedy obejrzałem się, by zyskać pewność, że Ember idzie za mną, zobaczyłem, że nie. Dlatego mianowicie, że przystanęła, by spojrzeć jeszcze raz na Riley'a i Avę, którzy już biegli przed siebie.

I usłyszałem, jak szepnęła:

– Trzymaj się, Riley...

Tak, szepnęła właśnie to, i mimo że nie była to odpowiednia chwila na jakiegokolwiek refleksje, przez głowę zaczęło mi przemykać to i owo na temat Ember i zbiegłego smoka.

W tym czasie, gdy mnie coś tam migiem przemykało po głowie, Ember naturalnie podbiegła do nas i gnaliśmy dalej. Gdy skręcaliśmy w kolejny korytarz, u wlotu korytarza, którym biegliśmy dotąd, pojawili się żołnierze. Oczywiście posłali za nami serię, a to sprawiło, że natychmiast wszystkie te kompletnie niepotrzebne myśli wywietrzały mi z głowy. Bo przynajmniej w aktualnej chwili relacje między Ember a zbiegłym smokiem były naprawdę sprawą drugorzędną. Tak naprawdę liczyło się tylko jedno: wyjść z tego cało.

RILEY

Cholera! Tym razem może mi się nie udać!

Gotując się ze wściekłości, starałem się odpędzić od siebie tę dołującą myśl, kiedy wśród huku wystrzałów razem z Avą gnaliśmy przez labirynt korytarzy. Tak, koniecznie chciałem się pozbyć tej durnej myśli, która wcale nie powinna przychodzić mi do głowy. Przecież tak wiele już zdążyłem przeżyć, wiele razy byłem w jeszcze większych opałach, no a przede wszystkim zbyt wielu liczy na mnie, więc nie mogę ich zawieść. Czyli stanowczo jeszcze nie pora umierać.

– Riley, zaczekaj – powiedziała niebieskooka Ava, więc przystanęliśmy na środku dużego holu. Ava szybko i bacznie rozejrzała się wokół, potem jasnowłosą głową wskazała wejście, ale takie bez drzwi. – Idziemy tam – oznajmiła zdecydowanym tonem.

I ruszyła właśnie tam, ja oczywiście za nią, choć z mieszanymi uczuciami. Ścigający nas żołnierze byli już niebezpiecznie blisko, a nie wiadomo przecież, co ten pisklak wymyślił i czy zaraz nie wpadniemy w jakąś paskudną zasadzkę.

Na szczęście zasadzki nie było, ale i tak mocno coś tu nie grało, bo Ava po wejściu do kolejnego holu podeszła do balkonowych drzwi.

– Co ty robisz... – wysyczałem. – Nie możemy lecieć. Snajperzy tylko na to czekają...

– Przecież wcale nie będziemy lecieć. – Pchnęła drzwi. – Wiem, co robię. Zaufaj mi.

– A mam inny wybór? – mruknąłem kwaśno, bo istotnie pokrzykiwania na korytarzu słychać już było niebezpiecznie blisko.

Szybko wyszedłem na balkon za Avą, która zgodnie z tym, co zapowiedziała, wcale nie wzbiła się w powietrze, nie uleciała w górę, lecz zrobiła coś całkiem przeciwnego. Podbiegła do bariery, uchwyciła się i przewinęła przez nią. Na ułamek sekundy zawisła nad przepaścią, potem dwukrotnie zamachała nogami i barierę puściła. Moje serce oczywiście podskoczyło do gardła, zaraz jednak wróciło na swoje miejsce, bo kiedy spojrzałem w dół, to zobaczyłem, jak Ava wyjątkowo wdzięcznie ląduje na balkonie piętro niżej. Zrobiła to fachowo, kucając, a potem wyprostowała się i zadarła głowę, żeby spojrzeć na mnie i zawołać:

– Pośpiesz się!

Stało się to w tym samym momencie, gdy szyba za mną rozleciała się na tysiące kawałków i od bariery odbiło się kilka kul. Czyli faktycznie wyboru nie miałem. Błyskawicznie przełożyłem nogi przez barierę, a potem już żadnego tam zwisania na moment, tylko od razu się puściłem i wylądowałem na betonie. Nie, nie tak wdzięcznie jak Ava, choć oczywiście też na ugięte nogi, a także, by zamortyzować skok, zrobiłem rolla, czyli przewrót w przód przez bark. I zaraz potem Ava złapała mnie za rękę i odciągnęła jak najdalej od bariery, po raz drugi interweniując w chwili jak najbardziej odpowiedniej, ponieważ żołnierze oczywiście byli już na balkonie nad nami i strzelali w dół.

Błyskawicznie opuściliśmy feralny balkon, wbiegając w kolejny labirynt ciemnych korytarzy, w którym, przynajmniej jak na razie, nie było strzelających Świętych Jerzych. Przebiegliśmy kawałek i zatrzymaliśmy się na moment, żeby złapać oddech. Oparliśmy się plecami o ścianę, ciężko dysząc, a ja z ciekawością zerkałem na swoją towarzyszkę, bardzo szczupłą i wyglądającą bardzo młodo. Jednocześnie też, mimo że znajdowaliśmy się w sytuacji będącej zaprzeczeniem sytuacji bezpiecznych, wyglądającą na oazę spokoju.

– Ava, ile to już razy wykonywałaś takie skoki?

– Nie liczyłam. Po prostu wyszkolili mnie również do skoków – odparła, lekko wzruszając ramionami.

A ja na podstawie tego, co dane mi było przed chwilą zobaczyć, pomyślałem, że na pewno miała za sobą specjalne szkolenie, jakie przechodzili przyszli agenci, Bazyliszki, Helodermy i Żmije. Ciekawe,

kim konkretnie, zgodnie z planami Talonu, miała zostać Ava.

Niestety, tego akurat się nie dowiedziałem, chociaż usłyszałem sporo, bo Ava mówiła dalej:

– W tym miesiącu miałam zdawać egzamin końcowy. – Wbiła wzrok w przeciwległą ścianę. – Ale już wiedziałam, że nie potrafię być tym, kim mam być zgodnie z ich życzeniem. O nie! Choćby dlatego, że moi nowi przełożeni byli nie do zniesienia! – To powiedziała już trochę głośniej, czyli nawet oaza spokoju potrafi się wzburzyć. – Coraz trudniej było mi ukryć, co czuję. Od dłuższego czasu zamierzałam stamtąd uciec, jeszcze zanim dowiedziałam się o tobie. Chciałam zwać zaraz po egzaminie, ale kiedy Faith powiedziała mi, dokąd zamierzają ją wysłać, uznałam, że trzeba działać natychmiast. Biedna Faith... – Westchnęła i przymknąwszy oczy, dokończyła prawie szeptem: – Mam nadzieję, że z nią wszystko w porządku. Obiecałam jej, że zawsze ją obronię.

Nie, nie powiem, że mnie to nie poruszyło. Oczywiście, że tak, dlatego pogłaskałam ją po ramieniu.

– Na pewno wszystko gra – powiedziałem, zdobywając się nawet na nikły uśmiech. – Nie znasz Ember. Ona prędzej puści z dymem cały ten budynek, niż pozwoli ją skrzywdzić. A żołnierz, co jest z nami... może to i gnojek, ale w takiej sytuacji jak ta na pewno się sprawdzi. Wie, co robić, dlatego naprawdę możesz być spokojna. Twojej koleżance nic złego się nie stanie.

Ava przez moment milczała, wpatrując się we mnie tymi swoimi niebieskimi i pełnymi powagi oczami, po czym powiedziała cicho:

– Jak dobrze mieć kogoś, komu możesz zaufać... – Znów zamilkła na chwilę. – A ja już od bardzo dawna mogę zaufać tylko sobie.

– Miejmy nadzieję, że to się zmieni – odparłem, odrywając plecy od ściany. – A teraz póki co faktycznie sami musimy zatroszczyć się o siebie. Ruszamy!

Przemknęliśmy przez puste korytarze, cały czas nasłuchując, w każdej chwili przecież mogły dolecieć do naszych uszu podniesione głosy i huk wystrzałów. Kiedy przed nami pojawiły się windy, bez słowa podszedłem do jednej z nich i wsunąłem rękę między skrzydła zardzewiałych drzwi, żeby je rozsunąć.

– Co ty wyprawiasz? – spytała wyraźnie zaniepokojona Ava. –

Mieliśmy przecież iść do tej drugiej klatki.

– O klatce schodowej zapomnij – rzuciłem teraz już ze złością, walczyłem przecież z opornymi drzwiami, których nie używano od bardzo dawna. – Nie ma co się łudzić. Zakon na pewno obstawił wszystkie klatki, może już wchodzi na górę i w rezultacie znów wpadniemy w łapy tych popaprańców. W związku z tym nabrałem awersji do schodów i postanowiłem, że skorzystamy z innego środka komunikacji. Mam nadzieję, że nie masz klaustrofobii?

Jak się okazało, piekliłem się nie bez powodu, bo gdzieś tam, i na pewno stanowczo już za blisko, huknęły drzwi. Czas więc naprawdę nagiął, w związku z czym problem klaustrofobii przestał istnieć. Ma czy nie ma, to nieważne. Przede wszystkim trzeba otworzyć te cholerne drzwi. Sprężyłem się więc maksymalnie, uruchamiając wszystkie swoje siły, i wreszcie udało się. Zgrzytnęły i bardzo niechętnie rozsunęły się na boki. Wprawdzie nie do końca, ale wystarczająco, by wejść do środka. Najpierw oczywiście tylko po to, by zajrzeć i przekonać się, że w środku nie ma żadnej windy, tylko czarna pustka plus gorące stęchłe powietrze. Plus oczywiście również drabina na jednej ze ścian.

Spojrzałem jeszcze raz, by ocenić odległość, a potem, tak dla odprężenia, zabawiłem się w prawdziwego dżentelmena i powiedziałem elegancko:

– Damy mają pierwszeństwo.

Towarzysząca mi młoda dama nie wahała się ani chwili, przecież światło latarek przemykało już po ścianach niebezpiecznie blisko i bardzo dobrze było słyszeć ciężkie, zdecydowane kroki. Niebawem zwinnie wskoczyła na drabinę i zaczęła szybko i również niezwykle zręcznie schodzić w dół. Wskoczyłem tuż za nią i zacisnąłem zęby, bo drabina, a właściwie drabinka pod moim ciężarem zadrżała niebezpiecznie. Wytrzyma czy nie? Oto jest pytanie! Och, pytanie zasadnicze, bo wiadomo, że jeśli nie wytrzyma, to polecimy w dół i zostanie z nas tylko mokra plama. Oczywiście, i była to opcja bardzo prawdopodobna, tak się jednak złożyło, że tego dnia przez cały czas znajdowaliśmy się w sytuacji bez wyjścia. Jeśli zdecydujemy się na odwrót, również zginiemy na miejscu, bo w mig pojawią się żołnierze i zasypią nas gradem ołowianych kul.

No cóż... Miejmy nadzieję, że szczęście i tym razem nam dopisze. Ruszyłem za Avą w dół, konsekwentnie pokonując jeden szczebel za drugim, i z każdym szczeblem pograżając się w coraz większych ciemnościach.

EMBER

Kiedy skręciliśmy w kolejny korytarz, powitani zostaliśmy gradem kul. Faith krzyknęła przeraźliwie, a ja wydyszałam:

– Garret...

Wydyszałam to w chwili, gdy światło latarek ślizgało się po ścianie przed nami. Wtedy Garret zatrzymał się na środku korytarza. Ja oczywiście też. Byłam cała rozdygotana, a serce po prostu chciało wyskoczyć mi z piersi. Przecież te podniesione i szorstkie głosy słychać już było zewsząd! Po prostu zewsząd!

– Okrażają nas – szepnęłam. – Garret, jesteśmy w pułapce!

Jego czujne spojrzenie przemknęło po korytarzu do samego końca, gdzie widać było dwuskrzydłowe drzwi. Które były otwarte.

– Idziemy tam – rozkazał.

Wszyscy troje wykonaliśmy krótki sprint do tych właśnie drzwi, którymi wchodziło się do bardzo dużej sali konferencyjnej, naturalnie, tak jak wszystko dookoła, niewykończonych. Wszędzie stały rusztowania, środkiem sali maszerowały stalowe słupy i wszystko to razem wyglądało jak jakaś koszmarna, gigantyczna pajęczyna z żelaznych belek, która majaczyła w ciemnościach. A powietrze, oczywiście, było paskudnie stęchłe.

Kiedy tylko tam wbiegliśmy, Garret pchnął nas obie za pierwszą klatkę rusztowania i zwrócił się do Faith, mówiąc cicho:

– Spójrz na mnie. – Na te słowa Faith skierowała ku niemu wielkie oczy lśniące od łez, które spływały po ubrudzonych policzkach. – Chciałbym, żebyś weszła na sam szczyt tej klatki rusztowania, położyła się tam i zamarła w bezruchu. W ogóle masz się nie ruszać, jasne? Masz nie podnosić głowy, nie wyglądać stamtąd, nie wydawać z siebie żadnego dźwięku. Dasz radę to zrobić?

– Tak, tak. Ale wy... gdzie wy będziecie? Co będziecie robić? –

szepnęła, przemykając spłoszonym spojrzeniem po naszych twarzach. – Chyba nie zostawicie mnie tu samej...

– Oczywiście, że nie zostawimy – oświadczył bardzo zdecydowanym głosem Garret. – Ale muszę teraz coś zrobić i wołałbym, żebyś ty w tym czasie ukryła się. Będę wtedy o ciebie spokojny.

Faith spojrzała oczywiście z ciekawością, na pewno zastanawiając się, co konkretnie Garret zamierza zrobić, ale on jednak zachował to dla siebie.

– Ruszaj, Faith – powiedział, wskazując głową rusztowanie. – I jak powiedziałem, masz się tam przycisnąć, a gdyby wydarzyło się coś najgorszego, no, wiadomo co, to odczekasz, póki oni sobie stąd nie pójdą. Potem oczywiście uciekasz. A teraz wchodź, Faith.

Jeszcze raz pociągnęła nosem, odwróciła się i zaczęła wspinać się po drabinie. Po chwili znikła nam z oczu, jednocześnie ciemności koło drzwi rozproszyły światła latarek, czyli żołnierze byli już w pobliżu. Wtedy Garret chwycił mnie mocno za nadgarstek i pociągnął w głąb sali, gdzie panowały prawdziwie egipskie ciemności.

Zatrzymaliśmy się. Stałam bardzo blisko niego, naprawdę bliżusieńko, a moja dłoń jakoś tak odruchowo spoczęła na jego piersi, wyczuwając doskonale, jak szybko bije serce Garreta. Po prostu łomotało.

– Jaki masz plan? – szepnęłam mocno zaskoczona, że mój głos jest aż tak spokojny.

Garret odetchnął głęboko, drżąc przy tym z tej wielkiej emocji, i odszepnął:

– Są tu dwie drużyny. – Spojrzał na wejście i na światła, które były coraz bliżej. – Może i więcej, jeśli wezwali posiłki. W każdym razie na pewno co najmniej sześciu żołnierzy z karabinami szturmowymi M-4 i pistoletami, do tego każdy żołnierz ma dwa granaty ogłuszające. Typowa procedura w tego rodzaju sytuacji. Musimy się rozdzielić, Ember. Ja podejść do nich bliżej, jeden, może dwóch zabierze się za mnie, a wtedy ty zaatakujesz pozostałych z drugiej strony. Postaraj się ich zaskoczyć, bo jeśli zauważą nas wcześniej, to już po nas.

Zadrżałam i na moment przymknęłam oczy.

– Dobrze... – wyszeptałam, zaciskając palce kurczowo na jego

T-shircie. – Nie ma problemu. Potraktuję to jak szkolenie ze Straszną Damą z Talonu, czyli moją niezapomnianą Lilith.

A pomyślałam, że owszem, można podejść do tego i tak, ale lepiej nie zapominać, że tym razem ma się do czynienia z prawdziwymi żołnierzami i prawdziwymi kulami, a nie głupimi kulkami do paintballu.

Garret spojrzał na mnie i po raz pierwszy po jego dotychczas tak perfekcyjnie kamiennej twarzy przemknął cień. Wtedy pomyślałam, że jednak się boi. A ponieważ znałam go nie od dziś, to miałam podstawy, by przypuszczać, że boi się przede wszystkim o mnie.

I fakt, bo zaczął:

– Ember...

Wtedy zmrużyłam oczy i odezwałam się naprawdę ostro:

– Tylko nie mów, że mam uważać na siebie i tak dalej. Jak Riley.

Bo odpowiem ci dokładnie to samo, co odpowiedziałabym jemu na takie gładzenie. Że nie pozwolę mu walczyć samemu, że dam z siebie wszystko, a idiotką nie jestem i postaram się wyjść z tego cało.

– Dobrze, dobrze, już nic nie mówię. – Wziął mnie za rękę i dosłownie wbił we mnie wzrok. – Nie, coś jednak jeszcze powiem. Bądź ostrożna. Oni szukają smoka. Wiedzą, jak niebezpieczny jest smok, kiedy znajdzie się w pułapce. Każdy z nich ma za sobą specjalne szkolenie, pomyślane i zorganizowane właśnie pod tym kątem. Dlatego rób, co do ciebie należy, ale... ale przede wszystkim... – Jedną z dłoni Garreta na moment przywarła do mego policzka. – Przede wszystkim postaraj się przeżyć, Ember...

Przełknęłam z wielkim trudem, bo coś okropnie ścisnęło mnie za gardło.

– Ty też, Garret – szepnęłam i znieruchomieliśmy, bo do sali zaczęli wchodzić żołnierze. Jeden po drugim, w sumie sześciu, każdy z bronią i złożony już do strzału. Kiedy weszli do środka, ustawili się w szeregu i zaczęli posuwać się do przodu, zataczając półkola karabinkami, na których od spodu zamontowane były latarki.

Garret spojrzał na mnie jeszcze raz, ale spojrzenie jego było już bardzo twarde. Twarz nieruchoma, po prostu twarz żołnierza. Spojrzał i zaczął się wycofywać. Po krótkiej chwili znikł mi całkowicie z oczu, a wtedy szybko przemieściłam się za rusztowanie. Przykucnęłam tam

i wpatrzona w przesuwające się po przeciwległej ścianie światła latarek, zastanawiałam się, co konkretnie mogę zrobić. Sala wielka, ale przecież nie była pusta, bo zastawiona tymi rusztowaniami, dzięki czemu mogłam wybrać wiele miejsc, gdzie udałoby mi się ukryć, a nawet podkraść do żołnierzy. I wtedy to oni znaleźliby się w gorszej sytuacji... Tak, w sumie było to jednak bardzo podobne do szkolenia pod okiem Lilith, kiedy ciągnano mnie po zastawionym paletami i skrzyniami magazynie i „zabijano” kulkami do paintballu. Wielokrotnie, zanim dotarło do mnie, że ja też mogę ich „pozabijać” i jest na to pewien sposób. Zaatakować z góry...

Tak! Właśnie stamtąd!

Przykucnęłam, szybko ściągnęłam z siebie szorty, top i bieliznę, i położyłam koło jednego ze stalowych słupów. Teraz byłam całkiem goła. Rzecz jasna wcale nie czułam się z tym najlepiej, ale akurat w takiej chwili nie było sensu tym się przejmować, bo byłoby to po prostu śmieszne. Teraz, kiedy kładłam na szali swoje życie. Poza tym w tych ciemnościach i tak nikt nie mógł mnie zobaczyć, łącznie z Garretem. Gdybym miała na sobie kombinezon Żmii, oczywiście byłoby inaczej, bo nie musiałabym go zdejmować. Ale zwyczajne ubranie musiałam zdjąć, ponieważ podczas Przemiany takie ciuchy rozrywały się na strzępy, a ja nie miałam zamiaru potem – oczywiście, jeśli nam się powiedzie – paradować przez Las Vegas w stroju Ewy.

Światła latarek przesuwwały się coraz bliżej. Żołnierze byli już w połowie sali i przyśpieszali kroku, nie było więc ani chwili do stracenia. Błyskawicznie podbiegłam do najbliższej wieży rusztowania i zaczęłam się wspinać, czując pod palcami i piętami zimną stal, chropowatą rdzę i miękkie pajęczyny. Kiedy dotarłam na szczyt rusztowania, skuliłam się i ze spuszczoną głową zaczęłam ostrożnie przesuwać się do przodu, póki nie zauważyłam dwóch żołnierzy. A mówiąc dokładnie, dostrzegłam czubki ich głów, ponieważ stali prawie idealnie przede mną. Garreta nie dostrzegłam, byłam jednak pewna, że jest gdzieś w pobliżu i czai się na dogodny moment, by zaatakować.

Moim zadaniem było czekać, aż to zrobi, i dopiero wtedy się włączyć do walki. Ale przedtem Przemiana. Wstrzymałam oddech.

Najpierw poczułam charakterystyczne mrowienie w całym ciele, wszystkie mięśnie zaczęły się naprężyć i... I wtedy niechcący trąciłam nogą gwóźdź leżący tuż przy krawędzi pomostu. Gwóźdź spadł na cementową posadzkę i odbił się od niej, wydając cichy dźwięk, który niestety we wszechobecnej tu ciszy miał moc co najmniej gongu. Żołnierze natychmiast skierowali snopy światła na rusztowanie. A ja szybko, oczywiście z duszą na ramieniu, położyłam się na brzuchu, wciskając się cała w drewniane deski pomostu.

– Słyszałeś to? – spytał jeden z żołnierzy.

– Tak – odparł drugi, przesuwając światło latarki tam i z powrotem po tym właśnie pomoście. – Tam chyba coś musi być...

I wtedy gdzieś w odległym kącie sali rozległ się przytłumiony krzyk, po czym usłyszałam odgłosy szamotaniny, a na koniec głuchy dźwięk, jakby ktoś gruchnął o ścianę. Potem padły strzały. Światła latarek natychmiast przestały przesuwać się po pomoście. Obaj żołnierze z wycelowaną bronią odwrócili się w tamtą stronę, a więc...

A więc do roboty, Ember!

Zerwałam się na równe nogi i skoczyłam z rusztowania. W połowie drogi czułam, jak moje ciało eksploduje, w związku z czym na jednym z żołnierzy wylądowała już nie dziewczyna, a smok. Smok, który wgniótł go w beton, potem odwrócił się do drugiego żołnierza i wydawszy z siebie ryk, zionął ogniem. Żołnierz szarpnął się w tył spowity już w jęzory ognia, niestety musiał mieć na sobie odzież ognioodporną, ponieważ owe jęzory nie przeszkodziły mu w uniesieniu broni i wycelowaniu we mnie. Wsunęłam się więc za żelazny słup, on zaczął się wycofywać, strzelając bez przerwy, jednocześnie nawołując swoich kolegów. Płomienie na kurtce były coraz mniejsze, nadal jednak tam były, dlatego ten niknący w ciemnościach żołnierz wyglądał jak pochodnia.

I wtedy z ciemności za nim wynurzył się ktoś z pistoletem wycelowanym dokładnie w żołnierskie plecy. A moje serce wykonało radosny podskok, bo to przecież był Garret. Odczekał sekundę, skierował lufę niżej i wystrzelił raz w nogi żołnierza, który krzyknął przeraźliwie i zachwiał się, ale upadając, uniósł jeszcze broń. Wtedy Garret rzucił się do niego, kolbą pistoletu walnął go w twarz i wyrwał

karabin z rąk. Żołnierz osunął się na podłogę i znieruchomiał, a zewsząd słychać było ogłuszające strzały z karabinów szturmowych. Garret szybko wycofał się, znikając w nieprzeniknionym mroku, a po krótkiej chwili pojawiła się reszta drużyny żołnierzy Świętego Jerzego. Było oczywiste, że nie widzą mnie w tych ciemnościach. Parli do przodu i kiedy mnie mijali, zawarczałam i rzuciłam się na jednego z nich, atakując od tyłu. Zacisnęłam szczęki na jego nodze i zaczęłam go ciągnąć po podłodze. Oczywiście wrzasnął, zaczął miotać się i czepiać podłogi. Karabiny jego kolegów naturalnie natychmiast zostały wycelowane w moją stronę i wtedy w ciemnościach znów coś się poruszyło. Znów Garret. Zaatakował ich z drugiej strony. Jeden z żołnierzy dostał kolbą w głowę, tuż za uchem. Drugiemu, który jeszcze nie zdążył się odwrócić, wyrwał karabin z rąk. W tym samym czasie żołnierzowi, którego ciągnęłam za nogę, udało się przewrócić na plecy. Próbował do mnie strzelić, ale przygwoździłam go do podłogi. Dostał cios w głowę, a głowa mocno rąbnęła o twarde podłoże. Żołnierz zadrżał konwulsyjnie i znieruchomiał, a ja oczywiście spojrzałam szybko na Garreta. Stało się to w chwili, gdy ten drugi żołnierz, z którym walczył, odwrócił się i łokciem poczęstował Garreta w szczękę. Garret zachwiał się, a żołnierz równie błyskawicznie uderzył go w głowę karabinem. Garret osunął się na kolana. Żołnierz wycelował, już prawie pociągał za spust, ale nie pociągnął, bo dostał w plecy, oczywiście ode mnie. Momentalnie zrobił kolejny błyskawiczny w tył zwrot i skierował lufę na mnie. A ja wtedy, w końcu smok, nabrałam głęboko powietrza i zionęłam ogniem mu prosto w twarz. Żołnierz wrzasnął, zaczął zdzierać z głowy hełm i maskę, i w tym momencie dostał cios w szczękę, tym razem od Garreta, który właśnie zerwał się na równe nogi. Żołnierz zatoczył się, huknął plecami o żelazny słup i osunął się na podłogę. Głowa opadła na piersi, znieruchomiał.

I zapadła cisza.

Wciąż drżąca z gniewu i od skoku adrenaliny, spojrzałam na Garreta. Byłam jeszcze niepewna, czy ta walka naprawdę dobiegła końca. Czy naprawdę zwyciężyliśmy.

Chyba tak, ponieważ Garret już nie walczył. Stał, przyciskając do piersi jedną z rąk, i wpatrywał się w żołnierza, który leżał pod słupem.

Minę miał taką, jakby czuł ulgę, a jednocześnie miał wyrzuty sumienia. Ale co tam mina! Przecież po policzku Garreta spływa czerwona strużka krwi.

– Ty krwawisz! – krzyknęłam przerażona, błyskawicznie przeskoczyłam przez nieruchome ciało jednego z żołnierzy i postukując szponami, dopadłam do Garreta. – Jak z tobą?!

– To tylko draśnięcie. Nic poważnego. – Spojrzał na tę rękę, którą przyciskał do piersi, poruszył palcami, zacisnął pięść i skrzywił się. – Kiedy walnałem w tego ostatniego, musiałem się oparzyć.

– Pokaż. – Gdy wyciągnęłam ku niemu przednią łapę, Garret jakby zeszywniał. Ale nie tylko on, bo ja też. W końcu, było nie było, nie wyciągnęłam do Garreta ręki, lecz pokrytą łuskami smoczą łapę z czarnymi zagiętymi szponami, które bez trudu mogły rozerwać go na strzępy.

Gdy podniósł głowę, w jego stalowoszarych oczach zobaczyłam swoje odbicie. Patrzyłam na wielkiego jaszczura z rogami, szponami i rozłożonymi skrzydłami. Przez krótką chwilę staliśmy nieruchomo, patrząc sobie prosto w oczy. Czerwony smok i żołnierz przebywający razem wśród nieruchomych ciał dawnych towarzyszy broni owego żołnierza.

Garret pierwszy się poruszył. W chwili, gdy zamierzałam się już wycofać, podniósł rękę i ostrożnie położył odwróconą dłoń w mojej łapie. A ja bardzo, ale to bardzo ostrożnie objęłam szponami jego nadgarstek, a Garret nie poruszył się, nie drgnął, w ogóle się nie spał, mimo że na dłoni widniała złowroga, czerwona lśniąca plama.

Przełknęłam.

– Przepraszam, Garret. Wiadomo, że to ja go zapaliłam.

– Bywało gorzej – powiedział, patrząc mi prosto w oczy. – A poza tym jak mam się gniewać na kogoś, kto uratował mi życie?

W tym momencie usłyszeliśmy cichy, pełen lęku, ale i nadziei głos:

– Garret? Ember?

Oczywiście była to Faith. Pojawiła się nieopodal z prętem zbrojeniowym w rozdygotanej ręce i przerażonym wzrokiem wpatrywała się w poległych żołnierzy.

– Już nie strzelają – szepnęła, niemniej nadal stała w półobrocie, gotowa do ucieczki, jakby nie była pewna, czy ci żołnierze jednak z tej podłogi się nie poderwą. – Nie wiedziałam, czy żyjecie. Czy oni... oni...

Głos Faith załamał się, na co spojrzałam na nią karcąco i udzieliłam reprimendy:

– Miałaś stamtąd nie wychodzić. Zapomniałaś? Przecież...

I zamilkłam, bo jeden z żołnierzy, powalony przeze mnie na samym początku, jednak nagle ożył. I to ożył tak na całego, bo wyskoczył z ciemności z wycelowaną bronią, wyraźnie gotów do dalszej walki. Faith naturalnie krzyknęła przeraźliwie... Ale nie tylko. Bo zrobiła coś jeszcze. Zamachnęła się stalowym prętem i uderzyła żołnierza prosto w twarz. I zrobiła to bardzo skutecznie, bo cudownie przywrócony do życia Święty Jerzy ponownie osunął się na podłogę i znieruchomiał.

A Faith, ciężko dysząc, wsunęła się za Garreta i pisnęła:

– On nie żyje?!

Garret przykląkł przy powalonym żołnierzu i przewrócił go na plecy. Wtedy głowa opadła bezwładnie, a z nosa i ust płynęła krew. Żył albo i nie, bo trudno jednak było stwierdzić, czy oddycha, czy też już na wieki zaprzestał tej czynności.

– Na pewno jadą już tu posiłki. Musimy się pośpieszyć – mruknął Garret, nie podnosząc głowy, i zaczął starannie przeszukiwać żołnierza. Wiadomo, chodziło o broń i amunicję, w ogóle o wszystko, co by nam się teraz przydało. Po chwili jednak poderwał głowę: – Ember, czy mogłabyś przed wyjściem na zewnątrz poddać się Przemianie?

– Jasne! Ale... – Ale przecież nie tutaj, bo zobaczą golasa! – Chwila, moment!

Pomknęłam do słupa, koło którego zostawiłam swoje ubranie, błyskawicznie dokonałam Przemiany, ubrałam się równie szybko i biegiem wróciłam do współtowarzyszy. Garret stał już z pistoletem w ręce i przepasany pasem z amunicją poległego żołnierza. Faith stała obok niego, śledząc spojrzeniem każdy jego ruch. W jej czarnych oczach, bardzo teraz błyszczących, nie było już tego lęku, z jakim przedtem spoglądała na byłego żołnierza Świętego Jerzego. A skąd! Teraz to po prostu... była nim zafascynowana! Ona! Też coś! Z trudem

się powstrzymałam, by nie prychnąć z pogardą, a Garret w tym momencie rzucił mi pistolet. Naturalnie złapałam, ale wcale nie byłam zachwycona, że znów mam broń w ręce.

– Ruszamy! – rozkazał.

Wybiegliśmy z sali, świadomi, że pozostali żołnierze muszą gdzieś tu być. Przeczesują cały budynek, absolutnie więc nie możemy jeszcze czuć się bezpieczni. I niestety tak było, bo kiedy weszliśmy w ostatni już korytarz, okazało się, że na jego końcu, przy drzwiach na klatkę schodową, stoi na straży dwóch żołnierzy. Na nasz widok oczywiście otworzyli ogień, a my natychmiast schowaliśmy się za załomkiem korytarza. Grad kul sypał się na ścianę i podłogę. Jeden z żołnierzy wzywał posiłki, czyli zrobiło się naprawdę niebezpiecznie. I należało działać błyskawicznie, bo ci dwaj żołnierze byli prawdopodobnie ostatnią przeszkodą. Wystarczyło ich unieszkodliwić i moglibyśmy wreszcie uciec stąd do naszego hotelu.

Zdesperowana uniosłam broń, robiąc już krok do przodu, ale Garret złapał mnie za rękę.

– Zaczekaj! – zawołał i pociągnął mnie z powrotem za załom, a sam znów przesunął się blisko korytarza i wyciągnął ze skradzionego pasa mały żelazny cylinder z kółkiem. – Radzę wam, przykucnijcie, zamknijcie oczy i zasłońcie uszy. Ale szybko! Już! Obie!

Zrobiliśmy, co kazał, a on to, co trzymał w ręku, rzucił w stronę żołnierzy.

Zaraz potem huknęło wprost ogłuszająco. Mimo że oczy miałam zamknięte, widziałam ten niesamowity błysk, jakby nagle tu, na ziemi, tu, blisko nas eksplodowała jakaś gwiazda. A strzały natychmiast umilkły.

Garret chwycił mnie za rękę i podciągnął do góry.

– Ruszamy! – krzyknął.

Przebiegliśmy obok zaskoczonych żołnierzy, którzy stali z wytrzeszczonymi oczami, i wbiegliśmy do klatki schodowej. To była błyskawiczna akcja, żadne z nas ani na moment nie zwolniło, dopóki nie dopadliśmy do ostatnich drzwi, przez które wreszcie wybiegliśmy na zewnątrz, w sam środek upalnej nocy Las Vegas.

RILEY

W końcu dotarliśmy do końca szybu windy. Słyszałem, jak Ava zeskoczyła z drabiny na twardy grunt, i poczułem wielką ulgę. W końcu nasza podróż w głąb czeluści tego szybu nie należała do najprzyjemniejszych. Przestrzeń była wyjątkowo ograniczona, a upadek z drabiny w tę czarną czeluść mógł przynieść tylko jeden skutek, czyli śmierć. No, ale wreszcie mieliśmy to za sobą. Szybko pokonałem kilka ostatnich szczebli i skoczyłem w dół, na podłogę. Byłem bardzo zadowolony, choć świadomy, że moja radość jest przedwczesna, skoro wciąż nie dotarliśmy do celu. Czyli najważniejsze jeszcze przed nami.

Podłoga pode mną zakołysała się leciutko, jakby znajdowała się jednak nad ziemią. Zapaliłem latarkę i zobaczyłem, że wylądowaliśmy na czymś płaskim, z czego wystawały grube kable pnące się przy ścianie ku górze. Czyli byliśmy na dachu windy, a w jednym z rogów widać niewielką klapę, czyli włącz.

Jasne włosy zamigotały srebrzyście w świetle latarki. Ava przesunęła się bliżej włączu i szepnęła:

– Miejmy nadzieję, że można go otworzyć.

– Przekonamy się... – mruknąłem, przyklękając przy włączu. – Otwieramy. Na „trzy” ciągnij.

Złapałem za metalową rączkę na klapie, a chłodne palce Avy zacisnęły się na mojej dłoni.

– Raz... dwa... trzy!

Ciągnęliśmy z całej siły, i trochę to trwało, ponieważ włącz, podobnie jak przedtem drzwi do windy, przez chwilę opierał się, potem zazgrzytał i wreszcie się poddał.

Gdy otworzyliśmy klapę, wsadziłem głowę do środka i świecąc latarką, sprawdziłem, jak tam jest.

– W porządku – oznajmiłem i weszliśmy do windy, to znaczy zeskoczyliśmy na podłogę, Ava naturalnie zwinnie jak kot. Drzwi windy były częściowo rozsunięte i widać było korytarz spowity w mrok. I chyba pusty.

– To parter – szepnęła Ava, spoglądając na miedzianą cyfrę na framudze. – Jesteśmy już prawie na zewnątrz.

– Prawie. Bo jeszcze trochę to potrwa – odparłem i wyszedłem na korytarz, rozglądając się czujnie dookoła. – Łatwo nie będzie. Wszystkie drzwi obstawione, na dworze roi się od snajperów, obserwujących wszystkie wyjścia z budynku. A cholerny helikopter na pewno krąży bez przerwy.

– No tak. Wiadomo, że drzwiami nie wyjdziemy – powiedziała Ava, podążając za mną. Jak zwykle była chłodna i opanowana. – Masz jakiś pomysł?

– Jasne. Wychodzimy przez okno – odparłem z szerokim uśmiechem.

Jednak uśmiech zamarł na moich ustach i oboje znieruchomieliśmy, bo w tym momencie usłyszeliśmy męskie głosy dochodzące z bocznego korytarza, a po chwili dobiegło nas złowrogie postukiwanie ciężkich żołnierskich butów. Szli w naszą stronę, byli już niebezpiecznie blisko.

Zgasilem latarkę i wykonaliśmy krótki sprint do pierwszego z brzegu pokoju. Ewidentnie było to pomieszczenie biurowe. Ava zamknęła drzwi, natomiast ja podbiegłem do okna i spojrzałem na ten wielki plac budowy, cały pogrążony w ciemnościach. Ziemia opuszczona, ziemia przeklęta, tak mi się to skojarzyło. Jednak nieco dalej, nawet dość blisko, był całkiem inny świat. Jarzyły się tam światła cywilizacji, jakże kuszące, jakże mocno przyzywające do siebie. Tak, nie było to wcale daleko, tyle że „blisko” i „daleko” mogą to być pojęcia względne, zależnie od okoliczności. Nasz problem polegał bowiem na tym, że aby dotrzeć do tej cywilizacji, trzeba pokonać tę otwartą przestrzeń. Niby nie jest to zbyt daleko, a tak naprawdę blisko, tylko jak ten odcinek przebiec i przy okazji nie zarobić kulki?

– Cobalt! – krzyknęła Ava, która nagle znalazła się u mego boku. – Oni są już tutaj! Prawie tutaj!

A niech to szlag! Decyzja... Miałem ułamek sekundy na jej podjęcie. Gdy okaże się właściwa, przeżyjemy. Gdy niewłaściwa, to wiadomo.

– Cofnij się – powiedziałem, podniosłem z podłogi porzuconą gaśnicę i zacząłem walić nią w szybę. Za pierwszym razem pojawiły się pęknięcia, za drugim było ich już o wiele więcej, a za trzecim wreszcie

posypały się kawałki szkła. Uderzyłem w szybę jeszcze kilkakrotnie, żeby powiększyć dziurę, rzuciłem gaśnicę na podłogę i poleciłem Avie: – Wychodź!

Rozpędziła się, stosując sekwencję na trzy kroki, odbiła się i przepięknie przefrunęła przez rozbite okno. Wylądowała, zrobiła przewrót i ze zwinnością akrobatki poderwała się z ziemi. Teraz moja kolej. Kiedy rzuciło mnie do przodu, skuliłem się, by się zmieścić w dziurze. I jakoś poszło, choć czułem, jak nierówne brzegi resztek szyby drapnęły porządnie moją skórzaną kurtkę. Ale co tam kurtka! Najważniejsze, że znalazłem się po drugiej stronie i razem z Avą bieглиśmy przez pusty plac pod szarzejącym już niebem. Słyszałem strzały, na szczęście żaden nie okazał się celny. Cali i zdrowi przebiegliśmy przez plac, pokonaliśmy ogrodzenie i pognaliśmy dalej pustą ulicą, którą mieliśmy dotrzeć z powrotem do cywilizacji. Do świateł, do tłumów ludzi, czyli tam, gdzie czeka na nas bezpieczeństwo, gdzie nie będzie Świętego Jerzego.

Kiedy przed nami pojawił się warsztat samochodowy, zrobiliśmy krótką przerwę. Wbiegliśmy za budynek i przystanęliśmy, opierając się plecami o ceglany mur. Ja pochyliłem się i oddychałem głęboko, żeby uspokoić bardzo niespokojne teraz serce, natomiast Ava po prostu stała obok z odchyłoną do tyłu głową. Srebrzyste włosy spływały na jej ramiona.

A niech to! Chyba się udało! Ostrożnie wychyliłem się zza węgła, by sprawdzić, czy nikt nas nie ściga, jednak ulica nadal była pusta, za to nad placem budowy wciąż krążył helikopter. Ale tylko to. Uśmiechnąłem się. Czyli dalej nie mogę narzekać na brak szczęścia. Jednak fragmentarycznego, bo do jego pełni szczęścia brakowało mi jeszcze obecności kilku osób.

– Dobra... – mruknąłem, kiedy usłyszałem, że Ava podchodzi do mnie i staje tuż za mną. – Wygląda na to, że nam się udało. Poczekamy tu na resztę. Jeśli nie pojawią się w ciągu dziesięciu minut, ty wracasz do hotelu, a ja idę po nich.

– Nie, Cobalcie – odezwała się dziwnie niskim, ponurym głosem. – Nigdzie nie pójdziesz.

Nagle poczułem ostry ból w szyi, gdzieś z boku. Ból był ostry

i piekący, jakby ugryzł mnie szerszeń. Co jest?! Oczywiście zamierzałem sprawdzić, co się dzieje, ale nie zdążyłem tego zrobić, bo ziemia pode mną zakołysała się, przechyliła i zapadła ciemność.

COBALT

Dwanaście lat temu

Drzwi otworzyły się bezszelestnie. Do pokoju wsunęła się jakaś postać ubrana na czarno i bardzo cicho, krok za krokiem zaczęła zbliżać się do łóżka. W wyciągniętej ręce był długi, prosty nóż, połyskujący złowrogo. Kiedy szczupła dłoń odziana w rękawiczkę chwyciła za róg kołdry i pociągnęła w dół, ten ktoś, kto leżał pod kołdrą, nie poruszył się. A tajemnicza postać w czerni jednym płynnym ruchem ściągnęła kołdrę i wbiła nóż. Nie w kogoś, a w coś, co było pod kołdrą, czyli w wielką poduszkę.

Przebijana nożem poduszka wydała z siebie cichy, przytłumiony dźwięk. Tylko tyle. Ja natomiast miałem więcej do powiedzenia.

– No proszę. Naprawdę się starałaś – odezwałem się zjadliwie, wychodząc z szafy stojącej nieopodal łóżka.

Morderczyni natychmiast odwróciła się do mnie, podnosząc nóż, ja jednak miałem w ręku gotów do strzału i precyzyjnie wycelowany pistolet. Na widok broni znieruchomiała, a ja uśmiechnąłem się, zresztą raczej smętnie, i przywitałem się z nią, zadbawszy o uprzejmy ton głosu:

– Cześć, Stealth.

Jednocześnie ustawiłem się z drugiej strony łóżka, dzięki czemu zwiększyłem dzielącą nas odległość. Tak na wszelki wypadek, bo kto wie, czy znowu się na mnie nie rzuci. Ona jednak nie ruszała się z miejsca, tylko wpatrywała we mnie, tyle że bez większych emocji, wzrokiem tak naprawdę obojętnym.

A ja czułem, że gruda w gardle robi się coraz większa.

– Wiedziałem, że prędzej czy później Talon naśle kogoś na mnie – powiedziałem, a mój głos, niestety, nie był doskonale obojętny. – Szkoda, że padło właśnie na ciebie.

Żmija nadal wpatrywała się we mnie pustym wzrokiem. Żmija, czyli gibka, sprężysta Stealth w czarnym kombinezonie, tak obcisłym, że

zlewał się z jej ciałem. Jakby nie był to materiał, lecz oblano Stealth na przykład czarnym atramentem. Proste włosy miała związane z tyłu w koński ogon. Włosy czarne, czarny kombinezon, dookoła ciemność. Na tle tej czerni jej okrągła twarz jawiła się jak biały krążek unoszący się w powietrzu.

Stała nieruchomo, ja też, oczywiście skupiony maksymalnie na niej, na smoku, który czaił się po drugiej stronie łóżka. Maksymalnie, bo nawet najmniejszy ułamek sekundy mógł kosztować mnie życie, tyle bowiem czasu potrzebuje Żmija, by przeskoczyć przez coś takiego jak to łóżko i wbić komuś, czyli w tym przypadku mnie, nóż w gardło.

Nagle ożyła. I zamrugła.

– Mieli przysłać Lilith – oznajmiła, a ja, słysząc to właśnie imię, poczułem ciarki na plecach. – Ale przekonałam ich, że to powinnam być ja. Bo przynajmniej tyle mogę zrobić, skoro kiedyś wydarzyło się to, co się wydarzyło.

– A... Rozumiem... – Westchnąłem, bo w sercu jednak zakłuło. – Kiedyś uratowałaś mi życie i to był błąd, który bardzo chcesz naprawić. Czy tak?

Stealth zmrużyła oczy, ale tematu nie pociągnęła, tylko spytała:

– Skąd wiedziałeś, że tu będę?

Prychnąłem cicho.

– Powinnaś się tego domyślić.

Oszem, Żmije miały wprost nadzwyczajne umiejętności, jeśli chodzi o zabijanie, ale na tym koniec. Precyzyjne maszyny do mordowania, wyszkolone na w sumie dość proste, jednozadaniowe automaty. A ja, oprócz zabijania, potrafiłem jeszcze to i owo. Poza tym, kiedy byłem Bazyliżkiem, nabrałem pewnych nawyków. Między innymi nigdy nie traciłem czujności. Może i graniczyło to z obsesją, ale pod tym względem lepiej przedobrzyć, niż zaniedbać, prawda? W każdym razie ukryta kamera monitorująca korytarz była zsynchronizowana z moją komórką i informowała mnie o każdym ruchu w holu. Oczywiście kiedy budziła mnie o trzeciej nad ranem, bo korytarzem przechodził jakiś ubzdryngolony gość, było to wkurzające, niemniej jednak warto narazić się na taką niewygodę jak przerywany sen, skoro gwarantuje ci to bezpieczeństwo.

Stealth nadal stała nieruchomo, z opuszczonymi rękami. W jednej, naturalnie, wciąż trzymała nóż.

I spytała tym razem o coś innego:

– Czy masz zamiar mnie zastrzelić, agencie Cobalt?

– Jeśli będę musiał.

Wyraźnie zacisnęła szczęki, a potem porzuciła neutralny ton i dodała ostro:

– Zdajesz sobie sprawę, że jeśli tego nie zrobisz, to znów się spotkamy, i to w bardzo podobnych okolicznościach. Będę cię ścigać, Cobalcie, aż do skutku. A kiedyś kolegowaliśmy się. I zawsze ciebie szanowałam. Nadal zresztą tak jest, dlatego stawiam sprawę jasno, bez żadnego ściemniania. Nigdy nie odpuszczę, a następnym razem nie będziemy już bawić się w uprzejme pogawędki.

Pokiwałem głową, i żeby wszystko było jasne również z mojej strony, odparłem:

– Wiem, przecież wiem, Stealth.

Oczywiście. Tym razem wypadki potoczyły się tak, że w rezultacie to nasze spotkanie można potraktować jako coś w rodzaju wizyty kurtuazyjnej. Jeden agent odwiedził drugiego agenta, z którym kiedyś walczył ramię w ramię. Powiedzieli sobie to i owo, i na tym koniec uprzejmości. Kiedy następnym razem staną twarzą w twarz, jeden z nich będzie musiał pożegnać się z życiem. Innej opcji po prostu nie ma, brak tu miejsca na jakiegokolwiek układy, negocjacje czy kompromisy.

Żmija na moment zacisnęła usta, w jej oczach błysnęło. Po raz pierwszy gniew tak wyraziście wziął górę nad chłodem i opanowaniem.

– Dlaczego ty to robisz, Cobalcie? – spytała ochryplym szeptem. – Przecież właśnie zdobyłeś Czarną Łuskę i mogłeś wspiać się wysoko, bardzo wysoko. Mówiono nawet, że Szef Bazyliżków chce szykować cię na swego następcę. A ty z tego wszystkiego zrezygnowałeś! Dlaczego?

– Nie powiem, bo i tak nie zrozumiesz. A nawet gdybym powiedział, a ty byś jakimś cudem zrozumiała, czy miałoby to jakieś znaczenie?

– Nie.

Niby tylko szept, ale bardzo stanowczy. Przecież było oczywiste,

że podczas następnego spotkania na pewno postara się mnie zabić.

Przełknąłem.

– Nóż – powiedziałem bardzo twardo. – Dawaj go tutaj. Ale szybko.

Bo naprawdę koniec już z uprzejmościami, a Żmiję trzeba było rozbroić, bo najprawdopodobniej kiedy stąd wyjdę, i tak będę miał ją na karku. I prawie pewne, że jeszcze zanim dojdę do parkingu, będzie już po mnie.

Stealth bez słowa rzuciła nóż na łóżko. Wylądował tuż przede mną. Nie spuszczać oka ze Żmii, nachyliłem się i chwyciłem za ostrze. A Żmija powiedziała jeszcze cicho:

– Nigdy nie uciekniesz przed nami. Nawet jeśli mnie zabijesz, ktoś inny zajmie moje miejsce. Talon nigdy nie pogodzi się z twoim odejściem. Prędzej czy później cię dopadnie, to po prostu się zdarzy, od tego nie ma ucieczki. Twoje dni są policzone.

Nie, wcale nie było miło tego słuchać. Ale cóż... Spokojnie przytroczyłem nóż do pasa i uśmiechnąłem się do Żmii. Był to jednak bardzo oszczędny uśmiech, raczej taki lekko drwiący uśmieszek.

– Mogłaś sobie darować ten wykład, Stealth. Wystarczająco długo byłem w Talonie, żeby o czymś takim nie wiedzieć.

– No to idź, idź! – syknęła, odsuwając się na bok, i stanęła dalej od drzwi. – Uciekaj, zdrajco! Ale nie zapominaj, że zawsze będę w pobliżu! Zawsze!

Nadal trzymając ją na muszce, obszedłem łóżko i ruszyłem do drzwi. Stealth nie ruszyła się z miejsca, tylko odprowadzała mnie tym swoim żmijowatym, czyli nieskończenie pustym wzrokiem. I tym wzrokiem eskortowała mnie do samego wyjścia.

A ja, gdy tylko przekroczyłem próg, zacząłem biec co sił w nogach.

EMBER

Udało się!

Kiedy tylko taksówka wyhamowała przy krawężniku, od razu wyskoczyłam na chodnik i uniosłam twarz ku tym wszystkim sztucznym

światłom, w tej szczególnej chwili dla mnie najpiękniejszym na świecie. Nigdy dotąd nie czułam takiej ulgi na widok bijących po oczach neonów Stripu i zatłoczonych ulic, choć było już dobrze po północy. Bo o to właśnie chodziło. O te światła i tłum. W świetle wszystko dobrze widzisz, a tłum oznacza mnóstwo świadków, czego Święty Jerzy unikał jak ognia. Bo Święty Jerzy, podobnie jak Talon, działał tylko w ukryciu, dbając o to, by nikt nigdy się nie dowiedział, kto jest sprawcą tych wszystkich dziwnych, niewytłumaczalnych i jakże często przerażająco krwawych czynów. Zabijał na przykład w alei obsadzonej gęsto drzewami i krzewami albo w opuszczonym budynku, czyli tam, gdzie można było spokojnie mordować, nie przejmując się takim głupstwem jak litera prawa.

A na tak zatłoczonej ulicy nikt nie będzie do nas strzelał. Taką przynajmniej miałam nadzieję...

Kiedy taksówka odjechała, Garret, lustrując wzrokiem otoczenie, ostrzegł nas:

– Macie być bardzo czujne. Święty Jerzy może być również tutaj. Nigdy nic nie wiadomo.

Faith zajęczała i przysunawszy się do niego bliżej, złapała go za rękaw. Co jakoś bardzo mi się nie spodobało. Natomiast spodobało mi się, że Garret jakby tego nie zauważył. A tak! Nawet nie spojrzął na Faith, tylko dodał jeszcze:

– I macie zachowywać się spokojnie, absolutnie nie panikować, bo wtedy zwrócicie na siebie uwagę. Macie zachowywać się po prostu normalnie, jakby nic się nie działo.

– Łatwo mu tak mówić – szepnęła do mnie Faith.

W świetle ulicznej latarni wydawała się taka mała i bezbronna, nic więc dziwnego, że mój gniew zaczął zniknąć. Złapała Garreta za rękaw? I co z tego? Przecież ten dzieciak jest okropnie wystraszony i dlatego klei się do wszystkich.

– Głowa do góry, Faith! – powiedziałam energicznym, podtrzymującym na duchu głosem. – Nie pozwolimy, żeby stało ci się coś złego. Pamiętaj tylko, że mamy trzymać się razem. Sama nic nie kombinuj, tylko zawsze bądź z nami.

Garret skinął na nas i ruszyliśmy do hotelu. Do drzwi wejściowych

podchodziliśmy spokojnie, bez pośpiechu. No, może Faith szła jednak trochę inaczej. Musiała być aż tak bardzo wystraszona, że nie była w stanie iść normalnym krokiem. Po prostu maszerowała wyprostowana, z uniesioną głową, spoglądając przed siebie. Ale na boki już nie, jakby stworzyła sobie bezpieczną niszę, przez którą kroczyła, a co poza tą niszą, to już nie istnieje. Strusie mają swój piasek, a ona swoją niszę, ot co.

Kiedy dochodziliśmy do drzwi, Garret wziął mnie za rękę, splatając palce z moimi palcami. Nic dziwnego, że natychmiast poczułam ten charakterystyczny skurcz w żołądku. Spojrzałam w górę, na niego, a on uśmiechnął się i leciutko ścisnął moją dłoń. I natychmiast się odprężyłam, i to aż tak bardzo, że do boya hotelowego, który otworzył przed nami drzwi, uśmiechnęłam się uprzejmie, jakbyśmy byli po prostu zwyczajnymi ludźmi, którzy chcą tu miło spędzić czas. Faith, która już wcześniej zrezygnowała z trzymania Garreta za rękaw, szła obok mnie z drugiej strony przyklejona do mojego ramienia i nadal patrząca tylko przed siebie. I tak oto wespół w zespół wkroczyliśmy do hotelu, do miejsca przynajmniej w jakimś tam stopniu bezpiecznego.

Kiedy przeszliśmy przez hol, Faith uspokoiła się już na tyle, że odkleiła się ode mnie i odzyskała zdolność patrzenia tu i tam. I oczywiście natychmiast wlepiła oczy w wejście do kasyna. Wyraźnie ten widok ją zafascynował, co akurat dla mnie nie było niespodzianką. Przecież i mnie kasyno urzekło w pierwszej chwili. Te migające światła, te dzwonki, te tłumy. Teraz jednak patrzyłam na to podejrzliwie, ponieważ Garret ma sto procent racji. Tylu tu ludzi, a każdy z nich może być naszym wrogiem, żołnierzem Świętego Jerzego albo agentem Talonu śledzącym każdy nasz ruch i czekającym na dogodny moment, by zaatakować.

Nigdy, przenigdy już nie powiem, że Garret ma obsesję na punkcie czujności.

– Idziemy – powiedział półgłosem wspomniany Garret i delikatnie pociągnął mnie za rękę.

Poszliśmy do wind. Faith deptała nam po piętach, jednocześnie kręcąc głową na wszystkie strony i starając się dojrzeć w tym odlotowym miejscu jak najwięcej. Kiedy już doszliśmy do windy, Garret

nacisnął guzik, usunął się na bok i stanąwszy plecami do ściany, lustrował wzrokiem tłum.

Wtedy przysunęłam się do niego bliżej i zniżając głos, spytałam:
– Nie zauważyłeś może gdzieś tu Rileyę?

Teraz, kiedy udało nam się szczęśliwie wrócić do hotelu i gdy wreszcie mogłam odetchnąć, od razu naturalnie pomyślałam o dwójce naszych współtowarzyszy, którzy zostali w tamtym okropnym miejscu. Jeszcze jadąc taksówką, wysłałam Rileyowi wiadomość, ale niestety nie odezwał się. Oczywiście powody tego milczenia mogły być różne, starałam się więc nie wpadać w panikę, nie dopuszczać do siebie najgorszych myśli, ale co absolutnie zrozumiałe, z każdą minutą byłam coraz bardziej niespokojna.

Garret, nie odrywając oczu od tłumy, pokręcił głową.

– Nie, nie widziałem, ale mówiąc prawdę, raczej nie spodziewałem się, że zobaczę go tutaj – odparł również przyciszonym głosem. – Jeśli dotarł już do hotelu, to na pewno jest na górze razem z Wesem.

Pokiwałam głową, starając się zignorować strach, który jak to strach, coraz mocniej ścisnął mnie za gardło. I po raz nie wiadomo który powtórzyłam sobie w duchu, że z Rileyem na pewno wszystko w porządku. Na pewno wyszedł stamtąd przed nami, a nie skontaktował się jeszcze, ponieważ myśli, że nadal uciekamy przed Zakonem. Albo po prostu pilnie musi coś zrobić, dlatego nie ma czasu na sprawdzanie wiadomości w komórce. Niezależnie jednak od tego, powinien był napisać do nas, zawiadomić, że uciekł. Oczywiście! Ale to nieważne. Najważniejsze, żeby wszystko było z nim w porządku... Riley, pamiętaj, nie wolno ci się dać zabić Świętemu Jerzemu!

Winda nadjechała. Oderwałam plecy od ściany i zwróciłam się w stronę drzwi, już otwartych, przez które właśnie wychodził jakiś mężczyzna w jasnoczerwonym garniturze. Omal nie wpadł na mnie, i ten drobny przecież incydent zezłościł mnie. Och, zezłościł nadmiernie, mówiąc delikatnie, ale co się dziwić, skoro nerwy nadal miałam napięte jak postronki i najchętniej bym temu czerwoniakowi powiedziała coś bardzo niemiłego. Oczywiście powstrzymałam się, chociażby ze względu na to, że mogłabym wtedy zwrócić na siebie czyjąś uwagę, a to było niewskazane. Wręcz zabronione.

Nie powiedziałam więc nic, ale coś zauważyłam, a mianowicie to, że mężczyzna w tym zabawnym według mnie garniturze popatrzył na mnie po prostu dziwnie. Bardzo dziwnie, bo spojrzenie miał takie, jakby nagle zobaczył ducha. Zaraz potem pochylił głowę, odszedł szybkim krokiem i wmieszał się w tłum, a ja pomyślałam, że może warto by pójść teraz za nim. Patrzył przecież tak, jakby doskonale wiedział, kim jestem...

Nagle drgnęłam, bo tuż przy uchu poczułam powiew czyjegoś ciepłego oddechu. I usłyszałam przyciszony głos Garreta, który swoim sokolim wzrokiem dostrzegł wszystko.

– Znasz tego faceta?

Pokręciłam przecząco głową, zadowolona, że wchodzimy już windy. Bo nawet jeśli ktoś nas rozszyfrował, to nie będzie strzelał albo rzucał się z nożem, kiedy drzwi windy już się zamknęły. A tak w ogóle to przez tego żołnierza staję się jakąś głupią paranoiczką. Ale trudno.

– Może powinniśmy jednak za nim pójść – powiedziałam, wpatrzona w numery pięter wyświetlające się na kasecie sterowniczej. – Jak myślisz, Garret, czy to ktoś z Talonu, czy Święty Jerzy?

– Nie mam pomysłu. W każdym razie tak czy siak, teraz niczego nie możemy zrobić. Musimy jak najprędzej pogadać z Wesem, spytać, czy nie ma żadnych wiadomości o Rileyu i Avie. A może są już tutaj?

Oby! Tą spokojną wypowiedzią zapalił we mnie iskierkę nadziei i po wyjściu z windy czułam nieprzewartą chęć wykonania krótkiego sprintu do drzwi Wesa. A do tych drzwi nie zapukać, tylko po prostu załomotać. Ale oczywiście nic z tych rzeczy. Nie biegłam, ale szłam prawie dostojnym krokiem, i żadnego łomotu. Zastukałam jak należy. Drzwi otwarły się natychmiast i wyjrzał z nich Wes ze wzrokiem płonącym.

– Rzeczywiście, świetna pora na wizyty... – zasyczał, ale odsunął się na bok, byśmy weszli do środka.

W pokoju jak zwykle panował nieludzki bałagan i niestety, oprócz Wesa nie było w nim nikogo.

– Wes! Gdzie Riley?!

– Na pewno nie tutaj – odparł Wes.

A ja poczułam, że dosłownie mnie rozrywa z tej strasznej

bezradności i wściekłości, po prostu ze wszystkiego. Garret zamknął drzwi i przy tych drzwiach został z okiem przyklejonym do judasza. Faith przysiadła na krześle cała skulona i wystraszona, jak to ona.

A Wes spojrział na mnie ze złością.

– To ja się pytam. Gdzie, do cholery, jest Riley?! Od wielu godzin próbuję się z nim skontaktować i nic! Co z nim? Żyje czy nie?

– Nie wiem!

– Nie wiem?! Co to znaczy nie wiem?!

– Musieliśmy się rozdzielić – odezwał się Garret ze swojego stanowiska przy drzwiach. – W tamtym hotelu roіło się od żołnierzy Świętego Jerzego, dlatego rozdzieliliśmy się, ale oczywiście wszyscy mieli wracać tutaj.

– No to super! Zakon tam jest, Zakon ściga Rileya, a wy spokojnie zostawiacie go na ich pastwę i wracacie do hotelu!

I wtedy Faith zajęczała bardzo głośno, na co Wes prawie podskoczył, prawdopodobnie dopiero teraz zdając sobie sprawę z jej obecności. A Faith zakryła twarz rękami, odwróciła się do nas plecami i zaczęła ryczeć.

– To... moja wi... wina – wyjąkała po chwili. – Bo ja ciągle jęczałam, że mi tak strasznie źle, strasznie źle, i dlatego Ava zdecydowała, że uciekamy z Talonu. A gdybym nie jęczała, to może powstrzymałaby się od ucieczki i nie byłoby nas tutaj. I nie byłoby tego wszystkiego!

Wes, pocierając twarz rękami, patrzył na jej rozedrgane plecy z wyraźnym współczuciem.

– To jeden z tych pisklaków, które poszłicie uratować, tak? – spytał, popatrując na mnie.

– Tak. Ma na imię Faith – odparłam. – A drugi pisklak jest z Rileyem.

Faith znów zajęczała.

– Jeśli Ava zginie, to przeze mnie!

I płakała dalej, więc podeszłam do niej i objąwszy ramieniem, delikatnie odsunęłam ją od ściany. Faith pociągnęła nosem, odwróciła się i przywarła do mnie całym rozdygotanym ciałem. Głaskałam ją po drżących plecach, głaskałam, a ona powoli się uspokajała.

Garret przez chwilę patrzył na szlochającego pisklaka, potem spojrział na Wesa.

– Kiedy wsiadaliśmy do windy, natknęliśmy się na faceta, który zachował się podejrzanie. Wysoki, ciemnowłosy, w jasnoczerwonym garniturze. Co o tym sądzisz?

– Czerwony garnitur? – Wes zmarszczył nos. – To na pewno Griffin, jeden z informatorów Riley’a. Pokręcony facet, ale nie sądzę, żebyśmy musieli nim się martwić. Zresztą w tym momencie dla mnie największym zmartwieniem jest Riley. Garret, mówiłeś, że Zakon na was już czekał?

– Tak. Czekali na nas i zaatakowali z ukrycia, w rezultacie doszło do tego, że musieliśmy się rozdzielić.

– Ciekawe... – mruknął Wes, krzyżując ramiona na piersi. – Przecież nikt nie wiedział, dokąd idziecie. To znaczy wiedziałem tylko ja i... – Wes urwał, zastanowił się przez moment, po czym błady jak ściana wyszeptał: – A to drań... Zabiję go, o ile Riley wcześniej tego nie zrobi.

Garret o nic nie pytał, ale było oczywiste, że domyśla się, o kogo chodzi. Ja nie, ale nie dopytywałam się, bo Garret i Wes mówili już o czymś innym:

– Dzwoniłeś do Riley’a, Wes?

– A jak myślisz? Oczywiście, że tak, ale bez efektu. Brak sygnału, czyli komórka jest wyłączona albo bateria padła. Oczywiście mogą być jeszcze inne przyczyny, ale wolę o nich nie wspominać, żeby, jak to się mówi, nie wywoływać wilka z lasu.

Faith czknęła. Nadal drżała jak liść na wietrze, teraz prawdopodobnie dlatego, że starała się za wszelką cenę znowu nie rozryczeć. Czyli kompletnie się załamała. Ja, szczerze mówiąc, też nie czułam się najlepiej. Och, czułam się fatalnie, najgorzej, jak to w ogóle możliwe. Nerwowo byłam kompletnie wykończona, a to okropny stan. Bardzo przy tym chciałam być tu dalej, w tym pokoju, bo kto wie, może jednak wyjaśni się, gdzie jest Riley. Z drugiej jednak strony czułam, że ten ciągły stres po prostu mnie dobija. Moja smoczyca szaleje, a Faith jest po prostu w stanie żalnym.

– Idę do siebie – oznajmiłam. – Faith zabieram ze sobą. Musimy pogadać, taka babska rozmowa.

Babska nie babska, ale kiedy wyszliśmy na korytarz, natychmiast obok nas pojawił się Garret.

– A ty po co! – zaprotestowałam z miejsca. – Faith i ja naprawdę poradzimy sobie bez ciebie! Wracaj do Wesa i czekajcie na Rileyę. A my będziemy po drugiej stronie korytarza, więc nie przesadzajmy, okej?

Garret jednak również zaprotestował:

– Nie. Tej nocy nie wolno nam się rozdzielać. Idźcie sobie z Faith do pokoju, gadajcie, o czym chcecie, a ja będę za drzwiami. Ktoś musi was pilnować.

Kiwnęłam głową na znak zgody. Byłam przecież kompletnie wykończona, niezdolna do jakichkolwiek dyskusji. Podeszliśmy do drzwi mojego pokoju, wsunęłam kartę do czytnika i drzwi otwały się uprzejmie. Faith weszła do środka. Ja nie, bo zachciało mi się jeszcze raz spojrzeć na Garreta. Stał oparty plecami o ścianę i już przemykał spojrzeniem po korytarzu. W końcu przemknął i po mnie, a ja uśmiechnęłam się do niego. Może i blado, w końcu byłam ledwie żywa, ale jednak.

– Dzięki – szepnęłam.

– Nie ma za co. Bądź spokojna. Jestem tutaj.

Moje serce zabiło szybciej. Garret stał tak blisko mnie, spiżowe oczy wpatrzone były we mnie. Garret, który pilnuje mnie jak wierny swej damie rycerz. Miałam wielką ochotę wtulić się w niego i pocałować. Oczywiście! Niestety, nie była to najlepsza pora na tego rodzaju zajęcia. A poza tym Faith czekała na mnie, więc tylko ścisnęłam Garreta lekko za ramię i weszłam do pokoju.

Faith stała na środku pomieszczenia, obejmując się ramionami. Jej spojrzenie można by określić wyłącznie jako półprzytomne. Niby wciąż miała kontakt z rzeczywistością, ale taki nie do końca.

– Faith, przede wszystkim chcę powiedzieć, żebyś nie przejmowała się Wesem – oznajmiłam zaraz po zamknięciu drzwi. – On po prostu taki już jest. Nerwowy, drażliwy i tak dalej. Szczerze mówiąc, po prostu skurczybyk. Ale nasz skurczybyk.

Nie odpowiadała, nawet na mnie nie patrzyła. Jej twarz była mokra od łez, załzawione oczy pod burzą czarnych loków wydawały się

ogromne. Podobno miała szesnaście lat, a wyglądała o wiele młodziej. A może i była młodsza, może jeszcze nie rozpoczęła procesu asymilacji, który polegał na tym, że przenoszono pisklaka do świata ludzi. Mieszkał u swoich opiekunów i uczył się, jak wtopić się w społeczność ludzką. Dopiero po okresie asymilacji Talon podejmował decyzję co do przyszłości pisklaka w organizacji. Jeśli więc Faith istotnie nie ma procesu asymilacji za sobą, to co się dziwić, że czuje się tak bardzo niepewnie w tym nowym świecie, w świecie ludzi, który dla niej jest lądem nieznanym. Tak się przy tym złożyło, że pierwsze jej dni w nowej rzeczywistości wcale nie upływają w miłej atmosferze. O nie! Jest okropnie, nic więc dziwnego, że się załamała.

– Faith, może coś zjesz? – spytałam, bo przecież wiadomo, że z pełnym żołądkiem zawsze łatwiej znieść wszystko. – Nie wiem, jak ty, ale ja umieram z głodu. W szafce koło telewizora są chipsy, słodczyce i tak dalej. Możemy też zamówić coś do pokoju.

– Nie, dziękuję. Nie chce mi się jeść – szepnęła.

No cóż... Dobrze i to, bo wreszcie otworzyła usta. Niemniej jednak w brak apetytu jakoś trudno mi było uwierzyć, więc otworzyłam wspomnianą szafkę, demonstrując zawartość. Specjalnie tak zrobiłam, bo nigdy jeszcze nie słyszałam, żeby jakiś pisklak oparł się na przykład czekoladzie. I poskutkowało, bo Faith po chwili wahania wzięła sobie batonik. Wybrała snickersa.

Odetchnęłam, a potem też sięgnęłam do szafki po ulubione draże marki M&M's i wskoczyłam na łóżko. Siadłam sobie wygodnie, założyłam nogę na nogę i skinęłam na Faith, by poszła za moim przykładem.

Owszem, też usiadła na łóżku, ale zrobiła to bardzo ostrożnie, jakby się bała, że pogniecie pościel. A ja usiadłam jeszcze wygodniej, opierając się o wezłowie, i pomyślałam, że kiedyś już byłam w podobnej sytuacji. Dwie dziewczyny siedzą razem w jednym pokoju i zażerają się słodkościami. Tak było w Crescent Beach, kiedy wpadałam do Lexi. Czasami nawet zapraszała mnie na noc i naprawdę było super. Oczywiście o spaniu nie było mowy, bo do białego rana gadałyśmy sobie o różnych sprawach, no wiecie, takich życiowych sprawach – oczywiście dotyczących życia ludzi – a także o chłopakach i surfingu, jednocześnie

pochłaniając monstrualne ilości śmieciowego żarcia. Tak! Było genialnie! Tego rodzaju klimatów bardzo mi brakowało, och, jak bardzo. Jakże ja za tym wszystkim tęskniłam...

– Faith, a jak poznałyście się z Avą? – spytałam szybko, bo zaczynało mi się robić nijako. Ona jednak nie odezwała się, tylko spojrzała na mnie jakoś tak bardzo czujnie. A ja wzruszyłam lekko ramionami. – Faith, przecież możesz mi o tym opowiedzieć, bo ja na pewno nie będę rozpowiadać o tym na prawo i lewo. I wcale nie mam zamiaru ukrywać przed tobą, co było powodem mojej ucieczki z Talonu. Zdecydowałam się na to, bo chcieli, żebym została Żmiją...

W tym momencie Faith zrobiła wielkie oczy. Nic dziwnego, musiała przecież wiedzieć, czym zajmują się wspomniane Żmije.

– Na... naprawdę? – wydukała.

– A tak. Takie właśnie mieli plany dotyczące mojej osoby – odparłam rzeczowym tonem. – Tyle że dla mnie ściganie i zabijanie innych smoków byłoby problemem, och, poważnym problemem. – Przerwałam na moment. – Dlatego zwałam. Podjęłam decyzję i wyjechałam z Crescent Beach razem z Rileyem.

– I co? Nie żałujesz tego kroku? Nie tęsknisz?

– No cóż... – Westchnęłam, bo w sercu znów zakłuło, i to tak mocno, że spuściłam głowę i zaczęłam bardzo uważnie przyglądać się swoim rękom. – Oczywiście, że tęsknię. Za znajomymi, za oceanem, a najbardziej za moim bratem, Dantem, którego nie ma tu przecież z nami. Dante postanowił zostać w organizacji. Po prostu jeszcze nie wie, jaka ta organizacja jest naprawdę... – Moje palce zacisnęły się mocniej na torebce z drażami M&M's, tak samo mocno zacisnęły się zęby, ale tylko na moment, bo potem wyszeptałam obietnicę, którą składałam sobie już tak wiele razy, po prostu nieustannie: – Ale ja go stamtąd wydobędę. Na pewno. I postaram się zrobić to możliwie jak najprędzej. Głupi Dante... Zrobię wszystko, by w końcu przejrzał na oczy i uciekł stamtąd. Zrobię to, choćbym miała skruszyć wszystkie mury Talonu...

– Ależ ty jesteś odważna – zaszepotała Faith, zdzierając opakowanie ze swojego batonika. – A ja, gdyby nie Ava, nadal byłabym w Talonie, choć przecież nienawidzę tej całej organizacji.

– A jak się stamtąd wydostałaś?

Faith znów się zawahała, ale tylko na moment, po czym zaczęła mówić. Przedtem jednak jeszcze sobie westchnęła, jakby wcale nie miała ochoty akurat tych zdarzeń rozpamiętywać.

– Znam Avę od bardzo dawna. Wylęgłyśmy się w tym samym czasie, razem wyrastałyśmy, ale kiedy zaczęły się szkolenia, rozdzielono nas i nigdy więcej już miałyśmy się nie spotkać. Wiesz przecież, że Talon życzy sobie, by pisklaki, które rozpoczynają szkolenie, odcięły się całkowicie od przeszłości.

Naturalnie, że wiedziałam, skoro doświadczyłam tego na własnej skórze. Miałam przecież za sobą wiele lat szkoleń na pustyni, w kompletnym pustkowiu, odcięta od reszty świata. Dałam radę przez to przebrnąć tylko dlatego, że miałam przy sobie brata, mojego najlepszego przyjaciela. Oczywiście, bo absolutnie nie pasuję do organizacji, chociażby dlatego, że przywiązuję się do innych smoków, a także do ludzi i do miejsc. A Talon żąda, byś był związany tylko i wyłącznie z organizacją, tylko wobec niej był lojalny, jej poświęcał wszystkie swe czyny, myśli i uczucia.

– Ale Ava i ja potajemnie kontaktowałyśmy się ze sobą, dlatego wiedziałam, że ona od wielu miesięcy planuje ucieczkę – mówiła dalej Faith. – A już absolutnie zapragnęła uciec, gdy uznała za prawdę pogłoski o Cobalcie, zbiegłym smoku pomagającym innym smokom, które chcą pójść w jego ślady. Kiedy miano zlecić jej pierwsze poważne zadanie, postanowiła, że tego nie zrobi i po prostu ucieknie. A ja bałam się jej przyznać, że też mam wielką ochotę uciec.

– Czy wiedziałaś już wtedy, co Talon wymyślił dla ciebie?

– Tak. W końcu powiedziałam o tym Avie, a ona postanowiła, że uciekamy jak najprędzej. Uciekamy razem. Sama mi to zaproponowała, choć wiadomo było, że będę dla niej ciężarem. Ona jest taka odważna, szybka, zdecydowana, tyle potrafi, a ja... Szkoda gadać! Dlatego nie chciałam się zgodzić, ale przekonała mnie. Powiedziała, że lepiej cieszyć się wolnością, nawet jeśli będą cię tropić i ścigać bez ustanku, niż do końca życia być niewolnicą. No i uciekłam razem z nią. I nie mogę sobie tego wybaczyć. Bo gdyby zrobiła to sama, byłoby jej o wiele łatwiej. Może nie doszłoby do takiej sytuacji jak dziś. Przecież oni mogli już

ją... zabić...

Zamilkła, pociągając nosem, a ja, zgniatając pustą już torebkę po drażach M&M's, odezwałam się głosem bardzo energicznym:

– Nie pękaj, Faith! Ava podjęła decyzję o ucieczce, doskonale zdając sobie sprawę, czym to pachnie. Sama zaproponowała, że zabierze cię ze sobą, więc przestań się katować tym ciężarem i tak dalej. A poza tym Ava jest z Rileyem, a on jest zbiegiem nie od wczoraj i wie, jak poradzić sobie w takich właśnie sytuacjach. Dlatego nie panikuj.

– Naprawdę myślisz, że dadzą sobie radę?

– Przede wszystkim uważam, że nie należy martwić się na zapas, tylko po prostu czekać, co z tego wyniknie.

Wygłosiłam to, a jakże, choć jednocześnie sama szalałam z niepokoju. Ale wygłosiłam, mało tego, dałam nawet radę wykrzesać z siebie uśmiech, po czym zsunęłam się z łóżka i ruszyłam w stronę łazienki.

– Zaraz wracam – poinformowałam. – A ty czuj się jak u siebie. Bardzo proszę, częstuj się, a jeśli masz ochotę pospać, łóżko jest do twojej dyspozycji. Moim zdaniem jeśli jest okazja, by trochę odpocząć, to jak najbardziej należy ją wykorzystać, bo nie wiadomo, co dalej się wydarzy.

Faith kiwnęła głową, jednocześnie skubiąc zawzięcie opakowanie batonika. A ja weszłam do łazienki bardzo zadowolona, że wreszcie jestem sama. Przysiadłam na brzegu wanny i objąwszy głowę rękami, oddychałam jak najgłębiej, starając się za wszelką cenę, by ten strach, paniczny strach, nie zawładnął mną całkowicie. Wiadomo, strach o Riley'a. Przecież był gdzieś tam, walcząc ze Świętym Jerzym, a może z Talonem. Czy daje sobie radę? Czy jeszcze... żyje? Nie, nie wyobrażałam sobie, jak to dalej będzie, kiedy tego bezczelnego i potwornie wkurzającego smoka nagle zabraknie. A moja smoczyca miała wielki dylemat, bo z jednej strony bardzo chciała zwinąć się w małą kulkę i już oplakiwać niepowetowaną stratę, a z drugiej – była wściekła i najchętniej odgryzłaby komuś głowę.

Odkręciłam kran, ochlapałam twarz zimną wodą, a potem mokrymi palcami nastroszyłam rude włosy. Na tym jednak koniec ablucji, choć czułam się bardzo nieświeżo i szybki prysznic był jak najbardziej

wskazany, teraz jednak niewykonalny. Wszystko przecież może się zdarzyć, na przykład nagle pojawią się tu Garret i Wes, a ja będę goła.

Prysznic więc darowałam sobie, ale za to odszukałam kombinezon Żmii. Nie było z tym żadnego kłopotu, leżał przecież w tym samym miejscu na podłodze, gdzie go rzuciłam. Szybko rozebrałam się i włożyłam ten niezwykły strój, który od razu przyssał się do mego ciała, jakby nie mógł się tego doczekać. Ja też byłam zadowolona, że mam go znowu na sobie. Bo powinnam, tak na wszelki wypadek, gdybyśmy w trybie pilnym ruszyli na pomoc Rileyowi.

Na kombinezon oczywiście włożyłam zwyczajne ubranie i wróciłam do pokoju. Okazało się, że Faith śpi już jak zabita. Uśmiechnęłam się i na palcach obeszłam łóżko, by zgasić lampkę, a Faith nawet się nie poruszyła. Spała jak suseł, cichutko pochrapując, a jaostałam przy niej chwilę, popatrując z niepokojem. Biedna Faith. Oczywiście, że musiała uciec, skoro Talon zaplanował dla niej wyjątkowo obrzydliwą przyszłość. Ale co dalej? Czy poradzi sobie w tej nowej rzeczywistości, w życiu zbiegłego smoka, które wcale nie należy do najłatwiejszych?

Westchnęłam i dalej cichutko, na palcach przeszłam przez pokój i uchyliłam drzwi. Garret ze skrzyżowanymi ramionami wciąż stał oparty plecami o ścianę, czujnym wzrokiem omiatając korytarz. Kiedy drzwi skrzypnęły, natychmiast oderwał się od ściany i spojrzał na mnie.

– Czy Riley się odezwał? – szepnęłam.

Pokręcił przecząco głową, a potem powiedział:

– Niestety nadal zero kontaktu. Nie odzywa się, a Wes ciągle nie może zlokalizować jego komórki. A co tam z Faith?

– Śpi – odparłam, odsuwając się na bok. – Nie chcę zostawiać jej samej, więc może wejdiesz? Pogadamy, tylko musimy być cicho. Chcę, żeby choć trochę pospała, bo nie wiadomo, kiedy znowu będzie miała ku temu okazję.

Gdy Garret wszedł do środka, oczywiście najpierw rozejrzał się czujnie dookoła, sprawdzając, czy faktycznie przebywają tu tylko trzy osoby. Przecież kiedy zamieniałam z nim tych kilka słów przy drzwiach, ktoś mógł wejść przez okno albo wyskoczyć spod łóżka. No tak, cały Garret! Kiedy upewnił się, że coś takiego jednak się nie wydarzyło,

wyraźnie się odprężył. Wtedy przeszliśmy przez pokój i stanęliśmy koło okna. Zasłony były zasunięte, ale nie do końca, a przez szparę widać rozświetlone Las Vegas. Spojrzałam na tę feerię świateł i na duszy zrobiło się jeszcze ciężiej. Przecież gdzieś tam jest Riley. Ucieka przed Świętym Jerzym, za wszelką cenę chce przedrzeć się do nas... Przecież chyba jeszcze... żyje?

Oczywiście, że tak, zawarczała moja smoczyca. Nie wolno ci nawet pomyśleć, że może być inaczej!

– Gdzie jesteś, Riley? – wyszeptałam do jaskrawej, migotliwej mgły neonów. – Tylko nie umieraj! Ani mi się waź! – W gardle ścisnęło, dłonie zacisnęły się w pięści, a cichy szept przechodził w gniewny pomruk: – Jak ja tego nienawidzę! Nienawidzę, że nic nie mogę zrobić! Nienawidzę!

Garret nie odzywał się. Stał tylko i patrzył, jak wpieram się czołem w chłodną szybę, za którą skrzy się i pyszni Las Vega. Ale nie widziałam już tego sztucznego blasku. Nie, bo przed oczami miałam wyłącznie krwawe sceny, których byłam świadkiem.

– Nic, tylko walka i walka – szepnęłam. – I śmierć. A Riley jest właśnie gdzieś tam. I Ava. A ja...

A ja boję się, czuję się kompletnie zagubiona, kompletnie nieprzygotowana do tej nowej rzeczywistości, do życia zbiegłych smoków. Tak bardzo nie chcę znów kogoś stracić, a już zwłaszcza jego! Och, Riley...

Słyszałam, jak Garret podchodzi do mnie z tyłu. Po chwili objął mnie silnymi ramionami i przyciągnął do siebie. Mój puls momentalnie przyśpieszył, oszalało także serce. Biło tak samo szybko jak serce Garreta.

– Riley jest profesjonalistą, jeśli chodzi o przeżycie – powiedział cichym, spokojnym głosem. Żadnych kwiecistych wywodów, czyli potoku zbędnych słów. Po prostu wspomniał o tym, co było w tym momencie najistotniejsze. – Profesjonalistą, bo siedzi w tym nie od dziś i doskonale sobie radzi. I może nie jest to dla mnie powód do dumy, ale powiem szczerze, że większość żołnierzy Zakonu nie dorasta Rileyowi do pięt. Dlatego wyjdzie z tego cało.

Wtedy wykonałam półobrót, objęłam Garreta w pasie i wtuliłam

się w niego. Bardzo mocno, i bezwiednie pogłaskałam chłodny metal pistoletu wsuniętego pod T-shirt. I wcale się nie wystraszyłam. Garret jest żołnierzem, kiedyś był pogromcą smoków, ale dziś już nim nie jest. Przy nim czułam się całkowicie bezpieczna i darzyłam go bezgranicznym zaufaniem. Nie, nie była to ta wielka, przejmująca tęsknota mojej smoczyca za Cobaltem. Było to coś innego, a przy tym coś, co w sumie wcale nie jest aż tak bardzo nieskomplikowane. Przy Garrecie czułam, że między nami coś po prostu zaskoczyło. Właśnie tak. Chociaż nadal dźwięczały mi w uszach gniewne słowa Riley'a, który nie tak dawno wykrzyczał mi, że człowiek i smok nie powinni być razem, bo nie ma dla nich żadnej przyszłości. Bo człowiek, w porównaniu ze smokiem, żyje tylko krótką chwilę.

Bardzo starałam się o tym nie myśleć, chociaż częściowo zgadzałam się z Riley'em. Jestem przecież smokiem, po co więc zadaję się z człowiekiem? Mój smoczy instynkt był temu absolutnie przeciwny. Nie, nie powinnam być tutaj, z Garretem, tylko tam, z Riley'em. Dlaczego więc się temu opieram? Cobalt i ja jesteśmy istotami tego samego gatunku. Więcej, moja smoczyca wyrywa się do niego, i nie jest to żaden krótkotrwały kaprys, tylko robi tak stale. A z kolei jego smok wyrywa się do niej, i też robi to konsekwentnie. Trudno tego nie wyczuć, tak po prostu jest.

Innymi słowy, gdyby Garret nie istniał, problemu by nie było.

Ale problem był, bo Garret istniał. I był właśnie tutaj, choć przecież mógł odejść. Daliśmy mu taką szansę, ale on został. To był jego wybór.

– Został? A na jak długo? – zaszepotała moja smoczyca.

Oto jest pytanie. Jak długo były żołnierz Świętego Jerzego będzie przebywać w towarzystwie swoich byłych wrogów, zanim dotrze do niego, że smok i człowiek to dwie całkowicie różne istoty i nie ma sensu, by były razem?

– Garret... – Szare i pełne powagi oczy od razu spojrzały w dół, na mnie, i od razu w gardle mi zaschło. Dlatego przełknęłam, nim byłam zdolna mówić dalej: – Garret, czy to... Czy my...

Znów zamilkłam, żeby odetchnąć głęboko, i okropnie zmieszana wtuliłam twarz w T-shirt Garreta, który w ogóle się nie odezwał, tylko

objął mnie jeszcze mocniej i po prostu czekał.

Pochyliłam głowę, a nawet zamknęłam oczy, żeby przypadkiem na niego nie spojrzeć.

– Powiedz, ale tak szczerze... – szepnęłam. – Czy my robimy coś złego?

Czułam, że sztywnieje. I dalej milczał, więc teraz ja czekałam, licząc bicie jego serca pod unoszącą się miarowo klatką.

A po chwili odparł bardzo cicho:

– Nie wiem.

Zaśmiałam się, ale oczywiście tylko po to, żeby stłumić rozczarowanie. Było naprawdę wielkie, dlatego starałam się przebić je żartem:

– A ja jednak spodziewałam się innej odpowiedzi!

– Domyślam się – mruknął, delikatnie opierając brodę o czubek mojej głowy. – Ale coś mi się zdaje, że jestem najmniej odpowiednią osobą, która mogłaby ci odpowiedzieć na to pytanie. Przecież odkąd sięgam pamięcią, wbijano mi do głowy, że smoki są z gruntu złe, nie mają duszy i nic nie odczuwają, tylko potrafią doskonale naśladować ludzi. A kiedy spotkałem ciebie, zrozumiałem, że wszystko, czego mnie nauczyli, to nieprawda, a moje dotychczasowe życie wcale nie było takie, jakie być powinno. Cóż... Może byłbym bardziej szczęśliwy, gdybym nie pojechał do Crescent Beach, gdybym nadal był w Zakonie i na jego rozkaz zabijał smoki. Innymi słowy, gdybym nie znał innego życia. Tak, na pewno tak byłoby lepiej, bo ignorancja często ułatwia wszystko, i to bardzo ułatwia, przez co może być prawdziwym błogosławieństwem. Niemniej jednak niczego nie usprawiedliwia. Niczego! Także mojego dotychczasowego życia. Co z tego, że nie wiedziałem? Ale robiłem! Kiedy pomyślę o tym, po prostu mnie rozrywa. Nigdy nie wrócę do Zakonu, nigdy. Wolę być ścigany i prześladowany jak ci, których zabijałem. Wolę to, niż znów stać się żołnierzem Świętego Jerzego. Bezmózgowcem zdolnym jedynie do przelewania smoczej krwi. Skończyłem z tamtym życiem, bo spotkałem na plaży smoka, moją niedoszłą ofiarę, który okazał się całkiem inny, niż się spodziewałem na podstawie tego, czego mnie nauczono.

Ręka Garreta, która przez cały czas delikatnie głaskała mnie po

plecach, teraz uniosła się. Dłoń objęła policzek, a kciuk zaczął go głaskać, i czynił to rozkosznie, tak nieskończenie delikatnie.

– Ember, chwila, w której ciebie poznałem, była najważniejszą chwilą mego życia – powiedział cicho. – Chwilą bezcenną.

– Bezcenną, powiadasz? – Uśmiechnęłam się, choć jednocześnie jakby nagle zabrakło mi tchu. Oczywiście, że wyznanie Garreta bardzo mnie poruszyło, ale i tak, mimo wzruszenia, starałam się obrócić wszystko w żart. – Tak uważasz po tych wszystkich przyjemnościach, których musiałeś zakosztować właśnie dlatego, że mnie poznałeś? Przecież strzelano do ciebie i ścigano cię, a okrutny ochroniarz ganiał nas po całym kasynie, bo za młodzi jesteśmy na hazard!

– Nawet po tym wszystkim – powiedział, a jego oczy w tym mroku zaświeciły srebrzyście. – Bo uważam... Ja myślę, że... że zakochałem się w tobie, Ember.

GARRET

Naprawdę to powiedziałem?!

Czas zatrzymał się, a moje wyznanie jakby zawisło w powietrzu, już wypowiedziane, niemożliwe więc do odwołania, wycofać się z tych słów było nie sposób. Ember, naturalnie maksymalnie zaskoczona, zamrugała gwałtownie, a tak na moje wyczucie po prostu była bliska paniki. Lecz co się dziwić, skoro mnie, autora tego wyznania, również przytknęło. Bo niby co się dzieje? Oszalałem? Chyba tak, a przede wszystkim wylazł ze mnie brak doświadczenia w tych właśnie sprawach. Całkowity brak, bo o tak zwanych sprawach sercowych nie mam bladego pojęcia. Dlaczego? A dlatego, że byłem żołnierzem Zakonu Świętego Jerzego, gdzie obowiązywały swoiste zasady, również takie pozaregulaminowe. No więc gdybym raptem zakochał się w jakiejś dziewczynie, Tristan, mój najbliższy w Zakonie przyjaciel, wysmiałby mnie bezlitośnie. I to właśnie była jedna z tych pozaregulaminowych zasad, przestrzeganych z żelazną konsekwencją przez wszystkich żołnierzy Świętego Jerzego. Otóż w takiej sytuacji Tristan by powiedział, że wykazuję się największą głupotą, bo żołnierz Zakonu, jeśli ma już pokochać, to na pewno nie kogoś, tylko coś. Karabiny

maszynowe albo pistolety, w każdym razie na pewno coś, co zadaje śmierć. Człowiek nie wchodzi w grę. Zakon przecież stawiał na lojalność, wbijając nam do głowy, że nasze serca należą tylko i wyłącznie do Zakonu Świętego Jerzego oraz misji, które mamy wykonać. Owszem, zdarzało się, że któryś z żołnierzy miał żonę, ale była to rzadkość, ponieważ żołnierze, jak wiadomo, umierają bardzo młodo. A jeśli chodzi o żołnierzy Zakonu, to warto dodatkowo zaznaczyć, że są bezgranicznie oddani wspólnej sprawie. To jest najważniejsze, a nie zakładanie rodziny. Więzy, które łączą towarzyszy broni, są o wiele silniejsze niż wszelkie tam cielesne potrzeby, niż nasze ludzkie słabości.

Byłem całkowicie przekonany, że taka właśnie postawa jest słuszna, ponieważ stałem się tym, kogo ze mnie zrobili w czasie wieloletniego intensywnego szkolenia i wszechogarniającej indoktrynacji. A mianowicie stałem się egzemplarzem swoistego rodzaju broni. Czyli wzorowym żołnierzem.

Cóż więc mogłem wiedzieć o miłości? Nic, dlatego na sekundę zeszywniałem. Serce w piersi też jakby raptem się zmroziło. Po co w ogóle to powiedziałem? I to właśnie Ember, która mimo że teraz wygląda i zachowuje się jak zwyczajna dziewczyna, człowiekiem nie jest, lecz smokiem. Tylko i wyłącznie smokiem, bo taka jest jej prawdziwa gatunkowa natura. Istotą, która zgodnie z tym, co głosi Zakon, całkowicie pozbawiona jest uczuć, potrafi tylko znakomicie udawać, imitować człowieka. Niestety, problem polegał na tym, że ja, chociaż już nie wierzyłem tak niezachwianie w doktryny Zakonu, to jednocześnie nie bardzo znałem się na ludzkich emocjach. A już o tym, co dzieje się w sercu smoka, nie miałem bladego pojęcia.

I dlatego teraz do głosu doszedł po prostu żołnierz, pusty w środku, zawsze gotów stłumić w sobie każdą emocję. Tak, właśnie żołnierz, bo to mogło ustrzec mnie przed bólem, poniżeniem i strachem. Ewentualnych konsekwencji tego, co przed chwilą zrobiłem. Bo co ja takiego zrobiłem? Otóż całkowicie otworzyłem się przed drugą istotą, przez co stałem się kompletnie bezbronny. Był to wielki błąd, ale jest jeszcze szansa go naprawić. Wystarczy znów otoczyć się murem zupełnej obojętności i...

Nie. Wykluczone. Żadnej obojętności, bo tym razem nie mam żadnych wątpliwości. Zdaję sobie doskonale sprawę z tego, co się dzieje. Dziewczyna w moich ramionach, której przed chwilą wyznałem miłość, nie jest człowiekiem. Zakon za coś takiego na pewno okrzyknąłby mnie bluźniercą, przenieścierczym kochankiem demona, nędznym sługą szatana... Nieważne. Może faktycznie właśnie zaprzedałem duszę diabłu, skazując ją na wieczne potępienie. Może... Z tym że nie wiadomo, jak to będzie dalej. Nie miałem przecież żadnej pewności, czy Ember odwzajemnia moje uczucie. A jeśli nawet tak, to bardziej precyzyjne i szalenie ważne pytanie brzmi: Czy odwzajemnia je w taki sposób, jak dzieje się to wśród ludzi? Ja kocham ciebie, ty kochasz mnie. A przecież nie wiadomo, czy smoki w ogóle są zdolne do miłości...

Wszystkie te myśli w zawrotnym tempie przemknęły mi przez głowę, po czym równie błyskawicznie podjąłem decyzję, że mam w nosie fakt, że Ember jest smokiem. I co z tego? Przecież zarazem Ember jest śliczną, bardzo odważną i o wiele bardziej ludzką istotą niż ci wszyscy ludzie, którzy chcą wytepić jej gatunek. Nie wiedziałem, czy faktycznie, jak twierdził Zakon, znakomita większość smoków jest bezlitosna, pozbawiona skrupułów, przebiegła i żądna władzy. Niemniej jednak wiedziałem już, że nie wszystkie smoki są właśnie takie. A już Ember na pewno nie, podobnie jak Riley. Miałem przecież okazję przekonać się o tym. Tak samo te dwa pisklaki, Ava i Faith, wcale nie sprawiały wrażenia krwiożerczych i bezlitosnych potworów. A więc Zakon kłamie, Talon także, a ja już sam nie bardzo wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć, komu wierzyć. Jednego tylko byłem całkowicie pewien. Czas, kiedy wierzyłem bezgranicznie w to, co twierdzili inni, minął bezpowrotnie.

I zakochałem się w smoku.

Tak, to fakt niezbity. Zakon, gdyby się o tym dowiedział, na pewno dodałby to do wykazu moich przestępstw. Bardzo proszę, może mnie potępić, niech przeklnie, niech mnie ściga jeszcze bardziej zażarcie. Mam to gdzieś, bo po raz pierwszy w życiu nastawiony jestem zdecydowanie buntowniczo. Przez trzynaście długich lat żyłem według ich reguł, byłem wzorowym żołnierzem, ale teraz przejrzałem na oczy. Wszystkie doktryny Zakonu to jedno wielkie kłamstwo. Skończyłem

z tym. Teraz liczy się tylko ta dziewczyna, która akurat w tej chwili tuli się do mnie, jest w moich ramionach.

– Garret... – wyszeptała Ember, wpatrując się we mnie zielonymi oczami, które wyglądały wprost nadzwyczajnie, były większe niż zazwyczaj, przeogromne. Słyszałem, że jej serce bije jak szalone, podobnie jak moje, czułem, jak przebiega przez nią dreszcz, i wstrzymując oddech, czekałem na tę jakże ważną, być może najważniejszą w moim życiu chwilę, kiedy przekonam się, czy smok, którego kocham, uszczęśliwi mnie, czy też podrze moje serce na kawałeczki.

– Garret, ja nie...

Na tym koniec, bo gdzieś za nami, w tych trudnych do przeniknięcia ciemnościach, odezwała się komórka.

EMBER

Kiedy w ciszę zalegającą pokój wdarła się niegłośna melodyjka, natychmiast odskoczyłam od Garreta. Nie, wcale mnie nie zatrzymywał, tylko puścił od razu i również spojrzął na łóżko, skąd dobiegały delikatne dźwięki. Jego twarz znów była doskonale obojętna. Natomiast jeśli chodzi o mnie, to przede wszystkim trzeba wspomnieć o sercu. Biło jak szalone, właśnie tak, bo raz wolno, raz szybko. Dlaczego? Bo przede wszystkim było przerażone tym, że jestem kompletnie zdezorientowana. Nie, absolutnie nie potrafiłam określić dokładnie, co czuję do Garreta i czego tak naprawdę chcę. Jak już powiedziałam, tylko chaos i dezorientacja, żadnej radości, plus gniew mojej smoczycy. Wszystko to razem stało się mieszkanką wybuchową. Byłam pewna, że jeszcze chwila i po prostu rozerwie mnie na kawałki.

Stąd decyzja, która brzmiała następująco: nad tym zastanowię się później. Tak postanowiłam między jednym przytłumionym sygnałem komórki a drugim. Później jakoś to sobie wszystko poukładałam, ale później, koniecznie później, bo trudno, żebym zajęła się tym teraz, skoro sprawa najpilniejsza to odnalezienie zaginionych smoków, Rileya i Avy.

Faith poruszyła się na łóżku. Usiadła, poszperała w kieszeni i wyjęła komórkę.

– Halo? – odezwała się zaspanym głosem... i błyskawicznie oprzytomniała, po prostu momentalnie. Wyprostowała się, oczy jej rozbliły. Szybko odszukała mnie spojrzeniem i zsunawszy się z łóżka, wyciągnęła ku mnie rękę z telefonem, wykrzykując przy tym: – To Ava!

Błyskawicznie chwyciłam komórkę i przyłożyłam do ucha.

– Ava, wszystko w porządku? Riley jest z tobą?

– Ember, to ty?

Nie, niedobrze, bo zabrzmiało to jak zduszony krzyk, a potem Ava zadyszczanym głosem gorączkowo przekazała niedobre wieści:

– Święty Jerzy szedł za nami, teraz rozproszyli się. Nie możemy się stąd wydostać... – Potem usłyszałam dwa szybkie, nerwowe wdechy i kilka słów, po usłyszeniu których zmroziło mnie: – Przyjeżdżajcie jak najprędzej. Riley jest ranny.

Ranny?!

– A gdzie dokładnie jesteście?

– Na placu przeładunkowym. Kolejowym, już nieczynnym. To niedaleko od tego hotelu. Proszę, pośpieszcie się. My nie...

Zamilkła, a jednocześnie słyhać było wyraźnie odgłos wystrzałów.

– Ava?!

– Nadchodzą – szepnęła i połączenie zostało przerwane.

Oderwałam komórkę od ucha. Byłam wzburzona do granic, gotowa natychmiast poddać się Przemianie i wylecieć przez okno. Ale to jeszcze nie był plan! Więc co teraz? Co?! Riley jest gdzieś tam, na jakiejś stacji. Jest ranny, może umiera, a Święty Jerzy podszedł niebezpiecznie blisko. Czułam, że po prostu wpadam w panikę. Smoczyca miotła się, wrzeszczała na mnie, że koniecznie mam coś zrobić. Ale już!

– Co się dzieje? – spytała wylężnionym głosem Faith.

– Riley jest ranny – powiedziałam, mimo woli ściskając komórkę tak mocno, że jej rogi wbiły mi się w dłoń. A cała byłam spięta do granic możliwości. Skóra naprężona, w płucach ogień. – Wpadli w pułapkę i nie mogą się stamtąd wydostać. Musimy im pomóc.

– A gdzie są teraz dokładnie?

Byłam coraz bardziej spanikowana, natomiast Garret oczywiście jak zwykle był chłodny i opanowany, czym tylko jeszcze bardziej

rozjuszył moją smoczycę, domagającą się natychmiastowego przystąpienia do działania, a nie marnowania czasu na głupie gadanie. Powiedziałam więc jej, żeby wyluzowała, a o natychmiastowym starcie z okna niech od razu zapomni. Najpierw trzeba obmyślić plan działania.

Tak. Dlatego zrobiłam głęboki wdech, by uspokoić i smoczycę, i siebie, i zmusiłam szare komórki, by teraz to one przystąpiły do działania.

– Ava mówiła o nieczynnym kolejowym placu przeładunkowym, który znajduje się niedaleko tamtego opuszczonego hotelu – przekazałam Garretowi. – Nie podała jednak żadnych dokładnych namiarów. Szczerze mówiąc, kiedy stamtąd uciekaliśmy, nie widziałam żadnych torów. A ty widziałeś? O nie... – Teraz już na dnie rozpaczy, nerwowo potarłam twarz rękami. – Przecież oni mogą być wszędzie! Nie ma czasu na zastanawianie się, bo jak powiedziała Ava, Święty Jerzy depta im po piętach!

– Tak. I nie będziemy się zastanawiać. Idziemy – oznajmił Garret i szybkim krokiem wyszedł z pokoju. Ja i Faith oczywiście ruszyliśmy za nim.

Przeszliśmy przez prawie pusty korytarz. Zrobiliśmy to szybko, w takim momencie już nikt nie rozglądał się czujnie dookoła w poszukiwaniu ewentualnych wrogów.

Garret zastukał dwa razy w drzwi do pokoju Wesa.

Drzwi otwarły się i wyrzwał z nich chudy, jak zwykle rozczochrany i poirytowany Wes, teraz dodatkowo chyba wykończony, bo blady jak ściana i z sińcami pod oczami.

– Czego wy znowu... – zawarczał.

Ale Garret nie dał mu dokończyć:

– Skontaktowała się z nami Ava. Święty Jerzy osaczył ich na kolejowym placu przeładunkowym, w pobliżu opuszczonego hotelu. Trzeba to sprawdzić na planie miasta.

– O kurde... – wymamrotał Wes i szybko posunął do laptopa.

My za nim, błyskawicznie ustawiliśmy się koło krzesła, wpatrzeni w palce Wesa przemykające po klawiaturze, no i w ekran, oczywiście.

– Dobra... – mruknął po chwili, kiedy na ekranie pokazał się plan Las Vegas. – Mówicie, że chodzi o kolej? Okej, szukamy torów. Zaraz je

znajdziemy... A więc tak... My jesteśmy tutaj, a tamten hotel tutaj... A kolej... Już mam! Są tory na wschód od tamtego hotelu, już na obrzeżach miasta. A tu musi być ten plac. No nie! Rileyowi to już całkiem odbiło! Kto jak kto, ale akurat on wie najlepiej, że kiedy ucieka się przed Zakonem, najlepiej być tam, gdzie tłumy ludzi! A on chowa się w kontenerach na jakimś pustkowiu!

Wes oderwał oczy od ekranu, odchylił się w swoim krześle i spojrzął na nas.

– Więc jak...

– Jest fatalnie! – wpadł mi w słowo. – Przecież tam na pewno roi się od pogromców smoków. Wy też wpadniecie w pułapkę i szybko będzie po was.

– Nie mamy wyboru, Wes – powiedziałam. – Musimy tam iść. Riley jest ranny. A poza tym... – Zaczęłam mówić o ton głośniejszym. – Jest przecież tak, jak mówiłeś, prawda? Riley ma kłopoty, oczywiście przeze mnie. I co, zadowolony, że miałeś rację?!

– Mam czy nie mam, to nieważne, bo w żadnym wypadku nie powinniście tam jechać. Wpadniecie prosto w ich łapy i już po was! – warknął Wes, mierząc mnie płonącym wzrokiem. Zaraz jednak potem westchnął i nerwowo przeczesując włosy palcami, spytał już o wiele łagodniej: – Jak myślisz, co zrobi Riley, jeśli cię zabiją? Przecież kiedy zostałeś ranna, omal nie oszalał. A teraz, jeśli przytrafi ci się coś gorszego, Riley nigdy nie będzie już sobą, a nie zapominaj, że jest on motorem całego naszego podziemia. Czyli podsumowując, jeśli cię wykończą, oznaczać to będzie koniec naszego ruchu oporu, bo jak znam życie, Rileyowi przestanie już na tym zależeć. I dlatego... – Wes westchnął, potarł nos i dokończył głosem bardzo, wręcz krańcowo ponurym: – ...wolałbym, żebyś się jednak zastanowiła, pisklaku. Żebyś stworzyła jakiś sensowny plan działania, bo inaczej wykończą nas wszystkich. Dosłownie wszystkich!

– Nie, Wes – zaprotestował nagle Garret, i po tych jego krótkich słowach Wes skierował znużone spojrzenie w jego stronę. – Niech cię głowa o to nie boli. Znam Zakon, znam ich taktykę i doskonale wiem, co robią w danej sytuacji. Wcale nie idziemy na ślepo i zaręczam, że na pewno ich stamtąd wydostanę.

Wtedy Faith wystąpiła z nieoczekiwaną deklaracją:

– Idę z wami. Gdyby nie Ava, nigdy nie udałoby mi się uciec z Talonu. Dlatego bardzo chcę jej pomóc – oznajmiła i oczywiście głowy wszystkich natychmiast zwróciły się w jej stronę. Stała kawałek dalej blada i wystraszona, jednocześnie jednak na pobladłej twarzy wypisana była wielka determinacja.

– Nie, Faith. Wykluczone – powiedział stanowczym głosem Garret.
– Nie możesz iść z nami, bo brakuje ci odpowiedniego wykszolenia i w rezultacie zamiast skupić się na tym, co najważniejsze, cały czas trzeba będzie uważać na ciebie. A podczas bojowej akcji to wielkie obciążenie i dodatkowe zagrożenie.

Faith zbladła jeszcze bardziej.

– Proszę... – szepnęła, wlepiając we mnie oczy, jakbym to ja była jej ostatnią deską ratunku. – Nie zostawiajcie mnie. Mam tu siedzieć z założonymi rękami? Przysięgam, że nie stanę się dla was ciężarem, na pewno nie będę w niczym przeszkadzać. A Ava jest dla mnie jak siostra, więc jakże mam jej nie pomóc w takiej chwili? Może faktycznie brakuje mi specjalnego wykszolenia, ale przecież co dwa smoki, to nie jeden, prawda? Zawsze zwiększy to nasze szanse w walce ze Świętym Jerzym. Proszę, pozwólcie mi iść z wami.

Spojrzałam bezradnie na Garreta, który pokiwał głową, a potem wprawdzie bez entuzjazmu, jednak powiedział:

– Dobrze, możesz iść z nami. Ale pamiętaj, trzymamy się razem, poza tym kiedy zrobi się naprawdę niebezpiecznie, masz się ukryć, jasne? – Faith skwapliwie pokiwała głową, a Garret spojrzał na Wesa i oznajmił: – Potrzebna jest broń. Dla nich obu. Muszą ją mieć.

– Rozumiem. – Wes poderwał się z krzesła i wyciągnął z ciemnego kąta dużą torbę.

Postawił ją na łóżku, otworzył i skinął na Garreta, który podszedł do niego i zaczął uważnie lustrować zawartość owej torby. Poszperał w niej chwilę i wyjął rewolwer, który wręczył mnie. Tym razem odebrałam broń bez żadnych oporów. Sprawdziłam magazynek, wsunęłam rewolwer za pasek dżinsów i zasłoniłam T-shirtem, tak jak to podpatrzyłam u Garreta.

Byłam uzbrojona, ale wcale mi to nie przeszkadzało, tylko wręcz

przeciwnie. Bo tak właśnie być powinno, skoro zostałam żołnierzem i wyruszam na wojnę. Skoro będę walczyć o to, by uratować Rileyę i Avę.

Kiedy Garret wręczył drugi pistolet Faith, dziewczyna zbladła, ale podobnie jak ja odebrała go bez wahania. A Wes, który cały czas śledził oczami każdy ruch Garreta, wyraźnie był w rozterce. Jak go znałam, z pewnością nie był zachwycony tym rozdawnictwem broni, jednocześnie jednak doskonale rozumiał, że to konieczne. Więcej, dawało nadzieję.

– Wracajcie z Rileyem – powiedział, kiedy Garret sprawdzał swoją broń. – To najważniejsze. Bo ratując jego, ratujecie całe nasze podziemie. Ja nie potrafię tego, co potrafi Riley. Jeśli on zginie, wszystkie smoki, które uciekły z Talonu, też już nie żyją. Tak samo wszyscy ludzie wciągnięci w naszą sprawę.

– Na pewno wrócimy tu razem z nim – oznajmiłam zdecydowanym tonem, i nie było to żadne tam udawanie, tylko jak najszczerza emocja. Już czułam ten zapach, tę wielką determinację. Riley nie może zginąć. Nie ma takiej opcji. Nigdy na to nie pozwolę. Riley już był moją drugą połową. Kiedy nie było go przy mnie, czułam się po prostu niekompletna. Może i te odczucia należały przede wszystkim do mojej smoczy, ale to nieistotne. Bo tak w ogóle to nie wyobrażałam sobie, żeby świat mógł istnieć bez Rileyę.

Skierowałam wzrok na Garreta i przechwyciłam jego pełne powagi spojrzenie.

– Idziemy?

Kiwnął głową. Ruszył pierwszy, ja i Faith za nim. Wyszliśmy z hotelu na zalaną słońcem ulicę Las Vegas i kroczyliśmy dalej.

Z powrotem tam, gdzie toczyła się walka.

GARRET

Pod względem taktycznym to było koszmarne miejsce. Plac, na którym kiedyś odbywał się przeładunek towarów, usytuowany był na obrzeżach miasta i oddzielony od niego ogrodzeniem z zardzewiałej siatki i pasem gołej ziemi. Za ogrodzeniem widać było niknące w oddali

tory, a poza tym nieprzebrane ilości kontenerów poustawianych niby w szeregi, ale dość chaotycznie, w szeregi o różnej długości czy raptem zmieniające kierunek, w związku z czym tworzyły prawdziwy labirynt. Czyli idealne wręcz miejsce na zasadzkę.

– Oczy i uszy otwarte, jasne? – przykazałem po raz kolejny Ember, kiedy przykucnęliśmy za kontenerem na skraju placu. Oczywiście dookoła pustki, co wcale jednak nie znaczyło, że gdzieś tu nie ma przyczajonych żołnierzy Świętego Jerzego. – Zwłaszcza w przejściach między szeregami kontenerów. Tam, co oczywiste, jest najbardziej niebezpiecznie. Ale pamiętaj, kiedy zobaczysz żołnierza, nie atakuj. Zakon nigdy nie wysyła na patrol jednego człowieka. Widzisz jednego, ale w pobliżu jest jeszcze zawsze kilku. Dlatego w takiej sytuacji po prostu jak najszybciej znikaj.

Ember pokiwała głową. Faith, cała rozdygotana, przywarła do jej boku i niespokojnie rozglądała się wokół. Patrzyła tu i tam oczami jak u wystraszonej sarny, która znalazła się w potrzasku. A ja poczułem jednak niepokój. Ember niewątpliwie potrafi uważać na siebie, chociażby dlatego, że ma już na swoim koncie starcie ze Świętym Jerzym, poza tym przeszła szkolenie i jest po prostu odważna, nie boi się walczyć. Natomiast Faith, która tak nalegała, byśmy zabrali ją ze sobą, na pewno do walki się nie nadawała i jeśli natkniemy się na Świętego Jerzego, to nie wiadomo, czy dam radę sam obronić nas wszystkich.

Dałem ręką znak, że idziemy dalej. Poderwaliśmy się z ziemi i szybko pokonaliśmy otwartą przestrzeń placu. Oczywiście biegliśmy skuleni, i tym sposobem dotarliśmy tam, gdzie było najciemniej, czyli do najlepiej osłoniętego miejsca. To znaczy znaleźliśmy się przy pierwszym pociągu, który został tu porzucony na wieczne odpoczywanie na torach. Przyklejony do ściany wagonu, zacząłem posuwać się do przodu, w przerwach między wagonami zachowując oczywiście jak największą czujność. Zawsze przecież ktoś mógł być po drugiej stronie. Ember szła tuż za mną, tak blisko, że kiedy zatrzymywaliśmy się, czułem na szyi jej oddech, czułem ciepło jej ciała. Konsekwentnie parliśmy do przodu, niemniej jednak w którymś momencie miałem chwilę załamania. Chociaż nie, może nie tyle się załamałem, co po prostu miałem chwilę refleksji, gdy nagle dotarło do mnie z całą wyrazistością, że nie po raz

pierwszy znajduję się w sytuacji po prostu surrealistycznej, kiedy to ja, jeszcze nie tak dawno żołnierz Zakonu Świętego Jerzego – żołnierz wzorowy! – znów stanąłem do walki po stronie wrogów Zakonu. Walczę ramię w ramię z dwoma smokami, mało tego – razem z nimi, z tymi smokami, staram się uratować jeszcze dwa inne smoki!

I po co to? Po co jakieś tam refleksje, i to właśnie teraz, kiedy mam być maksymalnie skoncentrowany, bo podjąłem się naprawdę trudnego, nadzwyczaj niebezpiecznego zadania, i chwila nieuwagi może kosztować niejedno życie?

Może i tak, niemniej ta myśl, niby ulotna, powracała uparcie. Pojawiły się też różne pytania. Między innymi takie: Czy nadejdzie czas, kiedy taką właśnie sytuację, teraz dla mnie surrealistyczną, zacznę odbierać jako coś normalnego? Innymi słowy, czy wejdę w to całkowicie nie tylko rozumem, ale i do ostatniego fragmentu mej duszy i moich instynktów? Albo jeszcze takie pytanie, a jest to pytanie wprost zasadnicze: Kim ja właściwie teraz jestem? Kim? Czym?

Tak, muszę przyznać, że kłębiło się w tej mojej głowie jak chyba nigdy dotąd, a działo się to w chwili, gdy przesuwaliśmy się ostrożnie obok otwartego wagonu towarowego, przedtem naturalnie sprawdziliśmy, czy teren jest czysty.

– Gdzie oni mogą być? – wyszeptała Ember. – Przecież ten plac wygląda na całkowicie opustoszały. Gdzie mogli się schować?

– Bardzo chciałbym to wiedzieć – mruknąłem, sprawdzając, czy teren jest również czysty w kolejnej przerwie między wagonami, a także za nią, gdzie dostrzegłem wąskie przejście między rzędami kontenerów. W przejściu było ciemno i cicho. Jak na moje wyczucie – zbyt cicho, choć niczego podejrzanego nie zauważyłem. Żadnych śladów ani po człowieku, ani po kuli. Żadnych śladów walki. Ziemia między kontenerami nietknięta, co owszem, było po mojej myśli, jednocześnie jednak było nad wyraz niepokojące. A tak, bo żołnierze Zakonu byli szkoleni do nagłego ataku i nagłego zniknięcia, a jeden z podstawowych kanonów głosił, że nie wolno pozostawiać żadnych śladów swej bojowej działalności. I żołnierze wykonywali to perfekcyjnie, ale mimo to i tak bym coś zauważył. Coś, co świadczyłoby, że tędy przeszedł człowiek. A tu nic, kompletnie nic. Czyli Ember miała rację, twierdząc, że ten

teren musi być całkowicie opustoszały.

– A co z tym budynkiem? Przecież Riley i Ava mogli schować się właśnie tam! – odezwała się nagle Faith, wskazując palcem wielką prostokątną budowlę, która stała za labiryntem torów i rzędów kontenerów i w której niewątpliwie mieściły się składy.

Pokręciłem głową.

– Tam? Przecież to jedno z miejsc, które Zakon rutynowo by przeszukał już na samym początku. I na pewno tak zrobił. Więc jeśli schowali się właśnie tam, to na pewno wpadli w zasadzkę albo...

Nie, nie powiedziałem na głos, o co mi dokładnie chodzi, ale Ember zorientowała się od razu. Czuję przecież, jak cała sztywnieje. I ten jej wdech, głośny, krótki i bardzo znamieny.

– W takim razie trzeba koniecznie sprawdzić ten budynek – powiedziała głosem nabrzmiałym i gniewem, i strachem.

Naturalnie nie bała się o siebie. Wiadomo, o kogo, i była gotowa zrobić wszystko, o czym świadczyły zacięta mina i bardzo twarde spojrzenie. Bała się o Avę i Rileyę, bała się o to, co będzie, jeśli ich nie znajdziemy. Albo jeszcze gorzej. Jeśli znajdziemy ich martwych. Jeśli będziemy oglądać taki właśnie krajobraz po bitwie, do którego byłem przyzwyczajony, bo oglądałem go już niezliczoną ilość razy. Dymiące zgliszcza, zwęglone szczątki ludzi, martwe smoki w kałużach krwi. O nie! Bardzo nie chciałem, żeby Ember coś takiego zobaczyła, przekonała się na własne oczy, co Święty Jerzy robi smokom.

– Idziemy – powiedziała, zrywając się na równe nogi. – Przecież mogą tam być, może też być Święty Jerzy! Może nie jest jeszcze za późno i uda nam się im pomóc. A jeśli... jeśli będzie jednak za późno, jeśli ich już zabili, to... – W oczach Ember błysnęło. Byłbym przysięgł, że gdzieś pod jej skórą też błysnęło, niewątpliwie w oczach rozjuszonej czerwonej smoczycy, i wtedy nagle wokół Ember zrobiło się dziwnie ciepło, niemal gorąco. Powietrze było rozedrgane, a Ember bardzo mocno zacisnęła zęby, a potem wysyczała: – ...to Święty Jerzy będzie miał do czynienia z jeszcze jednym smokiem!

– Ember, zaczekaj!

Kiedy złapałem ją za ramię, wyczułem, jak pod jej skórą formują się już twarde łuski, i stawały się coraz większe. Trwało to jednak tylko

mgnienie oka. Łuski znikły, niemniej jednak kiedy zwróciła się twarzą ku mnie, jej spojrzenie nie było spojrzeniem Ember, tylko patrzył na mnie rozwścieczony smok.

– Ember, uspokój się – powiedziałem cicho, tłumiąc emocje. – Chcesz sama spisać siebie na straty? W tych składach nie wygrasz ze Świętym Jerzym. W takich miejscach, co sama dobrze wiesz, jest mnóstwo zakamarków i wąskich przejść. Bardzo łatwo jest się zgubić, a jeszcze łatwiej wpaść w zasadzkę. Zapewniam cię, że Święty Jerzy potrafi znakomicie wykorzystać takie właśnie warunki i w rezultacie wcale nie pomożemy Rileyowi, tylko sami padniemy ofiarą Zakonu. Zmuszą nas, byśmy się rozdzielili, a potem każdego z nas wykończą. Zrobią to zgodnie z zasadami taktyki, systematycznie i skutecznie. I tyle z tego będzie.

Ember, jak wiadomo, istota nieludzko uparta, uniosła wyżej głowę. A ja delikatnie przyłożyłem dłoń do jej policzka.

– Wierzysz mi? – spytałem równie cichym głosem.

– Tak – szepnęła.

Powiedziała to bez chwili wahania, nawet chwili najkrótszej, a wtedy poczułem, jak wzruszenie ściska mnie za gardło. Ember ufa mi, ufa byłemu pogromcy smoków!

Rzecz jasna szybko stłumiłem w sobie te jakże teraz niepotrzebne emocje i skupiłem się na sprawie zasadniczej.

– Obiecuję ci, że wydostaniemy stamtąd Rileya. I jego, i Avę – powiedziałem, choć nigdy nikomu niczego nie przyrzekałem z prostej i oczywistej przyczyny. Nigdy nie wiesz z góry, czy będziesz w stanie dotrzymać obietnicy. Ale teraz nie mogłem postąpić inaczej, bo Ember patrzyła na mnie tak, że musiałem jej powiedzieć właśnie to. A potem przeszedłem do konkretów: – Zrobię wszystko, by im pomóc, ale problem w tym, że wiem aż za dobrze, co może się stać, jeśli nie będziemy wystarczająco ostrożni. Jak powiedziałem, w tamtych składach Zakon ma nad nami ogromną przewagę, bo mają idealne warunki do zrobienia zasadzek i zaatakowania. Jeśli damy się zaskoczyć, nie mamy żadnych szans.

– Chwileczkę! Chyba zapomniałeś, że miałam już okazję się wykazać! – wykrzyknęła z tak wielkim oburzeniem, że z trudem

powstrzymałem uśmiech.

Bo i jakże mogłem zapomnieć, kim jest Ember i jak wspaniale wykazała się już podczas walki.

– Niczego nie zapomniałem – odparłem. – Nie zapominam więc również o tym, że mamy do czynienia z Zakonem Świętego Jerzego, który zrobi wszystko, by nas wykończyć. Ember, dlatego bardzo chcę, byśmy doszli do porozumienia, bo jak mam pomóc Rileyowi, kiedy jednocześnie będę musiał się martwić o ciebie i Faith?

Na moment stężała, ale potem pokiwała głową.

– Dobrze, Garret – powiedziała półgłosem. – Koniec dyskusji. Mów, co mam robić.

– Właśnie to. Robić, co powiem. Poza tym żadnej Przemiany, chyba że od tego będzie zależeć twoje życie, jasne? – Spojrzałem na drugą smoczycę, która jak zwykle wyglądała na wystraszoną. – Słyszałaś, Faith? To samo dotyczy również ciebie. Dasz radę?

– Dam – szepnęła drżącym głosem, jednocześnie jednak wyprostowała się i spłoszone spojrzenie jakby nieco stwardniało. – Dam radę. Ty prowadzisz, my za tobą. Robimy, co każesz.

Przeszliśmy przez tory, manewrując między wagonami, i naturalnie starając się być niewidoczni. Jednocześnie przez cały czas lustrowałem wzrokiem otoczenie, szukając śladów stóp, śladów krwi czy odprysków po kulach. I nic, więc w końcu, kiedy przykucnęliśmy za kontenerami stojącymi już tylko kilka metrów od składów, zapytałem:

– Ember, czy Ava na pewno miała na myśli to właśnie miejsce? Skwapliwie pokiwała głową.

– Na pewno. Kolejowy plac przeładunkowy niedaleko opuszczonego hotelu. Stary plac, już nieczynny... – powiedziała, przemykając spojrzeniem po skrawku ziemi dzielącym nas od składów. – Powiedziała też, że Riley jest ranny i muszą się ukryć, bo żołnierze Świętego Jerzego już nadchodzą.

Czyli potwierdziła to, co już wiedziałem od niej, ale i tak czułem, że coś jest nie tak. Gdybym nie miał pewności, że to jedyny nieczynny już kolejowy plac przeładunkowy w tym mieście, na pewno bym pomyślał, że nie jesteśmy tam, gdzie powinniśmy być. Że to nie jest to miejsce. Niemniej byliśmy tutaj, właśnie tutaj, więc o wycofaniu się nie

ma mowy. Musimy sprawdzić nie tylko cały plac, co już jako tako zrobiliśmy, ale i tamten budynek, i przekonać się, czy Riley i Ava istotnie tam są. Dopiero kiedy nabierzemy całkowitej pewności, że ich tam nie ma, można zarządzić odwrót.

Kiedy podchodziliśmy do składów, wszędzie panowała idealna cisza. I spokój. Doszliśmy do ściany, potem, przyklejeni do niej, przesuwaliśmy się wzdłuż budynku, szukając wejścia. W kilku oknach szyby były wybite, puste otwory okienne zasnuły pajęczyny, czyli od bardzo dawna nikt przez te okna nie wchodził. A za brudnymi szybami widać było mroczne wnętrza zapchane kartonami, pudłami i skrzyniami prawie pod sufit. Dlatego moja żołnierska intuicja nadal podpowiadała, że coś tu jest nie tak. Stanowczo nie tak, bo jak raptem mieliby tu się schować, w tym miejscu po prostu wymarżonym do ataku z zaskoczenia czy zrobienia zasadzki. Nie, coraz bardziej mi się to wszystko nie podobało. A dostać się do środka wcale nie było łatwo. Wielkie, masywne żelazne drzwi były zamknięte na cztery spusty, na pewno nie dałoby się rady otworzyć ich palnikiem. Ładunkiem C-4 też chyba by się wiele nie działo. Dlatego nadzieja, że odnajdziemy Avę i Riley, gasła w zawrotnym tempie...

I nagle usłyszałem krzyk Faith:

– Ava! Ava! Zaczekaj!

Zawołała i zanim zdążyłem ją powstrzymać, pognąła przed siebie do kolejnych drzwi, których jeszcze nie zauważyłem. Drzwi, jak się okazało, otwartych.

– O nie! Jeszcze ją zabiją! – krzyknęła Ember i popędziła do tych drzwi.

Ja naturalnie razem z nią, ramię w ramię, klnąc przy tym w duchu. Przebiegliśmy przez próg i znaleźliśmy się w ogromnym mrocznym magazynie, wśród zapachu kurzu, drewna i żelaza, w labiryncie z palet i kontenerów sięgających sufitu.

I ani śladu Faith. Uniosłem broń i skinąłem na Ember, by podobnie jak ja przysunęła się do ściany. Zrobiła, co kazałem, i ruszyliśmy przed siebie, obchodząc wielkie stosy palet. Po chwili usłyszeliśmy coś, a mianowicie odgłos lekkich kroków pobrzmiwający gdzieś daleko, tak daleko, że trudno powiedzieć, z której strony dochodził.

– A niech to... – mamrotała Ember. – Dokąd ona poszła? Dokąd?

Nagle zmroziło nas, bo w tej ciszy i mroku rozległ się przeraźliwy krzyk, zaraz potem coś huknęło i słysząc było odgłosy szamotaniny. Ember wyrzuciła z siebie kilka słów w języku smoków, czyli niewątpliwie zaklęła, i rzuciła się do przodu. Kiedy mijala mnie, widziałem jej oczy, które w mroku wyglądały jak dwa zielone światła. Pognałem za nią wąskim przejściem między paletami i kontenerami i po chwili dobiegliśmy tam, gdzie nie było już żadnych labiryntów, tylko wielka otwarta przestrzeń. Na wylanej cementem posadzce leżało zaledwie kilka palet i był jeden wózek widłowy.

– Faith... – syknęła Ember i unosząc broń, zaczęła skradać się do przodu. – Gdzie ty...

I wtedy z mroku wynurzyła się jakaś postać. Ciągnęła kogoś ze sobą, wyraźnie zmierzając w stronę światła. Kiedy zobaczyłem wielkie, pełne przerażenia oczy, zamarłem.

Oczy Faith.

Jakiś mężczyzna w czarnym garniturze popychał ją do przodu. Jedną ręką trzymał za szyję, w drugiej ręce dzierżył broń wycelowaną w skroń.

Nagle rozbłysło wiele światel rozpędzających mrok, dzięki czemu widziałem dokładnie, jak nadchodzi kilku uzbrojonych mężczyzn. Każdy z karabinem M16 wycelowanym w nas, w Ember i we mnie.

RILEY

Ava położyła komórkę na stole i spojrzawszy na mnie, uśmiechnęła się nawet miło.

– Wygodnie ci, Cobalcie? Może chcesz coś powiedzieć, zanim zaczniemy? – spytała, po czym nie czekając na odpowiedź, włączyła lampę stojącą, kierując światło na moją twarz.

Zmrużyłem oczy, ale głowy nie przekręciłem, o nie.

– Nie mam nic do powiedzenia. A siedzi mi się całkiem znośnie – odparłem nonszalancko, starając się też wzruszyć ramionami, co nie było łatwe, skoro ręce miałem przerzucone za oparcie krzesła i skute wyjątkowo wrednymi plastikowymi kajdankami, które wrzynały się

w nadgarstki. – Chociaż obsługę macie tu nie najlepszą. Zamówiłem drinka „Spieprzaj, talońska suko” i czekam już chyba z godzinę.

W zamian za to znów zostałem nagrodzony uśmiechem, takim pobłażliwym.

– Niestety, brawurą i wulgaryzmami niewiele sobie pomożesz.

Obeszła stół, spoglądając na mnie tak, jakbym był na przykład wyjątkowo trudnym zadaniem z matematyki, wzięła leżącą na końcu stołu strzykawkę i wróciła do mnie.

– Podejrzewam, że wiesz, Cobalcie, co ci zaaplikowałam – oznajmiła niemal radośnie.

– Na moje wyczucie to dractylpromazine, zwany też dractylem.

Czyli specyfik wyprodukowany w laboratoriach Talonu z wykorzystaniem nie tylko wiedzy naukowej, ale i magii. Środek uspokajający o wyjątkowo silnym działaniu na smoki, wprowadzający na jakiś czas smoczą część w stan uśpienia, w związku z czym dokonanie Przemiany i powrót do pierwotnej postaci stawało się niemożliwe. Była to jedna z najgroźniejszych broni Talonu przeciwko własnemu gatunkowi, utrzymywana w najgłębszej tajemnicy i używana tylko w szczególnych okolicznościach. Tak, to na pewno było to. Przecież kiedy się ocknąłem, od razu próbowałem poddać się Przemianie, ale mój smok prawie się nie poruszył. Był ospały, jakby dopiero dochodził do siebie po długim okresie hibernacji, dlatego od razu zorientowałem się, że to nie jest takie zwyczajne porwanie, że ten, kto mnie porwał, wie bardzo dobrze, kim jestem i jak wytrącić mi z ręki moją najskuteczniejszą broń. Czyli wiadomo kto. Talon. Innymi słowy, miałem naprawdę wielki problem.

– Zgadza się – powiedziała Ava, odkładając strzykawkę na stół. – A więc wiesz już też, że ucieczka jest niemożliwa. Lek działa mniej więcej przez trzy godziny, a ja mam tego leku sporo i mogę go zaaplikować jeszcze kilka razy. Nikt spośród twoich przyjaciół nie wie, gdzie jesteś. Twoją komórkę wyłączyłam, więc twój przyjaciel haker nie będzie w stanie jej zlokalizować. Dlatego porzuć wszelką nadzieję, nikt nie przyjdzie ci z pomocą... – Ava odeszła od stołu i stanęła tuż przede mną. – To wcale nie musi być takie trudne, Cobalcie. Jak sam świetnie to rozumiesz, będę aż do bólu konsekwentna. Muszę dostać to, czego chcę,

i stanie się to prędzej czy później. Tylko od ciebie zależy, jak długo to będzie trwało. Czy pójdzie gładko, bez problemów, czy też, jak już wspomniałam, zaboli.

A ja po prostu uśmiechnąłem się, po czym odparłem:

– Rozumiem. To taki wstęp. Przeciwnikowi odbiera się wszelką nadzieję, wbija do głowy, że nie ma już żadnych szans, że pod każdym względem masz nad nim przewagę. Robi się to po to, by przeciwnik poczuł się całkowicie bezbronny, przez co będzie bardziej podatny na twoje sugestie.

Wyraźnie zaskoczona Ava zamrugła, a mój uśmiech na pewno zdecydowanie poszerzał.

– Podstawowe zasady wojny psychologicznej, pisklaku! – perorowałem dalej. – Na ten temat wiem jednak chyba trochę więcej niż ty, i jeśli chcesz, żeby te sztuczki psychologiczne na mnie podziałały, musisz się bardzo postarać. I bez obaw. Wytrzymam, choćbyśmy mieli się tak zabawiać przez całą noc!

– A... Czyli coś ci w głowie zostało po szkoleniach na Bazyliuszka! No popatrz, a ja, kiedy się poznaliśmy, byłam pewna, że jesteś zwyczajnym bandziorem, któremu dopisuje szczęście. Tak! Kompletnie zapomniałam, że w Talonie uważany byłeś za jednego z najlepszych agentów.

– Owszem, byłem, ale jak teraz widzę, moje umiejętności nie cieszyły się jednak w Talonie zbyt wielkim uznaniem, skoro nasyłają na mnie pisklaka, żeby wykonał zadanie Żmii. Ale cóż... Może powiesz mi, jak naprawdę się nazywasz? Skoro mamy razem spędzić tę noc, przynajmniej to możesz mi zdradzić.

Przez chwilę patrzyła na mnie, potem nieznacznie wzruszyła ramionami.

– Czemu nie? – mruknęła. – Teraz to już nie ma żadnego znaczenia. A więc... Moje prawdziwe imię to Mist.

– Mist... Aha... Jesteś bardzo młoda, a robisz coś takiego, nie mając wsparcia. Czyżby to był twój egzamin, pisklaku? A może wszyscy prawdziwi agenci mordujący bezbronne pisklaki raptem zapadli w sen?

Na tę szczyptę ironii zareagowała nikłym uśmiechem.

– Próbujesz mnie zezłościć, żeby wydobyć ze mnie jakies

informacje, tak? Niestety, nie uda ci się to, Cobalcie. A tak w ogóle to po co pytasz, skoro odpowiedź znasz równie dobrze jak ja!

Oczywiście nie mogłem nie przyznać jej racji. Przecież wiedziałem doskonale, że Talon nie mógł naśląć na mnie prawdziwego agenta, ponieważ wszystkich ich znałem. Gdyby w Las Vegas pojawiła się na przykład Lilith albo inna znana mi Żmija, już by mnie tu nie było. Wyjechałbym natychmiast, no, chyba że musiałbym stracić trochę czasu na przekonanie pewnego rudowłosego i bardzo upartego pisklaka, by jechał ze mną. Tak więc nie mogła być to żadna Żmija, w ogóle żaden smok, jakiego znałem w moim poprzednim życiu. Żaden Bazyliszek, Kameleon czy Heloderma. Znałem ich wszystkich i żadnemu z nich, delikatnie mówiąc, nie ufałem, o czym Talon doskonale wiedział. Dlatego naślano na mnie pisklaka, którego nigdy przedtem nie widziałem, czyli kogoś, kto absolutnie nie będzie dla mnie podejrzany.

Szczerze mówiąc, to powinienem był coś takiego przewidzieć. Talon przecież był coraz bardziej wkurzony moją działalnością. Strata jednego czy dwóch pisklaków rocznie była dla niego odczuwalna, skoro ogólna liczba smoków wcale nie była imponująca. Liczyłem się więc z tym, że pewnego pięknego dnia naślą na mnie jakąś wyjątkowo morderczą Żmiję. A ja sobie z nią poradzę. Oczywiście! Ale Talon, ten nadzwyczaj przebiegły mistrz manipulacji, postanowił uderzyć w mój najbardziej czuły punkt. Wysłał dwa pisklaki, istoty niby bezbronne i niby szukające u mnie pomocy. A ja, skończony debil, dałem się na to nabrać. Byłem zbyt pewny siebie i teraz przyszło mi za to zapłacić.

Na szczęście również miałem w zanadrzu kilka sztuczek, które w takiej sytuacji mogły okazać się przydatne.

– Trzeba przyznać, że odegraliście to wszystko rewelacyjnie – powiedziałem, spoglądając na Avę czy tam Mist. – Ci niby-żołnierze Świętego Jerzego, zasadzka i tak dalej. Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem.

Mist nie odzywała się, więc też zamilkłem, a po krótkiej chwili wydałem z siebie głębokie westchnienie.

– No cóż... Będziemy się tak zabawiać jeszcze całą noc... – mruknąłem, dyskretnie wsuwając palce jednej ręki pod rękaw okrywający rękę drugą. A wsunąłem je po to, by dotrzeć do nadgarstka

zniewolonego kajdankami. – Możemy już zaczynać? Szczerze mówiąc, jestem wykończony i chciałbym mieć to jak najszybciej za sobą. Dlatego może zdradzisz już, czegoś to takiego chcesz ode mnie. To znaczy wiadomo, że nie tyle ty, tylko czego chce ode mnie Talon.

Mist uniosła brwi, niby zaskoczona, a ja oczywiście zrobiłem odpowiednio zboląłą minę, po czym skomentowałem po swojemu to zdarzenie:

– Nie udawaj, że jesteś zdziwiona moim pytaniem. Przecież to oczywiste, że gdyby organizacji zależało tylko na mojej śmierci, nie zadawałaby sobie tyle trudu z tą całą waszą mistyfikacją, nie zwabialiście mnie tutaj. Krótko mówiąc, ten cały cyrk byłby niepotrzebny. Dlatego ponawiam moje pytanie. Czego Talon chce ode mnie?

Mist odsunęła się od stołu. Jej spojrzenie było bardzo twarde, po uśmiechach pozostało tylko wspomnienie, a głos był lodowaty.

– Lokalizacja twoich kryjówek – oznajmiła. – Wszystkich, co do jednej. Gdzie się znajdują, ile smoków mieszka w danej kryjówce, ilu ludzi pracuje dla ciebie. Jeśli przekażesz nam te informacje, większość zbiegłych pisklaków przeżyje.

– Czyżby? – wysyczałem, a potem oczywiście roześmiałem się. – A więc tego chce ode mnie Talon! Mam zdradzić wszystkie zbiegłe smoki i ludzi, którzy od lat chronią je przed organizacją! Mam to zrobić? Nie, na pewno nie. Bo jeszcze nie oszalałem!

– Ależ, Cobalcie... – Teraz Mist odezwała się całkiem innym tonem, niegłośnie i bardzo łagodnie. – Przecież te pisklaki powinny wrócić do Talonu. Przecież to takie logiczne, takie oczywiste. Wrócić tam, gdzie ich miejsce, gdzie naprawdę będą bezpieczne. Gdzie na pewno będzie im lepiej niż z tobą, kiedy ciągle muszą się ukrywać i uciekać, żyć w ciągłym strachu, drżeć na myśl, że w środku nocy przyjdzie po nich Talon. Po co im takie życie?

– Po to, żeby być wolnym, a nie żyć pod dyktando! Być kimś, kim każe być organizacja i przez całe życie wykonywać jej rozkazy! Nic poza tym! Tak! Teraz żyją inaczej, bez widma Talonu, który natychmiast wysuwa szpony, gdy tylko przekroczy się wyznaczoną przez niego granicę! Teraz mogą myśleć, co chcą, mogą same decydować o swojej

przyszłości. Nikt nie zmusza ich, by przez całe życie odgrywały rolę narzuconą przez organizację, tylko i wyłącznie służąc Talonowi, pod jego dyktando, jak powiedziałem. Ty też nie jesteś tutaj z własnej woli, tylko wykonujesz rozkazy, i to bez szemrania. Jeśli każą ci na przykład zdradzić innego smoka albo porwać go i przesłuchać, zrobisz to, nie zadając żadnych pytań. Jesteś pionkiem w ich ręce. Kojarzysz?

Mist przechyliła głowę na bok. Wyglądała na kompletnie zbitą z tropu, jakby nie rozumiała, skąd u mnie ta napastliwość, skoro ona w tym wszystkim, o czym mówiłem, nie widziała nic złego.

Dlatego dodałem jeszcze:

– Nie każdy smok chce, by jego życiem kierował Talon. Chce być wolnym. A przynajmniej mieć jakąś możliwość wyboru. – Westchnąłem ciężko, beznadziejnie świadomy, że moje wywody to tylko strata czasu, ponieważ wyprany mózg Mist nie jest w stanie pewnych rzeczy zrozumieć.

Popatrzyła na mnie z niedowierzaniem.

– Wolność! – wykrzyknęła. – Mówisz o wolności, o tej niby-wolności, a dobro całego naszego gatunku, możliwość jego przetrwania masz za nic! Ile pisklaków straciło życie, bo zabrałeś je z organizacji do nowego i kompletnie nieznanego im świata, w którym nie potrafiły egzystować? Bez Talonu, bez jego możliwości, pisklaki są bezbronne nie tylko wobec Zakonu, ale także wobec ludzi. A jeśli chodzi o ludzi, to doskonale wiesz, że nie możemy dopuścić, by dowiedzieli się o nas. A ty, uprowadzając pisklaki do ich świata, możesz w końcu do tego doprowadzić. Dlatego koniecznie trzeba coś z tym zrobić.

– A... rozumiem. Ale dlaczego właśnie teraz? Przecież robię to już od lat i Talonowi jakoś to specjalnie nie przeszkadzało. Owszem, parę razy nasłano na mnie Żmije, ale na tym się skończyło. Skąd więc to nagle zainteresowanie moją skromną osobą właśnie teraz?

– A tego, niestety, nie mogę ci powiedzieć.

– Nie? No cóż... W takim razie jesteśmy w impasie – oświadczyłem, rozsiadając się na krześle na tyle wygodnie, na ile pozwalały ręce skute plastikowymi kajdankami. – Bo ja z kolei nie mam najmniejszego zamiaru zdradzić wam, gdzie znajdują się moje kryjówki. Powodów jest kilka, ale również dlatego, że doskonale wiem, że zaraz

potem mnie wykończycie. Dlatego nie dziw się, że wcale nie jestem chętny do współpracy.

Mist potrząsnęła głową.

– Szkoda. Miałam wielką nadzieję, że tak się jednak stanie – powiedziała, odwracając się do stołu. – Że wykazesz się rozsądkiem i zrozumiesz, co jest istotne dla przetrwania naszego gatunku.

Pochyliła się i wysunęła spod stołu stolik na kółkach zasłonięty dużym ręcznikiem. Nie, wcale nie ukrywam, że kiedy to zobaczyłem, poczułem ciarki na plecach.

– To twoja ostatnia szansa, Cobalcie – powiedziała, biorąc w palce róg ręcznika. – Wiesz dobrze, że nikt cię nie usłyszy, nikt nie przyjdzie ci z pomocą. I nie łudź się. Wydobędę z ciebie to wszystko, co tylko chcę wydobyć. Pewnie jesteś ciekaw, ile czasu będzie to trwało? – spytała z lekką drwiną. – A to już zależy tylko od ciebie.

Sięgnęła pod ręcznik, wyjęła spod niego następną i złowrogo połyskującą strzykawkę, po czym położyła ją na stole obok strzykawki z dractylem. Na widok tej właśnie strzykawki, tej połyskującej, po prostu mnie zmroziło.

– Albo wszystko odbędzie się szybko i bezboleśnie – mówiła dalej Mist – albo, co stwierdzam z niejakim żalem, trochę się przeciągnie, może nawet do rana. Wszystko zależy od ciebie, Cobalcie. A więc jak będzie?

Serce waliło mi jak młot, zrobiłem więc najpierw bardzo głęboki, uspokajający wdech, a potem, patrząc Mist prosto w oczy, oznajmiłem:

– A wiesz, mam wrażenie, że to wszystko nie bardzo ci jednak pasuje. Mówię o tym, co właśnie masz zrobić. Więcej, sądzę, że wcale nie masz na to ochoty, bo do tego rodzaju roboty trzeba mieć takie specjalne nastawienie, pewien określony sposób myślenia. A ty, moim zdaniem, taka nie jesteś...

Mist zmarszczyła brwi, milczała jednak.

Brnąłem więc dalej:

– Możesz odejść, Mist. Wcale nie musisz żyć tak dalej. Talon wcale nie musi kontrolować każdego twego kroku. Chodź z nami. Pokażę ci, jak to jest, kiedy jest się smokiem wolnym.

Zawahala się, i to na pewno, bo po twarzy przemknął cień,

a spojrzenie nie było już takie twarde.

A ja, nie zważając na to, że kajdanki wrzynają mi się w skórę, nachyliłem się ku niej.

– Przecież wiem, że wcale nie chcesz tego robić, Mist. Tego, co ci kazali – powiedziałem bardzo łagodnie, a ona spojrzała na mnie ze złością. Ja natomiast mówiłem prawie przymilnie: – Mist, wysłuchaj mnie. Nie jesteś ich własnością. A jesteś taka bystra, taka dzielna, taka pomysłowa. Jesteś jednym z najinteligentniejszych znanych mi smoków. I pomyśl, że wszystkie te twoje zalety są niewykorzystane. A tak wiele mogłabyś zrobić dla innych smoków, ale by tak się stało, musisz zacząć myśleć samodzielnie, kiedy to już nie Talon pociąga za sznurki, tylko ty sama. Zdejmij mi te kajdanki i chodźmy stąd. Nie pożałujesz.

– Mylisz się – powiedziała Mist znów twardo, zdecydowanie. Spojrzenie też już nie to, choć tak samo niebieskie. Ale znów lodowate. – Jestem tu po to, by wykonać zadanie, które powierzył mi Talon. I nie zawiodę organizacji. Potrzebuję od ciebie pewnych informacji, a ponieważ nie chcesz współpracować, zmuszona jestem zastosować dodatkowe środki.

Wzięła ze stołu tę drugą, połyskującą złowrogo strzykawkę, i wbiła mi igłę w szyję. Szarpnąłem się mimo woli, ale zacisnąłem zęby i dalej gorączkowo operowałem pod rękawem, przy kajdankach, starając się ich pozbyć. W tym czasie Mist wlała do moich żył całą zawartość pojemniczka, wyjęła igłę i odłożyła strzykawkę na stół.

– A co to takiego? – warknąłem.

– Pentotal sodu – poinformowała Mist, wycierając ręce ręcznikiem. – To znaczy specjalna wersja tego leku opracowana w laboratoriach Talonu. Przeznaczona do stosowania na smokach. Ostatnio nasi naukowcy, korzystając zarówno z wiedzy naukowej, jak i z magii, odnoszą wielkie sukcesy. Środek ten jest jeszcze w fazie eksperymentalnej, ale wyniki są bardzo zachęcające.

Pentotal sodu, czyli serum prawdy! Zatem niedobrze, po prostu fatalnie. Smoki zasadniczo są odporne na działanie nowoczesnych leków. Na alkohol odporne są jeszcze bardziej. Mogą wlewać w siebie takie ilości, które człowieka by zabiły. Niemniej jednak ta smocza odporność ma swoje granice. Jeśli zaaplikuje się mu odpowiednią

dawkę, lek podzielała na niego tak samo jak na człowieka.

– O proszę, nagle zrobiłaś się bardzo rozmowna. Czyżby to ciebie kłuli, nie mnie? – mruknąłem, dalej operując przy jednym z nadgarstków, ściślej przy mankiecie kurtki. Gdzie, do cholery, jest to, czego szukam? Gdzie?! Muszę to koniecznie znaleźć, zanim stanę się tak bardzo ogłupiały, że nie będę już mógł niczego zrobić!

W tym momencie Mist patrzyła na mnie jak prawdziwa profesjonalistka, czyli doskonale obojętnie.

– Powiedziałam ci to tylko po to, byś wiedział, że nie ma sensu się opierać. Najlepiej będzie dla ciebie, gdy jak najszybciej udzielisz odpowiedzi na moje pytania. Jeśli będziesz się ociągał i kręcił, tylko pogorszysz swoją sytuację. Początkowo miałam zamiar cię przesłuchać, stosując dawne metody, ale zmieniłam zdanie, ponieważ na pewno jesteś bardzo odporny na ból. A Talon chce mieć te informacje jak najszybciej. Tak więc odczekamy kilka minut, aż serum zacznie działać, a potem się przekonamy, jak wyglądać będzie nasza współpraca.

Zamilkła i stała sobie oparta o stół, więc teraz ja zabrałem głos. Oczywiście zrobiłem to tylko po to, by zyskać na czasie.

– Nie sądziłem, że Żmije zajmują się taką robotą. Przecież jesteście od zabijania! Czyżby Lilith postanowiła rozszerzyć działalność?

I wtedy na twarzy Mist pojawił się uśmieszek. I był to taki uśmieszek, że nie po raz pierwszy mnie zmroziło.

– Myślisz, że jestem Żmiją? A dlaczego mam nią być? Podobnie jak ty zostałam wyszkolona na Bazyliszka. Ale nie martw się... – Mist na moment zawiesiła głos i krzyżując ramiona na piersi, oparła się o stół.

– Tak się składa, że Talon wysłał więcej niż jednego agenta. I Żmija pojawi się tu niebawem. Owszem, pojawi się, żeby dokończyć robotę.

EMBER

– Rzućcie broń!

Niski i rozkazujący głos w pustce magazynu odbił się szerokim echem. Oczywiście zeszywniałam, wpatrując się w otaczających nas mężczyzn. Nie, to nie byli żołnierze Świętego Jerzego. Na pewno nie. Nie mieli na sobie mundurów bojowych, tylko czarne biznesowe

garnitury i można by ich wziąć za ochroniarzy albo agentów FBI. Niemniej jednak byli uzbrojeni, ich karabiny były jak najbardziej realne i niewątpliwie wycelowane we mnie oraz Garreta. A więc...

To nie Święty Jerzy. To Talon.

Mężczyzna, który trzymał Faith, przekrzywił pistolet i prawie wbił lufę w jej skroń. Faith krzyknęła przeraźliwie, a on warknął:

– Mówię po raz ostatni! Rzucić broń! Ręce na głowę!

Oczywiście, że zaklęłam, po czym szybko spojrzałam na Garreta. On zaś, uznając przewagę przeciwnika, opuścił broń. Płoczył pistolet na cementowej posadzce, wyprostował się i założył ręce za głowę. No cóż... Nie pozostawało mi nic innego, jak zrobić to samo. Co prawda nie położyłam pistoletu, tylko wydając z siebie cichy pomruk, rzuciłam go na cement, ale tak czy inaczej, pozbyłam się go, a potem tak samo jak Garret założyłam ręce za głowę. Mężczyźni z karabinami natychmiast otoczyli nas półkolem, zmuszając, byśmy zaczęli iść przed siebie. Karabiny oczywiście nadal były w nas wycelowane, a mężczyźni, wciąż bardzo czujni, starali się zachować bezpieczną odległość. Bali się konfrontacji ze smokiem? Oczywiście! Wiedzieli doskonale, z kim mają do czynienia.

I w taki oto sposób zostaliśmy podprowadzeni do agenta, który trzymał Faith. Nie, nie, wcale się do nas nie uśmiechnął. W jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. Nadal trzymał Faith w żelaznym uścisku, z tym że oczywiście jego wzrok utkwiony był w nas, w Garreta i we mnie. A mój umysł pracował gorączkowo. Tak, Talon przyszedł tu po mnie. Na pewno. Nie po Faith, nie po Garreta, tylko po mnie. Dlaczego? A tego to już nie wiedziałam. Ale byłam dziwnie pewna, że chodzi właśnie o mnie.

Spojrzałam na Faith, a ona na mnie. Była blada i przerażona, patrzyła błagalnie. Zrób coś, błagam, zrób!

Zrobiłam. Wysunęłam się o krok do przodu i natychmiast wszystkie karabiny zostały wycelowane we mnie. A ja, wpatrując się w idealnie nieruchomą twarz agenta, wystąpiłam z taką oto prośbą:

– Puść ją. Wypuście ich oboje, przecież nie są wam potrzebni. Bo niby po co wam pisklak, któremu raptem zachciało się uciec, i jakiś tam człowiek? Wiem przecież, że przyszedliście tu z mojego powodu. Chcecie

tylko mnie.

Nie odpowiedział, tylko dalej wpatrywał się we mnie nieruchomym wzrokiem. A moja desperacja była coraz większa.

– Proszę – powiedziałam, robiąc kolejny krok do przodu. – Wypuście ich, a ja nie będę stawiała żadnego oporu. Wrócę razem z wami do Talonu.

I wtedy Faith, ta niby przerażona i zmaltrętowana Faith wybuchnęła śmiechem, po czym zręcznie wysunęła się z tego rzekomo żelaznego uścisku agenta i zawołała rozbawiona:

– Och, Ember! Jaka ty jesteś naiwna!

RILEY

Pochyliłem się do przodu. Strugi potu spływające z czoła zalewały oczy, szczęki bolały od tego zaciskania, ale tak musiało być. Wiedziałem przecież, że jeśli wyluzuję choć na sekundę, od razu zacznę gadać jak głupi. Tak, byłem jeszcze tego w pełni świadomy, choć wredne serum już zaczynało wpływać na mój mózg, już pojawiały się myśli typu: A niby dlaczego ja tak się tym wszystkim przejmuję? I tak ogólnie w tej mojej, zazwyczaj bardzo trzeźwo myślącej głowie zaczynał się już chaos. Czuję się całkowicie rozbity, bardzo podobnie jak wtedy, gdy ten jeden jedyny raz w moim życiu wlałem w siebie tyle alkoholu, że starczyłoby na powalenie całej drużyny piłki nożnej.

– Wcale nie musi tak być, Cobalcie – powiedziała Mist łagodnym głosem. – Wystarczy, że powiesz to, co chcemy wiedzieć, i będziesz miał to już za sobą. Zdajesz sobie przecież sprawę, że i tak nie wygrasz, bo prędzej czy później załamiesz się i w sumie wyjdzie na to samo.

– Może i tak... – Niestety, wymknęło mi się to właśnie teraz, kiedy należało trzymać się tej jednej żelaznej zasady. Ani pary z ust. A ja usta otworzyłem, to znaczy same się otworzyły i za nic nie chciały się przymknąć: – Ale nie widzę powodu, dlaczego nie miałbym tego trochę przeciągnąć, tym bardziej że jak ten cały cyrk się skończy, na pewno mnie wykończycie.

Mist milczała, więc sprawa była jasna. Z tym wykańczaniem miałem sto procent racji. Niech będzie, nic już na to nie poradzę, ale

przedtem warto jeszcze trochę powalczyć. Dlatego z całej siły dziabnąłem się tymi cholernymi kajdankami. Krew spłynęła po ręku – miejmy nadzieję, że pozostanie niezauważona – i zabolęło porządnie, ale o to przecież chodziło, bo dzięki temu, że zabolęło, w głowie zrobiło się trochę jaśniej. – A wiesz, Mist – zacząłem, przechwytyjąc jej chłodne spojrzenie – skoro, jak powiadasz, moje godziny są policzone, to chyba coś niecoś od życia jeszcze mi się należy. Nic szczególnego, chodzi tylko o odpowiedź na pewne pytanie. Ile zapłaciliście Griffinowi, żeby nas wydał?

Cienka brew powędrowała w górę, czyli moja domyślność znalazła w oczach Mist uznanie.

– Tyle, ile trzeba – odparła, ale jednak wymijająco. – A skąd wiesz, że to on?

– Tylko się domyślałem. No a teraz już wiem.

Z takiego obrotu spraw oczywiście nie była zadowolona, dlatego jej spojrzenie stwardniało i znów przyjęła tę swoją pozę, to znaczy skrzyżowała ramiona na piersiach, oparła się o stół i znieruchomiała. A ja już odpływałem. Wszystko przed oczami było coraz bardziej niewyraźne, zamazane i takie nierzeczywiste jak we śnie. I wcale już nie siedzę, tylko unoszę się w powietrzu, a przed oczyma przesuwają się dziwne obrazy, też niewyraźne, jak za mgłą. Właściwie to nie wiadomo, co przedstawiają. Poza tym z głowy wszystko wywietrzało. Nie wiedziałem już, kim jestem, gdzie jestem i dlaczego. Kompletna pustka, w którą po jakimś czasie wdarł się czyjś głos.

I był to bardzo spokojny głos:

– A więc zaczynamy. Jak się nazywasz?

Dziwne, bo mimo tego stanu odurzenia, pytanie zrozumiałem. Mało tego, z udzielaniem odpowiedzi nie było problemu, chociaż miałem wrażenie, że ten osobliwy bełkotliwy głos należy do kogoś innego.

– Mam wiele imion.

– Chodzi o twoje prawdziwe imię, które nadano ci po wykluciu.

– Cobalt.

– Ilu ludzi współpracuje z tobą, Cobalcie?

– Teraz? Przestałem już liczyć. Ale na pewno będzie ich

kilkudziesięciu.

– Wszyscy z Talonu?

– Tak.

– Świetnie.

Wyraźnie usatysfakcjonowana, ustawiła krzesło tuż przede mną, usiadła i pochyliwszy się do przodu, spojrzała mi prosto w twarz. Ja z kolei wzrok miałem wbity w podłogę, ale niedługo, bo po krótkiej chwili poczułem na policzku dotyk chłodnych palców i usłyszałem słodki głos:

– Posłuchaj mnie, Cobalcie...

Wtedy poderwałem głowę i spojrzałem w niebieskie oczy. Bardzo niebieskie, widziałem je zadziwiająco dobrze, choć reszta twarzy była zamazana. Zamrugalem więc kilkakrotnie, a Mist mówiła dalej, ale wcale już nie głosem słodkim, o nie:

– Trzeba przyznać, że bardzo umiejętnie starałeś się to przeciągnąć. Ale koniec już tej zabawy. Mów. Gdzie ukrywasz pisklaki, które zbiegły z Talonu?

EMBER

– Faith?!

Nie, nie wierzyłam własnym oczom, wlepionym teraz w uśmiechniętą dziewczynę, która odsuwa się od agenta w czarnym garniturze i staje kawałek dalej, strzepując niewidoczne pyłki z rękawa. A agent nawet na nią nie spojrzał. Wzrok miał skierowany na mnie, lufę pistoletu również.

Sześciu pozostałych mężczyzn ani drgnęło.

– Co jest? – spytałam głosem niestety cichym i drżącym.

A Faith odrzuciła w tył czarne loki i spojrzała na mnie z pogardą. Tak, właśnie tak.

– Nie domyślasz się? – spytała, uśmiechając się przy tym całkiem inaczej niż dotychczas. Bo na pewno to nie był nieśmiały uśmiech wiecznie wystraszonego pisklaka. – Moim zdaniem masz wystarczającą ilość szarych komórek, żeby sama to rozgryźć. Gdyby było inaczej, nie byłabyś jedną z jej uczennic, prawda? A tak przy okazji... Podoba ci się

tutaj? Specjalnie tak to wszystko poukładałam, bo pomyślałam, że obudzi w tobie wspomnienia.

Rozłożyła szeroko ręce, jakby chciała objąć ten wielki skład wypełniony paletami, skrzyniami i pojemnikami, które tworzyły trudny do ogarnięcia labirynt. I wtedy poczułam ciarki na plecach. Bo zaskoczyłam. No tak, oczywiście!

– Lilith... To ona była twoją instruktorką. Jesteś Żmiją!

Faith zaśmiała się.

– Zgadza się. Byłam jej jedyną uczennicą. Jedyną, zanim nie pojawiłaś się ty...

W jej oczach błysnęło. Och, to była nienawiść, oczywiście do mnie. Ale błysnęło tylko raz i znów na twarzy pojawił się uśmiech.

– Lilith prosiła, by ciebie pozdrowić. Mówiła mi też, że ty i Cobalt na pewno wpadniecie w zasadzkę. No i tak się stało. Moim zdaniem dlatego, że w sumie jesteś jeszcze zielona. Gdybyś ukończyła szkolenie, nie pozwoliłabyś się złapać.

– Dobra, dobra – warknęłam, a karabiny wokół nas uniosły się trochę wyżej. – Powiedz lepiej, gdzie jest Riley!

– Nie żyje – poinformowała mnie beznamiętnym tonem. – A jeśli jeszcze żyje, to i tak już niedługo mu tego życia pozostało, bo Mist niebawem zakończy sprawę.

– Mist?

– O, przepraszam. Dla ciebie nie Mist, lecz Ava.

Czułam, jak ziemia usuwa mi się spod nóg i braknie mi tchu. Czyli to one obie, i Faith i Ava, są agentkami Talonu, które tylko udawały bezbronne pisklaki! Tak to sobie wymyśliła organizacja. Nasłali na nas Żmije, czyli faktycznie są na nas wściekli. I Riley może rzeczywiście już nie żyje...

Moja smoczyca wydała groźny pomruk, a ja zacisnęłam pięści.

– Nie, Faith. Nie masz racji, bo nie znasz Riley'a. On jest lepszy niż wszyscy agenci Talonu razem wzięci. Riley żyje. – Tak, tak i jeszcze raz tak! Gdyby nie żył, czułabym to. I ja, i moja smoczyca. Nie ma innej opcji. – Riley żyje – powtórzyłam z uporem. – Lepiej niech ta twoja Mist uważa na siebie.

Faith wzruszyła ramionami, jakby los partnerki był jej całkowicie

obojętny.

– W każdym razie Riley'a tu nie ma, a tak się składa, że nie tylko on jest dla ciebie powodem do zmartwienia.

I przeniosła bardzo chłodne spojrzenie na Garreta.

– Żołnierz Świętego Jerzego. Bardzo interesujące... – wycedziła i znów spojrzała na mnie, teraz już z nieopisaną pogardą. – A więc pokumałaś się z wrogiem... Czyli upadłaś aż tak nisko! Jak można zawrzeć sojusz z żołnierzem Świętego Jerzego! Niepojęte! Co by na to powiedziała Lilith? A Talon?!

A ja po prostu umierałam już ze strachu. O tak, przecież miałam okropne powody do zmartwienia. Nie jedną, a dwie osoby. Riley'a tu nie ma, nie wiadomo, czy żyje, nie wiadomo, co zdążyła mu zrobić Mist. A Garret... Co do jego przyszłości nie miałam żadnych wątpliwości. Talon go zabije, i zrobi to właśnie teraz, a stanie się tak, ponieważ był w Zakonie Świętego Jerzego. Nieważne, że teraz stoi po stronie smoków – co prawda trzyma ze zbiegami, ale z Zakonem nie ma już nic wspólnego. Tylko tyle, że Zakon go ściga. Niemniej jednak Talon nawet byłemu żołnierzowi Świętego Jerzego nie okaże litości, chyba że uda mi się jakimś cudownym sposobem wpłynąć na nich, by zmienili zdanie. Tylko to, bo walka jest bezcelowa, kiedy wycelowanych jest w nas aż sześć karabinów. I nawet gdyby zdarzył się taki cud, że przeżyję, to Garreta zabiją na pewno. Już pierwsza seria z karabinów odbierze mu życie.

Byliśmy w pułapce, w straszliwej pułapce. Riley'a pojmano i nie wiadomo było, co się z nim dzieje, a ja i Garret staliśmy bezbronni wobec przeważającej liczby wroga. Talon osiągnął swój cel. Byliśmy w sytuacji patowej, ale ja jeszcze nie zrezygnowałam. O nie. To wbrew mojej naturze, a ja bardzo chciałam uratować Garreta. Chciałam rozpaczliwie, za cenę jego życia gotowa byłam wrócić do Talonu. Tak. Wrócić i zrobić wszystko, by dojsć, kto tym wszystkim kierował. I zemścić się na nim. Oczywiście! On – czy też oni – będzie miał za swoje, za Riley'a, Dantego, Garreta i za tych wszystkich zbiegów, których Talon zniszczył. Powrót do Talonu oznaczać będzie dla mnie koniec wolności, ale chociaż to będę mogła zrobić. Niech ten ktoś przynajmniej pocierpi.

Tak. Ale najważniejszą teraz sprawą było powstrzymać Faith przed strzeleniem Garretowi w głowę.

– Wypuść go, Faith. Przecież dobrze wiesz, że nie należy już do Zakonu. Jest teraz z nami... – Ze strony Faith zero reakcji, więc dodałam już trochę głośniej: – Zapomniałaś, jak cię uratował przed Świętym Jerzym? Gdyby nie on, zabiliby nas wszystkich!

I wtedy Garret, stojący tuż za mną, odezwał się po raz pierwszy:

– Ember, przestań. Nie musisz tego robić.

Ale ja puściłam to mimo uszu, dalej wpatrując się w Faith.

– Wypuść go – powtórzyłam. – Przecież chcecie tylko mnie, prawda?

– I co z tego? – Uśmiechnęła się szyderczo, jej oczy rozbłysły.

A ja pomyślałam, że to niepojęte, jaką ta istota przeszła metamorfozę z wrażliwego, lęklivego stworzenia, raptem zmieniając się w stworzenie wyjątkowo pewne siebie i zdolne do przelania krwi.

– Niejeden raz widziałam wojnę! – wyrzuciła z siebie. –

I doskonale wiem, co Święty Jerzy robi ze smokami! Dlatego nie obchodzi mnie, że on raptem z tego zrezygnował. Bo przedtem zabijał z zimną krwią i dlatego dla mnie nadal jest żołnierzem Świętego Jerzego! A ja jestem lojalnym członkiem organizacji, od którego nie tylko się oczekuje, ale wymaga, by wroga zawsze pojmał! Dlaczego więc raptem tego miałabym puścić wolno?

Przełknęłam.

– Dlatego że jeśli go oszczędzisz, wrócę do Talonu dobrowolnie – szepnęłam. – Zostanę Żmiją, kim tylko chcecie. Jeśli darujecie mu życie, nigdy już nie będę próbowała zbiec z Talonu. Nigdy, przysięgam.

– Ember, przestań!

To oczywiście znów Garret. Opuścił ręce i zrobił krok do przodu. Natychmiast dwóch mężczyzn z uniesionymi karabinami przystąpiło do niego, więc zatrzymał się, ponownie zakładając ręce za głowę.

Jednocześnie jednak uparcie szukał mojego spojrzenia.

– Żadnych pertraktacji – powiedział cicho. – Nie z Talonem. Oni nigdy nie pójdą na kompromis. Albo wszystko, albo nic. A moje życie, Ember, nie jest warte twojej wolności.

– Jest – powiedziałam twardo, spoglądając mu prosto w oczy.

– Ember...

– Garret, proszę, żadnych dyskusji – syknęłam, czując, jak w gardle znowu mnie ściska. – Mam stać spokojnie i patrzeć, jak strzelają do ciebie? Nie ma takiej opcji. Dlatego zamknij się i pozwól mi to zrobić po swojemu, zgoda? – Niby powiedziałam to zdecydowanie, ale głos jednak zadrżał. – Rileyja już straciłam. Jeśli Talon chce, bym wróciła, to wrócę, ale pod warunkiem, że ty będziesz żył. Przynajmniej ty...

– Bardzo interesujące, bardzo – odezwała się Faith z drwiącym uśmieszkiem, czyli oczywiście podsłuchiwała. – Masz rację, Ember. Talon chce, byś wróciła do organizacji, z tym że jest tu jeden mały problem. Otóż zdążyłaś już udowodnić, że nie jesteś lojalna wobec organizacji, nie dziw się więc, że nikt nie darzy cię zaufaniem. Jeśli więc zamierzasz wrócić, musisz udowodnić, że jesteś godna tego zaufania... – Ostatnie zdanie wypowiedziała ze specjalnym naciskiem.

Zacisnęłam zęby. Mam im to udowodnić? Właśnie to? W jaki sposób?! Koszmar... Ale jeśli od tego ma zależeć życie Garreta...

– Co mam zrobić? – zawarczałam przez zaciśnięte zęby.

– A to!

Faith skinęła na agentów, stojących za nami. Dwóch z nich podeszło do Garreta i ustawivszy się po jego obu stronach, zmusiło, by ukląkł. Reszta agentów ustawiła się w szeregu przed Garretem, wszyscy z karabinami wycelowanymi w jego głowę.

Oczywiście natychmiast chciałam tam podejść, ale Faith uniemożliwiła to, zakleszczając palce na moim ramieniu.

– Chcesz udowodnić swoją lojalność, prawda? – spytała, wsuwając mi do ręki czarny pistolet. Tak, tak właśnie zrobiła! Rzecz jasna sparaliżowało mnie, a Faith ruchem głowy wskazała na klęczącego żołnierza. – Zabij go.

Moje serce przestało bić. Stałam i patrzyłam na broń tkwiącą w moim ręku, zastanawiając się gorączkowo, co mam zrobić. Najchętniej rzuciłabym ten pistolet na ziemię, choć jednocześnie miałam wielką ochotę wycelować między oczy Żmii. O tak! Zrobiłabym to z rozkoszą, ale nic by to nie dało. Bo Żmija niewątpliwie błyskawicznie pozbawiłaby mnie broni, a Garreta i tak by zastrzelili, i to natychmiast,

przecież ci, co stoją przed nim, to coś w rodzaju plutonu egzekucyjnego. Wystarczy jeden mój gwałtowny ruch i pociągną za spust. Zacisnęłam więc tylko mocniej palce na kolbie i spojrzawszy na Faith, pokręciłam energicznie głową, niby z wielkim niedowierzaniem.

– Chyba coś ci się pokręciło, Faith. Czy ty w ogóle mnie słuchasz? Przecież powiedziałam, że wrócę do Talonu, jeśli puścicie go wolno, a nie kiedy zostanie zamordowany z zimną krwią! Chyba nie łudzisz się, że ja to właśnie zrobię!

– A ja przede wszystkim uważam, że w ogóle nie zdajesz sobie sprawy, w jakiej znalazłaś się sytuacji – odparła Faith i wskazała na Garreta. – Niezależnie od tego, co postanowisz, ten żołnierz i tak już jest martwy. Jeśli ty go nie zabijesz, my to zrobimy. To oczywiste, bo nic i nikt mnie nie przekona, żebym oszczędziła agenta Świętego Jerzego. A przysłano mnie tutaj nie po to, bym prowadziła jakieś tam pertraktacje, tylko po to, żeby sprowadzić cię z powrotem do Talonu! Zanim jednak tam wrócisz, musisz, jak powiedziałam, udowodnić swoją lojalność, a twoim testem jest zabicie tego żołnierza. Jeśli tego nie zrobisz, podzielisz jego los.

– W takim razie zabijcie nas oboje – powiedziałam, czując już w płucach żar, kiedy moja smoczyca powstawała do tej ostatniej, desperackiej walki.

A ja wyszeptałam bezgłośnie:

– Wybacz, Garret, wybacz... Bardzo chcę uwolnić nas od Talonu. Nie wygląda to dobrze, ale będę walczyć do upadłego...

– A więc odmawiasz! – Na twarzy Faith pojawił się znany mi już superwredny uśmiezek. – No cóż, w takim razie dobrze, żebyś wiedziała, że taka właśnie decyzja zaszkodzi twemu bratu. Nawet bardzo!

RILEY

– Phoenix.

Mist przekrzywiła głowę, przyglądając mi się bardzo uważnie i niewątpliwie zastanawiając się, czy skłamałem, czy też nie. A ja, ciężko dysząc, zakląłem, bo miałem wrażenie, że to jej świdrujące

spojrzenie dosłownie wywierca mi dziurę w głowie.

– Phoenix – powtórzyła jasnym, dźwięcznym głosem. – Tam właśnie są te twoje kryjówki dla pisklaków?

– Jedna z nich.

– A gdzie są pozostałe?

– W różnych miejscach. Między innymi w Austin i San Francisco.

Przez pewien czas miałem kryjówkę nawet w Meksyku – bełkotałem dalej, kompletnie niezdolny temu przeciwdziałać. – Zastanawiałem się też nad kryjówkami w Europie, ale zrezygnowałem. Trudno przecież być jednocześnie na dwóch kontynentach.

– Oczywiście! Zgadzam się z tym całkowicie. A ile pisklaków teraz ukrywasz?

– Dwadzieścia trzy.

Zamrugła, i była to jedyna oznaka, że jest zaskoczona, bo komentarz został ogłoszony głosem beznamiętnym:

– Czyli masz co robić.

– Owszem. Ale daję radę. W końcu robię to już od jakiegoś czasu.

– Faktycznie... – Mist nachyliła się ku mnie, spoglądając mi prosto w oczy. – A teraz powiedz dokładnie, gdzie te pisklaki są, żebyśmy mogli je odszukać.

– Odszukać... Wy... – wymamrotałem, uśmiechając się z wyższością. – Nigdy ich nie dopadniecie. Kiedy Wes zorientuje się, że przepadłem, natychmiast je zaalarmuje i wszystkie zdążą uciec, zanim pojawi się Talon.

– Chyba jednak nie! Bardzo łatwo będzie je namierzyć właśnie wtedy, kiedy będą uciekać. Tak więc... – Mist po raz kolejny włączyła ten swój słodki głos. No, po zastanowieniu, muszę sprostować: prawie słodki. – Nie walcz ze mną, Cobalcie, tylko mów wszystko szczerze. Czy tu, w tej okolicy, też masz jakąś kryjówkę?

Nie walcz? No proszę, a więc jednak nadal walczę, choć z wielkim trudem, bo tę moją głowę ktoś chyba wypchał kawałkami bawełny... Ale walczę... Tylko właściwie po co?

– A mam. Mam jedną kryjówkę tu, w Las Vegas. Parę dni temu byliśmy tam.

– My? To znaczy kto?

– Ja, Wes, ten żołnierz Świętego Jerzego, Ember...

Ember. Mój smok, kiedy to usłyszał, raptem poruszył się. Zrobił to powoli, ospale, ale wyraźnie się poruszył i wydając groźny pomruk, starał się odzyskać przytomność. Lek jednak działał i smok znieruchomiał, znów pogrążając się w głębokim śnie, niemniej jednak ta jego bardzo krótka aktywność zrobiła swoje. Bo przez tę jedną niedługą chwilę czułem smoczy żar, już prawie płomień, i to wystarczyło, by rozpędzić mgłę, która spowijała mój mózg. Znów myślałem jasno i głos Mist wcale nie dolatywał już do mnie tak z daleka, jakby właśnie przez tę mgłę. Nie, teraz i myślałem, i słyszałem całkiem normalnie.

– A czy w tej kryjówce są jakieś pisklaki? – spytała Mist, a ja jeszcze mocniej zwarłem palce wokół niewielkiego przedmiotu, który ścisnąłem w dłoni. Czułem, jak to coś wbija mi się w skórę, i odetchnąłem. Bo był to namacalny dowód, że nadal to trzymam, że kiedy w głowie miałem jakby bawełnę, jednak nie wypuściłem go z ręki.

– Nie – wymamrotałem, zanim zdążyłem pomyśleć, czyli niestety to cholerne serum jeszcze działało.

– W porządku – powiedziała Mist. Odsunęła się od stołu, a potem odezwała się głosem lekko zniecierpliwionym: – Okej, wiemy już, co chcieliśmy wiedzieć. Pisklaki nam nie uciekną. Powiedz mi tylko jeszcze, gdzie...

– Chwileczkę – przerwałem, czym oczywiście była zaskoczona. – Chciałbym ci coś powiedzieć na inny temat. Taka drobna uwaga, moim zdaniem jednak powinnaś to wiedzieć. Powody mogą być dwa. Albo brakuje ci doświadczenia, albo jesteś zbyt pewna siebie, w każdym razie czy zdajesz sobie sprawę, że ta strzykawka z kolejną porcją dractylu leży po prostu tu, na stole?

– A dlaczego ma tu nie leżeć? – spytała, spoglądając na strzykawkę. – Niech sobie leży. I jeszcze poleży, bo to, co ci wstrzyknęłam, działać będzie co najmniej przez godzinę, o ile nie dłużej.

– Oczywiście, że może sobie leżeć, niemniej jednak jest to niezgodne z jedną z podstawowych zasad obowiązujących podczas przesłuchania. Zapomniałaś, że żadna broń nie powinna znajdować się w zasięgu ręki przesłuchiwanego? Przecież wiadomo, że jeśli uda mu się oswobodzić z kajdanek, przede wszystkim chwyci za tę właśnie broń!

Skończyłem. I zerwałem się z krzesła, zrywając jednocześnie te cholerne więzy z plastiku. Mist szarpnęła się w tył, ja z kolei do przodu, do stołu, chwytając za strzykawkę.

EMBER

– Dante?!

Płomienie, które rozgorzały już we mnie, pogasły momentalnie. Teraz byłam tylko i wyłącznie przerażona.

Faith natomiast, uśmiechnięta prawie od ucha do ucha, wyglądała na zachwyconą. I taka też na pewno była.

– A tak, Dante – odparła usłużnie.

– Gdzie on jest? – spytałam, bezwiednie zaciskając dłonie w pięści.
– Coście mu zrobili?

– Nic. Jest w Talonie i nic mu nie grozi, przynajmniej jak na razie. Bo jeszcze nie wiesz, jaka naprawdę stawka jest w tej grze. Chodzi nie tylko o twój test lojalności, ale również o Dantego. Organizacja też go sprawdza. Chodzi oczywiście o zaufanie. W końcu jest bratem zbiegłego smoka, który zdradził Talon, prawda? Dlatego musi udowodnić swoją bezwzględną lojalność wobec organizacji. Wszystko, co tu się wydarzyło, wymyślił twój brat. To on opracował plan działania, więc wniosek jest oczywisty. Jeśli zawiedziesz i nie będziesz chciała wrócić do organizacji, będzie to równoznaczne z tym, że zawiódł także Dante. A dobrze wiesz, jaki jest stosunek Talonu do tych, co zawiedli!

Oczywiście na jej twarzy znowu pojawił się wredny uśmieszek, a ja poczułam się tak, jakbym dostała prosto w żołądek. A więc to Dante, właśnie Dante pokierował tym wszystkim! To on nasłał na nas Mist i Faith, to on był odpowiedzialny za zniknięcie Rileya i to za jego sprawą Garret pożegna się z życiem. Na pewno, o ile nie uda się w jakiś cudowny sposób powstrzymać biegu wypadków. Czy Dante zdaje sobie sprawę z tego, co robi? Czy robi to z własnej woli, czy też zmuszony jest do tego przez Talon? W każdym razie jedno jest pewne. Jeśli nie wrócę do organizacji, oznaczać to będzie, że plan Dantego nie wypalił, a mój brat zawiódł Talon. Poza tym jeśli do Talonu nie wrócę, prawdopodobnie nigdy już więcej nie spotkam się z bratem. Nigdy.

Ale jeśli tam wrócę i dzięki temu Dante zyska uznanie w oczach Talonu, Garret będzie musiał umrzeć.

– Tak więc zastanów się, kto dla ciebie jest ważniejszy – mówiła dalej Faith niebezpiecznie cichym głosem. – Kogo chcesz uratować? Czy żołnierza Świętego Jerzego, największego wroga smoków? Człowieka, którego życie w porównaniu z naszym jest tak krótkie jak mgnienie oka? – Teraz, oczywiście, nastąpiło pełne pogardy spojrzenie na klęczącego żołnierza, a potem dalsze wywody: – Czy też Dantego, swego brata bliźniaka, którego znasz od zawsze? Smoka, dla którego jesteś największym zmartwieniem, który za wszelką cenę chce sprowadzić cię z powrotem na dobrą drogę i czeka na ciebie z największą niecierpliwością. Wszyscy na ciebie czekają, Ember, wszyscy chcą, żebyś wróciła do nas jak najprędzej.

Mówiła, a ja czułam, że od tego wszystkiego zaczynam się po prostu dusić. Za nic nie mogłam nabrać powietrza, za nic. Teraz, kiedy miałam dokonać wyboru. Teoretycznie, bo praktycznie przecież żadnego wyboru nie miałam. Oczywiście Garreta nie zastrzelę. Nie ma takiej opcji, ale jeśli tego nie zrobię, zastrzelą nas oboje. A jeśli chodzi o Dantego, to mimo tej całej przemowy Mist, i tak nie wiadomo, co Talon dalej z nim zrobi.

Spojrzałam na czarny pistolet w moim ręku. Potem na Garreta, który klęczał przed tym plutonem egzekucyjnym odzianym w czarne garnitury. Twarz Garreta była kamienna, ale spojrzenie, kiedy je przechwyciłam, czujne. Jednocześnie dostrzegłam w szarych oczach wielki smutek. Smutek, który zapewne widać było i w moich oczach.

Słyszałam, jak Faith podchodzi do mnie bliżej.

– Możesz wszystko zacząć od nowa, Ember – powiedziała bardzo cicho. – To, co zrobiłaś przeciwko Talonowi, zostanie ci wybaczone i pójdzie w zapomnienie. Jesteś smokiem, Ember, należysz do nas. I bądź świadoma, że jeśli nie przejdiesz przez ten test, to umrzesz, a Dante za twoje wysoki będzie musiał słono zapłacić. Ember... – Teraz mówiła trochę głośniejszym i bardzo pewnym tonem, jakby uważała, że już dałam się przekonać: – Ember, jestem pewna, że wiesz, co powinnaś zrobić.

Owszem, już wiedziałam, i dlatego właśnie zadrżałam. Tak, choć

nie powinnam, a przynajmniej te moje ręce muszą przestać dygotać, bo będą bardzo mi potrzebne.

– Faith, a jeśli... jeśli zrobię to, co chcecie, obiecasz mi, że Dantemu nic się nie stanie? Że nadal zachowa swoje miejsce w organizacji i nadal będziemy mogli się widywać?

Oczy Faith rozbłysły jak dwie gwiazdy. Bo przecież właśnie nadchodziła chwila jej ostatecznego triumfu.

– Masz moje słowo, Ember.

– A więc dobrze...

Tylko trzy krótkie słowa, a omal się nimi nie zadławiłam! Ale już powiedziałam i poderwałam głowę, szukając spojrzenia Garreta. Nie musiałam szukać, bo oczywiście przez cały ten czas, kiedy rozmawiałam z Faith, patrzył na mnie szarymi oczami, w których widać było tylko i wyłącznie rezygnację. Oto człowiek gotowy na śmierć...

– Wybacz, Garret – powiedziałam drżącym głosem, czując, jak wszystko we mnie po prostu się obrywa, bo Garret, który jak dotąd patrzył tym nieruchomym, pustym wzrokiem, teraz spojrzał z niedowierzaniem. A ja dalej mówiłam głosem niemal błagalnym, przedstawiając swoje argumenty: – Dante to mój brat, brat bliźniak. Zawsze był dla mnie najważniejszy. Zrobię wszystko, by zagwarantować mu bezpieczeństwo. Nawet to...

Garret milczał. A ja zerknęłam na mężczyzn ustawionych za nim i zauważyłam, że wszyscy, choć nadal celują w głowę żołnierza, wcale się w niego nie wpatrują, lecz we mnie. Dlaczego? To jasne. Dziewczyna smok z bronią w ręku stanowiła dla nich większe zagrożenie niż nieuzbrojony żołnierz.

Moje serce waliło jak młot, kiedy robiłam tych kilka kroków w tył, odsuwając się od klęczącego żołnierza. Czułam na plecach spojrzenie Faith. Niewątpliwie patrzyła jak jastrząb drapieżca. A ja patrzyłam tylko na Garreta. On na mnie, choć jego oczy były inne, takie szkliste. Patrzył niby na mnie, a tak naprawdę gdzieś w dal.

Rękami drżącymi jak w febrze uniosłam broń i wycelowałam w czoło. Garret zamknął oczy, niewątpliwie przygotowując się na śmierć. A mój palec na ułamek sekundy spoczął na spuście i wtedy szepnęłam:

– Garret, spójrz na mnie...

Nie poruszył się, więc wyszeptałam odrobinę głośniejsze:

– Spójrz na mnie, Garret. Chcę zobaczyć twoją twarz. Proszę, otwórz oczy i spójrz na mnie...

Przez jedną i bardzo krótką chwilę, która była dla mnie koszmarem, nadal się nie poruszał. Kiedy byłam już pewna, że mojej prośby nie spełni, otworzył oczy i skierował spojrzenie na mnie. A ja, patrząc prosto w te szare, pociemniałe od udręki oczy, znów zaszeptałam prawie bezgłośnie:

– Zaufaj mi.

Rozumiał, bo nagle zamrugał. I o to chodziło, by patrzył na mnie przytomnie i widział dokładnie wszystko, co teraz właśnie robię. Rozpościeram palce, pistolet pada na podłogę. Pada właśnie tam.

Dokładnie w chwili, gdy broń dotknęła posadzki, dokonałam Przemiany, w oka mgnieniu zmieniając się z drobnej dziewczyny w smoka, który z ogłuszającym rykiem przysiadł na tylnych łapach i rozpostarł skrzydła. Agenci Talonu naturalnie błyskawicznie wycelowali we mnie, ale ja już zdążyłam nabrać głęboko powietrza i zionęłam ogniem. Dwóch od razu poleciało w tył. Niestety tylko dwóch i oczywiście zaczęła się strzelanina. Kule ze świstem przelatywały koło mnie, odbijały się od rogów i rogowych płytek na piersi. Co najmniej dwie przebiły błonę w skrzydłach. Krzyknęłam, bo naprawdę zabolęło, i zaraz potem usłyszałam, że ktoś jeszcze zaczął strzelać, i to bardzo celnie, bo dwóch agentów osunęło się na podłogę.

Tym superstrzelcem był oczywiście Garret. Chwycił czarny pistolet rzucony przeze mnie na posadzkę, a teraz częstował kulami agentów Talonu. Dwóch padło, reszta się rozpierzchnęła, by gdzieś się ukryć. Garret, nie przerywając ognia, powstał z klęczek. Ja sprężyłam się, szykując do ataku, i wtedy nagle dostałam w bok. Tak mocno, że aż mnie odrzuciło. Upadłam na podłogę, przeturlałam się kilkakrotnie, a kiedy wreszcie udało mi się wrócić do pionu, zobaczyłam koło siebie drugiego smoka. Purpurowego smoka, który właśnie rzucał się na mnie ze zwinnością i szybkością kobry. Błyskawicznie odskoczyłam na bok. Garret uniósł broń, nie wystrzelił jednak, ponieważ znów posypał się na nas grad kul, więc w mgnieniu oka ukrył się za stosem palet. Dlatego

teraz strzelano w ten stos. Kawałki drewna sypały się na podłogę, kule odbijały się od ściany, a purpurowy smok, nie zawracając sobie głowy żołnierzem, odwrócił się w moją stronę, mierząc mnie żółtymi ślepiami. Był trochę mniejszy ode mnie, miał niedużą, wąską i pięknie rzeźbioną głowę osadzoną na wdzięcznie wygiętej szyi. Łuski były bardzo ciemne, prawie czarne, ale rogowe płyty na brzuchu i piersi, także błona skrzydeł były w kolorze jasnego indygo. Rogów nie miał, tylko czarne kolce na grzbiecie od nasady szyi aż po nasadę ogona.

Purpurowy smok. Wiadomo kto. Faith.

Pięknie rzeźbiona głowa była uniesiona, kły ostre jak szpilki doskonale widoczne, bo paszcza otwarta. A otwarta dlatego, bo Faith zasyczała i zaczęła wołać do mnie, i to bardzo głośno, by wśród huku wystrzałów dotarło do moich uszu każde słowo.

– No chodź tu do mnie, ty fałszywa Żmijo! Przekonamy się, która z nas była lepszą uczennicą! Zmierzymy się ze sobą, tylko ty i ja! Bez świadków, żeby nikt nam nie przeszkadzał!

Nastąpiła chwila przerwy. Faith rozłożyła skrzydła do połowy, po smoczej twarzy przemknął wredny uśmiech.

– Aha! I mam jeszcze coś do powiedzenia o twoim bracie! Ale powiem tylko wtedy, jeśli mnie pokonasz!

Wzbiła się w powietrze, zatoczyła koło tuż nad moją głową i poleciała kawałek dalej, nad labirynt z palet i skrzyń. Wylądowała tam, a ja, sprężając się już do skoku, spojrzałam jeszcze szybko na Garreta, który nadal był przyczajony za stosem palet. I bez przerwy zasypywany gradem kul.

Na szczęście udało mi się przechwycić jego spojrzenie.

– Garret!

– Idź za nią! – zawołał, machając wolną ręką. – Ja załatwię tych tutaj! Jak skończę, dołączę do ciebie! Idź!

Odwrócił się i dwukrotnie wypalił w stronę innego stosu palet. Zaraz potem rozległ się przeraźliwy krzyk i stuknęło, i to dwukrotnie. Najpierw rozległ się głuchy odgłos, kiedy agent Talonu rąbnął o posadzkę. Zaraz potem, już o wiele ciszej, o cement uderzył jego pistolet.

I bardzo dobrze. O jednego mniej. Odwróciłam się i ruszyłam

w stronę labiryntu.

RILEY

W chwili gdy byłem już przy stole, Mist kopnęła mnie w żebra i poleciałem w tył. Oczywiście zakląłem, a Mist, zanim zdążyłem stanąć na nogach, ostro poprawiła kolejnym kopniakiem, zresztą wyjątkowo wrednym, bo okrężnym, celując w skroń. Gdyby trafiła, na pewno załatwiłaby mnie na cacy. Na szczęście udało mi się złapać frunącą ku mnie nogę, wykręcić i rzucić Mist na ścianę. Ściślej do kąta, w którym to walnęła o ścianę i mocno oszołomiona osunęła się na podłogę. Oszołomienie co prawda nie trwało długo, niemniej jednak zdążyłem chwycić strzykawkę, wybiec z pokoju i dobiec do schodów. Tam zatrzymałem się i spojrzałem w dół na rozległy i mroczny magazyn z labiryntem z palet i skrzyń. Trzeba przyznać, że Mist wybrała odpowiednie miejsce na przesłuchanie. Na odludziu, a w samym budynku cisza, ani jednej żywej duszy. Nikt nigdy niczego się nie dowie, można więc spokojnie robić wszystko, w tym również przesłuchiwać i mordować. Nikt by nie zobaczył, gdyby na przykład raptem jakiś potwór z bajki zaczął ganiać za kimś wśród tych stosów palet...

A właśnie, potwór! Mówią, że nie należy wywoływać wilka z lasu. Potwora też, ale stało się, bo nagle usłyszałem groźny pomruk dochodzący gdzieś z tyłu. Pomruk był tak groźny, że włos zjeżył mi się na głowie. Błyskawicznie pokonałem barierę i wylądowałem dwa, trzy metry niżej, na cementowej posadzce, po której wykonałem krótki sprint do najbliższego stosu palet. Ledwie zdążyłem się za niego wsunąć, kiedy drzwi, z których sam przed chwilą wybiegłem, otwarły się i cały wielki magazyn wypełnił ryk rozwścieczonego smoka. A na to mogłem zareagować tylko w jeden sposób. Szybko wsunąłem się do ciemnego kąta i próbowałem dokonać Przemiany. Niestety przeklęty dractyl nadal działał, więc byłem uwięziony w ludzkiej powłoce. Mój smok wciąż prawie nie kontaktował, o Przemianie nie było więc mowy. Dlatego zacząłem gorączkowo rozglądać się dookoła w poszukiwaniu czegoś, co by mi pomogło stąd się wydostać, w czym niewątpliwie ów smok będzie starał się mi przeszkodzić.

Cóż więc mamy dookoła? Póki co w zasięgu wzroku znajdowały się wyłącznie palety i skrzynie różnej wielkości. Czyli coś bezużytecznego, chyba że gdzieś tam ukryto broń, a przynajmniej kilka granatów...

Jedna z rąk dygotała bez przerwy, ta bardziej pokiereszowana, więc zacisnąłem pięść, zaciskając też zęby. Całe szczęście, że Mist, przystępując do przesłuchania, nie zdjęła ze mnie kurtki, bo wtedy mogłaby się zorientować, że pod podszewką ukrywam kilka bardzo pożytecznych drobiazgów. Ma się rozumieć, że tak było, przecież życie nauczyło mnie, że trzeba być przygotowanym na najrozmaitsze sytuacje, jak choćby porwanie czy uwięzienie, mogłem też na przykład raptem znaleźć się za linią wroga. Wiadomo, że w każdej takiej sytuacji zdany będę tylko na siebie, dlatego też, oprócz tych drobiazgów pod podszewką, miałem opracowane najrozmaitsze plany awaryjne. Jeden z nich zrealizowałem dzisiaj. Założyli ci plastikowe kajdanki? Nie ma sprawy. Przecinasz je żyłką ukrytą w mankiecie kurtki. Przeciąłem, przy okazji oczywiście załatwiając sobie nadgarstki. Nacięcia były niewielkie, na pewno zagoją się szybko, ale póki co w tych jedynych w swoim rodzaju wycinankach na obu rękach piekło i kłuło jak diabli.

Nagle nad moją głową coś przeleciało, rzucając wielki, upiorny cień, i przysiadło na szczycie stosu palet nieopodal. Wiadomo co, to znaczy kto. Mist w swej pierwotnej postaci. Jako człowiek była niewysoka i bardzo drobna. Jako smok również niewielka, pokryta białymi łuskami, które miejscami połyskiwały na niebiesko. Na głowie zakręcone rogi koloru kości słoniowej.

Przysiadła na tylnych łapach, złożyła skrzydła i owinęła się długim ogonem zakończonym zrogowaciałą płetwą w kształcie liścia. Spojrzenie niebieskich oczu o zwężonych źrenicach, spojrzenie bardzo wnikliwe, zaczęło przesuwając się po mrocznym magazynie. Oczywiście, że zastygłem, wstrzymując oddech, bo sytuacja była naprawdę niewesoła. Ten biały pisklak, naprawdę bardzo ładny, po prostu śliczny i apetyczny, zaraz może rozszarpać mnie na kawałki, i robi to bez trudu, ot tak, jedną łapą, jestem przecież uwięziony w ludzkiej postaci.

Nagle Mist uniosła nieco wyżej głowę. Nozdrza były wyraźnie rozdęte. Czyżby węszyła?

Oczywiście, ty idioto! Wyczuła zapach krwi na tych twoich cholernych nadgarstkach, dlatego spadaj stąd jak najprędzej!

Natychmiast wybiegłem zza stosu palet. Mist naturalnie od razu spojrziała w moją stronę. Zmrużyła oczy, syknęła, ja pogałem przed siebie. Ona też ruszyła do przodu, przeskakując wdzięcznie z jednego stosu palet na drugi. Słyszałem, jak jej szpony drapią drewno i metal, dowód, że konsekwentnie podąża za mną, dlatego biegłem co sił w nogach, nie oglądając się za siebie, rozpaczliwie szukając jakiegoś miejsca, w ogóle czegoś, co by mi pomogło uratować tyłek.

Kiedy biegłem kolejnym ciemnym wąskim korytarzem między stosami sklejki, znów przesunął się nade mną gigantyczny cień. Naturalnie od razu zatrzymałem się, gotów zawrócić i biec z powrotem, ale biały smok, groźnie powarkując, lądował już przede mną. Uniósł głowę, ogniowy gruczoł tuż pod paszczą już nabrzmiwał. Czyli nie było chwili do stracenia. Pogałem w bok ku wąskiemu przejściu między stosami drewna, czując za plecami żar. Smoczy ogień już tam buchał, już trawił wszystko, a do tego cholernego przejścia jeszcze kawałek. Biegłem, ciężko dysząc, i nagle... nagle w mroku coś zamajaczyło, ale tym razem na żółto. Coś, co stało sobie spokojnie w kącie, coś, na czego widok moje zdyszane serce podskoczyło.

Żeby tylko się udało, żeby tylko...

Przy akompaniamencie ryku rozwścieczonego smoka dopadłem do tego właśnie kąta, gdzie stał widłowy wózek, wsunąłem się do kabiny i usiadłem, modląc się w duchu, by kluczyki były w stacyjce. No i modlitwa została wysłuchana! Bo były. Mogłem je przekręcić i uruchomić silnik.

Biały smok wylądował tuż przede mną. Płomyki ognia tańczyły po białych łuskach, smok zawarczał i... I zdążył już tylko syknąć, ale tym razem syknąć ze strachu, bo wózek ruszył. Stalowe widły objęły smoka z obu stron i pociągnęły ze sobą po cementowej posadzce. Mist krzyczała, miotała się, drapała szponami wózek, a ja owym wózkiem po prostu wjechałem na ścianę. Szybko, stąd gwałtowne hamowanie, podczas którego omal nie wyrzuciło mnie z fotela. A ze stojących obok stosów pospadały wielkie palety, wyrzucając z siebie całą zawartość, która grubą warstwą zaścieliła posadzkę.

Mist, uwięziona między wózkiem a ścianą, miotała się jeszcze, ale tylko przez chwilę. Kiedy znieruchomiała, wysiadłem z wózka i stanąłem przy niej. Podniosła wtedy głowę. Była wyraźnie oszołomiona, spojrzenie niebieskich oczu półprzytomne, zauważyła jednak, że sięgam do kieszeni i coś z niej wydaję. Strzykawkę, na widok której Mist natychmiast ożyła, rozpaczliwie starając się uwolnić. Skrzydła załopotwały, pazury ryły stalowe widły.

– Cobalt, nie! Zaczekaj! Czy ty zdajesz sobie sprawę, co chcesz zrobić?!

– Oczywiście. Jestem tego w pełni świadomy – odparłem, wsuwając igłę między łuski.

Wstrzyknąłem, co trzeba, wyciągnąłem strzykawkę i odstąpiłem na bok, przyglądając się, jak to teraz Mist robi się coraz spokojniejsza, jak traci siły, głowa opada i cała Mist osuwa się na widłowy wózek. Drgnęła jeszcze tylko raz i biały pisklak pograżył się w głębokim, narkotycznym śnie.

A ja westchnąłem.

– Zawsze wiem, co robię – przekazałem nieprzytomnemu pisklakowi. – Zawsze. Bo ja tak w ogóle to wiem niemało. Ty z kolei niestety za mało. Szkoda, wielka szkoda, że nie widzisz, jaki Talon jest naprawdę i co z nami wyrabia. Gdybyś tylko zechciała, mógłbym ci o tym wszystkim opowiedzieć. Ale cóż...

Potrząsnąłem bezradnie głową i jeszcze przez chwilę patrzyłem na wierną służkę Talonu, potem odwróciłem się i wykonałem kolejny sprint z powrotem do pomieszczenia, gdzie odbywało się to nieszczęsne przesłuchanie. Odnalezienie komórki było najważniejsze, przecież trzeba było jak najszybciej przekazać Ember i Garretowi, że idą prosto w zasadzkę.

Idą tam razem ze Żmiją.

EMBER

Tak, to po prostu déjà vu.

Przeżywałam je właśnie teraz, kiedy mając maksymalnie wyostrzone zmysły, skradałam się przez mroczny labirynt z metalowych

kontenerów w poszukiwaniu drugiego smoka. Jasne, że właśnie to! Wydaje mi się, że coś podobnego już przeżywałam, no i faktycznie przeżywałam podczas szkoleń z Lilith. Też skradałam się przez labirynt w magazynie, wielkim jak ten, też polowałam na tych, co polowali na mnie. I tego właśnie chciała Faith. Oczywiście! Bo Faith naśladowała swoją instruktorkę perfekcyjnie, także w czerpaniu sadystycznej radości, kiedy zadawała ból.

Ale tym razem jej się nie uda.

Nagle nade mną coś się poruszyło, coś ciemniejszego niż mrok. Sprężyłam się, wyciągnęłam szyję, szykując się na atak z góry. Oczywiście atak purpurowego smoka, który błyskawicznie oderwie się od sufitu i ruszy na mnie. Tę taktykę przecież stosowałam sama tak wiele razy...

Tak, ale atak nastąpił nie z góry, lecz z boku. Dostałam w przednią łapę, i to bardzo skutecznie, bo coś przebiło mi łuski i rozerwało skórę, docierając aż do mięśni. Zawarczałam, odsłaniając kły, ale sprawcy nie zdążyłam zauważyć, tylko mignął długi wąski ogon znikający za załomem labiryntu.

Spojrzałam na łapę i skrzywiłam się. Między łuskami widać było cztery rany, z których sączyła się krew. Nie były zbyt głębokie, ale bolesne, och, naprawdę bolesne.

Nagle z miejsca, w którym znikła Faith, doleciał do moich uszu niegłośny dźwięk, coś jakby szuranie. Oczywiście błyskawicznie odwróciłam się twarzą właśnie tam i znów, jak poprzednio, zaatakowano mnie z innej strony. Tym razem szpony rozorały bok. Wydałam z siebie ogłuszający ryk, z paszczy buchnął ogień, którego ofiarą niestety nie padła napastniczka, lecz najbliższy stojący kontener. Bo Faith znowu znikła.

Powarkując cicho, powoli zrobiłam pełny obrót, rozglądając się na wszystkie strony. Po ramieniu i tylnej łapie spływały strużki gorącej krwi i skapywały na cementową posadzkę. Obie rany bardzo bolały, ale oczywiście nie miałam najmniejszego zamiaru dać poznać po sobie, że moja przeciwniczka już odniosła sukces.

– Potrafisz tylko atakować od tyłu, co? – wrzasnęłam. – Boisz się stanąć do walki twarzą w twarz, bo wiesz, że wtedy cię wykończę!

W odpowiedzi najpierw usłyszałam szyderczy śmiech, potem równie szyderczy głos:

– Nie wiem, po prostu nie wiem, co oni takiego w tobie widzą i dlaczego na twoją instruktorkę wybrali Lilith, najlepszą z najlepszych. Przecież dla niej była to tylko strata czasu i energii, bo na Żmiję to ty się kompletnie nie nadajesz. Nie masz w sobie absolutnie instynktu zabijania, poza tym nie potrafisz poddać się żadnym rygorom. Podobno Elder Wurm miał nadzieję, że uda się cię przerobić na drugą bezlitosną Lilith, przynajmniej w jakimś stopniu, i dlatego właśnie Lilith została twoją instruktorką. A ty wszystkich rozczarowałaś, bo po prostu zwiłaś z Talonu. Słyszałam, że twój brat jest całkiem inny!

Mówiła i mówiła, ale ja niestety nie potrafiłam ustalić, z której dokładnie strony dobiega ten głos.

Dlatego znowu wrzasnęłam:

– Mój brat jest, jaki jest, ale na pewno to nie on to wszystko zaplanował! Okłamałaś mnie!

I znów śmiech.

– A... rozumiem! Ten pisklak tak podobny do ciebie, który został wezwany do pana Rotha, rozmawiał z nim o polityce? Cóż, może i tak! Sama go o to spytaj, oczywiście jeśli przeżyjesz!

No i wreszcie zlokalizowałam ją w tych ciemnościach. Jest przede mną.

Wyszczrzyłam kły, wysunęłam szpony i z triumfującym warkotem rzuciłam się do przodu, pewna, że dopadnę Faith. Niestety ona, szybka i zwinna jak wąż, natychmiast znalazła się o wiele wyżej, nad moją głową, po czym wylądowała na kontenerze stojącym za mną.

A niech to! Jest nieprawdopodobnie szybka, nieprawdopodobnie! Ale miejmy nadzieję, że już przestanie tak się przemykać, stanie do otwartej walki i w końcu jej dołożę!

Zaryczałam, załopotalam skrzydłami i również oderwałam się od ziemi. I tym razem, można powiedzieć, że zgodnie z moim życzeniem, już nie uciekła. Kiedy lądowałam na tym kontenerze, nie ruszyła się z miejsca. Nie, tylko się uśmiechnęła.

Gdzieś dalej, w głębi magazynu, słychać było strzały, czyli Garret nadal walczył z agentami Talonu. Miałam wielką nadzieję, że uda mu się

z nimi rozprawić. Niestety musiał tego dokonać sam, bo ja nie mogłam mu pomóc, byłam przecież zajęta czym innym.

– Koniec zabawy – oświadczyłam, spoglądając na Faith ze złością.

Nie odezwała się, tylko po prostu dalej siedziała z ogonem owiniętym wokół łap i patrzyła na mnie z tym irytującym uśmiechem przyklejonym do twarzy. Zadowolona, że jest szybsza ode mnie? Niech jej będzie, niech się cieszy, póki może. Bo ta gra jeszcze się nie skończyła, prawda?

– Już po raz drugi ktoś wspomina o Elderze Wyrmie – powiedziałam. – Jestem bardzo ciekawa, dlaczego najpotężniejszy smok Talonu, prezes organizacji, raptem zainteresował się kimś takim jak ja czy Dante.

Faith prychnęła.

– Spodziewasz się, że mogę coś wiedzieć na ten temat?

Oczywiście, że nie. Komuś takiemu jak ja o takich rzeczach się nie mówi. Ale jeśli jesteś tak bardzo ciekawa, to wracaj do Talonu i pogadaj z Dantem, wtedy dowiesz się wszystkiego. Albo możesz do niego zadzwonić. Mam ze sobą komórkę, z której można połączyć się tylko z nim. Leży tam, gdzie poddałam się Przemianie. O tam!

Spojrzała przed siebie gdzieś w ciemność, ja odruchowo spojrzałam tam, gdzie ona, i ten moment nieuwagi został naturalnie wykorzystany. Zaatakowała mnie po raz kolejny, i po raz kolejny zrobiła to błyskawicznie. Kiedy zorientowałam się, co się dzieje, było już za późno, bo po otrzymaniu potężnego ciosu leciałam w dół na cementową posadzkę. Upadłam na bok, przeturlałam się kilka razy i na moment znieruchomiałam, z trudem łapiąc oddech. Potem krzyknęłam w wielkiej furii, za wszelką cenę starając się przywrócić sobie do pionu. W tym czasie Faith zwinnie jak kot wylądowała kawałek dalej i patrzyła na mnie, bijąc długim cienkim ogonem po bokach. Na smoczej paszczy oczywiście pojawił się jadowity uśmieszek.

Zawarczałam i starając się zignorować porządnie obolały bok, ruszyłam w jej kierunku.

A u niej jadowity uśmiech przemienił się w uśmiech szyderczy, i tak też brzmiały jej słowa:

– Chciałaś stanąć do otwartej walki, ty fałszywa Żmijo? Nie ma

sprawy. Jestem do twojej dyspozycji. – I zrobiła krok w bok, dziwnie mały, tylko kroczek, a całe jej smocze ciało zafalowało. – Idę do ciebie! – zawołała, rzucając się na mnie tak szybko, że mój mózg tego nie zarejestrował.

Za to poczułam okropny ból i w ramieniu, i w jednej z łap. Zawarczałam, wysunęłam pazury, ale Faith już koło mnie nie było. Odskoczyła, a zaraz potem zaatakowała po raz kolejny, tym razem w szyję. Czułam, jak szpony przejeżdżają po łuskach, na szczęście udało mi się zrobić unik i spróbować użyć swoich szponów, które prawie dotarły do jej gardła. Niestety tylko prawie, bo niesamowicie szybka Faith odskoczyła w bok i właśnie stamtąd, z boku, dostałam w szczękę. Głowę odrzuciło, zachwiałam się, a wtedy Faith złapała jedną z moich przednich łap, wykręciła ją i znów znalazłam się na posadzce w pozycji leżącej. Na brzuchu, musiałam więc rąbnąć brodą o bezlitosny cement.

O nie! Ona po prostu mnie wykończy!

Ciężko dysząc, wstałam i w pierwszym odruchu rozejrzałam się wokół. Gdzie ona może być? Aha, jest... Stała kawałek dalej triumfująca, rozpromieniona, dlatego we mnie dosłownie się zagotowało. Bo wszystko wskazywało na to, że Faith po prostu bawi się mną, tak jak to kiedyś robiła Lilith.

– No i co z tobą, Ember? – zawołała z obraźliwą wesołością, przekrzywiając głowę na bok jak zaciekawiony pies. – Przecież tego chciałaś, prawda? Miałaś nadzieję, że pokonasz Żmiję, choć nawet nie ukończyłaś szkolenia? No to się przeliczyłaś. Gdybyś nie zwiłała z Talonu, tylko dalej trenowała z Lilith, może i miałabyś szansę. Ale nie masz, i to z własnej winy. Dlatego radzę ci po dobroci, zabij tego żołnierza i wróć do Talonu, bo jeśli dalej się będziesz opierać, tyle z tego będziesz miała, że zostaniesz rozszarpana na kawałki. Przeze mnie, oczywiście.

Darła się, ale słuchałam tylko jednym uchem, zastanawiając się gorączkowo, co teraz zrobić. Szkolenia nie ukończyłam, owszem, ale wcale to jeszcze nie znaczy, że jestem całkiem zielona, prawda? Faith, owszem, jest wyjątkowo szybka. Atakuje błyskawicznie i równie błyskawicznie wycofuje się na bezpieczną odległość. Może więc wziąć z niej przykład?

Odetchnęłam głęboko i uniosłam głowę, napotykaając roziskrzony wzrok Faith, smoczyca bardzo, ale to bardzo zadowolonej z siebie.

– A wiesz, że robisz ten sam błąd co ona? – Gdy tylko to powiedziałam, Faith natychmiast spoważniała. – Lilith też myślała, że nic ze mnie nie będzie, a na zbytnej pewności siebie niejeden już się przejechał. Lilith, podobno najlepsza Żmija w Talonie, już raz próbowała zaciągnąć mnie siłą z powrotem do Talonu. I co? Jak sama widzisz, dalej mnie tam nie ma. A ty masz nadzieję, że akurat tobie to się uda? Tobie, która zawsze byłaś, jesteś i będziesz zwyczajnym chuchrem!

Niewątpliwie już wściekła Faith zmrużyła oczy, a jej majaczące w mroku ciało zaczęło zbliżać się do mnie.

– Dość tej zabawy! – wrzasnęła, odsłaniając dwa rzędy ostrych jak szpilki kłów. – Teraz to już tak naprawdę dobiore ci się do tyłka! Należy ci się, bo jesteś hańbą Talonu! Kiedy ty i ten żołnierz gapiliście się sobie w oczy, podskakiwaliście do siebie i odskakiwaliście jak dwie płochliwe kozy, owszem, można się było uśmieć. Ale tak ogólnie to nie ma z czego się śmiać, bo przekroczyłaś pewną bardzo istotną granicę. Na pewno coś czujesz do tego żołnierza Świętego Jerzego, właśnie do niego! Choć na coś takiego prawdziwy smok nie może sobie pozwolić. Nigdy! Przenigdy!

Przykucnęła, szczupłe ciało zwinęło się jak u węża, szykując się do ataku. Rozzłoszczony ogon walił o posadzkę, a Faith na zakończenie jeszcze wypluła z siebie:

– Przynosisz tylko wstyd. Jestem pewna, że Lilith bardzo mi pogratuluje, kiedy dowie się, że wreszcie się ciebie pozbyłam!

I rzuciła się na mnie jak to ona, tak szybko, że oczy nie rozróżniały już kształtu. Widziałam tylko ciemną smugę, ciemniejszą od mroku, sunącą na mnie. Oczywiście równie błyskawicznie przyszykowałam się do bojowego spotkania, to znaczy zawarczałam i wysunęłam szpony, niestety ona już odlatywała. Bo zdążyła zrobić swoje, czyli rozharatać mi szyję. Stąd ten piekący ból.

Ale nic to! Odwróciłam się, pochyliłam głowę i ruszyłam do przodu, za Faith. Nie, żadna z nas nie leciała, tylko biegłyśmy po cementowej posadzce. Ona niby uciekała, a po krótkiej chwili odwróciła się i wbiła we mnie szpony, starając się mnie przewrócić. Orała mnie

tymi szponami i orała, a ja, przy każdej nowej ranie jeszcze mocniej zaciskając zęby, pochyliłam głowę i w dogodnym momencie zaatakowałam ją jak byk. Tak, właśnie tak. Walnęłam ją rogami prosto w pierś. Zaskoczyłam ją, bo krzyknęła i ku mojej wielkiej radości poleciała na posadzkę. Upadła oczywiście na plecy. Niestety moja radość trwała tylko mgnienie oka, bo natychmiast zaczęła wierzgać, kopać mnie w żołądek i żebra, a kopała przecież łapami z wysuniętymi szponami. Czyli znów rozorała to i owo, znów zabolęło, ale w ferworze walki tak naprawdę w ogóle tego nie odczułam, bo zaraz potem szczepiliśmy się ze sobą i bijąc skrzydłami oraz ogonami, a także powarkując groźnie, turlaliśmy się po podłodze, każda starając się przygwoździć do niej przeciwniczkę. W rezultacie wpadliśmy na dwa stojące w kącie stalowe, cylindryczne pojemniki. Jak się okazało, wcale nie były puste. Gdy po tym, jak na nie wpadliśmy, przechyliły się, zaczęła wylewać się z nich obrzydliwa maź, a wylewała się oczywiście na nas. Od razu zaczęły piec mnie oczy, w nosie się zakręciło, zaczęłam dławić się oparami, ale to wszystko było nieistotne, bo tak się złożyło, że właśnie teraz, w tym momencie miałam Żmiję pod sobą, i o dziwo jakoś udawało mi się zachować tę jakże korzystną dla mnie konfigurację.

A pojemniki przechylały się, przechylały i wreszcie huknęły o beton. Potem usłyszałam cichy syk i nagle wszystko dookoła stanęło w ogniu. Parzące płomienie lizały mi grzbiet, wpełzały na skrzydła, ale to nic w porównaniu ze Żmiją, która była w takim stanie, jak wszystko dookoła, czyli cała w ogniu. Na tym materacu z płomieni wyglądała jak jakiś nietoperzowaty demon, który właśnie wydobywa się z piekielnych czeluści. Oczywiście wrzeszczała, otulonymi w ogień szponami orała moją szyję, biła po paszczy. I to była masakra. Rany, które zadała mi przedtem, owszem, bolały, ale można było wytrzymać, jednak teraz miałam wrażenie, jakby wbijano mi pod skórę rozgrzany do czerwoności pogrzebacz i dodatkowo polewano wyjątkowo żrącym kwasem. Ból był tak straszny, że w którymś momencie zrobiło mi się ciemno przed oczami. A za taki ból można odpłacić się tylko w jeden sposób. Nie, nie zastanawiałam się już nad niczym. Szare komórki miałam całkowicie wyłączone. Pragnęłam, wręcz pożądałam tylko jednego. Krwi.

Odsłoniłam kły i wycelowałam w tę wredną chudą szyję. No i moje

szczęki zacisnęły się dokładnie tam, gdzie chciałam, czyli na gardle, tuż pod brodą. Faith wrzasnęła rozziewając, zaczęła się rozpaczliwie miotać. Drapała szponami, tylnymi łapami kopała w żołądek, przednimi starała się za wszelką cenę mnie odepchnąć. A ja zamknęłam oczy i zaczęłam ścisnąć szczęki jeszcze bardziej.

Wtedy wrzasnęła z całej siły:

– Przestań!

Szczęki, zaciśnięte wokół szczupłej szyi, znieruchomiały.

– Proszę, przestań – mówiła dalej zdławionym głosem. – Nie zabijaj mnie!

I wówczas poczułam ulgę, i to aż tak wielką, że wszystkie moje cztery łapy zadrżały. Przecież wcale nie chciałam zabijać. Absolutnie nie, naprawdę. Żmija nie Żmija, ja i tak nie miałam najmniejszego zamiaru z zimną krwią przegryzać komuś gardła, niezależnie od tego, co tam głosi Talon. Oczywiście, wszak nie byłam Lilith. I nigdy nią nie będę.

Rozwarłam szczęki, naturalnie tylko trochę, żeby Faith mi nie umknęła, i zawarczałam:

– A dlaczego niby mam spełnić tę twoją jakże żarliwą prośbę i nie odbierać ci życia?

– Bo mogę powiedzieć ci, co naprawdę dzieje się z twoim bratem – wydyszała. – Jeśli darujesz mi życie, powiem wszystko, co tylko zechcesz. Pozwól mi dokonać Przemiany. Kiedy będę w ludzkiej postaci, nic ci z mojej strony nie grozi. Nie będę mogła też uciec. Poddam się Przemianie, a potem powiem ci wszystko, co wiem o Dantem, o Rileyu i o Mist. W ogóle o każdym, o kim tylko chcesz czegoś się dowiedzieć.

Oczywiście, że chciałam! Ale zanim odpowiedziałam, uderzyłam kilkakrotnie ogonem w podłogę, jakbym zastanawiała się nad jej propozycją. A potem westchnęłam.

– No dobrze, niech ci będzie...

Przecież wiadomo, że byłam spragniona każdej informacji o bracie bliźniaku, a także o Rileyu. Poza tym nie miałam już najmniejszej ochoty na dalszą walkę, zresztą nie tylko dlatego, że zabijanie zdecydowanie nie było moim hobby, lecz z powodu wrednych ran, dodatkowo wydanych jeszcze na pastwę ognia, na szczęście już

dogasającego. Tylko gdzieniegdzie widać było pojedyncze płomyki, ale co ten ogień zdążył zrobić, to zrobił, więc każda rana przy najmniejszym ruchu bardzo bolała. Szczerze mówiąc, gdyby Faith zaczęła uciekać, pewnie nie dałabym rady jej gonić, nawet gdybym dokonała Przemiany.

Ostrożnie rozwarłam szczęki. Faith opadła na cement i natychmiast wysunęła się spode mnie. Natychmiast też ogon, szyja, łuski smoka i skrzydła zaczęły znikać, a po chwili na podłodze przede mną siedział już człowiek, czyli drobna dziewczyna w czarnym i superobcisłym kombinezonie Żmii. Objęła się rękami i spojrzała na mnie jak wylękniona, delikatna czarnowłosa Faith. Ale wiedziałam już swoje i nie było takiej siły, bym dała się zwieść tym spłoszonym spojrzeniom.

Złożyłam skrzydła i usiadłam, zaciskając mocno szczęki, by nie zajęczać z bólu. Łuski smoka, owszem, są ognioodporne, ale otwarte rany na pewno już nie! Dlatego teraz, kiedy adrenalina już opadła, bolało mnie przeokropnie, ale nie wolno mi było z tym się zdradzić przed tą znakomicie wyszkoloną Żmiją, która została perfekcyjnie i wszechstronnie wyszkolona tak naprawdę tylko w jednej dziedzinie, czyli w zabijaniu. Udało mi się więc stłumić jęki, choć o ile mi wiadomo, właśnie zostałam prawdziwym ewenementem, a mianowicie jedynym smokiem w historii, który doznał oparzeń trzeciego stopnia!

– W porządku – zaczęłam niebezpiecznie cichym głosem. – A więc gdzie jest teraz Riley? Dlaczego nasłali was na nas? Mów! Masz powiedzieć wszystko!

Faith, cała drżąc, najpierw nabrała powietrza, potem powoli je wypuściła, i wreszcie zaczęła mówić:

– A więc... Mist i ja zostałyśmy wysłane przez Talon, by odnaleźć ciebie i tego zbiega. To znaczy namierzyć was i rozdzielić. Ja zgodnie z rozkazem miałam cię sprowadzić z powrotem do Talonu, oczywiście żywą, a wszystkich innych, którzy w jakiś sposób byli zamieszani w tę akcję, pozabijać. Mist natomiast miała zająć się Cobaltem. Wyciągnąć od niego pewne informacje, a potem zlikwidować. Taki właśnie był plan działania.

Taki, że zrobiło mi się niedobrze. Co za obrzydliwość!

– Tak, rozumiem... – mruknęłam. – A jakie to informacje miała Mist wyciągnąć z Rileya?

– Niestety, nie zostałam w to wtajemniczona – odparła Faith i skuliła się, kiedy ja, w widoczny sposób bardzo niezadowolona, wykrzywiłam się do niej. – Tylko Mist o tym wiedziała. Ona miała swoje rozkazy, ja swoje.

– Czyli, podsumowując, nie masz pojęcia, gdzie teraz może być Riley i co Mist z nim wyprawia?

– Nie, nic o tym nie wiem.

Bardzo mi się ta odpowiedź nie spodobała, dlatego wydałam z siebie groźny pomruk i przejechałam szponami po cemencie, na co spłoszona Faith szarpnęła się w tył. Ale co tam Faith. Byłam zła, po prostu wściekła, że nadal nie mam żadnych wieści o Rileyu. Nie wiem nawet, czy żyje. Tak więc w sumie wiem prawie tyle co nic, czyli tyle samo, ile wiedziałam, kiedy wychodziliśmy z hotelu. Czyli Mist i Faith załatwiły nas na cacy.

Zaraz, zaraz, przecież mam się spytać jeszcze o kogoś.

– A gdzie jest Dante? Powiedziałaś, że możesz do niego zadzwonić. A może skłamałaś?

– Ależ skąd! – zawołała Faith, rozcierając niewątpliwie obolałe po naszej walce ramię. – Mam ze sobą komórkę, z której dzwoni się tylko do niego, bo to Dante kieruje tą akcją. Teraz jest w stanie ostrej gotowości, zresztą nie tylko on, ale i jeszcze kilka ważnych osób. Mam zadzwonić do niego natychmiast, kiedy tylko uda mi się ciebie przychwycić w taki czy inny sposób.

Czułam, jak wszystko się we mnie obrywa. A więc faktycznie Dante. To on wszystko zaplanował, a teraz kieruje całą akcją. Mój brat bliźniak...

– Nie, nie wierzę, że to Dante.

– Twoja sprawa. W każdym razie, jak już ci mówiłam, Dante zaplanował to wszystko. Testują go, a cała jego przyszłość zależy od tego, czy plan się powiedzie i wrócisz do organizacji.

A teraz to zrobiło mi się w gardle sucho jak na Saharze.

– A co się stanie, jeśli nie będę chciała wrócić do organizacji?

– W takiej sytuacji zgodnie z rozkazem mam cię zabić.

A ja już naprawdę nie wiedziałam, co o tym wszystkim myśleć. Bo to jednak było niepojęte. Dante naprawdę to zrobił? Dante, mój rodzony

brat, nasłał na nas Żmiję, wydając rozkaz, że jeśli będę się opierała przed powrotem, to owa Żmija ma mnie po prostu zabić?! Nie, to niemożliwe. Dante nigdy by mi tego nie zrobił. Owszem, bardzo często dyskutowaliśmy, i to naprawdę ostro, a regularne kłótnie wcale nie należały do rzadkości, ponieważ w wielu sprawach nie byliśmy zgodni, delikatnie mówiąc. Ale Dante nigdy by nie wydał takiego rozkazu! Zlikwidować siostrę bliźniaczkę? Nie, to w głowie się nie mieści!

A może powinnam jednak spojrzeć na to inaczej? Może Dante tak bardzo już przesiąkł doktryną Talonu, że taki rozkaz wydał... Nagle przypomniałam sobie, co kiedyś powiedział mi Riley. Oznajmił mianowicie, i to bez żadnych ogródek, że mój brat ciałem i duszą całkowicie należy do Talonu i jeśli otrzyma taki, a nie inny rozkaz, gotów jest zdradzić najbliższą mu osobę.

Faith przytuliła do siebie feralną rękę i skrzywiła się, czyli niewątpliwie bolało ją porządnie.

– Co zamierzasz zrobić ze mną? – spytała nieswoim głosem.

Wtedy wstałam, również krzywiąc się z bólu, bo podczas tego wstawania wszystkie zwęglone fragmenty na moim ciele dały znać o sobie. A Żmija szarpnęła się w tył, oczywiście pewna, że zaraz się na nią rzucę. Ale ja już miałam serdecznie dość tej szarpaniny. W głowie mi się kręciło, bolało prawie wszędzie, a od tego wszystkiego już nie robiło mi się niedobrze, tylko po prostu było.

– Wracaj do Talonu, Faith, i przekaz im wszystkim, także Dantemu, żeby przestali kogokolwiek na mnie nasyłać. To strata czasu, bo ja i tak nigdy tam nie wrócę. Nigdy!

Faith wpatrywała się we mnie bacznie, ale nie ruszała się z miejsca. Na pewno bała się, że kiedy zacznę wstawać, to wykorzystam dogodny moment i jednak ją zaatakuję. Dlatego odsłoniłam kły i ryknęłam:

– Zjeżdżaj stąd! Ale już!

Od razu zerwała się na równe nogi, trzymając się za obolały bok, i wreszcie odeszła, zresztą krokiem bardzo chwiejnym. Ja odprowadzałam ją wzrokiem do tej upragnionej chwili, kiedy w końcu znikła mi z oczu i mogłam spokojnie osunąć się na cementową posadzkę.

– O nie – zajęczałam, ale tylko tak pro forma, bo miałam nielichy powód do zadowolenia. Przecież tego właśnie potrzebowałam

najbardziej! Co najmniej kilka minut poleżeć na chłodnej posadzce, odpocząć, pomyśleć, cieszyć się, że chociaż jestem cała obolała, to jednak z tej walki wyszłam zwycięsko. Tak, to mój wielki dzień, wielki triumf! Przecież zmagalam się ze znakomicie wyszkoloną Żmiją, co prawda niewielką, ale zawsze Żmiją, i dlatego, szczerze mówiąc, powinnam być bardzo wdzięczna losowi, że z tej walki wyszłam tak naprawdę niemal bez szwanku. Gdyby sytuacja się odwróciła, gdybym to ja znalazła się pod ową Żmiją, byłoby już po mnie. Faith pewnie nawet nie zdawała sobie sprawy, że miała wielkie szanse spełnić swoje mordercze zamiary. Gdyby się nie poddała, walczyłybyśmy dalej, a ponieważ ja, w przeciwieństwie do niej, absolutnie nie chciałam zabijać, byłam więc z góry skazana na porażkę. Tak, bo ja nigdy nie zostałabym prawdziwą Żmiją, czyli taką smoczyką, jaką owa Żmija zgodnie z kodeksem Talonu powinna być. Po prostu się do tego nie nadawałam i wcale mi to nie sprawiało przykrości. Absolutnie nie!

Ale najważniejsze, że Faith wreszcie poszła sobie.

Tak. Jej nie ma, nie ma jednak także jeszcze kogoś. Ani Riley, ani Mist.

Riley...

Och, koniec leżenia! Natychmiast poderwałam się z posadzki i pokuśtykałam przed siebie. Przecież muszę jak najszybciej odnaleźć ich obu, i Garreta, i Riley. A sprawa z Dantem pozostaje otwarta. Mam więc do wykonania trzy zadania, nie, cztery. Bo oprócz tego muszę zrobić wszystko, by podczas wykonywania trzech pierwszych zadań nie zemdleć z bólu. Wolno to zrobić dopiero potem.

Nagle usłyszałam za sobą wredny świszczący chichot i momentalnie zatrzymałam się. Czując już niestety, że powietrze wokół mnie naładowane jest tą jedyną w swoim rodzaju energią, która jednoznacznie świadczy o tym, że ktoś właśnie dokonał Przemiany. A zaraz potem usłyszałam głos Faith. Tym razem był prawie przymilny.

– Och, Ember... Martwię się o ciebie, bo wygląda na to, że jednak nic ci nie wchodzi do głowy. Przecież Lilith na pewno wiele razy ci powtarzała, jak to jest, kiedy okazujesz wrogowi litość!

Czyli pełna mobilizacja! Pokonując ból, błyskawicznie zrobiłam w tył zwrot, zdając sobie sprawę, że na pewno po tych wszystkich

urazach nie jestem wystarczająco szybka. Oczywiście, że nie, bo Żmija odrywała się już od posadzki. Paszcza otwarta, szpony wysunięte i gotowe mnie rozszarpać.

I wtedy padł strzał, a Żmiję rzuciło w bok. Z dzikim wrzaskiem upadła na cement, przetoczyła się i rąbnęła w stos palet, gdzie po krótkiej chwili znieruchomiała, a ja szybko odszukałam wzrokiem sprawcę.

Naturalnie był to Garret, który z uniesioną bronią wynurzył się z mroku, nie spuszczając oka z Faith. Jego spojrzenie było nieprawdopodobnie twarde, a twarz absolutnie kamienna.

Uniósł broń nieco wyżej i wycelował. Faith krzyknęła, a w tym krzyku były i gniew, i bezbrzeżna wręcz rozpacz. Młócąc ogonem, starała się za wszelką cenę podnieść z podłogi, ale na próżno, bo Garret znów strzelił, a Żmiję ponownie rzuciło w bok, na palety, i osunęła się na posadzkę, zostawiając po sobie na tych paletach smugę krwi. Skrzydła zatrzepotały jeszcze raz, potem już tylko drżały, a na ziemię zaczęły spływać krople krwi. Paszcza była otwarta w rozpaczliwej próbie nabrania powietrza. Oczy Faith stały się szkliste, pełne lęku i bólu.

I ten jej szept, taki cichusieńki i tak strasznie smutny, boleśnie smutny:

– O nie... Jeszcze nie. Nie tak... Ja nie mogę umrzeć... właśnie tak...

Było to po prostu straszne. Łapy pode mną się ugięły, wcale nie byłam pewna, czy mogę na nich polegać. Ale zacisnęłam zęby i na tych chwiejnych łapach podeszłam do umierającego smoka. Smoka, który był nasłaną na mnie Żmiją. A ta Żmija miała mnie zamordować. Tak, ale to przecież był smok. Smok taki jak ja, zanim przerobiono go na bezlitosną Żmiję.

Kiedy stanęłam przy niej, patrzyła już przed siebie pustym, niewidzącym wzrokiem. A ja starałam się nie patrzeć na dwie złowrogie dziury tuż nad przednią łapą, z których wciąż sączyła się krew. Dwa ślady po dwóch perfekcyjnych strzałach prosto w serce oddanych przez kogoś, kto naprawdę potrafi zabijać smoki.

Powieki Faith drgnęły. W złocistych oczach widziałam swoje

odbicie, ale trwało to tylko krótką sekundę, bo te oczy zachodziły już mgłą. Z nozdrza wypłynęła cienka strużka krwi, a z paszczy uleciał szept, ale już taki najcichszy, bardziej przypominający łagodny oddalający się wietrzyk:

– Jej najlepsza uczennica... Tak bardzo chciałam, żeby była ze mnie dumna... żebyś była taka jak ona...

W gardle ścisnęło, i to bardzo mocno, wręcz nieprawdopodobnie mocno, ale udało mi się też szepnąć:

– I jesteś, Faith. Jesteś jej najlepszą uczennicą. Na pewno. Jesteś prawdziwą Żmiją. Lilith byłaby z ciebie bardzo dumna.

Nie odpowiedziała. Skrzydła znieruchomiały, złociste oczy, skierowane ku mnie, nie widziały już nic.

Faith zakończyła życie.

A żołnierz, który dokonał tego dzieła, stał tuż obok mnie.

GARRET

Powoli opuściłem broń, a kiedy patrzyłem, jak Ember odstępować od martwego już smoka, czułem, jak to cholerne napięcie znika. Bo wreszcie koniec. Faith nie żyje, a pozostali agenci Talonu leżeli porzuceni na posadzce. Trzeba było przyznać, że walczyli zaciekle, co do jednego, jakby każdy z nich nie miał nic do stracenia. Może i faktycznie wszyscy, co do jednego, do stracenia nic nie mieli, bo zgodnie z doktryną Talonu można było powrócić tylko jako zwycięzca. Jeśli ci się nie powiodło, nie masz po co wracać. Ci tutaj, już sztywni, na pewno tam nie wrócą.

Nagle Ember zachwiała się i dziwnie odchrząknęła. Wyglądało to zdecydowanie podejrzanie. Wsunąłem broń za pas i ruszyłem do niej, wpatrując się w sprężyste smocze ciało, żeby ocenić, w jakim jest stanie. Purpurowe łuski zasłaniały je skutecznie, ale nienaturalnie sztywny chód Ember mówił sam za siebie. Na pewno odniosła rany, i to niemałe. Walka była zjadła i krwawa. Widziałem kiedyś, jak Ember i Riley walczyli z Lilith, morderczą mistrzynią, wiedziałem więc doskonale, do czego zdolne są smocze kły i szpony. Wystarczy wspomnieć, że potrafią zmiażdżyć kości albo wyrwać z zawiasami drzwi samochodu. Łuski

smoków są co prawda ognioodporne, ale podczas walki tych stworów, kiedy któryś z nich posłuży się ogniem, niewątpliwie nie wychodzi to przeciwnikowi na dobre.

Niestety przeczucie mnie nie myliło, bo kiedy podszedłem do Ember, od razu zauważyłem cztery otwarte rany na grzbiecie, niewątpliwie zadane szponami. Były wąskie i długie. Wyglądały nietypowo, bo brzegi miały poczerniałe, jakby Ember nie tylko została zraniona, lecz również doznała poparzeń.

– Ember, co się stało? – spytałem, dotykając delikatnie czubka jej skrzydła.

Coraz bardziej się niepokoiłem, ponieważ zauważyłem jeszcze więcej ran, i wszystkie takie same. Rany po szponach, dodatkowo przypalone. A od Ember wyraźnie czuć było dym, ale i coś jeszcze. Jakieś chemikalia.

– No cóż... Zła decyzja, która wtedy, w tamtym momencie, wydawała się jak najbardziej słuszna – odparła nieswoim głosem, zwracając się ku mnie paszczą.

A wtedy serce mi się ścisnęło, bo dostrzegłem jeszcze cztery długie rany, z których sączyła się krew. Rany bardzo czerwone, wyjątkowo obrzydliwe i na pewno niezwykle bolesne.

A z zielonych oczu purpurowego smoka bił gniew.

– Zabiłeś ją – wyszeptała. – Dlaczego? Wcale nie musiałeś tego robić...

– Niestety musiałem, Ember – odparłem.

Jej źrenice, źrenice smocze, a więc i tak zwężone, zwężyły się jeszcze bardziej. Ale ja mimo to nie czułem ani odrobiny strachu, co było jednak dziwne, skoro stałem tak blisko rozgniewanego smoka. Tak, dziwne, ale jednocześnie miałem całkowitą pewność, że ze strony tego konkretnie smoka nic mi nie grozi, nawet gdy jest na mnie maksymalnie wkurzony.

– Czyżby? – Wbijiała we mnie ten swój zwężony wzrok.

– Ember, zrozum, to było konieczne. Jej nic nie było w stanie powstrzymać. Walczyłaby do upadłego, póki by nie zabiła i ciebie, i mnie. Zupełnie jakby została zaprogramowana i miała w sobie ten jeden jedyny program.

– Przecież wiem – szepnęła, spoglądając na nieruchome ciało spoczywające pod ścianą. W oczach Ember był już tylko smutek, z paszczy uleciało głębokie westchnienie, za westchnieniem uleciał obłoczek dymu, a potem słowa nadal bardzo ciche: – Ale ona... ona była smokiem. Na pewno byłaby inna, gdyby Talon nie zaplanował dla niej takiej przyszłości, gdyby nie dostała się w ręce Lilith. Faith z natury nie była taka. Niestety, jak to ująłeś, została zaprogramowana na jeden program... – Urwała na moment, znów patrząc na zwłoki smoczy. – Szkoda, wielka szkoda, że tak właśnie się stało...

Wyciągnąłem rękę i położyłem dłoń na smoczej szyi. Oczywiście zrobiłem to bardzo ostrożnie, dotykałem przecież ciepłych łusek prawdziwego smoka.

– Ember, to już za nami, tu już nic nie zrobimy. A teraz musimy się zająć twoimi ranami, i to koniecznie. Czy możesz poddać się Przemianie?

– Teraz? Wykluczone! – zaprotestowała i potrząsając głową, zaczęła odsuwać się ode mnie. – To znaczy oczywiście dałabym radę zrobić to teraz, ale moje rany mogą poczekać. Muszą poczekać. Bo my musimy jak najprędzej odszukać Rileyę.

Ja jednak nie zamierzałem ustąpić:

– Ember, proszę. Już na pierwszy rzut oka widać, że to rany bardzo poważne i trzeba koniecznie coś z tym zrobić, dlatego musimy jak najprędzej wrócić do hotelu. Także dlatego, by powiadomić Wesa, co się dzieje. A Wes być może wie już, co dzieje się z Rileyem.

– Gdyby wiedział, toby do nas zadzwonił, prawda? – krzyknęła, bijąc ogonem. – A moje rany wcale nie są tragiczne. Wytrzymam. Teraz najważniejsze to odnaleźć moją komórkę, przecież musi gdzieś tu być! A potem oczywiście szukamy Rileyę.

– Szukamy... Przepraszam, tylko gdzie? Przecież nadal nie wiemy, gdzie jest, a praktycznie może być wszędzie. Tutaj albo w mieście. Masz jakiś konkretny plan działania?

Naturalnie starałem się, żeby nie zabrzmiało to napastliwie, ale źrenice Ember i tak ponownie zrobiły się wąziusieńkie. Niestety. Bo wiadomo, że jeśli nie dam rady przekonać Ember, ona ruszy na poszukiwanie Rileyę, przecież siłą nie powstrzymam smoka tak na moje

oko ważącego około dwustu pięćdziesięciu kilogramów. Mogłem powstrzymać ją tylko słowem, mając nikłą niestety nadzieję, że Ember, choć tak bardzo zaniepokojona o Rileyę, wysłucha jednak logicznych argumentów. A zaniepokojona była naprawdę bardzo, czym, wiadomo, nie byłem zachwycony, ale w tym momencie moje odczucia były nieważne.

– Ember, proszę. Zróbmy tak, jak powiedziałem. Wrócimy do hotelu i opatrzymy twoje rany, poza tym Wes może już mieć jakieś wiadomości. Moim zdaniem tak będzie najrozsądniej.

Ember, wyraźnie gotowa do dalszej dyskusji, uderzyła ogonem o podłogę, a zaraz potem nagle przekrzywiła głowę, jakby czujnie nasłuchiwała.

– Garret! Słyszysz to?

Natychmiast wyciągnąłem zza paska pistolet i stanąłem u boku Ember, tak jak ona czujny i spięty. Ramię w ramię żołnierz Świętego Jerzego i smok. Dziwne? Może i tak, ale dla mnie było to teraz czymś jak najbardziej normalnym, jakbym stał razem z Tristanem, co zdarzyło się przecież setki razy.

Pistolet okazał się niepotrzebny. Nikt nie atakował, tylko po króciutkiej chwili usłyszeliśmy gdzieś w mrocznym labiryncie cichy, łagodny dźwięk, doskonale nam znany.

– Moja komórka! Ona tam jest! – krzyknęła Ember, rzucając się do przodu, ale już po pierwszym kroku potknęła się i sycząc z bólu, omal nie upadła. Natychmiast podskoczyłem do niej i złapałem za skrzydło, zmuszając, by się zatrzymała.

– Ember, przystopuj – powiedziałem, żałując, że nie znam jakiś czarodziejskich sztuczek, dzięki którym mógłbym tego wyjątkowo upartego smoka zmusić, by posłuchał od razu. – Jesteś ranna, nie szalej. Poczekaaj tu na mnie, a ja pójdę poszukać tej komórki.

I nie czekając na odpowiedź, pobiegłem w głąb mrocznego labiryntu, kierując się do miejsca, gdzie zrobiono na nas zasadzkę. Tam, gdzie leżały nieruchome ciała agentów Talonu, którzy zakończyli życie usmażeni smoczym ogniem albo od kuli z pistoletu rzuconego mi przez Ember.

Pistoletu, z którego miała mnie zabić.

Zacisnąłem zęby. Tak, miała mnie zabić i szczerze mówiąc, spodziewałem się, że to zrobi. Bo niby dlaczego nie? Wiedziałem, że jest bardzo zżyta ze swoim bratem, że łączy ich niezwykle silna więź, co u smoków po prostu się nie zdarza, jednak w ich przypadku zdarzyło się. Dante jest więc i smokiem, i jej bratem, kimś absolutnie najbliższym. A ja? Ja jestem tylko człowiekiem, żołnierzem, którego poznała przed kilkoma tygodniami, dlatego było dla mnie oczywiste, że najważniejsze będzie dla niej dobro brata. Sama przecież mi mówiła, że zrobi wszystko, by wydostać go z Talonu.

Dlaczego więc postąpiła inaczej?

Komórka po chwili milczenia na szczęście znów się odezwała, dzięki czemu po kilku sekundach gorączkowego poszukiwania udało mi się ją odnaleźć obok jednej z palet.

– Wes? To ty?

– No, jak to mówią, chwała Bogu! – odezwał się ktoś, serwując szczyptę ironii, ale na pewno nie był to Wes. – Ty żyjesz!

– Riley! – krzyknąłem, bo to na pewno był on, dlatego poczułem wielką ulgę. Choć nie tylko, bo szczerze mówiąc, byłem trochę rozczarowany. Ulga wzięła się stąd, że niezależnie od uczuć, jakie żywił do mnie Riley – i na pewno nie były to ciepłe uczucia – nie mogłem nie dostrzec, kim jest i jaki jest ten zbiegły smok. A był znakomitym przywódcą i strategiem, był żołnierzem walczącym w słusznej sprawie. Z absolutnym oddaniem opiekował się zbiegłymi pisklakami, stwarzał im warunki do przetrwania i chronił zarówno przed Talonem, jak i przed Świętym Jerzym. Jeszcze miesiąc temu nigdy bym nie uwierzył, że smok zdolny jest do czegoś takiego. A on to wszystko robił, dlatego wcale nie chciałem, by ktoś taki stracił życie.

Jednocześnie jednak widziałem, jak Ember czasami na niego patrzy, po prostu tak szczególnie. On na nią zresztą też, było więc oczywiste, że bardzo, ale to bardzo mu zależy, by nie stała jej się żadna krzywda. Poza tym Riley był smokiem, długowiecznym i bardzo inteligentnym smokiem, tak samo jak Ember, rozumiał więc ją doskonale. Co dla mnie niestety było absolutnie nieosiągalne...

Zazdrość? Nigdy czegoś takiego nie odczuwałem, lecz teraz jednak tak, i był to powód, by poczuć pogardę do samego siebie, niemniej

jednak tego właśnie uczucia nie potrafiłem stłumić w sobie. Przeciwnie, było jeszcze silniejsze, kiedy usłyszałem pytanie:

– Co z Ember?

Wtedy poczułem nie tylko zazdrość, ale i gniew, co było już kompletnie bez sensu. Na szczęście udało mi się nie wybuchnąć, tylko głosem beznamiętnym zdać relację:

– W porządku. Co prawda jest ranna, ale trzyma się nieźle.

Mieliśmy małe spotkanie z Talonem.

Riley westchnął tak szczególnie, jakby był i zły, i miał czegoś już serdecznie dość.

– No tak. Podejrzewam, że mieliście okazję dowiedzieć się, że Faith jest Żmiją.

– Zgadza się.

– Co z nią? Znaczy się z Faith?

– Nie żyje.

Wtedy znowu westchnął, ale już jakoś tak normalnie.

– Można się było tego spodziewać... Pieprzony Talon! Przecież to był jeszcze dzieciak! Wiele razy nasyłali na nas Żmije, ale żeby wyekspediować z taką misją pisklaka... – Usłyszałem głuchy odgłos, jakby Riley walnął o coś pięścią. – To w ogóle nie ma sensu! Nie ma! To jakaś debilna spirala krwawej jatki. Wciąż od nowa i od nowa. Kazać smokom zabijać smoki!

Jeszcze raz walnął, dlatego ja, zanim zadałem pytanie, odczekałem jednak sekundę.

– Gdzie jesteś? – spytałem wreszcie.

– W starym magazynie... Garret, powiedz mi dokładnie, jak tam z Ember. Powiedziałaś, że jest ranna.

– Tak, ma kilka powierzchownych ran. Stoczyła przecież walkę ze Żmiją...

Riley zaklął, a ja dalej, głosem beznamiętnym, jakbym po prostu opisywał zwykły przypadek kliniczny:

– Rany, jak powiedziałem, nie są głębokie, ale Ember poza tym doznała oparzeń, więc brzegi ran są po prostu czarne. Moim zdaniem są to oparzenia trzeciego stopnia.

Skrzywiłem się. Miałem przecież niejeden raz okazję przekonać się

na własnej skórze, jak bolesne są takie oparzenia.

A Riley nie po raz pierwszy zaklął:

– Cholera! – A potem dalej się pieklił: – Cała Ember! Głupi pisklak rzuca się na Żmiję! Czy to Ember ją zabiła?

– Nie. Ja.

– To dobrze – powiedział Riley i zamilkł na moment, jakby to, co miał teraz powiedzieć, nie przychodziło mu łatwo. Ale powiedział, i to niemało: – Chciałbym coś wyjaśnić. Nie, nie, wcale cię nie lubię. Dla mnie zawsze będziesz draniem i mordercą smoków, bo to, że raptem zmieniłeś zdanie, wcale nie zmyło krwi z twoich rąk. I nic jej nie zmyje. Poza tym, moim zdaniem, jesteś idiotą, jeśli masz nadzieję, że Ember wybierze człowieka. To po prostu niemożliwe, przeczyłoby naturalnemu porządkowi rzeczy. Ember jest smokiem, a smok i człowiek nie mogą być razem. Do Ember może to jeszcze nie dociera, ale fakt jest faktem, natura naturą, świat światem. I dobrze by było, gdybyś ty, żołnierz Świętego Jerzego, zdawał sobie z tego sprawę. Jeśli naprawdę ci na niej zależy, to sobie odpuść. Dla jej dobra. I swojego też...

Mocne to były słowa. Bardzo mocne. Dlatego zabolą.

A on mówił dalej:

– Niemniej jednak... No cóż, doskonale wiem, do czego zdolny jest Talon. Wiem, do czego zdolne są Żmije, nawet jeśli jest to tylko pisklak. Ember, która ma miękkie serce, na pewno nie miała zamiaru zabijać drugiego smoka. Ale Faith to co innego. Zrobiono z niej maszynę do zabijania, wypraną z mózgu i uczuć krwawą maszynę. Dlatego bez wahania wykończyłaby Ember, i dlatego też, mimo że zdarzyło ci się znowu zabić smoka, nie powiem, że zrobiłeś źle, bo dzięki temu ocalałeś drugiego. I dlatego, choć nadal jesteś dla mnie draniem, nie jesteś już skończonym draniem, rozumiesz?

– Rozumiem. Dziękuję za uznanie – powiedziałem oschle, zdając sobie sprawę, że jak na Rileya było to naprawdę wyjątkowo wylewne okazanie wdzięczności.

Oczywiście na koniec jeszcze dowalił:

– A... Żeby wszystko było jasne. Gdyby ta Żmija załatwiła cię, raczej nie miałbym potem bezsennej nocy. A teraz powiedz, gdzie jest Ember.

Nie zdążyłem odpowiedzieć, bo w tym właśnie momencie z labiryntu wynurzyła się drobna postać w czarnym kombinezonie. Ember oczywiście nie posłuchała mnie, nie czekała tam, gdzie kazałem czekać, tylko po dokonaniu Przemiany szła za mną. Stąpała po cichu, była z niej determinacja, a teraz, utykając na jedną nogę, starała się podejść do mnie jak najszybciej, wołając przy tym rozpaczliwie:

– To Riley? Riley?!

Podbiegłem do niej i szybko wziąłem pod ramię. Przecież jeszcze moment i na pewno by upadła. A kiedy spojrzałem na jej twarz, twarz Ember człowieka, mimo woli skrzywiłem się. Bo jednak one nadal tam były, te cztery rany, przedtem na paszczy, a teraz na policzku. Rany doprawdy obrzydliwe i na pewno bardzo bolesne, ale oczy błyszczały jak dwie zielone gwiazdy. Błyszczały nadzieją.

– To Riley, prawda?

W pierwszej chwili gotów byłem skłamać, po prostu rozłączyć się i powiedzieć, że nie, to nie Riley, tylko Wes. Bo w tej właśnie chwili byłem pełen nienawiści z powodu faktu, że Riley żyje, że to właśnie dzięki niemu twarz Ember tak jaśnieje. Jednak oprócz nienawiści pojawiły się też wątpliwości. Bo może faktycznie oszukuję samego siebie, łudząc się, że twarz Ember kiedyś tak samo pojaśnieje na mój widok...

– Garret! No powiedz w końcu, z kim rozmawiasz! Powiedz!
Bez słowa podałem jej komórkę.

RILEY

– Riley?!

Kiedy usłyszałem jej głos, poczułem w sobie taki żar, że prawie zabrakło mi tchu. Mój smok błyskawicznie otrząsnął się z ośpienia i senności spowodowanej zaaplikowaniem środka uspokajającego, choć jego działanie nie ustąpiło jeszcze całkowicie. Serum prawdy może też jeszcze działało. Pewnie tak, skoro dotarła do mnie naga prawda. To Ember. Moja Ember, której tak bardzo potrzebuję. Impulsywnej, bez troskiej, wkurzającej Ember, bez której nie wyobrażałem sobie życia. Westchnąłem.

– Cześć, Firebrand. Miło cię słyszeć. Jak tam z tobą?

– A... więc już wiesz... – Głos jej nieco drżał, ale tak na moje wyczucie drżał dlatego, że poczuła ulgę. – Jestem trochę poparzona, trochę mnie boli, kilka razy omal nie umarłam. Czyli sensacji żadnych. A jak z tobą?

– Podobnie – powiedziałem, otwierając żelazne drzwi. Wyszedłem na dwór, oparłem się o ścianę i rozejrzałem dookoła. Byłem w odludnym miejscu, w starym magazynie na obrzeżach miasta, niemniej jednak Talon mógł monitorować właśnie to miejsce, na przykład przez satelitę. Czyli powinienem zniknąć stąd jak najszybciej. Teraz, kiedy znów miałem włączoną komórkę, Wes mógł mnie namierzyć i prawdopodobnie był już w drodze. A więc ja też ruszyłem w drogę przez pusty plac, kierując się do ogrodzenia z siatki.

– Ember, czegoś tu nie rozumiem. Mówisz, że jesteś poparzona. Przecież jesteś smokiem. Jak to mogło się stać?

– Mogło. Sama siebie podpaliłam.

– Ember!

– A co tam! Lepiej cieszyć się z tego, że tym razem mnie nie postrzelili!

– Och, Ember... Nie mogę się doczekać, kiedy znów cię zobaczę.

Po tym moim krótkim stwierdzeniu zapadła chwila ciszy, którą wykorzystałem bardzo efektywnie, a mianowicie przeskoczyłem przez ogrodzenie i po wylądowaniu na chodniku zlustrowałem wzrokiem ulicę, by ustalić, w którą stronę powinienem iść. Ustaliłem i poszedłem ku światłom migoczącym w oddali, które, jak miałem nadzieję, sygnalizowały, że tam właśnie zaczyna się miasto. I szedłem sobie, z lubością wciągając w płuca rześkie powietrze. Twarz owiewał ciepły wietrzyk, tak w ogóle to było super. Bo tak właśnie jest, czyli super, kiedy jesteś wolny.

– Riley? – Głos Ember znowu drżał, z tym że tym razem nie byłem w stanie wykombinować dlaczego. – O co ci właściwie chodzi?

– Nie udawaj, że nie wiesz – odparłem, przeczesując palcami włosy. Czuję się świetnie taki nagle lekki i beztroski. Chyba aż za bardzo, zmitygowałem się nieco. – Wiesz, wstrzyknięto mi serum prawdy. Prawdopodobnie jeszcze działa, i właśnie dlatego zdałem sobie

sprawę z czegoś, co dzieje się naprawdę. Chodzi o nas, Ember. Mam powiedzieć? Bo jeśli sobie tego nie życzysz, to nie ma sprawy, już się rozłączam.

– Wolałbyś, żebym to zrobiła?

Riley, nie bądź głupkiem. Powiedz, że tak, że chcesz, by się rozłączyła.

– Nie.

Słyszałem, jak Ember robi głośny i drżący wdech.

– W takim razie słucham.

Czyli odwrotu już nie ma. A tam, najwyżej... Bo i czym tu się przejmować! Walić prosto z mostu i już!

– Kiedy przesłuchiwała mnie Mist, coś do mnie dotarło – zacząłem z nadzieją, że zdążę wszystko powiedzieć, zanim pojawi się Wes. – A przesłuchiwała, bo Mist, jak się okazało, jest Bazyliszkiem. Talon kazał jej wyciągnąć ze mnie informacje o kryjówkach dla pisklaków i te pisklaki ściągnąć z powrotem do Talonu. Po uzyskaniu informacji miała mnie wykończyć.

– A to suka!

Może i tak, ale ja poczułem jednak żal. Owszem, Mist była suką, ale dlatego że ją po prostu przerobili, prawda? Gdyby udało mi się w porę wydostać ją z Talonu, byłby to całkiem inny smok.

– To nie jej wina, Ember. Dobrze wiesz, jaki jest Talon, do czego potrafi się posunąć. Gdyby Mist była tu z nami, gdyby też była zbiegiem, wyglądałoby to całkiem inaczej. Nie musiałyby się stać to, co się stało.

– A co się stało? Czy ona...

– Nie, nie. Żyje. Nie zabiłem jej, tylko zaaplikowałem środek uspokajający. Dawka jak dla słonia, dzięki czemu przez dobrych kilka godzin będzie spała jak zabita. Ale nie to jest teraz najważniejsze.

Zamilkłem, bo zauważyłem nadjeżdżającą taksówkę i stałem się czujny. Ale spoko. Nadjechała, minęła mnie i facet nawet nie zwalniając, skręcił za róg.

– Dała mi ten środek i powiedziałem jej prawie wszystko, Ember – mówiłem dalej, czując ciarki na plecach. Przecież tak niewiele brakowało, by cała moja sieć znalazła się w szponach Talonu! – Omal nie zdradziłem mojego podziemia, wszystkich pisklaków i ludzi, którzy

z nami współpracują. Na szczęście coś mnie przed tym powstrzymało.

– A co, Riley?

– Nie co, ale kto. Ty, Firebrand – powiedziałem, zatrzymując się przed skrzyżowaniem, oparłem się o znak drogowy i dalej klarowałem: – Przez cały czas miałem przed oczami twoją twarz i właśnie to przywracało mnie do pionu. Dzięki tobie byłem w stanie oprzeć się temu cholernemu serum, bo widziałem cię, bo myślałem o tobie. Ember, ja nie wiem, co ty o mnie myślisz, nie wiem, co czujesz do tego żołnierza, ale i tak ci powiem. Ja... ja już nie będę w sobie tego zwalczał. Nie. Chciałbym, żeby było... ty i ja. Razem, rozumiesz?

Nastała chwila ciszy, a potem rozległ się głos bardzo cichy, prawie szept:

– Ty i ja? Riley, ale nie mogę ci niczego obiecać. Bo ja sama jeszcze tak do końca nie wiem, co czuję.

– Nie szkodzi, Ember. Poczekamy – powiedziałem w chwili, gdy ponownie światła samochodu rozproszyły mrok, a samochód ten wyhamował przy krawężniku. Znowu jakaś taksówka. – Kiedyś przecież zrozumiesz, że jesteś tylko i wyłącznie smokiem, jak i ja nim jestem. Ludzka postać to tylko kostium, przebranie... Tak, jesteśmy smokami, a ja jestem przy tobie. I zawsze będę. Tak, bo mogę już ci coś obiecać...

Szyba w taksówce opadła, w oknie ukazała się kudłata głowa Wesa i chuda ręka machająca do mnie rozpaczliwie. Czyli świetnie. Zachwycony widokiem kumpla uśmiechnąłem się szeroko i po sekundzie byłem już w taksówce. Rozsiadłem się na tylnym siedzeniu i ignorując znaczące spojrzenia Wesa, dalej oczywiście rozmawiałem przez komórkę:

– Jadę do was, Ember. Trzymaj się, dziewczyno. Będziemy tam za kilka minut.

Miałem już się rozłączyć, kiedy nagle usłyszałem jeszcze ciche:

– Riley...

– Tak?

– Bardzo się cieszę, że z tobą wszystko w porządku. Baliśmy się o ciebie, i to naprawdę bardzo. Nigdy więcej nie rób takich numerów.

– Numerów? Masz na myśli taki numer, że ktoś mnie porywa, a potem jestem przesłuchiwany przez agenta Talonu? Agent

działającego w ukryciu? Nie, tego nie mogę ci obiecać, choć wiadomo, że będę się starał do tego nie dopuścić.

Uśmiechnąłem się, kiedy usłyszałem, jak ten ktoś tam, po drugiej stronie, cicho prychnął. A potem już tylko:

– Do zobaczenia, Riley.

– Do zobaczenia, Ember.

COBALT

Dwanaście lat temu

Nie miałem pojęcia, jak mnie wytropił, ale jednak zrobił to. I był to człowiek. Człowiek, który czekał na mnie w tej norze, którą wynająłem na jedną noc. Siedział za ustawionym w kącie biurkiem, a kiedy tylko przekroczyłem próg, napotkałem jego wzrok. Moja ręka naturalnie od razu odszukała broń, którą zawsze miałem przy sobie.

A on, ten za biurkiem, ten człowiek, obie ręce od razu podniósł.

– Spokojnie, kolego! Nie jestem tu po to, by stwarzać ci problemy. Chcę tylko, byś mnie wysłuchał.

I w tym momencie dotarło do mnie, że gdzieś już go widziałem. Tak, na pewno, ale zdarzyło się to dawno temu, kiedy jeszcze jako dziecko byłem na spotkaniu z Rothem i Szeferem Bazyliszków. I właśnie na tym spotkaniu na pewno był ten gość. Nazwiska oczywiście nie zapamiętałem, ale twarz tak, z tym że wtedy na pewno wyglądał inaczej. Bo teraz przypominał po prostu menela. Każdy przetłuszczony brązowy włos sterczał w inną stronę, a ubranie było tak brudne i wymięte, jakby nie zdejmował go od co najmniej kilku dni. I pewnie nie zdejmował, pomyślałem wtedy.

– W porządku – powiedziałem, choć lufa nie zmieniła położenia i nadal była wycelowana w cherlawą pierś. Bo niby jak inaczej? Co z tego, że to tylko człowiek, do tego nieuzbrojony, skoro ja niejedno już przeszedłem i nie miałem zamiaru bez sensu ryzykować. – Mów, czego chcesz – ponagliłem go.

– A nie mógłbyś jednak opuścić tej spluwy? Mówiłem już przecież, że nie będę stwarzać ci żadnych problemów. A nawet wręcz przeciwnie. Chcę ci pomóc, rozumiesz?

Pomóc?! Po tym jego oświadczeniu trudno mi było powstrzymać się od jadowitego uśmiešku.

– Czyżby? Jakoś trudno mi w to uwierzyć. Po pierwsze, jesteś człowiekiem, a więc z jakiej niby racji miałbyś mi pomagać? A po drugie, koleś, widziałem cię kiedyś na spotkaniu z Rothem, a to najlepszy dowód, że pracujesz dla Talonu. Bierzesz od nich forszę i robisz, co ci każą.

– Już nie.

– Nie? – Aż mnie przytknęło. Bo co on niby gada? Z Talonu nie odchodzi się ot tak, na własne życzenie. – Naprawdę?

– Naprawdę. Można to określić rozmaicie. Odszedłem od nich, zbiegłem, wypłatałem się z tej sieci i tak dalej. Wybierz, co ci najbardziej pasuje, ale już mnie tam nie ma, i to jest fakt niezbity.

– Jak ci się to udało?

– Bardzo chciałem, więc musiało się udać. Poza tym wszystko sobie dokładnie zaplanowałem... – odparł spokojnie i rzeczowo, kończył już jednak głosem wyraźnie zniecierpliwionym. – Słuchaj, a nie mógłbyś jednak odłożyć tej broni? Bo nie ukrywam, że jest to trochę denerwujące. Odłóż ją, a ja powiem ci wszystko. O sobie, a także o wielu innych rzeczach. Między innymi o tym, o czym na pewno jeszcze nie wiesz.

Co robić? Westchnąłem i naturalnie opuściłem broń.

– Niech ci będzie – mruknąłem nadal oczywiście czujny i bardzo zaciekawiony.

Facet odetchnął i wyraźnie szykował się już do wypowiedzi. I bardzo dobrze, bo chociaż pojawił się niespodzianie i znikąd, jak zabłąkany kot, i to w momencie wielce nieodpowiednim, jednocześnie jednak, jeśli faktycznie ma zamiar wzbogacić moją wiedzę o Talonie, nie ma się nad czym zastanawiać. Warto go wysłuchać. Przede wszystkim może zdradzić, jakie Talon ma plany względem mojej osoby. Na przykład kiedy konkretnie zamierzają znowu nasłać na mnie Żmiję. Może dobrze mi znaną Stealth, z którą miałem przyjemność już się spotkać, a to spotkanie absolutnie nie zakończyło się po jej myśli. Było jednak oczywiste, że Stealth sobie nie odpuści i dlatego, chociaż głowy nie dałbym sobie uciąć, wcale nie uważałem za niemożliwe, że

nieustannie gdzieś tu krąży, czai się i nasze ponowne spotkanie to tylko kwestia czasu. A wynik tego spotkania niewiadomy.

– Okej, wysłucham cię. – Szturchnąłem go lekko lufą w pierś. – Ale ostrzegam! Jeśli okaże się, że podczas naszej pogawędki raptem pojawi tu się Talon, ciebie oczywiście zastrzelę na samym początku, jasne?

Wyraźnie zbladł, ale też i skwapliwie pokiwał głową, a potem przygarbił się, kościste łokcie oparł na równie kościstych kolanach i westchnął. Teraz sprawiał wrażenie człowieka wykończonego i o wiele starszego, niż wydał mi się na początku.

– Jasne – powiedział drewnianym głosem. – Z tym że jeśli te dranie istotnie tu się pojawią, to lepiej będzie, jeśli od razu mnie zastrzelisz. Tak, po prostu mnie zastrzel, to będzie najlepsze rozwiązanie.

A ja wsunąłem pistolet za pasek dżinsów i cofnąłem się parę kroków w głąb pokoju.

– Kto ty jesteś? – spytałem, ustawiając się koło łóżka. – Jak mnie znalazłeś?

– Jestem Wesley Higgins, czyli po prostu Wes. Z tym że od razu z góry zaznaczam, nie znajdziesz mnie w żadnym systemie. Naprawdę w żadnym. A ty nie musisz mi się przedstawiać. Agent Cobalt. Wiem, kim jesteś, i wiem o tobie niemało.

A ja na to głosem niebezpiecznie cichym:

– Rozumiem... I masz zamiar coś niecoś mi przekazać. A można wiedzieć, co chcesz w zamian? Bo może z kolei zażyczysz sobie również pewnych informacji, z którymi od razu polecisz do Talonu?

– Daj spokój! Przecież nie mam zamiaru cię szantażować! – zaprotestował, drapiąc się po rozczochranej głowie. – Naprawdę nie rozumiesz, że wcale nie chcę z tobą walczyć? Przeciwnie, jestem po twojej stronie. Daj mi się po prostu wypowiedzieć, ale tak spokojnie, bez nerwów, bez żadnej szarpaniny, od początku do końca, nie urywając mi głowy w przerwie między jednym zdaniem a drugim!

Wzruszyłem ramionami. Może i miałem już obsesję na punkcie czujności, ale w końcu nie bez powodu.

– Nic ci nie mogę obiecać – warknąłem. – Dobra, zaczynaj.

– Tak jest – mruknął Wes i odetchnął głęboko.

Ja z kolei przesunąłem się pod ścianę, oparłem się o nią i skrzyżowałem ramiona, czekając, kiedy wreszcie zaczną.

I w końcu zaczął, popatrując na mnie czujnie.

– Byłem w Talonie prawie pięć lat. Przedtem mieszkałem w Londynie, oczywiście z rodzicami. Rodzeństwa nie miałem, rodzice pracowali od rana do wieczora, tak więc w domu byłem przeważnie sam.

– Rozumiem. Ale co to ma wspólnego z Talonem?

– Spokojnie, zaraz dojdziemy do tego... A więc, jak powiedziałem, rodziców prawie przez cały dzień nie było w domu, nie wiedzieli więc, co robię od rana do wieczora. A ja od małego siedziałem przy komputerze i w którymś momencie zostałem... no... takim anonimowym i niezależnym komputerowcem...

– Czyli po prostu hakerem?

– Zgadza się. I to dobrym. Śmiem nawet twierdzić, że bardzo dobrym – oświadczył Wes z wyraźną satysfakcją, zaraz jednak potem sposepniał. – Niestety właśnie dlatego że jestem niezły, wciągnęli mnie w to bagno. Miałem wtedy niecałe czternaście lat. Byłem w domu, jak zwykle oczywiście sam, i byłem czymś tam zajęty, kiedy nagle ktoś zapukał do drzwi. Gdy je otworzyłem, okazało się, że na werandzie stoi dwóch mundurowych policjantów. Powiedzieli, że jestem aresztowany, a ja dobrze wiem, za co mam iść do pułda. Bardzo się przeraziłem, ale co się dziwić. Czternastolatek w kajdankach wyprowadzany z domu! – Uśmiechnął się, ale na pewno nie był to radosny uśmiech. – Rzecz jasna nie byli to prawdziwi policjanci. Domyślasz się kto?

– Nietrudno zgadnąć. Talon?

– Zgadza się. Ten cholerny Talon! Oczywiście na początku nie miałem o tym pojęcia. Ale szybko zacząłem kumać, że coś jest nie tak, bo nie zawieźli mnie na posterunek, tylko do jakiegoś domu i tam kazali usiąść przy komputerze. No i wtedy powiedzieli, skąd są. Powiedzieli też, że jeśli nie zrobię tego, czego chcą, świat dowie się, że jestem hakerem, i będę miał wielkie nieprzyjemności. Między innymi odbije się to na moich najbliższych. Tak mi nagadali... – Wes bezradnie potrząsnął głową. – A ja, głupi szczaw, we wszystko uwierzyłem. Zrobiłem, co chcieli, no i tak to się zaczęło. Pracowałem dla Talonu prawie trzy lata, a kiedy ukończyłem szesnaście, po raz pierwszy poszedłem na spotkanie

z Adamem Rothem. Zaprowadzili mnie do pokoju bez okien, i nie było tam nikogo oprócz Rotha. Bo to właśnie na niego miałem sobie popatrzeć. Rozumiesz, taka wspaniała nagroda za służenie im swoimi umiejętnościami. Wyjawienie, dla kogo tak naprawdę pracuję. I właśnie wtedy uświadomiłem sobie, że będę tym draniom służył do końca życia.

– I podjąłeś decyzję o ucieczce.

– Zgadza się. Właśnie mija piąty rok mojej służby dla Talonu, a ja mam tego już powyżej uszu. Przecież bezczelnie mnie porwali! Odebrali wolność, rodzinę, wszystko, i zrobili sobie ze mnie niewolnika. Gady przekłete! Dlatego doszedłem do wniosku, że tak dalej być nie może.

– Rozumiem. Ale musiałeś nad tym trochę popracować, prawda? – spytałem teraz już pełen uznania dla rozczochranego chudzielca. Bo trzeba przyznać, że dokonał nie lada wyczynu. Mało tego, że uciekł z Talonu, to, jak widać na załączonym obrazku, nadal skutecznie im się wymyka.

– Jasne, że musiałem. Mówiłem ci już, że przygotowania zajęły mi sporo czasu. Przede wszystkim musiałem zadbać o to, żeby w momencie, kiedy zniknę z Talonu, zniknąć także ze wszystkich jego systemów, i to bezpowrotnie. Na szczęście zostałem już tak głęboko wciągnięty w sprawy Talonu, że mogłem ich zaszantażować. Chodzi oczywiście o moich rodziców. Postarałem się o to, by w momencie mojego zniknięcia Talon otrzymał informację, że jeśli będą próbować mnie odszukać albo zaczną grozić moim rodzicom, to pewne pliki zawierające bardzo interesujące dane o przedsięwzięciach biznesowych Talonu staną się dostępne dla wszystkich.

– No proszę! – rzuciłem z uśmiechem, nie kryjąc podziwu. – Zaszantażować potężny Talon! Naprawdę jestem pod wrażeniem.

Wes prychnął. Wyraźnie nie był czuły na komplementy, mimo to powiedział zdawkowo:

– Dzięki. – A potem dodał: – Ale niestety nie wygląda to tak różowo. Sam wiesz najlepiej, że ucieczka nie załatwia wszystkiego. Trzeba potem jakoś przetrwać. A ja po prostu nie wiem, jak to zrobić. Jestem hakerem, potrafię włamać się wszędzie, ale na tym niestety koniec moich umiejętności. W pojedynkę nie dam rady, a doskonale przecież wiem, że na zbiegów nasyłają Żmiję, żeby w środku nocy

poderżnęła gardło albo wykończyła w inny sposób. I tak w ogóle trzeba wiedzieć, co robić, żeby przetrwać. A ja tego po prostu nie wiem.

– No tak, i właśnie dlatego wytropiłeś mnie? Masz nadzieję, że obronię cię przed Talonem? No cóż... Szczerze mówiąc, nie bardzo się palę, żeby ciągnąć ze sobą człowieka. Nie ukrywam, że w sumie byłbyś dla mnie jednak ciężarem. Poza tym ja pracuję sam. Zawsze tak było...

Zauważyłem, że mina mu zrzędała, więc zrobiło mi się trochę głupio, że tak walę mu prosto z mostu. Ale cóż... W końcu jedyne, co mogłem zrobić, to jasno postawić sprawę.

– Mówisz, że gubisz się w tym naszym wolnym świecie, okej, rozumiem to. Ale różnych umiejętności potrzebnych w wolnym świecie łatwo się nauczyć. Tyle że nie jest to normalny wolny świat. To jest świat zbiegów. A czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, w co się wpakowałeś? Jak wygląda życie zbiega? A wygląda tak, że masz już przechłapanę na zawsze. Talon nigdy ci nie wybaczy, nigdy nie pójdzie na żadne ustępstwa, tylko zawsze będzie chciał się zemścić. Bo ze smokami tak już jest. Mają wyjątkowo dobrą pamięć i na zawsze chowają urazę. Więc może jeszcze się zastanów. Jeśli wrócisz do Talonu, to oczywiście nadal będziesz żył odgradzony od świata, niemniej jednak na pewno pozostaniesz wśród żywych, póki pewnego pięknego dnia nie umrzesz ze starości, no i z nudów. Ale, powtarzam, będziesz żył. A jeśli pójdiesz ze mną, twoje życie stanie się bardzo skomplikowane, a przede wszystkim przez cały czas będzie wisieć na włosku, w związku z czym na pewno będzie bardzo burzliwe i bardzo krótkie.

– Rozumiem – mruknął. – No cóż... Wcale się nie spodziewałem, że będzie usłane różami. A jeśli chodzi o mnie... Hm, jak widzę, wciąż nie zdajesz sobie sprawy, że dzięki mnie otwierają się przed tobą nowe możliwości. Bo ja nie jestem dzieckiem, którym trzeba się zaopiekować. Coś niecoś umiem i naprawdę mógłbym ci pomóc w wielu rzeczach.

– Tak? A konkretnie w czym?

– Konkretnie... – Wes uśmiechnął się. – Tak na początek, na przykład, mógłbym włamać się na twoje konta, które, wiadomo, zostały zablokowane przez Talon. Znów zyskasz do nich dostęp, przy czym będziesz czuł się bezpieczny, bo zrobię tak, że Talon w żadnym razie nie

zdoła cię namierzyć.

– Naprawdę?!

Uśmiech Wesa poszerzał.

– Naprawdę. Powiedziałem ci przecież, że w tej branży należę do ścisłej czołówki. Jeśli będziesz potrzebował jakichś plików czy zapragniesz odszyfrować kod, to naprawdę nie ma sprawy... – Sięgnął do kieszeni, wyjął z niej dobrze mi znany niewielki przedmiot z czarnego plastiku i podał mi wraz ze słowami: – Skromny dowód na to, że ja jako firma jestem jednak coś wart.

– A co jest na tym pendrivie?

– Pliki o tobie. Wszystko, począwszy od daty wyklucia. Życiorys i dokładny przebieg kariery zawodowej. Te pliki zostały skasowane w ich systemie i nie ma sposobu, by je odzyskali...

Oczywiście w tym momencie szczeka mi opadła.

– Trochę o tobie sobie poczytałem – mówił dalej Wes, ale już bez uśmiechu. – Na przykład o tym, że z ostatniej misji miałeś nie wrócić, bo stałeś się dla Talonu niewygodny. Innym słowy, uznali, że nie będą już w stanie ciebie kontrolować, i dlatego miałeś zginąć podczas wykonywania obowiązków służbowych, konkretnie pogrzebany żywcem pod tonami cegieł z zawalającego się budynku. Podejrzewam, że wiedziałeś o tym już wcześniej, skoro wyszedłeś z tego cało.

– A tak... – mruknąłem, wpatrując się w kawałek czarnego plastiku, na którym zapisane było całe moje życie. Ta baza danych dla Talonu stała się niedostępna, czyli rewelacja, bo bez tych informacji wytropienie mnie było jeszcze trudniejsze.

Wsunąłem pendrive'a do kieszeni i zastanowiłem się przez moment.

– A wiesz, myślę, że ten plik, który kazali mi ściągnąć w bazie Świętego Jerzego, to nic ważnego. Tylko pretekst, żebym wszedł do tej bazy.

– Mylisz się – powiedział Wes, teraz znowu uśmiechnięty. – To był bardzo ważny plik, postanowili więc, że skoro i tak, by wykonać podstawowe zadanie, wejdiesz do komandorii, przy okazji możesz zrobić coś jeszcze dla organizacji.

– No tak. A ten plik, jak się domyślam, masz ze sobą?

– Sam to ustal... – Wes wzruszył ramionami. – Przecież mówiłeś, że pracujesz zawsze sam!

Oczywiście w pierwszej chwili się wkurzyłem, zaraz jednak potem pomyślałem, że prawdę mówiąc, to Wes ma powód, żeby się wściekać. W końcu nie jest byle kim, dał mi na to dowód, a ja dalej trzymam go w niepewności. Dlatego powiedziałem:

– Wes, posłuchaj mnie uważnie. Załóżmy, że przyjmę twoją ofertę, ale przedtem chciałbym coś jeszcze wiedzieć. Powiedz mi, dlaczego chcesz być ze mną? Właśnie ze mną?

– Oprócz tego, że z tobą łatwiej będzie mi przeżyć? No cóż... Nie ukrywam, że jest to podstawowy powód. Ale nie jedyny. – Nieznacznie wyprostował się w krześle, rysy twarzy stwardniały. – Przecież te pieprzone jaszczury skradły mi życie! Nigdy już nie będę normalny. Nigdy nie będę mógł zobaczyć się z rodzicami, nigdy nie będę zwyczajnym facetem, który zakłada rodzinę, ma dzieci i tego typu klimaty. A wszystko przez ten pieprzony Talon!

– Chcesz się zemścić? Myślisz, że ci się uda? Przecież to nie jest jakaś tam niewielka firma, kiedy to wystarczy wpuścić do systemu wirusa i narobić sporego bałaganu albo i w ogóle posłać na dno. Nie, Wes! To potężna korporacja o ogólnoswiatowym zasięgu, prawdziwe imperium finansowe. Ma różne poziomy organizacji, najlepsze zabezpieczenia, wzajemne asekuracje. To prężnie działający moloch, a nas jest tylko dwóch.

– Tak powiadasz? A mi się wydaje, że tych, co przebywają poza Talonem i wcale mu dobrze nie życzą, jest jednak więcej.

– Może i tak, ale nie znamy ich przecież. Masz jakiś sposób, żeby do nich dotrzeć?

Oczy Wesa rozbłysły.

– Może i tak – mruknął, szybko stawiając na stole laptopa. Otworzył go i zaczął stukać w klawiaturę. – Chcesz wiedzieć, jaki plik podebrałeś Świętemu Jerzemu? Popatrz no tu!

Spojrzałem na ekran. A na nim pojawiło się coś w rodzaju wykazu, ale bez żadnego nagłówka, który by wyjaśniał, o co w tym wykazie chodzi. Po prostu od razu były informacje.

I to jakie! Na pierwszej pozycji:

Carson City, Nevada. Działalność Talonu: umiarkowana. Liczba zidentyfikowanych uśpionych agentów: 1.

Uśpieni agenci? Tak określano w Zakonie pisklaki gotowe do zakończenia procesu asymilacji. W tym celu Talon wysyłał je do miast i miasteczek, żeby wtopiły się w miejscową ludność.

Przeglądałem wykaz i byłem coraz bardziej zachwycony, bo przecież właśnie dostałem informacje wprost bezcenne. W każdej linijce nazwa miasta, ocena działalności Talonu i liczba uśpionych agentów...

Moje serce biło coraz szybciej.

– Wes, przecież to...

Wes pokiwał głową.

– Zgadza się. Wykaz miejsc, do których Talon wysyła swoje pisklaki. Tak przynajmniej sądzi Zakon Świętego Jerzego, chociaż nie wszystkie informacje muszą być miarodajne. Niektóre miejsca mogły już się zdezaktualizować. Dobrze wiesz, jak ostrożny jest Talon. Niemniej jednak...

Niemniej jednak było to już coś. Oczywiście! Mało tego, teraz, kiedy miałem przed oczami tego rodzaju materiał, w głowie zaświtał pewien pomysł. Och, wyjątkowo śmiały, wręcz szalony. A pomysł polegał na tym, by odszukać pisklaki poutykane przez Talon w różnych miastach, nawiązać z nimi kontakt i powiedzieć im prawdę o Talonie. Powinny ją poznać, zanim Talon do końca wbije w nie swoje szpony. Czyli, innymi słowy, ostatecznie wypierze im mózg. A kiedy pisklaki już się dowiedzą, jaki Talon jest naprawdę, to będą mogły podjąć decyzję, czy chcą nadal należeć do takiej właśnie organizacji. A jeśli zdecydują się z niej odejść, to powinny mieć przy sobie kogoś, kto pokaże im, jak być wolnym.

Kogo? Właśnie mnie.

Wes, człowiek bardzo bystry, musiał domyślić się, co dzieje się w mojej głowie, bo spytał z uśmiechem:

– No i jak tam, kolego? Jesteśmy partnerami?

– Spokojnie. Najpierw uświadom sobie, że zgarnięcie tych pisklaków i zbudowanie czegoś w rodzaju sieci kryjówek potrwa całe długie lata. Poza tym zawsze będzie gorąco, bo będziemy uciekać i przed Zakonem, i przed Świętym Jerzym. Czyli, podsumowując, twoje życie

nadal będzie zaprzeczeniem normalności. Zastanów się więc, czy faktycznie chcesz w to wejść.

Wesley Higgins wzruszył ramionami.

– A nad czym mam się zastanawiać? Przecież to przeklęte smocze imperium i tak będzie mnie ścigać. Zawsze, dopóki ktoś lub coś ich nie rozwali.

– W porządku. A więc jesteśmy partnerami.

Pokiwałem głową i znów wbiłem oczy w ekran. Pierwsza pozycja: Carson City, Nevada. Nasze pierwsze zadanie.

– Zabieramy się do roboty, Wes.

EMBER

Moje serce biło jak oszalałe, cała w środku byłam nieprawdopodobnie rozemocjonowana, po prostu półprzytomna z radości. Riley żyje! I wszystko z nim w porządku. Kiedy usłyszałam jego głos – najlepszy dowód, że żyje! – poczułam ulgę największą z największych. Przecież tych ostatnich kilka godzin to był prawdziwy koszmar! Bo dopiero teraz przekonałam się, jak wiele Riley dla mnie znaczy. Przecież kiedy go nie było, a ja nie wiedziałam, co się z nim dzieje, omal nie oszalałam!

Moja smoczyca jak gorąca lawa krążyła w moich żyłach, tym bardziej rozplamieniona, że nie mogła nie słyszeć obietnicy Riley, więc z kolei teraz nie mogła się doczekać, kiedy znowu go zobaczy. Przecież od samego początku widziała w nim swoją drugą połowę. Tak, bez żadnych niedomówień, po prostu tak to traktowała. Ale co się dziwić, skoro Cobalt działał na nią niesamowicie. Ciągnęło ją do niego jak mnie do latania, był jej niezbędny jak mnie sen czy powietrze. A Riley, jak wynikało z naszej ostatniej rozmowy, wcale nie miał zamiaru się ociągać.

Dlaczego więc ja się ociągałam?

– Powinniśmy już iść – odezwał się nagle Garret gdzieś u mego boku.

Spojrzałam w górę. Patrzył na mnie, a twarz miał przy tym już tak kamienną, że aż cała skurczyłam się w środku.

A głos Garreta był bardzo oschły.

– Talon prawdopodobnie już wie, że zasadzka nie wypaliła – dodał, szerokim gestem wskazując pozostałości po ostatnich wydarzeniach, czyli nieruchome ciała porzucane po podłodze. – A nawet jeśli jeszcze to do nich nie dotarło, i tak wkrótce się dowiedzą. W każdym razie powinniśmy zniknąć stąd jak najprędzej, zanim pojawi tu się ich, że tak powiem, ekipa sprzątająca.

– Masz rację.

Pokiwałam głową i odepchnęłam się od stosu palet, o który opierałam swe obolałe ciało. Niestety w trakcie tej czynności jedna z nóg zabolęła okropnie, i to aż tak okropnie, że omal nie upadłam.

– A niech to... O nie, o nie...

– Ember? Coś nie tak?

Garret, z twarzą już absolutnie nie kamienną, natychmiast znalazł się u mego boku. Ja, naturalnie, machnęłam lekceważąco ręką.

– Wszystko w porządku – oznajmiłam i zaciskając zęby, zrobiłam kolejny krok. I noga, i plecy, i ramię bardzo zabolęły. Nie wiedziałam, czy od ran zadanych szponami, czy też dlatego, że po walce byłam tak ogólnie poobijana. W każdym razie bolało. Oczywiście cały ten magiczny – dla mnie teraz idiotyczny – kombinezon Źmii szczelnie okrywał ciało i w rezultacie sama nie wiedziałam dokładnie, ile tych ran mam, a także czy są to rany głębokie, czy na szczęście tylko powierzchowne. Szczerze mówiąc, to najchętniej wróciłabym do pierwotnej postaci, bo ciało smoka zdecydowanie lepiej radziło sobie z bólem niż ciało człowieka.

– Pan pierwszy – wyrzuciłam z siebie przez te zaciśnięte zęby. – Z tym że jeśli można, to idźmy trochę wolniej, dobrze?

Garret po krótkiej chwili namysłu wcale nie wysunął się do przodu, tylko podszedł do mnie i jedną ręką objął mnie przez plecy. A potem, ku memu wielkiemu zdziwieniu, pochylił się, drugą rękę wsunął za moje kolana i... i po prostu mnie podniósł. Tak! Normalnie wziął mnie na ręce! W chwili, gdy mnie podnosił, krzyknęłam, bo nie odbyło się to bezboleśnie, a miałam przecież niejedną otwartą ranę. Ale kiedy już byłam w górze, w ramionach Garreta, ból znikł jak ręką odjął.

– Garret... – wymamrotałam, a chwila była szczególna, bo moje

serce wariowało, żołądek też, zbijając się w jedyne w swoim rodzaju kulki. Ale co się dziwić, skoro bliżej Garreta już być nie mogłam! Ta bliskość zachwycała, jednocześnie jednak, wiadomo, czułam się skrępowana, niemniej położyłam dłoń na jego piersi, dokładnie tam, gdzie bije serce. – Naprawdę nie musisz tego robić. Ze mną naprawdę nie jest tak źle...

I zamilkłam, bo w spojrzeniu Garreta było tyle żalu i tęsknoty, tyle smutku. Tak właśnie patrzył na mnie, ale tylko przez moment. Zamrugał szybko, by przywołać to inne spojrzenie, zwyczajne, w którym nie było widać żadnych emocji.

Chociaż to, co powiedział, też było smutne.

– Kiedyś ty niosłaś mnie na swoim grzbiecie. Teraz moja kolej. Pozwól mi przynajmniej zrobić jeszcze to...

Powiedział to bardzo cicho, uśmiechając się przy tym smętnie, jakby faktycznie nic więcej już nie mógł dla mnie zrobić. Poniesie mnie i na tym koniec. W rezultacie tak w ogóle zrobiło się bardzo smutno, dlatego, żeby rozładować atmosferę, objęłam go jedną ręką za szyję i zażartowałam:

– W takim razie, jeśli naprawdę chcesz zrobić na mnie wrażenie, poddam się Przemianie. I taką właśnie, po Przemianie, będziesz mnie nieść. Moim zdaniem będzie o wiele ciekawiej.

Kąciki ust Garreta drgnęły.

– Może i tak, ale obawiam się, że zbyt długo wtedy cię nie poniosę. W rezultacie kiedy zjawi się Riley, zobaczy smoka wylegującego się na zmiażdżonym żołnierzu. Na pewno zrobi zdjęcie na wieczną rzecz pamiętkę.

Zaśmiałam się i bardzo dobrze. Bo kiedy tak sobie pożartowaliśmy, atmosfera zdecydowanie zrobiła się lżejsza, i to do tego stopnia, że bez żadnych oporów oparłam głowę o pierś Garreta, a on lekkim krokiem pokonywał ten cały labirynt ze stosów skrzyń i palet. Serce Garreta, tuż przy moim uchu, biło mocno, miarowo, co wpływało na mnie bardzo uspokajająco. W rezultacie odprężyłam się całkowicie. Bo jest świetnie. Nie może być inaczej, skoro cała nasza trójka nadal jest wśród żywych, skoro poradziliśmy sobie i ze Świętym Jerzym, i z Talonem, który nasłał na nas dwie morderczynie, bardzo cwane i bezwzględne podwójne

agentki. Miały zmusić mnie do powrotu do organizacji. I co? I nadal jestem tutaj, wcale nie w Talonie! No i Riley żyje. Garret też żyje.

Niestety nie obyło się bez ofiar, choć szczęśliwie nie po naszej stronie. Niemniej jednak starałam się nie patrzeć na nieruchome ciała martwych agentów Talonu, które leżały to tu, to tam. A tych ciał było chyba z kilkanaście. Nigdy dotąd nie widziałam tylu martwych ludzi, a ci tutaj na pewno prześladować mnie będą w snach przez wiele tygodni. A poza tym... gdzieś tam, w tych ciemnościach poznaczonych śladami krwi, leży purpurowy smok. Też martwy. Purpurowy smok, który kiedyś musiał być takim samym jak ja zwyczajnym smokiem, nieprzerobionym jeszcze na maszynę do zabijania...

Czułam, jak budzi się we mnie wielki gniew, a pod powiekami zapiekło. Dlaczego tak się stało? Przecież Faith wcale nie musiała umierać. Talon wcale nie musiał wysłać jej tutaj. Dlaczego Talonowi tak bardzo zależy, żebym wróciła do organizacji? Zginęła Faith, zginęło kilkunastu ludzi, a wszystko to tylko dlatego, że w Talonie komuś zachciało się wydać rozkaz, że mam wrócić, a jak nie, to mają mnie zlikwidować...

– Garret – szepnęłam, kurczowo chwytając się jego koszuli. – Garret, zatrzymaj się...

Zatrzymał się, choć naturalnie był zaskoczony tym moim żądaniem, ponieważ byliśmy już bardzo blisko wyjścia. Przez otwarte drzwi widać było cichy, pusty plac przeładunkowy. Niebawem pojawią się tu Riley i Wes, i wszyscy natychmiast stąd znikniemy, jak najprędzej, zanim przybędzie tu Talon albo Zakon, albo policja.

To wszystko prawda, ale mnie coś gryzło i wiedziałam, że jeśli zaraz czegoś się nie dowiem, to chyba zwariuję z tej wielkiej niepewności.

– Muszę tam wrócić – szepnęłam, a Garret sposepniał. – Nie musisz ze mną iść. Zostań tu i czekaj na Rileya. Ale ja muszę tam wrócić, bo zapomniałam o czymś bardzo ważnym.

DANTE

Już dawno powinna była do mnie zadzwonić.

Każde tyknięcie wskazówki zegara wiszącego na ścianie, gdy przesuwała się o sekundę, mój mózg odbierał jak inwazję wiertarki. Ten zegar chodził stanowczo za głośno, tym bardziej że w pokoju na ogół panowała cisza. Cztery najwyższe rangą smoki, usadowione wokół stołu, nieruchome i cierpliwe jak góry, odzywały się z rzadka. Czasami coś mówiły do mnie, czasami wymieniały uwagi między sobą, wygłaszały trochę dłuższe kwestie przyciszonymi głosami, przede wszystkim jednak milczały, co jakiś czas popatrując na mnie pustym wzrokiem, który głównie skierowany był na splecione palce u rąk ułożonych na brzuchu. Ja starałem się ze wszystkich sił zachowywać tak jak oni, czyli być istotą obojętną i milczącą. Nawet przyjąłem podobną pozę, to znaczy ręce też ułożyłem na brzuchu oraz splotłem palce, i tam właśnie wlepiłem wzrok.

I wreszcie komórka zabuczała, czyli koniec udawanej obojętności. Podskoczyłem jak oparzony i nie czekając na przyzwalający gest ze strony Rotha, błyskawicznie chwyciłem telefon i przyłożyłem do ucha.

– Faith? Już zrobione?

– To nie Faith.

Zamarłem. Cały pokój zamarł. Ja też nie byłem już taki rozdygotany. Przeciwnie, siedziałem wyprostowany jak drut, a oczy wszystkich najwyższych rangą smoków skierowane były na mnie. Oczywiście nie mogli usłyszeć, kto dzwonił, ale nie mogli nie wyczuć, że coś jest nie tak. Bardzo nie tak.

Serce waliło jak młot. Na moment zamknąłem oczy, szykując się do ujawnienia tego, czego nie było sensu ukrywać.

No i wreszcie ujawniłem:

– To Ember.

Czułem naturalnie, że uwaga wszystkich obecnych wyostrzona jest maksymalnie, właśnie teraz, w tej chwili, kiedy będę rozmawiał z siostrą. A przecież będę! Będę z nią rozmawiał, mając przy tym nadzieję, że zadanie mimo wszystko się powiodło.

Przełknąłem.

– Gdzie jesteś? – spytałem, starając się mówić jak najspokojniej.

– Po co pytasz, skoro na pewno wiesz! Przecież ty to wszystko zorganizowałeś.

Głos Ember był lodowaty, taki, jakim dotąd zdarzyło jej się

odezwać do mnie zaledwie kilka razy w różnych szczególnych sytuacjach, spośród których dwie były dla mnie wspomnieniem bolesnym, jedna bardziej, druga może trochę mniej.

Niełatwo było znieść zmasowany atak świdrujących spojrzeń czterech smoków. A ten atak oczywiście trwał, co stawało się wprost nie do zniesienia.

– Gdzie Faith? – spytałem.

Najpierw odpowiedziała mi cisza, dopiero po chwili usłyszałem:

– Nie żyje.

Czułem, jak ziemia usuwa mi się spod nóg. Nie, nie byłem w stanie w to uwierzyć. Wiedziałem, że Ember ma naturę buntowniczą, jest lekkomyślna i uparta, nigdy bym się jednak nie spodziewał, że potrafi zrobić coś takiego. Nigdy!

– Nie żyje?! Kto ją zabił? Ty?! – spytałem, dławiąc się tymi słowami.

– Nie, nie ja.

– Czyli ten żołnierz, tak? Żołnierz Świętego Jerzego! Jest tam z tobą, a ty pozwoliłaś, żeby ją zabił. – Cisza, więc mówiłem dalej głosem jeszcze bardziej twardym: – Jak mogłaś do tego dopuścić?

– A wiesz, że masz chyba nerwy ze stali, skoro pytasz mnie o coś takiego – zasyczała i mimo że musiała być bardzo zła, nagle głos jej się załamał. Ale dokończyła już napastliwie: – Nie udawaj niewiniątka, Dante. Przecież to ty ją na mnie nasłałeś. To ty to wszystko zaplanowałeś, prawda?

– Tak, to ja – przyznałem bez wahania, bo ta jej złość jednak była dla mnie niepojęta. – Zrobiłem to, by ściągnąć cię z powrotem do Talonu. Bo tu jest twoje miejsce, Ember. Tylko tutaj...

W tym momencie skrzypnęło, jakby ktoś podnosił się z krzesła. Naturalnie usłyszałem to skrzypnięcie, ale specjalnej uwagi na to nie zwróciłem, po prostu zbyt mocno byłem wściekły, by przejmować się takimi detalami.

– Ember, przecież staram się, by nic złego ci się nie stało. Staram się zbudować jakąś przyszłość dla nas obojga, a ty koniecznie chcesz to zepsuć. Koniecznie! Nie mogę uwierzyć, że pozwoliłaś temu człowiekowi zabić Faith, i to tylko dlatego, że nie chce ci się wracać do

Talonu! Co się z tobą dzieje, Ember?!

Teraz to już krzyczałem, ale nie trwało to długo, bo ktoś nagle wyjął mi komórkę z ręki. Nie jakiś tam anonimowy ktoś, ale pan Roth. Bo to on właśnie przed chwilą wstał z krzesła, po czym z lodowatym uśmiechem odebrał mi komórkę i przyłożył sobie do ucha.

– Witam, panno Hill – odezwał się uprzejmie. – Mówi Adam Roth, starszy wiceprezes Talonu, odpowiedzialny za operacje w rejonach zachodnich kraju. Jak się pani miewa?

Przez chwilę słuchał, uśmiechając się tak nieznacznie, że twarz właściwie pozostała nieruchoma.

A potem:

– Jestem pewien, że pani tego, co mówi, nie traktuje dosłownie.

O nie! Najpierw ukryłem twarz w dłoniach, potem nerwowo przeczesałem palcami włosy. Nie mogłem zapanować nad rękami, tym bardziej że domyślałem się, co tam Ember nagadała wiceprezesowi. Zawsze dobrze obracała językiem, a jak się wścieknie, to idzie jej po prostu rewelacyjnie... Więc musiała dołożyć jeszcze i to, choć przecież i tak było już po prostu tragicznie. Faith nie żyje, nie wiadomo, gdzie jest Mist... Czyżby ją też zabili? Te dwa pisklaki nadawały się do tej akcji jak nikt inny, były naszym wielkim atutem w polowaniu na Ember i tego zbiega. Agentkami Talonu były od bardzo krótkiego czasu, więc ani Cobalt, ani żaden z pisklaków z jego sieci nie znał ich, nie mogły więc wzbudzić jakichkolwiek podejrzeń. Kiedy planowałem tę akcję, chciałem, żeby to Mist porozmawiała z Ember i namówiła ją do powrotu do Talonu. Po jakimś czasie jednak Mist poinformowała mnie, że Talon ma wobec niej inne plany. Choć zawsze starałem się trzymać w ryzach dyscypliny, takie posunięcie góry jednak mnie zdenerwowało, bo w końcu to ja byłem odpowiedzialny za całą tę akcję. Ale tak zdecydował pan Roth, w związku z czym rozmawiałem potem w tej sprawie z drugą agentką, Faith, która zapewniła mnie, że na pewno uda jej się zagonić owieczkę z powrotem do owczarni. Kiedy tak patrzyłem sobie na nią, w pierwszej chwili nie bardzo mi się chciało w to wierzyć. Mało tego, miałem wielkie wątpliwości, czy ta spokojna i drobna dziewczyna, delikatne chucherko, nic więcej, nadaje się do tego rodzaju operacji. Przecież Cobalt był zbiegiem, a Ember bardziej niż tylko

uparta. Jednak już po kilku minutach zorientowałem się, że ta delikatność i drobna budowa ciała o niczym nie świadczą, bo w środku Faith jest całkiem inna. Dlatego kiedy powiedziała, że na pewno sobie poradzi, już bez wahania uwierzyłem jej. Z tym że naturalnie dałem jej jasno do zrozumienia, że mojej siostrze nie może stać się żadna krzywda.

– Sprowadź Ember do Talonu – powiedziałem. – Zastosuj wszelkie środki, by ją do tego skłonić, ale nie wolno ci jej skrzywdzić. Jeśli odmówi, to wiesz, co masz robić, ale pamiętaj, chcę, by wróciła tu cała i zdrowa. Rozumiesz?

– Oczywiście, proszę pana – odparła Faith z uprzejmym uśmiechem profesjonalistki. – Pańskiej siostrze nie stanie się żadna krzywda. Na pewno się o to postaram.

I ta Faith, właśnie ta Faith nie żyje. Nie żyje dlatego, że wysłałem ją za moją zbłąkaną siostrą bliźniaczką. A Ember tak bardzo nie chce wrócić do Talonu, że pozwoliła, by Faith została zabita. Jak to mogło się stać? Jak mogła do czegoś takiego dopuścić po tym wszystkim, co przeszliśmy razem? No cóż... Zawsze byłem przekonany, że kogo jak kogo, ale siostrę na pewno znam bardzo dobrze. A wszystko teraz wskazywało na to, że jednak się myliłem, i to bardzo.

Efekt jest taki, że z powodu mojej siostry nie sprawdziłem się. Zawiodłem Talon.

Ręce mi drżały, dlatego położyłem je na zamkniętym laptopie i starałem się za wszelką cenę uspokoić. A górujący nade mną pan Roth, owszem, jak zawsze opanowany i dbający o dobre maniery, ale bardzo chłodny, dalej prowadził rozmowę:

– Bardzo mi przykro, ale nie mogę tego pani powiedzieć, panno Hill – mówił spokojnym równym głosem. – Jeśli chce pani uzyskać te informacje, musi pani wrócić do Talonu. – Nastąpiła chwila ciszy, a potem: – Nie. Panu Hillowi nic nie zagraża. Jest pełnoprawnym członkiem organizacji i bardzo sobie cenimy współpracę z pani bratem. – Znow krótką przerwą. – Nie. Nasza polityka wobec zbiegłych smoków jest bardzo przejrzysta. Cobalt jest przestępcą, który spowodował nieodwracalne szkody dla organizacji. Musimy się chronić przed jego ekstremistycznymi poglądami. – Jeszcze raz przerwą, tym razem trochę dłuższą, potem pan Roth oznajmił bardzo już twardo: – Niezmiernie mi

przykro, że pani właśnie tak to odbiera. Ale gdyby zdecydowała się pani na powrót, gdyby porozmawiała z nami, przekona się pani...

I raptem skończył. Po prostu opuścił rękę, w której trzymał komórkę.

– Panna Hill dziś nie dołączy do nas – oznajmił i odwrócił się do reszty gremium. – Nasze dzisiejsze spotkanie uważam za zakończone. Następnym razem spotkamy się, gdy zostanie opracowana nowa strategia odzyskania panny Hill i rozprawienia się z Cobaltem. Panna Anderson jak dotąd nie przekazała żadnego raportu. Miejmy nadzieję, że zrobi to wkrótce i otrzymamy od niej dobre wieści. Ale to może poczekać do jutra. – Chłodne spojrzenie czarnych oczu przemknęło po twarzach zebranych: – Dziękuję. Mogą panowie odejść.

Wszyscy wstali prawie jednocześnie, spoglądając naturalnie w dół, i ruszyli do drzwi. Ja również wstałem i również skierowałem się ku drzwiom, ale z miejsca się nie ruszyłem, ponieważ w tym właśnie miejscu osadziły mnie twarde jak stal palce pana Rota, które zakleszczyły się na moim ramieniu.

A potem padły słowa:

– Panie Hill, pan pójdzie ze mną.

EMBER

– Dla ciebie wszystko, Firebrand – rzucił dowcipnie Riley, na co ja naturalnie wykrzywiłam się do niego straszliwie. No, może prawie straszliwie.

Siedzieliśmy przy stole, na którym stała apteczka podręczna, w dużym stopniu już opróżniona. Potrzebne przecież były i bandaże, i krem na oparzenia, i waciki nasączone środkiem dezynfekującym, którymi obecnie zasłany był cały blat. Czarny kombinezon Źmii leżał w łazience ciśnięty w kąt, a ja miałam na sobie szorty i luźny top. Taki wyjątkowo luźny, żeby nie drażnił zmaltretowanego ciała.

Riley nachylił się ku mnie i zaczął owijać moją rękę bandażem z gazy. Jego długie zręczne palce siłą rzeczy musiały co jakiś czas musnąć moją rękę. Tylko musnąć, ale ja i tak od razu czułam, jak przez tę rękę przebiega fala ciepła.

Garreta z nami już nie było. Wyszedł przed chwilą bez słowa, prawdopodobnie zamierzał pilnować drzwi albo sprawdzić, czy po parkingu nie kręci się ktoś podejrzany.

Riley i ja zostaliśmy więc sami. Chociaż nie do końca, bo na łóżku siedział Wes, ale jak prawie zawsze nieobecny duchem, bo oczywiście z nosem utkwionym w ekranie laptopa.

– Gotowe – oznajmił Riley. Zawiązał końcówki bandaży, uniósł głowę i spoglądając mi prosto w twarz, potrząsnął głową. Czemu się nie dziwiłam, bo na pewno wyglądałam bardzo interesująco z plackiem białej gazy zakrywającym cały lewy policzek. – Nie wolno ci zdejmować tych bandaży – dodał Riley, spoglądając na mnie surowo. – Moim zdaniem za dzień, może za dwa powinno się już wszystko zagoić. Ale żaden ze mnie ekspert, ponieważ nigdy dotąd nie zdarzyło mi się opatrywać poparzonego smoka. Smoka! A ty przecież nim jesteś!

– Niestety... – mruknął Wes znad laptopa, jak to Wes, niby dowcipnie.

Pominęłam to milczeniem, bo oczywiście starałam się go nie zauważać, trudno jednak było zapomnieć o jego obecności, skoro pokój był bardzo niewielki. Po prostu pokój w hotelu też niewielkim, czyli hoteliku na obrzeżach miasta. To właśnie miejsce, z dala od Stripu, stało się tymczasowym schronieniem dla naszej czwórki. Miejsce, w którym było więcej karaluchów niż automatów do gier na całym Stripie. Siedzieliśmy tu ściśnięci jak sardynki w puszcze, ale Riley zapewniał, że nie potrwa to długo, miał już nawet konkretne plany. Wes wywęszył, że parę domów dalej jest komis samochodowy, w którym można kupić auto od ręki. Żadnych pytań dotyczących twojej historii kredytowej i takich tam różnych dociekań. W zamian za to kupiec miał nie dociekać, jakie jest prawdziwe źródło pochodzenia wystawionych na sprzedaż samochodów. Riley zamierzał iść tam już za kilka godzin, kiedy tylko otworzą komis. Załatwi sprawę, no i w drogę. Tylko dokąd? Nie miałam pojęcia, wiedziałam tylko, że Riley chce jak najszybciej zniknąć z Las Vegas, a po takim dniu jak ten byłam absolutnie za tym. Bo kto by nie był? A więc żegnaj, Las Vegas, Miasto Grzechu, żegnaj, Talonie! Żegnaj...

Dante.

Wystarczyło, że tylko pomyślałam o nim, i już w sercu zakłuło, i to bardzo mocno, błyskawicznie więc przywołałam się do porządku. Bo naprawdę szkoda łez. Wiadomo, że mi smutno, bo to mój brat. Ale zdradził mnie, zdradził swoją siostrę bliźniaczkę. No cóż, całkowicie zaprzedał się Talonowi, wrednej organizacji, w której nie brakuje tych, co chcą mojej śmierci. Jednak Dantemu jakoś to nie przeszkadza. Co więcej, nasłał na mnie Żmiję, a na Rileyę Bazyliszka. I Żmija, i Bazyliszek dostali taki sam rozkaz. Jeśli nie będę chciała wrócić do Talonu, mają mnie zlikwidować. Czyli Riley ma sto procent racji. Mój brat bliźniak był i nadal jest dla mnie zagadką. Kocha mnie, co do tego nie mam żadnych wątpliwości, a mimo to postępuje w taki właśnie sposób. No i jak to ogarnąć rozumem?

– Zrobione – oznajmił Wes, odrywając palce od klawiatury. – Riley, wysłałem instrukcje do wszystkich gniazd z rozkazem natychmiastowej ewakuacji. Poza tym mają zakaz kontaktowania się z kimkolwiek, dopóki się do nich nie odezwiesz.

Riley wstał i zaczął wycierać ręce.

– W porządku. A póki co, to koniecznie trzeba namierzyć tego drania, co kabluje na nas do Talonu, i przytknąć go na zawsze. Chociażby dlatego, że nie mam zamiaru niczego ułatwiać Talonowi.

Słuchałam tego jednym uchem, niemal bez reszty zatopiona we własnych myślach, naturalnie o Talonie, o Dantem, o całej tej wkurzającej sytuacji. Myślach bardzo niewesołych, ale również bardzo absorbujących, dlatego kiedy ktoś leciutko dotknął mego ramienia, prawie podskoczyłam. A to oczywiście był Riley, który wpatrywał się we mnie bardzo przenikliwie.

– Firebrand, z tobą w porządku? Masz taką minę, jakby cię bolało...

– Nie, nie – szepnęłam, czując już w sobie ten żar, który zawsze popychał mnie ku niemu, ku Rileyowi.

Teraz też popychał bardzo mocno, dlatego wstałam. Oczywiście zrobiłam to nadzwyczaj ostrożnie, był to przecież test, jak teraz będzie ze mną, kiedy zacznę się ruszać. Okazało się, że tragicznie nie jest. Owszem, wszystkie rany i zadrapania od razu dały znać o sobie, ale bolało już zdecydowanie mniej niż poprzednio, ponieważ maść i środki

przeciwbólowe zaczęły działać. Poza tym to, co bolało najbardziej, prawdę mówiąc, nie miało nic wspólnego z urazami ciała. A takiego bólu nawet największa dawka aspiryny nie jest w stanie uśmierzyć.

– Myślałam o Talonie i o Świętym Jerzym – powiedziałam, wpatrując się w złociste oczy Riley'a. – Także o tym, jakim draniem okazał się mój brat. Nie rozumiem jego motywów, nie rozumiem jego myśli i decyzji, ale fakty mówią same za siebie. Możesz więc śmiało walnąć mi prosto w twarz: a nie mówiłem?!

Riley nie odpowiedział, tylko podszedł bliżej i objął mnie. Zrobił to bardzo ostrożnie, unikając miejsc problematycznych, spowitych w bandaż. Ale objął, jedną ręką trzymał mnie w pól, palce drugiej wsunęły się w moje włosy. I to był dla mnie szok. Po prostu mnie sparaliżowało. Stałam nieruchomo z policzkiem przyklejonym do jego piersi, w której zadudniło, kiedy zaczął mówić:

– Bardzo mi przykro z powodu Dantego, Firebrand. Moglibyśmy przecież zabrać go ze sobą. Ale on dokonał już wyboru. Mówisz, że nie rozumiesz jego motywów, myśli, decyzji... Więc powtórzę: on już dokonał wyboru. A to można zrozumieć, prawda? Dokonał wyboru. Dwie opcje, jeden wybór, koniec, kropka. Ty też musisz to zrobić. Ostatecznie zdecydować, z kim będziesz trzymać. Czy z Talonem, czy ze mną. Bo jeśli ze mną, to musisz być świadoma, że pewnego pięknego dnia być może będziesz musiała zmierzyć się ze swoim bratem.

A ja położyłam ręce na jego ramionach i spojrzałam w górę, tam, skąd patrzył na mnie już nie Riley, ale Cobalt. Tak, już on. Niebieski smok, chociaż nadal w ludzkiej powłoce, rozpostarł niewidzialne skrzydła otulające nas swoim cieniem.

Przełknęłam, żeby się powstrzymać, bo moje skrzydła też rwały się do rozłożenia.

– Ale dlaczego właśnie teraz mam się zdecydować? – szepnęłam.

– Nie musisz tego robić akurat w tym momencie, Firebrand – odparł i jedna z jego dłoni musnęła mój policzek. – Ale decyzję musisz podjąć, i to już wkrótce. Przecież ci mówiłem, że czuję coś do ciebie i nie mam zamiaru tego w sobie zwalczać. A dziś omal cię nie straciłem...

– Do cholery! – wrzasnął nagle Wes, który wciąż urzędował

z laptopem na łóżku. – Może przestaniecie już tak kadzić sobie, bo się porzygam! Lepiej chodź tu, Riley, chcę ci coś pokazać.

Riley skrzywił się, ale odsunął się ode mnie i podszedł do Wesa. A ja jeszcze przez dobrą chwilę stałam jak ten kołek i gapiłam się na nich. Tak wyglądało to z wierzchu, bo w środku masakra. Serce oszalałe, moja smoczyca również. I tak w ogóle to w tym pokoju zrobiło się nagle okropnie gorąco i jeszcze bardziej ciasno. Ściany stanowczo były zbyt blisko siebie, przez co miejsca prawie wcale, i dlatego brakuje powietrza.

Jeszcze raz spojrzałam na Rileya i Wesa zajętych rozmową i wyszłam na dwór w cichą, ciepłą noc. Sama, całkiem sama, i tak właśnie miało być. Bardzo chciałam, by choć trochę przejaśniło mi się w głowie, dlatego bardzo tego potrzebowałam. By wszyscy na jakiś czas dali mi spokój, nie kręcili się w pobliżu.

Co jednak nie było mi dane, bo bardzo szybko dostrzegłam szczupłą postać na werandzie. Ten ktoś stał odwrócony plecami, ręce oparł o balustradę i patrzył przed siebie, na parking.

Garret.

Odruchowo zrobiłam kilka kroków w jego stronę i nagle zatrzymałam się, tak bardzo gdzieś tam w środku rozdarta. Bo co zrobić? Iść do niego i powiedzieć mu? Czy wracać do środka, czyli po prostu stchórzyć? Ale kogo niby mam się bać? Garreta?!

Przełknęłam i zmusiłam się do zrobienia kolejnych kroków plus dowcipnej odzywki:

– Witam! A co pan taki zapatrzony? Czyżby jakiś wojownik ninja szalał po parkingu? A może supertajny agent Talonu przyczał się za kaktusem?

– Nie – odparł cicho, nadal wpatrując się w różową poświatę na horyzoncie. – Co innego mnie zastanawia, a mianowicie ta ławeczka koło parkingu. Zdecydowanie wygląda podejrzanie, dlatego nie spuszczam jej z oka. Tak na wszelki wypadek.

Uśmiechnęłam się, ustawiłam się obok, przyjmując podobną pozę, czyli lekko pochylona, łokcie oparte o balustradę. I na kilka chwil zapadła cisza. Oboje wpatrywaliśmy się w góry widniejące na horyzoncie. O tej porze, czyli o brzasku, cały świat był cichy i cudownie

spokojny. Bardzo chciałam również być właśnie w takim nastroju, niestety w mojej głowie było wyjątkowo niespokojnie. Zbyt wiele myśli się w niej kłębiło, zbyt wiele pytań przypuszczało na mnie atak, domagając się odpowiedzi. Dokąd pojedziemy? Gdzie jest Dante, co robi? Może planuje już następną akcję? Czy zawsze tak będzie jak teraz? Czy wreszcie nadejdzie taki dzień, kiedy nie będę musiała już uciekać, bo Talon i Święty Jerzy przestaną się nawzajem zabijać i wreszcie nastąpi koniec tej strasznej wojny?

– Ember...

Ciszę brzasku przerwał łagodny głos Garreta. Chociaż stał w niezmienionej pozie i wpatrywał się w horyzont, nastąpiła w nim jednak jakaś zmiana. Po prostu wyczułam, że jest okropnie spięty.

– Ember, wczoraj wieczorem nie odpowiedziałas na moje pytanie.

Ja naturalnie też od razu się spięłam. A Garret wyprostował się i stanął przodem do mnie, jedną rękę opierając na balustradzie. Miałam wrażenie, że stalowoszare spojrzenie autentycznie przewierca mnie na wylot. Nic więc dziwnego, że trochę się wystraszyłam i szybko spojrzałam w bok na stojącą kawałek dalej latarnię uliczną. Latarnię migoczącą, bo niebawem miała zgasnąć. I to migotanie, takie niepewne i nieskoordynowane, dziwnie pasowało do stanu mego ducha.

Milczałam, Garret też, i to milczenie było już zatrwajające. Serce tłukło się w piersi, pokrzykując na mnie, że mam się wreszcie odezwać, powiedzieć te właśnie słowa, które on chciałby usłyszeć. Niestety wcale nie miałam pewności, czy akurat to chciałabym powiedzieć. Kiedy byłam z Garretem, czułam się szczęśliwa. Kiedy mnie dotykał, moje serce zawsze przyśpieszało. Kiedy Garreta ze mną nie było, myślałam o nim prawie bez przerwy. Tak. Ale absolutnie nie wiedziałam, czy to jest właśnie miłość.

Bo i niby jak miałabym go kochać, skoro moja smocza część rwie się do Riley'a, który jest w pobliżu?

Po długiej chwili zdobyłam się na bardzo cichy szept:

– A co chciałbyś usłyszeć?

Garret nie odpowiedział od razu. Pomilczał, odetchnął głęboko i wreszcie odpowiedział krótko i treściwie:

– Prawdę. – Nie, wcale nie zabrzmiało to jak żądanie, głos nie był

ani gniewny, ani lodowaty. Były w nim tylko smutek i rezygnacja. – Wiesz, Ember, nigdy dotąd czegoś takiego nie czułem. Zdaję sobie sprawę, że kto jak kto, ale ja na pewno na ciebie nie zasługuję. Ale... ale powiedziałem to szczerze. Zakochałem się w tobie. – Kiedy mówił ostatnie zdanie, głos mu zadrżał, teraz jednak znów nabrał siły. Teraz mówił prawie napastliwym tonem: – Kocham cię, Ember. Wcale się tego nie wstydzę, wcale się tego nie boję. I... chciałbym wiedzieć, czy ty czujesz do mnie to samo.

Wyłożył wszystkie karty na stół. Obnażył się przede mną całkowicie, a ja... no cóż, po prostu złamię mu serce. Bo tak się najpewniej stanie... Oczywiście, że bardzo chciałam powiedzieć, że czuję do niego to samo, ale nie chciałam kłamać.

Więc jak, nie kochałam go?

A skąd ja mam to wiedzieć!

Krótko mówiąc, i w głowie, i w sercu miałam kompletny chaos.

Garret. Cobalt. Pragnienie drugiej istoty. Miłość. Które uczucie jest silniejsze? Jak ludzie rozpoznają, że to, co czują, to miłość?

Owszem, zaczęłam mówić. Jąkałam się, zacinałam, po prostu było to żalosne, ale starałam się coś tam powiedzieć:

– Garret, ja... ja... sama nie wiem. Przecież... nie jestem człowiekiem. Ja nawet nie wiem, czy jestem zdolna do... do tego rodzaju uczuć...

– Nie wierzę – przerwał mi bardzo zdecydowanie. – Może kiedyś bym się z tym zgodził, ale teraz na pewno nie. Przecież cię obserwuję od chwili naszego poznania. Widziałem na własne oczy, jak w Crescent Beach zbliżyłaś się do tyłu osób, z wieloma zaprzyjaźniłaś się i nadal za nimi tęsknisz. Jak byłaś zła i rozgoryczona, że dla twego brata Talon okazał się ważniejszy niż siostra bliźniaczka. Wiem, że nie zgodziłaś się przerobić na bezlitosną Żmiję. Wszystko to widziałem, Ember. Dzięki tobie przestałem wierzyć w to, co w Zakonie kładli mi do głowy, bo dotarło do mnie, że smoki tak naprawdę nie różnią się niczym od nas, od ludzi. – Na moment zamilkł, a kiedy znów się odezwał, w jego głosie słychać było rozpacz: – Proszę, nie mów, że nie jesteś do tego zdolna – wyszeptał. – Powiedz mi, co tak naprawdę cię powstrzymuje?

Westchnęłam i uniosłam głowę, gotowa już wyznać mu prawdę,

której się domagał. I wyznałam:

– Riley.

Nie, Garret wcale nie sprawiał wrażenia zaskoczonego. Pokiwał tylko głową, a zrobił to powoli, jakby to, co usłyszał, było tylko potwierdzeniem tego, co podejrzewał od dawna. A ja ustawiłam się do niego przodem, twarzą w twarz, bo nadeszła kolejna ważna chwila. Bardzo chciałam przecież, by mnie dobrze zrozumiał.

– Garret, uwierz, naprawdę bardzo cię lubię i bardzo mi się podobasz. Nigdy dotąd nie czułam się aż w tak dużym stopniu człowiekiem jak wtedy, kiedy jestem z tobą. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle, ale tak w każdym razie jest. I bardzo lubię z tobą być. Tak bardzo, że czasami żałuję, że jestem smokiem, że nie możemy być ze sobą... no wiesz, tak normalnie, jak chłopak i dziewczyna... – Zaśmiałam się, oczywiście krótko i nerwowo. – Naturalnie gdybym była człowiekiem, nigdy byśmy się nie spotkali, prawda? Zabawne... Ale nie do końca, bo w rezultacie to wszystko razem jest po prostu sytuacją bez wyjścia, prawda?

Garret nie odzywał się, tylko patrzył, a spojrzenie stalowoszarych oczu było takie, że najchętniej spuściłabym głowę albo spojrzała w bok. Na szczęście udało mi się zebrać w sobie i wytrzymać, czyli mówić dalej, jednocześnie patrząc mu prosto w oczy:

– Przecież nie mogę zignorować tego, co czuję do Riley'a. Ale czuję, czuję też coś do ciebie, i szczerze mówiąc, jestem w tym wszystkim potwornie zagubiona. Dlatego, Garret, póki nie będę miała pewności, nie mogę dać ci żadnej zdecydowanej odpowiedzi. Bardzo mi przykro – dokończyłam i spojrzałam jednak w bok, bo dalsze patrzenie w stalowoszare oczy było ponad moje siły. – Potrzebuję trochę czasu, rozumiesz?

– W porządku – odpowiedział zadziwiająco spokojnie. Bo ja jednak spodziewałam się innej reakcji, bardziej emocjonalnej, może nawet wybuchu gniewu, a co najmniej pretensji, że go zwodziłam i tak dalej. A tu nic z tych rzeczy. Tylko dalej i bardzo spokojnie: – W takim razie ułatwię ci to.

Nic dziwnego, że natychmiast odwróciłam się i wlepiłam w niego oczy.

– Przepraszam, ale co?

Nie odpowiedział, tylko też się odwrócił do drzwi i wtedy zauważyłam, że koło tych drzwi leży wypchany plecak.

Czyli ktoś już się spakował.

Zmroziło mnie.

– Odchodzisz?

– Oczywiście – odparł, zarzucając plecak na ramię. – Mam nadzieję, że udało mi się spłacić tobie i Rileyowi dług wdzięczności, nie ma więc powodu, bym został z wami dłużej. Poza tym im dalej stąd, tym dla mnie lepiej, bo prędzej czy później Zakon będzie chciał mnie dopaść.

– Ale dokąd pójdziesz, Garret? Dokąd?!

Wtedy spojrzał na mnie. Stalowszare oczy pociemniały, były teraz prawie czarne.

– Jeszcze nie wiem. Może uda mi się dotrzeć do Anglii. W każdym razie, jak powiedziałem, jak najdalej stąd, bo coś mi tu nie gra. Ta zasadzka z Mist i Faith... Dziwne, prawda? I skąd Święty Jerzy wiedział, że tu będziemy? Czyżby Talon miał jednak jakieś powiązania z Zakonem? Tajne służby wrogich państw często tak robią, jeśli mają wspólnego wroga albo wspólną korzyść na oku... A jeśli tak właśnie się dzieje między Talonem a Świętym Jerzym, to już naprawdę koniec. Koniec tego, w co Święty Jerzy wierzył niezachwianie od stuleci. Przynajmniej z pozoru, bo może okazać się to zwyczajnym oszustwem. Teraz, kiedy dzięki temu, że byłem z wami i miałem okazję przyjrzeć się drugiej stronie, śmiem twierdzić, że w tej wojnie chodzi o coś więcej, tylko obie strony nabrały wody w usta. Wspólny wróg? Wspólna korzyść? A reszta to tylko przykrywka? – Przerwał na moment. – Obym się mylił... W każdym razie bardzo chciałbym się dowiedzieć, jak jest naprawdę.

Znów chwila ciszy.

Wiedziałałam, że mam ostatnią szansę powiedzieć mu, by został.

Chwila minęła.

– Żegnaj, Ember. Dzięki za wszystko – powiedział Garret i równym krokiem ruszył przed siebie. Jeden krok, drugi...

A ja patrzyłam za nim, czując, jak coś we mnie pęka, więcej, rozpryskuje się na tysiące kawałków.

– Garret! Zaczekaj!

Odwrócił się wyraźnie zaskoczony i przystanął, a ja niewiele myśląc, podbiegłam do niego i objęłam go za szyję. Kiedy moje wargi przylgnęły do jego warg, natychmiast objął mnie w pół i przyciągnął do siebie, a ja wsunęłam palce w jego włosy, Garret jęknął i przycisnął mnie do ściany. Czułam, jak gorące wargi przesuwają się po mojej szyi, po policzku, jak szukają ust.

Odnalazły. Tak, zgłodniałe usta odnalazły równie zgłodniałe usta, i stąd pocałunek wyjątkowo żarliwy. Tak żarliwy, że również jęknęłam, cała wtulając się w Garreta. Tak, bo chciałam czuć go przy sobie całego, calusieńkiego...

Nagle poderwał głowę i odsunął się ode mnie. Zaskoczona zajrzałam mu w oczy, a tam zobaczyłam niepewność.

I coś jeszcze, niestety.

Promyk nadziei.

– Powiedz, żebym został – wyszeptał chrapliwie i zamknął oczy. – Powiedz, a zostanę.

Żar pocałunku błyskawicznie poszedł w zapomnienie. Teraz w całym ciele czułam lód. Ale odetchnęłam głęboko i otworzyłam usta gotowa już powiedzieć właśnie to. Ale nie powiedziałam. Nie, nie mogłam tego powiedzieć, zwłaszcza teraz, bo byłoby to z mojej strony zwyczajnym okrucieństwem. Powiedzieć mu to, co chciał usłyszeć. Żeby został. Kiedy ja tak do końca wcale nie byłam pewna, czego chcę.

Nigdy dotąd nie czułam się tak podle jak teraz, kiedy wysuwałam się z jego ramion. Garret otworzył oczy, ale nie poruszył się, tylko patrzył, jak konsekwentnie oddalam się od niego. Na jego twarzy ukazała się rozpacz, ale tylko na mgnienie, i znów ta twarz była nieruchomą i kompletnie pozbawioną wyrazu twarzą żołnierza. Spojrzenie chłodne, puste.

Odwrócił się na pięcie i odszedł równym krokiem, tym razem jednak szedł o wiele szybciej. A ja ze ściśniętym sercem patrzyłam, jak przechodzi przez werandę, schodzi po schodach i idzie dalej. Dalej i dalej, nie oglądając się za siebie.

Odszedł. Postąpiłam jeszcze chwilę, żeby się uspokoić, żeby te łzy, co zakręciły się w oczach, obeschły, i z powrotem weszłam do domu, do

pokoju, gdzie Riley i Wes nadal stali wpatrzeni w ekran laptopa. Z tym że laptop ustawiony był teraz na stole. Wes siedział na krześle, Riley stał za nim. Kiedy weszłam, Wes ani drgnął, Riley oczywiście poderwał głowę. A ja weszłam, zamknęłam drzwi i oparłam się o nie plecami, starając się dojść do siebie, pogodzić się z faktem, że Garreta już nie ma. Że odszedł na zawsze.

– Firebrand? – Riley z posępną miną szedł już do mnie. – Co się dzieje? Gdzie Święty Jerzy?

– Odszedł. Powiedział, że musi, bo chce coś tam sprawdzić. Chodzi o Zakon. W każdym razie już nie wróci.

– Rozumiem...

Tak jak się spodziewałam, Riley nie był tą wiadomością wstrząśnięty, o czym świadczyła dalsza jego wypowiedź:

– No cóż... Gdybym powiedział, że stało się fatalnie, to po prostu bym skłamał. Firebrand, nie patrz tak na mnie. Wiedziałaś dobrze, że kiedyś musi to nastąpić. Chyba nie spodziewałaś się, że on, człowiek i żołnierz Świętego Jerzego, resztę życia będzie chciał spędzić z gromadą smoków?

– Nie... – szepnęłam drżąco. Przecież wiedziałam aż za dobrze, że Garret jest człowiekiem i należy do innego świata. Świata ludzi. Tam powinien być, bo tam ma szansę na normalne życie. – Wiedziałam, że prędzej czy później tak będzie. Ja tylko... tylko tęsknię za nim. To wszystko.

Gdy to mówiłam, Riley dotarł już do mnie, wyciągnął ręce i przytulił do siebie. I od razu poczułam rozlewające się po całym ciele ciepło, cudowne ciepło odpędzające smutek.

A do ucha szeptał już nie Riley, lecz Cobalt:

– Zapomnij o nim. Nie potrzebujesz człowieka. Masz mnie i kiedy dotrzemy już do miejsca, gdzie będziemy bezpieczni i będziemy mogli być sobą, pokażę ci, jak to jest. Mieć mnie, mieć smoka.

Oczywiście! Moja smoczyca całą sobą była za takim właśnie rozwiązaniem. Ja też. Zamknęłam oczy i rozkoszowałam się ciepłem objąć Cobalta. Bo tego właśnie potrzebowałam. Nie ludzi z ich pokręconymi uczuciami i odczuciami, lecz drugiego smoka. Po prostu. Bo jestem smokiem, tylko i wyłącznie smokiem, i najwyższy czas z tym

się pogodzić.

Odsunęłam się trochę i spojrzałam w górę, w złociste oczy Riley, w których widziałam swoje odbicie.

– I dokąd teraz? – spytałam, starając się uśmiechnąć.

– Dokąd? – Spojrzenie Riley stwardniało, głos już też nie był taki łagodny. – Teraz to zapolujemy na tego zdrajcę!

EPILOG

DANTE

Tym razem stałem w innej windzie, choć równie wyziębionej. U mego lewego boku pan Smith, u prawego agent Talonu. A metalowe pudło sunęło w dół, do miejsca, które zdawało się istnieć już nie w podziemiach budynku, a jeszcze dalej, po prostu gdzieś tam, w głębi ziemi. Stałem nieruchomo wpatrzony w swoje niewyraźne odbicie w żelaznych drzwiach. Uśmiechnięte, kiedy w pamięci ożyły wydarzenia z minionych dwóch dni.

Po tamtym fatalnym spotkaniu i znamiennej rozmowie telefonicznej z Ember pan Roth kazał mi iść razem z nim. Weszliśmy do jego gabinetu, pan Roth starannie zamknął drzwi i kazał mi usiąść. Więc usiadłem, oczywiście z duszą na ramieniu, wiedziałem przecież, że zawiodłem. Zawiodłem i organizację, i swoją siostrę, dlatego kiedy zająłem już miejsce na krześle przed biurkiem, spodziewałem się tylko jednego. Że zaraz topór spadnie na mą głowę. Czyli, innymi słowy, posypią się na mnie gromy.

Tymczasem nic z tych rzeczy, ponieważ ku memu największemu zdziwieniu usłyszałem coś bardzo miłego.

– Przede wszystkim chciałbym panu pogratulować, panie Hill.

Byłem pewien, że się przesłyszałem. Bo niby z jakiej racji składane mi są gratulacje? Nie, to musi być jakiś żart, na pewno, choć jak dotąd nigdy nie słyszałem, by tak wysokiej rangi urzędnik pozwolił sobie właśnie na coś takiego. Na żarcik albo nawet na zrobienie kogoś w balona.

– Tak, proszę pana?

Pan Roth uśmiechnął się.

– Ta operacja, w której chodziło o powrót pańskiej siostry do Talonu, była testem, panie Hill. Dlatego też pokierował nią właśnie pan, ponieważ chcieliśmy sprawdzić pańską lojalność wobec organizacji, a także pańską pomysłowość i stopień zaangażowania.

– Ale zawiodłem, skoro nie udało mi się sprowadzić Ember z powrotem do Talonu.

– Ale to nie pana wina, panie Hill. Pan zrobił to wszystko, czego

od pana oczekiwaliśmy, i wykonał to pan w oczekiwany przez nas sposób. Krótko mówiąc, organizacja jest zadowolona z wyników pańskiej działalności. Reign co prawda nie, ponieważ stracił wielu swoich ludzi, ale to już nie pańskie zmartwienie, tylko Talonu. A pan, panie Hill, udowodnił, że można panu ufać, że pańskie ideały są zgodne z doktryną Talonu, a najważniejsze dla pana jest bezpieczeństwo organizacji. Dlatego jeszcze raz gratuluję panu. Zdał pan swój końcowy egzamin...

Siedziałem i słuchałem oszołomiony tymi wszystkimi superlatywami, choć oczywiście nie okazywałem tego na zewnątrz, wszelkie emocje trzymając w sobie.

A pan Roth mówił i mówił, przechodząc w pewnym momencie do naprawdę bardzo istotnego tematu:

– Mamy do omówienia pewną sprawę. Pan, pełnoprawny członek organizacji, doskonale wie, jakim zagrożeniem dla nas jest zbiegostwo. Pańska siostra popełniła czyn haniebny, dopuszczając, by osobniczka naszego gatunku została zabita przez żołnierza Świętego Jerzego. Taka sytuacja w przypadku smoków zbiegów zdarza się często, ponieważ zbiegłe smoki, nienależące do żadnych struktur organizacyjnych, stają się skrajnie pobudliwe i nieprzewidywalne. Są zagrożeniem i dla organizacji, i dla samych siebie. Pańska siostra wybrała więc bardzo mroczną drogę, wierzymy jednak, że stało się tak tylko dlatego, że uległa wpływom zbiegłego smoka Cobalta, który ma wielki dar przekonywania. Przy tym Cobalt to ekstremista, wszyscy wiedzą, jak bardzo nienawidzi Talonu. Jego działania przeciwko Talonowi zakrawają już na terroryzm. Dlatego i jego, i wszystkich przestępców należących do jego sieci trzeba za wszelką cenę powstrzymać. Czy pan, panie Hill, widzi siebie w tej roli?

Cobalt! Natychmiast poczułem gniew, a ponieważ podczas tej rozmowy nie powinienem okazywać gwałtownych emocji, szybko zacisnąłem pięść i wbiłem ją w kolano. Cobalt, ten skończony drań! Skusił moją siostrę, i to przez niego Ember zwróciła się przeciwko mnie! Stał się więc moim osobistym wrogiem, bo to za jego sprawą omal nie straciłem wszystkiego. I bardzo chciałem mu za to sownie odpłacić.

– Oczywiście. Zrobię wszystko, czego oczekuje ode mnie Talon.

– Nawet jeśli będą to działania skierowane przeciwko pańskiej siostrze?

Odetchnąłem głęboko, naprawdę bardzo głęboko, po czym oznajmiłem:

– Tak. Ember dokonała wyboru i musi dalej żyć ze świadomością, że jej decyzje nie obejdą się bez konsekwencji. Mam wielką nadzieję, że zrozumie swój błąd i z własnej woli powróci do organizacji. Ale jeśli tak się nie stanie, sprowadzę ją tu siłą... – Zabrzmiało to bardzo twardo i stanowczo, a sądząc po minie pana Rotha, tą przemową zyskałem jego pełne uznanie. I nadal w tym uznaniu trwał, kiedy kończyłem deklarację: – Zbiegostwo powinno być zlikwidowane, i to dla dobra nas wszystkich. Wierzę, że będę kiedyś tego świadkiem.

– Wspaniale – powiedział rozpromieniony pan Roth. – Moim zdaniem takie nastawienie świadczy niezbitnie o tym, że jest pan gotowy do dalszych zadań.

Wstał z zza biurka i razem wyszliśmy na korytarz, gdzie czekał na mnie pan Smith.

– Dziś proszę wypoczywać, panie Hill – powiedział na pożegnanie pan Roth. – Jutro z samego rana czeka pana krótka podróż samolotem.

Winda zaczęła zwalniać i po krótkiej chwili wreszcie zatrzymała się, wydając z siebie cichy, charakterystyczny dźwięk. Drzwi rozsunęły się i naszym oczom ukazał się śnieżnobiały sterylny korytarz, po którym przemykali ludzie w równie śnieżnobiałych fartuchach laboratoryjnych. Na samym końcu korytarza widać było metalowe drzwi, koło których stali uzbrojeni strażnicy.

– Nie zapominaj, Dante, że za chwilę poznasz jedną z największych tajemnic Talonu – powiedział pan Smith, kiedy ruszyliśmy przed siebie tym sterylnym korytarzem. – Już sam fakt, że pozwolono ci tu wejść, dobitnie świadczy o tym, że organizacja nie tylko darzy cię zaufaniem, ale i pokłada w tobie wielkie nadzieje. Nie zmarnuj tego.

– Na pewno tak się nie stanie – odparłem zdecydowanie, bo naprawdę z pełnym przekonaniem.

Gdy podeszliśmy do drzwi, agent Talonu machnął przed oczami jednego ze strażników odznaką, na co strażnik kiwnął głową i drzwi

przed nami otwarły się, wpuszczając nas do bardzo małego pokoju, tak naprawdę niewiele większego od windy. Tu strażnik przyłożył dłoń do czujnika koło drugich, również metalowych drzwi w tym pokoiku. Czujnik zabuczał i zaświecił na zielono. Kiedy po przeskanowaniu dłoni ponownie zabuczał, zapaliło się zielone światło.

– Pamiętaj, Dante, co ci mówiłem przed chwilą – powiedział pan Smith i pchnął metalowe drzwi.

I wtedy przeżyłem prawdziwy szok.

Ze środka wyleciały kłęby pary, a potem, kiedy przekroczyłem próg... to przeżyłem ów szok.

Nie widziałem siebie, ale na pewno zrobiłem wielkie oczy. Bo to, co zobaczyłem, było niesamowite. Także to, co poczułem. A poczułem się tak, jakbym znalazł się w lesie deszczowym. Było bardzo gorąco i bardzo wilgotno. W mgnieniu oka cały zlałem się potem, ale prawie tego nie zauważyłem, bo skoncentrowałem się głównie na tym, co teraz ukazało się moim oczom.

Smoki. Setki smoków w wielkich cylindrycznych pojemnikach ze szkła, ustawionych w równych szeregach na wielkiej sali. Każdy taki gigantyczny słoć wypełniony był zielonym półprzezroczystym płynem, a w środku smok z zamkniętymi oczami, złożonymi równiutko skrzydłami i podkurczonymi nogami. Z szyi i z żołądka wystawały rurki, które biegły ku górze, do wylotu w pojemniku, i potem dalej, przed siebie, znikając w płataninie przewodów jakiejś aparatury. Sądząc po wielkości tych smoków, były to głównie pisklaki, niektóre tuż po wykluciu. W głębi sali jednak wyłowilem wzrokiem kilka osobników niewątpliwie o wiele starszych, bo ogromnych.

Wszystkie wyglądały tak samo. Za szkłem, a w tym zielonym płynie łuski nie miały zdecydowanej barwy ani blasku. Były szare, matowe. Każdy smok miał zakręcone rogi koloru kości słoniowej, które wyrastały nad oczami i były skierowane w dół, ku szczękom. Na grzbiecie, ramionach i przednich łapach zobaczyłem kolce. Wszystkie smoki były identyczne. Nie miało to nic wspólnego z podobieństwem, jakie łączy osobniki po tych samych rodzicach. Absolutnie nie. Po prostu były to wierne kopie.

Uśmiechnąłem się, bo oczywiście dotarło do mnie, co się za tym

kryje. Co zaplanował Talon już jakiś czas temu.

– Przypatrz się dobrze – powiedział triumfującym głosem pan Smith, podchodząc do mnie. – Przypatrz się dobrze, bo to nasza przyszłość, Dante Hill!

PODZIĘKOWANIA

Chciałabym bardzo podziękować moim Rodzicom za to, że modlili się za mnie, służyli dobrą radą, i gorąco zachęcali, bym absolutnie spełniała swoje marzenia, nawet te najbardziej szalone. Bardzo dziękuję też zespołowi Harlequin TEEN za ciężką pracę, słowa otuchy, przepiękne okładki i w ogóle za wszystko. Gorące podziękowania należą się memu wydawcy, Nataschy Wilson, która nadal we wszystkim, co robi, jest po prostu supermenką. Wielkie dzięki także mojej agentce, Laurie McLean, która zawsze spyta o to, o co ja nie potrafię zapytać, i bez której czułabym się kompletnie zagubiona, oraz Brandy'emu Riversowi, prawdziwemu orędownikowi mojej książki, który sprawił, że to, co wydawało się niemożliwe, wcale takie nie było.

Tobie również dziękuję, Nick, moja druga połówko! Oczywiście! Moja miłość do Ciebie jest bardziej gorąca niż najgorętszy ogień z paszczy smoka!

Tytuł oryginału:

Rogue

Pierwsze wydanie:

MIRA Books, 2015

Opracowanie graficzne okładki:

Kuba Magierowski

Redaktor prowadzący:

Grażyna Ordęga

Opracowanie redakcyjne:

Władysław Ordęga

Korekta:

Sylwia Kozak-Śmiech

© 2015 by Julie Kagawa

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp.

z o.o. Warszawa, 2015

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieł w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane licencji Harlequin Books, S.A.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak firmowy nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A. Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.

02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN: 978-83-276-1597-8

Konwersja do formatu EPUB:

Legimi Sp. z o.o. | www.legimi.com

